

ELIZABETH  
HARAN

Pod  
płonącym  
niebem



WIELKA PODRÓŻ, GORĄCE UCZUCIE,  
WIEKA WEWNĘTRZNA PRZEMIANA

ELIZABETH HARAN

Pod płonącym  
niebem

# Rozdział pierwszy

---

*Środkowa Australia, październik 1933 roku*

Pociąg „Ghan” niczym mityczny wąż z aborygeńskiego czasu snu[1] wił się na północ poprzez drżące w upale powietrze suchego jak pieprz serca Australii. W dali, na horyzoncie, który zdawał się mieszać z nieskończonym błękitem nieba, popołudniowe cienie zaczynały kłaść się na jednostajnym krajobrazie; monotonię zakłócały jedynie ptaszki – wachlarzówki[2], które tańcząc, przemykały nad pustynią.

Pociąg składał się z lokomotywy, wagonu dziennego, w którym można było tylko siedzieć, mimo że podróż trwała kilka dni, wagonu restauracyjnego, koktajlbaru ze stolikami do gry i dwóch wagonów sypialnych dla pasażerów pierwszej klasy. Skład zamykały wagony bagażowy i pocztowy. Celem podróży było miasto Alice Springs. Niestety tempo jazdy było tak wolne, że przez otwarte okna ledwie czuło się ruch powietrza. Maszynista prowadził ostrożnie, bo szyny w ponadczterdziestostopniowej temperaturze wyginały się i pociąg mógł się wykoleić, a dzisiaj było około czterdziestu pięciu stopni w cieniu: panował piekielny upał.

– Dlaczego zwalniamy, mamó? – Arabella Fitzherbert kapryśnie wydeła śliczne usta.

Miała dziewiętnaście lat, ale wyglądała na dużo młodszą, kiedy tak siedziała w nocnej koszuli na łóżku w przedziale sypialnym. Nie była w stanie doczekać się nocnego chłodu, więc rozpuściła długie miodowe włosy, zdjęła suknię, zrzuciła halki oblepiające jej ciało, pończochy i bieliznę, by wszystko zastąpić luźnym, przewiewnym strojem.

Clarice wyjrzała przez okno. Wyteżyła wzrok, usiłując dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz.

– Chyba dojeżdżamy do jakiegoś małego osiedla, ale na moje oko wygląda dosyć nieciekawie...

Po kilku minutach pociąg zatrzymał się przy peronie zbudowanym ze sterty starych podkładów i częściowo osłoniętym dachem z przerdzewiałej blachy. Krzywo przybita do słupa tabliczka głosiła:

„MARREE – Liczba mieszkańców: 84 ludzi i miliard much”.

Clarice skrzywiła się, kiedy to przeczytała; pomyślała, że mieszkańcy tej dziury mają dosyć osobliwe poczucie humoru.

Na obszarze wielu kilometrów rozciągała się pustka, ale nawet gdyby było inaczej, miasto nie wzbudziłoby najmniejszego zainteresowania pasażerów pociągu. Kiedy pióropusz dymu się rozpląnął, oczom podróżnych ukazała się pełna panorama miasteczka.

Na głównej ulicy, przypominającej zapyloną wiejską drogę, wznosił się jednopiętrowy dom z piaskowca. Jego frontową i dwie boczne ściany okalał balkon. Budynek nosił dumną nazwę Hotel Great Northern. Tuż za nim mieścił się posterunek policji oraz trzy sklepiki z żaluzjami z falistej blachy. Trochę dalej można było zobaczyć – co prawda tylko przez kurtyne unoszących się w powietrzu tumanów czerwonego kurzu – kilka domków krytych blachą i otoczonych nielicznymi, cherlawymi drzewkami.

Clarice zauważyła jakiegoś człowieka w mundurze, który odbierał od konduktora worki z pocztą, zastępując je nowymi. Następnie jej uwagę przykuli tubylcy: czarni jak smoła Aborygeni oraz ciemnoskórzy mężczyźni w turbanach, którzy zbliżali się do pociągu.

– O Boże! – rzuciła Clarice, odsuwając się od okna. – Spójrz tylko na tych okropnych żebraków! Nie mam zamiaru wychodzić z przedziału i nic mnie nie obchodzi, co na to powie twój ojciec!

Kiedy obcy usiłowali zajrzeć przez okno, Clarice przypomniała sobie o niekompletnym stroju córki.

– Okryj się czymś, Bello – zarządziła. Chwyciła prześcieradło i zarzuciła je na nagie plecy i ramiona dziewczyny. – Bóg jeden wie, co sobie mogą pomyśleć!

A ponieważ jeden z mężczyzn w turbanie podszedł do okna, zaciągnęła zasłonę i z niepokojem

spojrzała na drzwi, zastanawiając się, czy nie powinna zamknąć ich na klucz.

Temperatura w przedziale błyskawicznie wzrosła i zrobiło się okropnie duszno, aż trudno było oddychać.

– Strasznie w tym pociągu gorąco – poskarżyła się Arabella.

– Jutro będziemy w hotelu w Alice Springs – pocieszyła ją Clarice. Oczyma duszy już widziała chłodny salon z wentylatorem kręcącym się pod sufitem i siebie sączącą zimny napój z dużą ilością kostek lodu.

Arabella otworzyła kupiony podczas podróży papierowy chiński wachlarz i zaczęła się nim wachlować.

– To gorąco sprawia, że robi mi się niedobrze – jęknęła. – I zaczyna boleć mnie głowa...

– Kiedy znów ruszymy i przez okno wpadnie świeże powietrze, od razu poczujesz się lepiej. – Clarice odpędziła muchy, które próbowały się wdrzeć do przedziału przez zasłonkę. – W sąsiednim przedziale jadą całkiem mili ludzie. Ja i twój ojciec chcemy po kolacji zagrać z nimi w remika. Może chciałabyś się do nas przyłączyć, Bello?

Arabella opadła na poduszki.

– Nie, mam... i nie będę też jadła kolacji – rzekła. – Boli mnie brzuch.

Clarice często słyszała podobne skargi córki, zatem nie przejęła się nimi zbyt. Arabella zawsze była typem hipochondryczki, w dodatku niejadkiem; Clarice domyślała się, że właśnie to było przyczyną zbyt szczupłej, pozbawionej kobiecych krągłości figury córki.

– Wszystko przez ten upał, Bello. Na szczęście nie kaszlesz. Twój ojciec się modli, żeby tutejszy suchy klimat wyleczył ci płuca – i chyba jego życzenia się spełniają. Wiesz, że właśnie dlatego przyjechaliśmy do Australii, więc proszę, postaraj się nie narzekać! Ojciec przywiózł nas tutaj, bo tak radził mu lekarz. Doktor Portman był przekonany, że za twoje bronchity odpowiedzialne są wilgoć i smog w Londynie.

Edward Fitzherbert był cenionym i uznanym producentem przedstawień teatralnych. W Anglii uchodził za znaną i wpływową osobistość. Jednak ze względu na zdrowie córki postanowił na jakiś czas opuścić Londyn. Chociaż na świecie panował Wielki Kryzys, Fitzherbertowie nie musieli się martwić, że przez rok nie będą nic zarabiali. Clarice pochodziła z bogatej rodziny właścicieli ogromnych posiadłości ziemskich.

Od dnia, kiedy miesiąc temu przybyli do Australii, mieszkali w Adelajdzie; kolejne trzy miesiące planowali spędzić w podróży. W Adelajdzie powietrze było czyste i panowało przyjemne ciepło. Clarice chciała tam zostać dłużej, głównie ze względu na przyjemności związane z zakupami, ale jej przepełniony duchem odkrywcy mąż sprawił, że właśnie jechali do najbardziej suchego miejsca w głębi kraju. Edwardowi niewiele było trzeba, by wzbudzić w sobie pragnienie przygody.

Arabella się skrzywiła. Jej błękitne oczy żywo lśniły na tle bladej twarzy, tej samej barwy co prześcieradła.

– To takie nieprzyjemne pocić się bez przerwy, mam... – żaliła się w dalszym ciągu.

– Tak, wiem, kochanie. – Clarice z westchnieniem poklepała córkę po ręce.

– Och... a teraz chyba zaczynam dostawać wysypki... – jęczała Arabella.

– Gdzie? – zainteresowała się Clarice.

Arabella wskazała matce małą czerwoną plamkę na udzie.

– Och, Arabello, to nic takiego!

– Nieprawda... Ten upał niszczy mi skórę!

Clarice miała ochotę wzruszyć ramionami. Kochała córkę, ale Arabella we wszystkim znajdowała złe strony, podczas gdy ona sama potrafiła się dostosować do sytuacji. Co prawda, mając takiego męża jak

Edward, nie mogło być inaczej. Jeszcze zanim urodziła córkę, zabrał ją na długą wędrowkę po Afryce.

Clarice była zdrową, silną kobietą o pełnej figurze, ale podróżowała tak daleko pierwszy raz od czasu, kiedy została matką. Musiała przyznać, że teraz, w dojrzałym wieku, brak domowych wygód wcale jej nie bawił. Poza tym tęskniła za towarzystwem przyjaciół. Wiedziała też, że przyczyniła się do nieznośnego zachowania Arabelli. Kiedy w dzieciństwie u córki pojawiał się bodaj jeden symptom jakiegokolwiek choroby, Clarice ją rozpieszczała i była nadopiekuńcza. A kiedy kilka lat temu Arabella poważnie rozchorowała się na bronchit, niepokój o dziecko sprawił, że Clarice stała się jeszcze bardziej pobłażliwa. Miała nadzieję, że podróż spowoduje, iż Arabella dorośnie i stanie się samodzielna. Niestety, jak dotąd nie dostrzegła żadnych zmian.

– Zaaklimatyzujesz się, Arabello – pocieszyła dziewczynę.

Obsługa pociągu już poinformowała Clarice, że w zbudowanym na pustyni mieście Alice Springs nie można liczyć na interesujące zakupy, a teatrów tam nie ma w ogóle; spodziewała się więc, że Edward nie będzie chciał tam zabawić dłużej. Nic jednak nie powiedziała. Nie chciała wpływać na opinie Arabelli.

Pociąg znów ruszył. Clarice czym prędzej rozsunęła zasłonki, by wpuścić do przedziału trochę powietrza. Nie było ono co prawda chłodne, ale zawsze lepsze takie niż żadne!

– Idę do baru – oznajmiła.

– A... czy nie mogłabyś tu zostać i trochę się mną zająć, mamó? – jęknęła Arabella.

– Ależ nic ci nie będzie, kochanie! A gdybyś się lepiej poczuła, przyjdź do nas. Będą państwo Harrisowie z Kentu. To naprawdę szalenie mili ludzie.

– Wcale nie mam ochoty ich poznawać. Zresztą jest za gorąco, żeby się ubierać – z nadąsaną miną stwierdziła Arabella.

– Jak chcesz – cierpliwie odparła Clarice. – Przyniosę ci parę kanapek.

Kiedy pociąg powoli wyjeżdżał z miasta, Clarice zauważyła po drugiej stronie torów wielką zagrodę pełną wielbłądów. Niektóre były ogromne, ale dostrzegła też kilka młodych. Tuż obok zagrody rosło około dwudziestu palm daktylowych, były tam też dziwnie wyglądające budynki, które tworzyły niewielką osadę. Pośrodku wioski wznosił się meczet. Domyśliła się, że to musi być miejsce modlitw tych ludzi w turbanach – i była wdzięczna losowi, że mąż nie zaproponował jej zwiedzania tego „miasta”.

– Nie kłopotz się, mamó – mruknęła Arabella. – Mam jeszcze połowę kanapki z lunchu. Chleb był czerstwy, a to, co włożyli do środka, smakowało obrzydliwie. Wątpię, żeby w barze podawali lepsze jedzenie.

– Bello, kochanie, to było jajko z majonezem. Ja swoje zjadłam z przyjemnością. A jedzenie zawijają w papier, żeby nie wyschło zbyt szybko. Tylko że w takim upale wszystko trzeba zjadać jak najprędzej.

Clarice miała ochotę złącać córkę za to, że tak mało je, wiedziała jednak, że to tylko zwiększy upór Arabelli, a naprawdę miała ochotę miło spędzić czas.

– Skoro nie chcesz ze mną zostać, spróbuję się przespać... – westchnęła Arabella. Miała nadzieję, że sen skróci jej męki.

– Doskonale. Gdybyśmy wrócili późno, nie będę zapalała lampy, żeby ci nie przeszkadzać. Konduktor mi powiedział, że jutro wczesnym rankiem powinniśmy być w Alice Springs.

Clarice ucałowała błądy policzek córki i wyszła z przedziału. Próbowwała zagłuszyć poczucie winy, że zostawia chore dziecko samo, ale uwielbiała grę w remika i bardzo się na nią cieszyła, a poza tym potrzebowała chwili odpoczynku od ciągłych narzekań Arabelli.

Po wyjściu matki dziewczyna spojrzała przez okno na niebo: w bezmiarze błękitu na próżno wypatrywała chociażby najmniejszej chmurki, która przełamałaby monotonię...

Gorąco i rytmiczny stukot kół wkrótce ukołysały ją do snu.



Zbudziło ją gwałtowne szarpnięcie zatrzymującego się składu. Usiadła na łóżku i wyjrzała przez okno, ale zobaczyła tylko rozżarzoną od upału pustynię. Odsunęła zasłonę w drzwiach, żeby wyjrzeć na korytarz i na drugą stronę pociągu, ale tam również były tylko krzaki i piach. Nadzieja, że pociąg stanął, bo dojechał już do celu, szybko się rozwiała. Arabella czekała i czekała, spodziewając się, że matka i ojciec przyjdą jej powiedzieć, co się dzieje. Niestety, nic takiego nie nastąpiło.

W końcu dziewczyna wysunęła głowę przez okno i spojrzała w stronę lokomotywy. To samo zrobił ktoś z wagonu drugiej klasy; po chwili ukazała się kolejna głowa w wagonie restauracyjnym.

– Co się tam dzieje? – zawołała jakaś kobieta.

Mężczyzna w średnim wieku, wychylający się z wagonu drugiej klasy, odwrócił się.

– Na torach leży jakieś zabite zwierzę – tłumaczył. – Już je ściągną!

Szyny wokół nieżywego kangura były przysypane piaskiem. Załoga pociągu w miarę szybko ściągnęła martwe zwierzę na pobocze. To był wielki samiec, który najprawdopodobniej został śmiertelnie ranny w walce z rywalem. Natomiast usunięcie piasku zajęło kolejarzom o wiele więcej czasu.

Minuty mijały, a Arabella coraz bardziej się niecierpliwiła. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, robiło się coraz ciemniej. I – co Arabellę bardzo ucieszyło – trochę chłodniej.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła kwiat, jakiego nigdy przedtem nie widziała. Był jaskrawo czerwony, z czarnym środkiem w kształcie groszku.

Kochała kwiaty i знаła mnóstwo ich odmian, ale nigdy jeszcze nie spotkała równie niezwykłego okazu. Lśnił jak klejnot w szarej monotonii pustynnej roślinności, kilka metrów od pociągu.

Arabelli przemknęło przez myśl, że przecież może go zerwać: wystarczy, że wyskoczy z wagonu. Mogłaby zasuszyć ten piękny kwiat i zawieźć go do domu; ale czy się odważy?

Nie, pomyślała. Nie wolno jej tak ryzykować. Pociąg może przecież ruszyć w każdej chwili.

Minęło jeszcze piętnaście minut, a pociąg nadal stał. Arabella coraz bardziej się niecierpliwiła. Wpatrywała się w czerwony punkt, zła, że przepuszcza tak wspaniałą okazję na zdobycie upragnionej rośliny. Zrobiło się ciemno i trudno było cokolwiek dostrzec, ale im dłużej dziewczyna patrzyła na kwiat, tym bardziej podziwiała jego piękno. W końcu wstała i wyjrzała na opustoszały korytarz. Podeszła do drzwi wyjściowych i otworzyła je.

Kwiat rósł najwyżej trzy metry od niej.

– To przecież potrwa nie więcej niż pięć sekund: zerwę go i zaraz wrócę do pociągu – przekonywała samą siebie. – A nawet gdyby pociąg ruszył, i tak zdążę do niego wskoczyć!

Miała na nogach pantofle, więc nie obawiała się kamieni, które leżały w czerwonym piasku pustyni, ani małych, kłujących roślinek, kępkami porastających pobocze nasypu.

Trzymając się poręczy, Arabella zeszła ostrożnie z pierwszego drewnianego schodka. Kiedy miała zejść z drugiego, zahaczyła stopą o brzeg długiej nocnej koszuli. Pośliznęła się i całym ciężarem przygniotła sobie ramię, boleśnie je wykręcając; zsunęła się ze schodków i niezdarnie wylądowała na piasku, kalecząc rękę ostami.

– Ooch! – krzyknęła, gdy ból przeszył jej kostkę i dłoń. Wyciągnęła kolce z ręki i roztarła stopę. Z oczu trysnęły jej łzy. – Do licha! – mruknęła ze złością.

Nagle usłyszała syk pary z lokomotywy: pociąg szarpnął i powoli ruszył.

– O nie! – zawołała Arabella. Próbowwała się podnieść, ale kiedy oparła rękę na ziemi, żeby wstać, znowu poczuła ból. – Czekaście! – wołała, kiedy wagony powoli się oddalały. Podniosła się i kuśtykając, próbowała biec, ale stopień, z którego spadła, był za daleko; nie miała się czego przytrzymać.

Pociąg nabierał szybkości, a ona patrzyła bezradnie, jak obok niej przejeżdżają wagony z bagażami. Nie było nikogo, kto by ją zobaczył, nikogo, kogo mogłaby poprosić o pomoc.

Ba, o wiele gorzej! Nikt nie miał pojęcia, że w ogóle wysiadła!

– Mamo! Tatusiu! – wrzeszczała na całe gardło. – Zaczekajcie! – Kilka chwil stała i patrzyła zdumiona, jak pociąg, wijąc się, znika w ciemności.

Kiedy dotarło do niej, że została sama, zaczęła płakać.

– Mama i tatuś zorientują się, że zniknęłam – pomyślała Arabella, próbując opanować rosnące uczucie paniki. – Wrócą tu po mnie...

Wyobraziła sobie rodziców grających w remika. Doskonale wiedziała, że kiedy grają w karty, oboje tracą poczucie czasu. Przecież nieraz się zdarzało, że grali przez pół nocy! Przypomniała sobie, jak wychodząc z przedziału, matka oznajmiła, że kiedy wróci, nie zapali lampy, żeby jej nie obudzić.

Och, nie! Wyobraziła sobie, że rodzice położą się spać i aż do rana nie będą wiedzieli, że jej nie ma w łóżku!

Ciągle jeszcze nie docierało do niej, że oto znalazła się sama na pustyni i że nikt o tym nie wie.

Zrozpaczona, zaczęła krzyczeć z całej siły. Jej głos brzmiał głucho i wydawał się rozplływać w otaczającej ją bezkresnej pustce.

Kiedy pociąg już całkowicie zniknął za horyzontem, Arabella siadła na ziemi z głową opartą na kolanach. Szlochała. Dopiero coś, co wędrowało w górę po jej nodze, sprawiło, że się zerwała i oparła na chorej stopie. To wywołało ponowny ból w kostce i znowu z jej oczu popłynęły łzy. Z krzykiem uniosła koszulę. Na wewnętrznej stronie uda dostrzegła ogromnego owada. Strąciła go ze wstrętem i drżąc z obrzydzenia pokuśtykała w stronę szyn. Kulejąc, zaczęła iść w kierunku, w którym odjechał pociąg. Przez głowę przemykały jej najrozmaitsze myśli.

Tymi torami mogę przecież dojść aż do Alice Springs. Na pewno mi się uda.

Nie mogła przecież zabłądzić...

Ale po chwili przypomniała sobie, jak matka mówiła, że do Alice Springs dojadą dopiero jutro rano!

Tymczasem kostka coraz bardziej bolała i puchła. Nie zdoła tam dojść na własnych nogach. Za daleko. Będą musieli po nią wrócić. Będą musieli. Najlepiej jeszcze dzisiaj...

Arabella wkrótce się zorientowała, że na pustyni po zachodzie słońca temperatura gwałtownie spada. Kiedy wokół niej zapadły ciemności – tak głębokie, o jakich dotąd nie miała pojęcia – przerażona zaczęła dygotać i mamrotać coś do siebie. To przypominało zaciemnienie Londynu w czasie wojny. Kiedy próbowała iść torami, kostka bolała ją jeszcze bardziej, a że nie była w stanie zobaczyć własnych pantofli, ciągle się potykała. Jedyne, co mogła zrobić, to zejść z torów i iść obok nich po piasku, ale i tu z trudem się poruszała.

W cienkiej koszuli Arabella umierała z zimna i nie miała pojęcia, gdzie mogłaby się schronić. Nie widziała nic aż do chwili, kiedy na niebie ukazały się gwiazdy i wzeszedł księżyc, dając trochę światła. Od czasu do czasu zdawało się jej, że dostrzega wielkie owady i małe stworzonka podobne do gryzoni, które przed nią umykały. Wtedy krzyczała ze strachu.

Zaczęła szcząkać zębami z zimna i nie czuła stóp. Ogarnęła ją rozpacz, że nikt po nią nie wróci. Miała wrażenie, że minęło kilka godzin, a równocześnie była pewna, że od chwili, kiedy pociąg odjechał, nie upłynęło tak wiele czasu. Stale się pocieszała, że rodzice wkrótce się zorientują, że jej nie ma, i na pewno będą nalegali, by pociąg po nią wrócił.

Musiała w to wierzyć, inaczej popadłaby w obłęd!

Wyrzucała im, że tak ją zaniedbali. Gdyby z nią zostali w przedziale, nic takiego by się nie stało! Kiedy jednak minuty zaczęły się rozciągać w godziny, nadzieje Arabelli zbladły. Im bardziej była znużona, tym większą czuła rozpacz. Im jej było zimniej, tym trudniej było iść dalej. Czasem się potykała i padała na kolana, które w końcu były pokaleczone i zakrwawione. Oczy kleiły się jej ze zmęczenia. Mogła się skupić jedynie na bólu w kostce. Do tego niechcący oddaliła się od torów.

Upadła na piasek. Nie miała siły się podnieść. Zwinęła się w kłębek i żałośnie łkała. Rozpaczliwie

chciała zasnąć, ale równocześnie walczyła z sennością: musi przecież usłyszeć, kiedy pociąg będzie po nią wracał!

W końcu jednak zmęczenie ją zmoгло i Arabella zapadła w sen.

Mijały godziny. Nad horyzontem zaczęło świtać. Arabella mocno spała, kiedy nagle zbudziło ją laskotanie w nogę. Otworzyła oczy i wrzasnęła z przerażenia: ogromny pająk, największy, jakiego kiedykolwiek widziała, wspinał się po jej nodze. Na sam jego widok omal nie zemdląła. Histerycznie potrząsnęła nogą i pająk czym prędzej czmychnął pod jakiś krzak.

Ku rozpaczy Arabelli okazało się, że nie widzi nigdzie szyn, a wszystko wokół wygląda całkowicie obco.

Pustynię porastały nędzne krzewy, z pomiędzy których wyłaniały się czerwone połacie piasku z samotnymi kaktusami. Nigdzie nie było żadnych charakterystycznych punktów odniesienia; skałek, wzgórz czy kęp drzew...

Arabella powoli wstała, odwróciła się i spostrzegła w oddali jakieś drzewo. Było to jedyne drzewo w promieniu wielu kilometrów, więc ruszyła w jego stronę. Była spragniona i głodna, ale miała nadzieję, że znajdzie tam owoce, a może nawet wodę. Wiedziała, że szanse na powodzenie jej planu są znikome, a jednak... skoro drzewo przetrwało, musiało coś je trzymać przy życiu.

Kostka nadal jej dokuczała, ale w ciągu nocy opuchlizna zeszała i ból trochę zelżał. Niemniej całe ciało Arabelli były skostniałe. Dygotała tak mocno, że ledwie zdawała sobie sprawę, iż wschodzące słońce daje trochę ciepła. Jeszcze nigdy tak nie przemarzła, nawet w Anglii w samym środku zimy – ale też nigdy nie była na dworze tylko w nocnej koszuli! Noc na pustyni okazała się zaskakująco wilgotna i Arabella znowu zaczęła kaszleć, chociaż usta miała spierzchnięte i suche jak otaczający ją krajobraz. Z rozpaczy zlizywała kropelki wilgoci z listków roślin zrywanych po drodze.

Nagle uwagę Arabelli zwrócił dziwny dźwięk.

Odwróciła się i ujrzała biegnące w jej stronę stado emu. Pięć dorodnych okazów. To one hałasowały: najwyraźniej chciały ją wystraszyć.

Ich dzioby wyglądały na ostre, a długie nogi były potężne i zakończone ostrymi pazurami, z pewnością mogły nimi zrobić sporą krzywdę! Ptaki stanęły i wlepiły w nią spojrzenie czarnych paciorkowych oczu. Wrzasnęła i przyspieszyła kroku. Nie oglądając się za siebie, próbowała dotrzeć do drzewa. Na zmianę kuśtykała, padała i znowu kuśtykała, wymachując rękami i krzycząc histerycznie.

Jej krzyki odstraszyły emu; ptaki w końcu pobiegły w innym kierunku.

Kiedy Arabella dobrnęła wreszcie do drzewa, oparła się o nie plecami i rozejrzała, niepewna, co się stanie. Ku jej zdziwieniu emu były już daleko: beztriosko maszerowały w zupełnie inną stronę.

Przez chwilę czuła się głupio, że tak się ich przestraszyła. Z pewnością nie zamierzały jej zrobić krzywdy; pomyślała nawet, że dobrze by było, gdyby nie zostawiły jej samej. Znowu poczuła głód i przyjrzała się gałęziom drzewa w nadziei, że znajdzie tam jakieś owoce, jagody – cokolwiek, co dałoby się zjeść; wypatrzyła jednak tylko opuszczone ptasie gniazdo.

Nigdzie w pobliżu nie było żadnej wody. Zrozpaczona Arabella usiadła i znowu się rozpłakała.

– Mamo, wróć po mnie... – szlochała. – Nie zostawiaj mnie, ja tutaj umrę!

W końcu ponownie zasnęła.

Następnego dnia pociąg gwałtownie zahamował, zrywając podróżnych ze snu o szóstej rano.

Edward Fitzherbert wyjrzał przez okno i zobaczył, że nie dotarli jeszcze do Alice Springs. Przypuszczając, że na szynach musi znowu leżeć jakieś zwierzę, przeczekał parę minut, po czym wyszedł zobaczyć, co się stało.

Clarice jeszcze się nie obudziła, więc postanowił zajrzeć do Arabelli. Odsunął zasłonę oddzielającą ich łóżko od jej postania i ze zdziwieniem zauważył, że córki nie ma. Ponieważ nie wychodziła z



przedziału odkąd wsiedli do pociągu, początkowo był zaskoczony, a potem pomyślał, że może poszła się umyć. Narzucił szlafrok i przez chwilę szukał pantofli.

Zanim podszedł do drzwi kabiny, rozległo się pukanie. Edward otworzył i ujrzał konduktora.

– Proszę się ubrać i zabrać najpotrzebniejsze rzeczy. Wszyscy muszą opuścić pociąg.

– Dlaczego? – zdziwił się Edward. – Co się stało?

– Pociąg nie może jechać dalej. Szyny są niestabilne, bo termity naruszyły podkłady! Nie mamy pewności, jak bardzo uszkodziły linię, więc wszyscy muszą pójść pieszo do miasta. Resztę bagażu zabierzemy później.

– Pójść pieszo? Jak daleko?

– Jakies osiem kilometrów, proszę pana. Przepraszam, muszę już iść. – Konduktor pobiegł dalej sprawdzić, czy pozostali pasażerowie, których zaalarmował, zbierają już swoje rzeczy.

– Co się stało, kochanie? – sennie wymamrotała Clarice, kiedy Edward zamknął drzwi.

– Pociąg nie może dalej jechać, bo termity naruszyły podkłady. Musimy się ubrać i iść piechotą do miasta. – Mówiąc to, pukał do drzwi łazienki, nikt jednak nie odpowiadał.

– Lepiej obudzić Arabellę – mruknęła Clarice.

– Nie ma jej w łóżku – odparł Edward. – Może wyszła sprawdzić, dlaczego pociąg stoi? – Nie dostrzegł jej na korytarzu, więc nic z tego nie rozumiał.

Clarice wyglądała na zaskoczoną. Edward wiedział, o czym myśli. Gdyby Arabella uznała, że coś jest nie w porządku, z pewnością by ich obudziła. Ale tak wyjść bez słowa? Nie, to nie leżało w jej charakterze!

– Sprawdziłeś w łazience?

– Właśnie tam pukałem – odparł. – Ale nikt nie odpowiada.

– Arabello! – zawołała Clarice. Nadal nie było odpowiedzi. – Kochanie, otwórz drzwi – zwróciła się do męża.

Edward zrobił to, o co prosiła.

– Nie ma jej tutaj. – Był zdumiony.

Clarice opuściła nogi z łóżka. Rankiem nigdy nie potrafiła jasno myśleć, dopóki nie wypła pierwszej filiżanki herbaty.

– Ubiorę się i zacznę pakować nasze rzeczy, kochanie – oznajmiła. – A ty poszukaj Arabelli. – Może ich córka nareszcie wydorosła i zdecydowała sama ocenić sytuację?

Po kilku minutach Edward wrócił do przedziału.

– Znalazłeś ją? – spytała Clarice.

– Nie... nie wiem... Nikt jej nie widział.

Co prawda większość pasażerów, z którymi rozmawiał, była tak niezadowolona z perspektywy dalekiego marszu, że ledwie zauważyła, że ich o coś pyta.

Clarice była przestraszona.

– Musi tu gdzieś być! Byłeś u Harrisów?

– Tak, ale oni też jej nie widzieli. Wszyscy wysiadają z pociągu, więc może znajdziemy ją na zewnątrz... – Starał się nie wpadać w panikę, przekonany, że córka gdzieś musi być. Nie rozplynęła się przecież w powietrzu!

Edward i Clarice pospiesznie spakowali najpotrzebniejsze rzeczy swoje i Arabelli i wyszli na korytarz, gdzie konduktorzy pomagali podróżnym wysiadać z pociągu. Kilku pasażerów już ruszyło wzdłuż torów w stronę miasta. Kiedy Clarice z pomocą konduktora zeszła za schodków, Edward rozejrzał się w poszukiwaniu Arabelli.

– Nie możemy znaleźć córki – zwrócił się do stojącego na najniższym schodku konduktora.

Mężczyzna chciał pomóc, ale zupełnie nie kojarzył dziewczyny.

– Ile ma lat, sir? – spytał w nadziei, że dzięki temu zdoła chociaż odrobinę odtworzyć obraz zaginionej. Pamiętał Fitzherbertów z koktajlbaru zeszłego wieczoru, ale ich córki z pewnością tam nie było.

– Ma prawie dwadzieścia lat – odparł Edward. – Ale nigdzie się nie ruszała bez matki ani beze mnie.

– Z pewnością gdzieś tu jest – powiedział konduktor.

Z ulgą usłyszał, że Arabella jest prawie dorosła, więc będzie potrafiła o siebie zadbać. Przypuszczał, że wyszła z przedziału, żeby porozmawiać z jednym z młodych ludzi, którzy jechali pociągiem.

– Proszę zejść, sir... tamuje pan ruch.

Edward powoli zszedł po schodkach. Słyszał, jak Clarice wołała Arabellę; była teraz otoczona współpasażerami.

– Nie mogę jej znaleźć – mówiła przestraszona, kiedy mąż stanął przy niej.

– Nie denerwuj się, kochanie. Znajdziemy ją – uspokoił ją Edward.

Kiedy już większość pasażerów opuściła pociąg, konduktorzy starali się ich namówić do marszu. Wiedzieli, że wkrótce zacznie się upał, a nie chcieli, żeby któraś z kobiet zemdlała.

– Proszę iść – zwrócił się konduktor do Clarice i Edwarda, bo oboje zostali w tyle, podczas gdy reszta ruszyła już w drogę.

– Nigdzie nie pójdziemy bez naszej córki – burknął Edward.

– To państwo jeszcze jej nie znaleźli? – zdziwił się mężczyzna.

– Nie, musi być w pociągu – powiedziała Clarice. Gdyby Arabella była wśród pasażerów na pewno by ją dostrzegli.

– Będziemy czekać tutaj, aż się znajdzie – rzekł Edward do żony, ale tak, żeby konduktor go słyszał.

Pół godziny później ostatni pasażerowie opuścili skład. Była to wymagająca pomocy wiekowa para; Fitzherbertowie w dalszym ciągu nie znaleźli ani śladu córki. Clarice była już na granicy hysterii, a Edward coraz bardziej rozgniewany na obsługę kolei – za ich brak zainteresowania.

– Mam zamiar przeszukać wszystkie przedziały! – oznajmił konduktorowi.

– Zrobimy to, sir – odparł tamten. – Jeżeli jest w pociągu, znajdziemy ją. – Przemknęło mu przez myśl, że może Fitzherbertowie pokłócili się z córką, a ona wyszła z kimś, nie mówiąc nic rodzicom. Ale to było niemożliwe, w pociągu było raptem czterdziestu jeden pasażerów, a żadna z tych osób, które wybrały się do Alice Springs, nie pasowała do opisu Arabelli.

– Oczywiście, że musi być w pociągu! – nastroszył się Edward. – A gdzie indziej mogłaby być? – Nie podobało mu się spojrzenie, jakim obdarzył go mężczyzna, ale nie skomentował tego.

Po ponad dwudziestu pełnych niepokoju minutach konduktor i dwóch stewardów oświadczyło, że przeszukali wszystkie przedziały, nawet wagony bagażowe, ale nikogo nie znaleźli.

– Wobec tego gdzie jest nasza córka? – chciał wiedzieć Edward. Zdażył już wypytać ostatnich pasażerów, którzy ruszyli do Alice Springs. Nikt jednak nie widział Arabelli.

– Nie mamy pojęcia, sir – odpowiedział konduktor.

– Co to znaczy „nie mamy pojęcia”? Macie zwyczaj gubić po drodze ludzi?

– Oczywiście że nie, sir. Nigdy nie zgubiliśmy żadnego pasażera.

Clarice spojrzała na męża.

– Chyba nie przypuszczasz... nie myślisz... że Arabella mogłaby... – Zakryła usta ręką, niezdolna wypowiedzieć do końca własnych myśli.

– Co takiego, kochanie? – spytał Edward, szeroko otwierając oczy.

Clarice patrzyła na konduktora.

– Czy to... możliwe, żeby nasza córka mogła... wypaść z pociągu? – Jej głos stał się niebezpiecznie

wysoki.

Edward jęknął i zerknął na konduktora, który wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

– Państwo jechali w ostatnim wagonie, więc, gdyby otworzyła tylne drzwi, to... to byłoby możliwe – powiedział, czerwieniejąc. W duchu uważał, że to nawet bardzo prawdopodobne, ale nie miał dość odwagi, żeby im to zasugerować. Nic podobnego nigdy się nie zdarzyło. Byłoby to zbyt okropne, żeby o tym nawet myśleć... no, ale co innego mogło się wydarzyć?

– O Boże! – krzyknęła Clarice. Zbladła jak prześcieradło i omal nie zemdląca.

Edward złapał ją w ramiona i delikatnie ułożył na jednej z waliz. Zerknął na setki kilometrów linii kolejowej ciągnącej się za nimi; oczyma duszy widział biedną Arabellę leżącą tam gdzieś, może ranną...

– Muszę wracać i znaleźć córkę – oświadczył.

Konduktor zbladł.

– Nie mogę na to pozwolić, sir – rzekł.

– Tylko spróbuj mnie powstrzymać – rzucił gniewnie Edward.

– Sir, musimy się dostać do Alice Springs i zorganizować poszukiwania – próbował przekonać go konduktor. – Nie pomoże pan córce, a i sam zginie.

Clarice przywarła do rękawa koszuli męża.

– Przez noc musieliśmy przejechać setki kilometrów – jęknęła. – Nie dasz rady, Edwardzie.

Powaga, z jaką Clarice to powiedziała, uderzyła Edwarda, jakby dostał w twarz. Jak mieli znaleźć Arabellę? Zakreśliło mu się w głowie, a po chwili całe jego ciało pokrył pot.

Konduktor szybko podjął decyzję. Kazał dwóm stewardom zanieść bagaże Fitzherbertów do miasta.

– Gdzie się państwo zatrzymają w Alice Springs? – spytał.

– W hotelu Central na Todd Street – odpowiedział Edward; czuł, że powoli drętwieje.

– Zaniesiemy tam państwa bagaże, sir. Pan zajmie się żoną. Potrzebuje pana teraz. Kiedy dotrzemy do Alice Springs, natychmiast przekażę policji wiadomość o zaginięciu państwa córki i jestem pewien, że bezzwłocznie zorganizują poszukiwania. To najlepszy sposób i jedyna szansa dla pana córki, sir.

Edward wiedział, że to prawda, ale nadal uważał, że to on powinien szukać dziecka.

Kiedy Arabella otworzyła oczy, wrzasnęła z przerażenia. Po jej stopach i łydkach wędrowały tabuny mrówek. Zerwała się i zaczęła tupać, gwałtownie strzepując owady. Cały czas krzyczała, bo kiedy próbowała je zrzucić, czuła ich bolesne ukąszenia.

Już nigdy więcej nie położy się na ziemi na tej przeklętej pustyni, przysięgała sobie w duchu. Garściami piachu zaczęła ścierać z nóg mrówki, co do jednej, po czym odsunęła się od drzewa, prosto pod palące promienie słońca. Kiedy spojrzała na własne nogi, widok ją po prostu przeraził. Jej białą skórę pokrywały czerwone, zaognione, bolesne i swędzące plamy. Rozpłakała się z rozpacz.

– Chcę do domu... – szlochała.

Spragniona była wygodnego łóżka i bezpiecznego rodzinnego domu w Londynie.

„Jak to się mogło stać? – pytała samą siebie. – Jak mogłam się tu znaleźć, samotna, opuszczona? Nie mogę przecież tutaj... umrzeć!”

Wyobraziła sobie, jak ktoś odnajduje jej szczątki po wielu latach... a może nawet nigdy? Rodzice też się nigdy nie dowiedzą, co się z nią stało. Co za koszmar...

Arabella dotkliwie odczuwała otaczającą ją ciszę. Zastanawiała się, czy czasem pociąg nie wrócił po nią, a ona spała i nic nie słyszała? Zastanawiała się, jak daleko odeszła od linii kolejowej. Kiedy ruszyła szukać torów, słońce stało wysoko na niebie, paląc wszystko niemiłosiernie. Czuła, jak parzy jej skórę na ramionach, ale schować się pod drzewem nie mogła: tam przecież były mrówki! Zrobiło się jej niedobrze, poza tym chciała pić. Pomyślała o połówce suchej kanapki w pociągu, której nie chciała zjeść. Teraz oddałaby za nią wszystko... i za dużą szklanek wody. Oddałaby duszę diabłu, byle tylko ugasić to

nieznośne pragnienie!

Wczesnym popołudniem Arabella zasłabła i upadła na ziemię. Upał, od którego aż drżało powietrze, od jakiegoś czasu sprawiał, że miała halucynacje. Wydawało jej się ciągle, że widzi nadjeżdżający pociąg – i to dodało jej sił. Całkiem straciła orientację i w rezultacie kręciła się w kółko. Ukąszenia mrówek na nogach bardzo dokuczały, do tego doszedł ból głowy.

Kiedy tak leżała na spalonej słońcem ziemi, była przekonana, że zaraz umrze; zabrakło jej nawet łez. Słony pot pokrywał całe jej ciało; zamknęła oczy. Wargi miała spierzchnięte. Język przypominał kawałek drewna.

Nie była w stanie się ruszyć otoczona nieznośną ciszą, którą zakłócało jedynie brzęczenie much w krzakach. Nagle usłyszała trzask łamanej gałązki. Wyobraziła sobie, że to dzikie psy, które widziała z okien pociągu, przyszły tutaj, by ją pożreć.

– Ale... ja jeszcze żyję... – wybełkotała jak w delirium. Otworzyła jedno oko i zaraz je z powrotem zmrużyła.

Nad nią stała jakaś ciemna, niewyraźna istota.

Arabella z trudem złapała powietrze i zakryła ręką oczy przed oślepiającym słońcem. Jakaś czarna twarz wpatrywała się w nią. Twarz z bardzo szerokim i płaskim nosem, co nadawało jej wyraz dzikości, do tego ciemne, hipnotyzujące spojrzenie. Nieznajomy miał kręcone włosy, a na czole i policzkach wymalowane ochrą znaki. Arabella wpatrywała się z niedowierzaniem i przestachem w tę postać. Usłyszała głosy, ale słów nie rozumiała.

Przez chwilę myślała, że to wszystko omamy. Musiała dostać porażenia słonecznego!

Nagle poczuła szturchnięcie czymś w żebra, chyba kijem. Właściciel kija krzyknął coś do niej – jakby wydawał rozkaz. Wyglądał na rozzłoszczonego. Zerwała się wystraszona i usiłowała usiąść na ziemi. Okazało się, że otaczają ją groźnie wyglądający tubylcy. Różnili się od Aborygenów z Marree, którzy sprawiali wrażenie bardzo przyjaznych.

Arabella znowu zaczęła krzyczeć. Tubylcy – a było ich ośmiu – odskoczyli i zaczęli gwałtownie mówić do siebie, jakby się dzielili opiniami na jej temat.

Arabella nie wiedziała, że uważają ją za obłąkaną.

Z trudem wstała. Przy całym strachu była przekonana, że to, co robi za chwilę, może oznaczać dla niej życie albo śmierć, musiała ich przestraszyć. Miała nadzieję, że nie usłyszą drżenia w jej głosie.

– Wynoście się! Zróbcie mi tylko krzywdę, a mój ojciec wszystkich was powystrzela!

Członkowie klanu Arrernte patrzyli na siebie oszołomieni.

– Wariatka – stwierdził w narzeczu starszy rodu, Djalu. Intrygowała ich jej spalona od słońca, spuchnięta twarz. – Wygląda, jakby ją upiekli na ogniu, jak emu... – skwitował ze śmiechem.

Pozostali też zaczęli się śmiać, orzekli nawet, że na jej kostkach jest za mało mięsa, żeby się najeść. Arabella nie wiedziała, co o tym myśleć. Czy z niej kpili?

– Co z nią zrobimy? – spytał jeden z tubylców, zwracając się do Djalu. – Ona tu zaraz umrze.

– Skąd przyszła? – spytał starszego inny.

Do tubylców dołączyły jeszcze dwie kobiety i dziecko; podeszły do Arabelli od tyłu.

– Pewnie z Marree – orzekł Djalu. – Tylko jak pokonała drogę?

Może dziewczynę wygnali z miasta, bo zwariowała? A może zawędrowała tak daleko, bo się zgubiła?

Przez głowę Arabelli przemykały niezliczone myśli. Zerknęła na swoją nocną koszulę, podartą teraz na dole od przedzierania się przez kolczaste krzewy. Zasłoniła piersi dłońmi, jako że nie nosiła pod spodem niczego, co by zakrywało ich niewielką wypukłość.

Wtedy zauważyła, że tubylcy mają na sobie tylko skąpe kawałki zwierzęcej skóry zakrywające



przyrodzenie. Ponieważ nigdy nie widziała aż tak bardzo rozebranego mężczyzny, poczuła się zawstydzona i poniżona. Zwłaszcza kiedy jeden z nich odwrócił się tyłem: wtedy dostrzegła jego kompletnie nagie pośladki i znowu przeraźliwie wrzasnęła. Odwróciła się, żeby uciec – i w tym momencie zetknęła się twarzą w twarz ze stojącymi za nią kobietami.

Przez chwilę poczuła ulgę na widok niewiast. Może im będzie jej żal? Kiedy jednak zobaczyła ich nagie piersi, przeżyła kolejny szok. Zaczerwieniła się, chociaż jej twarz była tak spalona słońcem, że nikt tego nie dostrzegł. Dolne części ciała kobiet okrywały również skóry zwierzęce. Jedna z Aborygenek trzymała na ręku dziecko, które teraz wpatrywało się w Arabellę ogromnymi brązowymi oczyma. To był chłopczyk. Zauważyła, bo był zupełnie goły.

Natychmiast uznała, że ci tubylcy muszą być bardzo prymitywni... co dla niej oznaczało niekończące się kłopoty.

Jeden z mężczyzn podszedł do niej od tyłu i położył jej rękę na ramieniu. Skoczyła jak oparzona i odwróciła się. Zobaczyła, że trzyma w ręku gałąź z buszu i podnosi ją w tej chwili nad głowę...

Bojąc się, że chce ją uderzyć, Arabella zaczęła przeraźliwie pisać, co znowu zaskoczyło wszystkich tubylców. Wtedy próbowała uciec.

Ale Djalu zawołał coś do swoich ludzi, a ci zastąpili jej drogę. Arabella pomyślała, że to rodzaj zabawy i że po prostu się z nią drażnią. Kiedy próbowała pobiec w inną stronę, jeden z młodych mężczyzn znowu odciął jej drogę ucieczki. Arabella krzyczała jak szalona, przekonana, że chcą ją zabić albo zgwałcić. Oczyma duszy widziała, jak jedzą jej mięso... Zaczęła wzywać ojca.

Aborygeni byli pewni, że straciła rozum, i spierali się, czy należy wziąć ją ze sobą, ale cały czas trzymali się w pobliżu – a ponieważ nie mogła biec bardzo szybko z powodu bolącej kostki, z łatwością dotrzymywali jej kroku.

Uciekała tak, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając, przez jakieś dwadzieścia minut; wreszcie upadła na kolana.

Zgrzana, słaba i wyczerpana z trudem chwytiała powietrze.

– Proszę, dajcie mi wody! – jęczała. Była tak odwodniona, że nie mogła już dłużej tego znieść. Wskazywała na usta, starając się, żeby ją zrozumieli. – Wody, wody... – błagała.

Tubylcy znowu zaczęli dyskusję: wyglądało to na kłótnię. Wreszcie jeden z nich odszedł mniej więcej na trzy metry i zaczął kopać pod kaktusem. Nie miała pojęcia, dlaczego to robi. Ale tak jej się strasznie chciało pić, że już nic jej nie obchodziło. Była pewna, że zaraz umrze. Miała tylko nadzieję, że śmierć przyjdzie szybko.

Po paru minutach ktoś pociągnął wrzeszczącą Arabellę za rękę w stronę otworu wykopanego przez tubylca. Była pewna, że chcą ją tam pogrzebać żywcem, i błagała o życie. Tymczasem ku swojemu zdumieniu odkryła, że w dołku jest woda. Nie była czysta, ale Arabella na jej widok omal nie oszalała z radości. Nabrała wody w dłoń, zmoczyła usta, a potem trochę wypila. Piła tak przez kilka minut, nie zwracając uwagi, że woda smakuje obrzydliwie; wreszcie zmoczyła spocony kark. Cudownie było poczuć chłód, chociażby przez krótką chwilę.

Kiedy podniosła wzrok, dostrzegła coś w oddali. Rozgrzane powietrze drżało nad pustynią i zmieniało kształty wszystkiego; jej jednak się wydało, że tam, daleko, stoi budynek – i rosną drzewa. Była jednak przekonana, że ma halucynacje. Ileż razy dzisiaj jej się wydawało, że widzi nadjeżdżający pociąg?

Znowu ktoś ją szturchnął w plecy: odwróciła się i zobaczyła, że tubylec dotyka jej tępym końcem dzidy, a starszy z mężczyzn – Djalu – coś do niej krzyczy. Wskazywał tę stronę, w którą właśnie patrzyła.

Arabella była pewna, że to miraż, fatamorgana, on jednak najwyraźniej chciał, żeby szła w tamtym kierunku.



Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Alice Springs – powiedziała. – Czy tam jest Alice Springs?

Czyżby zaszła aż tak daleko?

– Mamo! Tatusiu! – zawołała. – Idę do was!

Nie wiedziała, gdzie są tory kolei, ale było jej już wszystko jedno.

Jakimś cudem dotarła do Alice Springs!

Próbowała biec, ale była tak słaba jak nowo narodzone kocię. Omdlewała z głodu, ale skoro udało jej się dotrzeć do Alice Springs, z pewnością rodzice zaraz się nią zajmą...

Brnęła zatem naprzód, od czasu do czasu szturchana w plecy.

Ze złością odwróciła się do tego człowieka, który ją trącał dzidą, ale wyraz jego twarzy sprawił, że powstrzymała się od krzyku.

Przerażona, w milczeniu wlokła się dalej.

– Zaczekaj... niech no tylko mój ojciec się dowie, co mi robiłeś – mruzczała pod nosem. – Przybiję twoją skórę do drzewa!

Wiedziała, że mężczyzna jej nie rozumie, ale czuła się lepiej, mogąc mu nagadać, tyle tylko, że starała się, żeby nie brzmiało to zbyt groźnie.

Im bliżej byli zabudowań, tym łatwiej Arabella rozróżniała palmy daktylowe i wielbłądy.

Palmy robiły wrażenie cienistej oazy na pustyni. Arabella była tak słaba, że z trudem mogła iść, ale marzyła o tym, żeby się znaleźć w cieniu! Stopy ją bolały, przez cienkie pantofle czuła, jak parzy je gorący piasek pustyni. Ukąszenia piekły, w głowie jej huczało. Przed oczyma latały czarne plamki. Była pewna, że nie zdoła tam dotrzeć, tubylcy jednak nie pozwalali jej spocząć. Ilekroć padła na kolana, popychali ją, aż się podniosła.

Wydawało się, że dotarcie do miasta trwa wieki. Dopiero kiedy byli już zupełnie blisko, Arabella stwierdziła, że ten widok wydaje się jej znajomy. A kiedy zobaczyła szyny kolei i peron, zorientowała się, że to Marree!

Była tak rozczarowana, że znowu się rozpląkała z rozpacz. Nadzieja na spotkanie rodziców ulotniła się. Tubylcy uznali, że to reakcja na widok znajomego miejsca. To ich przekonało, że dziewczyna musi być wariatką. Kiedy tak szła przez miasto, widziała mężczyzn w turbanach klęczących na matach pod drzewem palmowym ze spuszczoneymi głowami: modlili się. Wszyscy mieli twarze zwrócone w tę samą stronę. Widok białej dziewczyny gnanej przez Aborygenów zainteresował ich zaledwie na sekundę, mimo że była czerwona jak piasek pustyni, we włosach miała pełno suchych liści i była ubrana tylko w cienką nocną koszulę. Nic nie mogło oderwać ich od modlitwy. Owszem, wzbudziła zainteresowanie kilkorga aborygeńskich dzieci bawiących się w pyłe na ulicy.

Nigdzie nie było widać żadnego Europejczyka.

Arabella skierowała się w stronę hotelu; nagle poczuła się zupełnie samotna.

Zatrzymała się i odwróciła: zaskoczyło ją, że Aborygeni zniknęli. Była oszołomiona. Czyżby rozplynęli się w powietrzu?

Była jednak zbyt słaba, żeby o tym myśleć, w dodatku tak znużona i spragniona, że ledwie się trzymała na nogach. Musiała użyć całej siły woli, żeby nie upaść. Wlokła się do hotelu, przed którym stały konie przywiązane do płotu. Kiedy dobrnęła do drzwi, ledwie zdołała je otworzyć. Oparła się o nie i wpadła do środka. Wewnątrz panował półmrok. Zajęło jej chwilę, zanim wzrok przyzwyczyił się do ciemności.

Za barem stali mężczyzna i kobieta. Patrzyli na nią ze zdumieniem, przy kontuarze zaś siedziało tyłem do niej czterech czy pięciu mężczyzn, którzy pili piwo.

– Czy... pociąg... wrócił? – spytała Arabella słabym głosem i w tym momencie nogi się pod nią

ugięły.

Pijący piwo odwrócili się i spojrzeli na nią z wyrazem kompletnego niedowierzania; Arabella jednak już tego nie widziała. Upadła zemdlona.

# Rozdział drugi

---

Po dotarciu do Alice Springs Edward zaprowadził Clarice do hotelu i polecił ją opiece obsługi, a sam poszedł na posterunek policji upewnić się, czy zgłoszono już zaginięcie Arabelli. Okazało się, że konduktor, pan Hampton, właśnie sporządzał odpowiedni raport.

Wcześniej wysłano telegram do wszystkich miast na trasie kolei powiadamiający, że podkłady kolejowe wymagają natychmiastowej naprawy. Niestety, w momencie gdy pan Hampton informował policję o zaginięciu kobiety, przerwało połączenie. Prawdopodobnie słup telegraficzny pomiędzy Marree i Alice Springs przewrócił się i zerwał linię.

– Kiedy zaczną się poszukiwania? – Chciał wiedzieć Edward.

– Muszę jeszcze ustalić kilka faktów, żeby się upewnić, co mogło się przydarzyć pańskiej córce – odparł sierżant Menner.

– Możliwe, że leży gdzieś ranna i czeka, aż przyjdziemy po nią! – Edward zaczynał tracić cierpliwość.

– Nie wyruszmy na poszukiwania, zanim nie będziemy pewni, że wypadła z pociągu – mówił sierżant.

– A gdzież jeszcze mogłaby być?

Edward był już bardzo zdenerwowany.

Sierżant westchnął. Doskonale rozumiał, że taki wypadek może wzbudzać ogromne emocje.

– Mógłby mi pan powiedzieć, sir, kiedy pan i pańska żona widzieli córkę po raz ostatni?

– Wczoraj wieczorem. Zostawiliśmy ją w przedziale sypialnym, a sami poszliśmy do baru pograć w remika ze znajomym małżeństwem z sąsiedniego przedziału. Arabella nie miała ochoty do nas dołączyć. Mówiła, że jest zmęczona.

– Była w dobrym stanie?

– W jakim sensie?

– Jaki był stan jej umysłu? Była zadowolona czy przygnębiona?

– Nie miała powodu do przygnębienia.

– Zjadła kolację?

Edward nie rozumiał, do czego prowadzą te pytania, i to jeszcze wzmogło jego gniew i frustrację.

– Moja córka może leży teraz gdzieś na pustyni, ranna! Zróbcie coś, żeby ją odnaleźć, albo sam sobie poradzę!

– Kiedy tylko zbiorę zeznania od obsługi pociągu, zorganizuję poszukiwania.

– Ile to zajmie czasu?

– Trudno mi powiedzieć, ile, sir. To zależy od informacji, jaką dostanę.

– A co to pomoże? Nie wiedzą więcej niż ja! Nie ma jej w pociągu, więc musiała z niego wypaść podczas jazdy.

– Muszę zgromadzić wszystkie fakty, zanim wyślę kogokolwiek na pustynię. To bardzo niebezpieczny teren.

Edward szeroko otworzył oczy.

– Tym bardziej należałoby znaleźć moją córkę, i to jak najszybciej! Jeżeli umrze, dlatego że pan musi zadawać tyle pytań, będzie pan miał jej krew na rękach!

Edward wymaszerował z posterunku policji i poszedł do najbliższego hotelu, po przeciwnej stronie drogi. Barman przecierał serwetką kieliszki. Przy barze siedziało trzech mężczyzn.

– Czego pan sobie życzy, sir? – spytał barman Edwarda.

– Nie mam zamiaru pić. Chcę wynająć paru ludzi do wyprawy na pustynię: muszę odnaleźć córkę. Jak mam się do tego zabrać?

Barman wydawał się zaskoczony.

– Jeżeli gdzieś się oddaliła, najlepiej, żeby pan wynajął tropicieli – zasugerował.

– Nie oddaliła się. Sądzymy, że w nocy wypadła z pociągu.

Barman aż zamrugał ze zdziwienia.

– Hmm... znalezienie ciała nie będzie łatwe – stwierdził. – Orientuje się pan mniej więcej, przed iloma godzinami to się stało?

Edward wytrzeszczył oczy. Nie był w stanie pojąć, czemu barman sugeruje, że...

Rozmową zainteresował się starszy mężczyzna siedzący obok.

– Jeżeli nawet ją znajdziemy, to niewiele do tej pory z niej zostanie... – skomentował sucho.

Edward gapił się na niego z otwartymi ustami. Był tak przerażony, że z trudem oddychał. Barman się zorientował, że ta wiadomość była dla przybysza najgorszą z możliwych, więc zaproponował mu whisky. Edward jednak nie wypił, rzucił tylko barmanowi parę monet i wyszedł bez słowa.

Przeszedł przez ulicę i wrócił na posterunek policji. Sierżant spojrzał na jego szarą jak popiół twarz i pojął, że Fitzherbert w końcu zrozumiał powagę sytuacji.

Edward otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale nie bardzo wiedział co.

– Musimy... wierzyć, że jej się udało przeżyć... – wybełkotał.

– Cuda się zdarzają, sir... – odparł sierżant Menner. Sam miał dzieci, więc rozumiał, co czuje mężczyzna.

– Zdarzają się, prawda? – podchwycił Edward z nadzieją. – Nie mogę powiedzieć żonie, że nie ma nadziei. Nie mogę jej tego powiedzieć!

Sierżant przytaknął.

– Prawda tak wygląda, sir, że możemy nie odnaleźć ciała pańskiej córki. Musi pan to zrozumieć. Dookoła wszędzie pełno psów dingo, drapieżnych ptaków i miliony mrówek. O ile dobrze zrozumiałem, ostatni raz widział pan córkę, kiedy pociąg był niedaleko Marree, prawda?

– Tak – potwierdził Edward.

– Ale to kilkaset kilometrów stąd. Żeby przeszukać cały teren na wielbłądach, musielibyśmy poświęcić kilka tygodni. Konie się do tego nie nadają, bo nie przebrną przez pustynię. Nikt na niej nie przeżył więcej niż kilka dni, nawet zupełnie zdrowy człowiek! A ktoś ranny...

– Nie zrezygnuję z szukania Arabelli – przerwał mu Edward. – Chcę pojechać i jej szukać. Mogła przecież wypaść z pociągu dopiero rano, zaledwie o parę kilometrów od tego miejsca, w którym wysiedliśmy wszyscy!

Sierżant rozumiał, że Edward kurczowo trzyma się nadziei, więc skinął głową.

– Jechać w pojedynkę byłoby bardzo niebezpiecznie, sir. Postaram się zorganizować grupę najbardziej doświadczonych ludzi.

Edward nareszcie poczuł, że coś osiągnął.

– Kiedy?

– Kiedy tylko zdołam – odparł sierżant Menner. – A teraz proszę wrócić do hotelu i zaopiekować się żoną. Kiedy tylko się czegoś dowiem, skontaktuję się z panem.

Gdy Edward wracał do hotelu, przypomniał sobie nagle, że po tym, kiedy wyjechali z Marree, pociąg stanął, bo maszynista i kierownik musieli ściągnąć z torów zabitego kangura. Przyszło mu do głowy, że Arabella właśnie wtedy mogła wysiąść. Przez parę chwil był w radosnej euforii, sądząc, że musieli znaleźć ją mieszkańcy Marree, wkrótce jednak rozsądek wziął górę. Dlaczego miałyby wysiadać z pociągu pośrodku pustyni, w dodatku w nocnej koszuli? Wiedział, że miała na sobie tylko koszulę, bo

wszystkie jej rzeczy zostały w przedziale, a jego córka była dostatecznie bystra, żeby wiedzieć, że pociąg w każdej chwili może ruszyć. Poza tym Arabella nigdy nie przepadała za słońcem, nawet podczas angielskiego lata, nieporównywalnego w niczym do upałów Australii.

Oczywiście nie mogli się teraz skontaktować z Marree z powodu przerwanej linii telegrafu. A takie naprawy ciągnęły się zazwyczaj tygodniami – zależy, jaka była awaria. I niby dlaczego jakiś mieszkaniec Marree miałby bez powodu spacerować po pustyni i natknąć się na jego córkę? Słaba nadzieja, jaka się w nim tliła, zgasła. Postanowił, że nic nie powie Clarice: nie chciał, żeby się rozczarowała. Nie mógłby tego zrobić.

Edward wracał do hotelu Central i cały czas się zastanawiał nad tym, co mu powiedział mężczyzna w barze. Myśl o córce zjadanej przez psy dingo albo przez mrówki, myśl o jej martwym ciele dziobanym i rozszarpywanym przez drapieżne ptactwo – była nie do zniesienia.

Zaraz po przybyciu do hotelu wpadł do baru, zamówił podwójną whisky i wypił jednym haustem.

– Dobrze się pan czuje, sir? – spytał troskliwie barman.

– Nie... – wyszeptał.

Wiedział, że już nigdy nie będzie dobrze się czuł. A najgorsze, że nie mógł spojrzeć żonie w oczy ani przekazać jej tych bolesnych wieści, zamówił więc kolejnego drinka.

Arabella odzyskała przytomność, kiedy poczuła muchy łązące jej po twarzy. Zirytowana strzepnęła je niecierpliwie i otworzyła oczy. Przez króciutką chwilę myślała, że jest w domu, w łóżku, i że wszystko, co się wydarzyło, to tylko zły sen.

Ale to nie był sen: zauważyła brzydką wypłowiałą, wystrzępioną na rogach tapetę i sufit, który się wykruszył w jednym rogu. Zrozumiała, że jest w jakimś obcym pokoju. Zasłony w otwartych drzwiach na werandę były ze sfatygowanej koronki. Łóżko było wielkie, żelazne i skrzypiało, kiedy się poruszyła, a materac – pełen gór i dołów.

Aż jęknęła z rozpacz. Ten koszmar okazał się rzeczywistością!

Miała właśnie usiąść, kiedy drzwi się otworzyły i weszła szczupła kobieta w niegdyś białej sukni, ozdobionej spranym lawendowym nadrukiem, podobnym do tapety w tym pokoju.

Kobieta niosła tacę. Był na niej dzbanek wody i szklanka oraz talerzyk, a na nim kanapka. Kobieta miała ciemne włosy, trochę tylko przyprószone siwizną i upięte z tyłu w kok. Jej twarz była opalona, co jeszcze podkreślało zmarszczki wokół oczu, kiedy się uśmiechała. Arabella osądziła, że nieznajoma musi mieć nieco ponad czterdzieści lat.

– Obudziłaś się – ciepło odezwała się kobieta. – Jak się czujesz?

– Koszmarnie. Gdzie... ja jestem? – spytała Arabella. Głowa nadal pękała jej z bólu i czuła się zupełnie pozbawiona sił.

– Nie pamiętasz? Parę godzin temu trafiłaś tu, do hotelu Great Northern...

– Och... tak... – Przypomniała sobie gehennę na pustyni.

– Ja się nazywam Margaret McMahan, ale wszyscy mówią na mnie Maggie. Mój mąż Tony i ja prowadzimy ten hotel od ośmiu lat. Chcielibyśmy wiedzieć, skąd przyszłaś. Tony już wysłał paru tropicieli, żeby sprawdzili, czy na pustyni nie ma jeszcze kogoś, kto potrzebuje pomocy, na przykład kogoś z twojej rodziny.

– Tropicieli?

– Tropicieli, Aborygenów. Są doskonali.

– Nie ma tam nikogo innego – mruknęła Arabella.

– Wobec tego skąd się tam wzięłaś?

– Jechałam pociągiem, który wczoraj tędy przejeżdżał – wyjaśniła Arabella.

Margaret aż zamrugała ze zdziwienia.



– Pociągiem „Ghan”?

– Tak, i byłam na pustyni przez całą noc... sama.

– Jakim cudem ty, taka młodziutka, znalazłaś się sama na pustyni? Wypadłaś z pociągu?

Maggie nie wiedziała, czy wierzyć dziewczynie. W końcu pociąg wczoraj nie wypadł z szyn i nie było żadnego wypadku. Jakim cudem zatem „stracił” jedną z pasażerek?

Arabella była przyzwyczajona, że ludzie uważali ją za dużo młodszą, niż była w rzeczywistości; cóż, tak wyglądała, ale zawsze ją to gniewało.

– Mam już dziewiętnaście lat! – rzuciła z oburzeniem.

– Naprawdę? – Maggie sądziła, że dziewczyna ma najwyżej czternaście, i z niedowierzaniem patrzyła na słabo rozwinięte ciało Arabelli.

– Czy pociąg po mnie wrócił? – spytała dziewczyna.

– Nie... – odpowiedziała Maggie z pewnym zaskoczeniem. Jak ktoś w ogóle może sądzić, że pociąg miałby zawrócić z kursu tylko po jedną osobę, i to poza rozkładem? – Nie przyjedzie tu wcześniej niż za jakiś czas – dodała. – Rano dostaliśmy telegram, że termyty naruszyły podkłady na ponadkilometrowym odcinku torów w pobliżu Alice Springs.

Maggie była ciekawa, dlaczego w telegramie nie było ani słowa o kimś, kto wypadł z pociągu. Przyszło jej do głowy, że być może ta dziewczyna kłamie. Ale z kolei – gdyby ktoś wypadł z pociągu, władze nie dałyby takiemu nieszczęśnikowi żadnej szansy przetrwania. Nie oczekiwałyby nawet, że uda się odnaleźć ciało, bo w pustynnym upale nie przetrwałoby długo.

– Podobno pasażerowie musieli iść ponad osiem kilometrów piechotą do miasta – powiedziała. – Położenie nowych podkładów zajmie na pewno tygodnie, a może nawet miesiące, a potem trzeba będzie sprawdzić tory, zanim pociąg znowu zacznie jeździć według rozkładu. To dla nas okropnie niewygodne, ale musimy się przyzwyczaić do rozmaitych trudności. Jeżeli nie plaga szarańczy czy burze piaskowe, zawsze znajdzie się coś innego... Kiedy zaczynałam tutaj pracować, miasto i okoliczne stacje dotknęła pięcioletnia susza. Gdyby nie wielbłądy, które nam przynosiły wodę, wszyscy wyschlibyśmy tak, że zostałyby z nas tylko kurz, a i on by pofrunął z wiatrem. Teraz, kiedy kolej nie działa, będziemy musieli znowu polegać tylko na wielbłądach i ich właścicielach, bo jedynie oni będą nam mogli dostarczać żywność z południa.

Arabella aż jęknęła z niesmakiem, ale przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Mówiłaś coś o telegramie... mogę wysłać wiadomość do rodziców w Alice Springs i powiedzieć im, że tutaj jestem, a oni po mnie przyjadą – mówiła z przejęciem. – Mieliśmy się zatrzymać w hotelu Central, więc chyba tam teraz są. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, hotel Central jest na Todd Street – odparła Maggie, marszcząc brwi. – Ale nie wiem, jak mogliby po ciebie przyjechać – dodała, patrząc na Arabellę ze zdziwieniem. – Ten pociąg to nasze jedyne połączenie z Alice Springs. A poza tym telegraf też nie działa. Więc nie mamy w tej chwili żadnego kontaktu ze światem.

Nagle Maggie pomyślała, że władze z Alice Springs mogły wysłać kolejny telegram z informacją, że ktoś zniknął z pociągu, ale im się nie udało.

Arabella nie mogła uwierzyć w swojego pecha.

– A co się takiego stało?

– Nie wiem. Próbowaliśmy odpowiedzieć na telegram o awarii pociągu, ale linia nie działa.

– To znaczy... że mam tutaj tkwić Bóg wie jak długo?

Arabella aż zmarszczyła nos z przerażenia.

Maggie już była przyzwyczajona do takiej reakcji, jeśli chodziło o Marree, więc nie poczuła się urażona.

– A więc w żaden sposób nie mogę powiadomić rodziców, gdzie jestem? – spytała Arabella ostrym tonem.

– Na to wygląda; nie wiem, kiedy naprawią linię telegraficzną, ale to może nie potrwa zbyt długo. – Maggie wiedziała, że jest w tej chwili optymistką. Wszystko w buszu ciągnęło się w nieskończoność. – Jak ty się właściwie nazywasz?

– Panna Arabella Fitzherbert.

Sposób, w jaki się przedstawiła, uzmysłowił Maggie, że dziewczyna nie życzy sobie, żeby ją traktowano poufale – zupełnie odwrotnie, niż to było w przypadku Maggie.

– A więc, panno Arabello Fitzherbert, nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy wypadła pani z pociągu?

Maggie wiedziała, że pociąg po wyruszeniu z Marree jechał bardzo wolno, więc jeżeli dziewczyna wylądowała w krzakach, całkiem możliwe, że niewiele ucierpiała. Już przedtem Maggie zauważyła zadrapania i siniaki na kolanach, łokciach i rękach Arabelli. Ten scenariusz nie przypominał tego, jaki zwykle stosowały władze w Alice Springs, gdy chodziło o pasażera zaginionego na pustyni. Z reguły nie dawały nieszczęśnikowi nawet cienia nadziei na przeżycie, nawet jeżeli był zdrowy. Pewnie wszyscy sądzili, że Arabella nie zdoła dotrzeć do żadnych siedzib ludzkich i umrze z pragnienia (co z pewnością by nastąpiło, gdyby nie spotkała Aborygenów).

Zatem władze z Alice Springs nie wyślą ekipy ratunkowej, uważając to za stratę czasu: minęłyby tygodnie, zanim poszukiwacze doarliby na wielbłądach do Marree, a do tego czasu zaginiony pasażer tak czy owak byłby już martwy. Pomiędzy miastami nie było żadnej drogi, wozy natychmiast ugrzęzłyby w piasku pustyni, a każda próba przejścia pieszo byłaby z góry skazana na klęskę.

Arabella ze łzami w oczach wyjaśniła Maggie swoje położenie.

– Pociąg zatrzymał się w jakimś zupełnie przypadkowym miejscu, bo na torach leżało zabite zwierzę... Zaczęłam się niecierpliwić, bo nic się nie działo, więc wyszłam, żeby zerwać dziki kwiat... ale się pośliznęłam i skręciłam nogę w kostce... a zanim zdążyłam wejść do wagonu z powrotem, pociąg odjechał... beze mnie.

– Och... – szepnęła Maggie. Teraz usłyszała coś, o czym nikt by nie pomyślał: ta dziewczyna po prostu wysiadła z pociągu, kiedy się na chwilę zatrzymał! – Ale przecież... pani rodzice musieli się zorientować, że pani nie ma?

Maggie była ciekawa, co też ci ludzie mogli myśleć o córce wysiadającej na chwilę z jakiegoś błahego powodu.

– Oni... grali wtedy w karty w wagonie restauracyjnym, a mama powiedziała, że kiedy wrócą, nie będą mnie budzić, więc mogli aż do rana nie wiedzieć, że mnie nie ma.

Szloch podszedł jej do gardła.

Maggie wiedziała, że nawet gdyby jej rodzice się zorientowali, że dziewczyna wysiadła z pociągu – i nawet, gdyby zdołali go zawrócić, szanse na znalezienie Arabelli na pustyni były nie większe, niż jeden do miliona – zwłaszcza w nocy!

– Całą noc kręciłam się w kółko, w dodatku w przeraźliwym zimnie – użalała się sama nad sobą Arabella.

– No tak... noc na pustyni jest rzeczywiście bardzo zimna – potwierdziła Maggie. – Co najmniej przez trzy czwarte roku zaraz po zachodzie słońca musimy rozpalać ogień. Ale kiedy temperatury w dzień skaczą w górę aż do czterdziestu paru stopni, odrobina chłodu w nocy jest naprawdę miła... oczywiście pod warunkiem, że się siedzi we własnym domu. Ale trudno mi po prostu uwierzyć, jakim cudem znalazła pani drogę z powrotem do nas. To prawdziwy cud!

– Wcale nie znalazłam. Zagoniło mnie tutaj kilku strasznych dzikusów – wyjaśniła Arabella. – Chyba

chcieli mnie zabić!

– Dlaczego tak pani sądzi? – Maggie trudno było w to uwierzyć, bo nigdy dotąd nie spotkała agresywnych tubylców.

– Niektórzy byli uzbrojeni, mieli dzidy; a jeden z nich bez przerwy mnie szturchał jej tępym końcem... inny chciał mnie uderzyć gałęzią! Bałam się ich śmiertelnie.

Maggie była zaskoczona.

– Naprawdę ktoś chciał panią uderzyć?

– Podniósł gałąź nad moją głowę.

Maggie zastanawiała się przez chwilę. Spojrzała na spaloną słońcem skórę tej bladej, chudej dziewczyny leżącej w łóżku.

– Jest pani pewna, że nie traktował tej gałęzi jako czegoś w rodzaju parasola?

– Parasola?

– Tak! Żeby panią osłonić przed słońcem. Pewnie zobaczył, jak pani jest spieczona.

Arabella uznała jednak ten pomysł za niedorzeczny.

– Ci dzicy z pewnością nie potrafiliby nawet pomyśleć o niczym podobnym – orzekła.

Maggie była wstrząśnięta protekcyjnym zachowaniem dziewczyny.

– Zapewniam panią, panno Fitzherbert, że kto jak kto, ale oni wiedzą doskonale, jak przetrwać na pustyni – rzekła ostro. – My nie potrafilibyśmy znaleźć tam ani jedzenia, ani wody.

Arabella co prawda nie mogła zaprzeczyć, że w jej obecności tubylcy znaleźli wodę, która uratowała jej życie; nie mogła im jednak wybaczyć tego, jak ją potraktowali – a przede wszystkim, że byli właściwie nadzy.

– Nie mieli na sobie żadnych ubrań – opowiadała z niesmakiem. – Nawet kobiety. Tylko dzikusy mogą tak chodzić!

– Nie widzą sensu noszenia ubrań... a zresztą proszę się zastanowić: nie ma tam dość wody na to, żeby prac!

Arabella nagle zauważyła, że suknia Maggie jest dość brudna; ciekawa była, jak też ona może to wytłumaczyć.

– Skoro mowa o wodzie, nie mogę się doczekać kąpieli – stwierdziła.

Maggie potrząsnęła głową.

– Naszą wannę pokryła gruba warstwa kurzu, bo jej od dawna nie używamy.

Arabella była wstrząśnięta, co się wyraźnie odmalowało na jej twarzy.

– Podczas suszy nie jesteśmy w stanie zgromadzić wody do kąpieli, a już od lat mamy tu suszę.

– No cóż, będziecie musieli zrobić dla mnie wyjątek. Nie sądzicie chyba, że po męczącej wędrówce po pustyni zrezygnuję z kąpieli! Jeszcze nigdy w życiu nie pachniałam tak okropnie. – Arabella powąchała własne ciało i zmarszczyła nos.

– Mogę panią zapewnić, panno Fitzherbert, że nikt tego nie zauważy. Może pani najwyżej dostać miskę wody do umycia się. Będzie pani musiała użyć tej wody jak najlepiej... i bardzo proszę jej nie wylewać, kiedy pani skończy! Sama ją wyleję, na grządki w ogródku warzywnym. – Maggie podała Arabelli szklanekę wody. – Proszę wypić całą wodę z tego dzbanka, bo inaczej się pani odwodni. To źródłana woda. Nasze zbiorniki na deszczówkę od lat są puste, więc wodę do picia przywożą nam Afgańczycy aż ze źródeł w Mungerannie w stronę Birdsville. Do mycia używamy wody gruntowej, ale i tej jest bardzo mało, każda kropla ma dla nas wielką cenę.

– Jak mam się umyć tą miseczką wody? – żałośnie jęknęła Arabella.

– Musi sobie pani poradzić, moja droga. Jak my wszyscy. Kiedy panią wnosiliśmy tu na górę, zauważyłam, że ma pani pokąsane nogi. Co się stało?

Arabella zadarła nocną koszulę do kolan, odsłaniając okropne bąble na łydkach. Widok był przerażający, a nogi tak swędziały, że musiała je drapać.

– Usiadłam na ziemi pod drzewem... i zasnęłam. A kiedy się obudziłam, chodziły po mnie mrówki.

Maggie pomyślała, że ktoś, kto zna busz, z pewnością zauważyłby mrowisko pod drzewem, ale nic nie powiedziała.

– Dam pani trochę oleju z drzewa herbacianego, posmaruje pani te ukąszenia. To pomoże na swędzenie, ale zanim pęcherze się wygoją, minie sporo czasu. W ciągu tych lat, kiedy tu mieszkamy, widywaliśmy różne istoty przychodzące z pustyni, ale kogoś tak dziwnego jak pani, jeszcze nigdy! Wyglądała pani jak duch w tej nocnej koszuli, a kiedy weszła pani do baru, naprawdę się przestraszyliśmy...

Maggie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Arabelli aż tchu zabrakło, tak była urażona; milczała z otwartymi ustami.

Zanim zdołała powiedzieć słowo, Maggie podeszła do komody i otworzyła szufladę. Wyjęła z niej ręczne lustro. Wręczyła je Arabelli, która nie mogła zrozumieć, dlaczego właścicielka hotelu podaje jej coś takiego – aż do chwili, kiedy ujrzała własne odbicie.

To, co zobaczyła, przestraszyło ją śmiertelnie. Wrzasnęła przerażona. Zaskoczona Maggie podskoczyła.

– Jak długo jeszcze będę tak wyglądała? – spytała Arabella z oczyma pełnymi łez.

Już przedtem zauważyła, że jej ramiona, barki i stopy są spalone przez słońce, ale nie przypuszczała, że twarz wygląda aż tak koszmarnie. Cerę miała czerwoną jak burak, na nosie bąble. Białe pozostały tylko białka oczu, co ją upodobiło do zjawy. Wargi miała opuchnięte i popękane, a włosy, które – mimo że się zawsze odżywiała bardzo niewłaściwie – na ogół lśniły, teraz wyglądały, jakby ją wyciągnięto z kępy ostów.

– Przynajmniej przez tydzień, może dwa... – osądziła Maggie. – Skóra będzie się łuszczyć jak u węża i schodzić po kawałku, więc przez jakiś czas będzie pani wyglądała niczym ta kołdra na łóżku, zszyta z różnych części materiału.

Arabella zerknęła na kołdrę, strapiona.

– Mama mnie nie pozna! – zawołała. – Nie wyjdę z tego pokoju aż do chwili, kiedy znowu będę normalnie wyglądać!

Ta uwaga uderzyła Maggie.

– Nie może pani tu zostać – powiedziała. – I tak mam dużo roboty, więc nie będę ciągle biegać na górę i na dół, żeby do pani zajrzeć.

– Chyba nie myślisz, że sama sobie będę usługiwać! – z pretensją w głosie odparła Arabella. – W tej chwili absolutnie nie dam rady chodzić! Spójrz na moje nogi.

– Mój mąż musiał kiedyś się czołgać przez osiem kilometrów po pustyni ze złamaną nogą, więc jestem przekonana, że i pani, panno Fitzherbert, zdoła zejść i wejść po schodach... mimo tych paru ukąszeń.

Za każdym razem, kiedy Maggie sobie przypominała, jak jej Tony spadł z konia, którego przestraszył wąż, i złamał nogę, wiedziała, że tylko cudem i wielką siłą woli zdołał wrócić do miasta. A nawet wtedy omal nie stracił nogi na skutek gangreny. Uratowało go dopiero jakieś lekarstwo Aborygenów.

– Ale... mam skrzyżowaną kostkę. Dalej mnie boli.

Maggie obejrzała uważnie kostkę. Nie była bardzo spuchnięta i tylko trochę sina.

– Im szybciej zacznie pani chodzić, tym lepiej.

– Mogłabym dostać zapalenia płuc – marudziła Arabella. – Tak ubrana jak teraz byłam całą noc na zimnie!

– Gdyby pani miała zapalenie płuc, byłaby pani zbyt chora, żeby narzekać!

Arabella uznała Maggie za osobę bez serca.

– Nie mogę się tak nikomu pokazać... – powtórzyła, znowu wpatrzona w lustro.

– Jest pani teraz w australijskim buszu, proszę o tym pamiętać, panno Fitzherbert. Tutaj nie ma miejsca na próżność, tu stale jest kurz, upał i brakuje wody. A zresztą, kto będzie pani usługiwał, jak pani myśli?

– Ktoś z waszej służby, oczywiście – odparła Arabella z całą powagą.

Maggie parsknęła śmiechem.

– Ale my nie mamy służby, panno Fitzherbert. Jestem tylko ja i Tony. On się zajmuje barem i utrzymaniem całego domu, a ja sprzątam i gotuję. Jeżeli pani nie ma czym zapłacić za pokój, będzie mi pani musiała pomagać przez czas swojego pobytu tutaj...

– Za pokój zapłacą moi rodzice, kiedy po mnie przyjadą – przerwała jej Arabella, do głębi przerażona perspektywą, że musiałyby pracować na swoje utrzymanie. Nic przecież nie wiedziała o gotowaniu i sprzątaniu.

– Och, zanim tu przyjadą, mogą upłynąć tygodnie, ba, nawet miesiące – odrzekła Maggie.

– Miesiące?!

– Naturalnie. Nawet gdyby wynajęli w Alice Springs kilku Afgańczyków na wielbłądach, sama podróż zajmie im co najmniej kilka tygodni!

Arabelli nie mogło się to pomieścić w głowie. Była pewna, że jej rodzice znajdą jakiś sposób na szybsze dotarcie tu i zabranie jej.

– Jestem pewna, że to nie potrwa aż tak długo. Rodzice poruszą niebo i ziemię, żeby mnie odnaleźć, a ojciec z radością sownie wynagrodzi państwu opiekę nade mną. Jestem ich jedynym dzieckiem, mama i tatuś świata poza mną nie widzą!

Maggie po prostu zatkało.

Nie dlatego, że rodzice kochali tę dziewczynę; to było naturalne. Tylko dlatego, że była okropnie zepsuta i żyła w jakimś nieistniejącym świecie fantazji. Co to za rodzice, którzy wychowali córkę w taki sposób, że uważała, iż wszyscy będą na jej skinienie?

– Nie mamy czasu, żeby panią rozpieszczać, panno Fitzherbert. Jeżeli pani chce wody do mycia, musi ją pani sama wziąć z beczki na tyłach domu. Dzbanek i miska do mycia stoją tu, na komodzie.

Uznała, że panna Fitzherbert jest nadal w szoku, skoro uważa, że Maggie będzie jej usługiwać!

– Proszę mi przynieść wodę, pani McMahan – błagała Arabella. – Ciągłe mi niedobrze...

Maggie westchnęła.

Nie miała ochoty ulegać temu zepsutemu bachorowi, ale pamiętała, co Arabella niedawno przeszła; nie chciała być dla niej zbyt surowa.

– No dobrze, ale tylko ten jeden raz. Muszę przygotowywać jedzenie. W soboty mamy tu wieczorem od dziesięciu do dwudziestu gości na kolacji.

– A co podajecie?

– Nie mamy żadnego określonego menu. Miejscowi wiedzą, że zawsze jest baranina albo wołowina.

– Och, z rozkoszą zjadłabym jagnięcinę w miętowym sosie...

Arabella nie pamiętała, kiedy ostatni raz czuła taki głód. Ale marzyła o czymś naprawdę smacznym i chociaż była głodna i pewnie by nie grymasiła, to jednak kanapka, którą przyniosła jej Maggie, nie wydawała się szczególnie apetyczna.

– W tym tygodniu mamy wołowinę.

– To znaczy, że podajecie wołowinę przez cały tydzień?

– Dokładnie. Kiedy Tony ubije młodego wołu, musimy go zjeść, bo w tym upale nie przetrwałby



długo.

– Więc poproszę o mały befsztyczek... tylko bez tłuszczu! I proszę dopilnować, żeby był dobrze wysmażony, bo nie znoszę widoku krwi i nie zjadłabym wtedy ani kęsa. I do tego jakieś jarzynki. Tylko nie lubię fasoli... za to może być groszek... i purée.

Maggie nie wierzyła własnym uszom.

– Nie ma deszczu, a wszędzie skaczą głodne kangury, więc żadna roślina nie przeżyje w takich warunkach, zatem o groszku nie ma mowy. Uważamy się za szczęśliwych, jeżeli uda się nam wyhodować parę marchewek i kilka kartofli... o ile wcześniej nie wykopią ich małe torbacze. A jeśli idzie o purée, to o żadnych takich wymyślnych potrawach nie ma mowy. Tu się jada proste rzeczy. Gotowane jarzyny i mięso pieczone na rożnie.

– Ale chyba przyrządza pani jakieś sosy?

– Nie! – ostro odparła Maggie. – Nie mam czasu na takie wygłupy.

Z tymi słowami wyszła, zostawiając Arabellę oniemiałą ze zdziwienia.

Jej zdziwienie jednak nie dało się porównać z tym, co czuła Maggie.

Przez całe swoje życie nie spotkała nikogo podobnego do Arabelli Fitzherbert. Zeszła na dół. W korytarzu spotkała męża.

– I co? Czy nasz tajemniczy gość się już obudził? – spytał Tony.

Tylko Maggie nazywała go Tonym. Dla miejscowych był „Macca”.

– Tak – odpowiedziała, z niedowierzaniem potrząsając głową.

– I wiesz, kim jest?

– Tak. To panna Arabella Fitzherbert. Mówi, że podróżowała z rodzicami pociągiem do Alice Springs.

– Tropiciele natrafili na kilku tubylców z plemienia Arrernte; mówili im, że zaprowadzili do miasta jakąś zwariowaną białą kobietę i że ją znaleźli na pustyni.

– Podobno pociąg zatrzymał się na chwilę, bo jakieś zabite zwierzę leżało na torach, a ona wysiadła, żeby – wyobraź sobie tylko! – zerwać jakiś kwiat. Pośliznęła się, skrzyła nogę w kostce i pociąg odjechał bez niej.

Tony przewrócił oczyma.

– Cholerni turyści!

– Och, to jeszcze nic – dorzuciła sarkastycznie Maggie. – Nie ma zamiaru zejść na dół, dopóki nie odzyska swojego „dawnego wyglądu”.

Tony zmarszczył brwi.

– Nie masz czasu na to, żeby się z nią pieścić, Maggie.

– Tak też jej właśnie powiedziałam. Wydawała się obrażona, kiedy zasugerowałam, że musi zarobić na swoje utrzymanie, pomagając mi.

– Naprawdę?

– Tak, zapewniła, że jej ojciec zapłaci za pokój i obsługę, kiedy po nią przyjedzie.

Tony westchnął.

– Już od lat jest kryzys i tylko ktoś bardzo bogaty może mieć parę funtów ekstra do wydania... no, chyba że gangsterzy. A sądząc po tym, jak ta panna wygląda, nie myślę, żeby jej rodzice byli bogaci – stwierdził.

– No, sądząc po jej zachowaniu, wydaje się być zepsutym bachorem z bardzo zamożnej rodziny – wtrąciła Maggie.

– Mało kto nie ucierpiał z powodu Wielkiego Kryzysu. Bardzo możliwe, że jej rodzice też już nie są bogaci. Dlatego wątpię, żeby byli w stanie zapłacić za pokój hotelowy przez... do licha, to mogą być

tygodnie! Chce czy nie chce, będzie musiała pomagać.

– Jest hipochondryczką... cały czas powtarza, jak bardzo z nią źle. Ale jest o wiele starsza, niż myślałam. Wydawało mi się, że ma najwyżej czternaście lat.

– A nie ma tyle? – spytał Tony.

– Twierdzi, że ma dziewiętnaście.

Tom uniósł jasne brwi.

– Niewiele na niej ciała, co? I to właśnie potwierdza moje podejrzenia. Gdyby jej rodzice byli bogaci, byłaby lepiej odżywiona. Ta dziewczyna wymyśla jakieś bajki. Nie wierzyłbym w to, co mówi.

Maggie uznała, że Tony może mieć rację.

Kiedy Maggie zaniósła Arabelli wodę do pokoju, zauważyła, że dziewczyna zaledwie nadgryzła kanapkę.

– Nie jest pani głodna? – zauważyła. – Myślałam, że po całej nocy na pustyni będzie pani umierała z głodu.

To, że nie jadła, potwierdzałoby teorię Tony’ego, że dziewczyna kłamie.

– Jestem głodna... ale ten ser, który mi przyniosłaś, jest suchy i twardy – odparła Arabella.

Maggie była zdumiona.

– Jest zupełnie w porządku. Sama jadłam kanapkę z tym serem na lunch, tak samo Tony.

– Musiałaś mi go ukroić z bardzo starego kawałka – burknęła Arabella.

– Wszystkie nasze zapasy są stare. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyjedzie pociąg.

– Więc nie dostaliście żadnego świeżego sera z tego pociągu, który tu wczoraj stał?

– Tak, ale żywność jest dla wszystkich racjonowana... Proszę pamiętać, że mamy kryzys. A poza tym najpierw musimy zjadać to, co tu leży od dawna.

– Ale ja jestem gościem i płacę... w każdym razie będę płacić, kiedy moi rodzice tu przyjadą. Powinnaś dostać świeży ser – stwierdziła z wyższością Arabella. – A kiedy przyniesiesz mi kolację na górę?

Maggie otworzyła szeroko oczy.

– Nie roznoszę posiłków, panno Fitzherbert. Jeżeli pani jest głodna, proszę zejść do jadalni. A jeśli pani tam nie zejdzie do wpół do siódmej, nic już pani nie dostanie.

– Chyba sobie nie wyobrażasz, że zejdem na dół w nocnej koszuli! – zdenerwowała się Arabella.

Widziała, że Maggie jej nie współczuje, ale jednego była pewna: nie zmusi jej do zejścia do jadalni w koszuli.

Maggie pomyślała o mężczyznach, którzy przyjdą na kolację, i przyznała Arabelli rację.

– Dobrze. Dzisiaj przyniosę pani kolację na górę, ale jutro znajdę pani jakąś sukienkę. A na razie pożyczę pani swój szlafrok. Jeżeli pani będzie chciała wyjść do ubikacji, to stoi z tyłu hotelu, na podwórku. Kiedy pani zejdzie ze schodów, trzeba iść korytarzem do końca i skręcić na prawo. Zawsze pali się tam światło.

Wkrótce Maggie przyniosła Arabelli kolację i szlafrok, który jej chciała pożyczyć. Befszyk był ogromny, do tego trzy połówki ziemniaków i sześć plasterków marchwi. Arabella patrzyła na to, wstrząśnięta. Nawet jej ojciec nie zjadłby takiego wielkiego kawałka mięsa. Był gruby na pięć centymetrów i zwisał z brzegów talerza.

– Chyba nie przypuszczasz, że to zjem – odezwała się Arabella z obrzydzeniem.

– A niby dlaczego? – spytała Maggie z pretensją w głosie.

– Prosiłam o mały befszyk – rzekła Arabella, podnosząc ręce i pokazując kształt długi mniej więcej na dziesięć centymetrów. – A poza tym ten jest chyba spalony.

Maggie zdenerwowało marudzenie Arabelli.

– Wcale nie jest spalony, jest dobrze wysmażony! Pani chciała, żeby był dobrze wysmażony. A co do wielkości, mój mąż kroi befsztyki i ten był najmniejszy. Jeżeli pani zawsze je tak mało, to nic dziwnego, że jest pani taka chuda! Trochę ciężkiej pracy i parę dobrych posiłków, a szybko się pani zaokrągli!

Arabella oniemiała, ale Maggie już nie zwracała na nią uwagi, tylko skierowała się do drzwi.

– Niech się pani nie boi hałasów, które może pani wieczorem usłyszeć. W sobotę wieczór w barze zdarzają się awantury. Ale staramy się pozbyć klientów najdalej o północy.

Po wyjściu Maggie Arabella z niedowierzaniem patrzyła na posiłek. Z pewnością nie mogą od niej wymagać, żeby zjadła wszystko. Wzięła nóż i widelec i odkroiła kawałek: sok wypłynął na zewnątrz. Musiała przyznać, że befsztyk ładnie pachniał, zwłaszcza że była głodna. Włożyła do ust mały kęs i zaczęła żuć. Mięso nie było tak delikatne, jak to, które jadła, ale smakowało całkiem dobrze. Mimo wszystko zdołała przełknąć zaledwie kilka kawałków. Gdyby tak dostała masło do jarzyn... bo sosu nie było. Nie chciała jednak schodzić na dół.

O dziewiątej wieczorem Arabella włożyła szlafrok Maggie. Wypiła prawie całą wodę z dzbanka, więc musiała iść do ubikacji; Zatrzymała się jednak na szczycie schodów, z trwogą nasłuchując krzyków klientów w barze. Dopiero po chwili zorientowała się, że się nie kłóca, bo wrzaskom towarzyszył śmiech. Na szczęście w korytarzu było spokojnie, więc ostrożnie zeszła, trzymając się poręczy, i szybko skręciła w prawo, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące na zewnątrz. Tak jak mówiła Maggie, na dworze paliła się żarówka zasilana z generatora, która przyciągała miliony ciem; niedaleko domu stał wychodek. Za nim w ciemnościach ledwie widoczne było miasteczko, które, pomimo migocących świateł w oknach domków, wydawało się ciche i spokojne jak cmentarz. Podeszła do ubikacji i ostrożnie pchnęła drzwi. Nie pachniało tam przyjemnie, ale nie miała wyjścia, więc nieufnie weszła do środka i zasunęła zasuwę. Cały czas wypatrywała pajaków i innych robali.

W środku nie było zbyt ciemno, bo w drzwiach na górze zrobiono otwór, którym wpadało światło.

Właśnie siusiała, kiedy usłyszała jakieś dźwięki. Oczy jej się rozszerzyły ze strachu. Miała nadzieję, że zdoła przemknąć się z powrotem do pokoju, nie zwracając niczyjej uwagi, ale najwyraźniej ktoś zmierzał do ubikacji. Trzymając jedną ręką drzwi, szybko skończyła siusiać. Nasłuchiwała...

Do jej uszu dobiegła rozmowa dwóch osób. Kobieta mówiła bardzo szybko wysokim głosem. Arabella domyśliła się, że nieznajoma musi być Aborygenką. Natomiast mężczyzna wydawał się pijany i gburowaty. Rozmowa nagle ustała, a Arabella usłyszała stłumione odgłosy. Była ciekawa, co robi ta para.

Kiedy zastanawiała się, jak by tu wyjść, nie będąc widzianą, usłyszała jakieś zwierzęce pomruki. Czyżby ktoś zachorował?

Szybko otworzyła drzwi i wyjrzała.

Mężczyzna przyciskał czarną kobietę do ściany hotelu. Spodnie miał opuszczone do kolan, a jej sukienka była zadarta aż do pasa. To on wydawał dźwięki podobne do chrząkania świni.

Arabella była niewiarygodnie wstrząśnięta. Zakryła ręką usta, żeby nie usłyszeli, jak krzyknęła. Nie wiedziała, co robić, bo chciała też zasłonić uszy, żeby nic nie słyszeć. Po kilku chwilach mężczyzna przestał chrząkać i wydał głębokie, chrapliwe westchnienie. Arabelli zrobiło się niedobrze, kiedy zobaczyła, jak niezdarnie poprawiał na sobie ubranie.

Nie wiedziała, co się potem stało, ale pomiędzy mężczyzną a Aborygenką wybuchła sprzeczka. Kobieta najwyraźniej czegoś od niego chciała – a z tego, co można było zrozumieć, było to coś, co jej przedtem obiecał. Kiedy Aborygenka zaczęła głośno wrzeszczeć, a mężczyzna też krzykiem starał się ją uciszyć, Arabella się złękła, że hałas ściągnie tu więcej ludzi, i wtedy odkrywają jej obecność.

Jej obawy się potwierdziły. Do tej dwójki dołączył ktoś trzeci. Mówił podniesionym głosem i brzmiał groźnie.

Zaintrygowana Arabella uchyliła szerzej drzwi, żeby wyjrzeć. Jakie było jej zdumienie, gdy ujrzała

ogromną czarną kobietę. Była wyższa niż większość mężczyzn i szeroka jak dwa wychodki razem wzięte. Jediną oznaką jej kobiecości była różowa halka, bardzo brudna i ciasno oblepiająca zwisający biust i wielki brzuch. Uwagę Arabelli zwróciły ramiona Aborygenki, które były potężne. Jej ciemną twarz wykrzywiały grymas wściekłości, od czerni odbijały tylko białka oczu i trzy sterczące w ustach zęby. Była straszna – i mężczyzna, na którego krzyczała, najwyraźniej się jej bał.

– Odczep się, Rito, to nie twój interes! – mówił.

Nagła zmiana jego tonu zaintrygowała Arabellę. Nigdy nie przypuszczała, że zobaczy, jak mężczyzna tchórzy przed czarną kobietą. Co takiego było w tej Ricie – pomijając jej rozmiary – że tak go przeraziła?

– Wally Jacksonie! Ty powiedzcie Lily, że jej dać dwa szylingi albo butelka dżinu za to, że tu przyjdź i dać ci swoja *dungga*[3]. Ona to zrobiła, no i co, chłopie?

– Nie mam pieniędzy – powiedział mężczyzna, zdenerwowany. – Już zem wydał wszystko... na piwo, a wypłata ma być dopiero pod koniec miesiąca.

Rita zmrużyła oczy, ale cofnęła pięść. Już samo spojrzenie na tę potężną łapę i wielką pięść wystarczyło, żeby każdy dygotał ze strachu.

Arabella wstrzymała oddech.

Wally Jackson zrobił jedyną rozsądną rzecz. Stchórzył.

– W porządku, Rito... – mówił, grzebiąc w kieszeniach. Wybrał szylinga drobniakami i wręczył Lily, która jednak nie była zadowolona.

– Pójdę do baru, może mi Macca pożyczy pieniądze? – czym prędzej rzucił Wally, zerkając na kobietę. – Za minutkę będę.

– No... lepiej, żebym cię nie musiała szukać, Wally, bo... wtedy na pewno będę wściekła jak diabli! – zagroziła Rita.

Wally nie wątpił w jej słowa.

– Nie będziesz musiała, obiecuję. Chwileczkę.

Wykorzystana Lily robiła teraz wrażenie osoby pełnej nadziei, wręcz zadowolonej.

Kiedy tylko Wally zniknął, Rita spytała Lily – po angielsku – o jej dzieci.

– Muszę mieć pieniądze na jedzenie – odpowiedziała Lily. – Inaczej nie dotknęłabym tego śmierdzącego typa!

Wkrótce pojawił się Wally z szylingiem. Lily była chudą kobietką z burzą włosów, wielkimi oczyma i nogami cienkimi jak zapałki. Wally już zaspokoił swoją żądzę i teraz żał mu było oddawać jej pieniądze, zwłaszcza że Rita tak go wystraszyła, iż właściwie wytrzeźwiał.

Kiedy już Lily miała monetę w ręku, stara Aborygenka trzepnęła Wally'ego po uchu.

Arabella usłyszała odgłos uderzenia i bardzo ją to zdziwiło, jednak nie bardziej niż samego zainteresowanego.

– Ooch! – jęknął. – Za co, Rito? Przecież zapłaciłem Lily, no nie?

– Spróbuj tylko jeszcze raz nie zapłacić którejś z dziewczyn, to następnym razem nie będę już taka grzeczna! – groźnie rzuciła.

Wally wszedł z powrotem do hotelu, ciągle rozcierając ucho i patrząc spode łba.

– A ty – do domu, do swoich *piccaninnies*[4]! – surowo zarządziła Rita.

Lily pokornie kiwnęła głową i już po chwili zniknęła w ciemnościach. Arabella modliła się, żeby nikt jej tu nie odkrył i żeby Rita sobie poszła.

Arabelli omal nie ścieło z nóg, gdy drzwi wychodka otworzyły się gwałtownie na oścież. Aż krzyknęła z przestachu.

Rita, zaskoczona, cofnęła się o krok.

– Kto ty... być? – spytała.

Arabella trzęsa się,omal nie zemdląa. Przez chwilę nie mogła wykrztusić słowa.

– Ja... ja jestem... Arabella Fitzherbert – rzekła bez tchu. – Ja tu... mieszkam... na górze.

Ku jej zdziwieniu Rita zamruęa powiekami i nagle wybuchnęła śmiechem.

– Ty... musisz być tą kobietą duchem, co to o niej gadali w barze – stwierdziła.

– Kkko...bieta duch? – wybełkotała Arabella.

– No, ta dziewczyna z pustyni – wyjaśniła Rita. – Co tu robić?

– N... nic. Ja tylko... wracam na górę, do pokoju.

– Powinnaś uważać na siebie tu, na dworze. Tam za duęo pijanych drani – rzekła Rita, wskazując na hotel.

Arabella wprost nie mogła uwierzyć, że ta kobieta ją ostrzega; w dodatku była pewna, że Aborygenka sporo wypięa, co było czuć w jej oddechu.

– Tttak... naturalnie, będę uważać – wybąkała i ostrożnie ominęła Ritę szerokim łukiem. – Ddd... dobr... dobranoc.

Nie zwracając uwagi na ból w kostce, wbieęła na schody i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą widziała.

– Mamusiu... gdzie jesteś? – łkała.

Nie miała pojęcia, jak wytrzyma w tym Marree, bez matki i bez jej opieki.

Ponieważ w drzwiach nie było klucza, Arabella zastawiła je krzesłem. Wsunęła się do łóżka, naciągnęła na siebie przykrycie aż pod brodę i leęła tak, wsłuchana w każdy dźwięk, dochodzący z hotelu. Po jakimś czasie goście zaczęli się rozchodzić: słyszała ich gęosy pod balkonem.

Kiedy tak leęła w łóżku, cała dręca, starając się wyrzucić z myśli koszmar, jakiego była świadkiem, usłyszała czyjeś kroki: ktoś wchodził na górę po schodach.

Przerazona wpatrywała się w drzwi. Serce jej waliło tak, że ledwie mogła oddychać. Kroki były coraz blięsze. Ktoś się zatrzymał. Wstrzymała oddech. Wtedy drzwi obok otworzyły się, a później zamknęły. Zrozumiała, że to jakiś inny gość hotelowy idzie spać. Zastanowiła się, czy to mogła być Rita, ale po chwili uznała, że kroki były zbyt delikatne.

Arabella wiedziała, że nie zmruży oka tej nocy.

Leęła, nie będąc w stanie się odprężyć ani zasnąć. Bolały ją oparzenia od słońca i ciąęgle słyszała gęosy na zewnątrz, w dodatku czasami krzyki, śmiechy i kłótnie; jakby goście próbowali się dostać do baru po zamknięciu. Wydawało jej się nawet, że słyszy Ritę. Zbulwersowało ją, że ta Aborygenka może tyle pić. Jakby nie wystarczyło, że mężczyźni się upijali!

Kiedy w końcu gwar na zewnątrz ucichł, Arabella usłyszała z kolei dziwne odgęosy wewnątrz hotelu. W jakiś czas po zamknięciu baru znowu ktoś przeszedł blisko jej drzwi. To McMahonowie udali się na spoczynek. Z dachu dopieęał stukot, a z baru dochodziły niepokojące hałas. Stale myślała o tym, co zobaczyła na podwórku koło ubikacji: o mężczyźnie ze spuszczoneymi spodniami, który wydawał z siebie zwierzęce odgęosy...

Arabella nie była aż tak naiwna, by nie zrozumieć, co się tam wydarzyło. Ale dotychczas żyła pod kloszem i zetknięcie się z brutalnym seksem sprawiło, że nerwy miała w strzępach.

Dopiero o świcie zapadła w ciężki sen.

# Rozdział trzeci

---

Następnego ranka państwa Fitzherbert odwiedził w hotelu sierżant Menner. Poinformował ich, że wyprawa poszukiwawcza właśnie wyruszyła. Edward nie mógł uwierzyć, że czekali z tym aż do rana! Clarice całą poprzednią noc przeplakała, a on nie mógł już dłużej tego wytrzymać i wyszedł się przejść. Znalazł się w pobliżu torów kolejowych. Szedł wzdłuż nich kilka kilometrów w ciemnościach, cały czas wołając Arabellę. W końcu wyczerpany upadł na kolana, z płaczem wołając: „Gdzie jesteś, Arabello?”. Błagał Boga, aby ją oszczędził...

– Nie, ona nie mogła umrzeć – mówił sobie cały czas. – To niemożliwe!

O świcie wrócił do hotelu. Clarice spała. A kilka godzin później do ich drzwi zapukał sierżant Menner.

– Wysłałem trzech ludzi na poszukiwanie państwa córki – powiedział. Widział, że Edward jest w fatalnym stanie i że na pewno nie spał tej nocy.

– Jak daleko mają jechać? – spytał Edward. Nie wspomniał o swojej nocnej wędrówce.

– Nie umiem powiedzieć, sir. Jeden z poszukiwaczy to mój najlepszy człowiek. – Nie dodał, że ów młody policjant sam zdecyduje, kiedy przerwie poszukiwania. – Skontaktuję się jeszcze z państwem.

Arabella nie pokazała się rano na dole, ale Maggie niespecjalnie się tym przejęła. Tony rzucał sarkastyczne uwagi pod adresem dziewczyny, która pewnie chce, żeby podawać jej śniadanie do łóżka. Kiedy jednak minęła dziewiąta, a Arabelli nadal nie było, postanowiła sprawdzić, co się dzieje.

Zastukała do dziewczyny, ale z pokoju nie dobiegł żaden dźwięk, próbowała otworzyć drzwi, ale nie mogła. To ją zdenerwowało.

– Panno Fitzherbert! – zawołała, pukając jeszcze głośniej. – Panno Fitzherbert, dobrze się pani czuje?

Już miała wezwać męża, żeby sforsował drzwi, kiedy usłyszała jakiś hałas, jakby ktoś coś odsuwał, po czym drzwi się otworzyły.

W progu stała Arabella z załzawionymi, zaczerwienionymi oczyma.

Maggie zerknęła na krzesło przy drzwiach i zrozumiała, że Arabella się zabarykadowała; to ją zastanowiło.

– Dobrze się pani czuje, panno Fitzherbert? – powtórzyła.

Z oczu Arabelli popłynęły łzy.

Maggie weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

– Co ci jest, kochanie? – spytała zaniepokojona, prowadząc dziewczynę do łóżka i siadając obok niej.

Arabella nie wiedziała, od czego zacząć.

– Wyszłam... do ubikacji... wieczorem – szlochała. – To było... okropne.

– Ależ kochanie, nigdzie tutaj nie ma lepszej! Przecież jesteśmy na środku pustyni...

Arabella się zorientowała, że Maggie jej nie rozumiała.

– Nie chodzi o ubikację. Tam na podwórzu był mężczyzna z czarną kobietą – mówiła, płacząc. – Oni... – Zadrżała, nie będąc w stanie powiedzieć, co robili.

Maggie nagle zrozumiała. Wczoraj słyszała, jak Wally Jackson prosił jej męża o pożyczanie szylinga, bo chciał zapłacić Lily za jej „usługi”.

– Ten Wally! – parsknęła, wściekła. – Czy to za dużo wymagać dyskrecji od mężczyzny z brzuchem pełnym grogu? – Spojrzała w stronę nieba. – Pewnie, że za dużo... – westchnęła. Wiedziała, że Arabella jest młodziutka i niewinna i że to, co zobaczyła, musiało nią wstrząsnąć. Maggie żałowała, że jej nie

ostrzegła. – Przykro mi... – powiedziała. – Powinnam była pani o tym wspomnieć...

– To znaczy, że o tym wiecie i że to się zdarza... często?

Maggie przytaknęła.

– Wielka Aborygenka też się tam pojawiła... i postraszyła tego mężczyznę, że go zbije – ciągnęła Arabella z szeroko otwartymi oczyma.

– To musiała być Rita – rzekła Maggie. Starła się wyobrazić sobie, jaka Rita musi być przerażająca dla ludzi, którzy jej dotąd nie spotkali.

– Tak, tak ma na imię – potwierdziła Arabella.

– Jest coś, co powinnaś zrozumieć, Arabello. Mogę tak cię nazywać? – Maggie uznała, że nadszedł czas, żeby dać sobie spokój z tytułowaniem.

Arabella skinęła głową.

– Rita to taka nieoficjalna opiekunka innych czarnych kobiet. Jest silna, silniejsza niż większość mężczyzn; poza tym prawie całe swoje życie spędziła w mieście, więc nieźle mówi po angielsku, uczy nawet angielskiego młodsze kobiety. Mężczyźni nie zawsze traktują je z szacunkiem, więc to ona pilnuje sprawiedliwości. Jeżeli jakiś delikwent nie robi tego, co należy, Rita bierze sprawy w swoje ręce. Potrafi tak przywalić, że jeszcze długo się o tym pamięta! Może pije trochę za dużo... no, i czasami bywa trochę gwałtowna, ale serce ma dobre.

Arabella nie wiedziała, co o tym myśleć.

– A nie możecie wezwać policji, żeby się zajęła... tymi sprawami?

– W mieście jest tylko jeden policjant. Nadzoruje ogromny teren i nie może intersować się każdą błąhostką.

Arabella była zbulwersowana.

– Poza tym w nocy w domu słyszałam mnóstwo strasznych hałasów – wyznała. – Okropnie się bałam.

– Oj, to stary dom! Kiedy tylko słońce zajdzie, wszystko tu trzeszczy i skrzypi. Dach jest z blachy, więc w dzień się rozszerza od gorąca, a w nocy kurczy. Przyzwyczaisz się. – Znowu zerknęła na krzesło przy drzwiach. – A jeżeli się boisz mężczyzn z baru, to naprawdę nie masz podstaw. Wiedzą, że na górce są tylko goście hotelowi. – Nie dodała jednak, że są zwykle za bardzo pijani, żeby się wdrapać po schodach. – Jesteś tutaj zupełnie bezpieczna. Nie musisz barykadować drzwi.

– Usłyszałam kroki w korytarzu, a potem drzwi się otworzyły i zamknęły. Czy tu jeszcze ktoś mieszka?

Maggie wyczuła niepokój w głosie Arabelli.

– Ja i Tony mamy tu swoje pokoje; mogłaś słyszeć, jak idziemy do siebie... no i jest jeszcze jeden gość. Jonathan mieszka tu od miesiąca, ale nie zawsze sypia w hotelu. Prawdę powiedziawszy, zeszłej nocy go nie słyszałam.

Arabella nie wyglądała na uspokojoną.

– Na pewno kogoś słyszałam.

– Jonathan jest zawodowym fotografem. Tu w Marree ma swoją bazę, ale co najmniej dwie noce w tygodniu spędza na pustyni. Zależy, co fotografuje. Czasem wynajmuje Afgańczyka, żeby zawiózł go na wielbłądzie tam, gdzie chce fotografować; albo wypożycza jucznego konia. To bardzo spokojny człowiek, który zajmuje się tylko swoimi sprawami: na pewno cię nie będzie niepokoił.

– Nie chcę, żeby mnie zobaczył! – rzuciła Arabella, bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, żeby się nikomu nie pokazywać. Przyszło jej do głowy, że fotograf zwykle szuka piękna, czy to w ludziach, czy w krajobrazach. – Wystraszyłabym go na śmierć! – stwierdziła. – Nie zaprzeczaj! Przecież nawet ciebie i twoich klientów przeraziłam swoim widokiem, kiedy tu weszłam.

Każde spojrzenie w lustro Arabella okupywała wybuchem płaczu. Skóra na twarzy zaczęła się



pokrywać pęcherzami i łuszczyć. Widok był rzeczywiście przerażający. Zwłaszcza nos... różowoczerwony, pełen plam!

Cóż... Maggie nie mogła zaprzeczyć. Rzeczywiście, kiedy dziewczyna weszła do baru, przestraszyła wszystkich. Jej profil na tle słońca, strój, włosy zwisające w strąkach... no, naprawdę wyglądała jak zjawą. Dziwnym zbiegiem okoliczności akurat rozmawiali tego popołudnia o duchach! Wally Jackson opowiadał Maggie i Tony'emu historię o koledze, specjaliście od strzyżenia owiec, który pewnego wieczoru pił z nim grog we Flinder Ranges. Pijany wyszedł na dwór do ubikacji, ale po ciemku pomylił drogę i zabłądził. Zagubiony, nic nie widząc w ciemnościach, zasnął na miejskim cmentarzu. Kiedy się ocknął na płycie grobowej, otoczony pomnikami, myślał, że już nie żyje, i prawie dostał ataku serca! Przysięgał, że już nigdy w życiu nie tknie grogu.

– Nie musisz się krępować pana Westona, Arabello. On nie jest taki. Potrafi zobaczyć piękno w najdziwniejszych rzeczach... – Maggie nagle zdała sobie sprawę, że Arabella może ją opacznie zrozumieć. – To znaczy... na przykład uważa, że kolczasta jaszczurka, to piękne stworzenie. A ja myślę, że takie jaszczurki są przerażające.

Arabella nie miała pojęcia, jak wygląda kolczasta jaszczurka, ale i tak brzmiało to dość makabrycznie. Znowu zalała się łzami.

– Cicho, cicho, kochanie... – pocieszała ją Maggie. Wiedziała, że Arabella źle spała i na pewno oparzenia słoneczne sprawiają jej ból. – Napiałabyś się herbaty?

Arabella pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

– A co powiesz na grzanekę?

Arabella znowu przytaknęła.

– A może być grubo posmarowana masłem... i miodem? – spytała żałośnie.

Maggie przewróciła oczyma i w duszy skarciła samą siebie za swoją słabość.

– Wszystko jest racjonowane... możesz dostać grzanekę z masłem, ale tylko tyle. Miodu nie mamy – rzekła.

Maggie wyszła na korytarz i Arabella usłyszała, jak puka do drzwi pana Westona, po czym je otwiera. Drzwi Arabelli były uchylone, ale z miejsca, w którym siedziała, nie mogła nic dojrzeć.

Drzwi się znowu zamknęły, a Maggie wsunęła głowę do pokoju Arabelli.

– Pan Weston musiał już wyjść – oznajmiła.

Nie było go na śniadaniu, więc przypuszczała, że wyruszył bardzo wcześnie, z pewnością po to, żeby złapać wschód słońca, który chciał sfotografować. Maggie zdążyła się już zorientować, że bardzo sumiennie podchodzi do swojej pracy.

– A skąd ten pan Weston pochodzi? – spytała Arabella, zainteresowana, kim też jest jej sąsiad.

– Przyjechał tu pociągiem. Mówił nam, że pochodzi z Anglii, ale już zdążył mieszkać w rozmaitych stronach Australii. Twierdzi, że uwielbia tutejsze odludzie, ale to potrafimy zrozumieć tylko Tony i ja... no, i może jeszcze jeden Afgańczyk, który prowadzi sklep. Pan Weston między innymi dlatego tu przyjechał, bo się dowiedział, że mieszkają tu Afgańczycy, a tylko oni są w stanie zawieźć go w najbardziej odległe miejsca na pustyni. Później wywołuje zdjęcia na dole, w szafie ściennej. Na drzwiach jest znak, więc ich nie otwieraj! Światło mogłoby zniszczyć fotografie. Pokazał nam kilka swoich prac i muszę powiedzieć, że są wspaniałe, zachwycające!

– A czy on pija w barze? – spytała Arabella. Była ciekawa, czy pan Weston jest jednym z tych mężczyzn, którzy wychodzą na dwór z kobietami.

– O, nie! Czasami wypije lemoniadę, tak dla towarzystwa, ale to wszystko. Z reguły trzyma się z dala od innych. Tylko martwię się o niego, bo rzadko tutaj jada.

Niedługo potem Maggie przyniosła Arabelli śniadanie i sukienkę, którą obiecała jej pożyczyć.

– Będzie pewnie na ciebie za duża. – Maggie była raczej drobnej budowy, ale Arabella okazała się dużo mniejsza. – Kiedy poczujesz się lepiej, wybierzemy się na bazar do miasta i tam znajdziemy sukienkę, która będzie na ciebie pasowała. Teraz mam mnóstwo roboty, muszę zejść na dół.

Nadszedł czas lunchu, a Arabella poczuła, że się nudzi. Wyszła na podest i stamtąd zawołała Maggie. Ta zgrzana i zmęczona wyrzała do niej ze ściereczką w rękę.

– Tak, Arabello? – zawołała.

– Mogłabyś mi przynieść dzbanek wody, Maggie, i coś do jedzenia?

Maggie westchnęła i otarła czoło z potu.

– Mogę ci zrobić kanapkę z serem – powiedziała. – Ale najpierw muszę skończyć swoją robotę.

Już miała wrócić do baru, kiedy Arabella zaproponowała:

– Ten ser jest taki twardy... mogłabyś go rozgrzać na grzance?

Maggie zamrużyła powiekami ze zdziwienia.

– Niby... jak mam to zrobić? – spytała, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

– No... moja mama zwykle wkładała ser i grzankę na parę minut do gorącego pieca.

– Jeszcze nie napaliłam w piecu – odparła Maggie. – I nie mam czasu robić tego teraz. Dostaniesz chleb z serem, tak samo jak Tony i ja.

Maggie wróciła do jadalni, gdzie wycierała stoły. Musiała to robić codziennie, czy stoły były używane, czy nie, bo w ciągu dnia pokrywały się kurzem.

– Dobrze słyszałem, że ta dziewczyna z góry cię wzywała? – zapytał Tony zza baru, gdzie szykował butelki z piwem i odkurzał półki.

Maggie podeszła do wejścia.

– Tak, chciała pić i coś do jedzenia – odpowiedziała.

– No, to jej powiedz, żeby zeszła na dół i sama sobie wzięła – odparł Tony bez ceregieli.

– Zrobiłabym tak, ale kiedy poszłam do niej rano, była strasznie przygnębiona – rzekła Maggie. Żałowała, że ją potraktowała tak obcesowo, ale kiedy była zmęczona, brakowało jej cierpliwości. – W nocy zeszła do wygódki i zobaczyła... no, zobaczyła Wally'ego Jacksona z Lily. Możesz sobie wyobrazić, co robili!

Tony wytrzeszczył oczy.

– To dosyć, żeby ją kompletnie zniechęcić do małżeństwa – stwierdził sucho.

– Pewnie, że tak! A potem pojawiła się jeszcze Rita. Dla młodziutkiej dziewczyny, chowanej pod kloszem, Wally, Lily i Rita razem wzięci to musiała być prawdziwa trauma.

– To byłby szok nawet dla nas, a znamy ich przecież od lat! – roześmiał się Tony. Nie był szczególnie wysoki, za to dobrze zbudowany.

Doceniał fakt, że Rita trzyma mężczyzn w ryzach, zwłaszcza kiedy dochodziło do kontaktów pomiędzy nimi i czarnymi dziewczętami.

– Nie masz przecież czasu, żeby się zabawiać w pielęgniarkę i pokojówkę tej małej – dodał już poważnie.

– Wiem – przyznała Maggie.

W sobotę wieczór przeważnie zatrudniała Lily i jeszcze drugą dziewczynę, Aborygenkę imieniem Missy, do pomocy w zmywaniu po kolacji; mimo to, kiedy szli z Tonym spać, oboje byli skonani. Po skończonej pracy dziewczyny kręciły się zwykle koło mężczyzn, którzy częstowali je drinkami, a później prowadzili na zewnątrz. Pod koniec wieczoru Rita też już była solidnie wstawiona. Maggie sugerowała, aby stara Aborygenka zmusiła Missy i Lily do powrotu do domu, ale Rita rozumiała, że kobiety potrzebują pieniędzy, więc odmawiała. Żadna z nich nie należała do plemienia i nie miała męża. Podobnie jak Rita gnieździły się w slumsach w części miasta pełnej Aborygenów. Lily miała czworo

dzieci: ojcem trójki był Aborygen jeżdzący na wielbłądach, którego rzadko widywała; czwarte było dzieckiem Afgańczyka. Missy miała dwójkę. Jedno z nich musiało mieć białego ojca, był nim zapewne przyjaciel Missy z miasta. Nikt nie wiedział, kim jest ten szczęśliwiec, włącznie z samą Missy, ale plotki głośniły o dwóch. Jednym z nich był Wally Jackson, drugim niejaki Les Mitchell, magazynier ze stacji Lizard Creek, najbliższej Marree. Wally strzygł owce na okolicznych farmach, ale podczas suszy nie miał wiele pracy, dlatego od dwóch miesięcy tkwił w mieście. Mieszkał w domu Frankiego Millera, w połowie Aborygena, klasyfikatora wełny. Drugie dziecko Missy było najprawdopodobniej potomkiem tubylca z jakiegoś aborygeńskiego plemienia.

W pokoju na piętrze Arabella usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Jej drzwi były uchylone, ale że leżała w łóżku, nie mogła dojrzeć, kto jest na korytarzu. Kiedy zorientowała się, że otwierają się drzwi naprzeciwko, zdjęła ją ciekawość. To na pewno nie była Maggie z kanapką! Chwilę zaczekała, po czym zakradła się do drzwi i wyjrzała. Zdołała zobaczyć wysokiego, szczupłego mężczyznę. Pokój był otwarty: nieznajomy stał plecami do niej. Ostrożnie położył na łóżku pudło, które zaraz otworzył. Wyjmował po kolei ze skrzynki narzędzia i czyścił je skrupulatnie, po czym odkładał z powrotem. Arabella nie miała pojęcia o sprzęcie do robienia fotografii, ale domyśliła się, że tym mężczyzną musi być Jonathan Weston, fotograf.

Wpatrywała się w niego, zafascynowana. Włosy miał niemal czarne, falujące, i poruszał się zwinnie jak dziki kot. Pomyślała, że pewnie zdobył tę umiejętność podczas tropienia zwierząt czy ptaków, starając się je sfotografować. Poza tym robił wrażenie bardzo schludnego. W gruncie rzeczy wszystko w nim było schludne i poukładane, włącznie z pokojem i wszystkim, co w nim było.

Jonathan Weston najwyraźniej wyczuł, że ktoś go obserwuje. Odwrócił się i zerknął na korytarz; jego wzrok napotkał spojrzenie młodej kobiety, wyglądającej przez drzwi z pokoju naprzeciwko.

Arabella cofnęła się błyskawicznie. Zanim zamknęła drzwi, zauważyła jego bardzo ciemne oczy i piękne rysy. Była śmiertelnie zażenowana, że ją przyłapał na szpiegowaniu. Miała ochotę umrzeć ze wstydu!

Jonathan też się zdziwił. Zauważył, że jego sąsiadka jest spalona przez słońce... ale czyżby dlatego tak się kryła? Uśmiechnął się sam do siebie na myśl, jak bardzo musiała się zawstydzić, kiedy przyłapał ją na podglądaniu, po czym wrócił do swojego zajęcia.

Po południu Maggie pokazywała komuś pokój. Arabella chciała ją złapać, kiedy będzie przechodziła obok, ale gdy wyjrzała na korytarz, pokój Jonathana Westona nadal był otwarty. Ku jej przerażeniu mężczyzna odwrócił się właśnie w chwili, gdy jej drzwi skrzypnęły – i znowu ją przyłapał!

Kompletnie zawstydzona, szybko się schowała.

Wkrótce potem znowu usłyszała kroki na korytarzu, a potem męski głos. Prawdopodobnie nowy gość chciał porozmawiać z Jonathanem Westonem. Arabella przysunęła ucho do drzwi. Mężczyzna przedstawił się jako Stuart Thompson. Głos miał niski, ale nie mogła wywnioskować, ile może mieć lat.

– To sprzęt fotograficzny? – pytał Jonathana.

– Tak, tu jest mnóstwo wspaniałych miejsc do fotografowania – zapewnił Jonathan.

Arabella uznała, że Jonathan ma miły głos, pasujący do jego wysokiej i smukłej figury oraz delikatnych rysów.

– Jest pan w Marree przejazdem? – zainteresował się Jonathan. Był ciekaw, dlaczego mężczyzna zatrzymał się w takim miejscu jak to, ale szanował prywatność gościa.

– Planuję poszukać w tej okolicy złota – rzekł Stuart, wyczuwszy ciekawość Jonathana.

„Złoto... – pomyślała Arabella. – Jakie to pasjonujące! I romantyczne”.

– Złoto! – Tego się Jonathan nie spodziewał. – Nie wiedziałem, że w tej okolicy w ogóle jest złoto.

– Tak się uważa; może będę mieć szczęście? – rzekł Stuart.

Jonathan pomyślał, że w tonie Stuarta jest coś zagadkowego, tak jakby wiedział o czymś, o czym nie wiedzą inni. Poza tym rozumiał, że ktoś polujący na złoto musi bardzo uważać, z kim rozmawia.

– Życzę szczęścia, panie Thompson – rzekł serdecznie.

– Proszę mówić do mnie Stuart, a poza tym bardzo dziękuję. Zatrzymam się tu na jakiś czas, więc na pewno będziemy się spotykali od czasu do czasu – powiedział.

– Ja co prawda wracam i wychodzę o bardzo dziwnych porach, ale nasze ścieżki na pewno się skrzyżują – odparł Jonathan. – Czasami nie ma mnie całą noc: śpiam wtedy pod gołym niebem.

– Mnie to też czeka – rzekł Stuart. – Zechciałby pan zejść na dół do baru na drinka?

Arabella nie mogła się powstrzymać od rzucenia okiem na Stuarta Thompsona: otworzyła skrzypiące drzwi i wyrzała na zewnątrz. Stał do niej tyłem, ale zauważyła, że jest wysoki i gibki, a włosy ma bardzo jasne.

– Nie pijam piwa ani żadnych mocnych trunków, ale chętnie zejdę na dół na szklanekę lemoniady – odparł Jonathan. Miał co prawda trochę ujęć do wywołania, ale to mogło chwilę poczekać. Lubił studiować ludzi, którzy mogli stać się przedmiotem jego pracy, a wyczuwał, że Stuart Thompson może mieć ciekawy życiorys.

Arabella nagle zapragnęła również zejść na dół do baru. Czuła się taka osamotniona... nie miała jednak śmiałości pokazać się publicznie w tak fatalnym stanie.

– Mieszka tu jeszcze ktoś? – spytał Stuart Jonathana, kiedy ten przyłączył się do niego na korytarzu.

– Mignęła mi w przelocie jakaś młoda dama – odparł Jonathan dyskretnie, gdyż podejrzewał, że jego sąsiadka ich słyszy.

Arabella istotnie go słyszała. Usiłowała odgadnąć, co myśli o niej Jonathan, czy uważa, że wygląda groteskowo? Ton jego odpowiedzi nic takiego nie sugerował.

Koło piątej po południu Maggie znowu weszła do pokoju Arabelli.

– Może jednak zejdiesz na chwilę na dół? Hotel jest zamknięty... a na pewno masz już dość oglądania czterech ścian!

Arabella umierała z chęci wydostania się z pokoju, choćby na chwilę, jednak nadal się wahała. Dotąd nie odważyła się nawet wyjść na balkon, w obawie, że ją ktoś zobaczy.

– Kto tam teraz jest?

– Tylko Tony i ja. Pan Thompson wyszedł rozejrzeć się po okolicy, a Jonathan Weston wywołuje zdjęcia, więc go nie zobaczymy co najmniej przez godzinę, a może i dłużej.

Gdyby tam była tylko Maggie, Arabella czułaby się lepiej, ale wstydziła się pokazać jej mężowi. Jednak jeżeli nie wykorzysta teraz okazji, by rozprostować nogi, to kolejna tak szybko się przydarzy. Maggie wspominała, że w niedzielę wieczorem otwierają hotel tylko na dwie godziny. Przyznała przy tym, że nie mają pozwolenia, żeby w ogóle otwierać go w niedzielę, ale posterunkowy Higgins, stacjonujący w mieście, wyjechał na tydzień do Fariny, więc korzystają z okazji.

– To tajemnica poliszynele. Jeżeli w niedzielę nie ma go w mieście, bar jest otwarty, tyle że krótko – powiedziała Maggie.

Prawdę mówiąc, Terry Higgins miał to w nosie; sam lubił wypić parę kwart piwa, ale wiedział, że musi zachowywać pozory twardego stróża porządku i prawa.

Arabella powędrowała zatem do baru razem z Maggie.

Był to długi wąski pokój z kominkiem na końcu. Jedną ze ścian ozdabiały skóry zwierząt: kangurów, wombatów i oposów; poza tym wisiało tam mnóstwo kapeluszy wyglądających tak, jakby każdy z nich miał swoją ciekawą historię. W niektórych widniały nawet dziury od kul, co trochę zaniepokoiło Arabellę. Na jednej z półek stała ogromna kolekcja zakurzonych butelek wszelkiego rodzaju kształtów i rozmiarów. Na ścianach naprzeciwko baru znajdowało się kilka oprawionych rysunków mężczyzn w

korkowych hełmach i z pękatymi brzuchami.

– Chodźmy do salonu – zaproponowała Maggie, a Arabella posłusznie podążyła za nią. Maggie przysunęła jej krzesło przy stoliku od oknem, blisko kominka.

– Napijesz się lemoniady? – spytała.

– O tak, dziękuję! – odparła Arabella. Rozejrzała się nerwowo dookoła.

W pożyczonej sukni, która wisiała na niej jak worek, czuła się o wiele pewniej niż w nocnej koszuli.

Salon był obszerną kwadratową salą, z kilkoma fotelami wokół niskich stołów: na środku każdego ustawione były popielniczki. Przez otwarte drzwi w głębi Arabella widziała jadalnię. Nad kominkiem wisiało duże lustro, dlatego Arabella usiadła do niego tyłem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było oglądanie własnego, ohydneho odbicia!

Chcąc przestać myśleć o tym, jak okropnie wygląda, przypatrywała się ścianom pomiędzy oknami, na których wisiały oprawne w czarne ramki fotografie. Niektóre przedstawiały ludzi strzygących owce przed szopami na wełnę, inne Afgańczyków na wielbłądach, jadących po pustyni; na trzech były zdjęcia małych domków pierwszych pionierów, otoczonych kamienistą pustynią albo do połowy ukrytych w wysokich zaspach piachu. Arabelli nie mogło się pomieścić w głowie, dlaczego ktoś sobie wybrał takie ciężkie życie!

No cóż – ona dotychczas znała wyłącznie wygody.

Maggie przyniosła do stolika dwie szklanki lemoniady i usiadła obok dziewczyny. Po chwili do salonu wszedł Tony. Arabella miała ochotę się gdzieś schować, opuściła więc głowę.

– Witaj! Ty musisz być Arabellą Fitzherbert. Jestem mężem Maggie. Tony McMahan – przedstawił się mężczyzna i szybko uścisnął jej rękę. Arabella odrobinę uniosła głowę i wymamrotała: „dzień dobry”, wpatrzona we własne, trzęsące się dłonie.

Tony podszedł do baru i nalał sobie drinka. Doskonale rozumiał, że Arabella zdaje sobie sprawę z tego, jak wygląda, zatem postanowił się zachowywać, jakby prezentowała się najzupełniej normalnie.

– Zadomowiłaś się już u nas?

– Tak... dziękuję – odparła Arabella i spojrzała na niego.

Tony nie był wysoki. Miał jasne włosy i bladoniebieskie oczy. Nosił wąsy i krótko przystrzyżoną brodę, teraz już raczej siwą niż jasnoblonde.

– Obawiam się, że telegraf nadal nie działa – rzekł. – Jeden z Afgańczyków przyjechał w południe do miasta z wiadomością, że w słup telegraficzny uderzył piorun i linia została przerwana. Nie mamy pojęcia, ile czasu zajmie naprawa.

Arabella słuchała z uwagą.

– O Boże... – szepnęła, najwyraźniej zmartwiona, że trzeba będzie poczekać z powiadomieniem jej rodziców, że żyje i gdzie się znajduje. – Mama i tatuś na pewno strasznie się o mnie niepokoją!

– A dlaczego jechaliście wszyscy do Alice Springs? – spytał Tony, nie wiedząc, co z nią począć. Kiedy mówiła o rodzicach, robiła wrażenie małego dziecka.

– Tatuś chciał poznać samo serce tego kraju. Przez miesiąc mieszkaliśmy w Adelajdzie... Mamie się tam podobało, ale tatuś lubi przygody. No i myślał, że suchy klimat na północy będzie dla mnie dobry, bo w Anglii ciągle chorowałam... Doktor uważał, że to z powodu wilgoci i smogu z pieców... Ale ten tutejszy upał mnie po prostu zabija. Czuję, że wysysa ze mnie całą energię.

– Trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczaić. A co pani ojciec robi w Anglii? – Zainteresowanie Tony'ego Arabellą rosło z każdą chwilą.

– Był producentem sztuk teatralnych na londyńskim West Endzie, ale wziął rok wolnego, żebyśmy mogli wybrać się w tę podróż. Mama była kiedyś znaną aktorką teatralną... Tak się poznali: tatuś wystawiał sztukę, w której występowała. Ale kiedy ja się urodziłam, mama rzuciła scenę.

Tony zauważył w głosie Arabelli ton samozadowolenia i uznał, że cała ta historia jest wymyślona. Ileż dzieci marzy, żeby ich rodzice byli znanymi producentami? Albo aktorami? Odniósł wrażenie, że Arabella też jest po trosze aktorką i że prawda jest zupełnie inna niż to, co mu opowiada.

– No, cóż... w każdym razie musi minąć trochę czasu, zanim się połączycie – stwierdził. – A tymczasem chcemy ci pomóc... tyle że musimy walczyć o wszystko, jak większość ludzi tutaj, w buszu. Dlatego w zamian za pokój i jedzenie będziesz musiała pomóc Maggie w pracach domowych. Ma strasznie dużo zajęć. – Tony uważał, że przynajmniej tyle powinna zrobić.

– Ależ... mój ojciec zapłaci za mieszkanie – rzekła Arabella, najwyraźniej przerażona perspektywą pracy. – Ja... nie jestem służącą!

Tony pomyślał, że jest po prostu leniwa. Znał ten typ dziewczyn. Zerknął na Maggie, ale ta milczała.

– O ile twoi rodzice wrócą, to oczywiście tak będzie – zwrócił się do Arabelli. – Jeżeli to, co powiedziałaś Maggie, to prawda, na pewno nikt nie wierzy, że mogłaś w ogóle przeżyć. Gdyby tubylcy cię nie znaleźli, prawdopodobnie umarłabyś na pustyni już drugiej nocy.

Arabella wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Jak mógł powiedzieć coś równie okropnego?

– W każdym razie, jeżeli chcesz tu zostać i czekać, aż naprawią tory, musisz nam pomagać – stwierdził Tony.

Arabella widziała, że mówi śmiertelnie poważnie. Zdawała sobie sprawę, że jest w tej chwili na jego łasce. Tak czy siak, musi się zgodzić na wszystko, co proponują McMahonowie. Wyglądało na to, że chcą z niej zrobić swoją niewolnicę. Cóż, będzie musiała przekonać kogoś, na przykład jakiegoś Afgańczyka, o którym wspominał Tony, żeby zawiózł ją do Alice Springs...

– A czy... ten Afgańczyk, o którym pan mówił, nadal jest w mieście? – spytała.

– Jest. Faiz Mohomet zostanie tu jeszcze kilka dni.

– A... czy mógłby go pan wezwać, żebym z nim mogła porozmawiać? – spytała Arabella.

– W tej chwili?

Skinęła głową potakująco.

Tony był zdumiony, ale i zaciekawiony zarazem.

– W porządku.

Kiedy wyszedł, Maggie spytała Arabellę, po co jej spotkanie z tym domokrażcą.

– Chcę go namówić, żeby mnie zawiózł do Alice Springs – wyjaśniła dziewczyna z przejęciem. – Nie rozumiem, dlaczego dotychczas o tym nie pomyślałam!

Maggie próbowała sobie wyobrazić Arabellę na grzbiecie wielbłąda, ale mimo najszczerzych chęci nie mogła.

Tony wrócił z wiadomością, że Faiz Mohomet czeka na zewnątrz.

– Powiedziałem mu o twojej sytuacji... to znaczy, w jaki sposób tutaj trafiłaś – oznajmił.

– O, dziękuję! Proszę go tu przyprowadzić – rzekła Arabella.

– Nie, nie wejdzie do hotelu – odparł Tony, zdumiony, że mogła coś podobnego zasugerować.

– Dlaczego?

– Przecież Afgańczycy nie piją alkoholu. To ma coś wspólnego z ich religią. Nigdy ich nie zobaczysz w moim hotelu.

– Nie mogę wyjść na zewnątrz – oświadczyła z uporem Arabella.

– Będziesz musiała, jeżeli chcesz z nim rozmawiać! I lepiej żebyś tam poszła jak najszybciej. Powiedział, że może ci poświęcić najwyżej parę minut, bo zaraz będzie pora na modlitwę. Oni się modlą kilka razy dziennie i w tym celu gotowi są przerwać nawet najważniejszą pracę.

– Och... – W oczach Arabelli ukazały się łzy. Błagalnie patrzyła na Maggie. – Przecież nie mogę



wyjść, kiedy tak wyglądam...

Tony wzruszył ramionami.

– No cóż... w każdym razie on tu nie wejdzie.

– Przeprowadź Faiza do tylnego wejścia – zaproponowała mężowi Maggie. Odwróciła się do Arabelli. – Nikt cię nie zobaczy, jeżeli będziesz stała przy wejściu.

Tony robił wrażenie niezadowolonego z obrotu sytuacji, ale posłuchał żony i poprosił Faiza, żeby ten podszedł do tylnych drzwi, gdzie go będzie oczekiwać Arabella. Starał się wytłumaczyć mężczyźnie powód jej wyglądu, brzmiało to jednak żałośnie.

– Witam... – nieśmiało odezwała Arabella na widok dziwnego wyrazu twarzy Afgańczyka, z którym się jej przyglądał.

Faiz był niski, ubrany w tunikę i w turban. Arabella patrzyła w jego ciemne przebiegłe oczy i przez moment zwątpiła w to, o co chciała go prosić. Przypomniała sobie reakcję matki na widok mężczyzn w turbanach, kiedy ich zobaczyła przez okno pociągu. Nabrała powietrza w płuca. Pomyślała o rodzicach i o tym, jak bardzo chce się z nimi połączyć, i to dodało jej odwagi, której tak bardzo potrzebowała.

– Chcę się dostać do Alice Springs – rzekła. – Tam są moi rodzice. Nie wiedzą, gdzie jestem. Zabierze mnie pan do nich? Oczywiście za opłatą?

Faiz zerknął w stron McMahanów, zdziwionych, że Arabella proponuje pieniądze, których nie ma.

– Jadę na południe – odpowiedział.

Tony wyjaśnił, że Faiz odwiedza kolejne stacje i wszędzie oferuje swoje towary; i że już był na północy, a przyjechał tutaj, by uzupełnić zapasy, i wkrótce rusza w stronę Flinders Ranges.

– To znaczy jest kimś w rodzaju wędrownego druciarza – stwierdziła Arabella. – Jak Cyganie...

– No, niezupełnie – odparł Tony, zerkając na Faiza. Bał się, że mężczyzna obrazi się na takie określenie. Istotnie, Afgańczyk nie wyglądał na zadowolonego. – Jest znany jako domokrążca. Ludzie na stacjach, a zwłaszcza kobiety, bardzo go cenią za to, że przywozi im do domów rozmaite dobre rzeczy. Nieczęsto mają okazję pójść do miasta na zakupy.

Arabella zwróciła się do domokrążcy:

– Mój ojciec sowicie pana wynagrodzi za bezpieczne przywiezienie mnie do Alice Springs. Obiecuję, że ten trud się panu opłaci.

– Ona umie jeździć na wielbłądzie? – spytał Afgańczyk Tony'ego.

Arabella była przerażona.

– Naturalnie, że nie! Proszę o konia i powóz... w każdym razie coś z baldachimem, żeby mnie osłonić od słońca.

Afgańczyka zamurowało.

– W Marree nie ma powozów – powiedział.

Tony i Maggie byli pewni, że Faiz uważa, iż Arabella marnuje tylko jego czas.

– Ależ... z pewnością coś się znajdzie – wyniośle zdecydowała Arabella.

Faiz potrząsnął głową.

– Jeżeli pani chce jechać ze mną, musi pani wsiąść na wielbłąda. Pustynia to nie miejsce dla konia i powozu.

– Ale... wielbłądy, to okropne, śmierdzące stworzenia... w dodatku plują! – jęknęła Arabella.

Oczy domokrążcy rozszerzyły się. Wyrzucił ręce w górę, mrużąc pod nosem coś obraźliwego.

– Jazda na wielbłądzie wcale nie jest trudna – szepnęła Maggie Arabelli do ucha. – A jeżeli naprawdę chcesz się połączyć z rodziną, Arabello, musisz się poświęcić! Dam ci parasol do osłony przed słońcem.

– Ale... moi rodzice na pewno by nie chcieli, żebym jechała na jakimś śmierdzącym wielbłądzie! –

niemal histerycznie wykrzyknęła Arabella.

– Moje wielbłądy nie śmierdzą! – z gniewem oznajmił Faiz, po czym odwrócił się i wymaszerował z podwórza.

Arabella była zaskoczona jego zachowaniem.

– Hmm... no tak, poszło zadziwiająco dobrze – zakpił Tony, rzucając żonie wściekłe spojrzenie.

Wiedział, że Arabella nie może teraz nawet pomarzyć o tym, by któryś z nomadów zabrał ją do Alice Springs.

# Rozdział czwarty

---

Dzień, który Clarice i Edward spędzili na modlitwach, by ich córka odnalazła się żywa, ciągnął się nieznośnie. Zaczynało się ściemniać, kiedy do drzwi ich pokoju hotelowego zapukał sierżant.

Edward otworzył. Wystarczyło, że spojrzął na sierżanta Mennera, by wiedzieć, że rezultat wyprawy nie spełnił ich nadziei. Wstrzymał oddech, modląc się w duchu, żeby nie usłyszeć, że odnaleziono jej ciało.

– Przykro mi, proszę państwa, ale poszukiwacze niczego nie znaleźli – rzekł sierżant.

Edwardem targały mieszane uczucia. Kiedy tak stał, patrząc na sierżanta, usłyszał, że żona znowu zaczyna płakać.

– Jak daleko dojechali? – spytał szybko.

– Jechali konno... przeszukali dość duży obszar, sir.

Sierżantowi trudno było spojrzeć w oczy tym ludziom. Wiedział, że cokolwiek by zrobił, to i tak nie będzie dosyć dla zrozpaczonego ojca.

– Powinni byli pojechać jeszcze dalej! – ofuknął go Edward. – Nie było ich przecież co najmniej dwa dni!

– Wiem, że pan nie chce tego słyszeć, sir – rzekł sierżant miękko. – Ale... jak już wcześniej powiedziałem, szansa odnalezienia ciała pańskiej córki jest niewielka...

Edward stracił cierpliwość.

– Przystanie pan wreszcie mówić o mojej córce, jakby już nie żyła? Wcale pan nie wie, czy umarła, a my nie mamy zamiaru rezygnować! Chcę wynająć kilku ludzi, mają pojechać jej szukać, tym razem PORZĄDNIK... a ja pojedę z nimi. Nawet, gdybyśmy mieli przebyć całą drogę do Marree, zrobimy to!

– Nie mogę pana powstrzymać, ale obawiam się, że nie znajdzie pan nikogo, kto by zaryzykował życie wobec tak wątpliwej nadziei...

– A pan? Jakby się pan czuł, gdyby tam była pańska córka?

Kiedy o to pytał, głos Edwarda aż drżał z emocji.

Sierżant się zasmucił.

– Czuję się tak samo jak pan, sir. Ale ja zdaję sobie sprawę z tego, co może spotkać osobę, która się zgubi na pustyni.

– Sam pan mówił, że cuda się zdarzają – przypomniał mu Edward, bliski załamania.

– Tak, sir. Gdyby pańska córka się zgubiła, mogłaby przeżyć dzień, może dwa, ale skoro wypadła z jadącego pociągu... – Sierżant z trudem mógł spojrzeć Edwardowi w twarz, czując, jak serce tego człowieka pęka z bólu. – Naprawdę bardzo mi przykro, sir.

Edward nie mógł już tego wytrzymać. Zamknął drzwi.

Gdyby nie Clarice, która była w pokoju (a jej zdrowie dosłownie wisiało na włosku), chyba by zupełnie zwariował. Odetchnął chrapliwie kilka razy i przypomniał sobie, że musi twardo walczyć o Arabellę. Jeżeli ma ją znaleźć – a tego chciał – musiał się skupić tylko na tym celu.

Po bardzo krótkim odpoczynku poprzedniej nocy Arabella tym razem zasnęła, kiedy tylko głową dotknęła poduszki, i nie obudziła się aż do rana. Spokój umysłu zawdzięczała między innymi temu, że Maggie dała jej klucz do drzwi; dzięki niemu czuła się o wiele bezpieczniej. Poza tym właścicielka hotelu zapewniła ją, że Aborygenki nie będą jej przeszkadzać, bo skoro bar będzie otwarty zaledwie przez dwie godziny, mężczyźni się nie upiją na tyle, żeby żądać od nich usług seksualnych.

Kiedy Arabella się obudziła, przez chwilę nasłuchiwała, czy korytarz jest pusty. Nie był.

Jonathan Weston rozmawiał ze Stuartem Thompsonem. Przypadkiem usłyszała, jak Stuart mówi, że nie będzie go przez cały dzień, a fotograf oznajmił, że on również zniknie na kilka godzin. Arabella odczekała, aż wyjdą, po czym przemknęła się na dół, by spytać Maggie, czy nie mogłaby pożyczyć jej kapelusza z woalką. Maggie była zdziwiona na samą myśl o woalce, ale w pudle z rzeczami, których nie nosiła, znalazła zwykłą czarną chustkę. Arabella uznała, że to będzie doskonałe. Włożyła kapelusz z szerokim rondem, a na wierzch narzuciła czarną chustkę i omotała nią szyję tak, że nikt nie mógł widzieć jej twarzy.

– Chyba nie wyjdiesz tak do ludzi? – spytała Maggie z niedowierzaniem.

– Tylko tak mogę pokazać się innym. Wszystko sobie przemyślałam – z przejęciem odparła Arabella. Miała jeszcze inny pomysł, ale nie wspomniała o nim.

Maggie nie miała serca powiedzieć jej, że wygląda co najmniej osobliwie, więc milczała.

– Chcę pójść na bazar kupić suknię, która będzie na mnie pasowała. Myślisz, że właściciel sklepu sprzeda mi coś na kredyt do czasu, aż moi rodzice mu zapłacą?

– Wątpię – zaprzeczyła Maggie.

Właściciel sklepu był sprytnym handlarzem. Nie był oszustem, ale kiedyś widziała, jak sprzedawał kostiumy kąpielowe podróżnym, którzy zobaczyli na mapie jezioro Eyre i myśleli, że będą mogli się tam wykąpać! Nie wyjaśnił tym naiwnym ludziom, że owo jezioro to po prostu płaszczyna wypełniona solą, która napełnia się wodą najwyżej raz, może dwa razy na sto lat!

– On sprzedaje na kredyt tylko miejscowym i domokrażcom pracującym poza miastem; ale możesz sobie kupić sukienkę na moje konto... później mi zapłacisz.

Maggie postanowiła nie mówić o tym Tony'emu: mógłby zaprotestować.

– O, dziękuję, Maggie. Który to sklep?

– W Marree jest tylko jeden sklep z ubraniami. Zabiorę cię tam i poznam z właścicielem. To Mohomet Basheer.

– Mohomet! Jest może krewnym Faiza Mohometa?

– Nie. Mohomet, to wśród Afgańczyków bardzo popularne nazwisko. Tak jak w Anglii Smith czy Jones. Jeszcze innym bardzo znanym jest imię Khan. A Mohomet Basheer był dawniej domokrażcą, ale już od lat mieszka w Marree i tu otworzył sklep.

Arabella pomyślała o spotkaniu z Faizem Mohometem.

– Mam nadzieję, że ten będzie życzliwszy – stwierdziła. Nie przyszło jej jednak do głowy, że powodem zachowania mężczyzny były jej niegrzeczne uwagi i wyniosły sposób bycia.

Maggie milczała.

Sklep Mohometa Basheera był sklecony z przerdzewiałych blach, więc wewnątrz nawet rano panowało straszne gorąco. Zawalony był stertami ubrań i wszelkiego rodzaju pasmanterią poutykaną na półkach.

Kiedy Maggie i Arabella weszły do sklepu, przy drzwiach zadzwonił dzwonek i niemal natychmiast z pokoju na zapleczu wyłonił się Mohomet. Był zaskoczony widokiem Arabelli (w kapeluszu i czarnym szalu).

Ją również zaskoczył jego wygląd. Szyję Mohometa zdobiło kilka złotych łańcuchów, a prawie na wszystkich palcach rąk nosił złote pierścienie. Był zdania, że noszenie tyłu ozdób nadaje mu wygląd zamożnego człowieka, i święcie wierzył w to, że klienci na ten widok uznają go za godnego zaufania, wydając w jego sklepie więcej pieniędzy. A ponieważ to było jedyne miejsce z ubraniami w mieście, a nawet na przestrzeni setek kilometrów, nigdy nie zdołał w pełni sprawdzić swojej teorii. Nosił tunikę i turban. Jednak, w przeciwieństwie do Faiza, kiedy tylko się oswoił z pierwszym wrażeniem na widok zawoalowanej dziewczyny, zaczął się zachowywać niezwykle przyjacielsko i gościnnie. Kiedy zaś

Maggie opowiedziała mu, że Arabella zablądziła na pustyni, z jego twarzy zniknął szeroki uśmiech i zastąpił go wyraz współczucia.

– Miała pani szczęście, że pani przeżyła – stwierdził z powagą.

– To samo jej mówiłam – rzekła Maggie. – Tyle że okropnie spaliła sobie cerę. Dlatego zakrywa twarz.

– Och, proszę się nie martwić. Skóra się prędko wyleczy – rzekł i zerknął na Maggie. – W czym mogę paniom pomóc?

– Panna Fitzherbert potrzebuje jakiegoś ubrania. Pożyczyłam jej moją sukienkę, ale, jak widzisz, jest na nią o wiele za duża. Możesz zapisać koszt nowej sukni na moje konto?

– Zrobię wszystko, żeby się wam przysłużyć, Maggie – rzekł Mohomet, schylając głowę. – Niech panna Fitzherbert poczeka, pokażę jej, co mam.

Arabella wolałaby, żeby Maggie z nią została, ale nim zdołała ją o to poprosić, Maggie wybiegła, rada, że może wrócić do baru.

– Mam mnóstwo roboty – rzuciła od drzwi. – Spodziewam się, że znajdziesz coś ładnego, Arabello!

Z tymi słowami zniknęła, zanim Arabella zdążyła jej odpowiedzieć. Kupiec nic nie zauważył. Już szperał po półkach, szukając czegoś w jej rozmiarze.

– Jest pani naprawdę bardzo drobnutką dziewczynką – stwierdził, przyjrząwszy się jej, i wyciągnął sukienkę, którą Arabella uznała za dziecięcą i w dodatku okropną. Była w różowo-żółty wzorek, zapinana od góry do dołu na guziki i bez rękawów. – Mogę nie mieć nic takiego, co by pasowało...

– Jestem dziewiętnastoletnią młodą damą, a nie dziewczynką! – parsknęła Arabella. – Wiem, że jestem drobna! Proszę mi poszukać czegoś, co by mnie dokładnie zakryło!

– Ale... dlaczego chce pani się zakrywać?

– Bo nie chcę wystawiać żadnej części ciała na słońce!

– Zupełnie słusznie... tak, mądrze powiedziane – stwierdził Mohomet obojętnym tonem. – Niestety, nie da się całkowicie uniknąć słońca, dlatego powinna panienka od dwunastej do drugiej po południu siedzieć w domu. Ja tam w tym czasie zamykam sklep i śpię sobie aż do drugiej.

To, co Arabella planowała, wykluczało chowanie się przed słońcem i właśnie dlatego szukała czegoś, co ją całkowicie okryje.

– Nie ma pan czegoś do ziemi i z długimi rękawami? – zapytała.

Mohomet nic nie rozumiał.

– Chyba nie... – powiedział, grzebiąc w sukniach na regałach. – Na coś takiego nie ma chętnych.

– Ale przecież pan nosi właśnie coś takiego – rzekła Arabella, patrząc na jego tunikę.

Mohomet aż zamrugał, zaskoczony.

– Chce pani coś takiego, jak to?

– Właśnie.

Kupiec odszedł w najdalszy kąt sklepu.

– Ach! – zawołał z zadowoleniem, kiedy znalazł długą suknię z rękawami trzy czwarte. – Co pani powie na to?

Arabella obejrzała. Był to rodzaj kaftana, luźnego, długiego do ziemi, w brązowym odcieniu z czarnym wzorem, przewiązanego w pasie sznurem.

– Nigdy jeszcze nie widziałam niczego takiego – stwierdziła.

– To suknia z Bliskiego Wschodu, madame – odparł Mohomet.

W Australii mieszkała ludność z bardzo wielu krajów, kupił zatem kiedyś kilka takich strojów na wszelki wypadek, gdyby jakieś kobiety z okolic Morza Śródziemnego albo z południowo-środkowej Azji przejeżdżały przez Marree; na przykład krewne mieszkających tu Afgańczyków. Ewentualność takiej

wizyty była niewielka, ale on zawsze starał się być przygotowany na wszystko.

Arabelli nie podobał się ten strój, ale nie miała wyboru. Za kaftanem przemawiał fakt, że był uszyty z materiału zapewniającego chłód.

– Co robić, muszę... – rzekła. – Nie będę tego nosiła długo, bo niebawem się spotkam z rodzicami... a tam mam własne suknie – dodała optymistycznie.

Większość jej garderoby była zakupiona w najlepszych sklepach w Londynie; jednak w latach Wielkiego Kryzysu narodził się nowy trend do kupowania używanych ubrań najbogatszych ludzi z Europy. Wówczas Clarice i Arabella nabyły kilka strojów dobrej jakości.

Mohomet spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Jakim cudem rodzice mogą wiedzieć, że pani żyje, panno Fitzherbert? – spytał. – Telegraf nie działa i zanim go naprawią, minie sporo czasu.

– Dowiedzą się, a w każdym razie nie przestaną mnie szukać – z wielką pewnością siebie stwierdziła Arabella.

– Panno Fitzherbert! Nikt nie może przeżyć długo na pustyni bez wody. Tylu ludzi już tam zginęło. Pani miała szczęście, że znaleźli ją tubylcy z plemienia Arrentre. – Mohomet był przekonany, że jej rodzina musiała już uznać córkę za nieżyjącą, ale nic nie powiedział.

– Szczęście? Miałam szczęście, że mnie ci dzicy nie zabili! – parsknęła Arabella. – Ma pan jakąś przymierzalnię?

– Musi pani przejść do mojego mieszkania na zapleczu – rzekł Mohomet, zdumiony, że dziewczyna się nie może się doczekać, aby włożyć kupioną suknię.

– Spodziewam się, że drzwi można tam zamknąć na klucz! – rzuciła Arabella, idąc na zapleczu i pozostawiając Mohometę w sklepie. Czuł się obrażony jej słowami.

Po paru minutach Arabella się pojawiła w kaftanie i z suknią od Maggie na ramieniu.

Ubranie okrywało ją od stóp do głów, a rękawy odsłaniały zaledwie mały fragment przedramion. Z głową i twarzą okrytą kapeluszem z woalką wyglądała naprawdę dziwnie. Poza tym rozważnie wybrała też bieliznę i parę sandałów ze stoiska. Przymierzyła.

– Proszę to także zapisać na konto Maggie, panie Basheer – rzuciła.

Zabrała swoje nocne pantofle i wyszła ze sklepu.

Patrząc za nią, Mohomet zmarszczył brwi.

Z ust tej młodej kobiety nie padły żadne słowa podziękowania. Rozumiał, ile niedawno przeszła, ale nie musiał się długo zastanawiać, by dojść do wniosku, że to, co się z nią stało, zawdzięczała przede wszystkim sobie samej, swojemu sposobowi myślenia i działania.

Maggie mu co prawda nie powiedziała, że Arabella wysiadła z pociągu, żeby zerwać kwiatek, ale szósty zmysł mu mówił, że w końcu ta młoda dama będzie się musiała przekonać na własnej skórze, że na koleje jej losu wpływ ma wyłącznie jej własne postępowanie.

Arabella wróciła do hotelu. Zostawiła pantofle i suknię w pokoju do uprania. Właśnie schodziła na dół, kiedy Maggie zobaczyła ją zza baru.

– Arabello! – zawołała zaskoczona.

Arabella się zatrzymała. Maggie nie wierzyła własnym oczom.

– Czy właśnie to sobie wybrałaś? – zapytała z niedowierzaniem na widok kaftana.

– Tak. Co prawda kolor jest okropny, ale suknia okrywa mnie całą.

Maggie nie wiedziała, co powiedzieć.

– Rzeczywiście...

– Kupiłam też sandały i bieliznę, również na twój koszt.

Maggie szeroko otworzyła oczy.



Bar zaczął przynosić zyski dopiero od paru miesięcy; wiedziała, że Tony nie byłby zadowolony, że Arabella robi zakupy na ich koszt. Już mu wspomniała o sukience, a on wymamrotał, rozzłoszczony, że ktoś będzie musiał zapłacić ten rachunek i to na pewno nie panna Fitzherbert. Było jasne, że mimo opowieści Arabelli o ojcu producencie nie ma wcale pewności, czy rodzice kiedykolwiek zapłacą za nią cokolwiek. A kiedy się dowie, że do ich wydatków doszły jeszcze koszty jej butów i bielizny, na pewno się wścieknie.

Maggie miała właśnie powiedzieć dziewczynie, że nie powinna była tego robić, kiedy zauważyła, że jeden z mężczyzn przy barze dostrzegł stojącą w drzwiach Arabellę.

– A co to takiego, do diabła? – spytał Wally Jackson Tony’ego, dostatecznie głośno, by go było słychać na korytarzu. Kilku gości też podeszło bliżej, nie wierząc własnym oczom.

Tony spojrzał na korytarz.

– To jest... panna Fitzherbert – wyjaśnił spokojnie. – To ta młoda kobieta, która zabłądziła na pustyni. – Maggie opowiadała mu o kapeluszu i woalce, więc nie był zdziwiony.

– Hej, Fitz! – wrzasnął Wally w stronę Arabelli. – A cóż to za przyodziewek?

Mężczyźni parsknęli śmiechem, ale Maggie zaniepokoiła się, jak Arabella zareaguje.

– Ciii... – szepnął Tony. – Spaliła sobie twarz od słońca i teraz wszystko ją drażni.

Wally nie zwrócił na to uwagi. Uśmiechał się złośliwie, najwyraźniej ubawiony jej strojem.

Arabella spojrzała przez drzwi i spłonęła rumieńcem na widok Wally’ego.

– Czy ten mężczyzna zwracał się do mnie? – spytała.

– Oj, nie przejmuj się Jacko – odparła Maggie.

– Jacko?

– Tak miejscowi nazywają Wally’ego Jacksona. Tutaj każdy ma jakieś przezwisko. Na przykład mój Tony to Macca, bo nazywamy się McMahan. A Wally – to Jacko. Wydaje się, że ciebie przezwał Fitz.

– Mam nadzieję, że nie! – odparła Arabella z oburzeniem.

– A Jonathana Westona nazywają Jonno. I założę się, że Stuarta Thompsona przezwą Tommo. To taka moda u nas w buszu.

– Proszę powiedzieć panu Jacksonowi, że nazywam się Arabella Fitzherbert. A dla niego jestem panną Fitzherbert! W żadnym wypadku nie Fitz. To imię dobre dla... jamnika.

Maggie walczyła ze śmiechem, rozbawiła ją uwaga o jamniku. W tym czasie Arabella z godnością zniknęła za drzwiami.

Właścicielka hotelu zaczęła się zastanawiać, dokąd mogła pójść.

Arabella postanowiła poszukać Missy, Lily i Ritę. Na szczęście miasteczko nie było duże, więc nie miała wątpliwości, że je znajdzie.

Przed dużym wielobranżowym sklepem zobaczyła kilkoro aborygeńskich dzieci bawiących się w kurzu wokół ławek i pod nimi, więc podeszła do nich. Chciała się dowiedzieć, gdzie mieszkają kobiety. Kiedy była zaledwie o trzy metry od maluchów, jedno z dzieci ją spostrzegło i uciekło, jakby zobaczyło potwora o dwóch głowach. Pozostała trójka, dwóch chłopców i dziewczynka, odwrócili się, żeby sprawdzić, co tak przestraszyło ich kolegę. Wrzasnęły z przerażenia i się cofnęły, wpatrując się w Arabellę.

Była zaskoczona ich reakcją. Pomyślała, że to dlatego, iż w mieście nikt jej nie zna; w ogóle nie wzięła pod uwagę swojego dziwnego stroju. Dzieci myślały, że woalka osłania ogromną głowę; nie wiedziały przecież, co to jest kapelusz!

– Szukam Lily! – zawołała do dzieci. – Możecie mi powiedzieć, gdzie mieszka?

Dzieciaki nie odpowiedziały, tylko jedno z nich niepewnie wskazało rączką na zachód.

– Tam? – spytała, by się upewnić; chłopiec ostrożnie kiwnął głową. Nie ufał tej nieznanemu.

Ruszyła zatem we wskazanym kierunku, niejasno zdając sobie sprawę, że dzieciaki w pewnej odległości wędrują za nią. Spodziewała się dojść do grupy zabudowań, ale wkrótce zrozumiała, że tam, dokąd zmierza, w ogóle nie ma domów. Zatrzymała się i zwróciła do dzieci, które też stanęły, zachowując bezpieczną odległość.

– Na pewno dobrze idę? – zapytała. Może umyślnie podały jej zły kierunek?

Ale najstarszy chłopiec znów pokiwał głową, więc poszła dalej. Właśnie miała się obrócić i zwymyślać dzieciaki za kłamstwo, kiedy między drzewami dostrzegła coś, w czym ewentualnie można było mieszkać. Podeszła bliżej i zobaczyła, że były to szałas sklecone z gałęzi, kawałków zardzewiałej blachy i powyrywanych krzaków. Pośrodku paliło się ognisko, dookoła którego siedziała w kucki grupka kobiet. Kiedy Arabella podeszła bliżej, dostrzegła potwornie wychudzone psy, które gryzły zbielełe na słońcu kości, i kilkoro małych, zupełnie nagich dzieci, bawiących się opodal w kurzu: po ich buziach łąziły ospałe muchy.

Nigdy nie widziała czegoś podobnego; była zbulwersowana.

Kiedy Arabella się zbliżyła, kobiety podniosły na nią wzrok, zszokowane. Stała przed nimi, a one zerkały jedna na drugą. Na szczęście miały zakryte piersi, co prawda tylko brudnymi szmatami, ale zawsze. Nie dostrzegła wśród kobiet Lily, ani – ku swojej wielkiej uldze – także Rity. Jedna z siedzących mówiła w niezrozumiałym języku. Inna popukała się w czoło i szepnęła coś, na co pozostałe wybuchnęły śmiechem. Arabella zawstydziała się. Nie wiedziała, że tubylcy z Arrernte zdążyli opowiedzieć o zwariowanej kobiecie, którą przyprowadzili do miasta. Po zachowaniu Aborygenek wywnioskowała, że uważają ją za szaloną. Być może naśmiewały się z jej niecodziennego stroju?

– Opaliłam się – tłumaczyła, pokazując palcem słońce, które przebijało przez drzewa.

A kiedy popatrzyły na nią z niedowierzaniem, pokazała im spalone, obłazące ze skóry czerwone ramiona. Jedna z kobiet kiwnęła głową i znów coś powiedziała. Arabella była zadowolona: chyba ją zrozumiały. Tyle że czuła się zakłopotana, bo nie rozumiała ich języka.

– Chcę, żeby ktoś zawiózł mnie konno do Alice Springs. – Już się pogodziła z faktem, że powóz na pustyni nie byłby praktyczny. – Znacie kogoś, kto by to mógł zrobić?

Kobieta, siedząca pośrodku grupy, chyba najstarsza, pokręciła głową.

– Nie, panienska. Tutaj żadnych koni.

– Ależ... wczoraj widziałam konie, przed hotelem! – zaprotestowała Arabella, zbita z tropu jej słowami.

– To konie do pilnowania bydła i owiec, panienska. One być ze stacji. – Wskazała ręką w nieokreślonym kierunku.

– Ależ przecież koń to koń! Po prostu chcę, żeby przewiózł mnie przez pustynię.

Kobieta ponownie pokręciła głową.

– Nie, panienska. Te konie należą do białych ludzi.

Arabella była zrozpaczona.

– Ależ... mój ojciec sownie zapłaci każdemu, kto mnie zawiezie do Alice Springs – rzekła. Kiedy nie doczekała się reakcji, spróbowała jeszcze raz: – Mój ojciec da każdemu, kto mnie zawiezie, wielką nagrodę... dużo pieniędzy. Rozumiecie?

Kobieta znów zaprzeczyła.

– Do Alice Springs bardzo daleka droga, panienska. Ty jechać pociągiem.

– Ale pociąg teraz nie jeździ i nie wiem, kiedy znowu przyjedzie! Moi rodzice bardzo się o mnie martwią!

– Wszyscy czarni pójść stąd sobie, panienska – dodała inna kobieta.

– Pójść... stąd... sobie?

- Tak, panienska. Nie wiem, kiedy wracają.
- A czy któraś z was, kobiet, zna drogę do Alice Springs?
- Tak, panienska, ale my zostać tutaj.
- Na pewno któraś z was może mi pomóc!

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Pociąg wracać prędko, panienska. Ty czekać tutaj.

Niewątpliwie Aborygenka, która z nią rozmawiała, nie rozumiała jej problemu, poza tym wydawała się obdarzona nieskończoną cierpliwością, której brakło Arabelli.

Rozmowa z kimś, komu nie przeszkadza, że po twarzy łożą mu muchy, była okropnie żenująca. Arabella miała ochotę rzucić się naprzód i odpędzić wszystkie muchy. Nie mogła zrozumieć, dlaczego te owady jej nie przeszkadzają, ani czemu kobiety pozwalają im siadać na dzieciach. Ponownie była wdzięczna Bogu za swoją woalkę, dzięki której muchy jej nie zagrażały.

– Jak wy możecie tak żyć? – spytała; frustracja sprawiła, że nie panowała nad tym, co mówi. – Popatrzcie tylko na swoje dzieci. Te muchy na pewno je zarażą jakimiś okropnymi chorobami. Dlaczego maluchy są nagie?

Kobieta na te słowa wstała i zaczęła krzyczeć na Arabellę, każąc jej się stąd wynosić; co prawda mówiła to we własnym języku, ale gniew malujący się na jej twarzy był naprawdę straszny.

Arabella cofnęła się o krok i w tym momencie jej uwagę przyciągnęła czyjaś głowa, której czubek wysunął się z najbliższego szałasu. Początkowo dziewczyna myślała, że to mężczyzna, ale kiedy – ku jej przerażeniu – postać się podniosła, Arabella zobaczyła twarz – twarz Rity.

Chciała uciekać z powrotem do hotelu, ale nie była w stanie się poruszyć. Wyobraziła sobie, jak Rita rzuca ją na ziemię i tarza w kurzu: to było okropne!

Rita miała załzawione oczy, a jej włosy były zmierzwione. Jeden policzek miała umazany czerwonym pyłem; widocznie leżała na brudnej podłodze szałasu.

Odezwała się do kobiety, tej samej, która wcześniej rozmawiała z Arabellą; tamta jej coś odpowiedziała w tym samym języku.

- Kto ty być? – spytała Rita.

Arabella była skonsternowana: Rita najwidoczniej jej nie rozpoznała.

– Arabella Fitzherbert. Mieszkam w hotelu Great Northern. Spotkałyśmy się w sobotę, ja... ja byłam w ubikacji.

Arabella spodziewała się, że Aborygenka przypomni sobie o niej.

– A... czego ty chcesz tu? – spytała z gniewem Rita, nie okazując w żaden sposób, czy ją pamięta, czy nie.

Arabella była tak wystraszona, że z trudem chwyciła oddech, a co dopiero było mówić o rozmowie! Miała nadzieję, że nie spotka Rity, a jeśli już, oczekiwała, że będzie ona w takim samym jowialnym nastroju jak tamtej nocy. Tymczasem była tak samo wściekła jak wtedy, kiedy wrzeszczała na Wally'ego Jacksona. Arabella przypomniała sobie słowa Maggie, która wspomniała, że ta kobieta jest czymś w rodzaju wodza Aborygenek...

- Potrzebny mi ktoś... kto zna pustynię... żeby mnie zawiózł do Alice Springs.

- Chcesz tam iść na piechotę? – spytała z niedowierzaniem Rita.

- Nie, oczywiście, że nie! Pojechałabym konno.

Rita roześmiała się szyderczo, a właściwie parsknęła, co zaskoczyło Arabellę. Dźwięk był tak śmieszny, że nagle poczuła gwałtowną potrzebę roześmiania się. Powstrzymał ją tylko silny instynkt samozachowawczy.

- O, na pewno ktoś mi pożyczy konia – stwierdziła.

Rita potrząsnęła głową.

– Koń potrzebuje za dużo wody, żeby przejechać pustynię. A kto ma nieść wodę? Ty?

– No, nie... Faiz Mohomet mówił mniej więcej to samo. On proponował mi jazdę na wielbłądzie, ale ja nie mogłabym jechać na takim ohydny, zapluty stworzeniu!

Pamiętała wędrowny cyrk w parku w pobliżu jej domu w Londynie. Wśród zwierząt były także wielbłądy. Wyszła wtedy z matką na spacer obejrzeć zwierzęta – i wtedy jeden z wielbłądów splunął na nią!

– Więc będziesz musiała zostać na miejscu – stwierdziła Rita.

– Ależ... ja nie chcę! Ja chcę do moich rodziców!

Rita wzruszyła ramionami.

– Ty czekać tu na pociąg.

Kobieta, z którą Arabella przedtem rozmawiała, znowu powiedziała coś do Rity. Z jej gwałtownej gestykulacji w stronę dzieci Arabella wywnioskowała, że informuje przywódczynię o tym, że obca skrytykowała ich styl życia. Pragnienie powrotu do hotelu wzrosło.

– Boli mnie brzuch... – rzekła. – Muszę już iść.

Rita zerwała się i zaczęła krzyczeć. Arabella myślała, że zemdleje. Jakoś znalazła w sobie tyle odwagi, żeby się wycofać. Dopiero kiedy była od kobiet o jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt metrów, zdołała odetchnąć, ale serce waliło jej jak oszalałe.

Kiedy dotarła z powrotem do hotelu, tonęła we łzach.

Wszystkie swoje nadzieje pokładała w tym, że któryś z tubylców zawiezie ją konno do Alice Springs. Teraz już wiedziała, że to nierealne. Nigdy dotąd nie była równie przygnębiona. Weszła do hotelu tylnymi drzwiami. Już miała zacząć wchodzić na schody, kiedy zatrzymał ją Tony McMahon.

– Przepraszam, panno Fitzherbert! – powiedział surowo.

Arabella nie mogła wiedzieć, że Maggie i jej mąż mieli przed chwilą ostre starcie, po rozmowie Tony'ego z Mohometem Basheerem. Tony był zdania, że Arabella jest leniwa i chce się wykręcić od pracy. Był naprawdę zły, że kupiła sobie ubranie na ich koszt. Mimo że zapewnili jej mieszkanie i jedzenie, nie ruszyła nawet palcem, żeby im pomóc! Maggie właściwie nie miała argumentów na obronę Arabelli, jednak duma nie pozwalała jej się przyznać, że była dla tej dziewczyny o wiele za łagodna.

Arabella się zatrzymała.

– Tak? – rzekła, pociągając nosem.

Kolana nadal się jej trzęsły. Była pewna, że Rita chciała ją uderzyć.

– Przed chwilą rozmawiałem z Mohometem Basheerem. Chciał, żebym mu potwierdził, że zapłacę za ubrania i pantofle, które sobie pani kupiła na nasz rachunek.

– Och! – rzuciła niedbale Arabella – Proszę się tym nie martwić. Mój ojciec zapłaci za wszystko.

Tony westchnął, z trudem hamując wybuch. Przerwał jej ostro:

– Wątpię, czy kiedykolwiek zobaczymy pani ojca, więc proponuję, żeby się pani wzięła do roboty i pomogła Maggie! Inaczej panią stąd wyrzucę na zбитy łeb!

Odwrócił się na pięcie i wrócił do baru nalać sobie coś mocnego (i odpowiednio dużego).

Kiedy Arabella weszła na piętro, wybuchnęła płaczem. Wprost nie mogła uwierzyć, jak się jej dzisiaj nie wiodło! W głowie jej huczało. Przedtem uważała, że zgubienie się na pustyni było najgorszą rzeczą, jaka się jej przydarzyła, ale od tego wydarzenia nic nie szło tak jak należy. Otworzyła drzwi swojego pokoju i weszła do środka; szlochając, rzuciła się na łóżko.

Czuła się wyjątkowo nieszczęśliwa.

Nagle usłyszała czyjeś chrząknięcie. Odwróciła się i zaskoczona ujrzała, że w otwartych drzwiach jej pokoju stoi Jonathan Weston.

– Nic pani nie jest? – zapytał miłym głosem.

– Czy wyglądam, jakby mi nic nie było? – parsknęła Arabella.

– Usłyszałem, że pani płacze... – ciągnął. – Czy mógłbym coś dla pani zrobić?

Arabella podniosła się z łóżka i podeszła do drzwi.

– Chyba, że mnie pan zawiezie do Alice Springs; niczego innego nie chcę! – rzekła i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Wróciła do łóżka i usiadła na nim. Ściągnęła kapelusz i woalkę. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć, że Tony McMahon zagroził, że ją wyrzuci, jeżeli nie zacznie pomagać Maggie!

Nie potrafiła sobie wmówić, że w rzeczywistości wcale tak nie myślał. Było oczywiste, że nie rzucał słów na wiatr. W dodatku powiedział, że nie wierzy, że jej ojciec po nią przyjedzie! Jak mógł twierdzić coś podobnego?

– Och, mamu, tatusiu...! – szlochała. – Gdzie jesteście?

Znowu padła na łóżko z płaczem.

Godzinę później Arabella otarła oczy i pomyślała o Jonathanie Westonie.

Teraz było jej przykro, że się tak niegrzecznie z nim obeszła. W końcu tylko wyraził swoje zainteresowanie jej stanem. A w tym żalonym mieście nie miała przecież żadnych sojuszników... zatem byłoby mądrze zastukać do niego i zaproponować mu... przyjaźń? Przyszło jej do głowy, że mógłby jej zasugerować, w jaki sposób dostać się do Alice Springs. W końcu Maggie mówiła, że trochę podróżował po Australii!

Włożyła kapelusz i woalkę, po czym otworzyła drzwi.

Pokój Jonathana Westona też był otwarty. Dostrzegła, że mężczyzna siedzi na łóżku plecami do niej. Chyba czyścił jakiś element wyposażenia fotograficznego.

Wzięła głęboki oddech, przeszła przez korytarz i zastukała do jego otwartych drzwi.

Odwrócił się, niewątpliwie ogromnie zaskoczony jej widokiem.

– Witam... – zaczęła Arabella zmieszana. – Chciałam pana przeprosić za to, że się tak niegrzecznie zachowałam. Ale byłam taka zgnębiona...

– Zauważyłem.

– Miałam okropnie ciężki dzień – wyznała. – Ale nie powinnam się była tak na pana wydzierać! Jeszcze raz przepraszam.

– Chce mi pani o tym opowiedzieć?

– Tak... jeżeli panu to nie przeszkadza.

– Naturalnie, że nie. Proszę mówić.

Zawahała się.

– Może pani zostawić drzwi otwarte – dodał Jonathan. – Albo zejdziemy na dół, do salonu?

Arabella pomyślała o salonie, ale nie chciała ryzykować spotkania z Tonym.

– Nnie... lepiej zostawię otwarte drzwi – stwierdziła, wchodząc do pokoju.

Zdawała sobie sprawę, że jest przesadnie drażliwa. Mężczyźni w barze wyśmiewali się z niej; dzieci na ulicy uciekały na jej widok, Aborygenki uznały ją za wariatkę. A teraz była pewna, że Jonathan Weston patrzy na nią jakoś... dziwnie.

– Przypuszczam, że pan też uważa, że wyglądam śmiesznie – zaczęła i zdjęła kapelusz oraz woalkę.

Stała przed nim, oczekując, że za chwilę krzyknie ze strachu na widok jej spalonej słońcem, oblażącej ze skóry twarzy... ale nic takiego nie nastąpiło.

– Ja wyglądałem jeszcze gorzej – oznajmił ku jej wielkiemu zaskoczeniu.

Arabella nie uwierzyła. Wtedy wstał z łóżka i podeszedł do leżącego na górnej półce komody pudła pełnego fotografii. Poszperał w nim i wyciągnął jedno ze zdjęć.

– Jeśli mi pani nie wierzy, proszę, niech pani spojrzy. – Wręczył jej fotografię.

Aż krzyknęła.

– Jak to się stało? – zapytała, wpatrzona w zdjęcie. Wyglądał na nim okropnie, ledwie go rozpoznała.

– Któregoś wyjątkowo gorącego i wietrznego dnia na pustyni wiatr zdarł mi z głowy kapelusz. Byłem tak pochłonięty fotografowaniem, że się tym nie przejąłem. No i po paru godzinach wyglądałem właśnie tak... Zrobiłem sobie zdjęcie, żeby na przyszłość pamiętać, jak bardzo trzeba być ostrożnym.

– A ile czasu upłynęło, zanim pan odzyskał normalny wygląd?

Miał teraz gładką, lekko tylko opaloną cerę.

– Parę tygodni – odparł, a Arabella aż jęknęła. – Teraz zawsze uważam, żeby nosić kapelusz, którego nie zerwie mi wiatr. – Spojrzał na nią ze współczuciem. – Takie oparzenie bardzo boli, prawda? Pomaga na to chłodna kąpiel; niestety, tutaj trudno o wodę.

– Ból już się zmniejszył, ale myślałam, że skóra wróci do normalnego koloru... tymczasem jest strasznie różowa! – Wskazała na jaskrawo różowe plamy na ramionach.

– O, to szybko zblaknie. Niedługo znowu będzie pani piękną kobietą.

Arabella była zaskoczona.

– Skąd pan może to wiedzieć teraz, kiedy wyglądam tak makabrycznie?

– Wcale nie wyglądam pani makabrycznie. To tylko pani tak siebie postrzega.

– Kiedy spjrzałam w lustro, wystraszyłam się samej siebie.

– To dlatego, że wmawia sobie pani, że wyglądam okropnie. A trzeba zmienić podejście i od razu będzie lepiej. To wszystko kwestia wiary.

– Jakoś nigdy nie byłam specjalnie pewna siebie... – wyznała Arabella.

– Może pani nabrać tej pewności. Ja się nie zakrywałem, kiedy mnie spaliło. Oczywiście każdy, kto mnie wtedy zobaczył, początkowo był w szoku, ale to szybko mijało. Głowę nosiłem wysoko i nic się nie zmieniło. Dam pani przykład.

Jonathan znowu wstał, ale tym razem się skulił, przygarbił i nerwowo rozglądał dookoła. Sięgnął po stojące w rogu krzesło i przysiadł na jego brzeżku, lękliwie zerkając na wszystkie strony.

– No? Jaką osobę pani teraz widzi? – spytał Arabelli.

– Kogoś nieśmiałego i niezdarne – odparła.

– Oczywiście. A teraz znowu spróbujemy.

Wrócił do łóżka. Tym razem stanął prosto, z uniesionym w górę podbródkiem, z pewnym siebie uśmiechem. Ze ściągniętymi w tył barkami spacerował po pokoju z arogancką pewnością siebie, z wysoko zadartym nosem.

– A teraz? Co pani widzi?

– Mężczyznę pewnego siebie, aroganckiego! – zawołała Arabella.

Jonathan się roześmiał.

– No właśnie. To mógłby być znany aktor, albo ktoś bardzo ważny. Prawda?

– Tak!

– Ale ja nadal jestem tą samą osobą, prawda?

– Tak.

– Widzi pani! Jedyne różnice to wiara w siebie. Taki mężczyzna skulony na krześle nie budziłby szacunku, bo widać, że sam siebie też nie szanuje; ale mężczyzna, który spaceruje po pokoju, jakby cały świat do niego należał, będzie bardzo szanowany. Nie ma znaczenia, czy jest opalony, czy nie!

Arabella się zaśmiała.

– Rozumiem pana – rzekła.

– Doskonale.



Po krótkiej przerwie Jonathan znowu się odezwał:

– Maggie mi opowiadała o pani przygodzie. Bardzo mi przykro.

Z twarzy Arabelli znikł uśmiech.

– Och, przeżyłam coś okropnego... a w dodatku pan McMahon powiedział mi właśnie, że mnie wyrzuci, jeżeli nie będę pomagała jego żonie. Nie wierzy, że mój ojciec zapłaci mu za pokój, więc chce, żebym pracowała na swoje utrzymanie.

– Cóż... to dosyć uczciwe – stwierdził Jonathan.

Arabella nie odpowiedziała, ale widział, że ten pomysł wcale się jej nie podobał.

– Na pewno się pani znudzi, nic nie robiąc przez cały dzień i czekając, aż pociąg przyjedzie z powrotem... – starał się ją przekonać.

– Ale ja... nie wiem, co mogłabym robić, żeby pomóc Maggie, panie Weston – rzekła Arabella. Wstydziła się przyznać, że tak spędzała większość swoich dni i nie miała najmniejszego pojęcia o pracach domowych.

– Proszę mnie nazywać Jonathan – powiedział to przyjacielsko, nie zareagował jednak na jej oświadczenie.

Była zmuszona tłumaczyć się dalej.

– Jonathanie... ja nigdy nie byłam bardzo zdrowa... no i... zawsze mieliśmy służącą.

– A... jeżeli mi wolno spytać... co pani dolega?

– Nasz domowy lekarz powiedział, że zaszkodził mi smog i wilgotne powietrze Londynu... i dlatego przyjechaliśmy do Australii na kilka miesięcy.

– No, tutaj jest dostatecznie gorąco i sucho, więc to powinno pani pomóc. Może zje pani dzisiaj ze mną kolację? To będzie taka próba wyjścia bez woalki. Czy moje towarzystwo, jako moralne wsparcie, pani pomoże?

Arabella była zdumiona. Zerknęła na swój nieładny kaftan.

– Nie mam się w co ubrać – odrzekła. – Kupiłam to brzydactwo na bazarze na wypadek, gdyby ktoś z tubylców zgodził się zabrać mnie do Alice Springs. To mnie miało ochronić przed słońcem. Ale oczywiście nie mogę tego włożyć do kolacji! Niemniej... dziękuję za zaproszenie.

Arabella wstała i poszła do siebie. Tam padła na łóżko, znowu przepełniona współczuciem – dla siebie samej.

Godzinę później usłyszała pukanie. Wstała, by otworzyć, ale pod drzwiami nie było nikogo. Rozejrzała się po korytarzu. Był pusty. Pokój Jonathan Westona był zamknięty.

Nagle zauważyła paczuszkę leżącą u jej stóp. Podniosła ją i wróciła do łóżka. W środku znalazła liścik i dwie sukienki. Miały krótkie rękawy, były zapinane pod szyję, długie do łydki. Jedna była biała z czerwonymi lamówkami, druga bladoniebieska z granatowymi. Całkiem eleganckie, jak na takie miasteczko na odludziu! Zaciekawiona otworzyła liścik.

*Mam nadzieję, że któraś z tych sukienek będzie na panią pasowała. Zapukam do pani o szóstej.*  
Jonathan.

Arabella zaniemówiła. Jonathan musiał pójść na bazar i kupić te sukienki dla niej! Obejrzała je znowu, uśmiechając się do siebie.

– Co za uprzejmość... naprawdę jest słodki – szepnęła.

Była tak zachwycona, że nie pomyślała nawet, jak niestosowne jest przyjmowanie w prezencie ubrań od niemal nieznanego mężczyzny! Nie była też ciekawa, czy Jonathan zrobił to z jakichś ukrytych powodów.

Przejrzała się w lustrze nad komodą, zastanawiając się, czy się odważy pokazać ludziom. Ale, pamiętając o pokazie pewności siebie Jonathan, dumnie uniosła podbródek.



# Rozdział piąty

---

Arabella właśnie przymierzała białą suknię z czerwonymi lamówkami, kiedy zapukano do jej drzwi. Zbliżała się dopiero czwarta, więc to nie mógł być Jonathan Weston. Otworzyła drzwi: stał tam Tony.

– Dostaliśmy wiadomość, że dziś wieczorem na kolacji będzie ponad dwadzieścia osób, więc trzeba pomóc Maggie – powiedział rzeczowo. – Proszę zejść na dół do kuchni.

– Ale... – wyjąkała Arabella. – Co...

– Już, panno Fitzherbert! – rzucił Tony niecierpliwie.

W tym momencie Jonathan otworzył drzwi do swojego pokoju. Były przedtem uchylone, więc słyszał wszystko, co mówił Tony. Zerknął na Arabellę i z zadowoleniem stwierdził, że ma na sobie jedną z sukienek, które położył pod drzwiami. Niemal się uśmiechnął w duchu na myśl o interesie, jaki zrobił z Mohometem Basheerem, kupując te suknie. Musiał go sfotografować, dumnie upozowanego przed własnym sklepem, żeby sklepikarz mógł posłać to zdjęcie matce do rodzinnego kraju, Kaszmiru. Najwyraźniej już do niej pisał wiele razy i opowiadał o swoim sklepie, ale dopiero to zdjęcie miało być twardym dowodem, jak dobrze mu się powodzi w Australii.

– Mimo woli usłyszałem, że spodziewacie się dzisiaj na kolacji wielu gości? Prawda, Tony? – spytał Jonathan.

– Właśnie. Dopiero co był tu jeden z hodowców bydła z Lizard Creek i powiedział, że niespodziewanie przyjechał z wizytą syn Ruth i Boba Maxwellów, Tom. Ma urlop z wojska, a rodzice nie widzieli go od dwóch lat! W dodatku dziś jest ich rocznica ślubu, więc chcą ją obchodzić razem z synem w naszym hotelu; zaprosili też wszystkich swoich ludzi, no i hodowców. Będzie ze dwadzieścia osób i mamy mało czasu, więc Maggie i ja jesteśmy trochę zdenerwowani.

– Może mógłbym jakoś pomóc?

– O, na pewno, jeżeli tylko zechcesz! Naprawdę będę ci bardzo zobowiązany za pomoc.

Tony spojrział na Jonathana z wdzięcznością. Potem zerknął na Arabellę i jego głos znowu zabrzmiał surowo.

– Proszę się pospieszyć i zejść na dół do kuchni, panno Fitzherbert. Nie mamy czasu do stracenia.

– Dobrze... – odrzekła Arabella, rozumiejąc, że raczej nie ma wyjścia.

Jonathan wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Rzucił Arabelli pokrzepiający uśmiech, po czym ruszył za Tonym w dół po schodach. Arabella, która szła za nimi, usłyszała, jak Tony mówi, że trzeba narąbać drzewa do pieca i że drewno oraz siekiera leżą na tyłach hotelu.

Kiedy Arabella stanęła w drzwiach kuchni, Maggie akurat myła kartofle w zlewie. Była najwyraźniej zdenerwowana.

Kuchnia była długim, wąskim pomieszczeniem z ławą na środku i szarymi komodami wzdłuż ścian. Obok ceglanego pieca i rusztu stały szafka na mięso z drucianą siatką z przodu, skrzynka na lód i duży regał wyładowany naczyniami. Pod jedynym niewielkim oknem z niezbyt atrakcyjnym widokiem na tylne podwórko i ubikację mieściły się zlew i suszarka. Podłoga była kamienna, a sufit wysoki na jakieś trzy metry; zwiślały z niego lepy na muchy.

– Tony prosił, żebym ci pomogła – rzekła cicho Arabella.

Maggie ledwie zerknęła na nią.

– Będę ci wdzięczna – odparła, zeskrobując ziemię ze świeżo wykopanych kartofli. – Potrzebuję pomocy właściwie we wszystkim, a nie udało mi się złapać ani Lily, ani Missy.

Wytarła ręce w fartuch, a chusteczką ocierała pot z czoła.

– Może skończyłabyś myć te ziemniaki, a potem je obierzesz. – Spojrzała na Arabellę i tym razem zauważyła, że dziewczyna nie nosi woalki. Spozstrzegła też jej nową sukienkę.

– Znowu byłaś w sklepie Mohometa Basheera? – spytała.

Arabella zrozumiała, że Maggie się wystraszyła.

– Nie.

– No to skąd ta nowa suknia?

– Jonathan... to znaczy... pan Weston mi ją kupił. Chciał, żebym z nim dzisiaj zjadła kolację, a ja tłumaczyłam, że nie mam w co się ubrać.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Och... – powiedziała – to bardzo... szlachetne z jego strony; zwłaszcza że raczej nie zarabia dużo pieniędzy na swoich fotografiach.

Przemknęło jej przez myśl, że może Arabella umyślnie napomknęła, że nie ma się w co ubrać, żeby Jonathan kupił jej suknię. Pewnie w ogóle by tak nie pomyślała, gdyby nie to, co Tony wbijał jej ostatnio do głowy. Oskarżał Arabellę o to, że jest samolubną egoistką.

– Musisz to włożyć, inaczej sukienka się zniszczy – stwierdziła i wyciągnęła z komody fartuszek.

Arabella posłusznie go włożyła. Poczowała się trochę dziwnie, bo nigdy dotychczas nie nosiła niczego takiego, ale nie chciała pobrudzić sukni. Nadal myślała o kolacji z Jonathanem, tyle że nie dzisiaj, bo w barze będzie na pewno tłum, a ona nie miała ochoty pokazywać się tyłu obcym ludziom. Podeszła do zlewu i popatrzyła na leżącą tam górę kartofli. Woda w misce, której Maggie już używała, była brudna po umyciu zaledwie paru sztuk. Już miała coś powiedzieć na ten temat, ale się powstrzymała.

Maggie uchyliła drzwiczki pieca i szufelką zaczęła wymiatać popiół z paleniska.

– Kiedy już skończysz mycie, wylej tę wodę na grządki warzyw z tyłu hotelu – rzuciła przez ramię.

– A czy teraz mogłabym wylać tam tę brudną wodę i nalać czystej do miski? – spytała Arabella z nadzieją w głosie.

– Nie, nie możesz! – z przerażeniem zawołała Maggie. – Musi ci wystarczyć tyle, ile masz.

Arabella aż się skuliła, kiedy musiała włożyć ręce do brudnej wody, zaczęła jednak czyścić kartofle. Czuła się fatalnie, ale nie miała odwagi się poskarżyć.

Kiedy Maggie wymiotła popiół z pieca na śmietniczkę, spojrzała na Arabellę. Ten widok sprawił jej fizyczny ból.

– Nie musisz ich tak dokładnie myć – rzekła – bo za moment je będziesz obierać! A kiedy już to zrobisz, poprzecinaj mniejsze na połówki, a większe na ćwiartki. Chcę je upiec razem z befsztykami. To będzie chyba najprostszy sposób, żeby nakarmić tyle osób!

Wszedł Jonathan, niosąc wiązkę drewna, które położył obok pieca.

– Jak pani idzie? – spytał Arabellę.

– Ona nie ma teraz czasu na pogawędkii! – burknęła Maggie. – A ja będę potrzebowała jeszcze jednej takiej porcji drewna.

Arabella przewróciła oczyma, ale Jonathan uśmiechnął się do niej i wyszedł.

Pół godziny później Arabella nadal walczyła z kartoflami. Tymczasem Maggie starała się zrobić wszystko, co do niej należało, włącznie z wykopaniem w ogródku kilku marchewek i przygotowaniem befsztyków. Kiedy spojrzała na niedużą kupkę obranych przez Arabellę kartofli, nie była zbyt zadowolona.

– Musisz się pospieszyć; poza tym obierasz te kartofle za grubo! – zwróciła jej uwagę. – Obieraj cienko, tylko łupinę; mamy mnóstwo gąb do nakarmienia, a kartofli wcale nie za dużo.

– Przepraszam... – wyjąkała Arabella bliska płaczu. Była spocona i ręce ją bolały. – Bo ja... – tu spojrzała na Maggie z zakłopotaniem – ja nigdy jeszcze niczego takiego nie robiłam!

– No dobrze, już ja to zrobię – niecierpliwie odparła Maggie. – A ty zeszkrob łupinę z tych marchewek. To chyba będziesz umiała?

Arabella była zadowolona, że może sobie dać spokój z kartoflami, ale bynajmniej nie była pewna, że lepiej jej pójdzie z marchewkami.

– Tak... myślę, że tak... – odparła niepewnie.

Wszedł Jonathan z kolejną wiązką drewna. Słyszał ostatnie słowa Arabelli.

Kiedy na niego spojrzała, wyprostował się i podniósł podbródek. Arabella była jednak zanadto przybita, żeby to poskutkowało. Pewność siebie nie wpływała na jakość jej pracy: wyraźnie zdawała sobie z tego sprawę.

Zatem Arabella skrobała i kroїła marchewki, oczywiście zbyt wolno jak na gust Maggie. W końcu kobieta wyprawiła ją z kuchni, każąc nakrywać stoły w jadalni: to nieco podniosło Arabellę na duchu, ale tylko trochę. W każdym razie nakrywanie do stołu było czynnością, którą w jakimś stopniu opanowała, biorąc pod uwagę, że dużą część życia spędziła z rodzicami w najrozmaitszych hotelach. Była też zadowolona, bo tę pracę uważała za czystą. Kiedy krążyła wokół stołów, ustawiając nakrycia, ze zdumieniem odkryła pod dużym obrusem... nogi fortepianu!

Na fortepianie stał duży wazon. Arabella zwróciła na to uwagę Maggie, kiedy ta weszła z tacą pełną solniczek i pieprzniczek do porozstawiania.

– Czemu ten fortepian jest zakryty obrusem? – spytała Arabella.

– Bo nikt tu nie umie grać – odparła Maggie – a ja mam już po dziurki w nosie odkurzenia go.

– A do kogo należy?

– Był tu, kiedy obejmowaliśmy ten hotel.

– Co za okropne marnotrawstwo! – orzekła Arabella, ale Maggie za bardzo się spieszyła, żeby zwrócić na to uwagę; wzruszyła tylko ramionami.

– Tony zawsze grozi, że go porąbie na podpałkę – rzekła i opuściła pokój.

Arabella aż krzyknęła, przerażona.

– Umiesz zrobić sos? – spytała ją Maggie, kiedy dziewczyna znów weszła do kuchni.

Arabella zamrugła powiekami, zaskoczona.

– Nie. Myśmy mieli kucharkę – odparła.

– Szczęściarze! – westchnęła Maggie z sarkazmem. – Chciałabym tu mieć kucharkę! To mi przypomina, że muszę znaleźć Lily i Missy. Wieczorem będą mi potrzebne do zmywania.

Maggie rozwiązała fartuch.

– Idę ich poszukać – oznajmiła. Mięso miała w piecu, a kartofle i marchew przygotowane do pieczenia. – Może byś dopilnowała, żeby ogień w piecu nie wygasł, kiedy mnie nie będzie? Inaczej mięso się nie upiecze. Chyba będzie trzeba znowu przeczyścić komin, bo czasem ogień gaśnie.

– Dobrze – z niepokojem odparła Arabella. – Ale co powinnam zrobić, gdyby zgasł?

– Dołożyć drewna, oczywiście! Ważne, żeby utrzymać w nim wysoką temperaturę. Kiedy wrócę, włożę do pieca kartofle.

Kiedy Maggie wyszła, Arabella postanowiła przyjrzeć się dokładniej fortepianowi w jadalni. Zdjęła wazon i podniosła obrus. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: stał przed nią salonowy fortepian w doskonałym stanie. Ciekawa była, do kogo też mógł należeć i dlaczego go zostawiono? Uderzyła w klawisze i słuchała. Okazało się cudem, że był nastrojony, i w dodatku miał przepiękny dźwięk! Przykryła go ponownie obrusem i wróciła do kuchni sprawdzić, co z ogniem w piecu. Próbowwała otworzyć drzwiczki, ale nie chciały ustąpić. Może się zapiekły, ale Maggie je otwierała. Zrozpaczona Arabella, wiedząc, że musi pilnować ognia, uderzyła młotkiem w rączkę. Drzwiczki się otworzyły, a na kuchnię wyleciał kłęb czarnego dymu, pokrywając sadzą jej twarz, szyję i piersi.

– Ojej! – krzyknęła głośno.

Tony wybiegł z baru.

– Co tu się dzieje, u diabła?! – krzyknął na widok pokrytej sadzą twarzy Arabelli. Wyglądała, jakby wyszła z komina. Podbiegł do pieca i zajrzał do środka. Jego zwykle opalona twarz zbieleła jak papier, tworząc idealny kontrast z twarzą Arabelli.

– Ja nie wiem! – wołała tamta. – Maggie mi kazała pilnować ognia, gdyby trzeba było dołożyć drewna!

Tony znowu zajrzał do pieca.

– Boże mój! Wie pani, co tu się mogło stać? Ma pani szczęście, że piec tylko wygasł... inaczej cały hotel poszedłby z dymem!

– Dlaczego?

– Kiedy w kominie zbierze się sadza i spadnie do pieca, z reguły wybucha pożar. – Tony podrapał się w głowę. – Dziwne, czyściłem komin parę miesięcy temu... muszę to sprawdzić.

W tym momencie wróciła Maggie. Na widok bałaganu otworzyła szeroko oczy. Czarna sadza pokrywała nie tylko twarz, włosy, ramiona i piersi Arabelli, ale też całuteńką podłogę.

– Co się stało? – spytała zdumiona. – Nie było mnie tylko kilka minut!

Nie mogła uwierzyć, że zostawiła Arabellę w kuchni na tak krótko, a po powrocie zastała katastrofę.

– Sadza spadła z komina – wyjaśnił Tony. – Nie mam pojęcia, jakim cudem, chyba że Arabella zatrzaskała drzwiczki.

– Nie zatrzaskałam ich. Nie chciały się otworzyć – nierozważnie odparła Arabella.

Tony zmarszczył brwi.

– I co pani zrobiła?

– Ja... uderzyłam w zasuwkę tym... – Wskazała na młotek leżący teraz na podłodze.

Maggie aż jęknęła.

– Myślałam o tym, że czas najwyższy przeczyścić komin – powiedziała. – W każdym razie mięso się uratowało, chociaż nie było upieczone.

– Ja to załatwię, Maggie – rzekł Tony, widząc, że żona jest bliska hysterii.

– Ale... ile to zajmie czasu? Za kilka godzin mamy gości na kolacji – jęknęła Maggie.

– Zrobię to jak najszybciej – obiecał Tony.

Ale Maggie wiedziała, że wyczyszczenie pieca z sadzy zajmie Tony'emu co najmniej godzinę. Dopiero wtedy będzie można na nowo rozpalić ogień. Oskarżycielsko patrzyła na Arabellę.

– Nie wiedziałam, że coś takiego może się stać... – rzekła tamta żałośnie. Z oczu popłynęły jej łzy, żłobiąc smugi w usmolonej twarzy.

– Idź się umyć – ostro rzuciła Maggie.

To był wypadek, ale nie zdarzyłby się, gdyby Arabella nie uderzyła w zasuwę młotkiem; a teraz, kiedy tylu ludzi miało się wkrótce zjawić, Maggie bynajmniej nie potrzebowała podobnych wydarzeń!

– Posprzątam tu. – Znowu spojrzała na piec. – Moje befsztyki jeszcze nie są gotowe – rzekła. Odwróciła się i zobaczyła, że taca z kartoflami, stojąca na ławie po środku kuchni, też jest pokryta sadzą. Zebrało jej się na płacz. – Będę musiała umyć te kartofle – rzekła, z pretensją patrząc na Arabellę. – Ani słowa o tym gościom! Nie chcę, żeby wiedzieli, że ich jarzynka była posypana sadzą!

Dziewczyna przytaknęła i ze spuszczoną głową wyszła z kuchni.

Miała wrażenie, że Maggie chce się jej pozbyć, bo Arabella bardziej przeszkadzała, niż pomagała; zresztą nie miała zamiaru z tym dyskutować. Chlipiąc, wróciła do siebie i umyła się najdokładniej, jak mogła, w misce wody, co trwało wieki. Nigdy przedtem nie marzyła tak o kąpieli, jak w tej chwili.

Następnie wyczesła z włosów czarny pył i wytrzeptała je, stojąc na balkonie, po czym umyła twarz i

ręce. Usiłowała tą samą wodą sprać sadzę z białej sukni, ale ją tylko rozsmarowała, tak że strój wyglądał jeszcze gorzej. Potrzebna jej była duża miska czystej wody i właśnie się zastanawiała, jak ją zdobyć, kiedy usłyszała niecierpliwe stukanie do drzwi.

To znów był Tony.

Arabella już była przebrana w jasnoniebieską suknię z granatowymi wypustkami. Tony zauważył, że dziewczyna ma na sobie nową suknię.

– Czyżby pani znowu kupowała ubrania na nasz rachunek? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Nie. Tę kupił dla mnie pan Weston – odparła Arabella.

Oczy Tony’ego zwięziły się.

– Naprawdę? Teraz? Jak pani to od niego wydebiła?

Arabelli nie podobały się te insynuacje.

– Wcale go o to nie prosiłam, jeżeli o to panu chodzi. Zaprosił mnie na kolację, a ja odmówiłam, ponieważ nie miałam odpowiedniego stroju. Zaraz potem zostawił mi pod drzwiami paczkę. Były w niej dwie sukienki. Uważam, że to bardzo uprzejmy i szczodry gest z jego strony.

– Jeżeli pani tak twierdzi... – sarkastycznie rzekł Tony. Jej słowa tylko umocniły go w przekonaniu, że Arabella wykorzystuje ludzi. – Jest pani potrzebna na dole.

Arabella poczuła, że serce jej stanęło.

– Ja... naprawdę nie czuję się zbyt dobrze, Tony. Boli mnie głowa. Czy Maggie nie poradzi sobie beze mnie?

– Uważa pani, że mnie nie boli głowa? Maggie zapewne też nie czuje się najlepiej. No, ale trudno: mamy dużo pracy i musi pani nam pomóc.

– A co mam robić?

– Będzie pani podawać posiłki i drinki gościom.

Arabellę zatkało.

– Pan chce, żebym była... kelnerką?

– Jeżeli pani to chce tak elegancko nazwać... Idziemy!

Arabella się przeraziła.

– Nie mogę się tak pokazać – zawołała, wskazując swoją twarz. Była bliska płaczu.

– Tylko niech pani nie przyjdzie do głowy, żeby wkładać tę idiotyczną woalkę! Nasi goście nie mogą pani oglądać w tak durnym przebraniu.

– Skoro zobaczą moją twarz, będą mieli o czym mówić, nie sądzi pan?! – zawołała Arabella. – Nie mam ochoty, żeby cała okolica obgadywała mój dziwaczny wygląd.

Tony westchnął i potrzęsnał głową.

– Mieszkańcy codziennie walczą, żeby utrzymać się przy życiu. Bydło zdycha z głodu i pragnienia. Poganiacze muszą je pędzić setki kilometrów, by znaleźć pożywienie i wodę, albo starają się sprzedać zwierzęta na targach, zanim będzie za późno. I pani naprawdę myśli, że będzie ich obchodzić pani spalona twarz?

Dolna warga Arabelli zadrżała.

– Mogę panią zapewnić, że ludzie z Lizard Creek będą się chcieli po prostu dobrze zabawić – mówił Tony. – Ich interesuje tylko jedzenie i grog. Wątpię, żeby zwrócili na panią uwagę.

Słowa właściciela hotelu dotknęły Arabellę, ale narastało w niej o wiele silniejsze uczucie. Strach! Ona miałaby zejść na dół i obsługiwać gości? Robić coś, czego nigdy dotychczas nie robiła? I to w dodatku z twarzą koloru buraka! Odechce im się jeść!

– Ale ci... goście... jeszcze nie przyszli, prawda?

– Kilku już jest i chcą pić. Muszę wracać do baru. A pani ma zaraz zejść do kuchni.



Mimo że Tony powiedział, iż nikt się nie będzie przejmował jej wyglądem, Arabella nadal się tym martwiła.

– A czy Maggie nie mogłaby podawać? A ja zostałabym w kuchni?

Cierpliwość Tony’ego została wystawiona na próbę.

– Boję się, że nie będzie chciała zostawić pani kuchni pod opiekę!

Arabella się zawstydziła.

– A co będzie, jeżeli upuszczę talerz z jedzeniem albo wyleję napój na kogoś z gości? – rzekła w nadziei, że odwiedzie Tony’ego od tego pomysłu.

– Słuchaj no, panno Fitzherbert! Każda strata kosztuje pieniądze! Nie możemy sobie pozwolić na nic takiego. Te pieniądze, które goście dzisiaj przyniosą, są potrzebne, żeby utrzymać się przy życiu, więc... proszę się postarać!

– Dobrze... – ponuro zgodziła się Arabella.

– Dotychczas nie zdołałam znaleźć Lily ani Missy! – zawołała Maggie, kiedy Arabella znów się pojawiła na dole. – Możesz obrócić kartofle i marchewki, a ja przez ten czas ich poszukam?

– Tak – odparła Arabella, biorąc wielki widelec z rąk Maggie.

– Tylko nie dotykaj paleniska ani nie zatraskuj drzwiczek! – dodała Maggie po chwili. – Nie ma już czasu, żeby porządnie przeczyścić komin, więc sadza mogłaby znowu spaść.

Palenisko dawało mnóstwo ciepła, tak że w kuchni było duszno i gorąco. Podczas obracania kartofli Arabella spływała potem. Chciała coś zrobić, żeby zadowolić Maggie i naprawdę się starała, ale żar sprawiał, że była bliska omdlenia. Właśnie wkładała do pieca półmisek z warzywami, kiedy wszedł Jonathan.

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Tak. Tylko nie jestem przyzwyczajona do takiego gorąca... – Arabelli nagle zaświtała myśl. – Wie pan, jak przygotować sos, Jonathanie?

Wiedziała, że istnieje mała szansa, by to kiedykolwiek robił, ale pomyślała, że może towarzyszyć matce przy gotowaniu.

– Tak.

– Naprawdę? To bardzo trudne?

– Bynajmniej. W domu byłem jednym z czterech chłopaków, sióstr nie mieliśmy, więc czasami pomagałem mamie. Ale proszę tego nikomu nie mówić – dodał z uśmiechem.

– A co jest do tego potrzebne?

– Tylko mąka i ten sok, który się zdejmuje z patelni po upieczeniu mięsa.

– Jaki sok? Z patelni?

– No tak, kiedy mięso się już upiecze, bierze pani patelnię i zlewa nadmiar tłuszczu, dodaje mniej więcej trzy łyżki stołowe mąki i trochę wody, a następnie wszystko miesza, tak, żeby zebrać z patelni cały zapach i wilgoć. Potem stawia pani patelnię na gorącym ruszcie i znowu miesza, aż mąka zgęstnieje; można ewentualnie dodać jeszcze trochę wody. I pyszny sosik gotowy!

– Mogę to zrobić – powiedziała Arabella. Miała nadzieję, że zrobi wrażenie na Maggie. – Mógłby pan rozpalić pod rusztem?

– Tak, oczywiście. – Od razu zabrał się do roboty.

Kiedy wyszedł, Maggie wróciła z wiadomością, że znalazła Lily i Missy. Niestety obydwie były pijane.

– Zawsze mnie zadziwia, że niektórzy poganiacze bydła pozwalają pić Aborygenkom! Wiedzą przecież, że nie umieją tego robić... – mruzczała gniewnie. – Prosiłam Ritę, żeby pomogła im wytrzeźwieć i przysłała je później do hotelu. Mam nadzieję, że się uda, bo wolałabym nie oglądać ich w takim stanie

w kuchni! – Sprawdziła kartofle. – A teraz idź i pomóż Tony’emu. Już za późno, żeby namoczyć groch... ale mam w kredensie kilka puszek groszku konserwowego... trzymam go na specjalną okazję. Otworzę je.

W barze Arabella starała się nie zwracać uwagi na zdziwione spojrzenia mężczyzn, kiedy roznosiła piwo na tacy. Taca mieściła osiem szklanek i była naprawdę ciężka. W dodatku Arabella tak się trzęsła ze zdenerwowania, że piwo się rozlewało. Kiedy wróciła do baru, Tony polecił jej, żeby uważała, bo mężczyźni nie lubią, kiedy szklanki nie są pełne. Arabella chciała odpowiedzieć, że klienci powinni sami podchodzić do baru i brać sobie piwo, ale rozmyśliła się. Tony już i tak był na nią zły. Wzięła kolejną partię alkoholu i podeszła do stołu. Kiedy cicho ustawiała napoje przed gośćmi, ci przypatrywali się jej ciekawie. Zdumiewało ich, że nic nie mówi ani się nie uśmiecha. Arabella nie wiedziała, że ludzie z głębi kraju zwykle zachowują się bardzo przyjaźnie, ale wielu poganiaczy bywała krępuje się kobiet; zwłaszcza ci, którzy rzadko bywają w mieście. Oczywiście, było też kilku takich, jak na przykład Wally, którzy z pewnością nie znali słowa „nieśmiałość”.

Tony znowu ustawił napoje na tacy. Spojrzał na Arabellę i zaczął tłumaczyć:

– Oni wcale nie patrzą na pani opaleniznę. Po prostu każda nowa twarz w mieście wzbudza zainteresowanie. A gdyby się pani jeszcze uśmiechała, wpłynęłoby to korzystnie na mój interes.

Arabella zaniósła piwo do kolejnego stołu.

Tym razem jeden z mężczyzn, Colin Robinson, się odezwał:

– Nie widziałem cię tutaj przedtem – rzekł. – Skąd jesteś?

– Z Londynu – chłodno odparła Arabella.

– To Fitzi! – wykrzyknął Wally Jackson. – Siedział przy barze razem z Barrym Bonzarellim. – Hej, Fitzi, a gdzie się podział twój fikuśny strój?! – zawołał w jej stronę.

Arabella próbowała nie zwracać na niego uwagi, ale to było zbyt krępujące.

– Jak ci na imię, kotku? – spytał Les Mitchell. Po paru drinkach mężczyźni nabrali odwagi.

– Arabella Fitzherbert – odparła spokojnie. Nie była w stanie spojrzeć tym ludziom w oczy. Zerknęła w stronę baru, gdzie Jonathan pomagał Tony’emu. Widziała, że jej współczuje.

– Od kiedy jesteś w mieście? – spytał inny z mężczyzn.

– Nie wiem – odpowiedziała i odeszła.

Słyszała, jak mężczyzna za jej plecami mruczy, że jest „nieprzyjemna”, ale było jej wszystko jedno. Nie chciała z nimi rozmawiać, bo mogliby zacząć pytać, dlaczego wygląda jak przejrzały pomidor.

Kiedy wróciła do kuchni po obsłużeniu gości, na gorącym talerzu leżały już befsztyki; tace z kartoflami i marchewką jeszcze były w piecu. Tymczasem z podwórka wróciła Maggie: ostrzyła tam nóż na kamiennym stopniu.

– Chyba mogłabym zrobić trochę sosu, Maggie – zaproponowała Arabella.

– Myślałam, że nie umiesz – przypomniała jej Maggie podejrzliwie. Miała już dosyć nieudanych prób.

– To nie takie trudne – odrzekła Arabella. – Jonathan mi powiedział, jak zrobić sos. Masz trochę mąki?

– Tak, jest w spiżarni.

Maggie podała jej mąkę, tymczasem Arabella zlała z patelni tłuszcz pozostały po befsztykach. Następnie dodała trzy łyżki stołowe mąki – tak, jak mówił Jonathan – i trochę wody. Mieszała sos nad rozgrzanym rusztem. Nic się nie działo i zaczęła się denerwować, jednak mieszała dalej. Wkrótce mąka zbrązowiała i zgęstniała, ale miała trochę grudek. Maggie złapała trzepaczkę do piany i ubijała z pasją, aż grudki zniknęły. Arabella poczuła ulgę, nie tak jednak wielką jak Maggie, kiedy sos nareszcie wyglądał na jadalny.

– Wygląda nieźle – rzekła Maggie. Zanurzyła palec w sosie i sprawdziła, jak smakuje. Następnie

dodała szczyptę soli.

– No, jak? – spytała Arabella.

– Może być – odparła Maggie – ale nie do końca. Dodaj jeszcze trochę wody.

Arabella posłuchała.

Akurat przechodził Jonathan z kubelkiem, który miał opróżnić na zapleczu. Spojrzał na sos i szeroko się uśmiechnął do Arabelli.

Maggie zabrała się do krojenia mięsa. Wykładała plastry na talerze. Kolacja była spóźniona o ponad godzinę i goście już się bardzo niecierpliwi. Większość mężczyzn była podpita.

– Zanieś to do jadalni – zarządziła Maggie, ustawiając talerze z jedzeniem. – I spiesz się, żeby nie wystygło!

Arabella wzięła dwa talerze.

– Nie możesz wziąć więcej? – zrzędziła Maggie.

– Nie, chyba że chcesz, żeby spadły na podłogę – odparła Arabella.

Maggie uznała, że lepiej nie naciskać; sama wzięła cztery talerze i zaniósła gościom, których serdecznie przywitała. Dla państwa Maxwell i ich syna Troya nakryła specjalny stolik. Przywitała się z nimi, ale nie miała czasu się zatrzymać; czym prędzej pobiegła z powrotem do kuchni szykować kolejne porcje.

Kiedy Arabella z talerzami mijiała bar i salon w drodze do jadalni, Wally Jackson znowu ją zaczepił. Im bardziej był pijany, tym głośniej mówił; w dodatku niebawem wszyscy mężczyźni mówili do niej „Fitzi”, nawet goście. Wściekało ją to. Starła się nie zwracać uwagi na Wally’ego Jacksona, ale irytował ją coraz bardziej. W końcu nie mogła już tego wytrzymać.

– Nie nazywam się Fitzi! – zawołała ze złością.

– Fitzi... Fitzherbert. Co za różnica? – odparł ze złośliwym uśmiechem.

Spojrzała w jego przekrwione oczy. Wiedziała, że przyszedł do baru jako jeden z pierwszych, bo słyszała jego głos; wiedziała też, że wypił o wiele za dużo.

– Dla pana jestem panną Fitzherbert – odparła stanowczo.

– No to załóż znowu ten fikuśny strój – powiedział. – Goście pana Maxwella będą się mieli z czego pośmiać!

– Musi im wystarczyć pana pijackie zachowanie – odcięła się.

– Ja ppp...przynajmniej nie mam twarzy jak burak! – wybełkotał.

Arabella poczuła się niesłychanie upokorzona. Zniżyła głos i syknęła:

– Na pana miejscu nie byłabym taka bezczelna... widziałam już pana goły tyłek i zapewniam, że to niezbyt piękny widok!

Nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś podobnego, ale była tak rozgniewana, że te słowa po prostu same jej się wymknęły.

Wally’emu na moment zabrakło tchu.

– O... o czym ty gadasz? – spytał, patrząc po swoich kolegach, niepewny, czy ma od niej zażądać dowodów, czy jednak... nie. Tony i Stuart Thompson schodzili właśnie do piwniczki po nową beczkę piwa. – Prawie każdy tutaj widział mój goły tyłek, i co z tego... prawda, Bonzarelli? – Śmiał się, ale Arabella marzyła o tym, żeby go pogiębić.

– O, w to nie wątpię – odparła. – Ale... – tu przełknęła łyżę wściekłości – czy wiedzą, że kiedy zdejmujesz spodnie, kwiczysz... jak świnia? – Tu spojrzała na Barry’ego Bonzarelliego. – Wystarczy zapytać Lily – dodała.

Mężczyźni przy barze wybuchnęli śmiechem, kiedy Arabella wyszła. Dosłownie trzęsła się ze złości.

Gdy wróciła do kuchni, Maggie spytała, co się stało.

– To ten... Wally Jackson. Jest taki... denerwujący. – Otarła łyzy chusteczką.

– Nie zwracaj uwagi na Jacko. Jest nieszkodliwy. A nawet, kiedy się go pozna bliżej, okazuje się, że ma całkiem dobre serce.

– Nie mam ochoty go poznawać – rzuciła ze złością Arabella.

Miała wrażenie, że Maggie dostrzega w ludziach same dobre cechy, nie była jednak pewna, czy należy ją za to podziwiać.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałaś nic, co by go mogło obrazić w obecności kolegów – dodała Maggie. – Tego nie wolno robić w takim małym miasteczku. Mężczyźni są w takich wypadkach bardzo wrażliwi.

Arabella spłonęła rumieńcem, ale że cerę miała spaloną, Maggie niczego nie zauważyła.

Chwilę odczekała, żeby się opanować, po czym wzięła następną porcję talerzy. Tym razem Wally się nie odezwał. Chociaż nie patrzyła w jego stronę, zdawała sobie sprawę, że na nią zerka i że inni mężczyźni ciągle się z niego wyśmiewają.

Kiedy wróciła do kuchni, zastała Maggie zdenerwowaną. Nie rozumiała, o co chodzi, gdyż wszystkie talerze już zostały pomyślnie wydane gościom. Myślała, że Maggie powinna być zadowolona.

– Coś się stało? – spytała.

– Muszę trochę posiedzieć z gośćmi. Mogłabyś pozbierać puste talerze i przypilnować Lily i Missy, żeby zaczęły zmywanie, kiedy tylko się zjawią? Rita obiecała, że je tu przyprowadzi. Co też je mogło zatrzymać? – mówiła Maggie, zdejmując fartuch.

Arabella była bardzo zmęczona, więc modliła się, żeby Aborygenki przyszły czym prędzej, bo jeżeli nie, Maggie poprosi ją o zmywanie.

– Gdyby się nie pojawiły, zacznij zmywać sama – poleciła Maggie (zgodnie z tym, czego Arabella się obawiała). – Inaczej będę tu musiała siedzieć aż do jutra rana. Wrócę, to ci pomogę.

Arabella ustawiała właśnie przyniesione z jadalni talerze, kiedy usłyszała donośny głos z podwórka. Wyjrzała przez okno i zobaczyła Ritę, która wymyślała Lily i Missy. Obok leżało wiaderko. Arabella nie była pewna, czy któraś z kobiet je upuściła, czy Rita je kopnęła. Wyglądała na bardzo rozżłoszczoną, ale ponieważ Lily i Missy ciągle się kłóciły, nie zwracały na to uwagi. Na sam widok Rity Arabelli zatrząsły się nogi. Modliła się, żeby ta straszna baba nie weszła razem z tamtymi do kuchni.

Modły Arabelli zostały wysłuchane: Missy i Lily wtargnęły do kuchni same. Serce jej stanęło, bo widziała, że Missy dalej jest pijana, a Lily nie wygląda o wiele lepiej.

– Maggie mi poleciła wam powiedzieć, żebyście się zabrały do zmywania – rzekła Arabella nerwowo.

Kobiety nadal się sprzeczały i nawet jej nie zauważyły. Kłóciły się po trosze we własnym języku, ale od czasu do czasu Arabella wychwytywała jakieś angielskie słowa. Zrozumiała, że kłócą się o jakiegoś mężczyznę. Missy zabrała się do zbierania talerzy do mycia, była jednak w takim stanie, że jeden upadł na podłogę i się rozbił.

– O nie! – westchnęła Arabella. Pochyliła się, żeby pozbierać skorupy. Nie chciała wzywać Maggie, wołała sama opanować sytuację.

Lily zaczęła krzyczeć na Missy i kobiety rzuciły na siebie. W pierwszej chwili Arabella pomyślała, że dobrze, żeby Rita jednak była w pobliżu, by jej pomóc, bo zaczęły się bić i wrzeszczeć. Gdyby nie to, że goście w barze i salonie akurat śpiewali, Maggie mogłaby je usłyszeć.

– Stop! – krzyknęła Arabella, zanadto przerażona, żeby rozdzielić Lily i Missy. Złapała kubek i chlapnęła wodą z miski do mycia naczyń na rozwścieczone kobiety. To powstrzymało je na moment. Missy wykorzystała sytuację i uciekła przez tylne wyjście, Lily poszła w jej ślady, wrzeszcząc na koleżankę.

– Co tu się dzieje? – spytał Jonathan. Szedł właśnie zobaczyć, jak Arabella sobie radzi, kiedy usłyszała awanturujące się Aborygenki.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziała bez tchu. Trzęsa się jeszcze cała. – Lily i Missy miały zmywać, ale zaczęły się bić. Czy Rita jest w barze?

– Maggie powiedziała, że miała kłopoty z żołądkiem, bo za dużo wypła, i wróciła do obozu. Chyba potrzebna pani pomoc. – Zerknął na wodę rozlaną na podłodze.

– Przecież pan pomaga Tony’emu w barze.

– Da sobie radę. Właśnie przyszedł Stuart Thompson i teraz to on mu pomaga.

– Mam nadzieję, że Missy i Lily się nie pozabijają. Naprawdę się strasznie kłóciły.

– Nie martwiłbym się o nie. Rano nie będą nawet pamiętać, o co im poszło.

Jonathan zabrał się do zmywania, Arabella wycierała.

– Niezupełnie taki był ten wieczór, jak planowaliśmy, prawda? – powiedział, uśmiechając się do niej ciepło.

– O, na pewno nie. – Zaczynała się uspokajać. – Nie podziękowałam panu jeszcze za suknie. To było bardzo wielkoduszne z pana strony.

– Dama nigdy ich nie może mieć za dużo, prawda?

– Boję się, że jednej z nich już się nie da uratować. Z paleniska wysypała się sadza i cała mnie oblepiła. Byłam co prawda w fartuchu, ale mimo to suknia ucierpiała. Chyba mam jeszcze dotąd sadzę we włosach.

– Czyli miała pani wieczór pełen zdarzeń!

– O, najgorszy w moim życiu. Naprawdę nie wiem, jak ktoś mógłby z własnej woli spędzić w tym miasteczku więcej niż minutę!

– Czasami trzeba patrzeć z bardzo bliska, by zobaczyć dookoła siebie ukryte piękno – wygłosił Jonathan.

– Marree jest najbrzydszym miejscem, jakie w życiu widziałam – stwierdziła Arabella. – Domy się sypią, w powietrzu cały czas unosi się czerwony pył, Aborygeni żyją w nędzy... Dzielnica afgańska jest ordynarna. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy stąd wyjadę.

Nie dostrzegła cienia smutku w ciemnych oczach Jonathana.

– No, to już wszystkie talerze i sztucce – oznajmił, wręczając Arabelli ostatni umyty talerz.

– Nareszcie! – powiedziała, wytarła talerz i odstawiła na suszarkę na kredensie kuchennym. Nigdy w życiu tak się nie napracowała. W gruncie rzeczy właściwie dotąd naprawdę nic nie robiła; była pewna, że rodzice nigdy by nie uwierzyli, gdyby im powiedziała, że myła naczynia w hotelu.

Do kuchni weszła Maggie z tacą pełną szklanek. Była najwyraźniej zaskoczona widokiem Jonathana przy zlewie.

– Czy Lily i Missy nie przyszły?

– Były tu, ale pijane i zostały tylko tak długo, żeby podrapać jedna drugą i potłuc talerz – z niesmakiem powiedziała Arabella.

Maggie przymknęła oczy i westchnęła z rozpaczą.

– Widzę, że pozmywaliście talerze. To bardzo ładnie z waszej strony – rzekła i spojrzała na Jonathana. – Dziękuję ci. – Słysząc było, że jest strasznie zmęczona. – Wszyscy już sobie poszli, z wyjątkiem jednego małżeństwa ze stacji, a i oni też kończą ostatnie drinki. Tony odprowadza Wally’ego Jacksona... on nigdy nie potrafi znaleźć drogi do domu, a Frankiego Millera, który zwykle to robi, dzisiaj nie ma w mieście.

Maggie odstawiła szklanki na ławę. Poczowała, że nogi jej się uginają, i musiała się oprzeć ręką, podczas gdy drugą przyłożyła do piersi.

Jonathan podbiegł do niej.

– Co się stało, Maggie? – spytał.

– Tylko... trochę mi niedobrze – odparła. – To mi się zdarza... czasami.

– Powinnaś się położyć.

Tony wszedł do kuchni i zobaczył żonę bliską omdlenia oraz Jonathana i Arabellę, wpatrzonych w nią z niepokojem.

– Maggie! Co ci jest?! – zawołał, podbiegając do niej.

Arabella zauważyła, jak bardzo się przejął.

– Nic poważnego – odparła Maggie. – Tylko przez chwilę źle się poczułam. To z gorąca.

– Jesteś przemęczona. Pomogę ci wejść na górę – mówił Tony.

– Nie zamartwiaj się, kochanie. Nic mi nie jest. A zresztą jest jeszcze trochę roboty.

– Nie kłóć się – twardo rzucił Tony. – Powinnaś się położyć. To był długi dzień... dla nas obojga.

– Ale szklanki...

– My się tym zajmiemy – wtrącił Jonathan.

– Już tyle zrobiliście... – zaprotestowała Maggie.

– Oj, raptem parę szklanek! – zawołał Jonathan. – Proszę iść do łóżka.

– Dziękuję... – szepnęła Maggie i z radością wsparła się na ramieniu męża.

Arabella jęknęła w duchu.

– Też jestem strasznie zmęczona... – poskarżyła się, kiedy McMahonowie już jej nie mogli słyszeć. –

Czy te szklanki nie mogą poczekać do jutra rana?

– Proszę sobie wyobrazić, jak Maggie się będzie czuła, kiedy je zobaczy rano! – rzekł Jonathan.

O tym nie pomyślała; była zdumiona subtelnością Jonathana. Uznała, że jest bardzo troskliwym mężczyzną, w dodatku pełnym niespodzianek. Pomyślała też, że chyba niewielu mężczyzn zgłosiłoby się dobrowolnie do zmywania naczyń. Nie pamiętała, żeby jej ojciec kiedykolwiek zbliżył się do kuchni, nawet tego dnia, kiedy ich gospodyni miała wychodne.

Jonathan poszedł do baru po resztę szklanek. Właśnie wracał z pełną tacą, kiedy wpadł na Tony'ego, który schodził ze schodów.

– Proszę dać sobie spokój ze szklankami – zakomunikował. – Oboje się dość napracowaliście. Już przedtem wam chciałem powiedzieć, jak bardzo Maggie i ja doceniamy waszą pomoc.

– Jest pan pewien, że nie powinniśmy myć teraz tych szklanek? – spytał Jonathan.

– Tak. Inaczej siedzielibyście tu aż do świtu, a na pewno jesteście zmęczeni. Szklanki mogą poczekać.

– Wobec tego wstaniemy rano i zmyjemy je jutro – oznajmił Jonathan. – Proszę powiedzieć Maggie, żeby nie wstawiała.

– Spróbuję – mruknął Tony – ale wiem, że mnie nie posłucha.

– A gdzie jest Stuart Thompson? – zainteresował się Jonathan.

– Już chyba godzinę temu poszedł spać. Był wykończony, ale nie dziwię mu się. Dzisiaj pokonał drogę do Oodnadatta, aż do ogrodzenia przed psami dingo[5]. Pojechał tam z Goolimem Rasoolem i jego wielbładami. Wiem, że wyjeżdżali wcześniej rano. To było naprawdę bardzo piękne z jego strony, że mi pomógł w barze. Był zmordowany jak pies, kiedy wrócił. Dobranoc...

– Dobranoc – odparł Jonathan.

Po chwili znów wszedł do kuchni.

– Właśnie rozmawiałem z Tonym, powiedział, żebyśmy zostawili to zmywanie do jutra rana – zwrócił się do Arabelli, której najwyraźniej sprawiło to ulgę.

Kiedy wchodzili po schodach, zagadnął:

– A mówiąc o jutrzejszym dniu: zechciałaby pani pójść ze mną na spacer?

- Dokąd? – zdziwiła się Arabella. Nie wyobrażała sobie, żeby gdziekolwiek w Marree mogło być coś ciekawego.
- Do Ghan. Muszę porozmawiać z Paddym Khanem: ma mnie zawieźć jutro do jeziora Eyre. Chcę tam zrobić kilka fotografii.
- Myślę, że nie – odparła Arabella.
- Jonathan nie był zaskoczony.
- Będzie pan pływał w jeziorze? – spytała.
- Roześmiał się.
- W tym upale to byłoby cudowne, ale nie. Jezioro Eyre to płaska jak stół tafla soli. Napełnia się wodą tylko wtedy, kiedy wylewają rzeki Diamantina i Warburton Creek z Queensland, a to się zdarza niezmiernie rzadko. Byłem już tam. W świetle zachodzącego i wschodzącego słońca widok jest nadzwyczajny, więc chciałbym zrobić więcej zdjęć.
- I co pan robi z tymi fotografiami?
- Kiedy już będę miał pełną kolekcję naprawdę dobrych zdjęć, urządzę wystawę i sprzedam je.
- A są dobre?
- Jonathan był skonsternowany jej bezpośredniością.
- Niektóre... – odparł. Był poruszony jej stosunkiem do tej okolicy i sądził, że byłoby dla niej dobrze, gdyby z nim poszła do miasta i trochę poszerzyła swoje horyzonty. – Afgańczycy to wspaniali ludzie, kiedy się ich pozna bliżej – ciągnął. – A Paddy to wyjątkowy charakter. Jak się pani domyśla po jego imieniu, jest pół-Irlandczykiem, pół-Afgańczykiem.
- Arabella nadal nie była pewna.
- Proszę się zgodzić – prosił Jonathan. – Spacer nie będzie długi, a pani wyrwie się hotelu.
- No, dobrze – przytaknęła Arabella.



# Rozdział szósty

---

Kiedy następnego ranka Arabella zeszła na dół, zastała Maggie w kuchni. Szklanki były już pozbierane ze wszystkich stołów i gotowe do umycia. W momencie, gdy dziewczyna weszła do kuchni z korytarza, tylnymi drzwiami wpadły Missy i Lily. Towarzyszyła im Rita: wyglądała dzisiaj zaskakująco nieskazitelnie w czystej, ale jak zawsze różowej sukience. Jej niewątpliwe upodobanie do tego superkobiecego koloru wydało się Arabelli zagadkowe. Na szczęście Rita nie zwróciła na nią w ogóle uwagi, natomiast Missy i Lily, zawstydzone, zwiesiły głowy. Arabelli natychmiast przyszedł na myśl widok dwójki niegrzecznych uczniów, którzy za chwilę mają dostać burę.

– Te dwie mają pani coś do powiedzenia – rzekła Rita, patrząc na winowajczynię.

Chociaż zachowanie Lily i Missy nie zrobiło wrażenia na Arabelli, było jej ich żal: w końcu gniew tej starej Aborygenki Rity to nie przelewki! Kobiety z nosami na kwintę patrzyły na Maggie wielkimi ciemnymi oczyma.

– Przepraszam, żeśmy nawaliły, pani... – odezwała się Lily.

W tym momencie zobaczyły stertę brudnych szklanek.

– Możemy to teraz pozmywać, pani? – spytała Missy.

Nadal zmęczona Maggie uznała, że tym razem nie będzie dla nich pobłażliwa.

– Zrobi to dwójka moich gości – powiedziała. – Wczoraj też pozmywali wszystkie brudne talerze i sztućce – dodała.

Maggie zawsze o świcie była na nogach, ale dziś rano spała trochę dłużej. Mimo to nie zaskoczyło jej, że i tak wstała wcześniej niż Arabella i Jonathan, którzy wczoraj ofiarowali się, że pozmywają rano resztę naczyń. Nie chciała jednak, żeby Lily i Missy o tym wiedziały.

– Proszę pozwolić, pani... – nalegała Missy.

Maggie wiedziała, że kobiety potrzebują pieniędzy.

– No dobrze. Lily, umyjesz podłogę, a Missy tymczasem zaczniesz zmywać szklanki. Ale dostaniecie tylko połowę tego, co obiecałam, bo zrobicie tylko połowę roboty... a poza tym słyszałam, że któraś z was wczoraj mi stłukła talerz.

– Dobrze, pani. W porządku – zgodziła się Missy.

Arabella zauważyła, że jedna z kobiet ma pod okiem ogromny siniak, a druga – zadrapania na twarzy. Pierwsza myśl, która jej się nasunęła, była taka, że kobiety po wyjściu z hotelu ostro się pobiły, ale gdy spojrzała na gniewną twarz Rity, domyśliła się, że to pewnie ona je zaatakowała.

– A ty jak się czujesz, Rito? – zapytała Maggie.

– Dobrze, pani.

– Człabyś się jeszcze lepiej, gdybyś dała sobie spokój z piciem grogu. Wiesz, że ci to szkodzi na żołądek.

– Wiem, pani.

Rita potarła brzuch i skrzywiła się boleśnie.

Maggie podejrzewała, że kobieta musi cierpieć na wrzody żołądka, wiedziała jednak, że Aborygenka i tak nie przestanie pić. Picie było jej słabością i – na nieszczęście – mężczyźni dobrze o tym wiedzieli. Kiedy się upiła, przestawała się troszczyć o swoje podopieczne, a oni czym prędzej z tego korzystali. Poza tym Maggie wiedziała, że bywalcy jej hotelu traktowali pijaństwo Rity jako coś w rodzaju wyzwania, zwłaszcza kiedy większość z nich leżała pod stołem, Rita potrafiła pić dalej.

Arabella przyniosła do kuchni miskę wody, do której wcześniej włożyła niegdyś białą sukienkę.

Rozpuszczona sadza sprawiła, że wszystko miało niewyraźny, szary odcień.

– Maggie, kto tutaj robi pranie? – spytała Arabella po wyjściu Rity.

Maggie spojrzała na nią ze zdumieniem. Zajrzała do miski.

– Ja piorę rzeczy Tony’ego i moje, no i pościel. Goście sami zamują się swoim praniem. Mogę dać ci kubek wody ze studni, to ją wypierzesz – dodała, znowu oglądając sukienkę.

– Jaaa? – spytała Arabella ze zdumieniem.

– A któż by? – rzuciła Maggie. – Pompa na wodę ze zbiornika jest za domem, pomiędzy kurnikiem a grządkami jarzyn.

– Ale ja... myślałam, że angażujecie kogoś do prania...

– Na litość boską, nie, chociaż może to ci się wyda dziwne. Wątpię, żeby właściciele hoteli w Anglii sami sobie prali, ale tutaj żyjemy inaczej. Zarabiamy naprawdę bardzo mało, a już na pewno za mało, żeby płacić wynajętym pracownikom! Mój mąż i ja właściwie wszystko robimy sami. Kiedy potrzebujemy mięsa, Tony musi zarzącić jagnię albo młodego wołu... Jeżeli trzeba, sam też naprawia dach. Ja piekę chleb w naszej własnej piekarni, czasem tyle, żeby starczyło dla całego miasta... Sama myję okna, czego nie cierpię. No, rzadko to robię. Bez przerwy nawiewa tu tyle kurzu, że byłaby to tylko strata energii. Tyle że angażuję Lily i Missy do zmywania, jeżeli mamy więcej gości na kolacji. A nawet wtedy muszą zrozumieć, że nie zapłacę im dużo.

Arabella postanowiła poczekać z praniem sukienki, to zadanie bynajmniej jej nie pociągało. Zrobi to po śniadaniu. Kiedy piła herbatę i jadła grzanekę w jadalni, podszedł do niej Jonathan.

– Zaspąłem... – przyznał się ze wstydem. – I na co były moje dobre chęci? Co prawda Maggie oznajmiła, że szklanki myją Lily i Missy.

– Zgadza się – przyznała Arabella, nie mogąc ukryć zadowolenia z tego faktu.

– To co, pójdzie pani ze mną do miasta? – spytał, kiedy gestem wskazała, żeby się przysiadł.

– Nie... chyba nie – odparła. – Muszę coś wyprać. Tę białą sukienkę, którą mi pan kupił; jest w okropnym stanie.

Jonathanowi się wydało, że Arabella po prostu unika spotkania z Afgańczykami.

– A... to nie może poczekać?

– Nie, chcę to już mieć z głowy.

Jonathan nalał sobie herbaty i sięgnął po grzanekę.

– A wie pani, że te pustynne tereny środkowej Australii zostały odkryte właśnie przez Afgańczyków i ich wielbłądy? – rzekł.

– Nie wiedziałam – przyznała.

– Pierwsi Afgańczycy przybyli do południowej Australii w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku, jako przewodnicy kilku ważniejszych wypraw w rejony centralne; pomagali przy budowie głównej linii telegraficznej i torów kolejowych. To oni stawiali ogrodzenia, a poza tym zaopatrywali w żywność i inne produkty oraz własne usługi niemal wszystkie kopalnie i stacje w głębi lądu, aż do czasu uruchomienia linii kolejowej.

– Naprawdę? – rzuciła Arabella.

Do jadalni wszedł jakiś młody mężczyzna.

– Dzień dobry! – zawołał wesoło.

– Dzień dobry, Stuarcie – odparł Jonathan.

– Wczoraj wieczorem nie zostaliśmy sobie oficjalnie przedstawieni – zwrócił się przybysz do Arabelli. – Nazywam się Stuart Thompson.

Przyjrzał się jej uważnie stalowobłękitnymi oczyma.

– Arabella Fitzherbert – przedstawiła się, zaskoczona, że jest taki młody i wręcz w pewien niedbały

sposób elegancki. Ubrany był w lekkie jasne spodnie i cienką koszulę z zawiniętymi rękawami, które odsłaniały mocno opalone ramiona. Złotobrzowe włosy były przetkane jaśniejszymi pasmami, niewątpliwie od słońca, co wyglądało bardzo atrakcyjnie. Włosy miał co prawda trochę przydługie i w nieładzie, ale to pasowało do jego jakby umyślnie niedbałego wyglądu. Arabella musiała odwrócić wzrok: nigdy dotychczas nie widziała równie niebieskich oczu, te zaś były wręcz hipnotyzujące. Poprzedniego wieczoru była w stanie dostrzec zaledwie czubek jego głowy, kiedy podawał gościom drinki, a ona biegła tam i z powrotem od jadalni do kuchni i nie miała czasu mu się przypatrzeć.

– Słyszałem, jak mężczyźni nazywali panią „Fitz” – ze śmiechem z głosem zauważył Stuart.

Spojrzała na niego ponownie i zauważyła w tych błękitnych oczach złośliwy uśmieszek. Zarumieniła się.

– Niech pan się nie waży tak mnie nazywać – ostrzegła z niewyraźnym grymasem. – Bo nie odpowiem!

– W porządku, jeżeli pani mi obieca nie nazywać mnie przezwiskiem, jakie z kolei oni dali mnie – odparł.

– Tommo? – dosyć niefortunnie spytała Arabella, zdziwiona własnym zachowaniem.

Skrzywił się, po czym jego twarz rozjaśnił chłopięcy uśmieszek.

– Sam pan się przyznał! – zawołała Arabella i też się uśmiechnęła.

– Mnie nazwali Jonno – wtrącił Jonathan, zainteresowany utarczką słowną tych dwojga, co wyglądało prawie na flirt. – Ale mnie tam wszystko jedno. Wy się też niebawem przyzwyczaiacie.

Arabella i Stuart spojrzeli na siebie nawzajem i zgodnie potrząsnęli głowami.

– Trochę się wczoraj opaliłeś – zauważył Jonathan.

– Był straszny wiatr; wiał na północ – wyjaśnił Stuart, nalewając sobie herbatę i smarując grzanekę marmoladą. – Dzisiaj będę musiał wziąć kapelusz z o wiele szerszym rondem.

– Znowu tam jedziesz? – spytał Jonathan.

Arabella poczuła, że odpowiedź Stuarta bardzo ją interesuje.

– Tak, nie będzie mnie przez kilka dni – odpowiedział.

– Goolim jedzie z tobą?

– Nie tym razem. Ale wypożyczy mi wielbłąda do noszenia bagaży.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę? – spytał Jonathan. – Takie wielbłądy potrafią być kłopotliwe.

– Wczoraj Goolim instruował mnie, jak z nimi postępować. Chyba sobie poradzę.

– Właśnie mówiłem Arabelli o Afgańczykach – wyjaśnił Jonathan.

– O, to niezwykli ludzie – przyznał Stuart. – Co by zrobili bez nich pierwsi odkrywcy Australii?

– Nikt by nie przeżył – zapewnił Jonathan.

– O, chyba nie byłoby aż tak źle – zauważyła Arabella.

Stuart i Jonathan spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

– Afgańczycy byli naprawdę bardzo potrzebni Europejczykom, którzy chcieli się tu osiedlić – wyjaśnił Jonathan. – No, a zwłaszcza ich wielbłądy.

– Uważam, że wielbłądy to okropne stworzenia – stwierdziła Arabella, krzywiąc nos i nadal zajadając grzanekę.

– Konie nie przeżyłyby na pustyni – tłumaczył Stuart. – Wielbłądy żywią się twardymi i kłującymi roślinami, są mniej wybredne niż kozy... poza tym mogą przez kilka dni nie pić wody. A kiedy już piją, w ciągu dziesięciu minut gromadzą w organizmie ponad sto litrów wody! Poza tym na północy w porze deszczowej mogą podróżować po rozmokłym gruncie i nie ugrzęzną, bo palce ich nóg się rozplaszczają na błocie tak samo, jak na piasku pustyni.

– A afgańscy poganiacze to też twarde sztuki – dodał Jonathan. – Często jedzą tylko dwa razy dziennie

i potrafią z łatwością przetrwać w bardzo trudnych warunkach.

– No, a oprócz tego, że wożą na pustynię takich ludzi jak pan, co jeszcze robią? – spytała Arabella. – Maggie wspominała, że dostarczają do miasta źródlaną wodę, a Mohomet Basheer dawniej sprzedawał ubrania ludziom na rozmaitych stacjach kolei; ale jest ich przecież tyłu... i setki wielbłądów. Chyba nie wszyscy robią to samo?

– Kiedy pociąg nie jeździ, Afgańczycy i ich wielbłądy przywożą produkty z południa. Jeden poganiacz potrafi poprowadzić karawanę pięćdziesięciu wielbłądów. Wożą nawet grog do takich hoteli jak ten czy do hotelu Transcontinental w pobliskim mieście Farina.

– Ale... Tony mówił, że religia zabrania im picia alkoholu i że nawet nie wchodzą do jego hotelu – zaprotestowała Arabella.

– To prawda – przyznał Stuart – i właśnie dlatego są idealni, żeby przewozić grog. Tony może być pewien, że zamówienie dotrze do niego w całości. Nie tknęliby ani kropelki.

– Zresztą nie wszyscy, których nazywa się Afgańczykami, pochodzą z Afganistanu – dodał Jonathan. – Są tu ludzie z Beludżystanu, z Kaszmiru, z Sind, Egiptu, Persji, Turcji czy Pendzabu.

– Nigdy nie widziałam wśród nich żadnej kobiety – podejrzliwie rzekła Arabella. – Dlaczego?

– Nie przywożą do Australii swoich kobiet – odparł Jonathan. – Ale wielu z nich ma w domu żony i dzieci. Tych mężczyzn wychowano specjalnie na przewodników wypraw odkrywczych w głębi lądu, ale zawsze ich celem jest powrót do ojczyzny. Co prawda wielu z nich tu się osiedla i otwiera własne interesy, czasem zostają na całe życie. Faisal Ahmed, albo jak go tu nazywają Fuzzy Ahmed, za wydobytą w kopalniach miedź kupił ziemię na stacji Rosebud. Goolim był poganiaczem bydła, ale w końcu założył sklep i zarobił mnóstwo pieniędzy, więc został. A ci, co mają rodziny w ojczyźnie, posyłają im pieniądze.

– Wolno im mieć więcej niż jedną żonę – dodał Stuart, a jego błękitne oczy znów błysnęły. – Więc wielu z nich ma też żony Europejki i Aborygenki.

– Och... – szepnęła Arabella. – Co za niezwykła rzecz...

Nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy Stuart tak się w nią wpatrywał.

– A teraz, kiedy pojawia się coraz więcej pojazdów, Afgańczycy zdają sobie sprawę, że ich czas jest policzony – dodał Jonathan. – Być może wkrótce odejdą...

– Nie wyglądają na godnych zaufania – orzekła Arabella. – Kiedy pociąg zatrzymał się w tym mieście, paru z nich próbowało zajrzeć przez okno do naszego przedziału! Moja matka śmiertelnie się wystraszyła!

– Pewnie byli ciekawi, a może mieli nadzieję sprzedać wam jakieś towary?

Jonathan zapewnił:

– Jestem przekonany, że nie mieli zamiaru zrobić paniom nic złego.

Do ich stołu zbliżył się Tony.

– Dzień dobry wszystkim! – zawołał. – Panno Fitzherbert, proszę pomóc Maggie w sprzątanii. Boję się, że wczoraj przesadziła... dzisiaj może być tak samo, jeżeli jej nikt nie pomoże.

– Ale przecież pomagają jej Lily i Missy! – zaprotestowała Arabella.

– Tak, umyły naczynia i podłogę, ale już poszły, a jest jeszcze mnóstwo roboty. Może pani zacznie od zmywania po śniadaniu.

Arabella zerknęła na Jonathana. Nagle spacer do miasta wydał jej się o wiele bardziej pociągający.

– Muszę jeszcze coś uprać, a potem... Jonathan mnie zaprosił na spacer – tłumaczyła się.

– Maggie potrzebuje pani pomocy – upierał się Tony.

– Możemy wybrać się do miasta innym razem! – szybko wtrącił Jonathan.

– No, dobrze... – westchnęła. – Tylko skończę jeść.

Tony obrzucił ją spojrzeniem mówiącym wymownie, że ma się nie guzdrać i odszedł. Nadal uważał,

że Arabella to leniuch, ale nie chciał się z nią kłócić w obecności osób, które płaciły za swój pobyt, więc ugryzł się w język.

– Rozmawiałam wczoraj z jednym z Afgańczyków, żeby mnie zawiózł do Alice Springs – zwróciła się Arabella do Jonathana, dopijając herbatę.

– Z kim?

– Nazywa się Faiz Mohomet.

– Nieżle go znam. I co? Odmówił?

– Właśnie.

– A wytłumaczył dlaczego?

Zastanowiła się, czy ma opowiedzieć Jonathanowi, jak ordynarnie obszedł się z nią ten Faiz, ale zdecydowała, że nic nie powie.

– Chciałam go poprosić, żeby był moim przewodnikiem i żebyśmy jechali konno, najlepiej w jakimś powoziku. Teraz już rozumiem, że to by nie było praktyczne.

– A chciałaby pani, żebym z nim porozmawiał w pani imieniu? Z pewnością zawiezie panią na wielbłądzie.

Pomysł opuszczenia Marree bardzo się Arabelli spodobał – zwłaszcza od czasu, kiedy zaczęto traktować ją jak bezpłatną służącą. Gdyby rzeczywiście nie było innego sposobu, pojechałaby nawet na wielbłądzie.

– Zrobiłby pan to, Jonathanie?

– Oczywiście. Kiedy spotkam się z Paddym, znajdę Faiza i zaraz po powrocie do hotelu opowiem pani, co odparł.

Stuart wstał od stołu.

– Zobaczymy się za parę dni! – zawołał, wkładając kapelusz.

Uśmiechnął się do Arabelli: jego błękitne oczy zalśniły. Poczwała, że serce jej trzepoce, ale wstydziła się swojej spalonej słońcem buzi...

– Do widzenia – odparła, oblewając się rumieńcem.

– Uważaj na siebie – rzekł Jonathan. Zauważył, że Arabelli spodobał się ten poszukiwacz złota, i nie wiedział, co w tej sytuacji powinien zrobić.

Zamiast pomóc Maggie w kuchni, Arabella próbowała uprać sukienkę w kamiennej pralni na tyłach domu, gdzie wisiał duży miedziany kocioł do grzania wody. Nie mogła się jednak pozbyć sadzy. Szukając pralni, natknęła się na spiżarnię zbudowaną z solidnych kamieni. Drzwi były zamknięte, ale mogła zajrzeć do środka przez małe okienko. Kiedy przytknęła twarz do szyby, wyczuła, że we wnętrzu jest bardzo chłodno. W połowie pomieszczenia była rozciągnięta siatka na muchy, a za nią wisiało mięso. Było zaczepione na krokwiach za pomocą drutu; wzdłuż ścian zwisały też sery i masło w szmacianych workach. Arabella nie miała pojęcia, że te szybko się psujące potrawy wiszą, a nie leżą, żeby je uchronić przed robactwem. Tuż przy drzwiach stały beczki z mąką, pszenicą i cukrem, poza tym puszki z oliwą i wielkie kawały czegoś białego: nie wiedziała, że to była sól z jeziora Eyre.

W końcu musiała poprosić Maggie o pomoc w upraniu sukienki.

– Musisz użyć do tego mydła Sunlight – stwierdziła Maggie i pokazała dziewczynie kostkę mydła w stojącym na półce pudełku.

Kiedy Maggie wróciła do swoich zajęć, Arabella szorowała materiał, aż ją rozboleły ręce. Widziała, że plamy schodzą, ale bardzo powoli, po ciężkiej i długiej pracy. Jeszcze ciągle ścierała brud, kiedy nadszedł Tony.

– A więc tu się pani schowała! – rzekł oskarżycielsko.

– Wcale się nie schowałam! – odparła z oburzeniem.

– Co pani robi? – spytał.

– Pranie – zareplikowała. Nie dodała, że pierze własną rzecz, a Tony nie spytał, czy robi to na polecenie Maggie.

– Moja żona potrzebuje do obiadu świeżo wykopanych warzyw. Nie chcę, żeby wychodziła na upał, zwłaszcza że kiepsko czuła się zeszłego wieczoru. Pani to robi... kiedy skończy z praniem.

Arabella patrzyła na Tony'ego przez chwilę z otwartymi ustami.

– Nie mogę wyjść na słońce, żeby kopać w ogrodzie!

– Oczywiście, że pani może. Jest pani młodsza od Maggie, a ona to stale robi.

– A co... z moją opalenizną?

– Proszę włożyć kapelusz. Maggie potrzebuje kartofli i marchwi. A poza tym trzeba wyczyścić ubikację.

Oczy Arabelli otwały się jeszcze szerzej. Osłupiała.

– Tego nie zrobię! – oświadczyła. – Wszystko mi jedno, może mnie pan wyrzucić.

– No cóż... ktoś to musi robić! – burknął gniewnie Tony. Zwykle to było jego zadanie, ale o tym nie wspomniał.

– No cóż... w każdym razie nie ja! – rzuciła gwałtownie. – Sama myśl o czymś takim wystarczy, że... że mi się zbiera na wymioty!

Zauważył, że istotnie twarz jej zbielała; uczciwie mówiąc, rozumiał ją, ale jej zachowanie wściekało go. Poważnie rozważał, czy nie wyrzucić jej z hotelu; jej jedyną szansą na pozostanie było wsparcie jego żony w pracach w gospodarstwie, prawdziwy dar losu.

– Zgoda. Więc wyrzuci pani gnój ze stajni.

– Ze... stajni?

– Tak! Stajnia znajduje się jakieś dwadzieścia metrów za ogrodem warzywnym. Stoi tam koń Stuarta Thompsona. Ale najpierw proszę wykopać warzywa, no i pomóc Maggie w kuchni. Łopata stoi za panią w rogu, jest tam też wiadro.

Zanim Arabella zdążyła zaprotestować, Tony'ego już nie było.

Fitzherbert otarł pot z czoła.

Stał na rogu ulicy w silnych podmuchach gorącego wiatru. Codziennie pomiędzy pierwszą a czwartą po południu, w porze największego upału, Alice Springs wyglądało jak miasto duchów. Był praktycznie jedynym żywym człowiekiem na ulicy.

W ciągu ostatnich dwóch dni Edward odwiedził wszystkie hotele w Alice Springs, nawet po kilka razy, pytając pracowników i klientów, czy znają kogoś, kto mógłby wyruszyć na pustynię w poszukiwaniu Arabelli. Nie przepadał za piciem, ale podczas każdej takiej wizyty coś wypijał. Już na początku odkrył, że jeżeli nie będzie pić i namawiać innych do picia, w ogóle nie zaczną z nim rozmawiać. Nie odwiedzał jedynie burdeli, wiedząc, że Clarice nie wyraziłaby na to zgody, i to pod żadnym warunkiem. Zaczepiał nawet ludzi na ulicy. Najczęściej słyszał w odpowiedzi: „Na to pójda tylko czarnuchy”.

Ponieważ Aborygeni z miasta wyglądali na niedożywionych, niechlujnych i ohydnie śmierdzieli, Edward nie zdecydował się powierzyć im tak ważnej sprawy. Nie wolno im było wchodzić do hoteli, a mimo to w jakiś sposób większość z nich potrafiła się upić. Niektórzy sprzedawali jakieś ludowe pamiątki na rogach ulic, inni po prostu zebrali. Wiele razy, kiedy się ściemniło, zaczepiali Edwarda, wyskakując z ciemnych bram, i prosili o pieniądze albo papierosy.

Słowem, dowiedział się, że tylko Afgańczycy mogliby go zawieźć na pustynię, ale ci nieliczni, których spotkał w mieście, też nie wyglądali wiarygodnie, tak że wolał nie powierzać im tego odpowiedzialnego zadania.

Najbardziej szokował Edwarda fakt, że żaden z białych mieszkających w okolicy kompletnie nie znał

pustyni. Większość z nich doświadczyła jej srogich okrucieństw: stracili bydło, a nawet bliskich. W każdym razie za żadne pieniądze nie chcieli ryzykować. Zorientował się nawet, że mieszkańcy nie zapuszczają się w głąb tego zdradliwego, spalonego słońcem miejsca, a ci, którzy próbowali, wyliczali, ilu ludzi straciło życie na tej koszarnej pustyni.

– No, ale pan przeżył – bezradnie wytykał Edward swojemu rozmówcy.

– Bo nigdy nie zapuszczamy się daleko bez tropiciela czy hodowcy Aborygena – brzmiała odpowiedź.

Kompletnie przygnębiony Edward był niemal na krawędzi rozpacz. Wiedział, że czas odgrywa teraz najważniejszą rolę. W miarę upływu godzin czuł, jak sam powoli umiera... Tracił rozum, bo wyglądało na to, że nic nie zdoła zdziałać!

Opadł w końcu na ławkę przy Todd Street. Był już na skraju załamania nerwowego i w niczym nie przypominał tamtego pewnego siebie mężczyzny, który w poszukiwaniu przygód wyruszył z rodziną do Australii.

Jeżeli nie znajdą Arabelli żywej, zarówno on, jak i jego żona będą na zawsze zgubieni.

– Równie dobrze moglibyśmy wszyscy zginąć na tej pustyni – powiedział głośno.

– Szuka pan tropiciela, szef?

Edward podniósł wzrok, zaskoczony.

Stało przed nim trzech Aborygenów. Wszyscy byli wychudzeni i w łachmanach, więc instynktownie poczuł się zagrożony. Przebiegło mu przez myśl, że może chcą go obrabować: ulice były przecież całkiem puste!

– Szukam kogoś, kto by pojechał na pustynię, żeby odnaleźć moją córkę... albo kogoś, kto mnie tam zawiezie. A skąd o mnie wiecie?

– Kolesie nam mówić, pan szuka.

– Znacie kogoś, kto mógłby mi pomóc?

– Pan zapłacić im za to, że pojechać?

– Naturalnie.

– My możemy znaleźć pana córka, szef – oznajmił ten pierwszy.

– Wy?

Edward z niedowierzaniem przyjrzał się im po raz drugi. Pomyślał o wytrzymałości, jaką trzeba mieć, żeby podróżować po pustyni; niestety ich wychudzone i niedożywione ciała nie dodały mu otuchy. Z pewnością sam przetrwałby na pustyni dłużej niż ci ludzie.

– My być najlepsi tropiciele na całym terytorium, szef.

– O! – zdziwił się Edward. – Robiliście już coś podobnego?

– Tak, szefie, mnóstwo razy.

– Naprawdę? – Nadzieja Edwarda nieco wzrosła. Chciał im wierzyć, ale nie mógł się pozbyć podejrzeń. – Mojej córki nie ma już od wielu dni – rzekł. Chciał, żeby wszystko było jasne. – Najprawdopodobniej wypadła z ekspresu, więc może być ranna.

– Możemy ją znaleźć, szef – zaręczył Aborygen.

Słyszając w jego głosie głębokie przekonanie, Edward poczuł taką ulgę, że omal nie zemdlął.

– Nazywam się Edward Fitzherbert – rzekł, wyciągając rękę.

– Ja jestem Billy, a to są Charlie i Danny.

– Ależ to są angielskie imiona! – bez zastanowienia zawołał Edward.

– W mieście my nie używać nasze plemienne imiona, szef – wyjaśnił Billy, obdarzając Edwarda bezzębny uśmiechem.

Była to pierwsza naprawdę przyjazna twarz, jaką Edward napotkał od przyjazdu do Alice Springs.



– Jak prędko zaczniemy poszukiwania? – spytał prędko.

– Pan zostać tu, szef. My iść. – Billy wskazał palcem na swoich towarzyszy i otaczającą ich pustynię.

– Och... – rzekł Edward. Wiedział, że żona wolałaby, aby został w mieście. – No dobrze, więc kiedy będziecie mogli wyruszyć?

– My iść dzisiaj, szef. Jeżeli ty chcesz, teraz – odparł Billy.

Edward był w euforii. Znajdą Arabellę!

– Cudownie – oznajmił. – Trzymajcie się tylko blisko linii kolejowej, a powinniście ją znaleźć. Jest niewysoka, ma mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu, złotobrązowe włosy...

Billy podniósł ręce do góry.

– My jej na pewno nie pomieszać z wszystkie inne białe „Sheile”, szef.

– Co takiego? – spytał Edward, oszołomiony, patrząc w ciemne oczy Billy’ego. Czy ten facet kpi z niego? Nagle zaświtało mu w głowie. – Och, rozumiem. Nie trzeba opisywać Arabelli.

Billy przytaknął.

– No cóż... nie będę was zatrzymywał – rzekł Edward. – Nie mogę się doczekać, kiedy powiem żonie, że ktoś szuka jej córki.

– Ty dać dwadzieścia funtów, a my pójść – oznajmił Billy.

Edward zamrugał ze zdziwienia i spojrzął na wszystkich trzech. Wpatrywali się w niego nieruchomym wzrokiem. Ich twarze były kompletnie pozbawione wyrazu.

– Dwadzieścia funtów? – zapytał.

– Właśnie tak, szef – odparł Billy. – Na nas trzech. To dobry interes, szef. Na pustyni się rozdzielimy, żeby sprawdzić więcej teren.

– Aha, rozumiem... – wymruczał Edward.

Spodziewał się, że trzeba będzie zapłacić, ale dwadzieścia funtów to była duża suma... Pomyślał o biednej Arabelli leżącej gdzieś tam rannej i już wiedział, że byłby gotów zapłacić dziesięć razy tyle, byle ją mieć z powrotem. A może jeszcze więcej.

– Pieniądze chcesz teraz – dodał Billy.

– Teraz? – powtórzył Edward.

Przez parę sekund nie był pewien, czy ma im wierzyć, skoro jednak nie było żadnych innych ofert pomocy... W dodatku był już naprawdę zrozpaczony.

– A może połowa teraz, a druga połowa, kiedy wrócicie?

– Nie, szef, wszystko teraz. Albo my nie iść. Biali ludzie już nas nieraz przedtem oszukać. Zrobiliśmy, co oni chcą, a oni nam nie zapłacić.

– W porządku.

Edward nie wątpił, że biali mogli ich tak potraktować. Nie mieli przecież żadnego szacunku dla Aborygenów żyjących w mieście. Wszyscy mówili o nich straszne rzeczy.

– Mieszkam w hotelu Central, na tej ulicy. Tam będę czekał na wiadomości.

Billy wziął banknot dwudziestofuntowy podany przez Edwarda.

– Przyprowadzić pana córka, szef.

Aborygeni zniknęli, zaś Edward powędrował z powrotem do hotelu, by przekazać Clarice dobre wiadomości.

Arabella zaledwie parę minut zmagala się z twardą ziemią, a już na jej dłoniach porobiły się bąble. Nie miała pojęcia, co ma robić: nigdy w życiu nie była nawet w pobliżu warzywnego ogródka! Ponieważ nie chciała się bardziej opalić, pożyczyła od Maggie szerokoskrzydły kapelusz i włożyła kupiony na bazarze kaftan. Był za duży, ale mimo to pociła się w nim jak mysz. Kiedy Maggie wyszła do ogródka, by wylać tam brudną wodę na grządki, zastała Arabellę chlipiącą i oglądającą własne dłonie z bolesnym

wyrazem twarzy.

– Co się stało? – spytała.

– Bąble! – jęknęła Arabella – i w dodatku nie znalazłam żadnych warzyw!

– Musisz kopać trochę głębiej, wtedy je znajdziesz – pouczyła ją Maggie, marszcząc czoło. – Daj, pokażę ci.

Wzięła łopatę i zaczęła kopać, opierając stopę na ostrzu tak, żeby weszło głębiej w twarde grunto. Nad ogródkiem nie było żadnego cienia, a słońce tak prażyło, że żadna z roślin nie odważyła się wyrzeć na powierzchnię: nawet marchewka. Jej natka zniknęła, spalona, kiedy tylko wychyliła się z ziemi.

– Ta ziemia wygląda okropnie – zauważyła Arabella. – I jest twarda jak kamień.

– To dlatego, że od lat nie padało. Mamy szczęście, że udało się nam wyhodować trochę kartofli i marchwi, ale tylko dlatego, że wylewam na nie całą brudną wodę z hotelu.

Tuż obok była pompa. Poza tym kurnik i zagroda dla owiec.

– Czemu nie używasz wody z pompy? – spytała Arabella.

– Jest za słona! – ucięła Maggie. – Kurczakom też nie można jej dawać.

Arabella zauważyła ogrodzenie z drutu dookoła ogródka; tu i ówdzie było podziurawione. Poza tym biegło tam mnóstwo wielkich mrówek i innych dziwacznych insektów.

Chciała wracać do hotelu. W oddali pod jakimś drzewem zobaczyła stadko kangurów wypoczywających w cieniu. Ależ im teraz zazdrościła!

Maggie zauważyła, w którą stronę patrzy Arabella.

– Nie są głupie, co? – zażartowała. – W dzień trzymają się z dala od upału, a polują tylko rankiem i wieczorem.

Nagle się potknęła i omal nie upadła.

– Maggie! – zawołała Arabella, chwytając ją za ramię. – Dobrze się czujesz?

– Muszę wejść do środka – rzuciła.

– Mam pójść z tobą?

Dobry wykręt, żeby uciec ze słońca!

– Nie, nic mi nie będzie. Muszę się tylko napić wody.

Maggie poszła. Arabella patrzyła za nią. Zastanawiała się, czy Maggie naprawdę jest chora...

Zabrała się znów do kopania, krzywiąc się z bólu. Nie zauważyła zbliżającego się Tony'ego i omalże nie zemdląca ze strachu, kiedy na nią krzyknął.

– Dlaczego Maggie kopała w ogródku, skoro pani kazałem to zrobić?! – darł się.

– Ja... ona... tylko mi pokazywała, jak to robić.

– Mówiłem, że nie chcę, żeby kopała w ogrodzie!

Był bardzo zdenerwowany.

– Czy ona... jest chora? – spytała.

Przez chwilę robił wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zmienił zdanie.

Zawrócił i odszedł.

# Rozdział siódmy

---

– Będziemy mieli dzisiaj wieczorem na kolacji najwyżej trzech gości oprócz nas – stwierdziła Maggie, kiedy Arabella weszła do domu. – Les, Ted Wallace i ten magazynier, Fred Powell, który zajmuje się także prowadzeniem urzędu pocztowego. Postanowiłam, że zrobimy steki i kanapki z jajkiem. Wszyscy to lubią.

– Urząd pocztowy? – zainteresowała się Arabella. – Czy to znaczy, że mogłabym napisać list do rodziców i przekazać im, że żyję i jestem zdrowa?

– Naturalnie, że możesz. Ale list będzie czekał, aż ponownie uruchomią linię kolejową.

– Och, w porządku! – Arabella zerknęła na wiaderko, w którym przyniosła brudne marchewki i kartofle. – Co z tym zrobić?

– O to się nie martw – zapewniła ją. – Przydadzą się na jutro wieczór.

Maggie wyrabiała ciasto na chleb; w piecu palił się ogień. Zdążyła podłożyć drewno pod rusztem, aby upiec na nim steki.

– Mogłabyś przynieść mi trochę jaj z kurnika, Arabello? Weź tę miskę. – Wskazała stojący na blacie kuchennym cynowy pojemnik.

W kuchni zrobiło się gorąco, co Arabellę przyprawiło niemal o omdlenie. Nie była zdziwiona, że i Maggie robi się słabo.

Westchnęła ze znużeniem, odstawiając kubeł na blat kuchni. Nie mogła po prostu uwierzyć, że ręce ma w pęcherzach, a plecy obolałe, a teraz się okazało, że Maggie nie zamierzała gotować warzyw, które Arabella wykopywała ponad godzinę!

– Ale... jeszcze nie wysprzątałam stajni... – jęknęła dziewczyna.

– Stajni? Czy Tony ci kazał to zrobić?

Arabella przytaknęła, bliska łez.

– Porozmawiam z nim – zdecydowała Maggie. – Nie powinnaś się tym zajmować.

– Kazał mi też... wymyć ubikację! – poskarżyła się Arabella, drżąc z obrzydzenia na samą myśl o czymś podobnym.

Maggie zmarszczyła czoło.

– Nie wiem, co mu się stało. – Zabrała się do wyrabiania ciasta na chleb. – Tony mówi, że wszyscy snują domysły na temat tego złota, którego szuka Stuart Thompson. – Posypała ręce mąką, żeby ciasto się nie kleiło. – Stuart nie opowiada o tym, ale ludzie są przekonani, że musi wiedzieć, gdzie są złoża.

– Sądzisz, że to prawda? To pasjonujące! – zawołała Arabella. Humor jej się poprawił, kiedy zrozumiała, że nie będzie musiała sprzątać stajni i że Maggie jest jej sojuszniczką.

– Jeżeli tak jest, to w małym miasteczku trudno będzie utrzymać sekret... a gorączka złota to idiotyczna rzecz! Potrafi doprowadzić zdrowych mężczyzn do szaleństwa. Och, prawie zapomniałam! Tony wspominał, że szukał cię Jonathan Weston. Mówiłam, że jesteś w ogródku warzywnym... ale pewnie nie było to nic ważnego.

Arabellę rozgniewało, że Tony, który przecież wiedział, że była w ogrodzie, nie posłał tam Jonathana.

– A gdzie jest teraz Jonathan?

– Chyba poszedł do siebie na górę. Wyjeżdża dzisiaj po południu.

– Może ma dla mnie dobre wiadomości! – rzuciła Arabella, wybiegając z kuchni.

– Najpierw zbierz jajka! – zawołała za nią Maggie, ale dziewczyna się nie zatrzymała.

Maggie wróciła do pracy, zastanawiając się, jakie też dobre wiadomości mógł mieć Jonathan dla

Arabelli. Telegraf nadal nie działał i, o ile jej było wiadomo, z Alice Springs nie przyjechali ostatnio do miasta żadni poganiacze bydła.

Arabella znalazła Jonathana w jego pokoju.

– Witam! – wołała już od drzwi. – Właśnie się dowiedziałam, że szukał mnie pan. Mam nadzieję, że ma pan dobre wiadomości!

Jonathan odwrócił się do niej. Siedział na łóżku plecami do drzwi i polerował soczewki aparatu, szykując się do wyjazdu.

– Obawiam się, że nie – odparł.

Arabella była załamana.

– Och... – szepnęła i zwiesiła głowę.

Jonathan wstał i podszedł do niej.

– Żaden z Afgańczyków nie zawiezie pani do Alice Springs – powiedział grzecznie. – Pytałem dosłownie wszystkich. Mają bardzo wysokie mniemanie o swoich wielbłądach, a pani... podobno... je obrażała.

– Powiedziałam tylko prawdę – broniła się Arabella.

Jonathan był przerażony, kiedy usłyszał od Faiza Mohometa, że dziewczyna nazwała jego wielbłądy „śmierdzącymi stworzeniami”. Jego zdaniem musi się jeszcze dużo nauczyć na temat dyplomatycznych stosunków z ludźmi.

– Przykro mi... – powiedział.

Szczerze mówiąc, przeprosił Afgańczyków za jej zachowanie, ale się uparli. Po prostu jej nie lubili i Jonathan nie przewidywał w najbliższej przyszłości żadnej zmiany.

– Poganiacze są w niektórych sprawach szczególnie wrażliwi – tłumaczył. – Tutaj, w Australii, spotykali się wielokrotnie z dyskryminacją. Nie mogą mieć australijskiego obywatelstwa, bo są Azjatami. To chyba nieuczciwe, biorąc pod uwagę, ile pracy tutaj wykonali i nadal wykonują.

– Ale nie mogą mieć o to pretensji do mnie. Nie powiedziałam złego słowa o nich... tylko o wielbłądach.

– Niestety, oni identyfikują się ze swoimi wielbłądami. Żywią ogromny szacunek dla tych zwierząt i dla ich umiejętności. Zatem kiedy obraża się wielbłądy, to jakby obrażało się ich samych.

Arabella była zbyt przygnębiona odmową, żeby się zastanawiać nad uczuciami Afgańczyków.

– W każdym razie... nie czułabym się bezpieczna, podróżując tak daleko z jednym z nich – stwierdziła. – Cóż, chyba będę musiała po prostu poczekać, aż wróci pociąg... a w nim moi rodzice. To nie potrwa długo...

– Mam nadzieję, że ma pani rację – odparł Jonathan.

– Po prostu chciałabym się wydostać z Marree. Nie jestem sprzątaczką ani kucharką... ale proszę spróbować to wytłumaczyć Tony’emu! – Wydeła wargi, nadąsana. – Tłumaczyłam mu, że nigdy nie wykonywałam żadnych prac domowych... przecież widzi, że się na nich nie znam i nie potrafię tego robić! Mówiłam mu, że ojciec zapłaci za mój hotel i że Tony nie powinien zmuszać mnie do pracy. Cóż, nie uwierzył. Och, jak bardzo pragnę zobaczyć jego minę, kiedy wrócą moi rodzice! Nienawidzę tego wszystkiego i tak chcę wrócić do dawnego życia!

Jonathan rozumiał jej stan ducha. Wyobrażał sobie jej życie przed tą przygodą. Zrozumiałe, że nie chciała pracować w gospodarstwie, ale najgorsze było to, że nie liczyła się z innymi. Była po prostu okropnie rozpieszczona.

Nie potrafiła też spojrzeć na żadną sprawę z punktu widzenia kogoś innego. Pewnie nigdy nie musiała. Jonathan zastanawiał się nad chorobami, na które podobno cierpiała. Nie wyglądała na szczególnie kruchą osobę, mimo tego wszystkiego, przez co przeszła, dlatego zakładał, że jest po prostu

bardzo skrytą osobą, która się ukrywa za wyimaginowanymi cierpieniami.

Jeszcze nie wiedział do końca, czego się tak boi, ale miał szczerzy zamiar dowiedzieć się o tej dziewczynie jak najwięcej.

– Pani pochodzi z Londynu, prawda? – spytał.

– Tak. Tęsknię za chodzeniem do teatru... i na herbatę do tych ogromnych hoteli, takich jak Dorchester! Nie ma pan pojęcia, jak mi brakuje naszego wygodnego domu, mojej sypialni, wielkiego, miękkiego łóżka... spędzałam w nim dużo czasu, bo ciągle chorowałam albo miałam kaszel, albo infekcję płuc. Nasza gospodyni, Nellie, prawie przez cały rok musiała palić w kominku w mojej sypialni.... było mi tak ciepłutko i wygodnie! I mama się mną opiekowała...

Arabella poczuła przez chwilę tęsknotę za domem i pragnienie, żeby znowu zobaczyć rodziców. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że miłość i troskliwość matki uznawała dotąd za coś oczywistego. Nigdy nie podejrzewała, że jej życie kiedykolwiek się zmieni. Nawet teraz była głęboko przeświadczona, iż jej sytuacja jest tylko przejściowa. Rodzice przyjadą po nią i znowu będą wieść wygodne życie w Londynie.

– Chodziła pani do szkoły? – Chciał wiedzieć Jonathan.

– Czasami, jeżeli czułam się wystarczająco dobrze. A jeżeli nie, tatuś zatrudniał nauczycieli; przychodzili do nas do domu... ale żadnego właściwie tak naprawdę nie polubiłam.

– Miała pani jakieś plany czy pomysły na pracę? Na przykład co chciałaby pani robić w przyszłości?

Arabella aż zamrugała powiekami, zaskoczona.

– Pracę! Nie... nigdy o tym nie myślałam.

– No, ale musi pani chyba mieć jakieś zainteresowania?

– Lubiłam malować... ale nie robię tego zbyt dobrze; no i kocham muzykę. Zawsze uwielbiałam oglądać opery, musicale i chodzić do teatru.

Jonathan zrozumiał, że jedynym zainteresowaniem Arabelli było życie towarzyskie. Po prostu nie mógł uwierzyć, że nie miała żadnych poważnych zainteresowań ani planów życiowych.

– Lepiej już pójdę – niemal z rozżaleniem stwierdziła Arabella. – Maggie chce, żebym zebrała jajka w kurniku.

– Naturalnie. Jeszcze raz przepraszam, że nie przekonałem Faiza Mohometa, ale musi pani zrozumieć, że wielbłądy są dla niego wszystkim. Dla każdego poganiacza są na wagę złota.

Arabella zmarszczyła brwi.

– Dziwne – uznała.

– Ludzie cenią w życiu rozmaite rzeczy – stwierdził Jonathan w nadziei, że dziewczyna go zrozumie.

– Prawdę mówiąc – dodał z uśmiechem – być może wkrótce pani zobaczy coś, co pomoże pani zrozumieć wartość wielbłąda.

– To znaczy?

– Tony mówił, że dzisiaj będzie dostawa wody.

– Dostawa wody? I dzięki temu mam zrozumieć?

Wargi Jonathana wygięły się w uśmiechu.

– Zobaczy pani.

Arabella była w kurniku. Nerwowo wyganiała kury z gniazd, żeby zebrać jajka. Cały czas myślała o tajemnicy, o której wspomniał Jonathan, kiedy buchnęła jej w twarz chmura kurzu.

– Faj! – parsknęła, zakrywając dłonią usta i nos. Zebrała już trochę jaj, więc podeszła do ogrodzenia i wyrzuciła na zewnątrz. Już miała wracać do kuchni, kiedy spojrzała w stronę, z której unosiły się tumany kurzu... Arabella otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

Do hotelu zbliżały się dwa rzędy wielbłądów: każdy z nich liczył około trzydziestu sztuk. Na czele

orszaku jechali dwaj jeźdźcy, a wielbłądy biegnące za nimi były ze sobą powiązane i połączone linką. Widziała, że mężczyzna prowadzący pierwszą kolumnę ma turban i niechlujny drelich na luźnej koszuli. Dostrzegła też bujną, krzaczastą brodę. Każdy wielbłąd był objuczony dwiema stulitrowymi bańkami z wodą, po obu stronach garbu. Bańki robiły wrażenie strasznie ciężkich, a mimo to wielbłądy niosły je bez wysiłku. Kiedy pierwszy sznur wielbłądów dotarł do hotelu, przewodnik coś krzyknął – najwyraźniej komendę, po czym zwierzęta stanęły. Następnie znowu wydał rozkaz – i wielbłąd, na którym siedział, ukląkł. Robiąc to, bulgotał z protestem, po chwili pozostałe zwierzęta poszły jego śladem i też zaczęły klękać. Ale i one gulgotały z protestem i żalem.

Arabella patrzyła na nie z lękiem i podziwem. Na podwórze wyszedł Tony i przywitał się z przewodnikiem.

– Witaj, Musloom! – zawołał. – Jak tam podróż?

– Doskonale – odparł Musloom. – Ale z przyjemnością odpocznę!

Musloom Shar i Mahomet Drim wyjechali z Marree jedenaście dni temu na północ wzdłuż szlaku Birdsville, aż do Mungerannie, gdzie było naturalne źródło wody. Musieli pokonać, jakieś trzysta pięćdziesiąt kilometrów. Długa i żmudna droga. Na szczęście w przydrożnym zajeździe w Mungerannie dwaj mężczyźni pomogli im nakładać bańki z wodą na grzbiety wielbłądów. Teraz, kiedy już wrócili do Marree, mieszkańcy miasta pomagali rozładowywać bagaż, ale podczas postojów Afgańczycy musieli to robić sami.

Arabella była pełna podziwu dla tak ciężko objuczonych wielbłądów. Kiedy kurz opadł, dziewczyna nie mogła odmówić im majestatu. Mimo zakurzonej, wystrzępionej sierści poruszały się z gracją i godnością. Po raz pierwszy zobaczyła, jak ciężko pracują. Maggie wspomniała, że źródło wody jest daleko, więc Arabella wiedziała, że wielbłądy przebyły ogromną odległość w straszliwym upale, po palącym piasku i gorących kamieniach pustyni, w dodatku dźwigając olbrzymi ciężar! Mimo niechęci, którą czuła do tych zwierząt, nie mogła ich nie podziwiać.

Nagle zrozumiała, co miał na myśli Jonathan, mówiąc, że Arabella wkrótce zobaczy coś, co zmieni jej zdanie na temat wielbłądów i tego, co znaczą dla Afgańczyków.

Odsunęła się, ponieważ z baru wyszło trzech mężczyzn i dołączyło do Tony'ego. Natychmiast zabrali się do rozładowywania baniek i ustawiania ich pod ścianą stajni, w cieniu drzewa.

Musloom Shar był potężnym mężczyzną z bujną brodą, natomiast Mahomet Drim, drugi przewodnik, wyglądał jak karzełek. Arabella aż westchnęła ze zdziwienia, kiedy zsiadł z wielbłąda: miał najwyżej metr czterdzieści wzrostu, był krępy i przysadzisty.

Z hotelu wyłoniła się Maggie i stanęła obok Arabelli. Zauważyła zdziwienie dziewczyny na widok niewielkiego wzrostu Mahometa. Swoją głową ledwie sięgał głowy klęczącego wielbłąda!

– Może i jest niski, ale silny jak wół! – szepnęła Maggie. – I ma jedenaścioro dzieci ze swoją żoną Aborygenką. Na pewno jest bardzo męski!

Arabella jęknęła, co bardzo rozśmieszyło Maggie.

Wczesnym wieczorem Tony wszedł do kuchni ze skwaszoną miną. Arabella właśnie zamierzała pomóc Maggie w szykowaniu kanapek do steków.

– Straciłem jednego z najlepszych klientów – zwrócił się do Arabelli – i to z pani winy!

– A cóż ja takiego zrobiłam? – z niedowierzaniem spytała Arabella. Spojrzała na Maggie z nadzieją, że jej pomoże.

– Koledzy tak bezlitośnie wyśmiewali się z Jacko po tym, co mu pani powiedziała, że postanowił nie pokazywać się w hotelu. A to największy pijak w mieście! Czasy są trudne. Liczy się każdy funt wydany u nas.

– Co takiego mu powiedziałaś? – zainteresowała się Maggie.

– Ja... tylko... że widziałam jego goły tyłek... – Arabella splonęła rumieńcem.

– Powiedziała pani mężczyznom w barze, że chrząka jak świnia, kiedy jest z kobietą – oskarżycielsko rzucił Tony. – A teraz za każdym razem, kiedy ich spotyka, zaczynają chrząkać!

– Och, na litość boską! – zawołała Arabella. – Dlaczego dorośli mężczyźni zachowują się jak małe dzieci?

– Uprzedzałam cię, żebyś nie obrażała Jacko w obecności kolegów – rzekła Maggie, wydymając usta.

– A to, że mnie poniżał, było w porządku, tak? – Arabella prawie płakała.

– Nazwał panią Fitzi, to nic obraźliwego – odparł Tony. – Po prostu skrót pani nazwiska. Mnie nazywają Macca i wcale się nie gniewam.

– Maggie nie przezywają – pociągnęła nosem Arabella.

– Nie nazywają jej Macca, bo tak mówią do mnie!

– Mam na imię Margaret – wyjaśniła Maggie – i zawsze byłam Margaret, póki tu nie przyjechałam.

– W każdym razie Fitzi mi się nie podoba – zakończyła dyskusję Arabella.

– No cóż... teraz będziesz miała o wiele większe zmartwienie – stwierdziła Maggie. – Jacko potrafi być nieobliczalny, kiedy go coś gnębi. – Spojrzała na męża. – Prawda?

Tony przytaknął, chociaż z pewnością bardziej interesowała go strata przychodu.

– Co masz na myśli? – wystraszyła się Arabella.

– Kto wie, co robi... – odparła Maggie.

– Radzę pani go przeprosić – dodał Tony. – Chcę mieć go z powrotem u siebie w barze! Ma robić to, co robi najlepiej: wydawać wszystkie pieniądze i upijać się!

– Nie przeproszę go! Nie rozumiem, jak pan może w ogóle coś takiego sugerować?!

Tony spojrział na żonę.

– Przemówże jej do rozumu... – powiedział, najwyraźniej doprowadzony do rozpacz, po czym zawrócił do baru.

Maggie spojrzała poważnie na dziewczynę.

– Arabello! To może być coś poważnego – rzekła zachmurzona. – Wally Jackson jest dziwakiem. Na twoim miejscu przeprosiłabym go, i to jak najprędzej. Kiedy kobieta zawstydzi mężczyznę w barze, w dodatku w obecności jego kumpli, ciężko go obraża. Nie myślę, żeby Jacko puścił coś takiego płazem. To nie jest tego rodzaju mężczyzna!

– Ale... co też ty mówisz...? Że mógłby mi... zrobić krzywdę?

– Naprawdę nie wiem, co Jacko z tym robi – odparła z wyraźnym niepokojem Maggie.

– A przecież... niedawno mówiłaś, że ma dobre serce.

– Bo ma! Ale to dziwny człowiek. Dla niego najważniejsze jest to, co o nim sądzą jego koledzy. Zresztą tak bywa u większości mężczyzn. Możesz to nazwać męską dumą, jeżeli chcesz. Nie zrozumiesz tego, bo jesteś w tym mieście od niedawna. Nie jest łatwo dopasować się do niewielkiej społeczności, ale kiedy już się to komuś uda, zdanie kolegów jest bardzo ważne. Nie masz o tym pojęcia, bo jeszcze nigdy nie miałeś przyjaciół.

– Nie mam ochoty zaprzyjaźniać się z pijakiem! – z oburzeniem odparła Arabella. – Lubię Jonathana Westona...

– Jonathan wygląda na bardzo sympatycznego chłopca. Prawdę mówiąc, mogłabyś się od niego uczyć sztuki dyplomacji. Zdarza mu się czasem wypić drinka dla towarzystwa z tutejszymi gośćmi i nigdy nie sprawia żadnych kłopotów. Jeżeli nie chcesz przeprosić Wally'ego, spróbuj jakoś przekonać jego kumpli przy barze, żeby przestali go wyśmiewać.

– Jak?

– Nie wiem, sama pomyśl.

Maggie rozpałała ogień pod rusztem.

– Muszę zebrać zamówienia na kanapki ze stekami. Kiedy ruszt będzie gorący, możesz zacząć układać na nim mięso.

Arabella zmarszczyła brwi.

– Ale nie będziesz tam długo, co?

– Nie powinnam, ale zwykle wypijam drinka z klientami. To bardzo dobry zwyczaj, pomaga w interesie. A dlaczego pytasz? Chyba sobie poradzisz?

Maggie uznała, że co jak co, ale steków Arabella nie powinna zmarnować.

– Nigdy przedtem niczego nie piekłam.

Maggie aż potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Po prostu wyłożysz steki na ruszt, a potem, kiedy zbrązowieją, odwrócisz je na drugą stronę. To nic trudnego. Nawet ty to potrafisz, na pewno! Tylko nie dotykaj paleniska!

Skierowała się do baru.

Po półgodzinie ruszt zaczął dymić. Arabella wzięła na widelec jeden ze steków i rzuciła go na gorącą płytę. Mięso zaskwierczało tak głośno, że aż podskoczyła. Nie wiedziała, czemu się tak denerwuje w kuchni, ale po przygodzie z sadzą z pieca ciągle się bała, że znowu coś się stanie.

Dołożyła jeszcze dwa steki, naprawdę ogromne. Modliła się, żeby Maggie jak najprędzej wróciła. Nagle usłyszała jakiś hałas dochodzący z zewnątrz. Już i tak zdenerwowana, ponownie podskoczyła ze strachu. Podbiegła do okna, próbując dojrzeć, co się dzieje, ale zapadła już ciemność. Mimo to wydało jej się, że widzi jakiś ruch w mroku, i odskoczyła w tył. W oknie nie było żadnej zasłony, więc wiedziała, że każdy, kto był na zewnątrz, mógł ją zobaczyć. Serce zaczęło jej walić na myśl o tym, co Maggie mówiła o Wallym Jacksonie. Na pewno nic jej nie zrobi... to była przecież nic nieznacząca uwaga wypowiedziana w gniewie... Na pewno państwo McMahon mu na to nie pozwolą!

Tymczasem usłyszała inny dźwięk, tym razem głośniejszy. Początkowo nie wiedziała, co robić. Wolałaby, żeby Maggie sprawdziła, co się dzieje, ale wstydziła się pójść po nią do baru. Nie chciała też spotkać się z Tonym i jego klientami. Poza tym ten hałas mogło wywołać jakieś zwierzę, więc cichutko podeszła do tylnego wyjścia.

Kiedy wyglądała przez siatkę chroniącą przed muchami, obok ubikacji dostrzegła cień zwierzęcia. Początkowo myślała, że to mały piesek, ale ze sposobu poruszania się rozpoznała, że to mały kangur, wombat. Widziała już wombaty w zoo w Adelajdzie, zanim wyjechali do Alice Springs pociągiem...

Odetchnęła z ulgą, zadowolona, że nie pobiegła po Maggie. Zachowałyby się niewyobrażalnie głupio! Położyła rękę na piersiach, czując, jak serce jej wali, i powtarzała w duchu, że musi się opanować.

Otworzyła drzwi z siatką na muchy i wyszła na zewnątrz zobaczyć, co też ten wombat tutaj robi. Lampa nad ubikacją jeszcze się nie paliła, więc było dość ciemno, ale dostrzegła, jak zwierzę zniknęło za ścianką. Widziała go, jak kopie w pobliżu śmietnika. Przez chwilę przypatrywała się ubikacji w nadziei, że zwierzątko zawróci. Już miała wrócić do kuchni, kiedy kątem oka zobaczyła, że coś się rusza. Dostrzegła mężczyznę i krzyknęła z przerażenia, kiedy zniknął za ubikacją. Wbiegła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Natychmiast poczuła dym.

– O nie! – krzyknęła.

W tym momencie do kuchni weszła Maggie. Steki po jednej stronie spaliły się na węgiel, a w kuchni było pełno dymu.

– Co ty wyprawiasz? – zawołała Maggie.

Zrzuciła spalone steki z rusztu, próbując wolną ręką rozpędzić dym.

– Zobaczyłam kogoś... na zewnątrz – rzuciła Arabella w panice. – To chyba był Wally Jackson!



Maggie wyjrzała przez okno.

– Jest zupełnie ciemno. Jak mogłaś cokolwiek zobaczyć?

– Usłyszałam jakiś hałas i wyszłam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Chyba widziałam wombata.

– Bardzo możliwe. Pełno ich tu dookoła. Często wywracają śmietnik.

– Ale potem dostrzegłam mężczyznę... czał się w cieniu blisko ubikacji.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Arabello, to mógł być każdy! Aborygeni ciągle się kręcą w pobliżu.

– Nie, to na pewno był biały. – Widziała go zaledwie przez mgnienie oka, ale wystarczająco wyraźnie, by wiedzieć, że był biały. – Mogę się... mylić, ale wyglądał jak... Wally Jackson.

Maggie nie mogła zaprzeczyć. Poza tym wiedziała, że jest po trosze odpowiedzialna za histeryczne zachowanie Arabelli.

– Na pewno się pomyliłaś – oznajmiła, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. – Wally przynajmniej przez jakiś czas nie zbliżył się do hotelu. Zraniłaś jego dumę. A zresztą... no cóż. Tych steków nie mogę podać żadnemu z gości. Powinnaś ich była przypilnować! – strofowała Arabellę. – Lepiej żeby Tony ich nie oglądał – dodała, chowając mięso pod talerze w zlewie. – Otwórz tylne drzwi, żeby dym wywietrzał.

– Nie! – krzyknęła Arabella, przerażona.

– Och, na litość boską! Dobrze, ja to zrobię. I zapalę lampę na podwórku.

Kiedy Maggie wróciła, zamknęła za sobą drzwi przez wzgląd na Arabellę i zaczęła smażyć pozostałe steki: kiedy brązowiały, odwracała je. Poukładała też kawałki chleba naokoło rusztu, żeby się przypiekły. Kiedy steki były już prawie usmażone, rzuciła na płytę kilka jajek.

Wkrótce wszystko było gotowe.

– Myślałaś, co powiesz mężczyznom, żeby przestali się wyśmiewać z Wally'ego? – spytała.

– Nie – odparła Arabella.

Maggie potrząsnęła głową.

– Zostań tutaj i posprzątaj! – powiedziała i wyniosła kanapki oraz steki do baru.

Kiedy wyszła, Arabella zaczęła sprzątać, starając się nie podchodzić do tylnego wyjścia. Maggie przyniosła talerze z powrotem i poprosiła Arabellę, żeby je pozmywała. To oznaczało, że musiałyby stać dokładnie naprzeciw okna.

– A ty... nie mogłabyś tego zrobić, Maggie? – poprosiła Arabella. – Tam może być Wally!

– Wątpię – odparła Maggie. – Nie będzie chciał się natknąć na gościa z hotelu.

I wyszła znów do baru zebrać szklanki do umycia. Arabella mówiła sobie w duchu, że Maggie ma rację. Wally nie kręciłby się w pobliżu, zwłaszcza że światło było zapalone. Na pewno nie chciał ryzykować spotkania z kumplami. Maggie postawiła na ruszcie garnek z wodą do mycia naczyń, więc Arabella dźwignęła go i wlała wodę do zlewu. Właśnie zbierała talerze zostawione przez Maggie, kiedy nagle w oknie pojawiła się twarz. Arabella wrzasnęła i wrzuciła talerze do zlewu, tłukąc przy okazji dwa z nich.

Maggie usłyszała trzask i krzyk. Wpadła do kuchni, a zaraz za nią Tony.

– Co się stało?! – zawołała Maggie.

Zajrzała do zlewu i zobaczyła potłuczone talerze.

– Coś ty narobiła?

– W oknie... w oknie była jakaś... twarz! – szlochała Arabella, bliska hysterii. Trzęsła się tak, że ledwie stała na nogach.

– Twarz? – powtórzyła Maggie. Niecierpliwie potrząsnęła głową i podeszła do tylnych drzwi.

Tony też potrzasał głową. Był przekonany, że dziewczyna chce się po prostu wykręcić od roboty, zatem zniknął w barze.

– Czy to... czy to był... Wally Jackson? – spytała Arabella.

– Nie, to był Jack Emu. Właśnie wrócił z buszu i jest głodny. Nagadałam mu za to, że cię przestraszył. Przepraszał. Chciał tylko coś zjeść, a nie wiedział, kim jesteś. Powiedziałam mu, że zostały tylko spalone steki, ale chętnie je zje z chlebem – mówiąc to, Maggie kroić kromki i układała na nich kawałki mięsa. – No, w każdym razie Tony nie widział tych steków. – Westchnęła z ulgą i poszła z jedzeniem do tylnego wyjścia.

Arabella ruszyła za nią, ciekawa przybysza. Na progu Maggie podała jedzenie jakiemuś obdartemu Aborygenowi. Dziewczyna była jednak pewna, że to nie jego twarz widziała w oknie.

– Jest tam jeszcze ktoś? – spytała Jacka, zerkając ponad ramieniem Maggie.

Aborygen chwilę milczał, jakby się zastanawiał, co powinien powiedzieć.

– Nie, pani... panienka – rzekł wreszcie i czym prędzej zniknął w ciemności.

– Przepraszam, że potłukłam ci talerze, Maggie – wybąkała Arabella – ale to na pewno nie była twarz tego człowieka!

Maggie zabrała się do wybierania ze zlewu skorup.

– Lepiej posłuchaj mojej rady, Arabello, i przeproś Wally'ego! A w każdym razie powiedz coś tym facetom w barze, żeby zapomnieli o tej absurdalnej awanturze!

Arabella wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka. Chętnie porozmawiałaby z Jonathanem Westonem, niestety wyjechał nad jezioro Eyre. Stuarta Thompsona też nie było, miał wrócić dopiero za kilka dni... czuła się więc zupełnie bezbronna.

Jakiś czas po przyjściu do pokoju Arabella ciągle nie spała, wsłuchana w trzaski i pomruki dobiegające z hotelu. Czas płynął, a ona czuła coraz większy niepokój.

W końcu wstała i wyszła na balkon. Jej pokój tonął w mroku, więc nie przypuszczała, że ktoś mógłby ją zobaczyć w cieniu pod daszkiem werandy. Na pustej, pokrytej czerwonym kurzem uliczce pod domem z pewnością nikogo nie było. Przez chwilę stała nieruchomo. Mogła dostrzec w ciemności tylko poruszające się sylwetki skaczących w pobliżu kangurów i – od czasu do czasu – wielkie emu, które przebiegało drogę w świetle księżyca.

Nagle zobaczyła, że ktoś się zbliża. Początkowo sądziła, że to zwierzę, ale przekonała się, że to człowiek zmierzający w stronę hotelu! Zamarła ze strachu, zbyt przerażona, by odetchnąć albo wejść do pokoju; bała się, że jakikolwiek ruch może zostać dostrzeżony. Tym razem była pewna, że to Wally Jackson. Rozpoznała kształt jego kapelusza, postać i zawadiacki krok.

Hotel zamknięto dzisiaj wcześniej, jak zwykle w poniedziałkowe i wtorkowe wieczory, więc w pobliżu nie było żadnego z jego kumpli. Podeszedł do budynku i zatrzymał się. Była pewna, że patrzy w górę, w stronę balkonu i pokoi na piętrze. Zastanawiała się, czy wie, który należy do niej. Przyglądała się jak zahipnotyzowana, kiedy się schylił i podniósł coś z ziemi, po czym rzucił w jej stronę. Krzyknęła, przerażona. Kamień uderzył w ścianę tuż obok miejsca, gdzie stała. Wpadła z powrotem do pokoju i zatrasnęła drzwi. Szlochając, rzuciła się na łóżko. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła na głowę prześcieradła.

# Rozdział ósmy

---

Następnego rana Arabella spytała Maggie, gdzie mieszka Wally Jackson.

– Po co ci ta informacja? – zdziwiła się Maggie.

Kiedy Wally rzucił kamieniem, McMahonowie byli jeszcze na dole, więc o niczym nie wiedzieli.

– Chcę się z nim zobaczyć – odparła Arabella, modląc się w duchu, żeby nie opuściła jej odwaga.

– Chcesz go przeprosić?

– Tak... Myślę, że na to nie zasługuje, ale... zrobię to. Ze względu na ciebie i Tony'ego.

Duma nie pozwoliła Arabelli przyznać się, że okropnie ją przestraszył i dlatego postanowiła to zrobić. Nie chciała też mówić Maggie o tym, co się zdarzyło zeszłej nocy. Wally mógł wybić im okno, a wtedy Tony na pewno wyrzuciłby ją na ulicę, uznając, że jest wszystkiemu winna.

– Dobrze robisz, Arabello, zresztą nie tylko ze względu na nas – uznała Maggie.

– Czy policjant już wrócił do miasta? – spytała Arabella.

– Nie, ale spodziewamy się Terry'ego lada dzień. A dlaczego?

– Bo... gdyby Wally nie przyjął moich przeprosin i próbował mi zrobić krzywdę, złożę na niego skargę – odparła dziewczyna.

Nad ranem postanowiła, żełoży na Wally'ego oficjalne doniesienie, jeżeli nie przestanie jej prześladować.

– Nie robiłabym tego. To by tylko pogorszy sytuację.

– Nie rozumiem dlaczego – obruszyła się.

– Jeszcze nic nie zrobił, ale bądź ostrożna! – ostrzegła ją Maggie, po czym wyjaśniła, jak trafić do domu Frankiego Millera.

Arabella wyruszyła w drogę. Ponieważ w miasteczku było zaledwie parę domków, nie wątpiła, że znajdzie ten, w którym mieszkał Wally. Przeszła jakieś siedemset metrów i zobaczyła Wally'ego, siedzącego na frontowym ganku z nogami opartymi o ogrodzenie. Najwyraźniej żadna z pobliskich stacji nie potrzebowała dzisiaj jego pomocy. Z twarzą bez wyrazu patrzył, jak Arabella się zbliża.

Kiedy podeszła do niego, poczuła, że jej niedobrze i że chyba zaraz zemdleje. Doskonale zdawała sobie sprawę, że teraz wszystko się może wydarzyć; w dodatku był jeszcze wczesny ranek, a w pobliżu – żadnego świadka.

Zatrzymała się pięć metrów od ganku, na którym siedział.

– Maggie wie, że tu jestem! – zawołała na wszelki wypadek.

Niech będzie przynajmniej świadom, że ktoś się o nią martwi.

Wally milczał. Patrzył na nią z ponurym wyrazem twarzy. Widziała go zaledwie parę razy, w dodatku nigdy nie był trzeźwy. W każdym razie, kiedy był pijany, zachowywał się jowialnie i dużo gadał, więc wiedziała, o czym myśli. Teraz nie miała o tym pojęcia.

Nagle pożałowała, że tu przyszła. To był idiotyczny pomysł. Uznała jednak, że skoro już tu jest, powie to, co miała zamiar mu wyznać.

– Ja... Tony mi powiedział, że mężczyźni w barze bardzo panu dokuczali – zaczęła z bijącym sercem. Otarła o suknię spoczone dłonie.

Nadal nic nie mówił. Patrzył tylko na nią; niewątpliwie nie starał się jej ułatwić sytuacji.

– Przyszłam tu, żeby pana przeprosić za to, co powiedziałam... Byłam... byłam zła. Nie lubię, kiedy ktoś mi dokucza, ale nie powinnam była mówić nic tak... tak osobistego.

Zaczekała, aż się odezwie, ale milczał. Zaległa cisza.

– To... to wszystko, co chciałam powiedzieć... To może ja już pójdę – rzekła, odwracając się. Nie miała zamiaru się przed nim płaszczyć, ale jeszcze ciągle spodziewała się, że coś jej odpowie. Cokolwiek, na przykład: „Dziękuję, że przyszedłeś” albo: „Ja też nie miałem racji”. Cokolwiek! Ale on milczał jak zakłęty. Odeszła kilka kroków i nagle gniew ją ogarnął za to poniżenie, jakie teraz czuła.

Odwróciła się do niego.

– Przecież pana przeprosiłam! Mógłby pan chociaż wyrazić jakąś wdzięczność! To pan był wtedy pijany, to pan się źle zachowywał! Nie bierze pan na siebie żadnej odpowiedzialności?

Nic nie mówił. Nadal miał kamienny, niewzruszony wyraz twarzy.

– Och, do diabła, z panem! – krzyknęła Arabella. – Jest pan ordynarny i wcale nie zasługuje na moje przeprosiny. Cofam je! W dodatku jest pan tchórzem... zachowuje się pan jak wystraszony chłopczyk. Nic dziwnego, że koledzy z pana kpią! Niech się pan broni! Ja się nie obraziłam za te kilka złośliwości, które usłyszałam!

Odwróciła się i ruszyła przed siebie. Nie miała pojęcia, że Wally był gotów jej wybaczyć; w końcu była tylko głupią młodą dziewczyną, w dodatku go przeprosiła. Ale tymi ostatnimi słowami... przesadziła.

Arabella nie obejrzała się za siebie, więc nie widziała gniewu wymalowanego na twarzy i w oczach Wally’ego.

– Co się stało? – spytała Maggie, kiedy Arabella wpadła do kuchni. Wyglądała na roztrzęsioną.

– Nic – parsknęła.

– Co to znaczy nic? Przeprosiłaś Jacko?

– Tak, przeprosiłam – odparła krótko.

– No i...?

– No i nic. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Tylko na mnie patrzył. To ordynarny, arogancki człowiek! Więc... – Arabella się zawahała na widok zmienionej, zmęczonej twarzy Maggie.

– Więc...? – nerwowo pytała Maggie. – Arabello, co zrobiłaś?

– Cofnęłam przeprosiny. Oto, co zrobiłam!

Maggie zatknęło.

– Co zrobiłaś?

– Cofnęłam je. Nie zasługiwał na moje przeprosiny. W dodatku powiedziałam mu, że jest tchórzem!

– O Boże... – jęknęła Maggie.

Opadła na krzesło, potrząsając głową. Nie przypuszczała, że Arabella może jeszcze pogorszyć sprawę. Tymczasem to zrobiła!

– Nie przejmuj się, Maggie – rzuciła Arabella. – Mam inny pomysł.

– Boję się zapytać, jaki... – odparła Maggie.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – odparła Arabella i skierowała się na górę.

– Pomyśl, tylko długo i dobrze! – szepnęła do siebie Maggie, kiedy dziewczyna wyszła.

Myślała już nawet o tym, żeby osobiście porozmawiać z Wallym, ale dotychczasowe doświadczenie ją nauczyło, że nie ma sensu się wtrącać w sprawy klientów; w dodatku Tony był temu przeciwny.

Arabella myślała o tym wszystkim bardzo długo. W końcu uznała, że Wally nie zasługuje z jej strony na nic więcej. Był ordynarny, arogancki, nieczuły i dziecinny. A ona w żadnym wypadku nie miała zamiaru dać się zastraszyć. Jeżeli nie chce się zbliżyć do hotelu, doskonale! Dzięki temu nie będzie musiała go oglądać. A Tony znajdzie sobie innego dobrego klienta, żeby wyrównać straty.

Przez cały dzień Tony się do niej nie odzywał, jego żona też nie miała wiele do powiedzenia. Arabella wiedziała jednak, że z czasem sytuacja ulegnie poprawie. O siódmej wieczorem zrobiło się ciemno i dziewczyna poszła do swojego pokoju.

Chwilę siedziała na balkonie. Zauważyła, że w domu Frankiego Millera nie świeci się światło, i poczuła się nieswojo. Wally wprawdzie nie pojawił się w hotelu, bo Ted i Les nadal siedzieli w barze, ale się bała. Przypomniła sobie słowa Maggie, że Wally nie będzie się tutaj kręcił, dopóki są jego kumple.

Spojrzała w niebo na gwiazdy, ale już po chwili zaczęła się wpatrywać w ciemność. W pobliżu ubikacji rosło kilka drzew, które rzucały cień w słabym świetle księżyca. Pomyślała, że ktoś mógłby się tam z łatwością ukryć.

Daj spokój! – mówiła do siebie w duchu. – Przecież to oczywiste, że nikogo tam nie ma. To tylko wyobraźnia...

Znowu spojrzała na gwiazdy. Starła się zapomnieć o nurtującym ją problemie. Wtedy, w panującej dookoła ciszy, usłyszała słaby dźwięk. Przypominał kasznięcie czy chrząkanie. Pomyślała, że to musi być jeden z klientów hotelu, ale mimo to jej wzrok powędrował w stronę drzew.

Chciała wejść z powrotem do pokoju, kiedy nagle poczuła, że ktoś ją obserwuje. Strach sparaliżował jej nogi. Próbowwała nie patrzeć na cienie pod drzewami, ale nie potrafiła od nich oderwać oczu. Zerknęła na dom Wally'ego tonący w mroku. To było w stylu tego mężczyzny – śledzić ją i straszyć. Takie dziecinne postępowanie! Powoli wstała i skierowała się do drzwi. Wtedy usłyszała trzask – jakby łamiącej się gałęzi. Gwałtownie złapała powietrze i odwróciła się.

– Kto tam jest? – spytała chrapliwym głosem. Zauważyła jakąś zmianę w cieniach pod drzewami. Teraz już wiedziała, że ktoś tam jest, bo się poruszył, kiedy się odwróciła. – Ty tchórze – szepnęła.

Dygocząc, weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Koło północy się obudziła. Musiała wyjść do toalety. Na wprost śpiąc, zeszła na dół. Aż do chwili, gdy dotarła pod tylne drzwi, nie pomyślała o Wallym. Przypomniła sobie o nim dopiero, kiedy trzymała już rękę na klamce.

Otworzyła drzwi i wyjrzała na podwórko. Było puste. Powtarzała sobie, że nie powinna być niemądra! Pobiegła do ubikacji i pchnęła drzwi, cały czas wsłuchana w najcichszy nawet szmer. Zaczęła siusiać... i nagle odebrało jej dech: usłyszała, że coś drapie w ściankę ubikacji. Dźwięk nie był głośny, ale nie pochodził od żadnego zwierzęcia.

– Kto tam?! – zawołała.

Cisza.

Serce jej tak waliło, że niemal zemdląca. Czekwała w ubikacji, w ciemnościach, które rozpraszało tylko słabe światło lampy nad drzwiami. Skrobanie się powtórzyło. Najpierw ktoś drapał w boczną ścianę, a potem w drzwi. Chciała krzyknąć, ale była tak przerażona, że nie mogła wydobyć głosu. Nagle rozległo się głośne uderzenie. Arabella wrzasnęła i równocześnie otworzyła drzwi, pewna, że za nimi stoi Wally.

Ale nikogo nie było.

Na uginających się ze strachu nogach pognąła do hotelu. Zatrzasnęła drzwi i zamknęła zasuwę. Serce jej łomotało. Po paru sekundach poczuła, że jest bezpieczna i, żeby się uspokoić, wzięła kilka głębokich oddechów. Czowała równocześnie gniew i ulgę. Ale po chwili znowu przeraziła ją myśl, że Wally może być w środku. Mógł przecież wejść do hotelu, kiedy ona była w toalecie. Rozejrzała się po ciemnej kuchni. Oświetlało ją padające przez okno światło, ale kąty pomieszczenia były ciemne.

Stała nieruchomo; nagle usłyszała kroki na korytarzu. Wally był w środku! Chciała zawołać o pomoc, tylko czy ktoś by ją usłyszał? Tony i Maggie mieli pokój na piętrze. Mogła tylko wpatrywać się w korytarz i czekać na dalsze ruchy mężczyzny. Nagle dostrzegła wałek do ciasta Maggie. Sięgnęła po niego, bała się jednak przestąpić z nogi na nogę, żeby podłoga nie zaskrzypiała. Z wałkiem w ręku czekała.

Nagle w drzwiach zamajaczyła sylwetka. Serce jej zamarło ze strachu. Podniosła wałek z zamiarem rzucenia nim w napastnika. Ze świstem przeleciał w powietrzu, ale w ostatniej chwili ktoś go złapał.

– Ejże! – zawołał Stuart Thompson. – Spokojnie! Może pani tym kogoś zranić.

Arabella omal nie zemdląła z radości, po czym dosłownie padła w objęcia przybysza.

– Co takiego się stało? Trzęsie się pani jak listek na wietrze.

– Myślałam... – Nie wiedziała, co powiedzieć. Czyż mogła wyznać Stuartowi, że wzięła go za Wally'ego? Będzie uważał ją za wariatkę! – Ale... co pan tu robi? Myślałam, że pan wyjechał.

– Wróciłem dosłownie przed chwilą. Przykro mi, że tak panią wystraszyłem. – powiedział grzecznie Stuart. – Szedłem do ubikacji.

Spojrzała w jego poczciwe, niebieskie oczy.

– Usłyszałam kroki – wyjąkała. – A z podwórka doszły mnie dziwne dźwięki. – To musiał być Wally, była tego pewna. Chciała powiedzieć Stuartowi, że ten pijaczyna ją prześladowuje, ale się rozmyśliła, bo musiałyby wspomnieć, że obraziła dobrego klienta McMahonów.

Stuart przytrzymał ją mocniej i wyjrzał przez okno.

– Każda kobieta mogłaby się przestraszyć – stwierdził. – Ale jestem tu z panią.

Czuła przy sobie ciepło jego ciała, jego spokojnie bijące serce... i wiedziała, że jest bezpieczna.

– Mogę pana o coś poprosić? – szepnęła.

– Naturalnie... a o co?

– Mógłby pan odprowadzić mnie do pokoju?

Uśmiechnął się lekko, a ona się zarumieniła. Miała nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy nic niewłaściwego.

– Będę zaszczycony – rzekł.

– Głupio mi, że o to proszę...

– Proszę nawet o tym nie myśleć! – zaprotestował, podając jej ramię. – Zawsze chętnie odgrywam rolę dżentelmena.

Odwrócili się i podeszli do schodów. Ze Stuartem przy boku Arabella była odważniejsza, kiedy weszli do jej pokoju, zawahała się. A co, jeśli w środku jest Wally?

– Mógłby pan... – Zrobiło się jej gorąco ze wstydu: zachowywała się jak dziecko!

– Pewnie pani chce, żebym sprawdził jej pokój?

Nie widziała w ciemności jego twarzy, ale w głosie usłyszała uśmiech.

– Wiem, jestem niemądra, ale... – wyszeptała.

– Ależ z przyjemnością, jeżeli to pani pomoże!

Zniknął w pokoju, podczas gdy Arabella czekała na korytarzu. Chwilę później skoczyła z przerażenia, bo nagle otworzyły się drzwi pokoju Jonathana.

– Arabello?! – zawołał zaskoczony. – Coś się stało? Wydawało mi się, że słyszałem głosy. – Przecierał zaspane oczy. Zauważyła, że miał na sobie tylko spodnie od piżamy.

– Tak... to znaczy... nie, nic się nie stało... Nie wiedziałam, że pan już wrócił.

– Wróciłem jakąś godzinę temu.

Z pokoju Arabelli wyszedł Stuart.

– Czysto, nikogo nie ma – oznajmił.

– Dziękuję... – odparła Arabella, zakłopotana.

Patrzyła na Jonathana, wyraźnie zaskoczonego widokiem Stuarta. Co sobie pomyślał, widząc mężczyznę wychodzącego z jej pokoju w środku nocy?

– Usłyszałam jakiś hałas na dole... – tłumaczyła w nadziei, że ją zrozumie.

– Na dole? – chłodno powtórzył Jonathan. Nie rozumiał, w jaki sposób mogło to się wiązać z jej

pokojem na piętrze!

– Tak... i zjawił się Stuart, więc go poprosiłam, żeby sprawdził, czy w moim pokoju kogoś nie ma.

Wiem, to niemądre, ale... byłam taka wystraszona!

– Może zejść na dół i zobaczę, czy tam nikt się nie kręci? – zaoferował się Stuart.

– Dziękuję, panie Thompson – uprzejmie i bardzo oficjalnie odpowiedziała Arabella.

Była wdzięczna losowi, że Jonathan nie zobaczył jej w objęciach Stuarta! Mimo że w korytarzu było prawie ciemno i nie widziała wyrazu twarzy Jonathana, jego dezaprobata była wręcz namacalna!

– Proszę mi mówić „Stuart” – rzekł młodzieniec. – Byłem już w pani sypialni, więc „pan Thompson” wydaje się nieco pruderyjne!

Żartował, Arabella była jednak za bardzo zażenowana, żeby to docenić.

– W porządku... – wyjąkała i weszła do swojego pokoju. – Dobranoc! – zawołała do Stuarta i Jonathana, zamykając drzwi.

Przez chwilę nasłuchiwała, czy Jonathan nie odezwie się do Stuarta. Usłyszała jednak tylko kroki tego ostatniego schodzącego po schodach i trzaśnięcie drzwi do pokoju Jonathana.

Następnego popołudnia Arabella stała w drzwiach prowadzących do baru. Siedzieli tam Barry Bonzarelli i dwaj inni mężczyźni znani jej z widzenia. Jednym z nich był Les Mitchell, dobry kumpel Wally’ego, hodowca bydła z Lizard Creek i gość państwa Maxwell na przyjęciu z okazji rocznicy ich ślubu. Drugim był Ted Wallace, zawiadowca stacji. Teraz, kiedy pociąg nie jeździł, Ted bywał w barze niemal codziennie.

Arabella obserwowała, jak się śmieją, podejrzewając, że przedmiotem ich kpin jest w dalszym ciągu ich kompan od kieliszka. Wiedziała, że musi temu położyć kres, inaczej Wally nie przestanie jej prześladować. Całą noc nie spała i wciąż myślała o Wallym i o niezręcznej sytuacji, w której się znalazła... ze Stuartem i z Jonathanem, oczywiście.

Obaj młodzi mężczyźni wyjechali z hotelu bardzo wcześnie rano, każdy w kilkudniową podróż, więc nie miała okazji, żeby wyjaśnić to nieporozumienie. Teraz jednak musiała załatwić sprawę z Wallym. Potem będzie miała czas, by zająć się Jonathanem i Stuartem...

Wzięła głęboki oddech i weszła do baru. Mężczyzn zdziwiło, że do nich podchodzi. Popatrzyli na siebie, a następnie na nią. Stała przed nimi, wyraźnie zdenerwowana. Wciąż się wstydziła swojej spalonej cery, ale ze wszystkich sił usiłowała skupić się na tym, co miała teraz powiedzieć.

– Ja... skłamałam – wyrzuciła z siebie w końcu.

Bała się, że jej nerwy tego nie wytrzymają. Zerknęła na Tony’ego, patrzącego na nią z niepokojem. Wiedziała, że się zastanawia, co Arabella zamierza zrobić. Nie miał ochoty stracić kolejnych klientów.

– O czym ty mówisz? – zapytał Barry głosem tak tubalnym, że Arabella miała ochotę wziąć nogi za pas. Ponieważ nie odpowiedziała od razu, popatrzył pytająco na Tony’ego. – Wiesz, o czym ona mówi?

Tony przecząco potrząsnął głową.

– To... co powiedziałam o Wallym, to nie była prawda – odzyskawszy głos, ciągnęła Arabella. – Byłam na niego zła. Był pijany i dokuczał mi... a ja nie lubię, kiedy mówi się do mnie Fitz! Wymyśliłam tę historyjkę.

– Więc mówisz, że to, co powiedziałaś o Wallym, to nieprawda? – powtórzył Barry.

Był wielkim mężczyzną (miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu) z twarzą okrągłą jak talerz i spłaszczonym jak u boksera nosem. Nie pachniał też najlepiej. Poczuli się malutka i wystraszona, kiedy tak przed nim stała.

– Właśnie – potwierdziła cichutko. – To nie była prawda.

– Więc przyznajesz się, że z ciebie kłamczucha? – oskarżycielsko podsumował Barry.

Wzięła głęboki oddech. Nie miała ochoty mówić o sobie, że kłamie, ale nie wiedziała, co mogłaby

innego zrobić. Czują, jak rumieniec oblewa jej szyję, potem twarz, ale mężczyźni uznali po prostu, że się wstydzi.

– Ja... – prawie się zakrztusiła – ja zwykle nie kłamię, ale historyjkę o Wallym zmyśliłam. Wiem, że jest waszym przyjacielem, więc chciałam, żebyście znali prawdę.

Mężczyźni patrzyli na siebie, niepewni, co o tym myśleć.

– A niby dlaczego mielibyśmy ci uwierzyć? – spytał Ted. – Może znowu kłamiesz?

– Przecież nie musiałam się przyznawać, że skłamałam – zauważyła.

– Ma rację – rzekł Les.

Był wysoki, prawie tak wysoki jak Barry, ale bardzo chudy; mimo niemal sześćdziesięciu lat pracował równie ciężko jak młodzi faceci, a pić potrafił tak, że kiedy większość już leżała pod stołem, on jeszcze był trzeźwy. Krążył o nim dowcip, że ma nogi puste w środku i że przez te nogi wycieka alkohol.

– Przeprosiłam Wally’ego, a teraz wam się przyznałam do kłamstwa – mówiła Arabella. – Tylko tyle mogę zrobić.

Bała się, że już dłużej tego nie zniesie, więc wyszła z baru. Na korytarzu spotkała Maggie, która stała niedaleko drzwi i wszystko słyszała.

– To wymagało wiele odwagi! – przyznała Maggie serdecznie, zerkając w stronę baru. – Ale nie wiem, czy mądrze postąpiłaś, przyznając się, że jesteś kłamczuchą. Taka opinia może przylgnąć do ciebie na zawsze.

– Jeżeli Wally zacznie tu znowu przychodzić, a wszystko na to wskazuje, to było warto – zdecydowała Arabella.

Modliła się w duchu, żeby tylko zostawił ją w spokoju. Poszła na górę.

Maggie zastanawiała się nad jej słowami, niepewna, czy Arabella jest po prostu odważna, czy niemądra; poczuła jednak dla niej odrobinę szacunku. Tak się postawić Barry’emu Bonzarellemu! Nie każdy mężczyzna by się na to zdobył. A zrobiła to młodziutka dziewczyna. Musiała być odważna. Przyjrzała się wszystkim trzem mężczyznom: Barry’emu, Lesowi i Tedowi. Wydawali się skonsternowani tym, co usłyszeli.

– Czy ona... mówi prawdę? – spytał Barry Tony’ego.

– Myślę... że tak – odpowiedział tamten, naprawdę nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. – Przecież powiedziała, że nie musiała się przyznawać, nie?

Barry podrapał się w głowę porośniętą rozczochraną czupryną.

– Wally miał ciężko przez nas... w dodatku za nic, Barry! – stwierdził Les. – Powinniśmy byli się zastanowić, a nie wierzyć od razu wszystkiemu, co ktoś mówi... zwłaszcza ta dziewczyna. Moim zdaniem jest naprawdę dziwaczna.

– Masz *recht*! – przytaknął Tony.

– Daj nam cztery butelki piwa – zwrócił się Barry do Tony’ego. – Trzeba to wszystko załatwić.

Tony podał im piwo.

– Wracamy tu za małą chwilkę – rzucił Barry. – Chodźcie, chłopaki!

Trzej mężczyźni wyszli z baru. Tony był przekonany, że poszli się spotkać z Wallym. Przynajmniej miał taką nadzieję...

Barry, Les i Ted rzeczywiście poszli do domu Frankiego Millera. Zastukali do drzwi i od razu weszli, nie czekając na zaproszenie.

Frankie wyjechał do Alice Springs do lekarza: ostatnio miał kłopoty ze wzrokiem. Przypuszczano, że wróci dopiero następnym pociągiem z Alice, po naprawieniu torów.

Wally’ego zastali przy stole w kuchni. Spał z głową opuszczoną na gazetę. Koledzy wiedzieli, że



musiał być naprawdę piekielnie znudzony, skoro wziął się do czytania gazety, którą z pewnością przeczytał kilka razy w ciągu ostatnich paru miesięcy; poczuli wyrzuty sumienia, że tak go potraktowali. Zaczęli klepać go po ramieniu. Zerwał się gwałtownie. Ich widok go zaskoczył – ale cóż, ten dzień obfitował w niespodzianki.

– Chyba... powinniśmy cię przeprosić – z zażenowaniem powiedział Barry.

– Przeprosić... za co? – ospale mruknął Wally.

– Ta dziewczyna, co mieszka w hotelu, przyznała się, że to, co o tobie mówiła, to nieprawda, więc chyba nie powinniśmy ci byli tak dokuczać – wyjaśnił Les. – Ale przecież... tylko żartowaliśmy? No, może trochę przesadziliśmy...

Dobrze wiedzieli, że ich kumpel, kiedy się raz obrazi, potrafi być obrażony dłużej niż inni. Wally nie wiedział, co powiedzieć.

Koledzy jego milczenie potraktowali jak urazę.

– Wypijesz z nami piwko, Jacko? – spytał Ted.

Ale Wally jeszcze ciągle przetrawiał w sobie to, co powiedział Barry.

– Co chciałeś powiedzieć przez to, że ta dziewczyna kłamała?

– Przyznała się, że wymyśliła całą historię o tym, że... no, wiesz... – bąkał Barry.

– Przyznała się?

Po tym, co od niej usłyszał, nie mógł w to uwierzyć.

Tymczasem Barry otworzył butelkę, a Les znalazł szklanki.

– Powinniśmy to byli wiedzieć, stary... – mruknął Ted. – To dziwaczka.

Chciał rzucić całą winę na Arabellę.

– To prawda – przyznał Wally, macając się po nieogolonym podbródku.

Czterej mężczyźni podnieśli szklanki.

Wally pociągnął długi haust. Wydawało mu się, że już od tygodni nie pił chłodnego piwa z kolegami: smakowało wybornie. Był z siebie bardzo zadowolony, bo przecież przestraszył Arabellę; uznał jednak, że nigdy nie zapomni jej ostatnich słów, jakimi go uraczyła – niezależnie od tego, co powiedziała jego kumplom.

Maggie, przechodząc obok drzwi pokoju Arabelli, usłyszała szlochanie. Zatrzymała się i ostrożnie otworzyła. Zobaczyła, że dziewczyna leży na łóżku z twarzą na poduszce; istny obraz nędzy i rozpaczy.

– Arabello, kochanie, co się stało? – zapytała.

Na dźwięk głosu Maggie Arabella usiadła na łóżku.

– Tęskno mi... za mamą, za ojcem... nie widziałam ich już od siedmiu dni! A oni na pewno myślą, że nie żyję! – Rozpłakała się na dobre. – Tak bardzo bym chciała być z nimi!

Rysy twarzy Maggie złagodniały. Podeszła do łóżka i objęła węższe ramiona Arabelli.

– Wiem, kochanie...

– Nie bierz tego do siebie, Maggie, ale dla mnie to miasto jest okropne.

– Naprawdę cię rozumiem – przyznała Maggie. – Pierwszy rok pobytu tutaj był chyba najgorszy w moim życiu. Właściwie bez przerwy jest gorąco. I ciągle wieje wiatr i nanosi ten przekłety pył. Deszcz pada bardzo rzadko... Ale wiesz co? Mimo wszystko z biegiem czasu miasto nabiera uroku, a ludzie stają się życzliwsi.

Arabella nie była w stanie uwierzyć, że Marree może się w ogóle komuś podobać.

– Nie masz rodziny? – spytała, ocierając łzy.

Nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego Maggie zechciała zamieszkać w takiej zakurzonej dziurze jak Marree.

– Mam siostrę. Mieszka na Warratah Station... a mój brat Mike jest nadal w Anglii.

– Gdzie jest ta Warratah Station? – chciała wiedzieć Arabella. Wytarła nos i osuszyła łzy.

– Jakieś siedemdziesiąt kilometrów stąd na północ, ale żeby dotrzeć do jej gospodarstwa, trzeba pokonać kolejne sto czterdzieści.

Oczy Arabelliomal nie wyszły z orbit.

– To tutaj są takie ogromne gospodarstwa?

– Nazywamy je „stacjami”, kochanie, a Warratah nie jest wcale takie duże. Są takie miejsca jak Anna Creek, która jest większa od Belgii: mniej więcej w połowie taka jak Anglia. Ma pięć i pół miliona akrów. Czasami na takiej farmie hoduje się osiemnaście tysięcy sztuk bydła.

Arabellę zatkało.

– Gdzie to jest?

– Jakieś pięćdziesiąt kilometrów od William Creek, które leży od nas na północny zachód.

– To... jak często widzisz siostrę?

– Peg ma gromadkę dzieciaków, więc nie może często przyjeżdżać do miasta, najwyżej raz, dwa razy w roku. A ja też nie bardzo mogę się stąd ruszyć, bo Tony nie dałby sobie rady beze mnie.

– Masz dzieci, Maggie?

Maggie przez chwilę była zmieszana.

– Nie... Bóg nam nie pobłogosławił.

– Ja jestem jedynaczką – wyznała Arabella. – Mama mówi, że była za bardzo zajęta mną, żeby mieć więcej dzieci.

Maggie nie odpowiedziała, ale pomyślała, że z łatwością może sobie wyobrazić, jakim wymagającym dzieckiem była Arabella.

– Kiedy ten pociąg wreszcie przyjedzie? – marudziła Arabella.

Fala tęsknoty za domem znów ją opanowała. Rozpłakała się żałośnie.

– Nie mam zamiaru kłamać, kochanie – odparła Maggie – ale to może potrwać nawet kilka miesięcy. W buszu wszystkie takie rzeczy trwają strasznie długo.

Po policzkach Arabelli znów popłynęły łzy.

– Ale... telegraf chyba zacznie działać wcześniej? Prawda?

– O, to z pewnością! Słuchaj, Arabello, nawet, gdyby ten pociąg przyjechał dopiero za kilka miesięcy, możesz być pewna, że twoi rodzice wrócą nim, bo nie ma innej drogi z Alice Springs. Więc się nie bój. Niedługo znowu ich zobaczysz.

Twarz Arabelli się rozjaśniła. O tym nie pomyślała. Naturalnie, że rodzice przyjadą tym pociągiem! Będą musieli przecież wrócić do Adelajdy; zostawili tam mnóstwo rzeczy kupionych przez matkę. A potem z pewnością zechcą wrócić do Anglii.

– Masz rację, Maggie!

– A cóż to będzie za cudowna niespodzianka, kiedy cię zobaczą!

– Tak... – odparła Arabella. – To będzie wielka ulga!

Wally pojawił się niebawem w barze razem z Lesem, Tedem i Barrym, ale udawał, że nie dostrzega Arabelli, która na prośbę Maggie myła podłogę w jadalni.

Dziewczyna się tym nie przejęła, przeciwnie, poczuła ulgę. Nie patrzył na nią, nie zaczepiał ani jej nie dokuczał; Tony był zadowolony z powrotu swojego najlepszego klienta. Wieczorem jednak mężczyźni wyszli z baru wcześniej niż zwykle. Zdziwiona tym Arabella spytała Maggie, gdzie się podziali klienci.

– Pewnie poszli grać w karty do domu Frankiego Millera. Czasami tak robią.

– A dlaczego nie grają tutaj? Może to zabronione?

– Właściwie tak... w barach nie powinno być hazardu, ale Tony’emu byłoby wszystko jedno. Chyba po prostu chcą robić coś innego.

– To nie jest dobre dla interesu – stwierdziła Arabella.

– Rzeczywiście – przyznała Maggie. – Ale się nudzą, w tym mieście nie ma wielu sposobów, żeby się rozerwać. I nawet najwięksi pijacy mogą wypić tylko tyle, ile mogą... i nie więcej.

Arabella widziała, że Maggie jest zmartwiona.

Przed pójściem do łóżka wyszła do ubikacji. Była zdenerwowana i wiedziała, że jeszcze długo będzie się tak czuła.

Kiedy wracała do pokoju, usłyszała, jak Tony mówi podniesionym głosem. Przez chwilę sądziła, że rozmawia w barze z opieszalym klientem, ale kłócił się z żoną. Arabella nie zamierzała im przeszkadzać, więc ruszyła w stronę schodów, kiedy nagle padło jej imię. Ciekawość zwyciężyła. Arabella zatrzymała się, by posłuchać, o czym mówią.

– Wiesz, dobrze, że panna Fitzherbert nie robi tego, co do niej należy – mówił. – A jej utrzymanie kosztuje!

– Stara się najlepiej, jak może – przekonywała Maggie.

– Tak, tłucze talerze i przypala jedzenie! Wiem, chciałaś to przede mną ukryć, ale wyczułem zapach dymu i wiem, że to nie z twojej winy! A co było z piecem? Po tej katastrofie kolacja tak się opóźniła, że będziemy mieli szczęście, jeżeli Maxwellowie jeszcze kiedyś do nas zajrzą! Ta mała powinna poza tym czyścić stajnię. Na pewno jej to nie zaszkodzi.

– To nie jest praca dla kobiety... – zaprotestowała Maggie. – A zwłaszcza takiej młodej i rozpieszczonej jak ona. Jesteś zanadto wymagający!

– Tak, rodzice bardzo ją rozpieścili. Kosztuje nas tyle, że nie powinna tutaj dłużej przebywać. A, co gorsza, odstrasza nam klientelę.

– Wally przecież wrócił, prawda? Uważam, że to był z jej strony dowód odwagi, kiedy skłamała, żeby koledzy przestali Wally’emu dokuczać.

– A skąd wiemy, że naprawdę kłamała?

– Ojej, przecież oboje widzieliśmy, jak Wally wychodził na podwórze z jedną z Aborygenek. On naprawdę chrząka! Mam nadzieję, że nie myślisz poważnie o wyrzuceniu Arabelli. Dokąd miałyby pójść?

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Niewiele nam pomaga, a ja nie mam ochoty trzymać w domu pasożyta! – rzucił z gniewem Tony.

– Idę się przejść – rzuciła Maggie i wyszła na korytarz. Dostrzegła Arabellę na schodach. Po zwieszanej głowie i pochylonych ramionach dziewczyny poznała, że musiała być świadkiem ich kłótni...

– Słyszałaś, co mówił Tony, prawda? – rzekła ze smutkiem.

Arabella spojrzała na Maggie. Widziała, że kobiecie jest przykro, ale nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Tony po prostu się martwi – tłumaczyła Maggie. – Ostatnio nie powodzi się nam najlepiej... właściwie już od dłuższego czasu. Powinniśmy mieć więcej takich wieczorów jak ostatnio, kiedy Maxwellowie zaprosili do nas swoich gości.

– Ale... z mojej winy... mogą tu nie wrócić – westchnęła Arabella ze spuszczonej oczyma.

– Wrócą, na pewno! – pocieszyła ją Maggie. – Nie zwracaj uwagi na to, co mówi mój mąż.

– Czy... istnieje niebezpieczeństwo, że straciecie ten interes? – spytała Arabella.

– Wszystkimi rachunkami zajmuje się Tony; właściwie nigdy nic nie mówił na ten temat, ale boję się, że coś przede mną ukrywa. Nie chce mnie niepokoić, ale ostatnio ciągle jest zirytowany, więc domyślam się, że się martwi... Ale wiesz co? Jack Emu mówił, że jutro czy pojutrze będą tędy przechodzić postrzygacze owiec: ci zawsze dużo piją, więc dla interesu to by było bardzo dobre, chociaż czasem i oni sprawiają kłopoty.

– Co masz na myśli?

– Kiedy się napiją, często dochodzi do bijatyk, za to potrafią dużo zjeść. Muszę się przygotować i upiec sporo bochenków chleba. A Tony będzie musiał jutro zarznąć parę owiec, bo wołowina prawie się skończyła.

– Pomogę ci, ile tylko będę umiała, Maggie! – zawołała Arabella. – I bardzo się postaram, żeby nic nie stłuc!

Maggie popatrzyła na nią ze smutkiem.

– Zapomnij o tym, co powiedział Tony. Z pewnością tak nie myślał.

Ale Arabella wiedziała, że tak nie było... Ponownie spuściła głowę.

# Rozdział dziewiąty

---

Rzeczywiście, następnego dnia do miasta wjechało piętnastu zmęczonych postrzygaczy owiec. Maggie całe rano piekła chleby, szykując się do ich wizyty. Chcąc udobruchać Tony'ego, byle tylko nie kłócił się z Maggie, Arabella nalegała, by dał jej posprzątać stajnię. Co prawda nie miała na to ochoty, ale na szczęście pomieszczenie było puste, bo Stuart Thompson zabrał ze sobą konia.

Postrzygacze owiec byli zmęczeni, spragnieni i pokryci kurzem: przybyli z Birdsville Track w Queensland, gdzie od miesiąca strzygli owce. W drodze do Marree spędzili parę nocy pod gołym niebem, więc teraz marzyli o tym, żeby się umyć, ogolić, wyciągnąć na łóżku i wypić piwo... niekoniecznie w tej kolejności.

Arabella chciała się trzymać na uboczu, uznała jednak, że powinna pomóc właścicielom hotelu. Kiedy mężczyźni pili piwo w barze, Maggie rozwiesiła pościel na sznurze, a w odległym kącie podwórka ustawiła dużą wannę, żeby postrzygacze mogli się swobodnie rozebrać i wykapać. W tym czasie Arabella przyszykowała ręczniki, lustro, brzytwę, pasek do ostrzenia i mydło. Gdy kąpiel była gotowa, goście wychodzili jeden po drugim, żeby się umyć.

Ted Wallace rozpalił ogień na podwórku za hotelem i ustawił nad nim stalową płytę, po obu stronach opartą na kilku cegłach. Chcąc oszczędzić żonie trudu pieczenia mięsa w kuchni, Tony postanowił zrobić grill na wolnym powietrzu. Maggie miała tylko pokroić chleb i podać dodatkowo sos pomidorowy.

Ściemniło się i Arabella stanęła przy oknie w kuchni. Obserwowała, jak Ted układa kotlety baranie na kromkach chleba. Tony oświetlił ognisko pochodniami, więc doskonale widziała, jak goście rzucają się na jedzenie. Co prawda na ogół byli sympatyczni, ale Maggie przecież mówiła, że to wszystko może się zmienić, wystarczy, że ktoś się zacznie kłócić!

– W jednej chwili się śmieją, a już w następnej potrafią się bić jak wariaci – twierdziła. – Z nimi nic nie przewidzisz. Ciężko pracują, ale kiedy się bawią, bywa jeszcze gorzej! Tyle tylko, że zwykle mają dość pieniędzy na piwo, nawet wtedy, kiedy czasy są trudne. Ci tutaj strzygli owce przez dobry miesiąc, więc na szczęście mają co wydawać!

Arabella zauważyła kręcące się w pobliżu Aborygenki, wśród nich była też Rita. Prawdopodobnie dziewczyny liczyły na drobny zarobek...

Arabella aż zadygotała na myśl, co dziewczyny muszą robić, żeby zdobyć te pieniądze.

Kiedy mężczyźni poszli do baru na solidniejsze drinki, Maggie stwierdziła:

– Zawsze zostawiają po sobie straszny bałagan. – Wzięła kubek; Arabella wyszła za nią na podwórko, żeby posprzątać. Na ziemi leżało pełno pustych butelek i obgryzionych kości.

– Jeżeli tego nie pozbieramy, jutro będzie tu jeszcze więcej much i w dodatku kilka psów dingo – stwierdziła Maggie. Miała na myśli porzucane kostki i chrząstki.

– No, w każdym razie w kuchni jest porządek – pocieszyła ją Arabella.

Mężczyźni wychodzili od czasu do czasu z hotelu do ubikacji i Arabella widziała, jak na nią zerkają; czuła się tym skrępowana. Zaraz po sprzątnięciu podwórza obie z Maggie wróciły do środka. Arabella spytała, czy może już pójść do siebie; nie miała ochoty siedzieć w towarzystwie tych hałaśliwych mężczyzn. Nie chciała się przyznać, że ją denerwują, ale Maggie to dostrzegła.

Wolała też nie wspominać, że ciągle boi się Wally'ego i że wczoraj się tu kręcił, i znowu ją przestraszył.

– Idź na górę – ciepło poleciła jej Maggie.

– Gdybyś mnie potrzebowała, zawołaj – odrzekła Arabella.

Maggie uznała, że lepiej będzie trzymać dziewczynę z daleka od postrzygaczy owiec. Niektórzy z nich od miesiący nie widzieli kobiety, nie ufała im. Nie mogła jednak ujawnić mężowi swoich uczuć do Arabelli.

– Po prostu uznałam, że wszystko jest w porządku... zresztą sama też zaraz pójdę do swojego pokoju – wyjaśniła.

Wiedziała, że Tony i Ted dadzą sobie radę w barze, a Rita, jeżeli będzie musiała, utrzyma mężczyzn na dystans.

Arabella poszła na górę do siebie i zamknęła drzwi; ciągle jednak słyszała hałasy z dołu. Oczywiście! Im więcej pili, tym robili się gwałtowniejsi. W barze byli też miejscowi, uradowani nowymi kompanami, z którymi mogli pogadać i porozrabiać.

Maggie tłumaczyła, że to jedyny sposób, w jaki można się było dowiedzieć, co też się dzieje w innych miastach i na stacjach. Nazywano to „telegrafem z buszu”.

– Takie ot, męskie ploteczki – mówiła Maggie ze śmiechem.

Nagły wrzask którejś z kobiet wywołał Arabellę na balkon. W świetle pochodni zobaczyła, jak jeden z postrzygaczy owiec popycha gdzieś Lily. Jej krzyki zaalarmowały Ritę. Pobiegła dziewczynie na pomoc. W mgnieniu oka szarpała się z pijanym mężczyzną.

Arabella w życiu nie widziała tak przerażającego widoku. Nie wiedziała, co zrobić. Kiedy Rita wymieniała ciosy pięściami z mężczyzną, Arabelli wręcz odebrało głos. Aborygenka walnęła postrzygacza z całej siły w brzuch, facet padł na kolana, a ona kopnęła go w tyłek tak, że upadł twarzą do ziemi. Upokorzony, wstał i pokuśtykał z powrotem do hotelu. Lily i Missy krzyknęły z radości, ale Rita aż sapała ze zmęczenia. Lily podała jej butelkę piwa; tamta pociągnęła długi haust, wycierając nos rękawem. W chwilę potem padła na ziemię.

Arabella obawiała się, że kobieta umarła, ale jedna z towarzyszek wylała resztki piwa na jej głowę – i Rita odzyskała przytomność. Wtedy kobiety wzięły ją z obu stron pod ramiona (potężne ramiona!) i zaciągnęły do siebie, do obozu. Stopy Rity znaczyły ślad na drodze. Arabella zrozumiała, że Rita jest kompletnie pijana. Jeszcze długo docierał do Arabelli ich jazgot.

Zszokowana Arabella wróciła do pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała bijących się kobiet, a tym bardziej kobiety walczącej z mężczyzną! Musiała przyznać, że trudno było jej uwierzyć, że Rita pokonała swojego przeciwnika, ale tak się stało. Arabella trzęsła się jak osika, kiedy przypominała sobie o tym wydarzeniu. Ciągle pamiętała, co Maggie mówiła o bijatykach. Modliła się, żeby reszta tej nocy minęła spokojnie.

W niecałe pięć minut później Arabella usłyszała, że na dole coś się tłucze – i serce zaczęło jej walić jak młotem. Otworzyła drzwi, by sprawdzić, czy zdoła stamtąd dojrzeć, co się dzieje.

Maggie też usłyszała, że na dole się coś rozbiło, i wyszła z pokoju na korytarz.

– Mam nadzieję, że się nie pobili – powiedziała do Arabelli, mijając ją. – Jeżeli coś zniszczyli, splajtujemy na pewno...

Maggie wyglądała na zaniepokojoną.

Arabella podreptała za nią na dół i zajrzała do baru przez jej ramię.

Kilku mężczyzn się kłóciło; dostrzegła też wybitą szybę w oknie baru. Tony próbował uspokoić zwaśnionych, ale było jasne, że kłótnia jest zażarta.

Jeden z mężczyzn, ogromny drab, spierał się z drugim o to, który z nich jest lepszy, a także o jakieś pieniądze, rzekomo mu kiedyś skradzione. Następnie zeszli na temat kobiet. Chudy facet oskarżał wielkiego o flirtowanie z jego żoną, a nawet sugerował, że jedno z dzieci na pewno nie jest jego, ale tego wielkiego draba.

– Jest tak samo paskudne jak ty! – wykrzykiwał. – Wiem, że weszylesz dookoła mojego domu, kiedy

wyjeżdżałem do pracy.

– Tuman z ciebie! – darł się tamten. – Fujara, a nie mężczyzna!

Tego było już za dużo.

Przez salę poleciała szklanka i wylądowała na głowie wielkiego draba. Oniemiał na chwilę, po czym rzucił się na chudego, rycząc jak niedźwiedź. Mały z przerażeniem się uchylił; Arabella nie wiedziała, jak to się stało, ale pozostali mężczyźni rozdzielili się natychmiast na dwa obozy i zaczęli się bić.

Maggie odskoczyła. Zatrwożona patrzyła na Tony'ego, podczas gdy walczący przewracali stołki i stoły. Zapanował kompletny chaos; Arabella była przerażona. Kiedy dwóch bijących się facetów wypadło na korytarz i odcięło im dostęp do schodów na górę, schowała się razem z Maggie w jadalni.

Maggie nie wiedziała, co robić; Arabella się rozpłakała.

Modliła się, żeby Jonathan i Stuart wrócili jak najprędzej. Połamano stołki barowe, a ich części użyto jako broni, więc wszędzie sypały się drzazgi.

Lustro nad kominkiem było stłuczone, małe stoliki połamane leżały na ziemi, bo bijący się mężczyźni padali na nie. Arabella drżała; była w kompletnym szoku. Chciała uciec od odgłosów walki, od pięści łamiących kości, od szczęku tłuczonego szkła, od przekleństw, ale nie było sposobu, by to uczynić. Rozważała nawet wyskoczenie przez okno i ucieczkę do miasta, ale okna były pozamykane.

Wreszcie wcisnęła się w najdalszy kąt jadalni, gdzie natknęła się na fortepian. A ponieważ rozpaczliwie chciała zagłuszyć ten hałas walących pięści, rozbijanych szkieł, łamanych krzeseł – błyskawicznie zdarła obrus i kapę pokrywającą klawiaturę.

W stanie szoku usiadła i – zaczęła grać.

Zagrała starą angielską piosenkę *Greensleeves*<sup>[6]</sup>, swoją ulubioną, w nadziei, że ukoji strach. Nie zdawała sobie sprawy, że Maggie podeszła do niej, stanęła pełna podziwu i zachwytu nad jej grą. Arabella grała z pochyloną głową, skupiona. Jej palce biegały po klawiaturze, wydobywając z niej piękną melodię wypełniającą cały pokój.

W pierwszej chwili postrzygacze nie zauważyli muzyki, ale potem, jeden za drugim, przestawali walczyć i zaczęli słuchać. Po niespełna dwóch minutach w jadalni zapanowała całkowita cisza. Powietrze wypełniała wyłącznie piękna, uspokajająca muzyka. Mężczyźni z salonu i baru przeszli cicho do jadalni, a razem z nimi Tony, który nie miał pojęcia, skąd dobiega muzyka.

Arabella grała dalej, nie odważyła się nawet spojrzeć na swoją zahipnotyzowaną publiczność.

Tony przez całą długość pokoju pochwycił spojrzenie żony. Maggie widziała, że jest kompletnie zaskoczony, bardziej niż ona sama. Kiedy utwór dobiegł końca, Arabella złożyła dłonie na podołku i podniosła wzrok. Wszyscy postrzygacze owiec, a także Tony, Les i Ted gapili się na nią. Serce jej biło mocno, a w głowie czuła lekkość... Zauważyła z tyłu za innymi Wally'ego, wpatrzonego w nią roziskrzonym wzrokiem.

– To było wspaniałe... – odezwał się postrzygacz owiec, ten z zakrwawionym nosem i spuchniętą wargą.

I wtedy nagle wszyscy zaczęli bić jej brawo.

Arabella poczuła, że się czerwieni. Chciała wstać i uciec do siebie na górę, ale ten sam mężczyzna zawołał:

– Zagraj nam coś jeszcze!

Arabella spojrzała na Maggie.

– O tak, proszę, zagraj coś jeszcze, Arabello! – błagała tamta.

Zauważyła, jaki uspokajający skutek wywierała muzyka na jej gości, a nie chciała, żeby znowu zaczęli się bić.

Arabella zrozumiała.

Zacząła grać ragtime Scotta Joplina *Artysta estradowy*[7]. Goście ustawili na nowo stoły oraz krzesła i usiedli. Zdając sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, i z faktu, że lada moment ich hotel zostałby rozbity w puch, Maggie i Tony wrócili do baru i nalali sobie po drinku.

– Nie miałem pojęcia, że ona umie grać na fortepianie – mruknął Tony do żony. – Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo ja też nie wiedziałam – odparła Maggie. – Pytała mnie, do kogo należał fortepian, ale nigdy nie mówiła, że umie grać!

– W końcu znalazło się coś, do czego może się przydać – stwierdził Tony i uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu tygodni. – Widzisz, jak ci postrzygacze jej słuchają? Mogłaby nam napędzić mnóstwo klienteli!

Maggie popatrzyła na niego i wyduła wargi.

– Nie możemy jej wykorzystywać. Może był jakiś powód, dla którego dotychczas nie chciała grać... – zastanowiła się.

– Nie wykorzystamy jej – obruszył się Tony. – Po prostu zrobimy użytek z jej talentu. A poza tym, to doskonały sposób, żeby w ten sposób zapłaciła za swój pobyt!

Przez resztę wieczoru Arabella bawiła muzyką gości, przyjezdnych i miejscowych.

Skutek, jaki jej gra wywierała na gwałtownych, agresywnych mężczyznach, graniczył z cudem. Zupełnie jakby ktoś wylał na nich uśmierający balsam. Kiedy dziewczyna grała, postrzygacze zaczęli przypominać chłopców z kościelnego chóru, a pomiędzy poszczególnymi utworami bili jej brawo z ogromnym entuzjazmem i wychwalali pod niebiosa.

Spłynął na nią spokój i odczuwała wielką radość, zwłaszcza że żaden ze słuchaczy nie zwracał uwagi na jej opaleniznę. Maggie też zauważyła przemianę tej dziewczyny. Początkowo była nerwowa i nieśmiała, ale im więcej było braw i pochwał, tym bardziej stawała się pewna siebie i opanowana.

Arabella zabawiała gości grą, a Maggie sprzątała potłuczone szkło. Od czasu do czasu zerkała na słuchaczy zachwyconych pianistką. W końcu Tony nerwowo ogłosił, że podaje ostatnie drinki. Postrzygacze z reguły reagowali na to wrogością; tym razem jednak mężczyźni nie wyglądali na zagniewanych, chcieli tylko dalej uczestniczyć w tym wydarzeniu. Arabella zagrała jeszcze dwa utwory, wreszcie oznajmiła zasłuchanej publiczności, że jest zmęczona. Aż jęknęli, zawiedzeni, ale przyjęli to do wiadomości.

– Na zakończenie zagram wam kolędę *Cicha noc* – oznajmiła. – Jeżeli chcecie, możecie ze mną śpiewać.

Zacząła grać. Mężczyźni zaintonowali *Cicha noc, święta noc, urodzony Boży syn...* Ich głosy były szorstkie, niektórzy fałszowali... W dodatku to przecież wcale nie było Boże Narodzenie, więc wybór utworu raczej dziwny... ale nikt się tym nie przejął.

Tony i Maggie popatrzyli na siebie z otwartymi ustami, kiedy zobaczyli, że niektórzy z mężczyzn mają łzy w oczach. A ponieważ jednym z płaczących był ten wielki drab, który zaczął bójkę – uznali to po prostu za noc cudów.

Pod koniec kolędy wszyscy bili brawo jak szaleni; wstali nawet z miejsc, żeby uczcić Arabellę. Z całego serca dziękowali za tę muzyczną ucztę, jaką im sprawiła. Twierdzili, że już od bardzo dawna nie przeżyli tak wspaniałej nocy.

– Gdzie się nauczyłaś tak grać? – spytał jeden z nich.

– Czy jesteś zawodową pianistką? – Chciał wiedzieć drugi.

– Zacząłam grać, kiedy miałam sześć lat. Przez wiele lat uczył mnie prywatny nauczyciel – z nieśmiałym uśmiechem odparła Arabella.

Tylko dzięki lekcjom muzyki odnajdywała w sobie siłę i energię – chyba że była naprawdę chora.



Rodzice byli stale zajęci życiem towarzyskim, tak że muzyka ratowała dziewczynkę przed samotnością.

– Jesteś nadzwyczajna! – zachwycała się Maggie. Nie potrzebowałaś nawet nut. Masz to wszystko w głowie.

– Kiedy się jakiś utwór grało setki razy, nie potrzeba nut – odparła Arabella, ziewając.

– Jesteś wyczerpana – odezwał się Tony. – Może pójdziesz na górę, do łóżka?

Arabella zauważyła w jego głosie coś jakby nutę troskliwości, była jednak przekonana, że się przesłyszała. W końcu uważał, że Arabella wysysa z nich resztki soków, i miał zamiar ją wyrzucić na ulicę!

Natomiast Maggie była najwyraźniej oszołomiona. W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że ten wieczór tak się potoczy.

– Tak, Arabello, idź do łóżka i... dziękuję ci za zabawienie naszych gości.

– Zaczęłam grać tylko po to, żeby się uspokoić – nieśmiało przyznała Arabella. – Nigdy ani przez chwilę nie pomyślałam, że dzięki temu ci ludzie przestaną się bić!

– Ani my... ale, dzięki Bogu, tak się stało – westchnęła Maggie. Zerknęła na Tony'ego, który milczał. Nie miała pojęcia, że jej mąż myśli o tym, jak bliscy są bankructwa.

– Dobranoc – rzekła Arabella, wchodząc na schody.

– Dobranoc – odpowiedzieli jej Maggie i Tony.

Postrzygacze owiec wczesnym rankiem wyruszyli do Fariny; byli w drodze do Flinders Ranges. Po śniadaniu w hotelu zapłacili Tony'emu. Pokryli koszty drinków, jedzenia i mieszkania, po czym puścili w ruch kapelusz, do którego zebrali dodatkowe pieniądze na opłacenie szkód, które wyrządzili.

Tony był bardzo zadowolony z ich gestu, bo przecież połamali krzesła i stołki barowe, poza tym rozbili lustro nad kominkiem i uszkodzili stół w salonie. Wyłukli też mnóstwo szklanek.

– Zeszłej nocy wszystko przebiegło inaczej, niż się spodziewałam – stwierdziła Maggie, kiedy goście wyjechali.

– Możesz to znów powiedzieć – odparł Tony.

– Czy z powodu tych szkód straciliśmy dużo pieniędzy? – spytała żona.

– Nie... dali mi dodatkowo pięćdziesiąt dwa funty. To pokryje koszty z nawiązką; poza tym nieźle zarobiliśmy na jedzeniu i piciu. Nie wyszliśmy na tym najgorzej.

– Trudno mi uwierzyć, że to Arabella nas uratowała – stwierdziła Maggie.

– A kto mógł przewidzieć, że jest taka utalentowana? No, ja na pewno nie – przyznał Tony.

– Powiedziała, że grała na fortepianie od dziecka i że miała prywatnego nauczyciela, więc na pewno musiała być starannie wychowana, i to w bogatej rodzinie.

Tony przytaknął, ale nadal marszczył brwi.

– Mimo wszystko nie jestem przekonany, że zobaczymy jej rodziców, kiedy pociąg znowu zacznie kursować. Tymczasem mam zamiar zaproponować jej, żeby co wieczór urządziła koncert: to przyciągnie do miasta ludzi z różnych stacji. Jeżeli uda się ściągnąć więcej gości dwa razy w tygodniu, to zmieni naszą przyszłość.

Tony postanowił nic nie mówić żonie o powadze sytuacji: nie chciał jej martwić. Wiedział, że biedaczka nie poradzi sobie z takim stresem, i uznał, że musi go znieść sam.

Maggie pomyślała, że w głosie męża zabrzmiał poważny niepokój, ale nic nie powiedziała.

Może miał rację? Może dziewczyna zdoła odmienić ich los?

Arabellę zbudził hałas odjeżdżających postrzygaczy owiec. Leżała w łóżku i myślała o wczorajszym wieczorze. Mimo iż początkowo się ich bała, w końcu okazali się całkiem mili i zachowywali się w stosunku do niej z szacunkiem. Proponowali nawet, że zafundują jej drinka, ale odmówiła.

Poza tym zauważyła, że jedynym, który nie bił jej brawa, był Wally Jackson. Wpatrywał się w nią

tylko intensywnie przez większą część wieczoru. Była przekonana, że musi wiedzieć o tym, iż rozmawiała z jego kumplami, ale z pewnością nie ma zamiaru jej wybaczyć. Dlatego znowu się złąła, że może ją zranić. Ale... czy odważy się o tym wspomnieć Maggie albo Tony'emu?

Kiedy Arabella siedziała wczoraj przy fortepianie w hotelowej jadalni, przez jej myśli przebiegały wspomnienia z dzieciństwa. W domu zawsze był fortepian, a rodzice czasem proponowali, żeby zagrała dla ich przyjaciół, ale z reguły odmawiała. Jej matka była tak doświadczoną pianistką, że Arabella bała się wypaść przy niej dużo gorzej. Wczorajszy wieczór był pierwszym, kiedy to ona była w centrum uwagi – i musiała przyznać, że mimo nieśmiałości i braku pewności siebie ucieszyło ją to. Czowała, że to na zawsze zmieniło jej życie.

Kiedy zeszła na dół, Tony zawołał do niej z baru:

– Mogę z panią porozmawiać, panno Fitzherbert? W jadalni?

– Naturalnie... – odparła z obawą. Wiedziała, że wstała zbyt późno, bo postrzygacze już odjechali.

Poszła za Tonym do jadalni. Zauważyła, że bałagan po wczorajszym wieczorze był już posprzątanym.

– Przepraszam, zasnęłam... – zwróciła się do Maggie, która nalewała jej herbatę i smarowała grzanekę.

Z niepokojem zerknęła na Tony'ego: na pewno będzie się na nią gniewał za to, że grała cały wieczór na fortepianie, gdy jego żona musiała ciężko pracować. Do tego zasnęła! Ale gra naprawdę ją wyczerpała.

Niestety, wyraz twarzy Tony'ego nic jej nie mówił.

– Ależ... wszystko jest w porządku, kochanie – uspokoiła ją Maggie. Już od wielu godzin była na nogach, bo postrzygacze wyjeżdżali bardzo wcześnie.

– Ale... co z tymi wszystkimi szklankami? Musi być ich mnóstwo! Chyba ich sama nie zmywałaś?

– Nie, to zrobiły Lily i Missy. Były tu parę godzin temu – uspokoiła ją Maggie. – Zeszłej nocy nieźle zarobiliśmy, więc mogłam im zapłacić.

– Och! Myślałam, że przez te wszystkie szkody straciliście mnóstwo pieniędzy.

– Postrzygacze pokryli szkody – wyjaśnił Tony.

Wiedział, że gdyby dziewczyna nie ukoili ich muzyką, wpływy wyglądałyby zupełnie inaczej.

Arabella upiła łyk herbaty i spojrzała na niego nerwowo. Bała się, że każe się jej wyprowadzić. Sama myśl o tym szarpała jej nerwy.

– Nie wiem, co pani przyszło do głowy, żeby zagrać na fortepianie wczoraj wieczorem... – zaczął Tony.

– Byłam okropnie wystraszona i chciałam w ten sposób zagłuszyć te koszarne odgłosy bójki! – przerwała mu Arabella. Na pewno zrozumiał, że nigdy dotychczas nie była świadkiem niczego takiego i że się złąła.

– Jakakolwiek była przyczyna, cieszę się, że pani to zrobiła – przyznał Tony.

Arabella zdębiała.

– My też się baliśmy – pospieszyła z wyjaśnieniem Maggie. – Ci postrzygacze mogli, i pewnie by to zrobili, zrujnować nam cały hotel!

– Ale spodobała im się muzyka... – Arabella nadal czuła euforię po tym, kiedy ją tak entuzjastycznie oklaskiwali.

– Innym też się będzie podobać – zauważył Tony.

Arabella zamrugała powiekami, zaskoczona.

– Myśli pan...?

Tony spojrzał na Maggie. Po tym, jak ostro obchodził się dotychczas z Arabellą, trudno mu było prosić ją o pomoc.

– Chcielibyśmy, żeby czasami grała pani na fortepianie... w niektóre wieczory... zwłaszcza w piątki i soboty – powiedział wreszcie. – Co pani o tym myśli?

Arabelli na moment odebrało mowę: przecież była niemal pewna, że każe się jej natychmiast wynosić!

– Ja... czy jest pan pewien?

– Tak. Przyszło nam to do głowy po wczorajszym koncercie. Jeżeli postrzygaczom się to spodobało, to tym bardziej spodoba się innym. Rzadko mamy tutaj jakieś rozrywki.

– Oczywiście, bardzo chętnie znowu zagram, ale... jestem pewna, że pociąg wkrótce wróci, a wtedy przecież wyjadę. Po prostu nie mogę uwierzyć, żeby naprawa torów trwała kilka tygodni czy miesięcy – rzekła Arabella.

Tony zmarszczył czoło. Wiedział, że naprawa torów musi potrwać, ale nagle poczuł, że nie powinien sprawiać Arabelli przykrości; a nuż nie zechce grać?

– Właściwie nie jesteśmy pewni, ile czasu minie, zanim pociąg zacznie jeździć – rzekł.

Zerknął na żonę, która przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy.

– O, to na pewno nie potrwa długo, ale z przyjemnością będę grała aż do jego przyjazdu! – pospiesznie zawołała Arabella. – Tylko że na ogół wieczorem przychodzi tu tylko paru miejscowych...

– Wiadomości się szybko rozchodzą – zapewnił Tony. Był naprawdę przejęty i pewien, że pociąg nie wróci co najmniej przez parę miesięcy. – Myślę, że pani ściągnie do nas tłumy. Gra pani doskonale. Ile chciałaby pani dostawać za kilka wieczorów w tygodniu?

– Dziękuję... – odparła Arabella, nadal zdumiona, że Tony ją o coś prosi, a nawet chce ustalić stawkę za jej mieszkanie. Nadal ją drażniło, że nie wierzy, iż rodzice wrócą i pokryją koszt jej pobytu. – Ale... czy nie powinnam pomagać Maggie w szykowaniu posiłków?

– Jeżeli będę miała na kolacji więcej niż dwadzieścia osób, będę mogła zapłacić Missy i Lily za pomoc. Będą najszczęśliwsze, mogąc zarobić szylinga czy dwa, i nie musieć... – tu przerwała. Przypomniała sobie, że Arabella jest niewinną dziewczyną, przy której nie wypada mówić o stosunkach Aborygenek z mężczyznami.

Niemniej Arabella zrozumiała. Okryła się rumieńcem.

– Widzę, że ten pomysł wam się podoba. Ale... może ludzie z miasta i ze stacji nie będą aż tak entuzjastycznie podchodzić do mojej gry jak postrzygacze owiec...

Arabella była zachwycona tak życzliwym przyjęciem jej gry, ale brakowało jej pewności siebie. Nie potrafiła uwierzyć, że ludzie będą tu przychodzili wyłącznie po to, by słuchać, jak gra. Uznała, że trzeba trochę ostudzić entuzjizm McMahonów.

– Przez kilka wieczorów możemy spróbować – zaproponował Tony. – I zobaczymy, jak to pójdzie.

– Doskonale! – z ulgą zgodziła się Arabella.

Tony wyszedł z jadalni, żeby dokończyć sprzątanie baru.

– Spodziewam się, że dzisiaj wróci Jonathan – rzekła Maggie. – Będzie mu przykro, że opuścił taki wieczór! Oczywiście nie tę awanturę, ale słuchanie twojej gry. To taki mężczyzna, który potrafi docenić wszystko, co związane z kulturą...

Arabella nie pomyślała dotąd o tym, ale musiała jej przyznać rację. Perspektywa gry dla Jonathana była naprawdę podniecająca!

– Dziś rano wrócił też Stuart. Teraz śpi, ale pewnie też będzie chciał cię posłuchać... – mówiła Maggie. – Nie jest chyba aż tak wyrobiony kulturalnie jak Jonathan, ale to sympatyczny mężczyzna; zawsze żartuje. Na pewno będzie mu się podobała taka dobra rozrywka!

Arabella się uśmiechnęła. Stuart rzeczywiście wyglądał na miłego człowieka, a nie miała jeszcze okazji mu podziękować za przyjsście jej z pomocą, kiedy Wally ją tak przestraszył.

– Stuart bardzo się o ciebie niepokoił, kiedy mu powiedziałam o bójce i bałaganie – zauważyła Maggie.

– Naprawdę? – zdziwiła się Arabella.

– Tak... pewnie mu się spodobałaś.

Arabella oblała się ciemnym rumieńcem.

– Będzie musiał chyba współzawodniczyć z Jonathanem... muszę przyznać, że ten pierwszy naprawdę jest tobą zainteresowany... – ciągnęła Maggie.

Arabella aż zamrugała powiekami, zaskoczona.

– Chyba nie powiedział nic takiego?

– Nie... ale widziałam, jak na ciebie patrzy.

Z tymi słowami Maggie wyszła z pokoju.

To, co powiedziała, dało Arabelli do myślenia...

Tuż przed południem, kiedy Jonathan wrócił z wyprawy, Maggie z przejęciem opowiedziała mu o zaimprovizowanym koncercie i o tym, jak Arabella uratowała hotel przed zdemolowaniem przez postrzygaczy owiec.

Był zachwycony.

– Dlaczego nie powiedziała pani o swoim talencie? – spytał, kiedy Arabella zeszła na dół na wieść o jego przyjeździe. Czuła wielką ulgę, że mówi do niej teraz w bardzo przyjacielski sposób, już bez tego mroźnego tonu, jaki przybrał wtedy, przed trzema dniami, na widok Stuarta wychodzącego nocą z jej pokoju. A zatem nie musiała go przekonywać, że to było nieporozumienie. Z pewnością sam doszedł do tego wniosku.

Skromnie wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie myślałam, że moje granie mogłoby być czymś szczególnym – odparła, zwracając bardziej uwagę na jego spojrzenie niż na słowa. – W naszym domu to moja matka doskonale grała.

– Twoja matka też gra? – ze zdumieniem spytała Maggie.

– O tak, bardzo dobrze. Grała na scenie, a teraz często gra dla przyjaciół.

– A pani nie? – spytał Jonathan.

– Nie... – rzuciła szybko Arabella, najwyraźniej przerażona podobną myślą. – Nigdy nie chciałam być słabą kopia mamy...

W tym momencie Jonathan pojął, skąd u Arabelli ten brak wiary w siebie. Najwyraźniej żyła dotychczas w cieniu matki.

– To niemożliwe! – dobrodusznie rzekła Maggie. – Sama nie wiesz, jaki masz talent!

– Ci postrzygacze z pewnością w ogóle nie słuchają muzyki, więc myślą, że każda jest dobra – skromnie wyznała Arabella, chociaż pieściła w duszy świeże wrażenie, jak bardzo ją radowało granie dla życzliwej publiczności. Po prostu nigdy nie myślała o swojej grze jako o czymś szczególnym.

– Pewnie! Ciągłe podróże, do domu wracają najwyżej raz w miesiącu, więc na pewno nigdy nie chodzą na koncerty... ale wierz mi, ty grasz bardzo dobrze! – zapewniała ją Maggie. – W ciągu tych lat, kiedy tu jesteśmy, mieliśmy tu paru dziwaków, którzy grali na fortepianie, ale nie mogli się równać z twoim talentem! Ot, takie brzdąkanie! A może spróbowałabyś dziś wieczorem... nie musisz oczywiście, ale Jonathan usłyszy, jak grasz.

– Naturalnie – odparła Arabella. W tajemnicy marzyła o tym, żeby zagrać... dla niego.

– A teraz przepraszam was – rzekła Maggie – ale mam pilne spotkanie... z kurami, które, mam nadzieję, zniosły dla mnie kilka jajek!

– A ja... mam kilka fotografii do wywołania – z przejęciem rzekł Jonathan.

– Mogę je zobaczyć, kiedy już będą gotowe? – spytała Arabella. Te fotografie, które przedtem

widziała, naprawdę jej się podobały.

– Tak, proszę mi tylko dać parę godzin. Chyba kilka z nich może wyjść bardzo dobrze... Światło nad słonym jeziorem było naprawdę fantastyczne.

Arabella, chwilowo nie mając niczego do roboty, wyszła na podwórze, by pomóc Maggie. Nagle wpadło jej do głowy, że tydzień temu nic podobnego nie przyszłoby jej na myśl. W domu nikt od niej nie wymagał żadnej pracy – tutaj miała pracować na swoje utrzymanie. Ale teraz czuła, że chce pomagać, i to nie tylko z tego powodu. Po prostu bardzo polubiła Maggie, a zarówno ona, jak Tony wydawali się naprawdę przejęci pomysłem bawienia gości muzyką. Pierwszy raz w życiu poczuła, że jest komuś potrzebna. To było zupełnie nowe uczucie! Podobało jej się.

Szła w stronę kurnika, kiedy zobaczyła, że Maggie, pochylając się nad gniazdami kur, omal nie straciła równowagi. Musiała się przytrzymać słupka ogrodzenia, żeby nie upaść. Poza tym upuściła miskę z jajkami.

– Maggie! Co ci jest? – zawołała Arabella, biegnąc do niej.

Kobieta nie odpowiedziała od razu, więc Arabella otworzyła furtkę i weszła do środka. Maggie podniosła głowę: jedną ręką trzymała się za pierś i była bardzo blada.

– Boli cię w piersiach? – spytała Arabella.

Maggie potrząsnęła głową.

– Tylko mi się trochę kręci w głowie. To ten upał... Czasem tak na mnie działa.

– Jesteś pewna, że to tylko to? A byłeś u doktora?

Maggie znowu zaprzeczyła.

– Co oni tam wiedzą! Połowy się domyślą, a drugą połowę wymyślą!

Arabelli przyszło do głowy, że Maggie się boi; że po prostu nie chce wiedzieć, co jej jest.

– To może być coś niegroźnego... powinnaś spytać lekarza, co o tym myśli.

– Jeżeli to nic poważnego, nie trzeba mi doktora – ucięła Maggie z uporem.

– A może to jakaś choroba krwi?

Maggie z przerażeniem spojrzała na Arabellę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Moja matka miała przyjaciółkę, która była anemiczna. Często jej się robiło niedobrze, czasem nawet mdlała. Lekarze wykryli u niej anemię i kazali jej jeść dużo wątróbki.

– Lubię wątróbkę – stwierdziła Maggie – ale na pewno nie mam anemii.

– No, myślałam, że się już przyzwyczaiłaś do tego upału – stwierdziła Arabella.

– Przyzwyczajają się ci, co mogą odpoczywać w porze największego gorąca, ale ja nie – odparła Maggie. Z zalem spojrzała na rozbite jajka. – O, do licha... – mruknęła.

Arabella podniosła miskę.

– Zbiorę resztę jajek. Wejdz do domu i usiądź, chociaż na parę minut.

Maggie już miała zaprotestować, ale po namyśle się zgodziła.

– Dobrze, dziękuję.

Pomyślała, że w rezultacie dziewczyna może okazać się błogosławieństwem. Nawet Tony zaczął to zauważać.

Tego popołudnia Jonathan rozłożył na stole w jadalni swoje najnowsze zdjęcia i zaprosił Arabellę, by je obejrzała.

Aż jęknęła, zaskoczona.

– Och, Jonathanie! Są wspaniałe!

– To zrobiłem o świcie, a tamto o zachodzie słońca nad połaciami soli. – Wskazywał poszczególne zdjęcia. – Widzi pani, jak światło kontrastuje z solą?

– Tak, wygląda nadzwyczajnie, zupełnie jak kryształy! Ale podejrzewam, że to dlatego, iż zna pan możliwości aparatu i wie pan, jak trzeba zrobić doskonałe zdjęcie.

Na twarzy Jonathana odbiła się tęsknota.

– Nie mogę się doczekać kolorowej taśmy. Ma się nazywać „Kodachrome”. Mówiono mi, że firma Eastman Kodak ma wypuścić pierwsze egzemplarze mniej więcej za dwa lata. Wtedy dopiero będę mógł uchwycić cudowne barwy pustyni! Na tych fotografiach nie zobaczy pani tego, ale podczas zachodu słońca sól robi się całkiem różowa. Zupełnie niezwykły widok.

– Czy to nie będzie cudowne, Jonathanie? Ale nie powinien pan rozpaczać: pańskie czarno-białe fotografie są zachwycające. I potrafi pan uchwycić historię. Tak bym pragnęła zobaczyć wszystkie pana prace!

– Niech pani będzie ostrożna z tymi pragnieniami – ostrzegł ją Jonathan ze śmiechem. – Mam tego tysiące!

Już teraz mógł dostrzec zmianę, jaka zaszła w Arabelli. Był ciekaw, czy to uznanie dla jej talentu sprawiło, że nabrała więcej wiary w siebie. Miał nadzieję, że tak było.

– A może... mogłabym pomóc panu wybrać kilka prac na wystawę; a może już pan wybrał?

– Nie. Będę wdzięczny za pomoc, tyle że nie jestem pewien, kiedy moja wystawa ujrzy światło dzienne.

Do jadalni weszła Maggie. Słyszała, o czym mówili.

– Jeżeli pan zechce wystawić jakieś swoje fotografie u nas w hotelu, Jonathanie, z radością panu zaproponuję nasze pomieszczenia! – powiedziała.

– Dziękuję bardzo, Maggie, ale może na razie poczekajmy! Zobaczymy, ilu gości sprowadzi nasza miejscowa pianistka!

– Nie powinien się pan przejmować brakiem miejsca na pańskie prace – skromnie rzekła Arabella.

Tego wieczoru, po kolacji, Arabella siadła do fortepianu i zaczęła grać.

Wally, Ted i Les zostali w barze, więc jedynymi słuchaczami byli Jonathan i Maggie. Dopiero kiedy zagrała pierwsze takt menueta f-dur Leopolda Mozarta, Ted, Les i Tony przeszli z baru do jadalni, z drinkami w rękę; tylko Wally został na miejscu.

– Chodź z nami! – Usłyszała Arabella głos Tony’ego.

– Nie – odpowiedział Wally ponuro. – Wolę zostać tutaj.

Arabella zaniepokoiła się.

– Brawo! – zawołał Jonathan, klaszcząc, kiedy skończyła. – Gra pani znakomicie!

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– A... mogłaby pani zagrać *Dla Elizy* Beethovena? To jeden z moich ulubionych utworów.

– Oczywiście. To także mój ulubiony!

Palce Arabelli zaczęły przebiegać po klawiszach, a na twarz Jonathana wypłynął serdeczny uśmiech.

Wieczór minął w bardzo radosnym nastroju. Jonathan podsuwał jej niektóre tytuły, Arabella grała. Czują, że znalazła pokrewną duszę: lubił dokładnie te same utwory co ona! Cudownie było sprawiać mu przyjemność.

W pewnym momencie do jadalni wszedł Stuart.

– Chyba słyszałem muzykę...

Spojrzał na siedzącą przy fortepianie Arabellę i szeroko otworzył niebieskie oczy.

– A więc to pani? Pięknie pani gra...

Przyciągnął sobie krzesło blisko fortepianu i odstawił na stół drink przyniesiony z baru.

– Tak... – nieśmiało odparła Arabella. – Czy moja muzyka pana obudziła?

– Myślałem, że umarłem i jestem w niebie... Proszę jeszcze coś zagrać!

– Dobrze... Ma pan może jakieś ulubione melodie?

– Nie znam się specjalnie na muzyce. Cokolwiek pani zagra, uszczęśliwi mnie.

Arabella uśmiechnęła się z zadowoleniem, natomiast Jonathan nie wyglądał na szczęśliwego. Nie podobało mu się, że Stuart interesuje się Arabellą. Co gorsza, nie podobało mu się jeszcze bardziej, że ona przyjmowała jego zainteresowanie z taką chęcią!

Kiedy Arabella skończyła grać, dochodziła dwunasta w nocy.

– Boże mój! – jęknęła Maggie, kiedy to zobaczyła. – Chyba nie wstanę na czas jutro rano!

– To sobie poleżysz – uspokoił ją Tony, ale w zamian napotkał tylko pełne dezaprobaty spojrzenie żony.

– Nic się nie stanie, jeżeli zaczniemy dzień trochę później, Maggie – dodał Jonathan. – Moja matka zawsze mówiła: „Wszystko to, co ma być zrobione, będzie czekać, aż będziesz gotów, żeby to zrobić” – i miała rację!

– Tylko, że prace domowe same się nie zrobią – odparła Maggie – Chyba że przyjdą wróżki i nas wyręcą, kiedy będziemy spali!

# Rozdział dziesiąty

---

Następnego popołudnia z Fariny przybyło konno siedem osób: byli to przedstawiciele dwóch rodzin. Skierowali się prosto do hotelu. Tony był zaskoczony ich widokiem. Jedną z rodzin znał, drugiej nie.

– Przez nasze miasteczko przejeżdżali postrzygacze owiec i mówili nam, że mieszka u was pianistka, która daje koncerty – rzekła Moira Quiggley.

Przyjechała w towarzystwie męża Phila i dwóch nastoletnich synów. Razem z nimi przybyła inna para, z małą córeczką. Tony nie znał ich, ale Phil przedstawił małżeństwo. Państwo McKenzie zatrzymali się w Farinie na kilka dni, a teraz są w kłopotcie, bo pociąg nie kursuje.

– Panna Fitzherbert nie jest pianistką koncertową, ale gra bardzo dobrze – zapewnił Tony, zadowolony, że wiadomość się rozchodzi i przyciąga gości do Marree.

– Postrzygacze ogromnie ją chwalili! – mówiła Moira. – Pewnie zostaliby tutaj, gdyby nie parę tysięcy owiec potrzebujących ich pomocy i oczekujących we Flinders Ranges.

– Nie pogniewałbym się, gdyby tu zostali, pod warunkiem, że zachowywaliby się przyzwoicie – odparł Tony.

Phil zwrócił uwagę na zabite deskami okno w barze.

– U nas zaraz po kolacji Dave zakręcił im kurek z piwem... – powiedział.

Dave Brewer był właścicielem pubu w hotelu Transcontinental w Farinie. Nikt o zdrowych zmysłach wolał nie zadzierać z tym mężczyzną.

– Jak zareagowali? – chciał wiedzieć Tony.

– Cóż... byli bardzo zmęczeni, w dodatku ciągle jeszcze na kacu, i lizali rany po tutejszej bójce, więc nie mieli wielkich pretensji.

– Szczęściarz! – mruknął Tony.

– A poza tym byli zbyt zajęci opowiadaniem o waszej młodej pianistce – dodała Moira. – Naprawdę wywarła na nich wrażenie, więc mamy nadzieję, że zagra nam dziś wieczorem.

– Myślę, że da się to załatwić. Chyba posterunkowy Higgins nie będzie miał nic przeciw temu, że podamy drinki w niedzielę, skoro organizujemy koncert – uśmiechnął się Tony. – Jak długo tu zostaniecie?

– Najwyżej parę dni – odparł Phil, patrząc na żonę.

– Już dwa lata nie ruszaliśmy się na krok z Fariny – dodała Moira. – Więc kiedy usłyszałam o tej pianistce, uparłam się, że musimy sobie zrobić chociaż parę dni urlopu. Już od dawna chciałam wysłuchać kilku koncertów w Adelajdzie, ale Phil nie mógł się wyrwać.

– Wiesz, jak trudno jest zostawić stację – zwrócił się mężczyzna do żony.

– W każdym razie naprawdę tęsknię do odrobiny kultury.

Arabella weszła do baru po drodze do jadalni, gdzie miała przygotować stoły, bo Maggie spodziewała się kilku osób na kolacji, i ujrzała nowe twarze.

– To właśnie nasza pianistka – przedstawił ją Tony. – Arabello, państwo przyjechali aż z Fariny, żeby cię usłyszeć – dodał.

– Och! – zdziwiła się Arabella.

Moira podeszła bliżej.

– Tak się cieszymy, że panią poznamy! – zawołała, przedstawiając swojego męża i synów. – Jaka pani młoda! – zauważyła bez najmniejszego skrępowania.

– Mam dziewiętnaście lat – odparła Arabella, starając się, żeby w jej głosie nie brzmiała uraza.



– Naprawdę? – zdziwiła się Moira, patrząc na swoje latorośle: obaj chopcy spłonęli rumieńcem, gdyż matka bez przerwy ich swatała.

– Powiem Maggie, że mamy gości – rzekła Arabella, pragnąc uciec od pani Quiggley i jej synów.

– Czekamy na pani grę dziś wieczorem! – zawołała za nią Moira.

Arabella weszła do kuchni i zobaczyła, że Maggie jest bliska omdlenia. Podbiegła i posadziła ją na krześle.

W tej chwili w kuchni zjawił się Jonathan. Wywoływał zdjęcia w szafie na korytarzu; to była jego ciemnia. Arabella widziała też Stuarta: stał w stajni i oporządzał swoją klacz, Bess. Wrócił przed chwilą z całodniowej wyprawy. Obydwaj sprawili, że przeżyła wczoraj cudowne chwile. Żaden z nich nie chciał iść spać, aż w końcu Arabella była zanadto zmęczona, żeby grać dalej.

– Co się stało? – spytał Jonathan.

– Maggie omal nie zemdląca – wyjaśniła Arabella. – Myślę, że powinna pójść na górę położyć się do łóżka.

– Nic mi nie jest... – bez przekonania powiedziała Maggie.

– Nieprawda! – zaprotestowała Arabella. – Musisz odpocząć! Tony się na pewno ze mną zgodzi.

– Tylko nic nie mów Tony'emu... – niemal w panice szepnęła Maggie.

– Ale dlaczego? – chciała wiedzieć Arabella.

– Bo niepotrzebnie się zmartwi.

Arabella uklękła przed Maggie i spojrzała jej w twarz.

– Powinien o tym wiedzieć. Jeżeli nie wypoczniesz, możesz poważnie się rozchorować. Połóż się chociaż na godzinę. Zrobię wszystko co trzeba w kuchni... i obiecuję, że jej nie spalę ani nic nie potłukę. Jonathan może mnie pilnować. – Spojrzała na niego. – Prawda?

– Zrobię więcej, pomogę pani – zaofiarował się.

Maggie patrzyła to na Jonathana, to na Arabellę.

– No... dobrze. Położę się na godzinkę, ale nie dłużej – zastrzegła.

– Dobrze – zgodziła się Arabella i podprowadziła ją do schodów. Starła się zasłonić widok do baru, by Maggie nie zobaczyła nowych gości. Na szczęście wyszli na zewnątrz, by rozsiodłać konie.

Zostawiła Maggie w pokoju i wróciła do kuchni, gdzie Jonathan akurat stawiał wiaderko z kawałkami drewna obok paleniska.

– Nie powiedziałam Maggie, że mamy siedmioro nowych gości, bo nie poszłaby na górę.

– Gdzie Maggie? – spytał Tony.

Szukał żony, żeby jej powiedzieć o gościach, kiedy usłyszał, co mówiła Arabella.

Dziewczyna była zaskoczona, bo nie zauważyła, że wszedł do kuchni.

– Źle się poczuła, prawie zemdląca, więc ją przekonaliśmy, że musi odpocząć – wyjaśniła. Pomyślała, że Tony powinien wiedzieć o stanie żony. – Właśnie mówiłam Jonathanowi, że nie wspomniałam jej o nowych gościach, bo nie zgodziłyby się pójść na górę.

– Ma pani rację – przytaknął Tony, najwyraźniej zmartwiony. – Ostatnio się przepracowywała.

– Jonathan i ja wszystko przygotowujemy – dodała.

– Maggie miała zamiar zrobić kotlety na ruszcie. Zdaje się, że chciała też upiec udziec barani, ale teraz będziemy potrzebowali aż dwa – mówił Tony zafrasowany. – Chyba chciała do tego ugotować ziemniaki i marchewki.

– No to się postaramy, żeby na trzecią udźce były w piecu – zapewnił Jonathan. Spojrzał na Arabellę.

– Mam wykopać kartofle i marchewki?

Arabella z kolei popatrzyła na Tony'ego, który odpowiedział za nią:

– Zrób to, Jonathanie. Ta młoda dama nie może mieć pęcherzy na rękach, jeśli ma dzisiaj wieczorem

grać dla naszych gości. – Oczy mu zabłyśły, kiedy zerknął na Arabellę, która nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Jak to się wszystko zmienia...

– Powinnam była zacząć grać już pierwszego dnia po przybyciu – mruknęła, kiedy Tony wyszedł z powrotem do baru.

O trzeciej po południu dwa udźce baranie piekły się na ogniu, a obok stał wielki garnek obranych kartofli i marchewek, które czekały na ugotowanie. Jonathan z Arabellą mieli ochotę zrobić sos. Mężczyzna stwierdził, że wie, gdzie rośnie dzika mięta, i że mógłby zrobić sos miętowy.

Maggie zasnęła; obudziła się dopiero o wpół do czwartej, kiedy obiad był już prawie gotowy. Kiedy zeszła na dół do kuchni, była zdenerwowana, ale odetchnęła z ulgą, widząc, że wszystko jest pod kontrolą. Nastrój znowu jej się zmienił na wiadomość, że mają siedmioro gości na następne dwa dni, a nikt jej o tym dotychczas nie powiedział.

– Muszę im przygotować pokoje – rzekła z niezadowoleniem.

– Przecież są przygotowane – odpowiedział Tony. – Wczoraj prałaś pościel.

– Ale łóżka nie są posłane. Muszę to zrobić dzisiaj... a nie wiem kiedy.

– Są przygotowane – odparł Tony. – Powiedziałem Moirze Quiggley, że źle się czujesz, i wobec tego ona i pani McKenzie z córką pościeliły już łóżka.

Maggie była oburzona.

– Goście nie powinni robić takich rzeczy – stwierdziła.

– Ale im było wszystko jedno. Właściwie nawet były znudzone. Przyjechały do miasta tylko po to, żeby posłuchać gry Arabelli, a koncert będzie dopiero po kolacji.

– Skąd wiedziały o Arabelli?

– Postrzygacze im powiedzieli; więc widzisz, że interes zaczyna się kręcić – uśmiechnął się Tony, ale żona patrzyła na niego wilkiem.

– W takim wypadku nie powinnam była spać w dzień – prychnęła.

Wiedział, że zawsze po popołudniowej drzemce była nie w sosie. Podejrzewał, że Maggie martwi się swoim zdrowiem; on też się niepokoił.

Arabella pomogła Maggie w krojeniu baraniny i obsłudze gości w jadalni.

– Nie powinnaś obsługiwać przy stołach – rzekła Moira, kiedy Arabella jej podała dwa talerze jedzenia.

– Maggie sama nie daje sobie rady – wyjaśniła Arabella. – Znalazłam się w trudnej sytuacji, a Maggie i Tony byli tak dobrzy, że mnie przyjęli – dodała. – Jedyne, co mogę zrobić, żeby się im odwdzięczyć, to pomagać.

W tym momencie obok nich przechodził Tony z tacą pełną drinków; usłyszał, co mówiła Arabella. Jej słowa były dla niego zaskoczeniem, ale i przyjemnością. Może nie była aż tak samolubna, jak początkowo sądził? Albo w końcu dojrzała. Zauważył w niej pewną zmianę. Teraz wydawała się o wiele bardziej dorosła.

– Jeżeli pani pojedzie z nami do Fariny, Dave nie pozwoli pani podawać do stołu – rzekła Moira.

Tony się zaniepokoił.

– Proszę nam nie odbierać naszej pianistki! – zawołał.

Moira nie zwróciła na niego uwagi.

– I prawdopodobnie zapłaci pani dodatkowo – dodała.

– O nie, ja poczekam tutaj, aż moi rodzice wrócą pociągiem – odparła Arabella. – Jestem pewna, że to nie potrwa długo.

Pamiętała jazdę pociągiem przez Farinę: to miasteczko było chyba mniejsze i jeszcze mniej

pociągające niż Marree (o ile coś takiego w ogóle było możliwe). A poza tym czuła się tu bezpieczna w towarzystwie McMahonów i lubiła bardzo przyjazne towarzystwo Jonathana. A gdyby wyjechała, na pewno nie zobaczyłaby już nigdy więcej żadnego z nich... ani Stuarta.

Właściwie nie widywała go często, bo ciągle wyjeżdżał szukać złota, jednak zawsze wyglądała jego powrotu. Naprawdę lubiła towarzystwo tych dwóch młodych mężczyzn. Dzięki nim jej wymuszony pobyt w pustynnym mieście Marree stał się całkiem znośny. Jonathan był niezawodny i przystojny, ale bardziej powściągliwy niż Stuart. Kiedy Stuart był w pobliżu, zawsze czuła lekki dreszcz podniecenia. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiego uczucia i to ją fascynowało. Nie mogła się zdobyć, żeby zapytać Maggie, w jaki sposób dziewczyna poznaje, że jest zakochana, była jednak pewna, że niedługo sama to odkryje.

– Zanim ten pociąg znów ruszy, minie wiele tygodni! – przerwała Moira jej marzenia na jawie. – Kiedy ostatnio termity pożarły część podkładów, pociąg nie jeździł co najmniej przez trzy miesiące.

Arabella była przerażona.

– Przecież... wymiana kawałka podkładów nie może trwać tak długo! – wykrzyknęła.

– To pewnie zajmie kilka tygodni, ale potem trzeba sprawdzić całą trasę. Właśnie to może potrwać parę miesięcy – zawyrokowała Moira.

Arabella spuściła głowę i wolnym krokiem skierowała się do kuchni. Nie może pozwolić, żeby jej rodzice przez tak długi czas uważali ją za zmarłą! Musi coś zrobić, by dotrzeć do Alice Springs. Może Jonathan zgodzi się jej towarzyszyć? Bo Stuart będzie pewnie zbyt zajęty...

– Musiała jej pani to powiedzieć? – z wyrzutem burknął Tony, kiedy Arabella nie mogła go usłyszeć.

– Powiedziałam tylko prawdę – odparła Moira.

– Ale ona tęskni za rodzicami, a pani sprawiła jej przykrość. I jeżeli dzisiaj wieczorem nie zagra, to będzie pani wina!

Moira spojrzała na niego, zdziwiona.

Kiedy Arabella weszła do kuchni, miała oczy pełne łez i w pierwszej chwili nie zauważyła Maggie leżącej na podłodze.

– Maggie! – krzyknęła.

Kobieta nie odpowiedziała, więc Arabella wybiegła do baru, wołając Tony'ego.

Pięć kilometrów na południe od Alice Springs czterech mężczyzn z plemienia Garawerigal spostrzegło w pewnej odległości dym unoszący się nad pustynią.

– Ognisko – stwierdził starszy z nich w ich ojczystym języku.

Ostatnio nie było żadnych wyładowań elektrycznych, które mogłyby spowodować pożar traw. Ponieważ chcieli przygotować miejsce na nocleg po wielu godzinach marszu, postanowili zbadać to miejsce. Zapadał już zmrok, ale nie było jeszcze ciemno, a oni właśnie złapali warana na kolację. Niepewni, czy to biali, czy tubylcy, podeszli do obozowiska bardzo ostrożnie. Kiedy byli już całkiem blisko i nie dostrzegli ani koni, ani wielbłądów, wiedzieli już, że to Aborygeni.

Okazało się, że na miejscu panuje kompletny bałagan. Wśród resztek jedzenia i rozrzuconych pustych butelek leżały trzy bezwładne ciała Billy'ego, Charliego i Danny'ego, a więc trzech Aborygenów, których Edward Fitzherbert wynajął do poszukiwania córki.

Tubylcy popatrzyli na tamtych z niesmakiem.

– Czarnuchy białasów...

Tak nazywali pijanych Aborygenów mieszkających w miastach. Tamci z kolei obdarzali tubylców innymi paskudnymi przezwiskami.

Przybyli zaczęli szturchać Billy'ego tępym końcem włóczni i pokrzykiwać. W końcu otworzył przekrwione, mętne oczy.

Tubylcy odezwali się do niego w plemiennym języku. Birrimbai (albo Billy, jak sam siebie nazywał) pochodził z klanu Warringal, więc jego język był inny, ale rozumiał wystarczająco dużo, żeby zacząć rozmowę. Był pewien, że tubylcy pytają go, co robi na pustyni, pijąc truciznę od białych ludzi. Aby uratować twarz – wiedział bowiem, co tubylcy sądzą o pijanych Aborygenach – i by okazać wyższość, opowiedział, że on i jego przyjaciele szukają białej dziewczyny, która wypadła z pociągu. Zapewniał, że biały mężczyzna zapłacił im strasznie dużo pieniędzy, bo są najlepszymi tropicielami w całym rejonie Alice Springs. Mimo pewnych trudności w porozumieniu się uznał, że wywarł na tubylcach z plemienia Garawerigal odpowiednie wrażenie.

Tubylcy wymienili między sobą parę zdań, po czym zostawili Billy'ego i jego towarzyszy. Kiedy już tamci nie mogli ich słyszeć, tubylcy zaczęli się zaśmiewać na samą myśl, że trzech pijaczków może być w ogóle tropicielami! Dla nich było jasne, że Billy i jego kumple wzięli pieniądze od tego głupka i kupili za nie tyle grogu, ile się dało. Nigdy nie słyszeli o żadnej białej dziewczynie, która wypadła z pociągu, nawet nie byli pewni, czy ta historia w ogóle jest prawdziwa.

Djalusi i Djilaynga (czyli Charlie i Danny) nadal chrapali, zatem kiedy przybysze się oddalili, Billy padł na piasek i znowu zasnął.

Obudzili się godzinę później. Było ciemno, a ich ognisko wygasło. Billy w pierwszej chwili nawet nie pamiętał dziwnego spotkania.

– Ile mamy tu jeszcze tkwić? – spytał go Djalusi. Głowa mu pękała z bólu i czuł się chory. Zwykle pili tylko tanie wino, ale za dwadzieścia funtów mogli kupić najlepszy grog w mieście – i to niemało butelek! Już od kilku dni siedzieli na pustyni; Djalusi chciał wracać do Alice Springs. Przez cały ten czas prawie nic nie jedli, bo nie byli w stanie niczego upolować.

– Niedługo będziemy wracać... – rzekł Birrimbai.

Nagle przypomniał sobie, że z kimś rozmawiał... a może to był tylko sen? Wtedy zobaczył na piasku ślady świeżej krwi. Nie, to jednak nie był sen.

– Niedawno ktoś tu był – zwrócił się do Djilayngi i Djalusiego.

Obaj spojrzeli na niego jak na wariata. Djalusi pomyślał, że pewnie to jakaś halucynacja alkoholowa. Birrimbai się rozżościł.

– Było tu czterech tubylców – powiedział z przekonaniem, bo pamięć coraz lepiej mu dopisywała. Wskazał na plamę krwi na piasku. – To z tego, co zabili – wyjaśnił. – Spaliście.

Djilaynga i Djalusi zobaczyli krew i zrozumieli, że Birrimbai mówi prawdę. Nagle śmiertelnie się przestraszyli na myśl, że mężczyźni widzieli ich pijanych. Było im wszystko jedno, co o nich myśleli biali, ale nie chcieli tracić twarzy wobec innych Aborygenów.

– Powiedziałeś im, co robimy na pustyni? – spytał Djilaynga.

– Tak, powiedziałem, że jesteśmy najlepszymi tropicielami w Alice Springs i że szukamy białej dziewczyny.

– I co? – Chciał wiedzieć Djalusi, zadowolony z odpowiedzi Birrimbai.

– Przekazali mi ważną wiadomość – skłamał Birrimbai. – Szczątki tej dziewczyny znaleziono kilka dni temu, o dwie godziny drogi stąd.

Sam uwierzył w te słowa. Dlatego najwyższy czas wrócić do Alice Springs i ogłosić prawdę.

Djilaynga i Djalusi byli zaskoczeni.

– Mamy ich szukać?

– Nie, wracamy do miasta – odparł Birrimbai.

– Ale... obiecaliśmy jej ojcu, że sprowadzimy ją z powrotem.

– To, co z niej zostało, już dawno rozwiął wiatr – kategorycznie stwierdził Birrimbai.

Koledzy przyznali mu rację.

– Wiemy, co się stało z tą dziewczyną, więc możemy wrócić, znając jej los – stwierdził Birrimbai. Był z siebie zadowolony. Wypadł dobrze w oczach kolegów. Poza tym zakończył męki ojca. Otworzył kolejną butelkę rumu.

– Maggie... – szepnął Tony, podchodząc do niej; za nim przybiegli Jonathan i Arabella. Maggie jęknęła.

– Co... się... stało?

– Chyba musiałaś zemdleć – gorączkowo tłumaczył Tony. Delikatnie uniósł jej głowę i oparł na swoim ramieniu.

Arabella nalała wody do szklanki i podała Tony'emu. Przyłożył ją do ust żony i w tym momencie zauważył małe otarcie i guz z boku jej głowy.

– Rozbiłaś sobie głowę – powiedział. Oddał szklankę Arabelli, wziął Maggie na ręce i zaniósł w stronę schodów. – Musisz się położyć – stwierdził. – I żadnej dyskusji!

– Ale... goście – protestowała słabo.

– Gośćmi się nie martw. Teraz się położysz i odpoczniesz! – z uporem perswadował jej Tony.

Maggie była zbyt słaba, żeby protestować. Arabella poszła za Tonym na górę. Kiedy położył Maggie do łóżka, Arabella podała jej szklankę wody i zmusiła chorą do wypicia.

– O nic się nie martw – pocieszała ją – zajmę się jedzeniem i w ogóle wszystkim w kuchni.

– Dziękuję ci, Arabello – słabym głosem odparła Maggie. – Ale nie powinnaś tego robić. Przecież potem masz zabawić grą naszych gości.

– Gra na fortepianie to nie jest ciężka praca, a w kuchni na pewno pomoże mi Jonathan.

– Byłoby dobrze... ale strasznie mi przykro, że moją pracę wykonują goście!

– Och, tym się nie przejmuj. Wiem, że Jonathan z radością ci pomoże – zapewniła Arabella i spojrzała na Tony'ego. – Mogłabym położyć Maggie zimny okład na głowie, tam gdzie ma guza?

– Jasne... może to zmniejszy opuchliznę. – Tony zmarszczył brwi, patrząc na żonę. – Boli cię głowa? Zaprzeczyła.

– Masz mroczyki przed oczyma? – spytała Arabella.

– Tylko wtedy, kiedy zemdlałam. Teraz już wszystko w porządku. Muszę się tylko położyć na parę minut... zaraz poczuje się lepiej.

– Masz zostać w łóżku przez resztę dnia – zarządził Tony. – I jutro też.

– Nie mogę – perswadowała Maggie. – Goście jeszcze tu będą.

– Wszystko będzie w porządku. Musisz zacząć dbać o siebie!

Tony mówił to szorstkim tonem, ale widać było, jak się martwi.

– Arabella przyniesie ci na górę jedzenie. I masz wszystko zjeść! Obiecuj mi!

– Obiecuję... – odparła Maggie, ale z jej miny można było poznać, że trudno będzie utrzymać ją w łóżku. Miała wiele dobrych cech, ale była jedną z najbardziej upartych istot, jakie Tony znał.

Kiedy Arabella zaniósła Maggie kolację, chora chciała wstawać z łóżka.

– To nie w porządku – rzekła, kiedy Arabella weszła z tacą do jej pokoju. – Masz dość roboty, nawet bez prac domowych!

– Kiedy Moira Quiggley i Jane McKenzie usłyszały, że zemdlałaś, od razu pobiegły do kuchni i zaczęły sprzątać – opowiadała Arabella.

– Co takiego? – Maggie była przerażona. Spuściła nogi z łóżka, żeby wstać. Arabella ją powstrzymała i z powrotem ułożyła na łóżku.

– One strasznie chcą, żebyś grała, więc z wielką przyjemnością mi pomogły. Pomyśl tylko, dlaczego nie mają tego robić?

– Bo są gośćmi w naszym hotelu! – wykrzyknęła Maggie. – Skoro płacą za swój pobyt, to ja

powinnam je obsługiwać.

– Tony powiedział, że nie płacą za rozrywki, więc niech pomagają.

Maggie westchnęła z irytacją i padła z powrotem na poduszki. Mogła się spodziewać po Tonym, że właśnie tak powie.

– To przecież nie koniec świata, Maggie – pocieszała ją Arabella. – Jonathan mi powiedział, że tu w buszu ludzie sobie pomagają. Czy to prawda?

Maggie przytaknęła.

– No, więc się nie denerwuj, tylko zjedz kolację.

Maggie ponownie westchnęła, tym razem z rezygnacją. Nadal była odurzona, więc naprawdę nie miała siły się upierać. Pomyślała, że jutro będzie zupełnie inaczej.

Moira Quiggley i Jane McKenzie szybko uporały się ze sprzątaniami kuchni. Obie były tak przejęte perspektywą usłyszenia gry Arabelli, że nie pozwoliły jej nawet ruszyć palcem. Zasląbnienie Maggie z kolei odciągnęło uwagę Arabelli od faktu, że nie zobaczy rodziców jeszcze przez wiele miesięcy,

Arabella grała przez dwie godziny. Do gości z Fariny dołączyli miejscowi (oprócz Wally'ego), włącznie z Jonathanem, miała więc dobrą publiczność. Podczas krótkiej przerwy na drinka usłyszała, jak Tony mówi do Teda, że ma zamiar przenieść fortepian do salonu, gdzie będzie więcej miejsca dla publiczności.

Rodziny Quiggleyów i McKenzich bawiły się doskonale. Chłopcy poczuli się dorośli, kiedy ojciec pozwolił im wypić shandy – piwo z lemoniadą.

– Chciałabym, żeby pani przemyślała możliwość wyjazdu do Fariny razem z nami – mówiła Moira do Arabelli, kiedy skończyła grać ostatni utwór. – Nasz hotel ma piękny, wielki salon i dużo pokoi, każdy z kominkiem.

Tony usłyszał, co mówiła.

– Jest tylko jeden problem, Moiro, w hotelu Transcontinental nie ma fortepianu! – zauważył. – A naszego wam nie damy.

Twarz Moiry się wydłużyła.

– Wobec tego będziemy musieli znowu tu przyjechać, żeby posłuchać Arabelli – stwierdziła, a jej mąż spojrzał na Tony'ego i przewrócił oczyma.

Phil siedział w końcu jadalni razem z Tonym i rozkoszował się muzyką, ale nie tylko: myślał o bardziej niecierpiących zwłoki sprawach. Wobec suszy, trwającej już całe lata, byli bliscy utraty farmy, o czym Moira wolała nie wiedzieć. Pierwsi osadnicy uważali, że po wiosennej orce spadnie deszcz i będzie można uprawiać pszenicę, a ten okręg stanie się spichlerzem północy.

„Farina” po łacinie znaczy „mąka”, ale pomysł wczesnych osadników nie był logiczny: od dawna nie było widoków na plony. Farmerzy tacy jak Phil hodowali bydło, ale po latach suszy chcieli przerzucić się na hodowlę kóz.

Phil planował popędzić stado na północ, aby je sprzedać.

– Wiesz, Macca, jeżeli za tydzień nie spadnie deszcz, będę musiał sprzedać bydło – mówił Tony'emu. – To mi złamie serce i zrujnuje moją całą rodzinę, ale teraz jest tak mało paszy, że chyba będziemy musieli zamknąć kramik...

– Jeżeli nie zacnie padać, wkrótce wszystkie miasta wzdłuż linii kolejowej będą wymarłe... – Tony był naprawdę zmartwiony. – Farmerzy nic nie zarabiają, więc nie przyjeżdżają do miast, żeby wydawać pieniądze. Wszyscy cierpią, w dodatku pociąg nie kursuje...

– Przywiozłem do Marree Moirę i chłopców, żeby posłuchać gry twojego gościa; miałem nadzieję, że łatwiej zniosą cios, kiedy zakomunikuję im, że przenosimy się do dużego miasta.

– Ale chłopakom podoba się w buszu – rzekł Tony.

– To prawda; nigdy nie mieszkali gdzie indziej. Wiem, że nie będą chcieli przeprowadzić się do Adelajdy. Ja też nie mam na to ochoty. Całe życie byłem farmerem.

Tony nie wiedział, co ma powiedzieć. Sam miał kłopoty finansowe, ale nie chciał o nich opowiadać. Wolał nie wspominać o tym, żeby Maggie nie dowiedziała się, jak źle przedstawia się ich sytuacja.

– Czy Terry Higgins jest dalej w Farinie? – spytał.

Młody posterunkowy miał wrócić już dwa dni temu.

– Był, ale chyba pojechał na parę dni do Lyndhurst – odparł Phil.

– Po co? Są tam jakieś kłopoty?

– Nie; zaleca się do tamtejszej dziewczyny.

– Do której?

– Do córki Barneya Oldfielda ze stacji Oradulla.

– Ona chyba ma dopiero piętnaście lat?

– Nie, ma już dwadzieścia i jest niebrzydka.

– Kiedy ją ostatni raz widziałem, była pyzaty brzdącem z warkoczykami jak mysie ogonki i buzią pełną piegów!

– No, to powinienes ją zobaczyć teraz! – zawołał Phil. – Połowa facetów w promieniu trzystu kilometrów oczu od niej nie może oderwać!

Tony potrząsnął głową z uśmiechem. Mógł sobie wyobrazić, jak Terry za nią biega.

O dziesiątej wieczorem Jonathan już widział, że Arabella jest zmęczona, więc nalegał, by przestała grać i odpoczęła. Choć gra dawała jej wiele przyjemności, była dość wyczerpana, poza tym cieszyła ją troska Jonathana. Moira i Jane wychwalały pod niebiosa talent Arabelli i świetnie się bawiły; ich rodziny też były zachwycone. Do słuchających dołączył też Stuart, który jednak powstrzymał się tym razem od zalotnych uwag. Wydawał się dość zmęczony; w milczeniu sączył piwo. Tylko od czasu do czasu rzucał Arabelli serdeczny uśmiech.

– To najwspanialsza noc, jaką przeżyłam od lat – oświadczyła Moira, kiedy już wchodziła po schodach za Arabellą. – Zagrasz nam jutro, prawda?

– Oczywiście!

– Ciekawe, jak Maggie będzie się jutro czuła?

– Nie mam pojęcia... ale Tony chce, żeby jeszcze odpoczywała – odparła Arabella. – Pomożesz nam przy śniadaniu?

– Jak najbardziej, kochanie! Powiedz Maggie, żeby się o nic nie martwiła. Wpadniemy do niej jutro po śniadaniu, pod warunkiem, że będzie gotowa nas przyjąć.

Arabella się uśmiechnęła, wiedziała jednak, że Maggie aż się pali, żeby wstać z łóżka jutro rano. Była też pewna, że Tony zrobi wszystko, żeby ją tam zatrzymać.

Kiedy nazajutrz rano Arabella wstała, zapukała do drzwi pokoju Maggie. Kompletnie nie spodziewała się jej tam zastać i zaskoczyło ją, kiedy usłyszała głos Maggie:

– Proszę...

– Jak się czujesz? – spytała ostrożnie.

– Jestem jeszcze trochę słaba, ale to na pewno przejdzie mi do wieczora – odparła Maggie.

Arabella pomyślała ze zdziwieniem, że głos Maggie brzmi dziś inaczej niż zazwyczaj.

– O nic się nie martw. Postaraj się tylko jak najlepiej wypocząć.

– A jak było wczoraj? Twoja gra spodobała się gościom?

Maggie słyszała ze swojego pokoju dochodzącą z dołu muzykę i była zmartwiona, że nie może tam być i rozkoszować się razem z innymi grą Arabelli.

– Poszło doskonale. Moira prosiła, żebym dziś zagrała.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Powinnam wstać i przyszykować kolację.

– Już się umówiliśmy na wspólne przygotowanie śniadania, możemy zrobić to samo z lunchem. –

Arabella zauważyła dzbanek z herbatą stojący obok łóżka. – O, widzę, że Tony już ci przyniósł herbatę! Zaraz przyszykuję grzanekę – rzekła, idąc do drzwi.

– Powinnam dzisiaj upiec chleb – dodała Maggie. – Już na pewno mało zostało.

Kiedy tylko Arabella otworzyła drzwi pokoju Maggie, obie poczuły zapach pieczonego chleba.

– O, już ktoś to zrobił. Czuję zapach chleba na korytarzu.

Maggie znowu zmarszczyła brwi. Nie podobało się jej, że goście pracują w kuchni. Arabella to zauważyła.

– Nie martw się – rzekła uspokajająco. – Przestań się denerwować. Za minutkę wracam z grzaneką.

Arabella zeszła na dół i zastała Moirę oraz Jane pracujące w kuchni. Córka Jane, Alice, mniej więcej dwunastoletnia, też pomagała. Najwyraźniej wstały bardzo wcześnie, bo już zdążyły upiec kilka bochenków chleba. Teraz Jane stała przy piecu i smażyła jajka.

– A oto nasza znakomita pianistka! – zawołała Moira, co Arabellę trochę zawstydziło. – Właśnie miałyśmy zanieść ci śniadanie na górę.

– Nie trzeba! – zaprotestowała Arabella.

Pomyślała o swoim dawnym życiu w Anglii. Dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo Maggie zmieniła jej charakter. Prawda, że początkowo ta zmiana była na niej wymuszana, ale dopiero tutaj w Marree po raz pierwszy w życiu naprawdę poczuła, że jest komuś potrzebna...

To było miłe uczucie.

– Pomyślałyśmy, że może masz ochotę dłużej poleżeć, żebyś była wieczorem świeża i wypoczęta!

– Zeszłam na dół po śniadanie dla Maggie – wyjaśniła Arabella.

Dotychczas jakoś ani przez chwilę nie myślała o dzisiejszym występie; było przecież tyle innych spraw! A przede wszystkim chora Maggie.

– Och, jak ona się czuje? – zawołała Moira.

– Chciałam jej naszykować grzanekę...

– Może z jajkiem? – podchwyciła Jane. – Już właściwie są gotowe.

– Na pewno się ucieszy – zapewniła Arabella. – A gdzie Tony?

– Na podwórzu, rąbie drzewo – odparła Moira. – Jak Maggie się czuje?

– Jest bardzo słaba – ze smutkiem przyznała Arabella. – Ale miejmy nadzieję, że jeżeli odpocznie, poczuje się lepiej.

– Słyszałam kiedyś pogłoski o jej poważnej chorobie – rzekła Moira. – Zapytałabym ją o to, gdybym uważała, że w tych plotkach jest chociaż łyżeczka prawdy, ale Maggie, kiedy ją ostatni raz widziałam dwa miesiące temu, wyglądała bardzo dobrze!

Obie panie zwykle się spotykały mniej więcej dwa razy do roku na zebraniach Krajowego Stowarzyszenia Kobiet w Farinie, Marree albo w Lyndhurst. Moira była prezeską.

– Nigdy nie wspominała o żadnej chorobie! – zdziwiła się Arabella, trochę zaniepokojona.

– Oj, bo to pewno nieprawda – pocieszyła ją Moira. – U nas w buszu krąży tyle plotek!

– Gdzie mieszka lekarz? – spytała Arabella. W mieście nie słyszała o żadnym.

– Doktor Roberts jeździ zwykle pociągiem pomiędzy Hawker we Flinders aż do Alice Springs... oczywiście wtedy, kiedy pociąg kursuje. W każdym miasteczku spędza tydzień lub dwa i ogląda pacjentów. Dzięki temu wszyscy ludzie na stacjach, którzy go potrzebują, mają czas dojechać do miasta. A jeżeli pociąg utknie gdzieś w pobliżu Alice Springs, doktor przyjeżdża do chorych na wielbłądzie... ale nie wiemy, kiedy dotrze aż tutaj.



– To Afgańczyk? – spytała Arabella. Nazwisko „Roberts” wyglądało na angielskie, a nie mogła sobie wyobrazić Anglika dosiadającego wielbłąda.

– Na miłość Boską, nie! Korzysta tylko z pomocy Afgańczyków i ich wielbłądów: przewożą go z miasta do miasta, jeżeli pociąg nie kursuje, czyli na ogół raz, dwa razy w roku.

Arabella weszła do pokoju Maggie z tacą, którą ustawiła przy łóżku. Na tacy była filiżanka mleka, cukier, sztucce, sól i pieprz i grzanka z jajkiem.

– Co się tam dzieje na dole? – Chciała wiedzieć Maggie, kiedy tylko drzwi się otworzyły i Arabella weszła do pokoju.

– Wszystko jest pod kontrolą! Moira i Jane myją właśnie naczynia.

– A kurczęta nakarmione?

– Tak. Tony je nakarmił i zebrał jajka. Jane McKenzie upiekła chleb i przyszykowała jajka. Moira zrobiła grzankę, a teraz zmywa. Powiedziała, że potem jeszcze pościiera kurze i zamiecie podłogę. Dla mnie nie ma nic do roboty, więc chyba pójdę na małą przechadzkę z Jonathanem... Chyba że chciałabyś, żebym coś jeszcze zrobiła?

Wydawało się, że Maggie się uspokoiła, ale było jasne, że ją drażni, kiedy goście za nią pracują.

– Nie, nie... idź.

– Moira i Jane chciały cię odwiedzić po śniadaniu. Mogą wpaść? – spytała Arabella.

Twarz Maggie się rozjaśniła.

– Pewnie! Bardzo bym chciała wysłuchać wszystkich nowinek z Fariny.

– Dobrze. Powiem im, ale najpierw zjedz śniadanie.

– Mogą tu przyjść w każdej chwili! – zapewniła Maggie, posypując jajko solą. – Zaraz to zjem.

Arabella wyszła zadowolona, że Maggie ma apetyt, bo uznała to za dobry znak: skoro je, nie może chyba być poważnie chora!

Już na dole powiedziała paniom, że wychodzi i że Maggie oczekuje ich wizyty.

W salonie spotkała Jonathana przeglądającego swoje ostatnie fotografie. Miał je pokazać Paddy’emu Khanowi. Poza tym chciał, żeby Arabella i Paddy się poznali.

Część miasta leżąca po drugiej stronie torów składała się z tuzina domków zbudowanych z kostek wysuszonej gliny i miedzianej blachy. Domy miały płaskie dachy, okna, umieszczone po obu stronach drzwi, nie miały szyb, były tylko osłonięte okiennicami. Jonathan tłumaczył, że okiennice, które podczas upału funkcjonują jak wentylatory, zamyka się, kiedy słońce oświetla tę stronę domu – albo podczas burzy piaskowej. Pośrodku miasta wznosił się ozdobny, jak na tutejsze standardy, meczet. Przed nim leżały maty: wszystkie były skierowane w jedną stronę.

– To maty do modlitwy, ale poranny pacierz już się odbył – wyjaśnił Jonathan.

Arabella zauważyła kilku mężczyzn wchodzących do domów albo wychodzących z nich lub zajmujących się wielbłądami stojącymi w zagrodach. Rzucali na nią ciemne, nieufne spojrzenia: udawała, że nie zwraca na to uwagi. Przed dwoma najbliższymi domkami zobaczyła kobiety – Aborygenki z dziećmi. Patrzyły na nią apatycznie, bez zaciekawienia. Arabella wolała już obojętność niż wrogie spojrzenia ich mężów.

– Paddy zajmuje się teraz wielbłądami – zauważył Jonathan, patrząc w stronę jednej z dużych zagród.

Kiedy Paddy zobaczył, że zbliżają się goście, pomachał im ręką na powitanie.

Był wysoki, szczupły, w kapeluszu zamiast turbana; miał na sobie zniszczony kombinezon i nie nosił koszuli. Jego cera była jaśniejsza niż innych Afgańczyków, ale przede wszystkim wyraz twarzy miał pogodny. Arabelli przyszło na myśl, że na jego charakter musiało wpłynąć irlandzkie pochodzenie.

Kiedy podeszli do zagrody, smród zrobił się nieznośny, zwłaszcza w takim upale. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zakryć nosa i ust ręką. Dopiero na ostrzegawcze spojrzenie Jonathana zrozumiała,

że Paddy może ten gest uznać za niegrzeczny, i szybko wstrzymała oddech.

– Dzień dobry! – zawołał Jonathan, a Paddy odwzajemnił pozdrowienie. – Chciałbym, żebyś poznał Arabellę Fitzherbert – zwrócił się do przyjaciela. – Znalazła się w trudnej sytuacji, przynajmniej na jakiś czas... – Głos Jonathana się załamał. Uważał, że musi coś powiedzieć, ale mówiąc to, czuł się trochę niezręcznie.

Paddy, podobnie jak inni Afgańczycy, wiedział już o kłopotliwym położeniu Arabelli – i naturalnie także o tym, że uważa ona wielbłądy za „śmierdzące stworzenia”. Poza tym znał Jonathana dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że przyprowadził dziewczynę, bo chciał otworzyć jej oczy.

– Miło mi... panią poznać – powiedział śpiewnym głosem. Okazał jej serdeczność mimo ignorancji, którą się wykazała; gotów byłby nawet zawieźć ją do Alice Springs, ale właśnie kilka wielbłądzic miało lada chwila urodzić, więc uważał, że jego obecność tutaj jest o wiele bardziej potrzebna, ponadto wiedział, że dziewczyna i tak spotka się z rodzicami, bo wrócą tu, gdy pociąg znów zacznie kursować.

– Fotografie wyszły nawet lepiej, niż się spodziewałem – mówił Jonathan.

– Cudowne... – mruknął Paddy na widok zdjęć. – Twoja podróż się opłaciła! – dodał, podziwiając kolejne fotosy. Był bardzo dumny z Jonathana.

Jeden z wielbłądów wydał długi pomruk: Arabella pisnęła i odskoczyła.

– W porządku... – uspokoił ją Paddy. – Biedna Mosi po prostu się skarży; cóż, zbliża się poród. A po trzynastu miesiącach ciąży ma chyba dość i chciałaby, żeby już było po wszystkim.

– Tak też pomyślałam, że jest bardzo szeroka w brzuchu... – zauważyła Arabella.

– Kiedy mały się urodzi, będzie ważył od trzydziestu do czterdziestu kilo – wyjaśnił Paddy. – Noszenie takiego ciężaru jej nie przeszkadza, ale jak każda przyszła matka, chciałaby to już mieć za sobą.

– Mogę sobie wyobrazić – szepnęła Arabella. – Biedactwo!

– Właśnie. Wszystkie kobiety jej współczują.

W sąsiedniej zagrodzie ryknął jakiś ogromny samiec i Arabella znów podskoczyła ze strachu.

– Zamknij dziób, Hannibal! – kpiąco zawołał Paddy. Spojrzał na Arabellę. – Temu nie ma co współczuć. Aż się pali, by znów ją pokryć.

Arabella splonęła rumieńcem. Nagle usłyszała beczenie i spomiędzy dorosłych wielbłądów wyszło małe wielbłądziątko.

Zbliżyło się do płotu i przepchnęło głowę przez ogrodzenie, wyciągając szyję tak, żeby dosięgnąć Arabelli. Ta cofnęła się instynktownie.

– Nic pani nie zrobi – uspokoił ją Paddy. – Szuka po prostu swojej mamy.

Arabella natychmiast poczuła związek z tym maluchem.

– Nie ma jej tu z innymi wielbłądami?

– Nie, wystraszył ją dziki samiec, kiedy się pasła. Pewnie ją wziął do swojego stada... ciągle jeszcze mam nadzieję, że do mnie wróci.

Arabella patrzyła w łagodne brązowe oczy małego wielbłąda, który w dalszym ciągu beczał i wyciągał szyję w jej kierunku, chcąc ją powąchać. Naprawdę zrobiło jej się żal tego biedactwa.

– Chyba panią polubił! – ze zdziwieniem rzekł Paddy. – Uri zwykle jest bardzo nieśmiały.

– Jakie on ma cudowne rzęsy! – zachwyciła się Arabella z odrobiną zazdrości. Były rzeczywiście bardzo długie i gęste.

– Wielbłądy mają dwa rzędy długich, podkręconych rzęs; chodzi o to, żeby piasek i kurz nie przedostawały się im do oczu. Mają poza tym tak zwaną „trzecią powiekę”, dzięki której oko mimo kurzu i wiatru pozostaje czyste. Brwi też są krzaczaste, bo osłaniają oczy przed słońcem.

– Kiedy tracą futro, wyglądają, jakby były przykryte zniszczoną derką – powiedziała Arabella nietaktownie, patrząc na stado dorosłych wielbłądów.

Ku wielkiej uldze Jonathana Paddy nie poczuł się urażony.

– Zaczynają linieć już na wiosnę, ale jesienią ich futro rośnie na nowo i wtedy wyglądają naprawdę pięknie!

Wielbłądziątko znów zabeczało.

– On jest chyba głodny – zauważyła Arabella. Płacz malucha był naprawdę żałosny.

– Doję inną samicę i damę mu jej mleko, zanim matka nie wróci – wyjaśnił Paddy.

Arabella szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, bo zrozumiała, że chodzi o dojenie samicy wielbłąda.

– Pan... doi... wielbłąda? – powiedziała z niedowierzaniem.

– Tak, na Bliskim Wschodzie hoduje się wielbłądzice na mleko. I chociaż ich mleko jest o wiele bardziej pożywne niż krowie, to ma swoisty zapach, nie zawsze przyjemny dla ludzi z Zachodu.

– Czy to prawda, że one przechowują wodę w garbach?

– Nie, to bajka. Garb, to po prostu tłuszcz, który się rozkłada i pozwala im przeżyć wiele dni bez jedzenia. Ale, jeżeli nie karmi się ich jak należy, albo jeżeli nie są zdrowe, garb się kurczy, albo przechyla na bok.

– A ten mały? Gdzie ma garb?

– One się rodzą bez garbu; garb im rośnie, kiedy zaczynają jeść stałe pokarmy. Niedługo zacznę mu je dawać.

Wielbłądziątko wyciągnęło szyję do Arabelli i znowu zabeczało żałośnie.

– Czy on chce mnie ugryźć? – spytała przestraszona.

– Ależ nie! Po prostu szuka opieki i chce, żeby go pieścić.

Paddy poskrobał wielbłądziątko po nosku tak serdecznie, że Arabella się wzruszyła. Wydawał się być tak oswojony z wielbłądami... Dziewczyna jednak stale odczuwała niepokój z powodu bliskości zwierząt.

– A jak długo małe zostają przy matce? – spytała. Mimo strachu żal jej było małego.

– Jakies pięć lat. Ale już dużo wcześniej młode zaczynają się uczyć. A jeżeli w stadzie jest za dużo młodych, sprzedajemy je na mięso.

– Pan je jadł? – Arabella była przerażona.

– O, tak! Jest doskonałe.

– Możemy już iść? – spytała szybko Jonathana.

Tego już było dla niej za wiele; w dodatku stary samiec znowu się rozryczał. Był wysoki na dwa i pół metra i wydawał się naprawdę bardzo groźny.

– Dzięki za przyniesienie fotografii – rzekł Paddy. Potem spojrzał na Arabellę. – Miło mi było panią poznać.

– Dziękuję. Mnie też było przyjemnie.

Arabella się cofnęła dalej od zagrody, zza której coraz bardziej ciekawskie wielbłądy wystawiały głowy i wyciągały szyje.

– Co pani myśli o Paddym? – spytał Jonathan, kiedy wracali do hotelu.

Arabella nadal słyszała w duchu beczenie malucha. Żałosne, jak bek owieczki.

– Nie jestem pewna... myślałam, że jest miły, ale potem, kiedy powiedział, że zjada młode wielbłądy....

Nadal miała przed oczyma brązowe oczy Uriego.

– No cóż... pani jada młode jagnięta, prawda?

– No, tak.

– Więc co za różnica?

– Chyba żadna... – przyznała Arabella.

Pomyślała, że Paddy bardzo kocha swoje zwierzęta.

– Hodowcy wielbłądów mają o swoich zwierzętach bardzo wysokie mniemanie. A kiedy pani weźmie pod uwagę, ile one potrafią, powinna pani zrozumieć dlaczego.

Arabella zaczynała dostrzegać, jaką te zwierzęta mają wartość dla ludzi żyjących na odludziu. Tylko nie mogła się przyzwycząić do tego duszącego odoru!

Nawet kiedy już byli z powrotem w hotelu, w dalszym ciągu go czuła i zaczęła ją od tego boleć głowa.

W hotelu Tony planował urządzenie wieczorem grilla. Wszystkie panie musiały teraz kroić chleby do kotletów baranich. Tony nadal się martwił o Maggie, która wciąż leżała w łóżku. Za każdym razem, kiedy próbowała wstać, dostawała zawrotów głowy.

Arabella zajrzała do chorej, ale musiała zaraz pójść do siebie i się położyć, bo ból głowy stał się niemal nie do zniesienia, a zapach wielbłądów sprawiał, że zbierało jej się na wymioty. Moira i Jane się przestraszyły, że dziewczyna nie będzie w stanie wieczorem dla nich zagrać, a ponieważ już następnego dnia miały wracać do Fariny, były szczególnie rozczarowane.

Wczesnym wieczorem Arabella nadal nie czuła się dobrze; nie chciała jednak rozczarować gości, więc zgodziła się grać przez pół godziny po kolacji, której nie była w stanie zjeść.

– Przepraszam... – powiedziała w końcu. – Okropnie się czuję... muszę odpocząć.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, zanim opuścisz Marree! – rzekła Moira, kiedy Arabella szła na górę.

– Wątpię, że będę tu tak długo – odparła Arabella, stale pełna nadziei, że pociąg wkrótce wróci.

– No, w każdym razie bardzo ci dziękujemy za grę. Warto było odbyć taką długą podróż tylko po to, żeby ciebie posłuchać. Powinnaś grać w salach koncertowych!

Arabella poczuła się wspaniale, mimo to z przyjemnością położyła się do łóżka.

Wkrótce potem do jej drzwi zapukał Jonathan.

– Chciałaby pani czegoś, zanim pójde spać? – spytał.

– Nie, dziękuję! – odkrzyknęła. – Mam nadzieję, że jutro poczuję się lepiej.

– Na pewno! Dobranoc!

Była wzruszona jego troską; ponownie pomyślała, jaki z niego uprzejmy mężczyzna.

– Dobranoc... – odparła.

Kiedy w hotelu zapadła cisza i wszyscy zasnęli, Arabellę zbudził jakiś dziwny dźwięk. Usiadła na łóżku i słuchała. Po chwili dźwięk się powtórzył. Przez moment była wystraszona, ale po chwili rozpoznała, co to takiego.

To płakał mały Uri.

Wstała i wyszła na balkon. Widoczny w jasnym świetle księżyca stał pod jej balkonem mały wielbłąd. Nadal wydawał z siebie żalosne beczenie.

– Co ty tu robisz? – syknęła Arabella. – Wracaj do zagrody!

Wielbłądziątko poruszyło się niepewnie, bo nie wiedziało, skąd dochodzi głos. Nadal płakało.

– Ciii... – szepnęła Arabella. – Jak wyszedłeś z zagrody, mój malutki?

Wielbłądziątko stało i rozglądało się, najwyraźniej zdezorientowane. Poczuła, że okropnie go jej żal. Jego sytuacja tak bardzo przypominała jej własną... a przy tym było takie młodziutkie!

Nie miała pojęcia, co począć, podczas gdy ono tak stało i płakało, najwyraźniej nie mając najmniejszego zamiaru wracać do zagrody. Pomyślała o tym, żeby obudzić Jonathana, ale nie chciała wchodzić do jego pokoju w środku nocy... Wobec tego włożyła pożyczony od Maggie szlafrok i zeszła na dół.

Kiedy tylko wielbłąd ją zobaczył, podszedł do niej. Miała ochotę uciec do środka, ale stała, nie

mogąc się poruszyć. Nogi się jej trzęsły. Wzięła przedtem z kuchni kawałek chleba, na wypadek, gdyby zwierzę chciało ją ugryźć. Wyglądał na uradowanego i starał się podejść do niej jak najbliżej, ale trzymała się od niego z daleka. Po minucie czy dwóch była pewna, że nie zrobi jej nic złego. Poglaskała wielbłądziątko po szyi. Futerko malucha było zaskakująco miękkie. Nawet w ciemności widziała jego ogromne brązowe oczy, chyba smutne – i serce jej zmiękło. Było takie zagubione!

– Wiesz co – szepnęła – wiem, co czujesz, bo ja czuję zupełnie to samo. Strasznie tęsknię za mamą, ale co mogę na to poradzić? – W jej oczach zakręciły się łzy. – Musimy oboje wierzyć, że nasze mamy do nas wrócą. One nas kochają, więc jestem pewna, że tak będzie!

Wielbłądziątko znowu zabeczowało i odwróciło główkę, patrząc gdzieś w dal. Arabella spojrzała w tamtym kierunku. Stworzenie patrzyło w stronę Pustyni Strzeleckiego[8].

– Wiesz, że ona tam jest, prawda? – wyszeptwała. – I ja jestem pewna, że tęskni za tobą tak samo, jak ty tęsknisz za nią! – Podała małemu Uriemu kawałek chleba. Skubnął, ale po chwili chleb upadł na ziemię, a zwierzątko znowu zapatrzyło się w pustynię.

– Lepiej wracaj do zagrody – powiedziała.

Nagle przyszło jej do głowy, że małemu Uriemu może grozić jakieś niebezpieczeństwo. Takie małe zwierzątko mogą zaatakować psy dingo...

Arabella pobiegła czym prędzej na górę. Wzięła głęboki oddech i zastukała do drzwi Jonathana.

– Jonathanie! Niech pan wstanie! – zawołała cicho i znów zastukała.

Po chwili podszedł do drzwi.

– Co się stało, Arabello? – spytał sennym głosem. – Dobrze się pani czuje?

– Tak, ale... to wielbłądziątko stoi tu pod domem i ciągle płacze.

Jonathan wyglądał na oszołomionego faktem, że go budzą z powodu wielbłąda.

– Nic mu nie będzie... Wróci do swoich.

– Ale... a jeżeli zaatakują go psy dingo?

– Dingo?! Nie przypuszczam. Niech pani wraca do łóżka i nie martwi się o niego.

– Nie mogę! Nie zdołam zasnąć, dopóki nie będę pewna, że Uri jest bezpieczny.

Otworzyły się kolejne drzwi. Wyjrzał przez nie Stuart Thompson w piżamie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Mały wielbłąd stoi pod balkonem i płacze! – głośnym szeptem oznajmiła Arabella. Nie chciała obudzić McMahanów.

– Och... chce pani, żeby go odprowadzić do zagrody?

– Tak – odparła Arabella. – Może by pan...

– Nie ma sprawy – szybko wtrącił Jonathan, wychodząc na korytarz. – Ja się tym zajmę. Wracaj do łóżka.

– Jesteś pewny, że nie potrzebujecie mojej pomocy? – spytał Stuart, patrząc na Arabelle.

Arabelli zrobiło się przyjemnie, że o to pyta. Uśmiechnęła się.

– Nie, damy sobie radę – naciskał Jonathan. – Do zobaczenia rano!

– W porządku – rzekł Stuart. – Gdyby coś... to tylko mnie zawołajcie.

– Dziękuję! – rzekła z wdzięcznością Arabella.

Jonathan spojrzał na nią przymrużonymi oczyma. Nie mógł nie zauważyć, że obecność Stuarta zawsze wywierała wielkie wrażenie na Arabelli.

– Myślałem, że pani nie lubi wielbłądów – zauważył tonem bardziej szorstkim, niż zamierzał.

– Ja nie... właściwie nie. Ale nie mogę zostawić tego biednego maleństwa! Jest takie samotne i tak żałośnie płacze! A zresztą nie mogę spać, ono robi tyle hałasu! Tęskni za swoją mamą...

Jonathan westchnął i ziewnął.

– Przepraszam, że pana zbudziłam, ale musi pan je zaprowadzić z powrotem do zagrody, do innych wielbłądów!

– On prawdopodobnie nie był w ogóle w zagrodzie. Paddy uwiązuje zwykle swoje wielbłądy na długich sznurach, żeby mogły się paść w nocy.

– Paść się? Na czym? Tam przecież rosną tylko kolczaste zarośla...

– Byłaby pani zdziwiona, co wielbłądy potrafią zjeść. Paddy pewnie zostawił małego Uri z jedną z wielbłądzic. Ale to niezwykle, że ten mały sam tu przywędrował. Za minutkę będę gotów.

Jonathan zamknął drzwi, Arabella czekała na korytarzu.

Jej myśli natychmiast wróciły do Stuarta. Podobały jej się jego niedbałe maniere, poza tym nie mogła się pozbyć ciekawości, czy i ona mu się podoba. Była pewna, że to nie mężczyzna, którego chętnie widzieliby obok niej rodzice: włóczęga, poszukiwacz złota... ale w jej oczach to tylko dodawało mu uroku.

Jonathan otworzył drzwi.

– Przepraszam, że musiała pani czekać – rzekł. Zauważył, że Arabella patrzy w stronę pokoju Stuarta.

– Nic nie szkodzi – zapewniła go.

Wyszli razem na podwórze. Jonathan wziął sznur ze stajni i poszli na poszukiwanie wielbłąda. Nadal kręcił się pod balkonem i beczał, szukając Arabelli.

– Odprowadzę go z powrotem do zagrody – obiecał Jonathan. – A pani niech wraca do łóżka.

Arabella skinęła głową. Jonathan założył Uriemu sznur na szyję i próbował go zaprowadzić z powrotem. Ale wielbłąd protestował energicznie. Nadal się odwracał do Arabelli i beczał.

– Chyba będzie pani musiała pójść ze mną – rzekł w końcu Jonathan. – Nie wiem dlaczego, poczuł do pani wielką sympatię!

– I ja nie wiem dlaczego – zastanowiła się Arabella, starając się mówić spokojnie; serce jej pękało z żalu z powodu biednego wielbłądziątka. Doskonale rozumiała, co czuło.

Ale – czy mogła to wytłumaczyć Jonathanowi?

# Rozdział jedenasty

---

Kiedy Jonathan i Arabella dotarli do zagród wielbłądów, zastali większość samic na uwięzi: pasły się w niewielkiej odległości od zagrody. Większość samców pozostawała za płotem.

– Nie wiem, czy będzie bezpiecznie wprowadzać Uriego do samców – rzekł Jonathan. – Są bardzo podniecone, bo wiele samic już urodziło. Teraz chcą znowu je zapłodnić...

– Więc zostawmy go z samicami – zaproponowała Arabella.

– Ale jeśli go nie uwiążemy, pójdzie za nami do hotelu.

– A może zostaniemy z nim trochę... aż się uspokoi – zasugerowała.

– Nie jest pani zmęczona? – zapytał Jonathan, ziewając.

– Jestem, ale jeżeli Uri znowu pójdzie za nami i będzie płakał całą noc, nie zmruję oka. Zbudził mnie z głębokiego snu.

– A jak się pani czuje? Ból głowy ustał?

– Tak.

Arabella zauważyła, że w nocnym chłódzie zagrody wielbłądy nie cuchnęły aż tak bardzo, jak w upalny dzień.

– Nie jest pani zimno, tylko w nocnej koszuli i szlafroku?

Patrzył na nią uważnie. Nie mógł nie zauważyć, jak bardzo się zmieniła od przyjazdu do Marree. Rysy jej twarzy złagodniały, częściej się uśmiechała. Słoneczne oparzenia już schodziły, a z głosu zniknął jęklivy ton. Poza tym na solidnych posiłkach Maggie nawet trochę utyla.

Zarumieniła się pod wpływem jego spojrzenia. Nigdy tak na nią nie patrzył.

– Nie, ani trochę – odparła i ponownie zwróciła się w stronę małego Uriego.

Szli teraz pomiędzy uwiązanymi samicami w nadziei, że wielbłądziątko przytuli się do którejś z nich i tak zostanie; niestety, nadal trzymało się Arabelli.

– Trzeba będzie obudzić Paddy’ego, może on coś poradzi – z rezygnacją powiedział w końcu Jonathan.

– Ale... to będzie wstyd – stwierdziła Arabella, podczas gdy wielbłądziątko ocierało główkę o jej ramię.

– Cóż, nie mamy innego wyjścia. Zwierzak przyzwyczał się do pani.

Arabella milczała, ale w gruncie rzeczy była głęboko wzruszona. Była pewna, że wielbłąd wyczuł, że są w takiej samej sytuacji, i dlatego chciał się znaleźć blisko niej. Ale przecież nie mogła siedzieć z nim całą noc! Chyba nie było wyjścia, trzeba było obudzić Paddy’ego.

Nagle usłyszeli szcęk strzelby.

– Kto tam? – spytał ktoś w ciemnościach.

– Paddy! To ty? – Jonathan rozpoznał jego głos. Przepchnął się przez stado wielbłądów i po drugiej stronie ujrzał Paddy’ego. Był zaspany, jakby go dopiero co obudzono. – Hej, odłóż tę strzelbę! – zawołał, kiedy zauważył karabin wycelowany prosto w swój brzuch.

Paddy opuścił lufę.

– Co ty tutaj robisz? – spytał Jonathan, który zauważył składane łóżko przykryte kocem.

– Pilnuję swoich wielbłądzic, przede wszystkim strzegę ich przed dzikimi samcami, które mogą je porwać – odparł Paddy.

W tym momencie zauważył stojącą za Jonathanem Arabellę.

– A co wy oboje tu robicie?

– Przeprowadziliśmy z powrotem Uriego.

– Z powrotem? Skąd?

– Kręcił się obok hotelu i piekielnie ryczał.

Paddy był zdumiony, że wielbłądziałko opuściło towarzystwo samic. Nadal był tak zaspany, że nie bardzo do niego docierało, kiedy Arabella mu powiedziała, że wielbłądziałko płakało pod jej balkonem!

– To bardzo dziwne – stwierdził. – Przedtem, kiedy zdarzało mi się stracić samicę, niemowlę zazwyczaj przytulało się do innej albo do mnie. A Uri przecież panią widział zaledwie przez parę minut, więc aż trudno uwierzyć, że poszedł za panią.

– Naprawdę pan tak sądzi? – Arabella w głębi duszy czuła się zaszczyczona.

– Chyba chce być blisko pani – stwierdził Paddy, patrząc, jak Uri znów ociera główkę o jej ramię.

Kiedy Paddy uwiązywał małego wielbłąda, Arabella i Jonathan życzyli mu dobrej nocy i ruszyli z powrotem do hotelu. Mały Uri natychmiast zaczął żałośnie beczeć. Arabella myślała, że serce jej pęknie, ale co miała począć? Łzy jej napłynęły do oczu, ale szybko je otarła w nadziei, że Jonathan nie zauważy, jaka jest wzruszona.

Kiedy dotarli do hotelu, Arabella czym prędzej pobiegła na górę, szybko dziękując Jonathanowi i życząc mu dobrej nocy. Zamknęła drzwi, nie czekając na jego odpowiedź. Już w łóżku doszła do wniosku, że i tak nie zaśnie; nawet zdawało się jej, że ciągle słyszy żałosne beczenie Uriego. Przez to jeszcze bardziej zatęskniła za matką.

Następnego ranka znowu usłyszała płacz wielbłądziałka.

Była ósma rano. Zaskoczyło ją to, bo miała zamiar wstać wcześniej, żeby się pożegnać z państwem Quiggley i McKenzie. Niestety, zasnęła. Goście planowali wyjechać już o świcie, żeby pokonać jak największy dystans, zanim nie będzie za gorąco.

Wyszła na balkon, pewna, że Uri jest pod nim i głośno beczy.

– Uri! – zawołała. – Co ty tu robisz?

Ubrała się jak najszybciej i zbiegła na dół. Wielbłądziałko natychmiast podbiegło do niej. Po chwili pojawił się zdenerwowany Paddy: usiłował uwiązać na sznurze małego, ale zwierzątko mu umykało.

– Jak tylko rano go odwiązałem, uciekł – skarżył się Paddy. – Nie wiem, co go tak ciągnie do pani, ale chce po prostu być blisko!

Znowu spróbował uwiązać zwierzę na powrozie, ale maluch schował się za plecami Arabelli.

– Może pani spróbuje go złapać – zaproponował Paddy, podając jej sznur.

– O nie, nie mogłabym tego zrobić! – zaprotestowała Arabella.

– Dlaczego? Podchodzi blisko do pani, to powinno być łatwe.

Arabella czuła, że nadużywa zaufania małego wielbłąda, ale jak miała to wytłumaczyć Paddy'emu? To by zabrzmiało po prostu głupio!

– A może... zaprowadzę go do stajni hotelowej? – zaproponowała.

– Dobry pomysł. Wtedy go uwiążę – ucieszył się Paddy.

– Mogłabym się nim opiekować, o ile dostarczysz mi mleko i w ogóle to, co on je.

– Przecież nie chciałaby pani mieć z nim kłopotów – ze zdziwieniem odparł Paddy.

Arabella zaczęła się czuć odpowiedzialna za opiekę nad małym wielbłądem. Jego ogromne piwne oczy patrzyły tak smutno!

– Nie przeszkadza mi to – odparła, myśląc cały czas, jak to maleństwo musi tęsknić za matką. – Inaczej będzie tu ciągle wracał.

– A co powiedzą Tony i Maggie na wielbłąda w ich stajni?

– O, jestem pewna, że nie będą mieli nic przeciwko temu, pod warunkiem, że będę pilnowała czystości – odpowiedziała Arabella z całkowitym przekonaniem (choć w duchu nie była tego nawet w



połowie pewna).

Paddy poskrobał się w głowę.

– Muszę wracać, trzeba nakarmić inne wielbłądy – wyjaśnił. – Jak tylko znajdę czas, przyniosę mleko dla małego Uriego.

– Doskonale!

Arabella dopiero teraz zrozumiała, w co się wpakowała.

– Zobaczymy się w stajni! – zawołała.

Paddy odbiegł czym prędzej. Wielbłądziałko nawet nie zrobiło kroku, żeby za nim pójść. Wobec tego Arabella ruszyła w kierunku stajni; była ciekawa, czy Uri pójdzie za nią. Wahał się dosłownie chwilę, po czym ruszył za Arabellą z żalonym pobekiwaniem.

W jednym z czterech boksów stajni stał koń Stuarta Thompsona, zatem Arabella zaprowadziła wielbłądziałko do boks obok kłaczy, w nadziei, że kiedy będzie mieć towarzystwo, uspokoi się. Kiedy wszedł za nią do boks, zamknęła furtkę, po czym wdrapała się na płotek i usiadła na nim.

Przez chwilę Uri rozglądał się po boksie, oszołomiony. Czuł jeszcze zapach koni Quiggleyów i McKenzich, które niedawno stąd wyjechały.

– Nie bój się – uspokajała go Arabella. – Będę niedaleko!

Przez chwilę drapała zwierzątko po głowie, kiedy spostrzegła Aborygenki stojące w pobliżu tylnego wyjścia z hotelu. Rita wzywała Maggie.

Arabelli przyszło na myśl, że prawdopodobnie Rita nie wie, że Maggie jest chora, zatem podeszła do nich dowiedzieć się, czego chcą.

– Gdzie jest pani? – spytała Rita.

– Chyba jest jeszcze w łóżku – odparła Arabella. – Źle się czuje.

– Coś jej jest złego? – zmarszczyła brwi Rita.

Groźny wygląd Rity zawsze sprawiał, że Arabella miała ochotę przed nią uciec. Mimo to pozostała na miejscu. Wiedziała, że kobiety były bardzo przywiązane do Maggie, a teraz stały tu, najwyraźniej zaniepokojone.

– Właściwie nie jestem pewna, co to jest... Cały czas jest jej niedobrze – odrzekła. – Przez dwa dni mdlała, więc Tony kazał jej odpoczywać w łóżku. Ale dzisiaj, jeżeli się tylko poczuje lepiej, jestem pewna, że wstanie. Jeżeli chcecie, powiem jej, że tu byliście i pytałyście o nią.

Rita patrzyła na Arabellę wzrokiem, który dziewczynie wydał się podejrzliwy, ale nic nie powiedziała. Odeszła, a Lily i Missy pospieszyły za nią.

„Dziwne” pomyślała Arabella. Uri znowu głośno beczał i bała się, że Tony go usłyszy, poszła zatem poszukać właściciela hotelu. Chciała mu powiedzieć o wielbłądzie i wytłumaczyć, co się dzieje, zanim sam znajdzie Uriego w stajni. Kiedy ujrzała Tony’ego, rozmawiał z jakimś mężczyzną w mundurze. Stali w cieniu, pod balkonem, który się ciągnął wzdłuż frontu i boków domu.

– Przepraszam – przerwała ich rozmowę. – Chciałabym z tobą porozmawiać... za chwilę. Zaczekam w barze.

Na dźwięk obcego głosu mężczyzna w mundurze się odwrócił.

– Dobrze, Arabello – odparł Tony. – To posterunkowy Higgins. Stacjonuje w mieście.

– Och, witam... – rzekła.

Ucieszyła się z powrotu posterunkowego do miasta. Ostatnio co prawda nie widziała Wally’ego Jacksona, ale jeszcze ciągle się go bała.

– Terry, to jest Arabella Fitzherbert – przedstawił ją Tony. – Będzie u nas przez jakiś czas. – Początkowo miał zamiar opowiedzieć Terry’emu o nowym, niespodziewanym gościu, ale rozmawiali o Maggie, więc jeszcze nie zdążył poruszyć tego tematu.

– Skąd pani jest? – spytał policjant.

– Z Anglii... a właściwie z Londynu.

Terry się zmieszał, a z natury miał dociekliwy umysł, przydatny w jego zawodzie.

– Nie mam nic przeciw naszemu miasteczku, ale wybrała sobie pani dosyć dziwne miejsce – zauważył. – Jest tu pani z rodziną?

– Jestem tu bez rodziny, ale nie z wyboru – wyjaśniła Arabella. – Zostałam tu, bo mój pociąg odjechał i mnie zostawił.

Terry zmarszczył brwi.

– Jak to się stało?

– Właściwie nie zostawił mnie w Marree... Pociąg zatrzymał się dobry kawałek drogi stąd, bo na torach leżało jakieś zabite zwierzę... a ja wysiadłam i pośliznęłam się... skręciłam nogę w kostce. Próbowałam wstać, a tymczasem pociąg odjechał... beze mnie.

– Dobry Boże! – wyjąkał Terry. Ze zdumienia szczeka mu opadła. – Rzeczywiście... Spotkałem Aborygenów, którzy mówili mi o dziewczynie znalezionej na pustyni. To musiała być pani!

– Co takiego? – spytała zaskoczona Arabella.

– No, rozmawiałem w Lyndhurst z kilkoma Aborygenami, którzy słyszeli od innych Aborygenów o jakiejś dziewczynie, którą znaleźli członkowie klanu Arrernte. Musieli mówić o pani!

– Tak, to prawda – potwierdziła Arabella.

– Nie wiedziałem, czy mam uwierzyć w ich opowiadanie. Na ogół mówią prawdę, ale...

No tak, ich opowiadanie było naprawdę dziwne. Serdecznie się uśmieł, kiedy opisywali młodą dziewczynę i uznał, że to, co mówią, jest zanadto naciągane, by mogło być prawdziwe.

– Czy pan myśli, że moi rodzice wyślą Aborygenów, żeby mnie szukali? – spytała Arabella, z nagłym entuzjazmem, uszczęśliwiona, że jej rodzice nie będą się musieli o nią długo martwić.

– Chwileczkę! A dlaczego pani wysiadła z pociągu w samym środku głuszy? – spytał.

– Ja... chciałam zerwać... dziki kwiat... – Arabella spłonęła rumieńcem. Wtedy to nie wyglądało na głupi pomysł, ale teraz zabrzmiało naprawdę idiotycznie. Terry otworzył szeroko oczy.

Trudno mu było uwierzyć, jak nierozważni bywają niektórzy ludzie.

– Nigdy przedtem nie widziałam tak egzotycznego kwiatu, a pociąg stał już od jakiegoś czasu – broniła się Arabella pod oskarżycielskim wzrokiem Terry'ego. – Jestem pewna, że kiedy pociąg już dojechał, moi rodzice musieli się zorientować, że mnie nie ma w środku. Pewnie nie wiedzieli, co o tym myśleć.

– Wątpię, żeby ktokolwiek wiedział. Pewnie uznali, że wypadła pani z pociągu. Mogli dojść do wniosku, że w nocy otworzyła pani niewłaściwe drzwi. Raczej nie ma innych możliwości, kiedy ktoś znika w taki sposób!

O tym nie pomyślała.

– Prawdę powiedziawszy, panno Fitzherbert, władze kolejowe z pewnością nie miały nawet cienia nadziei, że pani przeżyła. Tak że wątpię, żeby wynajęli kogoś, kto miałby pani szukać. – Głos policjanta złagodniał. Tłumaczył jej dalej: – Nawet bardzo odporny Europejczyk nie może przetrwać na pustyni bez wody dłużej niż czterdzieści osiem godzin, a co dopiero taka szczupła osoba jak pani.

– Moi rodzice wierzą, że żyję! Wyślą kogoś na poszukiwania. Pewnie mój ojciec nawet sam to zrobi!

Terry wiedział, że władze nie pozwoliłyby nikomu na taki krok.

– Żeby dojść tu piechotą, trzeba miesięcy. Naprawdę to niesamowite, że pani żyje!

– Wie pan przecież, że przyprowadzili mnie Aborygeni. Znaleźli dla mnie wodę, inaczej bym przepadła.

Już tyle razy jej mówiono, że przeżyła cudem, i w końcu sama uznała, iż miała ogromne szczęście.

Zaczerwieniła się na wspomnienie tego, jak się zachowywała wobec Aborygenów.

– Rzeczywiście wspominali o tym, panno Fitzherbert. Miała pani fart – zgodził się Terry; zdjął kapelusz i podrapał się w głowę, pokrytą czupryną tak jasnych włosów, że niemal białą.

Znał przecież inne przypadki, kiedy ludzi odnajdywano... cóż, kiedy ich los był całkowicie odmienny. Postanowił jednak to przemilczeć.

– Wiem – przyznała z powagą. Ta świadomość dodała jej nowych sił i wiary, jakiej dotychczas nie odczuwała. – Moi rodzice będą mieli nadzieję, aż w końcu mnie znajdą, albo aż zyskają niezbite dowody, że nie żyję; a to się nie wydarzy, bo jestem tutaj! Żywa i zdrowa – dodała odważnie.

– Jestem pewien, że policja w Alice Springs będzie ich przekonywała, iż pani szczątki nigdy się nie odnajdą. Po pustyni się włóczy tyle wygłodniałych psów dingo! Poza tym są tam mrówki i inne dzikie zwierzęta...

– Rozumiem – przerwała mu Arabella. – Nie musi mi pan tego tłumaczyć. – Dostała gęsiej skórki na myśl o losie, jaki mógł ją spotkać. – Chciałam pojechać do Alice Springs na wielbłądzie – rzekła. – Ale nikt stąd mnie nie zabierze... – Miała cichą nadzieję, że Terry cieszy się wśród poganiaczy wielbłądów pewnym autorytetem.

Ta wiadomość zaskoczyła policjanta, natychmiast jednak przyszło mu do głowy, że poganiacze musieli mieć jakiś powód, by odmówić.

– Nie ma sensu ryzykować życia – rzekł. – Nie teraz, kiedy Bóg dał pani kolejną szansę.

– Tylko że rodzice cierpią niepotrzebnie – zauważyła gorzko Arabella. – A gdyby ktoś z pana rodziny w cudowny sposób ocalał ze strasznego niebezpieczeństwa, czy nie chciałby pan o tym wiedzieć?

– Rozumiem pani punkt widzenia, ale co się stanie, jeżeli pani pojedzie do Alice Springs na wielbłądzie, a tymczasem pociąg zacznie kursować i przyjedzie tu, na południe... Wtedy się rozminiecie!

– Ma pan rację – przyznała Arabella. W tym, co mówił, było dużo sensu. Nikt przecież nie wiedział, kiedy pociąg zacznie kursować. – Może będzie lepiej, jeżeli zostaną tutaj...

Arabella pomyślała poza tym o Maggie i o małym wielbłądzie. Uznała, że teraz jest w Marree naprawdę potrzebna. Nagle wydało się jej, że znowu słyszy płacz małego.

– Przepraszam! – zawołała, przestraszona. Złękła się, że Tony znajdzie malucha, zanim ona mu wytłumaczy, a nie chciała tego robić w obecności młodego policjanta.

– Zdaje się, że chciałaś ze mną o czymś pomówić, Arabello? – chciał wiedzieć Tony.

Zerknęła na Terry'ego.

– To... może poczekać – rzuciła i uciekła.

Tony patrzył na Terry'ego, zmieszany.

– Uderzyła się może w głowę? – ze złośliwym uśmiechem zasugerował Terry.

– Pewnie tak... – Tony potrząsnął głową.

– A dlaczego żaden z poganiaczy wielbłądów nie chciał jej zawieźć do Alice Springs? – dopytywał się Terry.

– Bo nazwała ich wielbłądy: „śmierdzącymi stworzeniami”.

Terry wybuchnął śmiechem.

– Gdyby im powiedziała, że to oni śmierdzą, pewnie by jej wybaczyli... ale nie ich wielbłądy!

– A co ci Aborygeni mówili o niej?

Tony za dobrze znał Terry'ego, żeby wiedzieć, że nie wszystko opowiedział Arabelli.

– Mówili, że ta dziewczyna, którą znaleźli, straciła rozum. Opisywali ją bardzo zabawnie. Myślałam, że przesadzają. Nie powiedzieli mi, do jakiego miasta ją przyprowadzili, ale uznałem to za dobry znak. W każdym razie na pewno nie miałem zamiaru szukać opisanej przez nich kobiety. Ona naprawdę nie ma pojęcia, jakie miała szczęście, że ludzie z plemienia znaleźli ją stosunkowo niedaleko miasta i przygnali

tutaj. Mogli ją zatrzymać i zrobić z niej niewolnicę. To się już nieraz zdarzało.

Tony nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Z pewnością nie chciałyby nią być! – rzekł. – Mimo to żal mi bardzo jej matki i ojca.

– No, teraz to już na pewno uważają, że ich córka nie żyje. – Terry spuścił głowę. – W każdym razie,

kiedy pociąg znowu ruszy, ich cierpienie się skończy.

– Kto wie, kiedy to będzie... – zamyślił się Tony.

– Pewnie twój interes na tym cierpi? – spytał Terry po krótkim milczeniu.

– Uhm... – przyznał Tony. Starał się o tym nie myśleć.

– Poza zagubionymi dziewczętami na pustyni jest spokojnie?

– Tak. Parę dni temu przejeżdżali tędy postrzygacze owiec. Zaczęli się bić i o mały włos zrujnowaliby mi cały hotel, dopiero Arabella zaczęła grać na fortepianie i zmieniła ich wszystkich w łagodne owieczki.

– Nie mów! – Terry nie mógł w to uwierzyć.

– Stary, musiałbyś to widzieć, wtedy byś uwierzył.

– Chciałbym, naprawdę!

– Zeszłego wieczoru grała dla Phila oraz Moiry Quiggleyów i dla McKenzich. Jest bardzo dobra.

– Nie mogę się doczekać, żeby ją usłyszeć...

– Muszę iść do moich obowiązków. Dobrze, że wróciłeś, stary.

Tony potrząsnął ręką Terry'ego.

– Pewnie. Dobrze być znowu w domu, Macca. – Terry odwrócił się, żeby odejść.

– Aha, stary! – zatrzymał go Tony. – Słyszałem, że zalecasz się do jednej z córek Oldfielda?

Terry podrapał się po głowie.

– Na litość boską! Tutaj w buszu nie da się niczego utrzymać w tajemnicy – roześmiał się.

– Nic nie działa lepiej niż „telegraf z buszu” – rzekł Tony, wchodząc do hotelu.

Kiedy ponownie pojawił się na podwórku, żeby dać jeść kurczętom, zerknął w kierunku stajni. Zobaczył małego wielbłąda i Arabellę. Wydało mu się, że ma halucynacje!

– Co on tu robi? – spytał.

Dziewczyna nie słyszała, jak podchodził, więc podskoczyła ze strachu.

– Tony! Przestraszyłeś mnie! – zawołała, trzymając się za serce.

– Skąd się wziął w mojej stajni? – powtórzył.

– Chciałam ci o nim powiedzieć – wyznała cicho.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem, kiedy dostrzegł, że głaszcze zwierzę.

– Myślałem, że nie cierpisz wielbłądów.

– Tak... No... nie wszystkie. Ten biedak... jego matka uciekła na pustynię, a on tak za nią tęskni!

– A czy on nie należy do któregoś z Afgańczyków?

– Tak. Do Paddy'ego Khana.

– Więc dlaczego jest tutaj?

– Bo... ciągle mnie szuka. Zeszłej nocy obudził mnie, a dzisiaj rano płakał pod moim balkonem. Nie słyszałeś go?

Tony zmarszczył brwi, zmieszany.

– Byłem taki wykończony, że nie słyszałem dosłownie nic!

– Zesłałam do niego na dół, ale nie przestawał. Razem z Jonathanem odprowadziliśmy go do Paddy'ego Khana w środku nocy... ale kiedy tylko Paddy następnego dnia rano go odwiązał, wielbłąd znów tu wrócił. Chyba chce być blisko mnie. Paddy tego nie rozumie, ale ten wielbłąd z jakiegoś powodu przywiązał się do mnie.

– Nie możemy go trzymać. Paddy będzie musiał go zabrać.

– Ja... dopilnuję, żeby stajnia była czysta! I będę się nim zajmowała. Ty nie musisz niczego przy nim robić!

– Masz dość roboty, pomagając Maggie. Powiedz Paddy'emu, żeby go zabrał, Arabello Fitzherbert!

Z tymi słowami odmaszerował. To, że użył jej nazwiska, podkreślało, jaki był niezadowolony. W oczach Arabelli stanęły łzy.

– Jak on może mieć takie bezduszne serce? – jęknęła głośno.

Paddy pojawił się wkrótce, niosąc dla Uriego dużą, dziwnego kształtu butelkę z pieniącym się mlekiem. Na butelce był bardzo długi smoczek.

– Nie mogę go tu trzymać – rozplakała się Arabella. – Tony mi nie pozwala!

– Przypuszczałem, że nie będzie zadowolony – stwierdził Paddy i podał butelkę małemu.

Kiedy zwierzątko ssało, piana z mleka spływała mu po brzuszku. Gdy skończyło pić, Paddy założył mu sznur na szyję i wyprowadził z boksu. Tym razem Uri szedł spokojnie, tylko raz obejrzał się za Arabellą.

Dziewczyna poszła na górę, do pokoju Maggie. Zapukała do drzwi. Maggie jej otworzyła. Wyglądała blado, ale była ubrana.

– Jak się dzisiaj czujesz? – spytała Arabella.

– Trochę lepiej. W każdym razie nie kręci mi się w głowie.

– Chcesz, żebym zrobiła ci grzanekę?

– Już godzinę temu Tony przyniósł mi herbatę i grzanekę, zaraz po tym, kiedy nasi goście wyjechali. Nie mogę dłużej tu siedzieć. Schodzę na dół.

– Nie powinnaś się tym przejmować – poradziła jej Arabella.

– Płakałaś? – zdziwiła się Maggie na widok jej zaczerwienionych oczu.

– Ja... tak... trochę.

– Co się stało?

– Nic... rano był pełen emocji. Ale już wszystko dobrze.

Maggie przechyliła głowę na bok.

– Powiedz mi, co się stało?

Dziewczyna powiedziała Maggie o małym wielbłądźciaku i o tym, jak się do niej przywiązało. Uważała, że robi dobrze, opowiadając, że Uri rozumie, iż jest w takiej samej sytuacji.

– Chciałam się nim zaopiekować, ale Tony kazał go odesłać. Uri na pewno tu wróci. Wiem. Tęskni za swoją mamą tak samo jak ja tęsknię za moją!

– Pogadam z Tonym. A jeżeli wielbłąd znowu wróci, poproszę, żeby pozwolił ci zaopiekować się nim, aż jego matka się znajdzie.

– Och, Maggie! Dziękuję!

– Nie widzę w tym nic złego, ale czasami Tony potrafi być uparty jak osioł. No cóż... to mężczyzna, więc czego możemy się po nim spodziewać?

Arabella się uśmiechnęła. Maggie często robiła podobne uwagi, niemniej było jasne, że kocha swojego męża.

– Rita, Lily i Missy cię szukały!

– Och, naprawdę?

– Powiedziałam im, że źle się czułaś, ale że dzisiaj na pewno wstaniesz.

– Dziękuję. To chyba nie było nic ważnego, bo inaczej zaraz by wróciły.

– Wiesz, nadal mi się wydaje, że powinnaś spotkać się z lekarzem. Moira mi powiedziała o jednym, który jeździ do chorych i czasem wpada do miasta. Gdyby tu był, mogłabyś do niego pójść...

Maggie wyglądała nieswojo.

– Doktor Roberts jest stale taki zajęty... no, ja zresztą też.

Ruszyła do drzwi, Arabella za nią. Dziewczyna starała się obserwować Maggie, żeby w razie czego jej pomóc. Co więcej, o ile doktor przyjedzie do miasta, uznała, że Maggie koniecznie musi go odwiedzić.

Maggie ścierała stoły w jadalni, kiedy Arabella przez okno w kuchni zobaczyła Ritę, Lily i Missy.

Już miała wyjść i powiedzieć im, że Maggie wstała, kiedy kątem oka dostrzegła Tony'ego. Rita podała coś mężczyźnie. Zaciekawiona Arabella podeszła do okna i schowała się za zasłonkę, by słyszeć, o czym mówią.

– To sprawi, że pani poczuje się lepiej – mówiła Rita. – To z korzeni takiej jednej rośliny. Bardzo dobre lekarstwo.

– Dopilnuję, żeby je zażyła – zapewnił Tony.

Kiedy Arabella stanęła w drzwiach, Rita i pozostałe kobiety umknęły. Myśląc, że Tony wejdzie do środka, żeby dać Maggie lekarstwo, Arabella się cofnęła. Kiedy znów wyjrzała przez okno, Tony siedł właśnie w głąb podwórza do sterty drewna, a później wylał lekarstwo na ziemię!

Zaniemówiła. Czyżby nie chciał, żeby Maggie poczuła się lepiej? Nie wiedziała, co robić. Tony podniósł siekierę i zaczął rąbać drzewo. Wydawał się zagniewany, a może sfrustrowany? Arabella obserwowała go. Przez głowę przelatywały jej najrozmaitsze myśli. Dotychczas wierzyła, że Tony kocha Maggie, ale teraz już nie była tego taka pewna.

– Czemu się tak przyglądasz? – spytała ją Maggie.

Arabella podskoczyła ze strachu. Nie słyszała, kiedy kobieta weszła do kuchni.

– Ja... niczemu. Zdawało mi się, że słyszę Ritę, ale musiałam się pomylić – wybąkała. Serce jej waliło.

– Arabello! Naprawdę nic ci nie jest? Zbladłaś okropnie.

– Nie, nic mi nie jest.

Nagle przyszło jej do głowy, że Tony i Maggie nie ufają lekarstwom ludzi z buszu. Może uważają, że są szkodliwe? To musiał być powód! Ale chciała być zupełnie pewna.

– Maggie, mogę cię o coś spytać?

– Naturalnie. O co?

– Czy Aborygeni wyrabiają leki?

– Tak! I w dodatku bardzo dobre. Byłabyś zdziwiona, słysząc, jaką mają wiedzę o roślinach i o tym, co one mogą zdziałać.

– To znaczy, że wierzysz w ich lekarstwa?

– Tak. Stosowałam je, podobnie jak większość ludzi, którzy mieszkają w buszu. Niedawno Wally miał okropny ból zębów; Rita dała mu jakiś korzeń i zaraz mu przeszło. Był zachwycony.

– A Tony? Wierzy w ich leki?

– Tak samo jak ja uważa, że warto próbować. Chyba ci mówiłam... kiedyś złamałam nogę i wdała się gangrena. Właśnie lekarstwo aborygeńskie mi ją uratowało... Ale co ci jest? Potrzebujesz czegoś od Rity?

– Nie, tylko byłam ciekawa...

Arabella czuła się zbita z tropu, jak nigdy dotąd. Doszła do wniosku, że Tony nie chce, żeby Maggie lepiej się poczuła. Ale dlaczego?

Cały dzień milczała. Ledwie tknęła jedzenie. Ciągle myślała o tym, co zrobił Tony. Chciała wyznać wszystko Maggie, ale nie mogła. Gdyby coś takiego zrobiła, Tony z pewnością wyrzuciłby ją z hotelu.

Kiedy wybiła siódma, Maggie była znużona i chciała odpocząć. W barze siedzieli Wally i Les, ale

oznajmiła im, że dzisiaj nie będzie podawać kolacji. Jonathan wczesnym rankiem wybrał się z Paddym na oglądanie miejsc, które chciał sfotografować, i jeszcze nie wrócił, podobnie Stuart Thompson. Na kolacji byli więc tylko we trójkę. Maggie szykowała im grzanki z jajkami, a Arabella jej pomagała. Kiedy Maggie poszła do łóżka, dziewczyna nie chciała zostać z Tonym, więc czym prędzej pobiegła do siebie.

Około dziewiątej wieczorem usłyszała, że Jonathan wchodzi po schodach i idzie do siebie. Nadal nie spała, a o jedenastej usłyszała zawołanie małego Uriego. Wstała i wyszła na balkon. Maluch stał pod balkonem w kurzu ulicznym i płakał.

– Uri! Co ty tu robisz? – zapytała.

Z jednej strony było jej miło, że go widzi, i była wzruszona, że się do niej przywiązał, ale z drugiej niepokoiła się, co też Tony powie, kiedy go zobaczy.

Zbiegła po schodach i cichutko wyszła na dwór.

– Uri, nie wolno ci tu przychodzić... – rzekła. Mały wydał pełen uczucia bek i szturchnął jej ramię. Patrzyła w jego ogromne brązowe oczy i serce jej topniało. – Co mam z tobą zrobić? – jęknęła. Nie chciała znowu budzić Jonathana, a sama nie miała odwagi zabierać małego do zagrody, więc odprowadziła go do stajni. Pamiętała, że Maggie obiecała porozmawiać z mężem.

Tony wysprzątał boksy i nałożył świeżą słomę, więc Arabella się tam ułożyła. Jakież było jej zdumienie, kiedy Uri ukląkł obok niej. Głaskała go i pieściła; opowiadała o swoim życiu w Anglii... To było cudowne, móc mówić o tym wszystkim. Mały wielbłąd słuchał spokojnie, patrząc na nią ogromnymi, niewinnymi oczyma... Była pewna, że jej głos działa na niego jak balsam...

– Czy mi się zdawało, czy kogoś usłyszałem? – rozległ się nagle męski głos. – Co pani tu robi?

Arabella aż podskoczyła ze strachu.

– Och, Stuart! Wystraszył mnie pan. – Już miała wyjaśnić, że mówiła do małego wielbłąda, ale zrozumiała, że to zabrzmiałoby trochę dziwacznie. – Mówiłam... do siebie – wyznała.

– I ja tak czasem robię – odparł Stuart. Wprowadził Bess do boksu. Zdjął z klaczy siodło. – To normalne. – Oparł się o ścianę boksu, w którym była Arabella, i pokazał białe zęby w serdecznym uśmiechu. – Ale widzę, że nasz mały koleżka znowu tu wrócił! Oj, myślę, że to z nim pani rozmawiała.

Arabella się uśmiechnęła.

– Tak. Zostałam z nim, żeby go uspokoić – wyjaśniła. – Jak panu minął dzień w podróży? Z sukcesem? – pytała, kiedy Stuart podawał Bess paszę i wodę.

– Tak, istotnie. – Zostawił konia i zwrócił się do Arabelli. – Nie ma pani nic przeciwko, że jej przez chwilę potowarzyszę?

– Nie, może pan nawet usiąść z nami... jeżeli ma pan ochotę. – Wskazała siano.

– Bardzo dziękuję. Chętnie. – Otworzył furtkę boksu i usiadł obok małego wielbłąda. Następnie ujął rękę Arabelli.

Jego bliskość tak zdenerwowała Arabellę, że nagle zabrakło jej kompletnie tematów do rozmowy.

– Ma pani w Londynie narzeczonego? Przyjaciela? – otwarcie spytał Stuart.

Dziewczyna była skonsternowana.

– Nie... – wyjąkała.

– Trudno w to uwierzyć.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Moim zdaniem chłopcy ustawiali się do pani w kolejce!

Arabella zauważyła, że jej ewentualnych konkurentów nazwał chłopcami, i uznała, iż uważa ją za bardzo młodą. Nie spodobało się jej to.

– Nie interesuję się chłopcami – stwierdziła dosadnie. – Są niedojrzali, jak na mój gust.

Stuart się uśmiechnął. Widział, że jest obrażona użytym przez niego określeniem, i to go rozbawiło.

– O, z pewnością! – zgodził się. – Na chłopców jest pani o wiele za poważna.

Oczy Arabelli zwięziły się. Z tonu Stuarta wywnioskowała, że z niej żartuje.

– Proszę mnie nie traktować protekcjonalnie, panie Thompson! – Jej głos aż drżał z emocji.

– Ależ... broń Boże! – ponownie odparł z uśmiechem. – Jest pani taka urocza, kiedy się pani gniewa... – Palcem wskazującym dotknął czubka jej nosa.

– Dosyć tego! – zawołała, strząsając jego rękę. – I proszę mnie nie nazywać uroczą.

– Czemu?

– Bo to brzmi tak... dziecinnie.

– Stara pani nie jest.

– Nie, ale też nie jestem już dzieckiem.

Znowu się uśmiechnął.

– Wiem. Jest pani młodą kobietą i w dodatku bardzo urodziwą.

Przysunął się do niej, Arabella nagle wstrzymała oddech. Pomyślała o tym, gdzie się znajdują i że wcale nie jest pewna, czy poradzi sobie w takiej sytuacji, biorąc pod uwagę kompletny brak doświadczenia.

Stuart widział, że się zdenerwowała, ale to go nie powstrzymało. Jego wzrok spoczął na jej ustach.

Arabella rozejrzała się bezradnie i nerwowo oblizała wargi. Stuart chciał ją pocałować, spodobał się jej ten pomysł, ale niepokoiło ją, że mężczyzna mógłby się posunąć dalej, a ona nie będzie w stanie go pohamować. Matka ostrzegała ją przed takimi sytuacjami i nalegała, żeby nigdy nie zachęcała mężczyzn, ponieważ takie zachowanie może mieć poważne konsekwencje. Wspominała o tym tak często, że Arabella doszła do wniosku, iż matka musiała się kiedyś znaleźć w podobnej sytuacji, być może z powodu własnej naiwności.

– O co chodzi, Arabello? – spytał Stuart, widząc jej niepokój.

– Nic – odparła niepewnie.

– Wiesz, że chcę cię pocałować? – spytał szeptem.

– Tak, wiem – odparła. – Ale to chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Proszę pamiętać, gdzie jesteśmy! – objaśniła, spanikowana.

– W stajni? – Stuart był zbity z tropu. O czym ona myśli?

– No właśnie! – zakończyła Arabella. Odwróciła się, by pogłaskać małego Uriego.

– Czujesz się niepewna, bo jesteśmy w stajni? Sami? W świetle księżyca?

W głosie Stuarta brzmiało rozbawienie i Arabella je wyczuła.

– No... właściwie tak... – przyznała, nadal odwrócona do niego tyłem. – Sprawy mogą wymknąć się spod kontroli. – Nie miała ochoty mówić, że wiedziony emocjami mógłby posunąć się za daleko.

Stuart się roześmiał.

– To takie śmieszne? – spytała urażonym tonem.

Stuart próbował stłumić wesołość.

– Mogę cię zapewnić, że nie posunę się dalej niż do jednego króciutkiego pocałunku – powiedział. – Umiem się kontrolować.

Wykazała się brakiem doświadczenia. Wiedziała, że większość młodych kobiet w jej wieku przeżyło swój pierwszy pocałunek na długo przed ukończeniem dziewiętnastu lat, ale Arabella była chowana pod kloszem; jej rodzice mieli dość zasadnicze poglądy na to, co wypada młodej damie.

– Och... rozumiem... – wybąkała.

Stuart przysunął się jeszcze bliżej.

– A teraz? Pozwolisz mi się pocałować? – spytał.



Już to, że o to zapytał, wystarczyło, by Arabelli zabrakło tchu.

„Jakie to romantyczne”, pomyślała.

– Myślę... że tak... – szepnęła. Zaszło jej w ustach.

Stuart uniósł jej brodę. Ich twarze były teraz zwrócone ku sobie. Przez parę chwil wpatrywał się w głębię jej oczu. Czekala z zapartym oddechem, marząc, żeby już było po wszystkim. Nie mogąc dłużej wytrzymać jego spojrzenia, zamknęła oczy. Nie widziała więc uśmiechu Stuarta, zanim jego wargi delikatnie dotknęły jej ust.

Pocałunek wywołał u Arabelli dreszcze. Kiedy ich usta się rozdzieliły, Stuart znowu się uśmiechnął.

– Widzi pani! – oznajmił. – Doskonale się kontroluję.

Ona też nie mogła powstrzymać uśmiechu. To Stuart tak na nią działał i bardzo jej się to podobało. Nie mogła sobie wyobrazić, by można było się na niego gniewać, bo nigdy nie był poważny.

– Może wróci pani do domu? – zagadnął.

– Jeszcze nie – odparła.

– Mam sobie pójść?

Już chciała zaprzeczyć, ale to zachęciłoby go do dalszych działań.

– Tak... lepiej, żeby pan...

– W porządku. Do zobaczenia. – Stuart wstał. – Proszę nie siedzieć tu zbyt długo.

– Dobrze – obiecała. Serce jej waliło.

Po odejściu Stuarta nadal się uśmiechała...

Położyła się na słomie i dalej głaskała futerko wielbłąda.

Następnego ranka Tony wstał bardzo wcześnie i zszedł na dół. Zauważył, że drzwi do pokoju Arabelli są otwarte. Nie dostrzegł jej w pokoju, więc pomyślał, że musiała wyjść do ubikacji. Zajrzał do kuchni i przez okno zobaczył otwarte drzwi do toalety: w środku nie było Arabelli.

– Gdzie ona może być? – spytał sam siebie. Wtedy coś mu przyszło na myśl. Skierował się do stajni.

Dopiero kiedy podszedł całkiem blisko, zobaczył klęczącego wielbłąda i Arabellę śpiącą na słomie. Nie mógł wyjść z podziwu na ten widok. Już miał się rozgniewać, gdy przypomniał sobie, że oboje starcili matki, a wielbłąd wyglądał na zadowolonego z towarzystwa Arabelli.

Na podwórku pojawiła się Maggie.

– Widziałeś Arabellę?! – zawołała do męża.

Podszedł do niej.

– Tak – odparł. – Jest w stajni... ze swoim nowym przyjacielem.

Maggie zmarszczyła brwi, zdziwiona. Tony uśmiechnął się zawadiacko i zaprosił ją gestem.

Kiedy Maggie stanęła przy boksie i zobaczyła, że Arabella śpi na słomie obok małego wielbłąda, też się uśmiechnęła.

# Rozdział dwunasty

---

– Dzień dobry, panie Fitzherbert! – odezwał się sierżant Menner do Edwarda, kiedy wpadł na niego przed hotelem Central.

Nie był w stanie przestać myśleć o Edwardzie i Clarice. Wyobrażał sobie ciągle, jak strasznie cierpią. Niestety, nic na to nie mógł poradzić. Od kilku dni ich nie widział i nawet się niepokoił, czy nie zrobili czegoś nierozsądnego. Natomiast zeszłego wieczoru jeden z jego ludzi zaraportował, że spotkał Edwarda krążącego po mieście, co sierżantowi przyniosło ulgę. Postanowił zatem następnego ranka, jeszcze przed pójściem do pracy, zobaczyć się z państwem Fitzherbert. Modlił się w duchu, by Fitzherbertowie pogodzili się ze stratą córki, rozumiał jednak, że ta sprawa musi się jakoś zakończyć.

– Dzień dobry – sztywno odparł Edward.

– Nie widziałem państwa od paru dni. Jak się państwo mają?

Sierżant uznał, że Edward wygląda trochę lepiej niż podczas ich ostatniego spotkania, kiedy to błąkał się po mieście jak potępiona dusza.

– Dobrze – ostro odparł Edward.

– Bardzo mi przykro, że nie mogłem państwu pomóc i proszę mi wierzyć, że rozumiem państwa zmartwienie... – zaczął sierżant Menner.

– Wątpię – przerwał mu Edward. – Ale niech się pan nami nie przejmuje. Wziąłem sprawy w swoje ręce, Arabella wkrótce do nas wróci!

Sierżant aż się cofnął pod wpływem tych słów.

Nie z powodu aluzji, że źle wykonuje swoją pracę, czego mógł się spodziewać od pogrążonych w żalu rodziców. Rozumiał, że potrzebują kogoś, kogo będą obwiniać za stratę ukochanej córki. Ale głębokie przekonanie Edwarda, że Arabella wkrótce powróci, naprawdę go zaskoczyło.

– Można spytać, dlaczego pan tak uważa?

– Szukają jej zawodowi tropiciele. Zapewnili mnie, że sprowadzą ją z powrotem.

Sierżant zamarł z wrażenia.

– Zawodowi? Tropiciele? – powtórzył.

– Dokładnie tak. Trudno uwierzyć, że nie wspomniał pan o ich istnieniu.

– Kim byli ci ludzie? – spytał mężczyzna.

Już się domyślał, ale chciał mieć pewność.

– Przedstawili się jako Billy, Danny i Charlie. W każdej chwili oczekuję ich powrotu.

Sierżant przymknął oczy z rozpaczą.

– Obawiam się, że ci ludzie już wrócili do miasta, panie Fitzherbert – powiedział.

Edward wpatrywał się w niego przez chwilę z twarzą bez wyrazu.

– Co pan przez to rozumie? Zaraz po powrocie mieli się ze mną skontaktować...

– Może pan ze mną pójść? – spytał uprzejmie sierżant. – Zaprowadzę pana do nich.

Edward nie wiedział, co ma o tym sądzić.

Tymczasem Clarice wychodziła akurat z hotelu, ubrana na przechadzkę; mieli ją odbyć dzisiaj dość wcześnie, nie mogąc już dłużej wytrzymać w swoim pokoju.

– Edwardzie! Są jakieś nowiny? – spytała, widząc, że mąż rozmawia z sierżantem.

– Nie, właściwie nie! – Edward był przerażony. Clarice miała tyle nadziei; oboje ją mieli, więc nie chciał jej tego odbierać.

Żona zauważyła, jak bardzo Edward zbladł, a kiedy spojrzała na sierżanta, domyśliła się, że coś jest

nie w porządku.

– Co się stało? Czy... czy znaleźli ciało Arabelli?

Wyraz twarzy sierżanta nie zwiastował nic dobrego.

– Nie! – zaprotestował Edward. Musi wyjaśnić sprawę, inaczej Clarice tego nie wytrzyma. – Sierżant właśnie mi powiedział, że ci tropiciele, którzy szukali Arabelli, są już z powrotem w mieście.

– Naprawdę? – W głosie żony zabrzmiała nadzieja.

– Może to nie są ci sami ludzie... – pospiesznie dodał Edward. – Tamci zapewniali mnie, że kiedy tylko wrócą, zaraz zgłoszą się z wiadomościami.

– Właśnie miałem zaprowadzić do nich pani męża, pani Fitzherbert – rzekł sierżant.

Clarice patrzyła niepewnie to na jednego, to na drugiego.

– Więc chodźmy – skostatowała.

– Ty zostaniesz tutaj – oznajmił Edward.

Jeżeli to istotnie byli ci sami tropiciele, a wiadomości niedobre, sam wolał z nimi porozmawiać.

– Idę z tobą, Edwardzie – uparła się Clarice. – Gdybym miała siedzieć teraz w czterech ścianach pokoju, zwariowałabym.

Cała trójka w milczeniu ruszyła ulicą, obaj mężczyźni z ciężkim sercem, tyle że każdy z innego powodu. Kiedy dotarli na zakurzony brzeg rzeki Todd, Edward i Clarice spojrzeli na policjanta, oszołomieni.

– Co my tu robimy, sierżancie? – spytała Clarice.

Ten wziął ją pod ramię i pomógł zejść po śliskim nabrzeżu. Edward szedł za nimi.

– Zaraz pani zobaczy, lady Fitzherbert – powiedział sierżant.

Clarice spojrzała na męża, on na nią. Żadne nie wiedziało, co o tym myśleć.

Na przeciwległym brzegu rosły akacje i eukaliptusy; pod nimi siedzieli w kucki Aborygeni. Edward i Clarice zakrywali nosy, kiedy szli za sierżantem. Wybrzeże było pokryte pustymi butelkami i śmieciami. Panował tu straszny fetor.

– Chyba powinienem cię zaprowadzić z powrotem do hotelu – stwierdził Edward. Czuł się okropnie.

– Nie, kochanie, nic mi nie jest – odparła, wyjmując kamyk z pantofla. Musiała tu zostać, byle się czegoś dowiedzieć o Arabelli.

Wreszcie sierżant wypatrzył to, czego szukał, i poprowadził ich do drzew.

Siedziała tam grupka Aborygenów, którzy po kolei popijali rum z tej samej butelki, pewnie w ramach śniadania. Zanim do nich dotarli, pusta już butelka wylądowała na stosie innych.

Edward był oszołomiony: zbladł jak ściana na ich widok. Natychmiast ich rozpoznał. Tak, to byli Billy, Charlie i Danny. Oczywiście kompletnie pijani. Ze sterty pustych butelek, walających się dookoła, i to trunków z najwyższej półki, wywnioskował, że został oszukany. Nie było sensu nawet krzyczeć na mężczyzn, choć miał na to wielką ochotę.

– Czy to tych trzech wysłał pan na poszukiwania? – spytał sierżant. Wskazał na Billy'ego, Danny'ego i Charliego. Leżeli w kurzu, ale na widok sierżanta podnieśli się, wystraszeni perspektywą spędzenia dnia w celi.

Edward przytaknął.

Clarice patrzyła na męża i na tych ludzi, którzy dotychczas nie powiedzieli ani słowa.

– Gdzie moja córka? – spytała Aborygenów.

Edward próbował ją odciągnąć, ale się wyrwała.

– Gdzie Arabella?! – ryknęła. Była na granicy hysterii. – Obiecaliście mężowi, że ją przyprowadzicie!

– Może ich pan zamknąć? – zwrócił się Edward do policjanta.

– Nie – odparł tamten spokojnie. – Prawdopodobnie byli na pustyni, bo jeden z moich ludzi widział ich wczoraj rano, kiedy stamtąd wracali. Wzbudzili jego podejrzenia, bo mieli ze sobą butelki drogich alkoholi. Nie wiem jednak, co robili na pustyni.

Edward spojrzął na Billy'ego.

– Szukaliście mojej córki? – spytał.

– Tak, szef. Szukaliśmy kilka dni, a potem spotkaliśmy jakiegoś tubylca i on nam powiedział o pana córce. Powiedział, że znaleźli białą dziewczynę.

Nadal wierząc w cud, Edward wstrzymał oddech. Słyszał, jak w gardle żony coś lekko zachrypiało.

– Czy ona...? – wyszeptała Clarice z oczyma pełnymi łez.

– Powiedzieli, że była nieżywa, szef – kontynuował Billy. – Znaleźli tylko jej... resztki.

– A gdzie... one są? – spytał Edward, walcząc z nagłymi torsjami.

– Rozsypane po pustyni, szef – stwierdził Billy. Widząc ból na twarzy Edwarda, przez krótką chwilę nawet mu współczuł.

Edward jęknął jak w agonii. Ledwie zdawał sobie sprawę, że Clarice upadła na kolana i że sierzant ją podnosi.

Arabelle obudziło brzęczenie tabunów much. Mrużąc oczy w jaskrawym świetle słońca, zobaczyła, że Uri przesunął główkę przez pręty płotu. Początkowo nie wiedziała, co zwierzę robi, więc wstała. Okazało się, że obwąchuje klacz Stuarta Thompsona, stojącą w sąsiednim boksie, ale – co ją jeszcze bardziej zdziwiło – odkryła, że klacz też jest zainteresowana maluchem. Obserwowała przez parę minut ich zachowanie. Wielbłądziałko wydawało śmieszne, ciche dźwięki, a klacz z czułością obwąchiwała jego główkę. Ta cudowna scena wywołała uśmiech na wargach Arabelli.

Myśl o Stuarcie przypomniła jej ich pocałunek... i uśmiech stał się jeszcze szerszy. Był naprawdę fascynującym mężczyzną! Nagle zapragnęła poznać go bliżej.

Wymknęła się ze stajni na podwórze i weszła do hotelu. Słyszała, jak Maggie i Tony rozmawiają w barze, więc na paluszkach wbiegła na piętro umyć ręce oraz twarz i ubrać się. Cały czas nasłuchiwała, czy wielbłąd nie płacze, ale chyba był cicho.

Po paru minutach była już umyta i ubrana. Szybko przeczesła włosy szczotką.

Na dole schodów wpadła na Maggie.

– Witam! – zawołała Maggie wesoło. – Dobrze spałaś?

Zauważyła źdźbło słomy we włosach Arabelli, ale nic nie powiedziała.

– Tak... dziękuję – odparła dziewczyna, nie chcąc zdradzić, że spała w stajni. – Masz taki radosny głos, Maggie, chyba czujesz się o wiele lepiej?

– Jestem zdrowa jak ryba! I równie silna, bo mam mnóstwo roboty. – Maggie ruszyła w stronę kuchni, ale po chwili stanęła i odwróciła się do Arabelli. – Rozmawiałam z Tonym i zgodził się, żebyś trzymała tego młodego wielbłąda w boksie w stajni, oczywiście pod warunkiem, że w razie czego to miejsce mogą zająć konie naszych gości.

– Bardzo dziękuję, Maggie! – Arabella zniżyła głos do szeptu. – Wiesz, tej nocy Uri znowu tu wrócił...

– Naprawdę? – Maggie usiłowała ukryć uśmiech.

– Tak! A ja się bałam, że Tony znajdzie go w boksie... No, ale skoro mówisz, że się zgadza...

Maggie przyszła na myśl reakcja Tony'ego. Widok dziewczyny śpiącej z małym wielbłądem zmiękczył mu serce.

– Na pewno – potwierdziła.

– To świetnie, bo... nie uwierzysz, co się stało! Uri zaprzyjaźnił się z koniem Stuarta Thompsona.

– Och, ta jego Bess ma taki dobry, łagodny charakter! – zgodziła się Maggie, idąc do kuchni.

Arabella poszła za nią. Patrzyła, jak Maggie wyjmuje z pieca trzy wielkie bochny chleba. Całą kuchnię wypełniał smaczkowy aromat. Maggie zostawiła chleby do wystygnięcia i wzięła miskę, żeby zebrać jajka. Arabella wyszła razem z nią, chcąc jeszcze raz sprawdzić, co robi Uri. Maggie przystanęła przy składziku, żeby nabrać ziarna.

– Możesz dać kurom świeżej wody? – poprosiła Arabellę.

– Oczywiście – powiedziała dziewczyna.

– Może zmienisz wodę kłaczy – ciągnęła Maggie. – Dopilnuj, żeby wielbłąd też się napił.

– Kiedy Paddy zobaczy, że Uri uciekł, przyniesie mu butelkę mleka.

– Aha! Dobrze. – Maggie zabrała się za zbieranie jajek. – Nie znam się na wielbłądach, więc chyba zostawię to na twojej głowie. – Wyszła z kurnika. – Usmażę kilka jajek na śniadanie.

Kiedy Arabella zmieniała wodę, pojawił się Paddy z butelką mleka.

– Tak myślałem, że go tu znajdzie! – powiedział, zdenerwowany. – Ten mały natręt wysliznął się w nocy z uwięzi...

– Przyszedł o północy, ale teraz może tu zostać – radośnie oznajmiła Arabella.

– Jest pani pewna? – Paddy karmił małego mlekiem.

– Maggie musiała przekonać Tony'ego. Powiedział, że wielbłąd może zostać, chyba że boks będzie potrzebny dla koni gości hotelowych...

W tym momencie zdała sobie sprawę, że skoro będzie grała na fortepianie, przyciągnie do hotelu więcej gości, a ci na pewno przyjadą konno, i wówczas Uri będzie musiał ustąpić im miejsca. Poczuli się rozdarta: z jednej strony chciała pomóc Tony'emu i Maggie, z drugiej pragnęła opiekować się Urim do czasu powrotu jego matki.

Paddy robił wrażenie zaskoczonego.

– Wygląda na to, że się tu zadomowił – stwierdził, czujnym okiem oglądając małego i sprawdzając, czy się nie zranił.

– Widziałam rano, że Uri i ta kłacz bardzo się polubili.

Podczas gdy wielbłąd pił z butelki, kłacz oparła głowę na deskach parkanu i przypatrywała się mu. W jej ciemnych oczach lśniło zainteresowanie, uszy miała nastawione. Bess była maści izabelowatej, więc jej ogon i grzywa były prawie białe, a sierść na grzbiecie kasztanowata. Była spokojna i zrównowazona, i miała sto sześćdziesiąt cztery i pół centymetra wysokości w kłębie.

– Chyba go polubiła, prawda? – dodała Arabella.

Paddy nie zdziwił się.

– Bywa, że zwierzęta rozmaitych gatunków nawiązują bardzo silne więzi – objaśnił. – Miałem kiedyś kota, nazywał się Henry; nie odstępował jednej z naszych kur. Można było być pewnym, że będzie tam, gdzie akurat ona grzebała. A kiedy zносиła jajko, stał obok. Kiedy spał, kura siadała przy nim. Czasem nawet jedli z jednej miski. I tak to trwało dziesięć lat. Mieszkałem wtedy w pewnym górniczym mieście, Kalgoolie. Miasto było niebezpieczne, a życie w nim trudne. Więc kiedy kura przestała się nieść, a ja byłem biedny i głodny, zarżnąłem ją i zjadłem.

Arabella patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. Nie mogła uwierzyć, że Paddy potrafił zrobić coś takiego.

– Ale nie wziąłem pod uwagę tego, jak bardzo mój kot będzie zrozpaczony – ciągnął. – Chyba wiedział, co uczyniłem, bo uciekł. Był już też stary. Trochę głuchy i źle widział... myślałem że zginął w buszu. Tymczasem jakiś Afgańczyk, mój znajomy, znalazł go i przyniósł go tydzień później. Był wychudzony i ledwo trzymał się na łapach, ale obszedł cały dom, szukając kury i żałośnie miaucząc. Czuję się okropnie. Akurat wtedy kura mojej sąsiadki wysiedziała kurczęta, więc wyprosiłem od niej jedno. Zdziwiła się, a mi było wstyd, więc żeby zyskać jej współczucie, powiedziałem, że moja kura

zdechła ze starości. Wiedziałem, że gdybym się przyznał, iż ją zjadłem, nie podarowałyby mi kurczęcia. Była pewna, że kot się nie przywiąże do kolejnego kurczaka, i bała się, że Henry go zabije, w końcu jednak podarowała mi jedno pisklę.

– I co? Zjadł je?

– Przez dwa dni nie zwracał na nie uwagi, ale w końcu je zaakceptował. Wszystko mi wybaczył. Od tego starego kota nauczyłem się czegoś bardzo ważnego: że przyjaźń może istnieć ponad wszystkimi różnicami: płci, kultury, religii, koloru skóry, a nawet gatunku. Wszyscy ludzie powinni o tym wiedzieć. Wtedy na świecie zapanuje pokój.

Arabella uznała, że Paddy mówił bardzo mądrze, ale nadal była ciekawa, co się stało ze starym Henrym.

– A co się stało z kotem?

– Umarł po paru miesiącach. Chyba ze starości... a może ukąsił go wąż?

Arabella posmutniała.

– A co z kurczakiem?

Oczy Paddy'ego zabłysły; wzruszył ramionami.

– Nie... chyba go pan nie zjadł?

A kiedy Paddy nie zaprzeczył od razu, była naprawdę wzburzona.

– To była kokoszka. Zatrzymałem ją, bo była naprawdę dobrą nioską – roześmiał się w końcu.

Przy śniadaniu Arabella siedziała w jadalni razem z Jonathanem i Stuartem Thompsonem. Omawiali najbliższą podróż Jonathana do Callanna Creek. Ilekroć Arabella spoglądała na Stuarta, nie potrafiła opanować rumieńca na wspomnienie ich pocałunku.

Jonathan zauważył jej zachowanie. Modlił się w duchu, żeby stosunki pomiędzy nimi nie stały się zbyt bliskie, był bowiem pewny, że Stuart nigdy nie potraktuje poważnie uczuć Arabelli. Czuł, że jeżeli mężczyzna nawiąże z nią romans, to wyłącznie dla własnej przyjemności – a kosztem Arabelli.

– W strumieniu nie ma teraz wody, ale to miejsce jest nadal bardzo ładne – opowiadał Jonathan. – Po obu brzegach rosną eukaliptusy, które są schronieniem dla ptactwa; a kiedy słońce prześwieca przez liście drzew w rozmaitych porach dnia, widok jest wprost magiczny!

Ten opis oderwał myśli Arabelli od Stuarta.

Naprawdę intrygował ją sposób myślenia Jonathana. Z pewnością ktoś inny, kto przechodziłby obok tego strumienia, nie zauważyłby nic magicznego w tym, jak słońce prześwieca przez gałęzie drzew. Zrozumiała, że chciałyby przeżyć coś podobnego... pragnęła spojrzeć na świat oczyma Jonathana.

– Był pan tam już? – spytała Stuarta. Nie mogła patrzeć mu w oczy dłużej niż przez kilka sekund.

– Jeżeli tam nie ma złota, nie mam ochoty jechać!

Roześmiał się na widok wyrazu twarzy ich obojga.

Arabella postanowiła zmienić temat rozmowy.

– A... jak często w jeziorze Eyre bywa woda?

Odgryzła kęs grzanki.

– Bardzo rzadko; w każdym razie w tym stuleciu to się jeszcze nie zdarzyło – rzekł Jonathan. – Rozmawiałem ze starym człowiekiem w William Creek, który widział to jezioro pełne wody. Opowiadał, że kiedy przez warstwę soli przebiły się pierwsze strużki, zjawily się miliony ptaków. Były pelikany, szcudłaki, srebrne mewy i mnóstwo innych. Żeby tu przylecieć, musiały pokonać tysiące mil! Skąd wiedziały, że w sercu pustyni, gdzie temperatura potrafi dochodzić do pięćdziesięciu pięciu stopni Celsjusza, jest woda? Na to pytanie nikt nie mógł odpowiedzieć. Jezioro zasilają rzeki Warburton i Cooper z północno-wschodniej prowincji Queensland i mimo że ich woda jest słodka, to jezioro jest niewątpliwie najbardziej słynnym jeziorem na świecie.

– Dlaczego? – Arabella była naprawdę zaintrygowana.

– Bo całe jego dno stanowi gruba warstwa niemal czystej soli.

– Skąd ona się tam wzięła?

– Jezioro leży piętnaście metrów poniżej poziomu morza. Prawdopodobnie kiedyś było to śródlądowe morze.

– Słyszałam, jak Maggie mówiła o północnym i południowym jeziorze Eyre. Czy są dwa?

– Tak, ale połączone wąskim kanałem Goyder. Północne jezioro z reguły napełnia się najpierw, a dopiero potem woda spływa do południowego. Ten stary człowiek wspominał, że kiedy oba jeziora są pełne wody, widok jest naprawdę wart obejrzenia! Woda jest czasami różowa, a czasem niebieska, w zależności od kryształków soli. W każdym razie późnym popołudniem w jeziorze odbija się niebo. Proszę sobie wyobrazić to чудо! Czerwony zachód słońca odbity w wodzie. Dałbym wszystko, żeby to zobaczyć! Sposób, w jaki ten stary człowiek o tym opowiadał, świadczył, że musiało wywrzeć na nim ogromne wrażenie!

– Myśli pan, że jest szansa, że jezioro wypełni się wodą teraz, kiedy tu jestem? – z przejęciem spytała Arabella.

– Wątpię. Od czasu, jak Europejczycy zasiedlili Australię, zdarzyło się to tylko dwa razy; ale mam nadzieję, że kiedyś tak się stanie.

Chciała dokładnie tego samego.

– A może pojedzie pani ze mną do Callanna Creek? – zaproponował Jonathan, widząc jej zaciekawienie.

Była mile zaskoczona jego propozycją.

– Ja... nie wiem – odparła, niepewna. – A może i pan by pojechał? – zwróciła się do Stuarta. – Nigdy nie wiadomo... tam też może być złoto.

– O, nie chcę zawracać głowy naszemu poszukiwaczowi złota – szybko rzucił Jonathan – ale pani towarzystwo byłoby wspaniałe! – rzekł do Arabelli. – Paddy mógłby zapewnić nam transport.

– Na wielbłądzie?

Na samą myśl o tym ogarnęła ją panika.

– Tak – odparł Jonathan – ale właściwie to niewielka różnica, konno czy na wielbłądzie. Wielbłąd ma inny sposób chodzenia, trochę chwiejny, ale człowiek szybko się do tego przyzwyczaja. Jeździ pani konno?

– Tak – potwierdziła – ale jechać na wielbłądzie nie mam ochoty.

– To proszę wziąć mojego konia – z galanterią zaofiarował się Stuart. Widział, że Jonathan nie chce, żeby z nimi pojechał, zresztą miał kilka map do przestudiowania. – I tak się nigdzie nie wybieram.

– Dziękuję! Bess wydaje się spokojna...

Nie była pewna, czy powinna być zadowolona, że pożyczka od niego konia, czy smutna, bo Stuart nie chce z nimi jechać.

– Bess jest łagodna jak owieczka, a poza tym ma bardzo pewny krok.

– Wie pan, że Uri tej nocy znowu tu wrócił? – spytała Arabella Jonathana.

– Nie! Znowu panią obudził?

– Tak. Zaprowadziłam go do stajni i zostałam z nim aż do rana.

Aż zamrugał, zaskoczony.

– To musi pani być strasznie zmęczona!

– Właściwie nie. Zasnęłam na słomie. – Zerknęła na Stuarta i spłonęła rumieńcem.

Jonathan nie wiedział, co ze sobą począć.

– A kiedy rano się obudziłam, Uri i kłacz zaprzyjaźnili się ze sobą.

– Hmm... wobec tego Uri nie będzie zadowolony, jeżeli pani pojedzie na koniu Stuarta. Biedak będzie musiał zostać sam...

– Właśnie. A jeżeli narobi za dużo hałasu, zdenerwuje Tony'ego.

– Może Paddy mógłby na ten czas zamknąć wielbłąda w zagrodzie? – podsunął Jonathan.

– Może?! – Arabella była naprawdę podniecona perspektywą całodzienną wyprawę. Jonathan zaraził ją entuzjazmem i bardzo chciała zobaczyć Callanna Creek. – Zapytam Maggie.

Kiedy się podniosła, Stuart wstał również, posyłając jej spojrzenie.

– Wracam do swojego pokoju. Mam kilka map do przestudiowania i trochę jestem zmęczony po tych wszystkich podróżach w ciągu ostatnich paru dni. Jeżeli chce pani wziąć Bess, proszę dać mi znać, osiodłam ją. Życzę wspaniałych wrażeń!

Skinął głową Jonathanowi i opuścił jadalnię.

Arabella stała chwilę, zmieszana, po czym powtórzyła:

– Pójdę powiedzieć Maggie. Dzisiaj czuje się o wiele lepiej, ale może mnie potrzebować.

Jonathan się uśmiechnął; w ciemnych oczach błysnęły mu iskierki.

– Czemu się pan uśmiecha? – spytała Arabella, lekko urażona. Pomyślała, że może chce z niej zażartować.

– Zdaje sobie pani sprawę, jak bardzo się pani zmieniła? – rzekł.

Nagle zrozumiała, o czym myślał. Jeszcze niedawno nie liczyłaby się z innymi. Interesowały ją wyłącznie własne potrzeby i chęci.

– Tak... – przyznała zawstydzona, pewna, że musiał uważać ją za samolubną pannicę. – Ale nadal nie cierpię Marree.

Znalazła Maggie w kuchni. Robiła porządki w spiżarni.

– Na wszystkie świętości! Gdzież ta Moira Quiggley mogła wsadzić sól? – denerwowała się, odstawiając na bok kolejne opakowania. – Tutaj jest! Lubię, żeby rzeczy stały tam, gdzie je postawiłam.

– Maggie – zaczęła nieśmiało Arabella. – Jonathan zaprosił mnie na przejażdżkę do Callanna Creek, ale jeżeli mnie potrzebujesz, oczywiście nie pojadę.

Maggie przerwała porządkowanie spiżarni.

– Callanna Creek to śliczne miejsce – stwierdziła.

– Byłaś tam?

– Tylko raz, i to dawno temu. Jedź, Arabello. Powinnaś coś zobaczyć, zanim wrócisz do domu.

– Jesteś pewna, że nie będziesz mnie potrzebowała?

– Naturalnie. Przecież zawsze dawałam sobie radę bez pomocy! – odparła gniewnie Maggie. Ale już po chwili się uśmiechnęła.

– Nie będzie mnie tylko kilka godzin. Tony się nie pogniewa, że pojechałam?

– Na pewno nie. Przestań się martwić i baw się dobrze. – Maggie nagle się zastanowiła. – Masz zamiar jechać na wielbłądzie?

– Nie. Stuart Thompson pożycza mi swoją kłacz.

Maggie się uśmiechnęła, ale nagle jej uśmiech zniknął.

– A co z małym wielbłądem? Mam nadzieję, że nie będzie płakał za tobą cały dzień?

Arabella zmarszczyła brwi.

– Poproszę Paddy'ego, żeby go zamknął w zagrodzie razem z innymi wielbłądami.

– Dobry pomysł. Nie sądzę, żeby Tony był zadowolony, gdyby to zwierzę darło się cały dzień.

Kiedy Jonathan wrócił ze spotkania z Paddym Khanem, zaczęła go w korytarzu.

– Maggie powiedziała, że mnie nie potrzebuje, więc mogę pojechać z panem.

– Cudownie. Stuart zaraz osiodła konia.



- Ale co z małym Urim? Tony nie będzie zadowolony, jeżeli mały będzie płakał.
- Rozmawiałem z Paddym. zaproponował, żeby wielbłąd poszedł razem z nami.
- Co takiego?
- Paddy pojedzie na wielbłądzicy, a że Uri lubi panią i klacz Stuarta, przyłączy się do nas.
- A to nie będzie dla niego za daleko? Jest jeszcze taki mały...

Jonathan się uśmiechnął.

- Nie, Arabello. To wielbłąd, a one zaraz po urodzeniu stają na nogi. Nic mu nie będzie.

Paddy podprowadził do stajni dwa osiodłane wielbłądy; tymczasem Stuart przygotował Bess.

Kiedy Jonathan i Paddy siedzieli na wielbłądach i zwierzęta się podniosły, Arabella dosiadła Bess dzięki pomocy Stuarta, który o wiele dłużej, niż to było konieczne, dotykał dziewczyny, co z niesmakiem odnotował Jonathan. Kiedy ruszyli, Uri zaczął robić straszne zamieszanie, jakby się bał, że wyjadą bez niego.

- Mam go wypuścić? – spytał Paddy’ego Stuart.

- Tak – odparł Paddy. – Otwórz furtkę.

Uri zaraz znalazł się przy nich. Mały wielbłąd szedł obok Bess. Wydawał się bardzo zadowolony. Arabella aż się uśmiechnęła. Nie włożyła kaftana, bo Tony pożyczył jej kapelusz i koszulę, które chroniły ją przed słońcem, a Maggie długą i szeroką spódnicę do jazdy konno i zapinane buty. Poza tym zapakowała im jedzenie, a Jonathan, jak zawsze, zabrał ze sobą jak najwięcej wody.

- Wrócimy po południu, najdalej wczesnym wieczorem – zawołał Jonathan do Maggie i Tony’ego, którzy machali im ręką na pożegnanie.

Miał ze sobą sprzęt fotograficzny, który przytoczył do siodła wielbłąda w nadziei, że uda mu się sfotografować strumień. Miał też cichą nadzieję, że zrobi zdjęcie Arabelli, oczywiście, o ile ona się zgodzi. Jej cera ostatnio bardzo się poprawiła, więc był pełen optymizmu. Skóra przestała już schodzić, a to, co było pod spodem – choć jeszcze trochę niejednolite – nabierało normalnej, zdrowej barwy. Postara się ją przekonać, że jej twarz na fotografii będzie wyglądała zupełnie normalnie, o ile zdjęcie będzie z pewnej odległości.

Teren był nagi i nieciekawym: czerwona ziemia porośnięta gdzieniegdzie kępami karłowatych akacji. Arabella była jednak zadowolona. Miała przy sobie Uriego, a Jonathan i Paddy wskazywali drogę: na wysokich wielbłądach wyglądali bardzo majestatycznie. Bess okazała się dokładnie taka, jak mówił Stuart: spokojna, rozważna, stąpająca z wielką pewnością. Szła ostrożnie, żeby ominąć kolczaste zarośla. Chociaż pustynia przypominała Arabelli o jej strasznej przygodzie, dziewczyna pomału się odprężyła i zaczęła rozkoszować jazdą. Kiedy patrzyła na jadącego przed nią Paddy’ego, zrozumiała, dlaczego Afgańczycy tak dobrze radzą sobie w takich warunkach. Głowę chronił mu kapelusz, a luźna, zwiewna szata zapewniała chłód. Wielbłądy szły bez wysiłku – wszystkie, nawet mały Uri. Jego poduszkowate stopy rozkładały się na miękkim, palącym czerwonym piasku, podczas gdy podkute nogi konia zdawały się w nim zapadać.

- Jeżeli mogę spytać, Paddy – zaczęła. – Jak to się stało, że jesteś na wpół Irlandczykiem, a na wpół Afgańczykiem?

Roześmiał się.

- Jestem rzeczywiście dziwną mieszaniwą – odparł. – Powiem pani, jak do tego doszło. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku mój ojciec wylądował w Port Augusta. Był jednym z pięćdziesięciu sześciu Afgańczyków, którzy tu przyjechali, kiedy Australia zamówiła u nich trzysta wielbłądów. Przez kilka lat mieszkał w tym mieście, w końcu ożenił się z Irlandką. Matka była artystką. Tańczyła na scenie i była bardzo dumna z tego, jak wysoko potrafi wyrzucać nogi. Ojca poznała w zupełnie niezwykłych okolicznościach; ale o tym za chwilę. Podróżowała po całej Australii z trupą

taneczną. W mieście górniczym Coober Pedy poznała pewnego Włocha, który chciał się z nią ożenić. Pewnie była nim zauroczona, bo kiedy trupa pojechała dalej, ona została, żeby wyjść za niego za męża. Tymczasem w parę dni po tych pochopnych oświadczeniach Włoch się gwałtownie wzbogacił, bo trafił na wspaniałą żyłę opali. Moja matka szalała z radości. Myślała, że urządziła się na całe życie, ale Włoch nie podzielał jej zdania. Nagłe bogactwo zmieniło jego uczucia. Drań odwołał ślub i kazał jej się wynosić. Bez grosza i z niewielką nadzieją na dołączenie do swojej trupy pojechała „okazją” na południe, z mężczyzną, który prowadził stado wołów. Kiedy rozbili obóz gdzieś niedaleko miejscowości zwanej Island Lagoon, jej towarzysza śmiertelnie ukąsił wąż. Przez trzy dni była sama. Miała wodę, ale żadnego jedzenia. Opowiadała potem, że gdyby miała dość siły, zabiłaby wołu i zjadła go całego od razu – śmiał się Paddy. – A czwartego dnia przyszedł jej na ratunek... mój ojciec.

– Twój ojciec? A skąd się tam wziął? – spytała Arabella.

– Woził na wielbłądzie jakieś towary, kursując pomiędzy Port Augusta a miastem Woomera, niedaleko Island Lagoon. Matka często mi opowiadała historię o tym, jak ją ratował rycerz w lśniącej zbroi i na wielbłądzie, zamiast na białym koniu... naprawdę uważała mojego ojca za bohatera. I chociaż po przykrym doświadczeniu w Coober Pedy matka przysięgła, że już nigdy nie wyjdzie za męża, uznała, że egzotyczna uroda ojca zwała ją z nóg. – Znowu się roześmiał. – O, moja matka to charakterek! Na nieszczęście moja egzotyczna uroda jak dotąd nie zwała z nóg żadnej damy, ale ciągle jeszcze nie tracę nadziei!

– A gdzie teraz mieszka twoja matka?

– W Broken Hill, górniczym miasteczku w Nowej Południowej Walii.

– A ojciec? Jeszcze żyje?

– O tak! Oboje są już starsi, ale żyją sobie spokojnie w tamtejszym mieście Ghan. Teraz, kiedy już jeżdżą pociągi, Afgańczycy nie mają tak wielu zamówień na przewożenie towarów, jak dawniej. Ja ciągle siedzę w Marree, bo raz, dwa razy do roku pociąg się psuje. Kiedy zaczniesz jeździć bez awarii, nie będę miał co tutaj robić. Wtedy pojedę do rodziców do Broken Hill i tam zamieszkać.

Jonathan zaczął tłumaczyć, że powinni dotrzeć do Callanna Creek jeszcze przed lunchem, bo to zaledwie około dwunastu kilometrów od Marree, a jadą w miarę równym tempem. Słońce powoli wznosiło się na bezkresnym błękitnym niebie. Upał był coraz większy, a muchy coraz bardziej dokuczliwe. Od czasu do czasu czuli też słodkawy odór psującego się mięsa.

– Co to za zapach? – skrzywiła się Arabella. Smród był coraz silniejszy.

– Pewnie jakieś zdechłe zwierzę – domyślił się Paddy.

Kiedy się zbliżyli, odór stał się nie do zniesienia, a brzęczenie much zmieniło się w monotony szum. Paddy się zatrzymał i zaproponował, żeby Jonathan i Arabella parę minut odpoczęli, a on sprawdzi, skąd ten odór pochodzi.

Jonathanowi wydało się, że prośba jest raczej dziwna, ale zrozumiał, że Paddy chce oszczędzić Arabelli widoku rozkładającego się szkieletu zwierzęcia. Znajdowali się u podnóża piaszczystego pagórka, skąd nie mogli wiele zobaczyć. Paddy na wielbłądzie objechał wzniesienie, tymczasem Jonathan i Arabella się zatrzymali. Lekki wiaterek przynosił w ich stronę ten obrzydliwy zapach, a brzęczenie much brzmiało jak złowieszczy sygnał. Arabella zakryła ręką nos i usta. Uri stał obok niej, ale zachowywał się bardzo niespokojnie i znowu zaczął beczeć.

– Co mu jest? – zdziwiła się Arabella. – Był taki zadowolony!

– Nie wiem. Widziałem czasami nieżywe wielbłądy, zastrzelone przez farmerów. Zazwyczaj to były dzikie wielbłądy, ale o ile zwierzę nie miało na szyi znaczka z licencją, farmerzy mieli pełne prawo strzelać. Może ten zapach pochodzi od zdechłego dzikiego wielbłąda, a Uri to czuje. Za chwilę wróci Paddy i powie nam, co to takiego.

Uri węszył w powietrzu i nagle wydał gardłowy, rozdzierający serce dźwięk, po czym pobiegł na piaszczysty pagórek.

– Uri! – wołała za nim Arabella. Spojrzała rozszerzonymi oczyma na Jonathana. – Może się zgubić! – zawołała z niepokojem.

Jonathan ruszył za wielbłądźką, Arabella w ślad za nim. Wdrapali się na piaszczyste wzgórze i zeszli po drugiej stronie.

Jakieś czterdzieści metrów od nich dostrzegli Paddy’ego. Jego wielbłąd klęczał, a Uri biegał dookoła czegoś, co wyglądało jak nierówny stosik futra na ziemi. Wydawał przy tym okropne dźwięki.

Kiedy Arabella z Jonathanem podeszli bliżej, zobaczyli, że Paddy jest strasznie zdenerwowany. Poza tym ujrzeli rozkładające się ciała trzech wielbłądów, jednego wielkiego, dwóch mniejszych.

Jonathan zrozumiał, że jest źle, bo dzikie wielbłądy były zmorą w życiu Paddy’ego, więc widok nieżywych dzikich zwierząt nie zmartwiłby go z pewnością.

– Uuuch... – jęknęła Arabella, kiedy podeszli bliżej.

Smród był niesamowity, zwłaszcza w takim upale, a widok rozkładających się ciał sprawił, że zebrało jej się na wymioty.

– Proszę odejść – rzekł Paddy.

Posłuchałaby go natychmiast, ale powstrzymało ją żalosne beczenie Uriego, który obwąchiwał zwłoki jednego z wielbłądów.

– Co mu jest? – zdziwiła się przytłumionym głosem, bo cały czas dłonią zakrywała nos i usta.

– To jego matka... – smętnie odparł Paddy.

– Och, nie! – krzyknęła dziewczyna ze łzami w oczach.

Uri robił wrażenie załamanego. Nadal biegał dookoła, wachał i żałośnie beczał.

– Co jej się mogło stać? – spytała Arabella, zsiadając z konia. Chciała pocieszyć małego, ale nie wiedziała, jak ma to zrobić. Serce się jej krajało. Modliła się, by Uri nareszcie odnalazł matkę, a ona – swoją. Byłaby wtedy taka szczęśliwa! Teraz myślała tylko o własnej matce i o tym, jak okropnie byłoby już nigdy więcej jej nie zobaczyć.

Uri w dalszym ciągu obiegał martwe ciało, trzęsąc główką. Zupełnie jakby nie był w stanie znieść rozpacz, a nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Arabelli zbierało się na płacz na sam widok takiego bólu.

– Będę go musiał wziąć na sznur – zwrócił się Paddy do Jonathana. Nie zwrócił uwagi na pytanie Arabelli. – Tylko w ten sposób go odciągnę.

– Więc nie możemy jechać dalej, do Callanna Creek – zdecydował Jonathan – w przeciwnym razie będziemy musieli znowu tędy przejeżdżać.

Wiedział, że narażenie małej sierotki na takie okropne przeżycie po raz drugi byłoby okrucieństwem. Na widok smutku Arabelli zrozumiał, że dzień był stracony. Żadne z nich nie mogłoby już się niczym cieszyć.

Paddy założył sznur na szyję Uriego, który zrobił się jeszcze smutniejszy, kopał i miotał się na wszystkie strony. Bojąc się, żeby nie zrobił krzywdy Arabelli, Jonathan zeskoczył z wielbłąda i odsunął dziewczynę na bok. Była w szoku, widząc, jak Uri walczy, żeby zostać z matką.

– Pozwól mu odejść... – błagała.

Paddy wsiadł już na wielbłąda i polecił mu się podnieść.

– Muszę go stąd zabrać – odparł.

Kiedy jego wielbłąd się podniósł, Paddy ruszył, ciągnąc za sobą małego. Uri wydawał okropne, pełne rozpacz odgłosy i dziko walczył, żeby tylko zostać przy ciele matki. Arabella szła za nimi pieszo, prowadząc klacz. Nie mogła opanować szlochu. Jonathan podążał obok niej. Nie wiedział, jak ją pocieszyć, w końcu objął ją ramieniem.

– Wszystko będzie dobrze, Arabello – mówił, myśląc o Urim. – Kiedy tylko stąd odejdziemy...

Otarła łzy i wręczyła mu wodze klaczy.

– Chcę mu pomóc... – wyznała.

I ku zdumieniu Jonathana podbiegła do Paddy'ego.

– Niech pani uważa! – ostrzegł ją Paddy, przestraszony.

– Proszę się cofnąć! – zawołał Jonathan. Nie wiedział, że chce się zbliżyć do małego, który nadal się szarpał, co prawda już mniej gwałtownie.

Arabella objęła głowę Uriego i pogłaskała go po pysku, starając się uspokoić. Początkowo bezskutecznie: wielbłąd odrzucał głowę do tyłu.

– Wszystko będzie dobrze... – mówiła. – Nie jesteś sam, malutki... Ja tu jestem, Paddy tu jest... i Jonathan. Wszyscy się tobą zaopiekujemy... – O mały włos się nie zakrztusiła. Szloch dusił ją w gardle. – Wszystko będzie dobrze... obiecuję ci.

W jakiś cudowny sposób Uri zaczął się uspokajać. Obejrzał się za siebie smutnymi oczyma, ale zaczął iść obok Arabelli. Paddy był zachwycony: wręczył sznur Arabelli. Trzymając sznur w jednej ręce, drugą pieściła szyję wielbłąda.

– Skąd Uri poznał, że to ciało jego matki? – spytała Paddy'ego. – Trudno było nawet rozpoznać, że to w ogóle wielbłąd!

– Po zapachu – wyjaśnił. – Wyczuł go nawet teraz, kiedy rozkład się już zaczął. Maluchy potrafią rozpoznać matkę w zagrodzie, gdzie jest pięćdziesiąt wielbłądów! To samo jest z owcami i jagniętami. Dla nas to niesamowite, bo wszystkie wyglądają identycznie.

– Więc jak ty ją rozpoznałeś? – spytała Arabella.

– Mówiłem już, że uciekła przed dzikim samcem, więc kiedy go zobaczyłem, podejrzewałem, że jedna z nieżywych samic to ona. A potem dostrzegłem bliznę na jej prawej przedniej nodze.

– Jonathan mi mówił, że farmerzy nie powinni strzelać do wielbłądów z numerkami na szyi. Czy ona nie miała numerka?

– Miała! Wszystkie moje wielbłądy, oprócz najmłodszych, mają numerki. Właśnie dlatego tak się rozzłościłem! Ten, co zastrzelił Leile, zdjął jej numerka. To się często zdarza; właśnie dlatego często śpię z wielbłądami, żeby dzikie samce ich nie porywały.

– Czy Uriemu to nie zaszkodzi?

– Nie. Jak tylko się go odstawi od butelki, wszystko powinno być w porządku.

Arabella miała już na końcu języka zapewnienie, że zawsze będzie się nim opiekowała, ale przecież nie wiedziała, jak długo zostanie w Marree, więc się powstrzymała. Jednak rozpaczliwie pragnęła im to powiedzieć. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zostawić wielbłąda w takim stanie. Przecież przyszedł do niej sam, u niej szukał pocieszenia! Serce by jej pękło!

Maggie była zdumiona, widząc Arabellę i Jonathana z powrotem tak wcześnie. Paddy odprowadził wielbłądy do zagrody, a Arabella wstawiła Uriego do boksu obok Bess, której Jonathan zdjął siodło.

– Spodziewałam się was dopiero za parę godzin! – Maggie wyprostowała plecy, obolałe po kopaniu w ogródku warzywnym.

– Trafiliśmy na trzy zabite wielbłądy i jednym z nich była matka Uriego – ze smutkiem powiedziała Arabella, znowu z oczyma pełnymi łez. Myślała o tym, jakie to tragiczne, że matkę małego zabito, zanim zdołała wrócić do swojego dziecka.

– Zastrzelili ją – dodał Jonathan.

– O nie! – zawołała Maggie.

– A Uri tak rozpaczał! – dodała Arabella. Popatrzyła na małego, który stał w tej chwili na podwórku przed stajnią. Główkę miał zwieszoną, a oczu tak wilgotne, jakby płakał. Bess wysuwała głowę nad

plotem i starała się zwrócić jego uwagę, ale był zanadto przygnębiony.

– A może zamkniesz go w jednym boksie z kłaczą Stuarta? – zaproponowała Maggie. – Może, kiedy będzie blisko niej, lepiej się poczuje?

– Nie kopnie go?

– O, nie! Bess jest zbyt łagodna. Poza tym wydaje mi się, że go pocieszy.

– Dobrze. Spróbujmy.

Arabella założyła Uriemu sznur na szyję. Jonathan otworzył furtkę do boksu Bess, a dziewczyna wprowadziła tam małego wielbłąda. Klacz zaraz zaczęła go obwąchiwać, a Uri przytulił się do jej boku.

– Gdzie Uri? – spytał Paddy.

Nie słyszeli, kiedy nadszedł. Przyniósł butelkę mleka.

– Jest razem z Bess – objaśnił Jonathan.

– Pomyśleliśmy, że go pocieszy – tłumaczyła Arabella.

Paddy patrzył zdumiony na małego wielbłąda przytulonego do konia.

– Mam pomysł – rzekł wreszcie.

Otworzył furtkę, wszedł do środka i stanął po drugiej stronie klaczy.

– Niech koń się nie rusza... – rzekł do Jonathana, który ujął klacz za uzdę.

Arabella patrzyła zafascynowana, jak Paddy się schyla pod brzuch konia i podaje Uriemu butelkę. Ten wyczuł od razu zapach mleka, wsunął głowę pod brzuch klaczy i zaczął ssać smoczek, zupełnie tak, jakby ssał mleko matki. Bess spojrzała, zaciekawiona, ale się nie poruszyła.

Arabella była zachwycona. Uśmiechnęła się do Paddy'ego.

– Pije mleko jak od matki – wyjaśnił Paddy spod brzucha klaczy.

Plecy go bolały od trzymania butelki w niewygodnej pozycji, ale uznał, że warto było się tak poświęcić.

– Cudowny pomysł! – zachwycała się Arabella. – Jesteś genialny, Paddy!

– Zrobiłbym wszystko, byle się lepiej poczuł. Miejmy nadzieję, że teraz będzie myślał o klaczy jako o swojej zastępczej matce. Już i tak ją lubił, a to bardzo pomogło.

Uri skończył wreszcie pić mleko i Paddy mógł się wyprostować.

– Mamy szczęście, że ten koń to takie miłe stworzenie – rzekł. – Inne mogłyby nie chcieć stać tak spokojnie jak ona.

Maggie podała klaczy marchewkę.

– W nagrodę za dobre zachowanie – powiedziała.

Niosła do kuchni koszyk dopiero co wykopanych jarzyn.

Uri ukląkł do sianie. Bess stanęła obok, jak grzeczna opiekunka.

Arabella się uśmiechała. Czowała wielką ulgę na widok wielbłąda z kłaczą. Dzięki temu będzie mogła opuścić Marree z o wiele lżejszym sercem...

# Rozdział trzynasty

---

– Dzisiaj wyjeżdżam z miasta – zwrócił się do Jonathana i Arabelli Stuart Thompson, kiedy następnego dnia rano siedzieli razem przy śniadaniu. – Może mnie nie być przez dłuższy czas.

Pierwszą myślą Arabelli był Uri.

– Nie zabiera pan ze sobą Bess, prawda? – spytała z niepokojem. Wiedziała, że to zabrzmiało samolubnie, ale Uri tak bardzo przywiązał się do klaczki!

– Nie, pojedę na wielbłądach. To znaczy na jednym, drugi poniesie bagaże.

Jonathan mógłby się założyć, że ten wyjazd to nie była zwykła wyprawa badawcza.

– Jak sądzisz, ile czasu cię nie będzie tym razem? – spytał Stuarta.

– Nie jestem pewien... – wykrętnie odparł zapytany.

– Zabierasz ze sobą Goolima? – spytał jeszcze Jonathan. Stuart wyglądał dzisiaj poważniej niż zwykle.

Obrzucił Jonathana trochę nerwowym spojrzeniem.

– Nie, jadę sam i nie wiem dokładnie, na jak długo... a poza tym nie chcę, żeby się o mnie martwiono, gdybym nie wrócił za tydzień czy nawet później. Nie chcę, żeby mnie ktoś szukał – dodał poważnie.

– To, dokąd się wybierasz i na jak długo, to twoja sprawa, ale każdy, kto stąd wyjeżdża, ma obowiązek zameldować o tym Terry’emu Higginsowi, gdyby coś się stało.

– To nie będzie konieczne – odparł Stuart. – Znam swoją trasę na pustyni.

– Na pewno dasz sobie radę – przyznał Jonathan. – Możesz się czuć na pustyni zupełnie bezpiecznie, ale zawsze najlepiej być przygotowanym na to, co nieprzewidziane: na przykład na złamanie nogi czy ukąszenie węża...

– Zaryzykuję – odparł Stuart lekko.

– A jeśli coś się panu przytrafi? – zaniepokoiła się Arabella. – Nie będziemy wiedzieli, gdzie pana szukać.

– Tęskniłaby pani za mną?

Ton Stuarta znowu zahaczał o flirt.

Arabella spłonęła rumieńcem. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, kiedy jednak zobaczyła, że Stuart złośliwie się uśmiecha, zrozumiała, że to żarty.

– No, może... troszkę... – odparła.

Zerknęła na Jonathana, który najwyraźniej nie rozumiał, o co im chodzi.

– Martwilibyśmy się oboje, prawda?

– Naturalnie – odpowiedział trochę gniewnie i znowu spytał Stuarta: – Uważasz, że złoto jest warte tyle zachodu?

– Jest warte, o ile ktoś je znajdzie – odparł Stuart łagodnie. – Pracowałem w różnych osadach górniczych i widziałem, co złoto robi z niektórymi ludźmi, więc będę o wiele bardziej bezpieczny, jeżeli o mojej wyprawie nikt nie będzie wiedział.

Stuart już słyszał szepty facetów w barze i widział ich podejrzliwe spojrzenia w jego stronę. Ludzie potrafili być bardzo ciekawscy. Jak dotąd, unikał ich pytań, a Goolimowi kazał na wszelki wypadek złożyć przysięgę, że dochowa tajemnicy. Chociaż Afgańczyk nie poznał dokładnego położenia miejsca, w którym Stuart miał zamiar kopać: wolno mu było tylko kręcić się w pobliżu.

Kiedy poprosił Goolima o zawieszenie na pustynię, ostrzegł mężczyznę, że może być niebezpiecznie, i

pozwolił mu w razie czego odmówić. A kiedy Goolim powiedział, że mimo to z nim pojedzie, Stuart był pełen podziwu dla jego odwagi; podjął jednak pewne środki ostrożności, po prostu na wypadek, gdyby ktoś chciał torturować Goolima, a ten zdradziłby miejsce, do którego podróżowali.

Początkowo Stuart chętnie wszystkim opowiadał o swoich poszukiwaniach, a to z dwóch powodów. Po pierwsze – nie spodziewał się znaleźć niczego szczególnego. Po drugie – tajemnica zawsze wywołuje podejrzliwość, a już na pewno większe zainteresowanie. Skoro zaś był otwarty i przyznawał, iż nie wie, czy w ogóle coś znajdzie, miał pewność, że nikt nie będzie go brał poważnie.

Jednak to, co w końcu znalazł, bardzo go poruszyło, ale za wszelką cenę starał się tego nie okazywać.

– Proszę cię, uważaj na siebie! – Jonathan mocno potrząsnął dłoń kolegi, gdy tamten wstał, by wyjść.  
– I zabezpiecz się jak najlepiej!

– Jasne! Cześć.

– Niech pan będzie ostrożny – prosiła z powagą Arabella. – Ja się zgubiłam na pustyni, więc wiem, jakie to koszarne uczucie. Dopiero teraz zrozumiałam, jaką byłam szczęściarą, że znaleźli mnie Aborygeni!

– Wiem, co robię, więc proszę się o mnie nie martwić! – zakończył Stuart, po czym, zanim wyszedł, beczelnie mrugnął do Arabelli.

Po jego wyjściu Jonathan stwierdził:

– Chyba mu się nic nie stanie.

Patrzył przy tym uważnie na Arabelle.

Spostrzegł mrugnięcie Stuarta i zastanawiał się, czy Arabelle łączą jakieś relacje z poszukiwaczem złota. Nie zamierzał jednak pytać jej o to.

Arabella zdawała sobie sprawę, że Jonathan jest zaniepokojony. Uważała go za jednego z najmiłszych ludzi, jakich kiedykolwiek poznała. A poza tym także za jednego z najprzystojniejszych.

– Też mam taką nadzieję – stwierdziła. Dotknęła ręki Jonathana. – Jest pan naprawdę bardzo miły – dodała.

– Miły? – powtórzył.

– Tak... Zawsze pan myśli o innych, a to taka piękna cecha...

– Dzięki – powiedział bezbarwnym głosem.

Już miał ochotę spytać, czy i Stuarta uważa za miłego mężczyznę, ale się pohamował.

Wally Jackson stał w pobliżu domu Frankiego Millera i rozmawiał z tropicielem, Aborygenem o nazwisku Ernie Mandawauy. Skryli się za eukaliptusem, więc nikt nie mógł ich zobaczyć.

– Potrafiłbyś śledzić białego na koniu albo na wielbłądzie? – spytał Wally.

– Pewnie, że tak, Jacko!

Ernie był urażony. Uważał, że jego sława najlepszego tropiciela jest wręcz legendarna.

– Tylko, że... on nie może wiedzieć, że za nim jedziesz... – Wally wyjrzał ostrożnie zza pnia i sprawdził, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Zerknął w kierunku hotelu Great Northern. Mimo że był dopiero ranek, rozgrzane upałem powietrze aż drżało nad czerwonym piaskiem pomiędzy nimi a hotelem; nie zauważył jednak żadnego ruchu.

– Nie będzie wiedział – zapewnił Ernie. Aż zmarszczył czoło z ciekawości. – Mówisz, że to biały facet...

– Tak, ale go nie znasz. Jest w mieście od niedawna.

– Białego najłatwiej tropić – z przekonaniem stwierdził Ernie.

Wally przełknął tę gorzką pigułkę; oznaczała, że biali, to głupcy.

– Słyszałem, że ma wyjechać dziś rano, więc kręć się w pobliżu hotelu, ale się nie pokazuj. A kiedy zobaczysz białego gotowego do podróży, czy to na koniu, czy na wielbłądzie, pojedziesz za nim, tylko

uważaj, żeby cię nie zobaczył. Na pewno będzie bardzo ostrożny... Może nawet podejrzewać, że ktoś będzie go śledził.

– Nie dowie się, że za nim idę, Jacko... ale kiedy mi zapłacisz?

Wally wiedział, że Ernie po prostu chce zaraz kupić grog. Widział, że aż się trzęsie na myśl o tym.

– Jak tylko wrócisz i powiesz mi, gdzie jest jego kopalnia – odparł niecierpliwie.

– Nie pójdę, jeżeli niczego mi nie dasz! – zażądał Ernie.

Pierwszą reakcją Wally'ego był gniew, ale wiedział, że nie ma wyboru. Sięgnął do kieszeni i wydobył banknot.

– Dam ci, jeżeli przyrzekniesz, że go nie wydasz przed powrotem – rzekł.

– Jasne – odparł Ernie, choć Wally mu nie uwierzył.

Les i Ted siedzieli przy stole w kuchni, w domku Frankiego. Kiedy Wally wszedł do środka, zauważył, w jakich są fatalnych humorach. Wiedzieli, że rozmawiał z Erniem; chcieli omówić z nim ten plan, ale Wally nigdy nie słuchał niczyich rad.

– Jacko, wcale nie jestem pewien, czy dobrze robisz... – rzekł Les. Nerwowo zaciągnął się papierosem. Im dłużej myślał o planie Wally'ego, tym bardziej był wzburzony.

Wally zawsze uważał Lesa za faceta bez kręgosłupa, więc nie zdziwiła go ta uwaga.

– Nie rozumiem, dlaczego Stuart Thompson ma zabrać całe złoto – rzekł pogardliwie. – Przywiało go nie wiadomo skąd, a ziemia wokoło Marree to przecież nasze podwórko!

– Ale tam może wcale nie być żadnego złota – zaprotestował Ted. – To pewnie tylko pobożne życzenie Thompsona. Pomyślałeś o tym?

– Wszyscy wiemy, jak się zmienił od czasu, kiedy do nas przyjechał. Najpierw to gadał bez przerwy o tym, co robi, i nagle zrobił się taki tajemniczy! Ja tam sądzę, że wpadł na coś dużego, a w takim razie powinien spytać nas, facetów z Marree, czy chcemy się przyłączyć. Nie zrobił tego i to jego strata, bo teraz na pewno przegra!

Les i Ted popatrzyli po sobie. Plan Wally'ego bynajmniej im się nie podobał. Był zbyt ryzykowny, zwłaszcza że Terry Higgins wrócił już do miasta...

– Gdyby go okradli, my pierwsi bylibyśmy podejrzani – stwierdził Ted. – Pomyślałeś o tym?

– Pewnie! Podejrzewać to jedno, ale mieć dowód to zupełnie coś innego...

Wally się skrzywił na widok skwaszonych min kumpli.

– Kiedy się dowiemy, gdzie jest kopalnia, pojedziemy ją obejrzeć. Jeżeli nic tam nie ma, damy spokój.

Mężczyźni nie uwierzyli mu. Wiedzieli, że tak łatwo nie odpuści.

– Nie chcesz chyba zrobić krzywdy Thompsonowi? – spytał Les. Wiedział, że przyjaciel potrafił być nieprzewidywalny, i to go przerażało.

Oczy Wally'ego zwięziły się. Zachowanie Lesa zaczynało go irytować.

– Jeżeli ci się to nie podoba, nikt ci nie każe się mieszać. Ja i Ted z przyjemnością podzielimy złoto między siebie, fifty-fifty.

Ted spojrział na Lesa niespokojnie. Nie podobało mu się, że Wally chce się pozbyć jednego z nich.

– Tu nawet nie ma gdzie wydać takich pieniędzy – rzucił. – W dodatku Terry Higgins będzie cię śledził... i wszystko odkryje.

– Och, do jasnej cholery! – Wally stracił resztki cierpliwości. – Wiecie, co wam powiem? Odpieprzcie się! Ślimak ma większe jaja niż wy obaj razem wzięci!

– Nie gadaj tak! – Les wysunął dolną wargę i opuścił brodę. – Po prostu ci przypominamy, jakie są fakty. Musimy przemyśleć każdą możliwość.

– Zawsze szukacie dziury w całym! Właśnie dlatego tkwicie tutaj, w Marree! Co do mnie, wyjeżdżam



stąd. Pojadę do Sydney i tam wydam moją część łupu! Mam zamiar się zabawić i żyć w luksusie... choćby przez jakiś czas. A i wy powinniście być na tyle mądrzy, żeby stąd wyjechać.

– Nigdzie nie pojedziemy, zanim pociąg nie zacznie znowu kursować – sucho stwierdził Ted.

– No więc co? Mamy tu siedzieć na tyłkach i trzymać buzię na kłódkę aż do tego czasu?

– W tym miasteczku nie ma wiele miejsc, w których można ukryć złoto... – zauważył Les. Plan wydawał mu się bezsensowny.

Wally popatrzył na kumpla z wyrazem kompletnego niedowierzania.

– Nie zauważyłeś, że otaczają nas cztery pustynie?

– Co to za pytanie?

Wally przewrócił oczyma.

– Przecież to jasne! Mamy tysiące kilometrów pustyni, na których możemy ukryć złoto... dosłownie miliony rozmaitych miejsc! Nawet jeżeli Terry będzie podejrzewał, że schowaliśmy łup, i sprowadzi tu wszystkich gliniarzy z Australii, nigdy niczego nie znajdą!

Les i Ted popatrzyli na siebie. Widzieli, że Wally już postanowił i że nic tego nie zmieni.

Stuart Thompson skierował się w stronę miasta, gdzie Goolim osiodłał wielbłąda, a na drugiego załadował sprzęt górniczy. Zgodnie z poleceniem Goolim przykrył sprzęt tak, żeby go nie było widać.

Ernie Mandawauy obserwował hotel.

Zobaczył, że Stuart wyszedł na podwórze, i ukradkiem ruszył za nim. Widział, że młody człowiek zniknął w jednym z domów należących do Afgańczyków. Ernie postanowił poczekać.

Po półgodzinie z domu wyszedł mężczyzna i skierował się w stronę meczetu. Aborygen nie zwrócił na niego większej uwagi, wiedział, że Afgańczycy modlą się kilka razy dziennie. Obserwował domek. Bardzo chciał zrobić wrażenie na Wallym Jacksonie i zdobyć nagrodę.

Ale, kiedy po godzinie Stuart nadal się nie pokazywał, Ernie poczuł niepokój. Gdy minęło jeszcze dwadzieścia minut i sytuacja się nie zmieniła, zaczął podejrzewać, że Stuart Thompson jednak mu się wymknął. Nie miał pojęcia, w jaki sposób to zrobił.

Ernie obszedł dom dookoła, były tam tylko jedne drzwi i dwa okna z każdej strony, więc Stuart musiał być w środku. Aborygen sprawdził zagrody dla wielbłądów, ale nie znalazł Thompsona. Wrócił więc do hotelu i zajrzał do stajni: okazało się, że koń mężczyzny stoi w boksie. Wtedy uznał, że najlepiej będzie, jak zobaczy się z Wallym.

Wszedł do baru hotelowego. Wally pił tam z kolegami i rozmawiał z Tonym. Kiedy Tony się odwrócił, Les kątem oka dojrzał Erniego zagląającego do środka. Trącił łokciem Teda, a ten z kolei – Wally’ego. Ten ostatni, zaskoczony widokiem Aborygena, gestem kazał mu zniknąć z pola widzenia. Ostatnią rzeczą, której by chciał, to żeby Tony przyłapał go na konszachtach z tropicielem, bo wtedy o wszystkim dowiedziałby się Terry Higgins.

Wally dawał Erniemu gwałtowne sygnały przez okno. Chciał, by mężczyzna przeszedł na podwórko za hotelem, by na spokojnie porozmawiać z nim koło ubikacji. Następnie gestem dał znak Tedowi, by zajął rozmową Tony’ego, a sam wyszedł.

Kiedy tylko się spotkali, Wally syknął:

– Co ty tu robisz?

– Czy biały facet na pewno miał dziś wyjechać z miasta?

– Tak, na pewno! Tony mi mówił, że nie będzie go przez jakiś czas.

– Tylko jeden człowiek wyszedł z hotelu – oświadczył Ernie. – Ale z miasta nie wyjechał.

Wally aż zamrugał, zaskoczony.

– To był Thompson. Co to znaczy, że nie wyjechał? Szedłeś za nim?

Zdenerwował się tak, że zupełnie zapomniał o swoim postanowieniu, by nie zdradzić Erniemu

tożsamości Stuarta Thompsona, po prostu na wypadek, gdyby ktoś go kiedyś o to spytał.

– Tak. Wszedł do domu poganiacza wielbłądów.

Wally podniósł oczy.

– Wiedziałem. – Nagle wyraz jego twarzy się zmienił. – Wobec tego co tu, u diabła, robisz? Przecież mógł wyjechać z miasta, a ty tego nie zauważyłeś!

– Widziałem, jak wchodził do domu, ale nie wyszedł, więc myślę, że nigdzie nie pojechał.

– Pewien jesteś? Bo do hotelu nie wrócił.

– Patrzyłem na ten dom prawie dwie godziny.

– Jesteś pewny, że nie mógł się wymknąć niezauważony? Może jest sprytny?!

– Sprawdziłem: tam są tylko jedne drzwi i dwa okna od frontu. Musiałbym go zauważyć.

Wally podrapał się w głowę, zakłopotany.

– A czy w ogóle ktoś wychodził? – spytał, mrużąc oczy.

– Tylko jakiś Afgańczyk. Chyba ten Goolim. Poszedł do meczetu.

– Co to znaczy „chyba Goolim”? Nie widziałeś jego twarzy? – dociekał Wally.

Zaczął podejrzewać, że Erniego wystrychnięto na dudka.

– Nie... – odparł Ernie, zdziwiony pytaniem. – Miał zasłonę na głowie.

– Cholera! – zaklął Wally. – To nie był żaden Goolim! To był Thompson!

Ernie wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem. Zrobiło mu się gorąco.

– Musiał podejrzewać, że ktoś go śledzi – stwierdził Wally. Wiedział, że aby dostać się do zagród wielbłądów, trzeba minąć meczet.

Potrząsnął głową. Naprawdę podziwiał przebiegłość Stuarta Thompsona i był tym bardziej przekonany, że tamten znalazł bogate złoża złota. Spojrzał na zegarek.

– No, to teraz ma nad nami przewagę dwóch godzin. Dasz radę go tropić?

Ernie podrapał się w głowę. Sprawa nie była łatwa: mnóstwo Afgańczyków na wielbłądach codziennie wjeżdżało do miasta i wyjeżdżało na pustynię. Ale tego nie mógł powiedzieć Wally'emu. Potrzebował pieniędzy, a Wally mu je obiecał.

– Jasne, że dam radę – rzekł.

Wally nie był przekonany.

– Widziałeś, żeby ktoś wyjeżdżał na wielbłądzie?

Prawdę mówiąc, Ernie właściwie nie zwracał na to uwagi, ale po chwili namysłu rzekł:

– Nie mógł pojechać na północ, bo wtedy bym go zobaczył, więc musiał pojechać na zachód.

– Radzę ci pójść za nim – rzucił Wally. – Muszę wrócić do baru, zanim Tony zacznie coś podejrzewać.

Ujechawszy jakieś trzydzieści kilometrów od Marree, Stuart Thompson kazał wielbłądowi uklęknąć, po czym zsiadł. Był w pobliżu niskiego skalistego pagórka. Uwiązał wielbłądy i wspiął się na skałki, dzięki czemu miał przed sobą doskonały widok na pustynię. Nie dostrzegł niczego w promieniu siedmiu kilometrów. Spojrzał w stronę Marree. Tam również było pusto. Nie widział nikogo na piasku drżącym od upału. Zszedł z pagórka i rozłożył pod nim obóz.

Po zdjęciu sprzętu górniczego z grzbietu jednego wielbłąda i siodła z tego, na którym jechał, rozpalili ogień. Chciał zagotować wodę, otworzył puszkę fasoli z kiełbasą i wytrząsnął zawartość na patelnię. Odstawił patelnię na bok, przygotował wielbłądy do noclegu, uwiązując je do słupka, który wbił w ziemię. Znajdował się w odległości mniej więcej dwudziestu metrów od małego szybu, do którego wejście zasłaniały zarośla. Stuart spojrział w tamtym kierunku, by się upewnić, że zarośla są nienaruszone. To mogło poczekać do jutra rana.

Kiełbaski z fasolą zjadł dopiero, kiedy zaczęło się robić bardzo wietrznie. Zgasił ognisko i wsunął

się do małego namiotu, który ze sobą zabrał, by się schronić przed tumanami kurzu niesionymi wiatrem. Dziękował Bogu za to skaliste wzgórze, które zapewniało schronienie jemu i wielbłądom.

O zmroku Ernie zatrzymał się na parę minut. Szedł tropem dwóch wielbłądów. Przypuszczał, że muszą być zaledwie parę kilometrów przed nim, ale przeszkodził mu silny wiatr. To oznaczało, że za chwilę wszystkie ślady przykryje piasek.

Aborygen próbował sobie wyobrazić, co będzie, jeżeli wróci do Wally'ego i powie mu, że nie mógł śledzić Stuarta Thompsona, bo wiatr zatarł ślady. Myślał o swojej reputacji legendarnego tropiciela. Jacko na pewno go wykpi, a tego by nie zniósł! Nie mówiąc już o wstydzie wobec całego klanu. Utrata czci!

W końcu doszedł do wniosku, że ma dwa wyjścia. Może iść dalej w ciemności, polegając wyłącznie na własnym instynkcie, albo udać się do Fariny lub do Lyndhurst. Jednego był pewien: nie było mowy o powrocie do Marree, skoro nie wykonał zadania. Zatem, mimo zmęczenia i zapadających ciemności, ruszył dalej.

Kiedy wiatr przybrał na sile i powietrze wypełnił gęsty kurz, Ernie się zorientował, że z trudem dostrzeżga cokolwiek nawet o metr od siebie. Musiał cały czas trzymać opuszczoną głowę i przymykać oczy. Nie miał pojęcia, gdzie jest, nigdzie nie mógł się schronić... chyba że dotrze do tego niewielkiego skalistego pagórka, który kiedyś widział; to było parę kilometrów stąd.

W ciągu kilku minut gęsty kurz zakrył resztki światła; zrobiło się ciemno jak w nocy. Kiedy Ernie szedł, zataczając się, piach wirował wokół niego, a wicher wył upiornie. Ernie posuwał się ostrożnie, ale w końcu zmęczenie sprawiło, że poruszał się jak w transie. Miał na sobie cienką koszulę, którą zdjął i owinął wokół głowy, by piasek nie zalepiał mu oczu, nosa i ust. Mózg zaczął płatać mu figle. Miał wrażenie, że słyszy, jak wzywają go duchy przodków. Serce waliło mu w piersi. Był przerażony, ale prosił ich, by mu wskazały właściwą drogę. Prosił, żeby uratowali jego dobrą opinię. Wiatr pchał go to w tę, to w drugą stronę, a piasek przenikał przez skórę. Od czasu do czasu Ernie się potykał i wpadał w kolczaste krzewy. Kolce pokłuły mu nogi, ręce i ramiona, nie czuł jednak bólu. Był potwornie znużony, ale coś w duchu zmuszało go, by szedł dalej.

W końcu po paru godzinach padł na ziemię jak martwy. Burza piaskowa przeszkadzała mu w marszu, poza tym był kompletnie wyczerpany – umysłowo i fizycznie. Ale przodkowie ciągle wołali go do siebie...

Następnego ranka Stuarta Thompsona zbudziło brzęczenie much. Odchylił kłapę namiotu: okazało się, że jest pokryta piaskiem. Odgarnął go i wyszedł na zewnątrz. Potem zobaczył, że jego wielbłądy uciekły. Sznury, którymi je przywiązał, nadal tu były, prawdopodobnie nie owinął nóg wielbłądów dostatecznie mocno. Rozejrzał się z nadzieją, że zwierzęta pasą się gdzieś w pobliżu, ale nigdzie ich nie było.

Słońce jasno świeciło, a powietrze było spokojne i gorące.

Postanowił rozpalić ognisko i rozejrzał się za drzewem. Miał cichą nadzieję, że wielbłądy jednak wrócą. Nie chciał nawet myśleć o tym, co się z nim stanie, jeżeli ich nie będzie! Zebrał wiązkę drewna i nagle natknął się na ciało Aborygena, częściowo pokryte piaskiem.

Zaskoczyło go, co ten człowiek ma na głowie. Pewien, że mężczyzna nie żyje, Stuart rzucił drewno na ziemię i zaczął odwijać głowę leżącego. Po chwili zorientował się, że to koszula, i zrozumiał, że Aborygen chciał w ten sposób ochronić oczy, nos oraz usta podczas burzy piaskowej.

Ernie jęknął, co zaskoczyło Stuarta.

– Na Allacha! Żyjesz! – zawołał radośnie.

Nagle zrozumiał, jaki ma dylemat. Aborygen sprawiał wrażenie odwodnionego i potrzebował pomocy... Stuart pomyślał jednak o kopalni. Naprawdę chciał zabrać tego człowieka do obozu i dać mu jeść i pić, ale niemógł zdradzić swojej tajemnicy. Przez sekundę miał ochotę zostawić potrzebującego

samemu sobie, tu, na pustyni, na pewną śmierć...

Ale – czy mógłby być taki bezduszny?

Kiedy tak patrzył na Erniego, na jego fatalny stan, poczuł, jak ogarnia go poczucie winy. Jak może myśleć o kopalni, kiedy życie innej istoty ludzkiej wisi na włosku?

Ukląkł obok Aborygena. Wiedział, że musi przenieść go do cienia.

– Chodź ze mną. Dam ci wody – powiedział, usiłując podnieść mężczyznę.

Ernie miał tak wysuszone usta, że nie mógł mówić. Z trudem wyciągnął rękę, a Stuart go dźwignął. Musiał nieść biedaka do obozu. Tam ułożył go w cieniu namiotu i dał mu wody.

– Pij powoli – pouczał, kiedy Ernie łyknął wodę jednym haustem. Nic w życiu mu tak nie smakowało. Kiedy wypił prawie całą wodę z manierki, poczuł się trochę lepiej. W głowie mu huczało, ale przynajmniej czuł wilgoć w ustach i gardle.

– Mam na imię Stuart. A ty?

– Ernie Mandawauy – słabym głosem odparł Ernie.

– Co robisz na pustyni?

Aborygen rozpoznał Stuarta i był zdumiony ironią losu: oto właśnie poszukiwany znalazł szukającego!

– Tak sobie szedłem – zełgał. – Zwykle umiem znaleźć wodę w każdym miejscu na pustyni, ale zaskoczyła mnie burza... – Aż zadygotał na wspomnienie przerażających wołań przodków... Co mogły znaczyć?

– Chyba widziałem cię w Marree – zauważył Stuart.

Był pewien, że przynajmniej raz widział tego człowieka.

– Ja dużo chodzę po buszu – mruknął Ernie w nadziei, że nie wzbudzi podejrzeń.

– Bo inaczej się nie da – przyznał Stuart. – A teraz dokąd szedłeś?

– Do takiego świętego miejsca Aborygenów, gdzie ludzie z mojego klanu urządzają *corroboree*<sup>[9]</sup>, ale się zgubiłem przez tę burzę... – odparł Ernie. – Tam się spotyka wielu ludzi z klanu.

Okropnie się czuł, kiedy tak kłamał, ale myślał o Wallym i o tym, jaki byłby zły, gdyby Ernie go zdradził.

A zresztą... mniej więcej w tej okolicy rzeczywiście urządzano *corroboree*, więc to nie było takie zupełne kłamstwo.

Stuart spojrział na Erniego. Nie mógł uwierzyć, że przez chwilę chciał go zostawić bez pomocy. Zawsze uważał się za człowieka pełnego ludzkich uczuć. Co się z nim stało? Zerknął w stronę swojej kopalni.

Tak, to właśnie to. Podobnie, jak tylu innych, których znał, złoto go odmieniło. Poczuł okropny wstyd.

– Pewnie jesteś ciekaw, co tu robię? – powiedział wreszcie.

Ernie nie odpowiedział. Spojrział tylko na niego tępo. Czuł się winien, że oszukuje tego mężczyznę, który wydał mu się bardzo miły. Zupełnie inny niż Wally Jackson. Ten zawsze myślał tylko o sobie.

– Szukam tutaj złota – rzekł spokojnie Stuart.

Nagle uznał, że jest mu obojętne, czy Ernie o tym wie, czy nie. Może się w ten sposób oczyszczał z winy, a może już mu było wszystko jedno? Gdyby pozwolił Erniemu umrzeć, stałby się złym człowiekiem... a tego by nie zniósł.

– Jak się tu dostałeś? – spytał Ernie. Nigdzie nie widział wielbłądów.

– Przyjechałem na dwóch wielbłądach, ale podczas tej burzy uciekły.

– Do Marree daleka droga... – stwierdził Ernie.

– Tak, to prawda. – Stuart rozejrzał się po pulsującej od gorąca pustyni. Wiedział, że nigdy nie uda mu się wrócić bez pomocy. – Ta pustynia sprawia, że człowiek czuje się taki maleńki, taki nic nieznaczący... – dodał.

Ernie nie wiedział co prawda, co oznacza wyrażenie „nic nieznaczący”, czuł jednak, że rozumie, co Stuart miał na myśli.

– Ona cię może łatwo zabić – rzekł.

Pomyślał o wołających go do siebie przodkach i mimo upału przeszedł go dreszcz. Nie spodziewał się, że przeżyje.

– Zawdzięczam ci życie – powiedział wreszcie.

– Jeszcze mi nie dziękuj, bo ja z kolei bez twojej pomocy nie będę mógł wrócić do miasta. – Stuart znowu się rozejrzał. – W końcu obaj mamy tylko siebie – stwierdził.

Fakt.

Ernie umarłby bez jego pomocy, a teraz on potrzebował pomocy Aborygena!

– Musimy na sobie polegać. – Pierwszy raz od bardzo długiego czasu Stuart widział wszystko bardzo jasno i wyraźnie. – Bo co ja tu, u diabła, robię? – spytał Erniego, który nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. – Po co mi złoto? Przecież właściwie niczego nie chcę, niczego nie potrzebuję!

– Mój lud wie, gdzie jest złoto i dużo opali – rzekł Ernie. – Ale my tego nie dotykamy. Biali ludzie tego chcą, ale Aborygeni chcą tylko prostego życia. My potrzebujemy tylko jedzenia, wody, a jak jest zła pogoda, to schronienia. Kiedy indziej wolimy spać pod gołym niebem!

Nie wspomniał o tym, jak lubi od czasu do czasu wypić butelkę grogu, bo wiedział, że to nic dobrego – i wstydził się. A dla Stuarta nagle wszystko stało się jasne. Skoro miał jedzenie, schronienie i parę funtów w kieszeni, czego mu więcej trzeba?

– A co wam daje szczęście, Ernie?

Aborygen spojrzał w górę na bezkresne niebo, w tej chwili oślepiająco błękitne.

– Kocham widzieć, jak słońce wstaje, jak budzi się nowy dzień... i lubię mieć przy sobie rodzinę.

Sam siebie pytał, co robi. Dlaczego śledził białego, nieznanego człowieka na rozkaz złego mężczyzny, Wally’ego Jacksona? Tamten na pewno by się nie zmartwił, gdyby Ernie umarł. Czy duchy przodków próbowały go obudzić ze złego snu?

– A ty? Co ci daje szczęście? – spytał Stuarta.

– Kilku dobrych kumpli i zimne piwo – odparł.

– Nie masz rodziny?

Stuart zasmucił się na myśl o Catherine i ich krótkim wspólnym życiu w górniczym mieście Kalgoolie w Zachodniej Australii.

– Nie w Australii – odpowiedział. – Mam braci i siostry... część mieszka w Anglii, część w Ameryce. Mój najmłodszy brat mieszka w Walii, razem z rodzicami.

Stuart wyjechał do Australii pięć lat temu, w wieku dwudziestu dziewięciu lat.

– Nie słyszałem o takim miejscu – wyznał Ernie.

– To część Wielkiej Brytanii – wyjaśnił Stuart.

– Aha! To pewnie ważne miejsce... – stwierdził Ernie.

Stuart nie mógł powstrzymać uśmiechu wobec naiwności Aborygena. Cóż, jego świat był mały i nieskomplikowany. Nagle mu pozazdrościł.

– Mam żonę i pięcioro dzieci – powiedział Ernie i spuścił głowę. – Ale nie widziałem ich od dawna... – Ostatnio był zajęty wyłącznie własnymi sprawami... i pijaństwem.

I znów Stuart pomyślał o tym, że przez chwilę chciał pozwolić Erniemu umrzeć... a tymczasem Ernie ma żonę i pięcioro dzieci, i wszyscy oni go potrzebują. Poczł niesmak i niemal pogardę dla samego siebie.

Nie miał pojęcia, że Ernie czuł w tej chwili dokładnie to samo.

# Rozdział czternasty

---

Następnego dnia, późnym popołudniem, Stuart Thompson wracał do Marree. Z Erniem rozstał się mniej więcej półtora kilometra wcześniej: tamten szedł do Lyndhurst, a potem miał zamiar wyruszyć na wschód, jakieś sto dziesięć kilometrów, do miejsca o nazwie Arkaroola, gdzie mieszkała jego rodzina.

Stuart początkowo niepokoił się pomysłem Aborygena, ale kiedy mężczyzna go wyśmiał, zrozumiał, że: „chodzenie tu i tam” oznaczało wędrowanie piechotą setki kilometrów, i że Ernie robił to zawsze.

Aborygen należał do klanu Adnyamathanha z miejscowości Flinders. Opowiedział Stuartowi, że jego bracia żyją sobie spokojnie w Arkaroola, polując na wzgórzach i łowiąc ryby w jeziorze Frome. Kiedy Stuart go spytał, co robił w Marree, nie bardzo umiał wytłumaczyć, dlaczego nie był zadowolony ze swojego dawnego życia. Potrzeba wędrowania, czyli chodzenia tu i tam, stanowiła oczywiście część jego kultury, ale tym razem został poza domem o wiele dłużej, niż powinien. A co do jego konszachtów z białymi, którzy częstowali go grogiem, wolał teraz o nich zapomnieć.

Ernie i Stuart spędzili w obozie kilka nocy na rozmowach, a zasypiali pod gołym niebem. Aborygen próbował zrozumieć wnętrze własnej duszy i zdecydował, że ta chwila, kiedy był bliski śmierci, to było ostrzeżenie od przodków i nakaz, że powinien zmienić swoje życie.

Pierwszą rzeczą, jaką Stuart zrobił po powrocie do Marree, było spotkanie z Goolimem. Chciał powiedzieć, że wielbłądy uciekły, i miał zamiar wynagrodzić mu ich stratę. Nie wiedział, że zwierzęta wróciły tego południa do zagrody Goolima, i że Afgańczyk szaleje z niepokoju na myśl, co się stało ze Stuartem.

Kiedy wielbłądy przysły bez Stuarta, Goolim nie wiedział, co ma zrobić. Ponieważ był zobowiązany do zachowania tajemnicy, nie mógł nikomu zdradzić miejsca, do którego udał się Stuart, mimo że znał jego lokalizację tylko w ogólnych zarysach. Już miał się wybrać na poszukiwania, kiedy do jego drzwi zapukał zaginiony.

Goolim o mało nie stracił przytomności, tak mu ulżyło, ale był też zaskoczony, że Stuart przeszedł tak daleką drogę.

– Ty żyjesz! – zawołał, składając ręce i patrząc w niebo, jakby się modlił.

– Tak, ale twoje wielbłądy...

– Są tutaj, w zagrodzie! – zapewnił go Goolim.

Tym razem to Stuart poczuł ulgę.

– Co się stało? – spytał Goolim. – Kiedy Hannibal i Lileth wróciły bez ciebie, nie wiedziałem, co mam o tym myśleć!

– Uciekły dwie doby temu, podczas burzy piaskowej – wyjaśnił Stuart. – Pewnie za słabo je uwiązałem. Miałem nadzieję, że następnego ranka wrócą do obozu, ale nie...

– To normalne, zawsze wracają do domu, do stada – odparł Goolim. Cieszył się, że jego wielbłądy dotarły do Marree, bo były wiele warte, ale martwił się też losami białego poszukiwacza złota. – Ekwipunek zostawiłeś na pustyni?

– Tak – przyznał Stuart ze znużeniem w głosie. Razem z Erniem schowali wszystko w szybie kopalni, a potem zasypali wejście. Co prawda, miejsce było tak odludne, że raczej nikt nie powinien się na nie natknąć; Stuart był z tego bardzo zadowolony. Zajęło mu to dużo czasu, ale w końcu zrozumiał, że złoto może zmienić człowieka.

Goolima zaskoczyła ta zmiana w Stuarcie. Wydawał się o wiele spokojniejszy niż wtedy, gdy wyjeżdżał z miasta. Afgańczyk złożył to na karb zmęczenia.

– Chce pan, żebym tam pojechał i zabrał narzędzia górnicze, czy sam pan tam wróci?

– Nie mam zamiaru tam wracać i nie będę już potrzebował narzędzi.

Powiedziawszy to, Stuart skierował się wprost do hotelu, pozostawiając Goolima drapiącego się z zakłopotaniem w głowę.

Tego sobotniego popołudnia w hotelu byli zwykli goście: Wally, Les, Ted Wallace, Barry Bonzarelli i właściciel sklepu, Fred Powell. Lily, Missy i Rita siedziały na werandzie, czekając, aż mężczyźni poczęstują je drinkami.

W barze był też Terry Higgins, obecnie już po służbie, niemniej Rita i pozostałe Aborygenki starały się zachowywać bardzo poprawnie. Żadna z nich, a już zwłaszcza Rita, nie miała ochoty przesiedzieć nocy w areszcie za pijaństwo albo za zakłócanie spokoju, a wiedziały, że Terry nie będzie się wahał ani chwili. Już nieraz musiał aresztować Ritę pod groźbą rewolweru, tylko w ten sposób mógł ją doprowadzić do celi, kiedy była pijana i w furii.

Arabella miała zamiar pograć trochę na fortepianie po kolacji, ale w tej chwili siedziała z Jonathanem w salonie hotelowym i oglądała dopiero co wywołane fotografie. Dzisiaj szczególnie zależało jej na obejrzeniu zdjęć, bo tego ranka Jonathan zabrał ją ze sobą do miasta, żeby sfotografować aborygeńskie dzieci. Była zachwycona kontaktem, jaki nawiązał z maluchami, i sposobem, w jaki je zachęcał, żeby się uśmiechały. Ale teraz, kiedy oglądała zdjęcia, widziała, że ujął w nich o wiele więcej: niewinność, ciekawość i szczerą otwartość. Rozdawał im drobiazgi, które specjalnie kupił na bazarze od Mohometa Basheera, i cukierki ze sklepu Freda Powella.

Arabella czuła się oczarowana jego dobrocią i troskliwością. Dzięki niemu sama stawała się lepszą osobą. Im bliżej go poznawała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, jaką była zepsutą, nadętą panną. Wstydziła się swojego zachowania wobec rodziców. Chciała to wszystko naprawić, ale jak miała to zrobić? Mijały kolejne tygodnie od czasu, kiedy ostatni raz ich widziała, a pociąg do tej pory nie wrócił.

Kiedy tylko Stuart wszedł do baru, zobaczył przez drzwi do salonu Arabelle i Jonathana, pomachał ręką Tony'emu i podszedł do nich. Nie zauważył zdumionego wyrazu twarzy Wally'ego Jacksona na jego widok ani spojrzeń, jakie między sobą wymienili Wally, Les i Ted. Wally nie miał pojęcia, że przyjaciele poczuli ulgę na widok Stuarta, bo nie wierzyli, żeby ich kumpel wytrwał w swoich zamiarach. Początkowo podobał się im pomysł, że staną się bogaci dzięki zdobytemu złotu, ale po przemyśleniu wszystkiego uznali, że i tak nie mogliby go wydać w Marree i musieliby wyjechać na zawsze do wielkiego miasta. Obaj bardzo się martwili, że Wally robi krzywdę Stuartowi, a może nawet go zabije. Na szczęście Ernie jeszcze nie wrócił i nie zdradził, gdzie jest kopalnia – o ile w ogóle jakaś była. Teraz mogli odetchnąć i rozkoszować się swoim piwem.

– Stuart! – zdziwił się Jonathan, kiedy tamten podszedł do stołu, przy którym siedzieli we dwójkę z Arabelle. – Tak prędko wróciłeś?

Arabelle też zdziwił widok mężczyzny.

– Wszystko OK? – wtrącił się Tony. Wszedł za Stuartem do salonu. – Zdawało mi się, że miał pan na jakiś czas wyjechać.

– Zmieniłem zamiar – odparł Stuart, siadając obok Jonathana.

– A z jakiego powodu? – spytał Tony. – Kiedy pan stąd wyjeżdżał, wydawał się pan bardzo przejęty perspektywą znalezienia złota.

W drzwiach zgromadzili się pozostali goście: każdy był ciekaw, co odpowie Stuart.

– To żadna tajemnica – odpowiedział zapytany. – Złoto już mnie nie interesuje.

Tony i pozostali goście wymienili zdziwione spojrzenia.

– Myślałem, że bogactwo da mi szczęście, ale nie miałem racji – dodał Stuart. – Są rzeczy, których nie można kupić za pieniądze.

– Na przykład? – nietaktownie spytał Tony tylko po to, żeby poczuć, jak Maggie uderza go łokciem w bok.

– Jak dobrzy koledzy albo zdrowie... – Stuart mógł znaleźć na pustyni ogromne złoża złota, ale gdyby nie spotkanie z Erniem, umarłby tam niechybnie i bogactwo na nic by się mu nie przydało. – Kiedy tylko pociąg wróci, wyjadę – oświadczył.

Tony i pozostali byli pewni, że coś musiało wydarzyć. Każdy miał inne przemyślenia, ale w większości uważali, że Stuart po prostu nie znalazł złota, i teraz wstydził się do tego przyznać.

– Trafił pan na burzę piaskową? – spytała Maggie.

– Tak! Wielbłądy, które pożyczyłem od Goolima, uciekły – przyznał Stuart. – Na szczęście wróciły same do miasteczka.

Terry Higgins stał z tyłu za Tonym.

– Musiał pan sporo przejść – zauważył.

– Około trzydziestu kilometrów – odparł Stuart.

– Musi pan być w świetnej formie! Tyle kilometrów w tym upale! – zdziwił się Terry. Widział, że Stuart ma bardzo opalone ramiona, jest zakurzony i zmęczony. Nie było wątpliwości, że wrócił z pustyni, ale czy mówił prawdę?

– Gdyby się w twoim barze znalazło jakieś zimne piwko, Tony, nie odmówię!

Tony zerknął na Maggie, a ta czym prędzej podała Stuartowi piwo. Jednym z gości, gorliwie zainteresowanych tym, co powiedział Stuart, był Wally. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić.

– Musiał pan zabrać ze sobą mnóstwo wody – rzekł Terry podejrzliwie. Uważał, że relacja Stuarta nie trzyma się kupy. Żaden biały człowiek nie byłby w stanie przewędrować pieszo trzydziestu kilometrów w palącej spiekocie pustyni. Mógł najwyżej doczołgać się do miasta na czworakach!

– Wracałem razem z Erniem Mandawauyem – wyjaśnił Stuart. – On wie, gdzie można znaleźć wodę.

Teraz dopiero Terry zrozumiał; natomiast Wally o mało nie dostał ataku serca. Co Ernie robił ze Stuartem? Miał go przecież szpiegować, a nie oprowadzać po Wielkiej Pustyni Wiktorii.

Kiedy inni stali wokół stolika i rozmawiali ze Stuartem, Wally wyszedł do baru z Lesem i Tedem.

– Słyszeliście, co mówił Thompson? – spytał kumpli. – Wrócił do miasta z Erniem. Co, u diabła, ten czarnuch wyczynia?

– Ja tam nie wiem – odparł Les, popatrując na Teda.

– No... ja w każdym razie spróbuję się dowiedzieć – rzekł Wally i wymaszerował z baru.

Wkrótce potem wrócił, wściekły.

– Stuart Thompson musi kłamać. Erniego nie ma w mieście; nikt go nie widział – syknął.

– Kiedy ciebie nie było, Thompson opowiadał, że Ernie wrócił w swoje rodzinne strony – mówił Ted, zerkając na innych gości.

Wally wytrzeszczył oczy.

– Rodzinne strony! Gdzie to jest, u diabła?

– Ciii... – uspokajał go Ted. – To chyba gdzieś we Flinders Ranges.

– Wiesz, co to oznacza? – mruknął Wally.

– Nie wiem... Co takiego?

– Ernie musiał odkryć, gdzie jest kopalnia. Sprowadził Thompsona z powrotem do miasta, a sam wydobydzie złoto.

– Wątpię – odparł Ted. – Stuart mówił, że Ernie o mało tam nie umarł, znalazł biedaka wyczerpanego i zabrał do obozu.

Oczy Wally'ego zwięziły się.

– Nie wierzycie mi, co?



– A niby dlaczego Stuart miałby nie mówić prawdy o tym, co się stało? – zdziwił się Les.

– Przedtem Stuart ukrywał miejsce, gdzie jest ta kopalnia, więc niby dlaczego miałby zabierać Erniego właśnie tam? To mi się wydaje bez sensu. Okazuje się, że ten cały Ernie jest sprytniejszy, niż myślałem.

– To znaczy?

– Uważam, że Ernie tropił Thompsona, a potem udał, że umiera, żeby go zmylić. Musiał przekonać Thompsona, żeby ten zrezygnował z poszukiwań. – Wally potrząsnął głową ze zdziwieniem. – Ten czarnuch jest rzeczywiście bystry. Kto by pomyślał? Musimy spróbować go znaleźć.

– Ja tam nie idę na pustynię – zaprotestował Les.

– Ani ja – dodał Ted.

– Głupki, niedołęgi! – rozzłościł się Wally. – Nie jesteście mi potrzebni!

I wściekły opuścił bar.

Podniecenie i nerwowe zachowanie Wally'ego zwróciło uwagę Terry'ego Higginsa siedzącego w drugim końcu baru. Wiedział, że mężczyzna zawsze szuka okazji do łatwego zdobycia pieniędzy, i był ciekaw, co go rozdrażniło.

Tuż za hotelem Wally dał znak Lily, żeby za nim poszła na zaplecze. Kobieta pomyślała, że chodzi mu o seks. Spojrzała na Ritę i Missy, wstała, by za nim pójść, i przewróciła oczyma. Wally zawsze traktował dziewczyny z pogardą, nawet wtedy, kiedy był pijany i potrzebował kobiety na noc. To, że ją wezwał teraz, po południu, trochę ją zaskoczyło, ale potrzebowała tych paru groszy.

Kiedy oboje zniknęli z oczu gościom, Wally odwrócił się do Lily.

– Kto w mieście jest najlepszym tropicielem? – spytał.

– Ernie Mandawauy – odparła bez wahania Lily.

– A oprócz Erniego?

– Oprócz Erniego... Jimmy Wanganeen chyba jest najlepszy.

– Nie za stary na tropienie?

– Jimmy wie, co robi. Naprawdę jest dobry.

– Gdzie go mogę znaleźć?

Aborygeni stale się przemieszczali, przychodzili do miasta i opuszczali je, więc Wally nie wiedział, gdzie ich szukać.

– A nie chcesz *dungga*...? – Lily podniosła brudną spódnicę, odsłaniając chuderlawe nogi i fakt, że nie nosiła nic pod spodem.

– Boże drogi, nie! – Wally odwrócił się z obrzydzeniem. Musiałby być naprawdę porządnie pijany, żeby znieść ten widok.

Lily była obrażona.

– To po co mnie wołałeś?! – wrzasnęła.

– Ciii... – uspokajał ją Wally, wiedząc, że krzyk może zwrócić uwagę Rity. – Chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jest Jimmy Wanganeen.

Tak, jak przypuszczał, pojawiła się Rita. Wyglądała na rozgniewaną.

– Co tam? – spytała.

– Nic! – parsknął. – Prosiłem Lily, żeby mi podała pewną... informację.

– Jaką informację? – dopytywała się Rita, zmrużywszy oczy. Podeszła do Wally'ego z zaciśniętymi pięściami.

– Miałem jej właśnie zapłacić – tłumaczył się Wally i wyciągnął z kieszeni parę monet.

– Czego szukasz? – podejrzliwie rzuciła Rita.

Wally nie chciał, żeby ktoś wiedział, że szuka tropiciela.

– Chciałem się dowiedzieć, gdzie znajdzie Jimmy’ego Wanganeena – mruknął.

– Po co ci on?

– On szuka tropiciela – wyjaśniła Lily.

Wally przewrócił oczyma z rozpaczą. Miał ochotę ją udusić.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, o co proszę!

Oczy Rity pojaśniały i Wally zrozumiał, że będzie musiał jej zapłacić. Niechętnie wyciągnął z kieszeni dwa banknoty jednofuntowe.

Po zamknięciu baru Jonathan wpadł na Stuarta na tyłach hotelu. Mężczyzna wracał właśnie z przechadzki, korzystając z chłodnego wieczoru.

– Myślałem, że będziesz zmordowany po takiej długiej wędrówce – zauważył – a tymczasem znowu spacerujesz!

– Musiałem coś przemyśleć, na zewnątrz jest chłodniej – wyjaśnił Stuart.

– Coś cię gnębi?

– A dlaczego pytasz?

– Nie gniewaj się, ale jesteś teraz zupełnie innym człowiekiem.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo prawdziwe jest to, co powiedziałaś – przyznał Stuart.

Był gotów otworzyć się przed nim, nie wiedział jednak, że za ubikacją kryje się Wally Jackson.

Wally znalazł co prawda Jimmy’ego Wanganeena, ale jego stara żona, wyglądem przypominająca chudego stracha na wróble, powiedziała, że Jimmy jest zbyt chory, żeby chodzić na pustynię. Wally był przekonany, że Jimmy po prostu się upił, więc zareagował gniewem. Wrócił do hotelu, żeby też się upić, ale bar był już zamknięty. To rozwścieczyło mężczyznę nie na żarty. Kiedy więc zobaczył spacerującego Stuarta, poszedł za nim.

– Na pustyni wydarzyło się coś, z czego nie jestem dumny, ale nie mam ochoty o tym opowiadać – mówił Stuart.

– Jeżeli nie znalazłeś złota tam, gdzie się go spodziewałeś, to nie ma w tym żadnego wstydu – uspokajał go Jonathan.

– Nie o to chodzi. Złoto tam jest i to niemało, ale zdarzyło się coś, co sprawiło, że zrozumiałem, iż go nie potrzebuję. Chyba nikt w mieście nie zrozumie tego z wyjątkiem ciebie, Jonathanie.

Istotnie, Jonathan zrozumiał.

– Stare porzekadło, że za pieniądze nie da się kupić szczęścia, okazało się prawdą, tak? – rzekł. – Ale niektórzy tracą całe życie, żeby w końcu się dowiedzieć, co ich uszczęśliwia.

Na wargach Wally’ego pojawił się chytry uśmiezek.

„Ja tam wiem, że znalezienie złota przyniosłoby mi szczęście – pomyślał – ale jak mam to zrobić?”

Nagle wpadł na pomysł; musiał tylko się z nim przespać, by z jasnym umysłem ułożyć dokładny plan. Omyłka była wykluczona. Jedno wiedział na pewno: nie miał najmniejszego zamiaru włączać w swoje plany Lesa Mitchella ani Teda Wallace’a.

Sam sobie poradzi bez tych tchórzliwych głupoli.

– Umówiłem się z Paddym na jutro rano: ma mnie zawieźć na zachód, do skalistej grani – powiedział Arabelli Jonathan następnego ranka. – Tam niedaleko ma się odbyć *corroborree* – tańce aborygeńskie. Chciałbym je sfotografować, ale najpierw muszę mieć pozwolenie od *kadaitcha*<sup>[10]</sup>, bo ceremonia jest święta.

– To musi być bardzo ciekawe! – zawołała Arabella.

– Miałem nadzieję, że pani tak powie, bo chciałem panią poprosić o towarzyszenie mi.

– Z rozkoszą – odparła Arabella, zachwycona faktem, że ją poprosił.

Nagle coś przyszło jej na myśl.

– Paddy zwykle doi jedną ze swoich wielbłądów, żeby nakarmić mlekiem małego Uriego. Jeżeli z nami pojedzie, Uri nie dostanie mleka!

– O, jestem pewien, że Paddy coś wymyśli. Może jakiś inny Afgańczyk nakarmi małego?

Arabela myślała ze zmarszczonymi brwiami.

– Czy będę musiała jechać na wielbłądzie?

– Mogłaby pani wziąć konia Stuarta, ale dzisiaj po południu okazało się, że klacz ma złamaną podkowę. Tony ma ją naprawić i nie wiem, jak długo to potrwa.

– Rzeczywiście... widziałam wczoraj, że kuleje...

– Mówię uczciwie: kiedy się pani raz zdecyduje wsiąść na wielbłąda, będzie się pani dziwić, dlaczego się pani tego bała.

Próbowała się uśmiechnąć, ale nie była uspokojona. Ta wyprawa miała oddalić jej myśli od Stuarta, który jakoś nie chciał wrócić do ich romantycznych stosunków. Rzucił jej tylko krótkie „dobranoc”. Musiał być wyczerpany marszem przez pustynię.

– Wstawaj – rzekł Wally do Goolima. Na tym odludziu nikt nie zamykał drzwi na noc, więc po prostu wszedł do domu i przystawił mu strzelbę do głowy.

Dochodziła czwarta rano.

Goolim drgnął, po czym prawie krzyknął.

– Co... co robisz?!

Przez otwarte okno wpadała poświata księżyca, więc rozpoznał Wally'ego, który zresztą nie miał zamiaru się ukrywać.

– Zabierzesz mnie do kopalni Stuarta Thompsona – syknął rozkazująco Wally.

– Ale... ja nie wiem, gdzie to jest – jękał się Goolim.

Wally widział w ciemności pokoju białka oczu mężczyzny. Goolim był przerażony.

– Oczywiście, że wiesz. Nie bierz mnie za głupca.

– Mówię prawdę! Nigdy mu nie towarzyszyłem.

Wally nie wierzył ani jednemu słowu Afgańczyka.

– Wstawaj! – rozkazał ze złością.

– Co chcesz zrobić? – Goolim zląkł się o własne życie.

– Jeżeli mnie tam zawieszysz, daruję ci życie. Jeżeli nie, zabiję!

Goolim wiedział, że nie ma innego wyjścia: musi współpracować. Wiedział, że w przeciwnym wypadku Wally go zastrzeli.

– Mogę ci tylko pokazać okolicę – powiedział. – Tam się już zorientujesz...

Wally uderzył go końcem strzelby w głowę.

– Ruszaj, szybko! – syknął.

Po skroni Goolima popłynęła strużka krwi. Wiedział, w jak trudnym jest położeniu.

Arabella tej nocy godzinami przewracała się po łóżku. Z niecierpliwością czekała na wyprawę z Jonathanem, ale nadal była przerażona pomysłem jazdy na wielbłądzie. Słyszała, jak zegar wybija dwunastą, potem pierwszą, drugą, trzecią... wreszcie o czwartej wstała i ubrała się.

W kuchni zrobiła sobie filiżankę herbaty, po czym wyszła na spacer w stronę zagród wielbłądów. Postanowiła, zmierzyć się z własnym lękiem. Pomyślała, że jeżeli się jej to uda, będzie pewniejsza siebie, wsiadając na wielbłąda, i nie wyjdzie na kompletną idiotkę.

Goolim trzymał swoje wielbłądy w największej zagrodzie. Arabella stanęła przy płocie, ale zwierzęta zgromadziły się na tyłach dziedzińca. W tej bezpiecznej odległości Arabella nie czuła potrzeby „mierzenia się z własnym strachem”. Nie, musi podejść bliżej. Ponieważ dziedzińiec był bardzo obszerny, a niektóre z wielbłądów młode, uznała, że będzie najbezpieczniejsza właśnie między nimi.

Wiele razy widziała, że Afgańczycy właśnie tak robili, a wielbłądy nie zwracały na nich uwagi. Agresywne wydawały się tylko duże samce, kiedy samice były w okresie rui.

Arabella przeszła przez płot i zaczęła się przechadzać pomiędzy zwierzętami. Większość ledwie zwracała na nią uwagę, ale jeden czy dwa obrzuciły ją spojrzeniem pełnym ciekawości.

– No proszę... – szepnęła sama do siebie. – Wcale nie są takie straszne!

W miarę upływu czasu czuła się coraz bardziej odważna. Zbliżyła się nawet do spokojniejszych samic i głaskała je. Niektóre wydawały dziwne dźwięki, ale stopniowo Arabella zaczynała pojmować, że to właściwie niczym nie grozi.

Chodząc pomiędzy wielbłędami, rozglądała się. Nagle ktoś przed nią stanął.

Krzyknęła, zaskoczona, ale zaraz sobie przypomniała, że Goolim czasami pilnował swoich zwierząt przed dzikimi wielbłędami, więc uznała, że to on.

– Goolim... – powiedziała, usiłując w ciemnościach rozpoznać jego rysy. To był on. – Przestraszyłeś mnie. Czekasz tu na dzikie wielbłądy?

Goolim nie wiedział, co powiedzieć.

– Co... co pani... tu robi?

– Nie mogłam spać, więc postanowiłam poradzić sobie ze strachem przed wielbłędami. Przepraszam, jeżeli cię przestraszyłam...

Goolim nie odpowiedział. To milczenie sprawiło, że Arabella się złękła: coś tu było nie w porządku.

Właśnie miała spytać o to mężczyznę, kiedy nagle poczuła zimny przedmiot na plecach.

– Co tu robisz o tej porze? – burknął jakiś głos.

Następnego ranka Maggie rozglądała się za Arabellą. Przygotowała jedzenie na drogę, które dziewczyna miała zabrać dla Paddy'ego i Jonathana. Kiedy wpadła w korytarzu na Jonathana, była już bardzo niespokojna.

– Widział pan Arabellę?

– Właśnie jej szukałem – odparł. – Nie ma jej ani tutaj, ani na zewnątrz. Poszedłem nawet do Ghan, ale tam też jej nie było. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała!

– Gdzieś musi przecież być – stwierdziła Maggie, coraz bardziej zmartwiona. – Nie mogła tak po prostu zniknąć!

– Wiedziała przecież, że mamy wyjechać dzisiaj wcześniej rano – zastanawiał się Jonathan. – Mimo że się boi wielbłądów, robiła wrażenie podekscytowanej.

– Myślałam, że jest w stajni z Urim, ale sprawdzałam i ani śladu! – narzekała Maggie. – Spytałam Tony'ego, może ją widział.

Jonathan podążył za kobietą do baru, gdzie jej mąż zapisywał coś w księgach.

– Widziałeś dziś rano Arabellę? – spytała Maggie.

– Nie. Sprawdzałaś w stajni?

– Tak, tam jej nie ma; Jonathan też jej szukał.

– Właśnie – zwrócił się Tony do Jonathana. – Jedzicie na wyprawę?

– Tak... i już powinniśmy być w drodze. Paddy czeka z osiodłanymi wielbłędami, ale nie mogę znaleźć Arabelli.

– Na pewno nie odeszła daleko – pocieszył go Tony.

– Sprawdź jeszcze w sklepie i na bazarze – rzekł Jonathan. Nie wiedział, gdzie jeszcze jej szukać.

Po godzinie był już poważnie zaniepokojony. Chociaż bał się nawet o tym myśleć, zastukał w końcu do drzwi pokoju Stuarta, spytać, czy ten nie widział dziewczyny. Mężczyzna zaprzeczył, to trochę uspokoiło Jonathana, nadal jednak nie wiedział, co się z nią stało. W końcu poszedł do Terry'ego Higginsa.

– Wygląda na to, że panna Fitzherbert zniknęła – oznajmił policjantowi.

Terry był zaskoczony.

– Od jak dawna jej nie ma?

– Od rana nikt jej nie widział. Poszła spać mniej więcej o tej samej porze co ja. Sprawdziłem sklepy w mieście, obszedłem dzielnicę Aborygenów. Nikt jej nie widział.

Terry zauważył, że Jonathan naprawdę się denerwuje.

– Na pewno nie poszła sama na pustynię – rzekł, wkładając kapelusz. – Sprawdzimy, czy brakuje kogoś jeszcze...

Policjant zaczął poszukiwania od hotelu, mimo że Jonathan zapewnił go, że tam już spawdzał. Następnie przeszukali okoliczne budynki. W domu Frankiego Millera nikogo nie było, najwyraźniej Wally też zniknął. W Ghan byli wszyscy z wyjątkiem Goolima. W jego stadzie brakowało trzech wielbłądów.

Po powrocie do hotelu Terry przejrzał swoje notatki z rozmowy z Maggie, Tonym, Jonathanem i Stuartem.

– Goolim zniknął, tak samo Wally. Ponieważ Aborygeni ciągle się przemieszczają, trudno stwierdzić, czy któregoś brakuje. To oznacza, że Arabella opuściła miasto najprawdopodobniej z Wallym i Goolimem.

– Ale... cóż ona by z nimi robiła?

Jonathan był zupełnie zdezorientowany.

– Tego nie wiemy – odparł Terry. – Myślę, że powinniśmy wybadać Lesa Mitchella i Teda Wallace'a – dodał.

– Dlaczego? – Jonathan zmarszczył brwi.

– Obserwowałem wczoraj Wally'ego po powrocie pana Thompsona. Wally wyglądał na zdenerwowanego i potem kłócił się z Lesem i Tedem. Może oni mogliby rzucić jakieś światło na to, gdzie jest ich kumpel.

– Idę z panem – rzekł Jonathan.

W tym momencie do baru weszli Barry Bonzarelli, Les i Ted.

Żartowali, który z nich ma postawić pierwszą kolejkę, kiedy spostrzegli Terry'ego Higginsa. Patrzył na nich uważnie.

– Szukamy Jacko. Nie wiecie, gdzie może być? – spytał Terry.

Les i Ted spojrzeli po sobie nerwowo.

– Nie... – odparli. – Myśleliśmy, że jest tutaj... – rzucił Ted.

Terry zauważył, że obaj mężczyźni są zmieszani, był więc pewien, że wiedzą o wiele więcej, niż chcą powiedzieć.

– Dziś rano z miasta zniknęła trójka ludzi: Arabella Fitzherbert, Goolim i Jacko.

Les i Ted znów spojrzeli po sobie. Nie potrafili ukryć zdenerwowania. Przypuszczali, że Wally zmusił Goolima do zabrania go na pustynię w poszukiwaniu Erniego, ale nie mieli pojęcia, dlaczego była z nimi Arabella.

Niemniej, znając nieprzewidywalność Wally'ego, naprawdę się zlekli.

– Lepiej będzie dla was, jeżeli wszystko mi powiecie. – Terry popatrzył na Teda, potem na Lesa. – Wiem, że Jacko był wczoraj wieczorem zły po tym, kiedy Stuart wrócił z pustyni... i wiem, że Wally rozmawiał z wami.

Ted zbladł, Les zaczął przestępować z nogi na nogę.

– On... usłyszał, jak Stuart Thompson mówił, że Ernie Mandawauy odszedł do swoich – zaczął Les. – Ernie był mu winien pieniądze... i to wszystko... – jękał się. – Czy nie tak, Ted?

– Tak... – Ted zrobił się jeszcze bledszy.

– Był zły zanim pan Thompson wspomniał o Erniem i o jego powrocie w rodzinne strony! – powiedział Terry.

Twarz Lesa spurpurowiała. Była teraz koloru piasku na pustyni.

– Lepiej będzie dla ciebie, jeżeli powiesz nam prawdę, Les – surowo dodał Terry. – Życie panny Fitzherbert może być w niebezpieczeństwie!

– Powiedz nam wszystko, co wiesz – zażądał Jonathan. Odrzucił na bok inne uczucia i teraz martwił się tylko o bezpieczeństwo Arabelli.

Ted popatrzył na Lesa i skulił ramiona. Odezwał się:

– Wiemy tylko tyle, że Jacko wybierał się na pustynię. Musiał poprosić Goolima, żeby go tam zawiózł. Ale o panie Fitzherbert nic nie wiemy.

– A po co chciał jechać na pustynię? – drążył Terry.

Obydwaj Ted i Les patrzyli teraz uparcie w podłogę; wargi mieli zaciśnięte. Nie odważyli się zdradzić, że Wally planował kradzież złota znalezionej przez Stuarta. Terry mógłby pomyśleć, że są jego współnikami!

– Gdybym się dowiedział, dokąd pojechał Wally, wiedziałbym, co się mogło przydarzyć panie Fitzherbert – nalegał Terry.

– Proszę, powiedzcie, co wiecie! – błagał Jonathan.

Les z miną pełną winy zerknął ukradkowo na Stuarta, który natychmiast zrozumiał.

– Pojechał szukać mojej kopalni?

A kiedy żaden z pytanych nie potwierdził, Stuart był pewien, że ma rację.

Terry nadal nie rozumiał, co się mogło stać Arabelli!

Nagle uwagę wszystkich zwrócił hałas na werandzie.

W drzwiach hotelu pojawiła się Rita z jakąś staruszką. Była to Ruby Wanganeen, w tej chwili bliska hysterii. Bełkotała coś w narzeczu swojego plemienia, a Rita usiłowała ją uspokoić.

– Co się stało? – spytał Terry.

– Ruby mówi, że Wally Jackson tak uderzył wczoraj Jimmy’ego, że tamten się do tej pory nie obudził – wyjaśniła Rita.

– Kiedy to było?

– Wczoraj wieczór – odparła Rita.

– Zaraz przyjdę i zobaczę, co mu jest – obiecał Terry. Miał nadzieję, że staruszek nie umarł.

W obozie Aborygenów Terry obejrzał mężczyznę, który leżał na brudnej podłodze. Razem z Terryem przyszedli Jonathan, Tony, Stuart i Maggie. Maggie zabrała ze sobą apteczkę. Terry stwierdził, że Jimmy żyje, a kiedy Maggie podsunęła mu pod nos sole trzeźwiące, natychmiast się ocknął.

– Dlaczego Wally ci to zrobił? – spytał starego policjanta.

Ruby i Jimmy zaczęli coś do siebie mówić w plemiennym narzeczu. Wreszcie Jimmy wymamrotał:

– Chciał, żebym dla niego śledził... Ale ja nie mogłem...

Czuć było od niego tanim winem, więc Terry się zorientował, że Jimmy musiał być wczoraj pijany, a Wally’ego to rozwścieczyło i zaczął go bić. Zdaniem Terry’ego był to tchórzliwy akt przemocy.

– Mówił, czego masz szukać?

Ruby odpowiedziała, że nie.

Terry zwrócił się do Jonathana i pozostałych:

– Myślę, że Wally chciał, żeby staruszek poszedł śladami pana Thompsona do kopalni.

– A kiedy się nie udało – rzekł Stuart, zdenerwowany – zmusił Goolima, żeby ten go tam zawiózł. – Patrzył w stronę pustyni. – Ale Goolim i tak nie wie, gdzie jest kopalnia; co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

– To znaczy, że jego życie też jest zagrożone – dodał Terry.

– Ale... gdzie jest Arabella? – spytał Jonathan.

– Może być tylko razem z nimi – odparł Terry. – Nie mam pojęcia dlaczego, ale jej życiu też zagraża niebezpieczeństwo!

# Rozdział piętnasty

---

W tym momencie Stuart Thompson jęknął boleśnie i zgiął się wpół.

– Co panu jest? – spytała Maggie.

Wszyscy otoczyli mężczyznę. Właśnie wrócili do hotelu Great Northern.

– Och, od wczoraj mam bóle żołądka – powiedział. – Ale teraz jest o wiele gorzej! – Twarz miał wykrzywioną z bólu, na czole perlił się pot.

– Co pan jadł na pustyni? – chciał wiedzieć Terry.

– Tylko fasolę z kiełbasą z puszki – Stuart jęknął znowu w paroksyzmie bólu.

– To nie mogło panu zaszkodzić – stwierdziła Maggie.

– I w drodze do miasta Ernie znalazł coś, co nazywał jedzeniem z buszu.

– Co to było? – Terry zaczynał już coś rozumieć.

– Śliwki z buszu. Były gorzkie i nie smakowały najlepiej, ale z głodu zjadłem kilka.

– O, to może być problem! – stwierdziła Maggie. – Śliwki z buszu, to jedzenie nie dla każdego białego.

Stuart znów jęknął i usiłował się podnieść.

– Przepraszam... – wykrztusił i po prostu pognął do ubikacji.

– No, teraz go nie zobaczymy przez dobre parę godzin – orzekła Maggie.

– To fatalnie! – jęknął Terry. – Potrzebujemy go! Musi nas zaprowadzić do swojej kopalni, inaczej nie znajdziemy panny Fitzherbert, Wally'ego i Goolima!

– Może mu się poprawi – pocieszyła go Maggie.

Tony potrząsnął głową.

– Jeżeli reaguje na śliwki z buszu tak samo jak Frankie Miller czy Bonzarelli, to przesiedzi w toalecie co najmniej dwadzieścia cztery godziny!

– Ależ... my nie możemy zostawić Arabelli samej na pustyni z Wallym na tak długo! – zdenerwował się Jonathan. – Kto wie co mógłby jej zrobić!

– Więc potrzebna nam będzie pomoc Jimmy'ego Wanganeena; tyle że nie wiem, czy będzie się do tego nadawał – zamknął dyskusję Terry.

– Będzie musiał! – stwierdził Jonathan, przerażony samą myślą, że Arabella jest zdana na łaskę i niełaskę Wally'ego Jacksona.

– Może pan Thompson wskaże nam drogę – zasugerował Terry.

– Bierzmy Jimmy'ego. Niech Maggie spróbuje doprowadzić go do stanu trzeźwości – rzucił Jonathan. – A ja tymczasem zobaczę, czy Paddy ma jeszcze osiodłane wielbłądy.

– Da pan sobie radę z wielbłędami? – spytał Terry.

– Nie przyprowadzę ich sam, ale Paddy na pewno chętnie z nami pojedzie.

Terry poszedł do obozu Aborygenów i powiedział Jimmy'emu, że potrzebują jego pomocy. Jimmy siedział w kucki na brudnym podwórku przed swoim namiotem ustawionym w cieniu ogromnego drzewa herbacianego. Policzek miał spuchnięty i skaleczony – pamiątka po uderzeniu Wally'ego – i nadal sprawiał wrażenie nietrzeźwego.

– Przepraszam, ale potrzebujemy twojej pomocy – zaczął Terry, klękając obok. – Musimy znaleźć Wally'ego. Uważamy, że zabrał ze sobą pannę Fitzherbert i Goolima na pustynię, wbrew ich woli. Boimy się o ich życie.

Obok Terry'ego stanął Jonathan. Przez głowę przemykały mu rozmaite myśli.



Po pierwsze – Jimmy był strasznie wychudzony, sprawiał wrażenie, że mały wiaterek mógłby go przewiać przez całą Wielką Pustynię Wiktorii. We włosach miał białe pasma, w ustach raptem kilka zębów... Odnosiło się wrażenie, że energii starczy mu najwyżej na zabijanie much, które obsiadały mu twarz.

Jonathan bardzo szanował Aborygenów, ale nie był w stanie uwierzyć, że życie Arabelli miałyby zależeć od tego starca... Cóż, kiedy tak to wyglądało.

Jimmy powiedział coś do żony w ich narzeczu, na co Ruby wstała i odeszła.

– Potrzebujemy cię – rzekł Terry z naciskiem. – Maggie cię nakarmi i zaraz się poczujesz silniejszy.

Uznał, że lepiej nie mówić o tym, że chodzi mu o wytrzeźwienie staruszka.

Jimmy potrząsnął głową.

Jonathan nagle poczuł taki strach, że z trudem chwycił oddech.

– Musisz! Błagam... – ukląkł obok starego i w rozpacz objął go ramionami.

Ale Jimmy lekceważąco machnął ręką.

– Ruby zaraz coś przyniesie... i pójdę z wami – mruknął.

Jonathan spojrzał pytająco na Terry'ego.

– O czym on mówi? O co chodzi?

– Nie mam pojęcia – przyznał Terry. Widział, że Jonathan jest bliski paniki. – Chyba musimy poczekać i zobaczyć, co będzie – rzekł w końcu.

– Czekać! Zobaczyć!

– Nie ma na to czasu!

– A mamy inne wyjście?

– Jimmy musi zrozumieć, że tu chodzi o życie Arabelli! – rozgniewał się Jonathan.

Terry wziął go za ramię i odciągnął na bok.

– Chyba nie zna pan dobrze Aborygenów... – szepnął. – Tu w buszu sprawy idą własnym tempem. Nie wolno nam naciskać na Jimmy'ego, bo wtedy w ogóle nam nie pomoże.

– Ale o co mu chodzi? – odszepnął Jonathan.

Podejrzewał, że Ruby może dać Jimmy'emu jeszcze więcej wódki, więc naprawdę się bał.

– Nie wiem na pewno, ale wspomniał, że nam pomoże, więc musimy uzbroić się w cierpliwość.

Jonathan z trudem przyjął do wiadomości, że Terry nie ma takiej władzy, żeby zmusić Aborygena do pójścia z nimi.

– Może powinniśmy wyciągnąć od Stuarta, w którą stronę mamy iść, i zaraz wyruszyć? Bo zanim ten Jimmy będzie gotów do drogi, dla Arabelli może być za późno!

– Rozumiem pana zdenerwowanie, ale Goolim równie dobrze mógł poprowadzić Wally'ego w złą stronę – przypomniał mu Terry.

– Nie zrobiłby tego. Za bardzo się bał Wally'ego.

– Takiego ryzyka nie możemy podjąć; potrzebny nam Jimmy.

Zdenerwowani patrzyli, jak Ruby wróciła z naręczem jakichś liści, korzonków i kwiatów, i wrzuciła to wszystko do gotującej się wody.

– Co ona robi? – niecierpliwił się Jonathan.

– Nie jestem pewien... ale chyba szykuje jakiś rodzaj naparu, żeby Jimmy poczuł się lepiej – pocieszył go Terry.

Kobieta przecedziła napar pod czujnym wzrokiem Jimmy'ego, stale siedzącego na ziemi, wreszcie naląła trochę płynu do cynowego kubka i podała mężowi.

Jimmy przez chwilę mieszał napój, by go ochłodzić, wreszcie wypił. Jonathan i Terry poczuli zapach naparu w gorącym, nieruchomym powietrzu. Nie był przyjemny.

Skrzywili się, podczas gdy stary kończył pić. Następnie wstał i oznajmił, że jest gotów do drogi. Stał niezbyt pewnie i nawet nie otrzepał się z kurzu. Wcisnął tylko kapelusz na głowę.

Kiedy dochodzili do hotelu, usłyszeli jęki Stuarta z ubikacji.

– Dobrze się czujesz?! – zawołał Jonathan. Było mu przykro, że przyjaciel tak się męczy.

Stuart tylko jęknął w odpowiedzi.

Terry popatrzył na Jimmy'ego.

– Śliwki z buszu... – wyjaśnił.

Stary z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Kiedy już byli gotowi do drogi, Paddy i Terry wsiedli na wielbłądy, ale Jimmy się uparł, że pójdzie pieszo, by widzieć ślady, więc Jonathan ofiarował się iść razem z nim i prowadzić swojego wielbłąda. Wy tłumaczył Terry'emu, że czułby się źle, jadąc na wielbłądzie, kiedy stary człowiek idzie obok przez rozpaloną pustynię. Tak naprawdę jednak bał się, że staruszek zbyt szybko opadnie z sił.

Na granicy miasta Jimmy zaczął szukać śladów.

Chwilami stawał i patrzył na czerwoną pustynię, jakby tam widział coś, czego nikt inny nie mógł dostrzec. Jonathan nie potrafił wypatrzeć żadnych śladów w piasku.

Nagle Jimmy z wielką pewnością siebie ruszył do przodu.

– Tędy szły trzy wielbłądy – wyjaśnił.

– Skąd wiesz, że to wielbłądy Goolima i Wally'ego? – spytał Jonathan. Nie ufał temu staremu.

– To one – bez wahania stwierdził Jimmy.

Jonathan wiedział, że musi mu zaufać, ale było to trudne. Mimo to towarzyszył starcowi. Za nimi podążali Paddy i Terry z uwiązany z tyłu dodatkowym wielbłądem dla Jimmy'ego.

Ku zaskoczeniu Jonathana stary szedł równym krokiem, niezrażony stojącym nad nimi palącym słońcem. Jego kapelusz był stary i dziwacznej kształtu, ubrania nie zmienił. Stopy miał takie, jakby nigdy nie nosił butów, co było niewiarygodne, zważywszy, jak piekielnie gorący był piasek. Jonathan był pewien, że ten człowiek prędko straci siły, a nawet że upadnie.

Jimmy po pewnym czasie zwolnił, stawał tylko od czasu do czasu, by otrzeć pot z czoła i wypić łyk wody. Mimo to szedł nadal bez słowa skargi. To zaskoczyło i zaintrygowało Jonathana. Żar i gorący wiatr były tak męczące, że on sam czuł, iż niebawem straci siły. Tylko pragnienie wyratowania Arabelli z rąk Wally'ego utrzymywało go na nogach.

– Ile masz lat, Jimmy? – spytał, wlokąc się za starym, który akurat uważnie oglądał ziemię przed sobą.

– W tym roku skończę pięćdziesiąt cztery – mruknął Jimmy.

– Pięćdziesiąt cztery!

Jonathan był zdumiony. Jimmy się chyba pomylił. Wyglądał na o wiele starszego.

– Nie gniewaj się, ale myślałem, że jesteś starszy – wyznał.

– Nikt z naszej rodziny nie dożył aż tylu lat – z dumą stwierdził Jimmy, jakby dokonał wielkiego czynu.

– Pięćdziesiąt cztery lata to niewiele, Jimmy!

– Jestem starym Aborygenem – odparł tamten. – Któregoś dnia naszej rasy już nie będzie. *Piccaninies* za bardzo umierają. Za dużo chorób.

– Dlaczego tak się dzieje? – chciał wiedzieć Jonathan.

– Kiedy biały człowiek przyszedł na naszą ziemię, przyniósł ze sobą dużo chorób. Aborygeni nigdy nie chorowali. A teraz choroby białych nas zabijają.

To się Jonathanowi wydało sensowne. W słowach Jimmy'ego odkrył wielką mądrość. Przez tysiące lat Aborygeni byli czystą rasą – aż do chwili, kiedy do Australii przybyli biali.

Cóż – w książkach o Australii nikt nie wspominał o tych smutnych faktach.

– A dlaczego już nie mieszkacie ze swoim plemieniem? – spytał. To było chyba lepsze niż gnieźdzenie się w mieście w szalasie!

– Jestem już za stary – przyznał Jimmy. – Nie mogę dużo chodzić.

Jonathan, skonsternowany, zwrócił się do Terry'ego.

Terry odpowiedział:

– Jeżeli starzy idą za wolno albo są chorzy, kiedy plemię się przemieszcza z miejsca na miejsce, zabija się ich.

Jonathanowi aż tchu zabrakło.

– Ależ to barbarzyństwo! – zawołał.

Terry wzruszył ramionami.

– Jeżeli dziecko rodzi się z jakąś deformacją, też się je zabija – wyjaśnił. – A jeżeli się rodzi przedwcześnie, a matka ma jeszcze ciągle jakieś dziecko do karmienia i wychowywania, pozbywają się noworodka.

Jonathan był zdumiony; zrozumiał, jak mało wiedział dotychczas o Aborygenach, chociaż uważał się za eksperta!

– A w Marree nic ci nie grozi? – zapytał Jimmy'ego.

Nie mógł sobie wyobrazić, że tego człowieka ktoś zabije tylko za to, że jest stary. Najbardziej bezduszna rzecz, o jakiej słyszał.

– Tak; ja i Ruby mieszkamy teraz w mieście – odparł tamten.

Jonathan pomyślał, że mieszkanie w mieście nie było dla Jimmy'ego takie znów najlepsze, bo miał okazję pić, ale innego wyjścia nie było. Tak czy owak, sytuacja tego człowieka nie była wesoła.

– A ty i Ruby mieliście dzieci? – spytał dociekliwie.

– Tak, sześcioro, ale już ich nie ma.

– Nie ma... to znaczy... że umarły?

– Dwoje umarło. Inne sobie poszły.

Jonathan znowu spojrzął na Terry'ego. Tamten wzruszył ramionami.

– Mój największy problem, jako białego oficera policji w tym rejonie, to zabójstwa z zemsty – stwierdził.

Zauważył, jak bardzo Jonathan jest wstrząśnięty. Chłopak nie miał pojęcia o plemiennych obyczajach.

– O co chodzi z tymi zabójstwami? – spytał Jonathan.

– Kiedy mężczyzna zabija innego mężczyznę albo kobietę, ojciec zabitej osoby musi pozbyć się kogoś z rodziny mordercy. To jest zemsta. Zdarza się to bez przerwy i dlatego mam mnóstwo roboty.

Jonathan nie wiedział, że coś podobnego ma miejsce.

– A co plemienni Aborygeni myślą o prawie białych ludzi? – spytał.

– Niewiele – odparł Terry. – Dlatego właśnie praca policjanta jest tutaj taka trudna. Niemniej ciągle ich trzeba wieszać za te morderstwa.

Jonathan musiał przyznać, że dawniej uważał, iż Terry ma dość łatwą pracę w tak małej miejscinie, ale teraz zmienił zdanie. To, co przed chwilą usłyszał, zmieniło jego myślenie na ten temat.

– Tutaj czekałem na Stuarta – rzekł Goolim do Wally'ego. Wskazał resztki ogniska, by dowieść, że nie kłamie.

Wally się rozejrzał.

– To mi niewiele pomoże. Mógł się stąd oddalić o całe kilometry!

– Na pewno nie – zapewnił Goolim.

– Skąd wiesz? – agresywnie rzucił Wally.

– Po prostu wiem.

– Więc wiesz i to, gdzie jest kopalnia!

Oczy Wally’ego zwięziły się niebezpiecznie. Nigdy nie ufał Afgańczykom. Uważał, że są przebiegli.

– Nie wiem... ale to nie może być daleko stąd – odparł Goolim. – Czasami, kiedy wiatr powiał z tamtej strony, słyszałem, jak Stuart kopie.

– I ty mi mówisz, że nie szukałeś tej kopalni? Ani złota?

W głosie Wally’ego brzmiało oskarżenie.

– Nie. Czekałem tutaj – odparł Goolim, chociaż nie spodziewał się, by Wally uwierzył w jego słowa.

– Pokaż mi, w którą stronę pojechał – zażądał Wally.

Goolim ruszył naprzód, modląc się w duchu, żeby znaleźli tę kopalnię i żeby Wally wypuścił jego... i Arabelle.

Kiedy Jimmy się zorientował, że ślady, po których szedł, prowadzą w tę samą stronę, w której miało się odbyć święto *corroborree*, wsiadł na wielbłąda, żeby szybciej tam dotrzeć. Nie wspomniał o swoich lękach, ale wiedział, że dla białych ludzi dużym niebezpieczeństwem było przebywanie w pobliżu świętej ceremonii inicjacji. Tylko od czasu do czasu zsiadał, żeby sprawdzić ślady. Grzbiet pagórka już nie był tylko punktem na horyzoncie. Zaczęło się ściemniać, ale skalista krawędź pagórka nadal była dość daleko od nich. Kilka razy się zatrzymywali, bardziej ze względu na Jonathana niż na Jimmy’ego, który był tylko trochę zmęczony. Pił podawaną mu wodę i jadł to, co dostawał od Terry’ego z zapasów pospiesznie przyszykowanych przez Maggie. Jonathan był szalenie ciekaw, jakie składniki zawierał ów ziołowy napój przygotowany przez Ruby, bo istotnie działał cuda! Nie odważył się jednak o to pytać.

– Nie możemy dalej jechać po ciemku – rzekł Terry.

Kazał swojemu wielbłądowi uklęknąć i zsiadł z niego.

– Dlaczego? – zdziwił się Jonathan.

Zapadająca ciemność sprawiła, że coraz bardziej bał się o Arabelle.

– Teraz moglibyśmy ich zaskoczyć – dodał.

– Tak samo może postąpić Wally, jeżeli szybciej nas spostrzeże – zareplikował Terry.

– Tu niedaleko odbywa się *corroborree* Aborygenów – wtrącił Jimmy, wskazując w stronę pagórka.

– Właśnie tam mieliśmy dzisiaj jechać z Arabellą – dodał Jonathan.

– Przy *corroborree* nie może być żadnych *lubras*! – rzekł Jimmy. Aborygeni tak nazywali swoje kobiety. – Ani żadnych białych. To święta ceremonia inicjacji.

– Miałem poprosić o pozwolenie sfotografowania tej ceremonii – tłumaczył się Jonathan.

– Za to by cię na pewno przebili włócznią! – rzekł Jimmy, potrząsając głową, jakby Jonathan prosił o pozwolenie popełnienia świętokradztwa czy samobójstwa.

W Jonathanie zastygła krew. Nagle zdał sobie sprawę, że życie Arabelli jest o wiele bardziej zagrożone, niż przypuszczał.

– Podjedźmy bliżej do tego pagórka – zaproponował.

– To nie jest dobry pomysł – zaprotestował Terry.

– Jeżeli zaczekamy do rana, Wally nas z pewnością zobaczy. A boję się, że wtedy zrobi coś strasznego! – mówił Jonathan, patrząc na wzgórze. – Ja podejść bliżej. Jeżeli nie chcecie tam iść, zostańcie tutaj, ale nie próbujcie mnie zatrzymywać!

– No i jesteśmy w punkcie wyjścia – sapnął gniewnie Wally.

Przejechali już kilka kilometrów na zachód, ale nie dostrzegli ani śladu jakiegokolwiek kopalni, więc zawrócili do pagórka. Tam uwiązali wielbłądy i rozpalili ognisko, by przygotować coś do jedzenia.

Wally był pewien, że Goolim bawi się z nim, i czuł, że za chwilę wybuchnie.

Arabella widziała, że mężczyzna jest gotów zrobić coś okropnego. Serce biło jej jak oszalałe.

– Chyba coś słyszę... – szepnęła cichutko.

To brzmiało jak muzyka... ale taka, jakiej jeszcze nigdy nie słyszała.

Były to pierwsze słowa Arabelli od chwili opuszczenia Marree. Kiedy Wally przystawił jej strzelbę do głowy, była tak wystraszona, że o mało nie umarła...

Zresztą nadal była przerażona na myśl o tym, co ten szaleniec może zrobić; jednak świadomość, że ktoś jest w pobliżu, dawała jej isierkę nadziei.

Wrócili do obozowiska Goolima przy skalistym pagórku. Wally nie wypuszczał z ręki strzelby – na wypadek, gdyby Afgańczyk chciał uciekać albo się na niego rzucić.

Wally słuchał i równocześnie węszył w powietrzu.

– Czuję dym! – stwierdził z przestachem. Bał się, że ktoś obozuje z drugiej strony pagórka.

Miał ochotę wdrapać się na górę i rozejrzeć, ale nie ufał, że Arabella i Goolim poczekaają na niego, a nie miał dość długiej liny, żeby ich związać. Zaczął nasłuchiwać.

– Wejdz tam i rozejrzyj się! – rozkazał Goolimowi. – I żadnych głupich pomysłów, bo jeżeli nie wrócisz, zastrzelę Fitzi.

Goolim spojrział na Arabellę, która patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczyma. Wiedział, że nie może zrobić nic lekkomyślnego, bo wówczas Wally nie będzie miał skrupułów. Uwiązawszy wielbłądy, zaczął wspinać się po kamieniach, podczas gdy Wally stał na dole z bronią wymierzoną w Arabellę.

– Niech cię tylko nikt nie zobaczy! – ostrzegł go.

Goolim ostrożnie wszedł na szczyt niskiego, skalistego wzgórza. Brakowało mu najwyżej dziesięć metrów do końca, ale niektóre kamienie leżały luźno i musiał uważać przy wchodzeniu. Właśnie wyglądał zza skały, kiedy kamyk pod jego prawą ręką się poruszył i spadł, wywołując małą lawinę.

Na przeciwległym brzegu wzgórza jaśniały trzy ogniska, wokół których Aborygeni odbywali swoje ceremonialne tańce. Ciała mieli pomalowane ochrą. Tupiąc, wznosili tumany czerwonego kurzu, tak że w ciemnościach wyglądali jak duchy. Dźwięk osuwających się kamieni przyciągnął uwagę Aborygenów.

W świetle ognisk dostrzegli lśniąca skórę i przerażoną twarz Goolima.

– Co ty, u diabła, wyrabiasz? – syknął Wally, kiedy usłyszał łoskot. – Złaż natychmiast!

Goolim czym prędzej zsunął się na dół.

– Co tam się dzieje? – ze złością pytał Wally.

– Jakaś... ceremonia Aborygenów... – jąkał się Goolim.

– Cholera! Widzieli cię?

– Nie... nie wiem...

Goolim wiedział, że go zobaczyli, ale bał się o tym powiedzieć.

– Jeżeli tu przyjdą za nami, mój plan na nic! – syczał Wally.

Wymachiwał strzelbą przed twarzą mężczyzny, co strasznie denerwowało Afgańczyka. Arabella była przerażona, myślała, że zemdleje. Bała się nie tylko tego, że Wally mógł ich pozabijać, ale też że jego broń może wystrzelić przypadkowo!

Ledwie jej to przyszło do głowy, strzelba Wally'ego wypaliła.

Arabella wrzasnęła.

Oczy Goolima rozszerzyły się i na sekundę zamarł w bezruchu, niepewny, czy go postrzelono, czy nie.

Wally też wytrzeszczył oczy.

Nie spodziewał się, że broń wypali, i gapił się teraz na Goolima niepewny, czy za chwilę Afgańczyk nie padnie przed nim martwy.

Ale kula o włos minęła głowę Goolima i trafiła w skałę za jego plecami, po czym odbiła się rykoszetem.

Gdy Goolim zrozumiał, że nic mu nie jest, przerażony padł na ziemię, zaś Arabella, przekonana, że kula trafiła Afgańczyka, krzyknęła jeszcze głośniej.

Wally wpadł w panikę i odwrócił się do niej.

Jonathan, Terry, Paddy i Jimmy nie byli daleko, więc usłyszeli strzał.

– Boże, tylko nie to! – zawołał Jonathan, spodziewając się najgorszego.

Rzucił się w kierunku pagórka, potykając się i skacząc przez małe kolczaste krzaczki porastające pustynię. Terry i Paddy wskoczyli na wielbłądy i pognali za nim, popędzając zwierzęta. Za nimi biegł stary Jimmy.

– Zamknij się albo cię zastrzelę! – ryknął Wally na Arabellę. Skuliła się i zakwiliła, wystraszona.

Teraz Wally zwrócił uwagę na Goolima.

– Widzisz teraz, do czego mnie zmusiłeś? – krzyknął oskarżycielsko. – Ty durniu! – Goolim czołgał się po ziemi, ale Wally widział, że kula go nie trafiła. – Tylko kłopot z tobą! – syczał. – Nie powinienem być cię tu przyprowadzać. Teraz wszyscy możemy zginąć!

– Proszę go nie zabijać! – błagała Arabella. Odważnie złapała Wally’ego za ramię, ale odtrącił ją tak mocno, że upadła na ziemię.

Wally stał teraz nad Goolimem ze strzelbą.

Był przerażony, nie wiedział, co ma zrobić. Myślał, że znalezienie złota będzie łatwe, ale od chwili, kiedy wyciągnął Goolima z łóżka, nic nie szło po jego myśli.

Nagle jego uwagę zwrócił jakiś hałas.

Odwrócił głowę i właśnie w tym momencie zobaczył, że coś błyszczącego leci w powietrzu w jego kierunku. To był nieprzyjemny, łomoczący dźwięk... i już w następnej chwili Wally padł na ziemię, osłupiały. Nogę przeszywał mu piekący ból. Upuścił strzelbę i spojrzał. W jego udzie tkwiła włócznia.

Zdumiony i zaskoczony rozejrzał się i zobaczył trzech Aborygenów na szczycie wzgórza. Dwaj z nich trzymali wzniesione do góry włócznie.

W chwilę później z ciemności wyłonili się Paddy i Terry na wielbłądach.

Po chwili zaskoczenia, kiedy zobaczyli przebitego włócznią Wally’ego, instynktownie zeskoczyli z wielbłądów. Terry pochwycił leżącą na ziemi strzelbę.

– Uważajcie! – krzyknęła Arabella, wskazując Aborygenów na szczycie wzgórza.

– Pomocy... – jęknął Wally.

Leżał o jakieś dwa, trzy metry od nich, na otwartej przestrzeni. Za daleko od pagórka, żeby się ukryć przed tubylcami. Skręcał się z bólu. Spodnie miał przesiąknięte krwią. Znowu spojrzał na Terry’ego.

– Pomocy!

Po chwili padł na wznak i zaległa całkowita cisza.

Usłyszeli kroki.

To musi być Jonathan, pomyślał Terry.

Minęli go, kiedy pędzili na wielbłądach, ale wiedzieli, że musiał być niedaleko za nimi.

– Trzymaj się z tyłu! – krzyknął Terry. – Atakują nas!

Ale Jonathan myślał tylko o Arabelli, więc biegł dalej.

Kiedy się wyłonił z ciemności i pojawił w świetle ogniska, obok jego ramienia przeleciała włócznia, ale chybiła. Instynktownie rzucił się na ziemię i przeturlał.

Wtedy dostrzegł Arabellę i poczołgał się w jej stronę, w momencie kiedy kolejna włócznia wbiła się w piasek.

– Co się tu dzieje? – spytał Terry Goolima.

– Wally wysłał mnie na wzgórze, żebym sprawdził, co jest po drugiej stronie – tłumaczył tamten – ale Aborygeni mnie zobaczyli; oni tam odprawiają jakąś ceremonię. Jeden trafił włócznią Wally’ego.

W tej chwili Wally odzyskał przytomność i usłyszał to, co powiedział Goolim.

– Ty kłamco, ty bękarcie! – parsknął. – Powiedziałeś mi, że cię nie widzieli!

– Zamknij się! – rozgniewał się Terry. – Mało ci jeszcze kłopotów? Zamknę cię, i to na długo! Chyba że zembrzesz, zanim dojedziemy do miasta.

– Wszyscy tu umrzemy... – warknął Wally.

Aborygeni gromadzili się na wzgórzu. W słabym świetle Wally widział błyski ochry, włócznie, skórę lśniącą od potu... Cierpiał okropnie, ale nawet w obliczu pewnej śmierci myślał tylko o tym, żeby przeżyć.

– Zastrzel ich... ty cholerny głupcze! – wołał do Terry'ego. – Na litość boską, zastrzel ich!

– Nie mam dość naboju – odparł Terry, z trudem ukrywając własny strach. Widział przerażenie na twarzy Arabelli, ale wiedział też, że gdyby teraz próbowali uciekać, Aborygeni dogonią ich i zmasakrują.

W tym momencie pojawił się Jimmy.

Biegł tak, że z trudem chwycił oddech. Natychmiast zaczął krzyczeć w plemiennym narzeczu i wymachiwać rękami.

Aborygeni coś odkrzyknęli – i nagle rozległa się seria strzałów. Nie wyglądało na to, że Jimmy zawarł układ z Aborygenami; pół tuzina czarnych mężczyzn zsunęło się z pagórka i stanęło nad leżącym Wallym, grożąc mu włóczniami. Inni czaili się w pobliżu, czekając na to, co się stanie.

– Nie strzelaj... – zwrócił się do Terry'ego Jimmy. – Rzuć broń na ziemię.

Terry się zawahał, ale Jonathan kazał mu posłuchać mężczyzny.

– Jimmy, to nasza jedyna nadzieja. Wiesz, że nie możemy zabić ich wszystkich.

– Nie rób tego! – wołał Wally, jęcząc z bólu. – Zakłują nas tymi włóczniami!

Terry wziął głęboki oddech i odrzucił broń.

Jeden z Aborygenów ją podniósł i rzucił daleko w ciemność.

Jimmy znów zaczął mówić, wyjaśniając sytuację. Aborygeni słuchali, ale nadal gniewnie wywijali włóczniami.

– Oni mówią, że zbezcześciliście świętą ceremonię – tłumaczył Jimmy.

– Powiedz im, że bardzo nam przykro, ale przyjechaliśmy tu za Wallym, który uprowadził pannę Fitzherbert i Goolima. Powiedz, że nie chcieliśmy im przeszkadzać i że zaraz sobie pójdziemy – mówił Terry.

– Oby ze mną... – mruknął Wally.

– A niby dlaczego mielibyśmy cię zabierać ze sobą? – warknął Jonathan.

– Żeby Terry mógł mnie zamknąć w kiciu – odparł Wally.

Terry się skrzywił.

– Nie wiem, czy jesteś tego wart – stwierdził. – Przez twoją głupotę mogliśmy wszyscy zginąć.

Wally jakoś nie znalazł na to odpowiedzi.

Po paru minutach gorącej dyskusji miejscowi Aborygeni wdrapali się na szczyt wzgórza i zniknęli po drugiej stronie.

– Musimy natychmiast stąd uciekać! – rzekł Jimmy. – Inaczej będzie wielki kłopot.

– Ależ my... z całą przyjemnością! – zapewnił go Terry, sprawdzając, czy na pewno żadnego z Aborygenów już nie ma w pobliżu.

Wszyscy podnieśli się z ziemi.

Nagle Arabella wybuchnęła płaczem, co było zresztą normalną reakcją ulgi po wielu godzinach napięcia.

Jonathan wziął dziewczynę w ramiona i łagodnie głaskał po włosach, szepcząc jej do ucha słowa pociechy. Czuł się niezmiernie szczęśliwy, że ją znalazł i że nic się jej nie stało; nie zdradził się jednak ze

swoimi uczuciami, bo Arabella nadal była w poważnym szoku. Zatem starał się ją tylko uspokoić.

W tym czasie Terry trzymał Wally'ego, zatykając mu usta, żeby żaden hałas nie ściągnął z powrotem Aborygenów, a Goolim i Jimmy wspólnymi siłami wyciągnęli dzidę z uda nieszczęśnika i zacisnęli nogę opaską zrobioną z jego własnej koszuli, by powstrzymać upływ krwi.

– Powinieneś wracać do miasta piechotą... – burczał Terry, zarzucając rannego na wielbłąda. Nie miał dla tego łotra ani odrobiny współczucia.

Wally bardzo cierpiał, nie miał nawet siły, żeby mu odpowiedzieć. Był tak oszołomiony, że nie wiedział, czy da radę usiedzieć na wielbłądzie; nie miał jednak powodu do niepokoju, ponieważ Terry dla pewności przywiązał go do siodła.

– Nie wiem, co powiedziałaś Aborygenom, jak ich przekonałaś, żeby nas zostawili w spokoju, ale naprawdę jestem ci bardzo wdzięczny – mówił Jonathan do Jimmy'ego.

Spojrzał na zalaną łzami twarz Arabelli, nadal wtulonej w jego objęcia. Okazała tyle odwagi! Ale to wszystko ją kompletnie wyczerpało.

– Powiedziałem tylko, że biali to głupcy i że nic nie wiedzą o ich tajnych, świętych miejscach – odparł Jimmy. – I jeszcze powiedziałem, że zabijanie was byłoby niedobrym znakiem, bo wtedy wasze duchy mogłyby się wałęsać po tej okolicy, która jest święta dla ludzi z plemienia Arrernte.

– Świetny pomysł, Jimmy – z uznaniem stwierdził Terry.

– Nie, to tylko prawda! – obruszył się stary.

Terry i Jonathan zerknęli na siebie.

Nie byli pewni, czy Jimmy mówi poważnie, ale ponieważ nie zrobił już żadnej uwagi, uznali, że tak.



# Rozdział szesnasty

---

Oddalali się od świętego miejsca Aborygenów tak szybko, jak tylko mogli. Kiedy byli w bezpiecznej odległości, rozłożyli obóz na noc. Po pełnym napięcia dniu musieli parę godzin odpocząć. Ale już o świcie wsiedli na wielbłądy i skierowali się z powrotem do Marree.

Drogę wskazywali im Goolim, Jimmy i Paddy. Za nimi jechał Terry, obok niego Wally, ciągle skręcający się z bólu, a na końcu Jonathan i Arabella. Jonathan zauważył, że dziewczyna jest bardzo cicha i ciągle balansuje na krawędzi łez. Wiedział, co przeszła, i serce mu krwawiło.

– Chyba pokonała pani lęk przed jazdą na wielbłądzie... – zauważył. Starał się oderwać jej myśli od niedawnych strasznych przeżyć. – I świetnie daje pani sobie radę.

Nie wyglądała na całkiem odprężoną, chociaż jej wielbłąd był przywiązany liną do wielbłąda Terry'ego. Jonathan pomyślał, że naprawdę dawała sobie doskonale radę, biorąc pod uwagę jej niedawne przeżycia.

– Kiedy Wally wziął mnie na zakładniczkę, byłam tak przerażona, że ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy bać się wielbłądów. Jeszcze ciągle się trzęsę.

– Jest pani naprawdę niezwykle dzielna, Arabello, ale... w jaki sposób ten wariat zdołał panią porwać? Nie rozumiem, jak do tego doszło.

– To była moja wina. Gdybym nie poszła do zagrody wielbłądów...

– A cóż pani tam robiła?

– Ciągle myślałam o tym, że boję się wsiąść na wielbłąda, i nie mogłam zasnąć, więc wybrałam się do zagrody... jeszcze przed świtem. Pomyślałam, że jeżeli oswoję się z wielbłądami, nie okażę się śmieszna, kiedy będziemy wyjeżdżali z miasta. – Otarła łzę, która jej spłynęła z kącika oka. – W tej zagrodzie byli Wally i Goolim, ale wtedy ich nie widziałam. Wally groził Goolimowi i zmuszał go do osiodłania kilku wielbłądów. Dosłownie wpadłam na nich w ciemności... i wtedy Wally wziął mnie jako zakładniczkę, żebym nikomu nie mogła opowiedzieć, co planuje. Byłam pewna, że chciał nas... zabić. – Szloch przeszkodził Arabelli mówić dalej, ale dzielnie opanowała łzy. – A wy? Jakim cudem zorientowaliście się, co się stało? – spytała.

– Szukałam pani wszędzie, po całym Marree... Maggie zresztą też. W końcu poszedłem do Terry'ego. Razem odkryliśmy, że Wally'ego nie ma w mieście i że Goolim również zniknął... i tak po nitce do kłębka. Mieliśmy szczęście, że Jimmy nam pomógł wytropić ślady, bo Stuart jest strasznie chory... Wie pani, zjadł trochę dzikich śliwek z buszu... i nie mógł nas poprowadzić do swojej kopalni, do której, jak przypuszczaliśmy, pojechał też Wally. Ale nie rozumieliśmy, jakim cudem pani znalazła się razem z nimi. Tak się cieszę, że nic się pani nie stało! Byłem taki przerażony! Ja nigdy... – Jonathan nie mógł skończyć, wzruszenie odebrało mu mowę.

Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo zależy mu na Arabelli. Postanowił powiedzieć jej o swoim uczuciu – teraz – i modlił się, żeby i ona czuła to samo.

– Chcę do domu! – palnęła nagle Arabella. – Chcę znowu zobaczyć mamę i ojca! Chcę do domu, do Anglii...

Jej słowa zupełnie zaskoczyły Jonathana, przez chwilę nie wiedział, co ma powiedzieć. Rozumiał, dlaczego tak się czuje, i że to nie czas na takie deklaracje.

E, tam! Najważniejsze, że Arabella jest szczęśliwa.

– Jestem pewny, że Goolim albo Paddy zgodzą się pojechać z panią do Alice Springs do rodziców, skoro pani chce się tam znaleźć – rzekł. – Przedtem mogli mieć różne obiekcje, ale teraz, kiedy już panią

poznali, na pewno myślał inaczej.

– Ja naprawdę strasznie chcę tam pojechać! Nie mogę się doczekać, żeby opuścić to okropne miejsce... – poskarżyła się dziewczyna.

Jonathana ogarnął straszny smutek. Poczł, że serce w piersi mu ciąży jak ołów.

Słońce piekielnie mocno paliło: przejechanie trzydziestu kilometrów wydawało się tak trudne, jak w innej sytuacji – trzystu. W końcu cała grupa po południu dobrnęła do Marree. Po drodze Wally kilka razy mdlał, czego Terry się zresztą spodziewał; właśnie dlatego przywiązał go do wielbłąda, inaczej ranny mógłby spaść na ziemię i się zabić. Policjant nie obawiał się, że Wally spróbuje uciekać, bo wędrówka pieszo po pustyni z pewnością skończyłaby się dla niego śmiercią. Stracił mnóstwo krwi, a jego rana wymagała jak najszybszego zezycia. Utrata krwi, ból i upał – tego już było za wiele dla rannego.

Niemniej Terry nie czuł dla niego współczucia. Znał Wally'ego od dawna i wiedział, że to łobuz, jednak nigdy się nie spodziewał, że mężczyzna okaże się tak lekkomyślny! Gdyby nie Jimmy, nikt z nich prawdopodobnie nie wróciłby żywy do domu.

– Nie wiem, jak ci mam dziękować – zwrócił się Terry do Jimmy'ego, kiedy zsiadali z wielbłądów. – Uratowałeś nam życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Ani ja – dodał Jonathan. – Uważam, że należy ci się podziękowanie i nagroda. – Spojrzał na Terry'ego z nadzieją, że tamten ma jakiś pomysł.

– Nic nie chcę – odparł Jimmy. – Najlepsza nagroda to się komuś przydać.

– Pomyślimy o czymś – obiecał Terry.

Przyszedł mu do głowy pomysł urządzenia przyjęcia na cześć Jimmy'ego, ale przedtem musiał to ustalić z Tonym.

Jonathan myślał, jak smutne musi być odbycie całej życiowej drogi, zdobycie bogactwa, wiedzy i doświadczenia – a na końcu tej drogi poczucie, że to wszystko nikomu się nie przydało...

Wiedział, że Aborygeni czczą niektórych swoich starych ludzi, ale z pewnością nie wszystkich. Chciałby coś z tym zrobić, tyle że nie wiedział co.

– Co teraz będzie z Wallym? – spytał Terry'ego cicho, korzystając z tego, że Arabella odeszła nieco dalej.

– Nie wiem – przyznał Terry.

– Cokolwiek zrobisz, staraj się go trzymać z daleka od Arabelli... jest ciągle strasznie roztrzęsiona.

Terry skinął głową, a Jonathan czym prędzej podążył do hotelu za Arabellą.

Kiedy oboje się tam zjawili, spodziewali się, że Maggie przywita ich z radością. Tymczasem budynek robił wrażenie opustoszałego.

Poszli do stajni, gdzie także nikogo nie znaleźli, i zdziwieni wrócili do hotelu.

– Do zobaczenia niebawem... – Usłyszeli, kiedy znowu weszli do baru. Siedział tam Les Mitchell.

– Widział pan dzisiaj Maggie? – spytała Arabella.

– Jest w swoim pokoju – odparł. – Ale trochę... kiepsko się czuje.

Les popatrzył uważnie na Arabellę. Widział, że jest roztrzęsiona, i bał się zapytać, co się stało. Ale ciekawość zwyciężyła.

– Znaleźliście... Jacko? – spytał Jonathana.

– Tak – odparł Jonathan. – Został pod strażą Terry'ego.

Les zbladł. Miał nadzieję, że Wally nie doniesie na niego i Teda i nie powie, że byli współnikami w tym jego idiotycznym planie.

– Co to znaczy, że Maggie kiepsko się czuje? – spytała Arabella.

– Ja tam nie wiem, co z nią – odparł Les ogólnikowo. – Szukałem Tony'ego... przyszedłem tu na piwo.

– Proszę sobie wziąć – rzuciła Arabella niecierpliwie i pobiegła na górę.

W korytarzu spotkała Tony'ego.

– Co z Maggie? – spytała niespokojnie.

– No, dzięki Bogu, nic się pani nie stało! – zawołał. – Maggie się ucieszy. Odpoczywa u siebie.

– Les Mitchell powiedział, że z nią źle. Czy to prawda?

Chciało jej się płakać i potrzebowała kobiecego towarzystwa. Liczyła na serdeczność Maggie.

– Znowu dzisiaj rano zemdląca.

– O nie! – wystraszyła się Arabella.

– Chcę ją odwieźć do siostry – oznajmił Tony. – Jeżeli tego nie zrobię, nigdy nie odpocznie.

Miał bardzo zgnębiony wyraz twarzy.

Po tym wszystkim, przez co przeszła, Arabella nie mogła się dłużej powstrzymać.

– Może powinien pan być jednak dać Maggie to lekarstwo, które przygotowała Rita. Na pewno by jej pomogło... – syknęła cicho.

Tony się zdumiał. Skąd ona o tym wie?

– Nie pomogłoby – powiedział smutno.

– A może jednak? Maggie mówiła, że te aborygeńskie lekarstwa są skuteczne i że kiedyś nawet uratowały pańską nogę!

Tony opuścił głowę na piersi, wpatrzony w zniszczony dywan, na którym stali.

– Niech mi pani wierzy, Arabello... W tym wypadku by nie pomogły.

– Gdyby pan naprawdę kochał Maggie, spróbowałby pan! – rzuciła oskarżycielsko.

Podniósł głowę, wzrok mu stwardniał.

– Kocham Maggie! Kocham ją bardziej niż własne życie – rzekł. – Dałbym sobie uciąć prawą rękę, byle tylko wyzdrowiała. Niech pani uważa na to, co mówi, młoda damo!

Arabella aż się cofnęła pod wpływem jego słów. Łzy zakręciły się jej w oczach, a dolna warga zdrząła.

– Co jej jest? Czy to... coś poważnego?

Rysy Tony'ego złagodniały. Jej słowa go rozgniewały, ale wiedział, że mówiła to z nieświadomości.

– Maggie ma chore serce. Powiększone. Dlatego gorąco tak źle na nią wpływa... przez to czuje się taka zmęczona. Ale doktorzy w mieście powiedzieli, że nie mogą nic na to poradzić.

Arabelli aż tchu zabrakło.

– Czy ona... czy jej stan się poprawi?

– Nie, jeżeli solidnie nie wypocznie. Właśnie dlatego chcę ją zawieźć do Warratah Station. Jej siostra, Peg, jest bardzo surowa i nie pozwoli Maggie się przemęczać.

– Przepraszam za to, co powiedziałam: że za mało kocha pan Maggie... Jestem... jestem w tej chwili trochę roztrzęsiona.

Tony pogłaskał ją po ramieniu.

– Rozumiem, po tym, co pani ostatnio przeżyła... Proszę iść do Maggie. Ucieszy się, kiedy zobaczy, że pani jest bezpieczna.

Widok bladej i osłabionej Maggie przestraszył Arabellę.

– Arabello! Nic ci nie jest?! Tak się martwiłam... – zawołała Maggie na jej widok.

Dziewczynie przyszło do głowy, że być może to jej zniknięcie sprawiło, że stan Maggie się pogorszył.

– Nic mi nie jest. Ale ty wyglądasz naprawdę źle.

– Wszystko będzie dobrze. Wolałabym, żeby Tony przestał robić o to tyle hałasu. Nalega, żebym na jakiś czas pojechała do Peg, ale...

– Żadnych ale. Skoro Tony mówi, że musisz jechać, to znaczy, że musisz. Hotel się nie rozpadnie,

jeżeli parę tygodni cię w nim nie będzie.

Maggie zmarszczyła brwi.

– Arabello, muszę cię poprosić o coś naprawdę ważnego.

– Co tylko chcesz, Maggie! – odparła Arabella, siadając obok chorej na łóżku.

– Zajmiesz się hotelem przez ten czas, kiedy Tony będzie mnie odwoził do Peg?

Arabella wytrzeszczyła oczy.

– Jaaa...?

Równocześnie przypomniała sobie, że Jonathan obiecał zawieźć ją do Alice Springs.

– Tony chce poprosić o pomoc Jonathana, więc nie zostaniesz z tym wszystkim sama.

– Jak długo nie będzie Tony’ego?

Starła się opanować panikę. To potrwa na pewno co najmniej dwa tygodnie...

– Niecały tydzień – zapewniła Maggie.

Arabella przypomniała sobie, jak Maggie mówiła, że do Warratah Homestead jest około stu czterdziestu kilometrów.

– Przecież twoja siostra mieszka bardzo daleko?

– Tak, ale wielbłądy bez ładunku mogą przejść w ciągu dnia o wiele większy dystans, a Tony postara się jak najszybciej wrócić do hotelu.

Arabella miała nadzieję, że uda się jej w miarę szybko dostać do Alice Springs... ale nie mogła zawieźć Maggie, zwłaszcza po tym, co powiedział jej Tony.

Kiedy poganiacze wielbłądów odmówili zabrania jej do Alice Springs, pytała, czy mogliby zawieźć jej rodzicom jakąś wiadomość, ale Tony wówczas powiedział, że i tak musieliby w tym celu pokonać całą odległość. Nawet teraz, kiedy Arabella wykazała się opieką nad małym Urim, nie mogliby podjąć się tak dalekiej podróży tylko po to, żeby komuś dostarczyć wiadomość.

– Chciałabym pomóc, ale sama wiesz, że nie przydam się na wiele – wyznała.

– Wszystko, co będziesz musiała robić, to utrzymać czystość w hotelu i nakarmić kury. Aha! I podlać warzywa w ogródku. W spiżarni jest jeszcze trochę mięsa, co prawda niewiele... Ale to powinno wystarczyć do powrotu Tony’ego. Wątpię, żeby przyszło wielu gości, ale nawet gdyby tak się zdarzyło, po prostu rzucisz cokolwiek na ruszt. To potrafisz. A kiedy Tony wróci, on będzie smażył mięso. Jonathan może zająć się barem i podwozić ludzi, jeśli będzie trzeba. Nie chcę jechać, Arabello, ale naprawdę okropnie się czuję, a nie mam nikogo innego, kogo mogłabym poprosić o pomoc.

– Ależ musisz jechać, Maggie! I nic się nie martw, zajmę się wszystkim do twojego powrotu.

– Wiedziałam, że mogę na tobie polegać! – ucieszyła się Maggie. Zmarszczki zniknęły jej z czoła, natomiast jedna z nich pojawiła się na czole Arabelli.

– Jak się zachowywał Uri, kiedy mnie nie było?

– Beczał, kiedy Tony zabierał Bess ze stajni, żeby naprawić podkowę, ale poza tym wszystko było w porządku. Paddy poprosił Muslooma Shara, żeby mu przynosił mleko, ale już powoli zaczyna jeść co innego.

– Świetnie! Czy któryś z poganiaczy wielbłądów pojedzie z tobą do siostry?

– Tak, jadą z nami Musloom Shar, Mohomet Drim i Faiz Mohomet, który właśnie wrócił do miasta. Faiz ma zabrać trochę towarów do kilku stacji na trasie do Birdsville, więc wróci z Tonym, a Musloom i Mohomet Drim jadą do Mungerannie po wodę, więc ich podróż nie będzie stracona.

– Jesteś pewna, że dobrze zniesiesz taką długą drogę?

– Tak... co prawda podróż w upał i w dzień będzie męcząca, ale Tony uważa, że dam radę.

– Czy tu w ogóle kiedykolwiek pada deszcz? – westchnęła Arabella, patrząc w okno. Nad miastem unosiły się tumany kurzu; jak okiem sięgnąć, nie było widać ani skrawka zieleni. Nawet te parę drzew,

rosnących w mieście, miało szarawy kolor. – Nigdy nie myślałam, że powiem coś takiego, ale tak mi brakuje deszczu! I kwiatów, i zielonych wzgórz... i ptaszków, zwłaszcza rudzików! Bywało, że patrzyłam przez okno mojego pokoju i obserwowałam rudziki w ogrodzie... a tutaj możesz zobaczyć tylko kurz i nic więcej.

Maggie uśmiechnęła się tęsknie.

– Ja też tęskniłam za tym wszystkim – rzekła. – Już od dawna o tym nie myślałam, ale z pewnością rozumiem, co czujesz.

Po krótkim milczeniu Arabella rzekła:

– Tony mi powiedział o twoich kłopotach z sercem. Tak mi przykro...

– Nie powinien nic mówić – zdenerwowała się Maggie. – Nie chcę, żeby ktokolwiek się o mnie martwił! Kiedyś mój czas nadejdzie – i już. A tymczasem będę robić, co mogę.

Arabellę zdumiała odwaga Maggie. Jak mogła w ogóle porównywać jej dzielność ze swoim wiecznym narzekaniem.

Pomyślała o tych wszystkich tygodniach i miesiącach, które spędziła w łóżku w swoim pokoju podczas nawet najmniejszej dolegliwości... i nagle wybuchnęła płaczem.

Maggie wytrzeszczyła oczy i usiadła na łóżku.

– Co ci jest?

Tak dużo ostatnio przeszła i być może chciała o tym opowiedzieć.

– Bo ty... jesteś taka dzielna... – chlupała Arabella. – Wstyd mi, że ja tak nie umiem.

Maggie ujęła rękę Arabelli.

– Ależ możesz być z siebie naprawdę dumna! Jesteś teraz zupełnie inną osobą. Nie potrzebujesz, żeby wiecznie ktoś ci usługiwał!

Arabella aż się skuliła.

– Pewnie mi nie uwierzysz, ale bardzo mi pomagałaś, kiedy naprawdę tego potrzebowałam.

– O, tak! Na przykład zasypując całą kuchnię sadzą z komina... – zauważyła sarkastycznie dziewczyna.

– I mnie to się zdarzało – pocieszyła ją Maggie. – Spójrz tylko, jak bardzo pomogłaś temu biednemu, osieroconemu wielbładowi! To oznacza, że masz w sobie tyle dobroci.

Arabella próbowała się uśmiechnąć.

– Nie wiem, co się wydarzyło na pustyni, ale nie ulega wątpliwości, że też jesteś dzielna – zapewniła ją Maggie.

– Wcale się tak nie czuję... – przyznała Arabella.

– Mnie też wiele spraw przerasta – mówiła Maggie. – Nikt o tym nie wie, ale bywały sytuacje, kiedy zachowywałam się tchórzliwie. I gdybym nie kochała Tony'ego, spakowałabym manatki i wskoczyła do pociągu.

Arabella była zaskoczona. Nie mogła sobie wyobrazić Maggie poddającej się jakimkolwiek naciskom.

– A teraz mi opowiedz, co się wydarzyło na pustyni! – zażądała Maggie.

Dziewczyna już miała zacząć opowiadać, kiedy Tony wsunął głowę przez drzwi.

– Mamy problem.

– Co się stało?

– Terry potrzebuje kogoś, kto mógłby zszyć ranę na nodze Jacko. Mówiłem mu, że nie czujesz się na tyle dobrze, żeby to zrobić, ale Jacko nie chce, żeby zrobiła to Rita.

Maggie spojrzała na Arabellę.

– A dlaczego jego noga wymaga szycia?

– Zraniła go włócznia Aborygenów, kiedy próbował zastrzelić Goolima – wyjaśniła Arabella.

Maggie otworzyła szeroko oczy.

– Boże drogi! – zawołała. – To wcale nie w stylu Wally’ego. – Spojrzała na męża.

– Terry nie chciał ci zawracać głowy, ale inaczej Jacko wykrwawi się na śmierć – wyjaśnił Tony.

– Pewnie na to zasłużył... – mruknęła Maggie, spuszczając nogi z łóżka.

– Pomogę ci, Maggie! – zaofiarowała się Arabella. – Mów mi tylko, co mam robić.

– Przynieś mi gorącą wodę i czyste ręczniki. Będę potrzebować również trochę whisky, żeby wysterylizować igłę. – Tu Maggie zwróciła się do męża: – Przyrowadź Ritę, bo tylko ona zdoła przytrzymać Wally’ego. To mały facet, ale kiedy go coś boli, jest kompletnie nieprzewidywalny, więc sama sobie nie poradzę! Może ściągnij kogoś jeszcze?

Pół godziny później Arabella zbiegła po schodach. Próbowwała obserwować, jak Maggie zszywa Wally’emu nogę, ale jego wrzaski i przekleństwa wystraszyły ją.

Rita, Tony i Stuart, który akurat wstał pierwszy raz po dwóch dniach choroby i czuł się o wiele lepiej, przytrzymywali Wally’ego za ramiona, a Les Mitchell starał się utrzymać jego zdrową nogę. Maggie uprzedziła mężczyznę, że jeżeli ją kopnie, odda mu ze zdwojoną siłą swoją żelazną patelnię. Uwierzył i przez jakiś czas się hamował. Rita z kolei zaofiarowała się go ogłuszyć, żeby stracił przytomność. Niestety, jej oferta została taktownie odrzucona. Jednak Wally nie był w stanie się powstrzymać od przeklinania, a trzeba mu było założyć około dwudziestu szwów. Arabella nigdy nie słyszała podobnych wyrażań, więc uciekła z pokoju.

Jonathan pociął prześcieradło na bandaż. Zostawił je Maggie, a sam podążył za Arabellą.

– Nic pani nie jest?

– Nie... po prostu nie mogłam wytrzymać tego krzyku i przekleństw Wally’ego.

– No, Rita też ma barwny sposób wyrażania się... – zauważył, potrząsając głową na myśl o tym, co mówiła o Wallym.

– Maggie mnie poprosiła o opiekę nad hotelem, kiedy Tony zabierze ją do siostry – rzekła.

– Tony też mnie poprosił o pomoc – dodał Jonathan.

– Tak, Maggie mi wspominała... Trochę się tym denerwuję – przyznała Arabella. – Nigdy nie byłam za nic odpowiedzialna...

W gruncie rzeczy nigdy nie musiała się niczym przejmować. Nie musiała też wykonywać żadnych prac domowych ani zajmować się zwierzętami. Nawet stroje wybierały jej matka i pokojówka. Maggie miała rację, trzeba jej to było przyznać. Arabella zmieniła się nie do poznania, co jednak nie przeszkadzało, że była przerażona myślą o zajmowaniu się całym hotelem.

– To może być dla pani dobre – z uśmiechem stwierdził Jonathan, jakby czytał w jej myślach. – Ale pewnie jest pani zawiedziona, bo to opóźni podróż do Alice Springs.

– Nie mogę zawieść Maggie. Była dla mnie taka dobra! Zresztą pociąg może ruszyć lada dzień. Po prostu będę na niego tu czekać.

Jonathan modlił się o rychły przyjazd pociągu ze względu na Arabellę, mimo że widok jej odjazdu złamałby mu serce.

– Maggie jest bardzo szlachetna – stwierdziła. – A poza tym naprawdę jest chora. Wiedział pan, że ma powiększone serce?

– Nie, pierwszy raz o tym słyszę. Ale może wyzdrowieć?

– Tony mówił, że potrzebuje porządnego wypoczynku, a jedynym miejscem, w którym może się to udać, jest dom jej siostry.

Chwilę milczeli.

– Muszę tylko czekać, aż pociąg wróci – z głębokim westchnieniem powiedziała w końcu Arabella.

Zszedł do nich Terry.

– Muszę z panią pomówić, panno Fitzherbert – oznajmił.

– Proszę mnie nazywać Arabella – poprosiła.

Zauważyła, że wygląda na zdenerwowanego i jest bardzo poważny. Z pewnością chciał się od niej dowiedzieć, co się wydarzyło na pustyni.

– Czy coś się stało? – spytał Jonathan.

Policjant sprawiał wrażenie bardzo zaniepokojonego.

– Chodzi o Wally’ego.

– Co z nim? – chciała wiedzieć Arabella.

– Mam problem... – zaczął Terry.

– Jakiego rodzaju? – Arabella nerwowo zerknęła na Jonathana.

– Nie wiem, co z nim zrobić – odparł. – Jeżeli wsadzę go do celi, będę musiał się nim zajmować, a nie mam na to zupełnie czasu. Myślałem o tym, żeby go wypuścić do domu, ale Frankie Miller jeszcze nie wrócił do miasta i...

– Chwileczkę! – przerwała Arabella. – Więc nie będzie ukarany za to, co zrobił?

– Ależ będzie! Stanie przed sądem, kiedy sędzia wróci do miasta, ale na razie...

– Na razie powinien być zamknięty – stwierdziła. – Nie wolno, żeby się włóczył po mieście!

– Ma pani rację, ale nie dam rady zajmować się nim – stwierdził Terry. – Zazwyczaj moich więźniów karmiła Maggie, ale teraz jej tu nie będzie, a pani chyba tego nie będzie chciała robić...

– Nie będę! – potwierdziła.

– Przesłuchałem Wally’ego, więc znam całą prawdę. Jest chciwy, ale bardziej głupi niż niebezpieczny.

– Czy to znaczy, że nie miał zamiaru zabić mnie ani Goolima?

– Nie. Zresztą miał tylko jedną kulę w strzelbie, i to na węże. Mówił, że wypaliła przypadkiem, sam był szokowany. Wierzę mu. Wally nie jest odważny, zresztą słyszała pani, co wyprawiał przy szyciu rany.

– Przeraził mnie... – upierała się. – Myślałam, że umrę tam na pustyni.

– Rozumiem – stwierdził Terry. – I musi być ukarany za to, co zrobił, ale do tego czasu... – Tu Terry wziął głęboki oddech. – Tony zaproponował, by Wally został tutaj.

– Co? W hotelu? – pisnęła głośno.

– Tak – potwierdził policjant.

– No, zobaczymy! – krzyknęła i pobiegła na górę.

Nie mieściło się jej to w głowie.

Maggie właśnie kładła się do łóżka, kiedy Arabella gwałtownie zastukała i wpadła do pokoju.

– Maggie! Terry właśnie mi powiedział, że Tony zaproponował, żeby Wally został w hotelu podczas waszej nieobecności! – wołała wzburzona.

– To prawda. Jest zbyt chory.

– Ależ, Maggie! On chciał zamordować mnie i Goolima. Jestem tego pewna!

– Nie, kochanie. Wally jest okropnym durniem, ale nie jest mordercą. Byłam przy jego przesłuchaniu. Mogłabym go kopnąć w tyłek za głupotę i za to, że cię tak wystraszył, ale cóż... taki już jest.

– Miał broń, Maggie...

Nie mogła po prostu uwierzyć, że Maggie nie wie, co ten człowiek zrobił.

– Arabello! W buszu wszyscy chodzą z bronią. Ale Wally nie jest zabójcą. Pamiętam, jak kiedyś znalazł węża w domu i przybiegł aż tutaj po Tony’ego, bo sam nie umiał zastrzelić gada! Po prostu chciał wystraszyć Goolima i to mu się udało. Jest głupi i w dodatku o tym wie.

– Przeraził mnie... Nie mogę się nim zajmować!

– Wierz mi, doskonale cię rozumiem. Nie martw się: nie będziesz musiała. Nie jestem aż tak nieczuła.

Już poprosiłam o to Ritę.

Oczy Arabelli omal nie wyszły z orbit.

– Ależ... ona mnie nie lubi...

Teraz z kolei Maggie była zaskoczona.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– To, jak na mnie ponuro patrzy... – zaczęła Arabella.

Maggie się uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

– Znam Ritę od lat i nigdy nie widziałam, żeby się uśmiechała! Taka po prostu jest. Postępuje rzeczywiście szorstko, ale wewnątrz jest miękka jak masło w gorący dzień. Sama się przekonasz.

Arabella nadal miała wątpliwości, ale nie chciała męczyć Maggie. Kiedy wyszła od niej z pokoju, na korytarzu niemal wpadła na Stuarta.

– Ej, uważaj, młoda damo! – zawołał i przytrzymał ją mocno.

– Stuart! Słyszałam, że pan chorował! Już panu lepiej? Nie mogłam z panem porozmawiać przez tę okropną operację – tłumaczyła pospiesznie.

– Już w porządku – spokojnie odpowiedział Stuart. – Ale to ja powinienem panią spytać, jak się pani czuje po tym wszystkim...

– Byłam roztrzęsiona, ale już powoli wracam do siebie.

– Właściwie mam wyrzuty sumienia, bo to poniekąd moja wina. Gdybym nie kopał w tej okolicy, Wally'emu nie przyszłoby do głowy brać zakładników.

Arabella podniosła na niego oczy; nadal trzymał ją za łokieć.

– To nie była pańska wina! Nie powinien pan tak nawet myśleć. Po prostu Wally to wstrętny człowiek i nie mogę uwierzyć, że Terry chce go zatrzymać w hotelu, po tym wszystkim, co zrobił! Słyszał pan o tym? Nie będę się ani przez chwilę czuła bezpieczna.

– Ja też nie mogę w to uwierzyć, ale postaram się, żeby Wally pani nie niepokoił. Nawet gdybym miał stać na straży pod pani drzwiami, zrobię to!

W głębi duszy musiał przyznać, że jego duma została zraniona, gdyż nie mógł wziąć udziału w poszukiwaniach Arabelli.

Oczy dziewczyny pojaśniały.

– Dziękuję! Dzięki panu będę się czuć o wiele bezpieczniej!



# Rozdział siedemnasty

---

Kiedy następnego ranka Arabella stała przed hotelem z Jonathanem i machała Maggie oraz Tony'emu na pożegnanie, w głowie miała zamęt.

Nie wspomniała kobiecie o swoich wątpliwościach, nie chcąc jej niepokoić. Przeciwnie, zachowywała się wyjątkowo spokojnie, podczas gdy wewnątrz była kłębkim nerwów.

Oślaniając oczy przed słońcem, oboje z Jonathanem patrzyli, jak wielbłądy i jadący na nich ludzie nikną w oddali w tumanach kurzu.

Zabrali ze sobą jedenaście wielbłądów: pięć było wierzchowcami, pozostałe sześć wiozło pojemniki z wodą. Maggie włożyła kapelusz i szal Arabelli. Wyglądała w tym stroju równie śmiesznie co dziewczyna, ale musiała przyznać, że pomysł okrycia głowy i twarzy przed palącym słońcem był dobry.

Im karawana wielbłądów bardziej się oddalała, tym Arabella była bardziej zdenerwowana.

– Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzę, Jonathanie – szepnęła bliska płaczu.

– Damy radę – pocieszył ją, opiekuńczo kładąc jej dłoń na ramieniu.

– Maggie liczy na to, że będę szykowała posiłki dla gości hotelowych. Zostawiła mi nawet listę, ile co kosztuje... ale ja się boję gotować dla kogoś! Przed przybyciem tutaj nie wchodziłam nawet do kuchni, nie mówiąc już o gotowaniu. A kiedy pomagałam Maggie, popełniałam strasznie dużo błędów. Co będzie, jeżeli przyjedzie tu duża grupa ludzi? A jeżeli przypalę obiad?

– Nie będzie pani sama – uspokajał ją Jonathan. – Cokolwiek się wydarzy, razem ze wszystkim sobie poradzimy. Proszę pamiętać, że w kuchni na ogół się przydaję!

– Och, nie wiem, co bym bez pana zrobiła... – westchnęła Arabella, opierając się na nim.

Nie zauważyła zatem uśmiechu zadowolenia na jego twarzy.

Kiedy wrócili do hotelu, Jonathan powiedział Arabelli, że Wally był wściekły, kiedy się dowiedział, że to Rita ma się nim zajmować.

– Myślę, że jest tym gorzej usposobiony, im bardziej go boli noga, a na to już nie ma lekarstwa – dodał.

– Maggie mówiła, że Rita wie, jak przyrządzić aborygeńskie lekarstwo na ból – przypomniała mu Arabella.

– Prawda, ale Wally nie będzie chciał go brać. On woli whisky albo rum... ale nie może przecież przez cały czas pić!

– Z pewnością nie może! – Arabella pamiętała, jaki Wally jest nieznośny po pijanemu. Nie mogła się na to zgodzić. – Nie powinien się spodziewać, że cokolwiek dla niego zrobię – podkreśliła, kiedy usłyszała w głosie Jonathana nutę współczucia. – Nie chcę, żeby tu przebywał!

Jonathan rozumiał. Przykro było mu patrzeć na cierpienie Wally'ego, ale wiedział, że to była jego wina. Postąpił nagannie.

Do jadalni wszedł Stuart Thompson; powiedział, że zabiera Bess na przejażdżkę, bo chce sprawdzić, w jakim stanie jest jej kopyto, i że weźmie też ze sobą małego Uriego. Mężczyzna nadal był osłabiony, uznał zatem, że spacer mu dobrze zrobi.

– Tylko nie zrywaj po drodze żadnych dzikich śliwek! – upomniął go Jonathan odrobinę złośliwie.

Stuart zbladł gwałtownie na samo wspomnienie. Zignorował jednak uwagę Jonathana i zwrócił się do Arabelli:

– Niedługo wrócę... Aha, przed chwilą rozmawiałem z Wallym. Chciałem się upewnić, że nie będzie pani dokuczał.

Arabella pojaśniała.

– Dziękuję! Jak miło z pana strony!

Stuart ruszył do drzwi, a Arabella z uśmiechem na twarzy zabrała się do pracy.

Jonathan nagle poczuł zadowolenie, że nie wyznał jej swoich uczuć. Mógł wyjść na kompletnego głupka, o ile była zainteresowana Stuartem.

Oboje pracowali w kuchni, kiedy wkroczyła Rita.

Zabrała na górę herbatę i grzanekę, które Jonathan przygotował dla Wally'ego; na Arabellę ledwie zwróciła uwagę.

Dziewczyna zawsze w jej obecności była roztrzęsiona. Rita nieodmiennie budziła w niej przerażenie.

Po paru chwilach usłyszeli dobiegające z góry podniesione, gniewne głosy, po czym Aborygenka zbiegła na dół i wyszła z hotelu, najwidoczniej obrażona.

– Boję się, że ten układ się nie sprawdzi – stwierdziła Arabella, kiedy Rita zatrzasnęła z hukiem drzwi.

– A to czemu? – spytał Jonathan.

– Bo Rita ma twardą rękę, ale i problemy z piciem. Obawiam się, że zamiast doglądać Wally'ego, spije się w końcu jak bela.

– E, chyba nie – pocieszył ją Jonathan. – Maggie z pewnością ją ostrzegła, że ma się nim zajmować... choćby ze względu na panią.

– Och, Rita mogła przyrzec Maggie, że będzie się przyzwyczaję zachowywała, ale nawet przez ten krótki czas, kiedy tu jestem, zauważyłam, że alkohol to jej słabość i że mężczyźni o tym wiedzą – mówiła Arabella. – Upijali ją przecież, żeby potem móc wykorzystywać Lily, Missy czy inną młodą Aborygenkę. Ritę to wytrąca z równowagi. Mam tylko nadzieję, że z nikim się nie pobije.

Jonathan też znał problemy Rity, ale podchodził do tego bardziej optymistycznie, świadom, że policjant jest w mieście.

Edward Fitzherbert wszedł do pokoju numer pięć w hotelu Central przy Todd Street w Alice Springs i cicho zamknął za sobą drzwi. Nie był zdziwiony, zastawszy opuszczone story w oknach i żonę zwinętą w kłębek na łóżku w półmroku. Zdołał się już oswoić z tym widokiem.

– Linia kolejowa jest prawie naprawiona, kochanie – powiedział łagodnie. Nie odpowiedziała, ale Edward nie był tym zaskoczony. Wspominał już o tym, bo wielokrotnie mu to obiecywano. Co prawda nie mógł na to nic poradzić, nauczył się jednak akceptować bolesną bezczynność, tak typową w tym małym mieście w buszu. Musiał tak myśleć, inaczej by zwariował. Nie był jednak w stanie sobie poradzić z przytłaczającym bólem ściskającym mu serce, ilekroć pomyślał o Arabelli. Kiedy ból był nie do zniesienia, Edward szedł do najbliższego baru.

Clarice, w głębokiej depresji, bezmyślnie patrzyła w zasłonięte okno. Edward czuł, że nawet gdyby pociąg ruszył, żona nie zgodzi się do niego wsiąść, bo nie będzie chciała wyjechać stąd bez Arabelli. Nie była w stanie pogodzić się z faktem, że jej jedyna córka nie żyje. Edward sam nie był pewien, czy i on w to wierzy, ale znał przyczynę, dla której żona nie odsłaniała okien. Arabellę prawie na pewno zabiło bezlitosne, jaskrawe słońce, nawet zakładając, że przeżyła upadek z jadącego pociągu. Wspomnienie o tym powodowało, że Clarice popadała w odrętwienie.

Patrząc na żalostną kupkę nieszczęścia, Edward z trudem rozpoznawał kształty żony. Była dotąd zmysłowo zaokrąglona, co zresztą bardzo w niej lubił. Teraz mógł zobaczyć sterczące kości miednicy. Gwałtownie straciła na wadze, a jej wrodzona żywotność znikła. Okropnie się o nią niepokoił, ale był bezradny. To obawa o Clarice sprawiała, że dotychczas nie zwariował z żalu.

– Słyszysz mnie? Niedługo będziemy mogli wyjechać z Alice Springs i wrócić do domu.

– Do domu! – powtórzyła z oczyma pełnymi łez. – Do domu, który już nigdy nie będzie taki sam...

– Wiem, kochanie – Edward spuścił głowę.

Nie mógł znieść myśli o powrocie do Anglii bez Arabelli, ale cóż... musieli temu stawić czoło. Ich córka była dla nich stracona.

– Dlaczego to nie byłam ja? – szepnęła Clarice. – Arabella była jeszcze taka młoda... zdecydowanie za młoda, żeby kończyć życie, Edwardzie.

Stale wyobrażała sobie córkę, jak wstaje z łóżka w nocy i opuszcza przedział, jak gubi drogę w ciemnościach, w nieznanym miejscu... Wyobrażała sobie, że przez pomyłkę otwiera niewłaściwe drzwi i wypada z pociągu. Ten obraz dręczył ją dniem i nocą.

Clarice nigdy nie powiedziała wprost, że Arabella zginęła z winy Edwarda, ale mąż czuł, że gdzieś w podświadomości wini go za to, iż zachciało mu się podróży w głąb tego pustynnego kraju. On sam oczywiście to sobie wyrzucał. Gdyby się tak nie upierał przy tej podróży, Arabella byłaby nadal z nimi. Nie miało jednak sensu myśleć o tym, co by było, gdyby... Do końca życia nie zapomni tego ranka, kiedy on i Clarice po obudzeniu się odkryli, że ich jedyna córka zniknęła. Ta chwila zmieniła ich życie na zawsze.

Arabella i Jonathan przygotowywali ciasto na chleb, kiedy wróciła Rita. Powiedziała, że musi zmienić Wally'emu bandaż.

– Pani mówiła, że mam to robić codziennie – rzekła do nich.

Nie wyglądała na zadowoloną, ale oboje widzieli, że ma zamiar dotrzymać obietnicy danej Maggie, i poczuli nawet dla niej podziw. Arabella podała jej miskę gorącej wody, ręcznik i pozostawione przez Maggie czyste bandaże, a Rita poszła z tym wszystkim na górę. Arabella przypomniała sobie, że Maggie mówiła, iż po zeszytciu rany pokazała Ricie, jak zabandażować nogę Wally'ego. Miała nadzieję, że nie będzie jej w tym przeszkadzał, bo gdyby... Aż strach pomyśleć, co mogłaby w takim wypadku zrobić Rita!

– Możemy potrzebować więcej drzewa – stwierdził Jonathan, dokładając do pieca. – Narąbię trochę.

Oboje byli tego rana zajęci pracami w barze i czas im upłynął nie wiadomo kiedy.

Nie było go zaledwie kilka minut, gdy Arabella znowu usłyszała z piętra rozgniewane, podniesione głosy. Rita najwyraźniej krzyczała na Wally'ego, a on na nią. Dziewczyna stała nieruchomo i usiłowała zrozumieć, o co się kłóć. Wtedy do kuchni wszedł Jonathan.

– O co te krzyki? – spytał. Musiał je słyszeć na podwórzu.

Twarz Arabelli zbielała jak papier. Była naprawdę przerażona na myśl, co się stanie, jeżeli Wally albo Rita stracą cierpliwość.

– Nie... wiem... – wyjąkała, drżąc na całym ciele.

Usłyszeli trzaśnięcie drzwiami i ciężkie kroki Rity schodzącej po schodach. Dalej coś wykrzykiwała w swoim narzeczu. Nawet w najlepszym humorze budziła strach, teraz zaś z wybałuszonymi oczyma i morderczym wyrazem twarzy wyglądała naprawdę przerażająco.

Jonathan nie wiedział, co robić. Arabella schowała się za jego plecami. Wyrzucając ręce w górę i przeklinając, Rita minęła ich i wybiegła tylnymi drzwiami.

Oboje spojrzeli na siebie. Nie mogli sobie wyobrazić, co było powodem tak gwałtownej kłótni. Nagle usłyszeli na zewnątrz potworny trzask i pobiegli do tylnego wejścia. Rita stała na podwórku, jakieś siedem metrów od hotelu. Wpatrywała się w jedno z okien na piętrze. Na dachu klozetu wylądował potłuczony w kawałki nocnik; jego zawartość spływała po ścianach.

W oknie stał Wally. Czy rzucił nocnikiem w Ritę, czy w klozet, nie wiadomo. Ale Aborygenka podejrzewała najgorsze. Pokoje na tyłach hotelu nie miały balkonów, ale sądząc po wyrazie jej twarzy, to było bez znaczenia. Nietrudno było sobie wyobrazić, że jest skłonna odebrać Wally'emu życie. Wobec tego, po prostu dla pewności, Jonathan zamknął tylne drzwi na klucz.

– Co pan robi? – spytała Arabella.

– Chyba ratuję Wally’emu życie – odparł.

Oboje podeszli do okna zobaczyć, co zamierza zrobić Rita. Była wściekła. Kobieta wybuchła potokiem przekleństw, którymi obrzuciła Wally’ego – i odeszła.

Arabella usłyszała, jak Jonathan wydaje westchnienie ulgi i zrozumiała, że spodziewał się czegoś o wiele gorszego. Sądząc, że mogą bezpiecznie wyjść na zewnątrz, otworzyli drzwi i ostrożnie wyjrżeli na podwórze, by sprawdzić, jakie szkody poczynił nocnik w dachu ubikacji. Nagle wróciła Rita. Coś do nich wykrzykiwała i wymachiwała pięścią.

– Nie wracam! Nie będę się zajmować tym brudnym draniem! – wrzeszczała. Spojrzała w okno, z którego wychylał się Wally. – Ten cholerny Jacko może sobie zdychać! – dodała, wskazując otaczającą ich pustynię.

– Tak jak i ty! – odkrzyknął Wally, po czym z hukiem zatrzęsął okno.

Rita znowu wyrzuciła z siebie potok przekleństw i ponownie odmaszerowała.

– O Boże... – jęknęła Arabella, patrząc za nią. – To nie do zniesienia...

Maggie i Tony wyjechali przecież zaledwie parę godzin temu!

– Ona ochłonie, Arabello – uspokajał Jonathan. – Tymczasem pójdę do jego pokoju i sprawdzę, co się stało.

Po paru minutach był z powrotem.

– Wally chciał, żeby Rita wyniosła nocnik, a ona odmówiła – wyjaśnił.

– Nie mam do niej o to żalu – stwierdziła Arabella, marszcząc z niesmakiem nos na samą myśl o czymś podobnym.

– On nie może schodzić na dół do ubikacji... – tłumaczył Jonathan.

Arabella miała nadzieję, że Jonathan nie sugeruje, żeby to ona wynosiła po Wallym nocniki aż do czasu, kiedy będzie mógł chodzić!

– Les i Ted... to jego koledzy. Może mogliby tu przychodzić i zajmować się nim? – zaproponowała.

– Naprawdę nie wiem, czy zechcą... – bąknął Jonathan.

– Cóż! Wobec tego jest skazany na Ritę, czy chce, czy nie... o ile ona w ogóle tu jeszcze przyjdzie.

Jonathan ponownie poszedł do pokoju Wally’ego, a kiedy zszedł, zakomunikował Arabelli, że chory absolutnie nie chce widzieć Rity.

Stuart właśnie wrócił z przejażdżki i Jonathan wyjaśnił mu, co się stało.

Na wieść o tym, że Wally myśli, iż może im dyktować warunki, Arabella wpadła w furję.

– Uważam, że trzeba mu przypomnieć, iż powinien teraz siedzieć w więzieniu! – parsknęła ze złością.

– Co on sobie wyobraża? Że może wydawać nam rozkazy?

Była tak wściekła, że zupełnie zapomniała o strachu przed Wallym, i pomaszerowała na górę do jego pokoju.

Stuart poszedł za nią.

– Słuchaj! – wykrzyknęła, wpadając do pokoju. – Maggie zostawiła cię pod opieką Rity, a to o wiele więcej, niż na to zasłużyłeś!

Stuart stał w otwartych drzwiach.

– Nie potrzebuję niczyjej opieki! – burknął ponuro Wally. – Nie chciała zrobić tego, co kazałem, to, do cholery, po co tu w ogóle przyłazi?

Arabella widziała, jak Wally się poci. Na pewno go bardzo bolało. Niemniej nawet takie cierpienie nie zmiękczyło jej serca.

– To idź do więzienia! Tam jest dla ciebie odpowiednie miejsce! – skarciła go.

Wally chciał się bronić, ale zrezygnował. Nie tylko dlatego, że wiedział, że to na nic, ale widok

Arabelli przypomniał mu, co zrobił. Stęknął z bólu i odwrócił głowę w stronę okna.

Arabella po trosze miała nadzieję, że ją przeprosi, a przynajmniej będzie usiłował się wytłumaczyć; to nie oznaczało, że gotowa była mu wybaczyć, bo uważała, że zasłużył na karę.

Dostrzegła, że cynowa miska z wodą do obmywania jego rany leży przewrócona na podłodze. Wally miał zalaną całą koszulę. Początkowo wzięła tę wilgoć za pot, ale teraz pomyślała, że Rita musiała wylać wodę na niego. Zobaczyła też czerwoną plamę na jego nodze. Nie знаła się na ranach, ale zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że jeśli zaraz nie zmieni opatrunku, rana może się zainfekować.

– Musisz zmienić bandaż, jeżeli nie pozwoliłeś zrobić tego Ricie – oznajmiła.

Wally zerknął na swoją nogę, po czym znów odwrócił się do okna, jakby go to nic nie obchodziło.

– Jeżeli wda się gangrena, stracisz nogę – dodała.

Matka mówiła jej kiedyś o tym, jak jej staremu znajomemu trzeba było uciąć nogę z powodu gangreny – i Arabella to dobrze zapamiętała. Lekarze ucinali nogę po kawałku, a w końcu ten nieszczęśnik umarł.

– To przynajmniej mnie przestanie boleć – mruknął Wally, wykrzywiając twarz i ściskając skórę poniżej rany. – Nie wiem, jak to dłużej wytrzymam! – dodał bez tchu.

– Dlatego rzuciłeś nocnikiem i przeklinałeś Ritę?

– Bo to tak okropnie śmierdziało... musiałem się jakoś tego pozbyć – odparł.

Zauważyła, że – mimo starań, żeby to inaczej wyglądało – Wally się wstydzi, że musi używać nocnika; cóż, nie mogła go za to winić.

Westchnęła, nie wiedząc, co robić. Chciała po prostu się odwrócić i wyjść z pokoju, kiedy nagle pomyślała o Maggie.

Wiedziała, że ona potrafi odsunąć na bok własne uczucia i pomagać każdemu, kto tego potrzebuje. Była po prostu dobrą kobietą. A Arabella, chociaż wściekła na Wally'ego, chciała być taka jak Maggie. Kiedy jednak na niego spojrzała, przypomniała sobie, co zrobił – i znowu się rozgniewała. Jedno było pewne: gniew tak łatwo jej nie opuści. Domyślała się, że cierpienie wywołuje w Wallym zdenerwowanie, chociaż sam był sobie winien.

Odwróciła się do Stuarta.

– Trzeba zmienić ten bandaż – szepnęła.

– Jeżeli pani chce, zrobię to.

– Nie, ja to zrobię – odszepnęła. – Ale proszę być blisko...

– Naturalnie – obiecał.

Zwróciła się do Wally'ego:

– Proszę mi pokazać tę ranę – rzekła niecierpliwie i podeszła do niego. Powtarzała sobie, że robi to dla Maggie.

Wally opadł na poduszkę i zasłonił ręką głowę. Kiedy Arabella zbliżyła się do niego, obawiając się, że chory zaprotestuje, zobaczyła, że jego twarz i szyję pokrywa perlisty pot i że mężczyzna zaraz zemdleje. Świadomość, że jest zbyt słaby, żeby jej zrobić krzywdę, dodała jej odwagi. Ostrożnie odwinęła bandaż.

Maggie bardzo porządnie zszyła ranę, ale krew jeszcze ciągle się sączyła, a rana robiła wrażenie lepkiej. Nie wiedziała, że Maggie ostrzegała Ritę przed ryzykiem infekcji, ani tego, że Rita ją zapewniła, że ma lekarstwa, które zwalczą każdy problem.

Nikt się nie odezwał ani słowem, kiedy Arabella delikatnie oczyściła ranę i założyła świeże bandaż. Miała już wyjść, kiedy Wally się odezwał:

– Dziękuję...

Powiedział to tak cicho, że ledwie go usłyszała. Zerknęła na niego: nie wiedziała, czy powiedział to ot, tak sobie, czy naprawdę tak uważał.

– Zrobiłam to dla Maggie – rzuciła tonem wyjaśnienia i wyszła.

Stuart zamknął za nimi drzwi.

– Dobrze się pani czuje? – spytał.

– Tak. Maggie by mu na pewno pomogła; nie chciałam jej sprawić zawodu.

– Jaka pani dobra! – zauważył Stuart.

– Nie mogłabym tego zrobić, gdyby pana tu nie było. Dziękuję!

– Nie powinna mi pani dziękować. Jak już mówiłem, uwielbiam grać rolę bohatera. – Uśmiechnęła się, a jego błękitne oczy rzucały iskierki.

– I świetnie się to panu udaje! – roześmiała się kokieteryjnie.

Sama była tym zaskoczona: prawie nigdy dotąd nie miała do czynienia z chłopcami, a tym bardziej z przystojnymi mężczyznami.

Kiedy, śmiejąc się, schodzili po schodach, Jonathan akurat wracał do kuchni.

Stał przy schodach i słyszał ich rozmowę. Nie był w stanie opanować zazdrości. Jego zdaniem taki „włóczęga” jak Stuart nie był wart Arabelli: miał zamiar jej to powiedzieć, oczywiście dla jej własnego dobra.

Przez tylne drzwi wszedł Terry.

– Jak tam, wszystko w porządku?

Jonathan nie miał szans mu odpowiedzieć, bo w kuchni zjawili się Stuart i Arabella.

– Dzień dobry! – przywitał ich Terry. – Jak tam Wally?

– Nie słyszał pan? – Arabella spojrzała na Jonathana.

– Właśnie miałem Terry’emu powiedzieć, że Wally posprzeczał się z Ritą – rzekł Jonathan.

– Zauważył pan wgniecenie w dachu ubikacji? – spytała.

Terry zmarszczył czoło.

– Wgniecenie?

– Tak! Wally rzucił nocnikiem. Zresztą nie jestem pewna, czy celował w ubikację, czy w Ritę.

Terry wytrzeszczył oczy.

– Zaraz do niego pójde i powiem mu – rzucił ze złością. – Proszę się nie obawiać: nie sprawi wam już kłopotu. Jeżeli nawet tylko o tym pomyśli, wsadzę go do celi.

– Właśnie tam powinien teraz być – stwierdziła Arabella. – Tam Rita może się nim opiekować!

– Muszę tylko jeszcze wyjść na chwilę – rzekł Terry. – Proszę się nie bać, Arabello! Są tu Stuart Thompson i Jonathan, jest pani bezpieczna, zwłaszcza że stan Wally’ego...

Kiedy wyszedł, Jonathan spytał o nogę rannego.

– Trochę się niepokoję o tę ranę – przyznała. – Wygląda, jakby się tam wdała jakaś infekcja.

– Czy Maggie to przewidywała?

– Powiedziała, że Rita ma jakieś aborygeńskie lekarstwo na zakażenie, ale wątpię, żeby Wally się zgodził...

– Czy nie zdaje sobie sprawy, że może umrzeć? – spytał Jonathan.

Arabella o tym nie pomyślała.

– Powiedziałam mu, że może stracić nogę, ale jakoś się tym nie przejął. Stwierdził nawet, iż strata nogi byłaby ulgą.

– Chyba nie myśli logicznie! – oburzył się Jonathan. – Teraz, kiedy Terry sobie poszedł, zaniosę mu nocnik i spróbuję z nim pogadać... może odzyska rozum.

Późnym popołudniem Arabella usłyszała w barze jakieś obce głosy.

Bar obsługiwał Jonathan, ale innych głosów nie rozpoznała. Już miała pójść zobaczyć, kto z nim rozmawia, kiedy Jonathan wszedł do kuchni.

– Czyżbym słyszała jakieś obce osoby w barze? – spytała. Nie podobał się jej wyraz twarzy Jonathana.

– Dobrze pani słyszała... – Zawahał się na chwilę. – Pojawili się postrzygacze owiec.

– Ilu?

– Dziesięciu.

Arabella wpadła w panikę.

– Nie mogą się tu zatrzymać! – Nawet w kuchni słyszałam, jak się awanturują. – Nie zostawił ich pan chyba samych w barze?!

– Nie, Stuart ich obsługuje. Ale chcą zostać na noc, Arabello. Przebyli dzisiaj całą drogę z Port Augusta, więc ich nie mogę wyprosić. Jadą do Birdsville Track na południowym zachodzie Queensland, więc to będzie ich pierwszy i ostatni przyzwoity nocleg.

– Ale oni na pewno zechcą zjeść kolację, a my nie mamy dość mięsa w spiżarni!

– Mnie się zdaje, że wystarczy; proszę się nie martwić, jakoś ich nakarmimy.

– Nie martwić się! To koszmar, Jonathanie!

– Wiem, Arabello, ale Maggie i Tony byliby chyba zadowoleni z większych wpływów w tym miesiącu, więc powinniśmy dla nich zrobić, co się tylko da.

O tym nie pomyślała.

– Ma pan rację – stwierdziła. – Myślę tylko o sobie! Ale boję się, że zmienię pobyt tych ludzi w prawdziwy koszmar, rozejdą się plotki i hotel Great Northern straci na reputacji.

– Maggie na pewno w panią wierzy, inaczej nie poprosiłaby pani o pomoc.

Ta opinia bynajmniej nie poprawiła Arabelli samopoczucia.

Kiedy Jonathan kroił mięso na kotlety, Arabella obierała ziemniaki i marchew. Zajęło jej to dużo czasu. Stale przy tym myślała, jaka szybka i skuteczna była w tych czynnościach Maggie, i tym bardziej się denerwowała. Słyszac dochodzące z baru głosy postrzygaczy (którzy chyba byli coraz bardziej rozzłoszczeni), popełniała coraz więcej błędów i była coraz bardziej wystraszona. Kiedy kotlety były już gotowe, Jonathan poukładał je na ruszcie i zaczął kroić chleb.

– Chyba mamy za mało warzyw... – martwiła się Arabella.

– W ogrodzie nie ma ich wiele więcej – uspokoił ją – więc musimy się zadowolić tym, co jest.

– Ale jeżeli zjedzą to wszystko, dla nas nic nie zostanie... – rzekła.

Wzięli wszystkie zapasy mięsa, które miały im wystarczyć do następnego tygodnia. Tony po powrocie planował zarznąć barana. Do tego czasu musiało im wystarczyć to, co mieli.

– Coś się znajdzie – pocieszył ją Jonathan. – Nie trzeba się martwić, zarobimy na nich niezły grosz.

Ale Arabella nie była zachwycona: wiedziała, że tu nigdzie nie kupią żywności. Nikt nie miał pewności, kiedy pociąg dostarczy nowe produkty, a ponieważ Tony'emu brakowało pieniędzy, nie zamówił wiele, więc nawet gdyby pociąg przyjechał, nie przywiezie tego dużo. Poza tym pamiętała, jak Maggie i Tony mówili, że wołki zbożowe zjadły im mąkę. Nic jednak nie powiedziała.

Niepokój Arabelli zaczął wzrastać i udzielił się Jonathanowi. W końcu wysłał ją do salonu, żeby zagrała na fortepianie.

– Stuart ledwie nadaża z podawaniem im drinków – mówił. – Może się uspokoją, jeżeli pani im zagra.

Stuart był naprawdę zdenerwowany.

Postrzygacze owiec nie tylko byli coraz bardziej pijani i awanturniczy, ale wypili wszystko, co było w barze.

– Dobrze – zgodziła się Arabella.

Z przyjemnością wyszła z kuchni, tym bardziej, że i Johnatan zaczął się denerwować. Przyglądała

włosy i zdjęła fartuch, po czym poszła do salonu przez jadalnię. Kiedy mijała bar, postrzygacze zaczęli gwizdać i robić na jej temat uwagi, których wolałaby nie słyszeć. Spuściła wzrok i pospieszyła do salonu, ale kątem oka dostrzegła Ritę, Lily i Missy stojące na werandzie. Modliła się, żeby Aborygenka nie zaczęła się awanturować.

Im więcej postrzygacze pili, tym głośniej się zachowywali, tak że muzyka Arabelli nie czyniła tu żadnej różnicy. Paru z nich chciało posłuchać tej, którą Dave Brewer z hotelu Transcontinental nazwał „pianistką z Marree”, więc zaczęli się kłócić z tymi, którzy byli zanadto pijani, żeby w ogóle słuchać i docenić jej granie. Arabella była pewna, że lada chwila się pobiją i przewrócą cały hotel do góry nogami.

Jakiś wielki, trochę śmieszny mężczyzna zaczął ją zanudzać prośbami, żeby grała jego ulubione melodie, i śpiewał je. Żadne klasyczne kawałki, ale popularne w czasie wojny ragtime'y. Mogłaby nawet się dostosować do jego gustów i naprawdę chciała, byle tylko utrzymać spokój, ale zaczął być bardzo ordynarny.

Kiedy zrobił się zbyt natrętny, wstała od fortepianu. Ale zastąpił jej drogę.

– Przepraszam – powiedziała. – Muszę iść do kuchni, pomóc szykować kolację.

– Nie tak prędko! – zaprotestował.

Położył spoconą rękę na jej ramieniu i pchnął z powrotem na krzesło. Trzęsa się, oczy miała pełne łez.

– Proszę mnie puścić! – błagała.

Chciała zawołać Jonathana albo Stuarta na pomoc, ale nie miała ochoty robić scen na wypadek, gdyby wybuchła bójka.

– Zagraj jeszcze... – Mężczyzna szyderczo się uśmiechnął.

– Nie... mogę – broniła się.

Jego spojrzenie dosłownie ją paraliżowało, tak się bała. Chciała uciec.

– Daj jej spokój, Wilson! – wtrącił się inny postrzygacz.

– Nie! Chcę, żeby zagrała *Na skraju drogi* – upierał się Wilson.

– Nie znam tego – zaprotestowała. – Przepraszam. Muszę już iść.

– Nie! Musisz nam jeszcze coś zagrać! – wrzasnął.

Arabella rozejrzała się w poszukiwaniu Stuarta, ale z miejsca w jadalni, gdzie stał fortepian, nie mogła go zobaczyć.

Nagle wyraz twarzy postrzygacza z agresywnego zmienił się w niedowierzający.

Arabella ujrzała, jak na jego ramieniu żelaznym chwytem zaciskają się czarne palce. Mimo że był taki potężny, został niemal zmiażdżony przez Ritę, a potem wyniesiony przed hotel i rzucony w kurz uliczny.

Mężczyźni w barze, zamiast pospieszyć mu z pomocą, zaczęli bić brawo i krzyczeć z zachwytem. Ku wielkiemu zdumieniu Arabelli uznali kłopotliwą przygodę kolegi za śmieszna.

Wilson był kompletnie zszokowany tym atakiem ze strony kobiety, ale podniósł się powoli. Kiedy zobaczył, jak koledzy się z niego śmieją, jak go poniżają, ryknął z gniewu. Był najgłośniejszy ze wszystkich, sam się ogłosił ich przewodnikiem, więc się cofnęli i patrzyli, jak próbuje zamierzyć się na Ritę, a ręce miał ogromne. Ale że był bardzo pijany, stracił refleks i koordynację. Aborygenka cofnęła się o krok, by uniknąć jego pięści, po czym bez wysiłku walnęła go w szczękę, co go znowu zważyło z nóg. Padł na ulicę z głuchym łoskotem i tam już pozostał.

Inni postrzygacze wydawali odgłosy oznaczające pełny szacunek dla zwyciężczyni. Kiedy Rita się do nich odwróciła, czym prędzej cofnęli się do baru, niczym grzeczne jagnięta.

Arabella sprawdziła przez okno, czy Ricie nic nie jest, i uciekła do kuchni, gdzie Jonathan układał mięso na talerzach.



– Może pani zanieść te talerze do jadalni? – spytał, zanim zdołała mu opowiedzieć o tym, co się stało. Był tak przejęty szykowaniem posiłków, które chciał podać jak najszybciej, że nawet nie zauważył, w jakim jest stanie.

Bez słowa spełniła jego prośbę. Jonathan miał z tym tyle kłopotu i tak się starał, że nie chciała mu psuć humoru, chociaż marzyła o powrocie do sanktuarium: do ciszy swojego pokoju.

Musiała obrócić kilka razy, podając talerze, a kiedy już to zrobiła, skorzystała z okazji, żeby uciec na górę chociaż na parę minut, by opanować nerwy.

Już u siebie w pokoju zamknęła drzwi na klucz i wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Nadal się trzęsła. Wyszła na balkon i zauważyła, że wiatr jest coraz silniejszy. Tumany kurzu kręciły się w powietrzu, zatem wróciła do środka – i nagle usłyszała huk.

Aż podskoczyła ze strachu. Wyjrzała na balkon, ale nikogo nie dostrzegła.

Wtedy zauważyła, że drzwi balkonowe do pokoju Maggie i Tony’ego są otwarte. Poszła je zamknąć i na podłodze sypialni znalazła rozsypane papiery. Zrozumiała, że wiatr zwiął je z biurka Tony’ego stojącego w rogu. Zebrała dokumenty, by odłożyć je na miejsce.

Wiedziała, że drzwi się źle zamykają, bo Maggie często się na to uskarżała, zatem postanowiła włożyć papiery do szuflady – na wszelki wypadek. Kiedy otwierała biurko, zauważyła książkę, więc ją podniosła, chcąc wsunąć pod nią papiery. Przypadkiem jej wzrok padł na jakiś dokument.

To było zestawienie wydatków i wpływów. Na widok czerwonych cyfr aż jej zabrakło tchu.

Jasne było, że hotel ma ogromne długi.

Jęknęła. Teraz rozumiała, czemu Tony tak często bywał zmartwiony i zaniepokojony. Martwił się z powodu finansów. Była pewna, że Maggie nie wie, z jakimi kłopotami się borykają.

Wzięła do ręki wyciąg z banku i usiadła na łóżku.

– Biedny Tony... – wyszeptwała, czytając. Niewątpliwie starał się wziąć na swoje barki cały ciężar problemów.

Po jakimś czasie ostrożnie zeszła po schodach na dół. Słyszała, jak Stuart zapowiada ostatnie drinki, więc wiedziała, że wkrótce wszyscy położą się spać. W każdym razie miała taką nadzieję. Nie było jeszcze bardzo późno, ale po tak długiej podróży i z brzuchami pełnymi grogu musieli być zmęczeni. Rozpaczliwie starając się uniknąć ich widoku, zajrzała do kuchni.

Jonathana nie było, więc zaczęła zmywać. Tymczasem w drzwiach od podwórka ukazały się Lily i Missy. Spytały, czy mogą pomóc. Pamiętała, że Maggie opowiadała, że dziewczyny stale potrzebują pieniędzy, wobec tego się zgodziła. Postawiła jednak warunek, że nie mogą być pijane. Każdej zaproponowała po szylingu.

– My nie pijane, panienko – zapewniła Lily, więc Arabella się zgodziła.

Cały czas myślała o kłopotach Maggie i Tony’ego.

List z banku informował, że jeśli Tony nie zapłaci pięciuset funtów do końca roku, a więc za niecały miesiąc, będzie musiał przekazać im hotel na własność. Była zdruzgotana, tak się zmartwiła problemem McMahanów. Wiedziała, jak kochają swoje życie w Marree.

A już dla Maggie, z jej sercem – to byłby prawdziwy cios! Arabella się bała, że takie zmartwienie mogłoby zagrozić jej życiu. Pewnie dlatego właśnie Tony ukrywał przed żoną swoje kłopoty finansowe.

Zaczekała w kuchni, aż postrzygacze położą się do łóżek, i poszła do baru.

Stuart i Jonathan sprząтали. Jonathan ścierał stoły, Stuart zbierał brudne szklanki.

– Nic pani nie jest? – spytał Stuart.

– Nic – zapewniła. – A panu? – Wiedziała, że musi być wykończony tym podawaniem drinków przez cały wieczór.

– Jestem tylko zmęczony – odparł, po czym zaniósł szklanki do kuchni.

– Muszę panu coś powiedzieć, Jonathanie – rzekła.

Zauważył, jaka jest zdenerwowana.

– Co takiego?

Zobaczyła przez okno Ritę.

– Za chwileczkę wracam! – zawołała. – Muszę najpierw porozmawiać z Ritą.

Wybiegła z baru.

– Stuart opowiadał mi, że Rita wyrzuciła z jadalni jednego z postrzygaczy na ulicę. Mam nadzieję, że pani nie molestował! – wołał za nią Jonathan.

– Rita się nim zajęła! – odkrzyknęła Arabella. – Przepraszam!

Wybiegła na zewnątrz.

Aborygenka siedziała sama na skraju werandy. Arabella zawahała się, po czym usiadła obok niej, co chyba zdumiało Ritę. Wielkie bosc stopy miała bardzo zakurzone.

– Gdzie Wilson? – spytała Arabella. Nigdzie go nie dostrzegła.

– Jego kumpel wylał mu kubek wody na głowę i zabrał na górę – odparła Rita.

Patrzyła prosto przed siebie, unikając wzroku Arabelli. Czuło się między nimi jakieś niezwykle napięcie.

– Rito... chcę ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś – zaczęła. Nawet bliskość tej kobiety przerażała ją, ale starała się tego nie okazywać. – Naprawdę nie wiem, co by się stało, gdybyś nie przysłała mi z pomocą. Nie chcę nawet o tym myśleć!

Rita tylko lekko poruszyła głową, co pewnie miało oznaczać, że nic wielkiego nie zrobiła.

– Nie zapomnę ci tego – ciągnęła Arabella i mówiła to poważnie. Choć Rita ją przerażała, dziewczyna zdawała sobie sprawę, że żaden z mężczyzn nie zdołałby poradzić sobie z Wilsonem. – Jeżeli jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić, wystarczy, że mi powiesz!

Rita spojrzała na nią dziwnie: Arabella wiedziała, o czym pomyślała Aborygenka. Jak ta biała biedaczka zamierza jej pomóc? Na twarzy kobiety pojawił się blady uśmiech.

– Wiem, że nie jestem taka silna jak ty – rzekła – ale może jednak mogę coś zrobić dla ciebie. Nie wiem jeszcze co, ale chcę, żebyś wiedziała, że mam wobec ciebie wielki dług wdzięczności.

Rita zdawała się o czymś myśleć.

– Chciałabym się nauczyć grać tak jak ty – powiedziała niepewnie.

Arabella aż zamrugła ze zdziwienia.

Rita była wyraźnie przejęta tą myślą, ale po chwili znowu wyraz jej twarzy się zmienił, jakby pomyślała, że to zabrzmiało komicznie.

– Chcesz się nauczyć gry na fortepianie?

Wargi Rity się zacisnęły, odwróciła wzrok.

– Ależ z radością będę cię uczyła – rzekła Arabella, zerkając na te wielkie, mięsiste dłonie pokryte bliznami. Stwardniałe, grube palce z pewnością nie były zwinne, ale przecież Rita nie miała być pianistką koncertową! – Jeżeli chcesz, mogę pokazać ci podstawy.

Rita wytrzeszczyła oczy i po raz pierwszy Arabella zobaczyła w niej odrobinę wrażliwości.

– W porządku – powiedziała. – Ale tylko jeżeli nikt nie zobaczy, co robimy. Nie chcę, żeby ktoś się ze mnie śmiał, inaczej dam mu w ryja!

Arabella wystraszyła się trochę.

– Zamknę drzwi do jadalni, jeżeli chcesz.

Rita skinęła głową i zerwała się na nogi, dając znak, że się zgadza, zatem Arabella poszła za nią. Zerknęła w stronę, gdzie Jonathan stał przy barze. Był zdziwiony widokiem kobiet zmierzających do jadalni.

Arabella nie mogła mu tego, niestety, wyjaśnić; wzruszyła tylko ramionami i zamknęła za sobą drzwi.

# Rozdział osiemnasty

---

Arabelle zbudził czyjś śmiech.

Spojrzała na zegar przy łóżku i aż jej tchu zabrakło: było tak strasznie późno! Kiedy znowu usłyszała śmiech, poszła w najdalszy kąt balkonu i rozejrzała się uważnie. Daleko przy stajni dostrzegła postrzygaczy siodłających konie. Dwaj Afgańczycy nakarmili je wczoraj, napoili i wyszczotkowali. Mężczyźni ze śmiechem oglądali małego Uriego. To było niemądre, ale Arabelle boleśnie ubodło ich zachowanie w stosunku do małego wielbłąda.

Teraz patrzyła, jak odjeżdżali. Nie było jej to bynajmniej przykre, zwłaszcza z powodu Wilsona. Jechał ze zwieszoną głową, smutny, zgaszony i wycofany: zupełne przeciwieństwo tego hałaśliwego, nieokiełzanego brutala, jakim był wczoraj wieczorem.

Kiedy zniknęli w oddali, Arabella ubrała się szybko i zeszła na dół.

– Przepraszam, zasnęłam – usprawiedliwiła się przed Jonathanem, który w kuchni przygotowywał grzanki: miał je zanieść Stuartowi i Tedowi na śniadanie.

Ted obiecał Tony’emu, że będzie czyścił stajnię i pomagał w barze podczas jego nieobecności; uważał, że będzie lepiej, jeśli poprzebywa w dobrym towarzystwie.

– Czemu mnie pan nie obudził? – spytała Jonathana.

– Pomyślałem sobie, że wolałaby pani nie spotykać się z postrzygaczami – wyjaśnił.

Wydał jej się zmęczony.

– Słyszałam, jak się wyśmiewali z małego Uriego. To mnie zresztą obudziło.

– Kiedy mężczyźni siodłali konie, Paddy przyniósł mu akurat mleko. Ubawiło ich, że Uri myśli, że ssie własną matkę – powiedział Ted.

Arabella musiała przyznać, że widok był naprawdę zabawny.

Jonathan zauważył głębokie cienie pod jej oczyma.

– Chyba nie najlepiej pani spała – zauważył. – Trudno było pani zasnąć zeszłej nocy?

Postrzygacze zaczęli chrapać, ledwie dotknęli głowami poduszek, przez co z kolei Jonathan długo nie mógł zasnąć.

– Tak, to trwało całe wieki – odparła. Nie przyznała się, że kiedy tylko zasnęła, śniły jej się koszmary. W jednym z nich Maggie miała atak serca po tym, jak się dowiedziała, że stracili hotel.

– Bała się pani, że postrzygacze będą panią niepokoiili?

Właśnie dlatego Jonathan nie spał, tylko pilnował jej drzwi; o tym jednak Arabella nie mogła się dowiedzieć.

Nie wiedziała też, że Stuart wstawał w nocy kilka razy, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Słyszał go tylko Jonathan.

– Nie – odpowiedziała. Przed spaniem sprawdziła, czy drzwi są mocno zamknięte. – Myślałam o czymś innym.

Poszła za Jonathanem do jadalni.

Nalał jej filiżankę herbaty, a ona się zastanawiała, czy mu opowiedzieć o swoich zmartwieniach. W końcu jednak uznała, że lepiej będzie, jeżeli podzieli się z nim kłopotami.

– Wczoraj wiatr otworzył drzwi na balkon w pokoju Maggie i Tony’ego. Kiedy weszłam, żeby je zamknąć, zauważyłam, że papiery Tony’ego sfrunęły na podłogę. Zebrałam je i mimo woli zobaczyłam pismo z banku. Okazuje się, że hotel ma okropne długi. Co więcej, Tony musi do końca grudnia zapłacić dużą ratę, inaczej bank przejmie ich hotel.

Jonathan, Stuart i Ted patrzyli na nią zaskoczeni.

– Tutaj nie jest łatwo związać koniec z końcem – stwierdził Stuart.

– Zwłaszcza kiedy pociąg nie jeździ – dodał Ted. Był jednym ze szczęściarzy. Miał państwową posadę, więc mu płacili, czy pociąg kursował, czy nie. – Tutaj nie zatrzymuje się wielu ludzi, ale nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle! Tony zawsze wyglądał na kogoś, kto płaci rachunki.

– Maggie z pewnością nic o tym nie wie. To jej złamie serce – westchnęła Arabella.

– Nie mam pojęcia, co w tej sytuacji moglibyśmy zrobić... – zastanawiał się Jonathan.

– Nic... – przyznała. Myślała nad tym całą noc, ale nie doszła do żadnego wniosku. – Może Tony ma jakiś pomysł... – dodała. – Może właśnie dlatego chciał wywieźć stąd Maggie?

– Może... a może nie chce, żeby tu była, kiedy bank zacznie przejmować hotel.

– Biedna Maggie! Strata tego hotelu ją zabije. – Przypomniała sobie swój koszmarny sen. Tony bał się o Maggie i dlatego szukał wsparcia u jej siostry. – Nie możemy niczym się zdradzić! – zdecydowała.

– Nie chcę, żeby myślał, że wsadzam nos w nie swoje sprawy i żeby inni opowiadali o jego problemach.

Wszyscy się z nią zgodzili.

– Chciałbym zdobyć dla niego te pieniądze – rzekł Jonathan. – Zastanówmy się. Może, jeżeli wszyscy będziemy nad tym myśleć, dojdziemy do czegoś.

Wstał, żeby zanieść tacę do pokoju Wally'ego.

– Cóż... chyba teraz obsłużę naszego „gościa” – skrzywił się.

– Rana Wally'ego nie pachnie zbyt pięknie – stwierdził po powrocie. – Poza tym wciąż go okropnie boli.

– Musimy koniecznie poprosić Ritę o pomoc – postanowiła Arabella.

Jonathan był tego samego zdania.

– Wally nie ma innego wyjścia. Musi się zgodzić, oczywiście o ile ona mu pomoże. Zeszłej nocy słyszałem z jadalni jakieś okropne dźwięki... co to było takiego?

Arabella się uśmiechnęła.

– Rita chciała się nauczyć grać na fortepianie, więc jej pokazałam podstawowe akordy.

– Rita... chce grać na fortepianie? – z niedowierzaniem powtórzył Jonathan.

– Powinna się raczej uczyć grania na *didgeridoo*<sup>[11]</sup> – stwierdził Ted. – Ma do tego wystarczająco mocne płuca!

Arabella znów się uśmiechnęła.

– Ale ona chce grać na fortepianie.

Nie wspomniała, że ma wobec Rity dług wdzięczności za pomoc z Wilsonem.

– Niestety ma bardzo ciężką rękę. Gdyby mi się tylko udało sprawić, żeby lżej uderzała, doszłybyśmy do czegoś.

– „Ciężka ręka” to zdecydowanie za mało powiedziane! – zaprotestował Jonathan. – Zdawało mi się, że po klawiaturze gania tam i z powrotem wściekły byk! Hałas był okropny.

– Rita jeszcze nie rozumie określenia „miętko”; mam nadzieję, że to się zmieni. Ale teraz mamy ważniejszy problem – przypomniała Arabella. – Prawie nie ma jedzenia.

– Nieźle zarobiliśmy wczoraj na postrzygaczach – zauważył Jonathan. – Może moglibyśmy kupić barana ze stacji Lizard Creek. To nam na jakiś czas powinno pomóc.

– A kto go zarznie? – trzeźwo spytała Arabella, marszcząc nos na samą myśl o czymś tak okropnym.

– Ja na pewno nie – oznajmił Ted.

– Na mnie nawet nie patrzcie! – odezwał się Stuart. – Nie mógłbym zrobić czegoś takiego.

Jonathan potrząsnął głową. Wiedział, że on też tego nie mógłby zrobić. Zresztą tylko Tony i Wally w całym mieście wiedzieli, jak się obdziera barana ze skóry i jak potem dzieli się mięso.

– No to co zrobimy? – spytała Arabella. – Coś przecież musimy jeść! Mamy dużo mąki, a kury codziennie się niosą, ale wszystko inne jest na wyczerpaniu.

– Nie polecam papu z buszu! – Stuart skrzywił się na myśl o swojej niedawnej niedyspozycji. – Ale mógłbym zarznąć którąś z kur Maggie – zaofiarował się. – Może być dobra, kiedy się ją upiecze na rożnie.

– Niech się pan nawet nie waży! – oburzyła się Arabella. – Maggie uwielbia ich jajka. Gdyby pan zabił którąś z niosek, urwałaby panu głowę i upiekła ją na rożnie!

Codziennie dostawali jajka na lunch. To była jedyna rzecz, na którą mogli liczyć.

– Może Jimmy mógłby nas nauczyć polowania w buszu... Podobno wombat jest naprawdę smaczny, kangura już próbowałem – zastanawiał się Jonathan. – Wyjątkowo mocno pachnące mięso, ale kiedy się doda ziół, jakie stosują Aborygeni, jest bardzo dobre.

– Chyba mi się to nie podoba... – grymasiła Arabella.

– A i zupa z ogona kangura też nie jest zła – dodał Jonathan.

Arabella westchnęła.

– Może trzeba będzie spróbować tych specjałów, zanim Tony wróci... – rzekła w końcu. – Ale nie mam zamiaru jeść węży ani robaków!

Wspólnie zdecydowano, że to Arabella poprosi Ritę o lekarstwo na ból i zakażenie dla Wally'ego. Z kolei Jonathan i Ted mieli pomówić z rannym i przekonać go do zażycia lekarstwa. Wszyscy ze zdenerwowaniem czekali na wyniki tych pertraktacji.

Arabella poszła do obozowiska Aborygenów, gdzie Rita wraz z innymi kobietami siedziała w cieniu przed szałasem. Właśnie wróciły z buszu, skąd przyniosły jakieś pożywienie: czerwone jagody, wielkie robaki i jakiś kolczasty owoc. Arabella była zadowolona, bo te przysmaki mogły być dobrym pretekstem do rozmowy. Poza tym w pobliżu znaleźli się też Jimmy i Ruby: oboje słuchali tego, co mówiła.

– Witaj, Rito – rzekła.

– Co tu robisz, panienska?

Arabella pomyślała, że najsensowniej będzie od razu przystąpić do rzeczy.

– Nie mamy w hotelu prawie żadnego jedzenia. Wczoraj ci postrzygacze owiec wyjedli właściwie wszystko... Mieliśmy nadzieję, że pomożecie upolować nam dziczyznę w buszu.

– Dziczyznę? – powtórzyła Rita, zaskoczona tym określeniem.

– Tak... kangura, może emu... Bo nie mam dosyć odwagi, żeby spróbować węża czy robaków.

Zaczerwieniła się ze wstydu na widok zdumionych twarzy Aborygenek.

– Ja wam upoluję kangura, panienska! – zawołał stary Jimmy.

Skąd Arabella miała wiedzieć, że polowaniem z reguły zajmują się mężczyźni, podczas gdy kobiety zbierają jagody, owoce, bulwy i robaki?

– Naprawdę mógłbyś, Jimmy? Będziemy ci bardzo wdzięczni! – ucieszyła się Arabella.

– Na pewno, panienska. Teraz nie mogę polować, ale później, kiedy słońce zacznie zachodzić...

– Dziękuję, Jimmy!

– A dlaczego panienska nie weźmie owcy ze stacji, co, panienska? – spytała Rita.

– Bo żaden z mężczyzn nie chce jej zabić, a nawet gdyby to zrobili, to nie wiedzą, jak ją obedrzeć ze skóry i podzielić mięso tak, jak to robi Tony.

Kobiety zachichotały, najwyraźniej rozbawione.

Jimmy też się roześmiał.

– Pamiętam, jak Wally Jackson wzywał Tony'ego, kiedy znalazł w domu węża. Miał strzelbę z jednym nabojem. Zawsze mówił, że trzyma ją na węża, ale kiedy przyszła pora, żeby któregoś zastrzelić, nie potrafił!

Śmiał się i potrzasał głową na wspomnienie tego zdarzenia.

Serce zaczęło bić Arabelli gwałtownie: pomyślała o strzelbie Wally'ego. Terry też jej mówił, że Wally miał w niej tylko jeden nabój i to przeciwko węzom, ale dziewczyna mu nie uwierzyła. Jednak teraz Jimmy potwierdził tę wersję.

Niestety nie była w stanie przyjąć do wiadomości, że Wally był raczej głupcem niż przestępcą, jak uważała Maggie. Ale Maggie nie знаła całej historii o tym, jak ją zastraszył, zanim uwięził jako zakładniczkę. Niemniej nie chciała, żeby stracił nogę albo umarł, nawet jeżeli na to zasługiwał.

– No, Wally na pewno umiałby ściągnąć skórę z barana, ale nadal bardzo cierpi! – zaczęła, kierując rozmowę na temat, który chciała poruszyć. – Właściwie, Rito, przyszedłam tutaj cię poprosić...

Aborygenka wpatrywała się w Arabellę.

– Noga Wally'ego... chyba zaczyna się zakażenie. Mogłabyś przygotować coś przeciwko infekcji? I na ból? Naprawdę...

– Nic nie zrobię dla tego wrednego białasa! – ze złością oznajmiła Rita.

Arabella poczuła, że nogi się pod nią uginają. Bardzo się bała wybuchu gniewu Rity.

– Ja... wiem, że on na to nie zasługuje, Rito... ale jeżeli czegoś nie zrobimy, Wally na pewno umrze!

– Próbował mnie zabić, więc niech zdycha! – wrzasnęła.

Zerwała się na nogi, a Arabella instynktownie cofnęła się o dwa kroki, ale Rita tylko odeszła.

Arabella wróciła do hotelu. Mogłaby poprosić o pomoc inne kobiety, ale po odejściu Rity wszystkie pospuszczały głowy i zajęły się swoją robotą, więc wiedziała, że nie sprzeciwią się przywódczyni. Na pewno się jej bały, jak wszyscy.

W hotelu Jonathan opowiadał, że starał się przekonać Wally'ego, żeby zażył lekarstwo Aborygenów, i że chory w końcu się zgodził.

– Rozumie, że ma poważny problem – mówił Jonathan. – Lepiej by było, żeby się nie awantuował z Ritą i przyjął lekarstwo. Teraz jest już chyba za późno.

– Rzeczywiście pan myśli, że Wally może stracić nogę?

– Może stracić życie – odparł. – On naprawdę jest poważnie chory! – Zmartwiona mina Arabelli mówiła, że nie przynosi dobrych wieści. – Pewnie Rita odmówiła pomocy?

Arabella skinęła twierdząco głową.

– Mogłabym ją jeszcze raz poprosić... Może podczas kolejnej lekcji fortepianu?

– A jest ktoś inny, kto mógłby mu pomóc?

Wiedział, że z każdą chwilą szanse Wally'ego maleją.

– Nie mogłam o to poprosić innych Aborygenek. Nie ruszą palcem bez zgody Rity. Ale, ale! Stary Jimmy zgodził się upolować dla nas jakieś zwierzę w buszu. Może go weźmiemy na bok i też poprosimy o pomoc? Rita nie musi o tym wiedzieć!

Ted był w pobliżu i słyszał ich rozmowę.

– Rita jest jedyną Aborygenką w mieście, która zna się na leczeniu. Większość z nich potrafi coś zrobić, ale tylko ona mogłaby teraz pomóc Wally'emu.

– Wobec tego spróbuję ją jednak przekonać! Może chciałyby, żeby ją przeprosił?

Nie wierzyła co prawda, że Wally byłby skłonny to zrobić, bo przecież nawet nie przyjął jej przeprosin, ale skoro jego życie było zagrożone... może weźmie to pod uwagę?

Jonathan cicho prychnął.

– Zanim to nastąpi, w Marree spadnie śnieg!

– Tak czy owak porozmawiam z nim! – mówiła uparcie. Wiedziała, że jeżeli zrobi wszystko, by przekonać Wally'ego, a on mimo to umrze, Maggie ją zrozumie! – Pójdzie pan ze mną na górę, Jonathanie? Lepiej będę się czuła, wiedząc, że stoi pan tuż za drzwiami.

– Naturalnie!

Jonathan był zadowolony, że udało się mu przejąć po Stuarcie rolę bohatera.

Drzwi pokoju Wally'ego były otwarte, tak samo okno, ale zasłon nie poruszał nawet najmniejszy wietrzyk; powietrze było nieruchome i duszne. Na piętrze było bardziej gorąco niż na parterze, głównie z powodu blaszanego dachu. W sypialniach robiło się chłodniej dopiero wieczorem, kiedy czasem zrywał się lekki wietrzyk.

Wally wyglądał okropnie: wokół latały roje much, jakby już był trupem. Arabella weszła do niego z miseczką gorącej, słonej wody i świeżymi bandażami. Na wczorajszym bandażu zobaczyła ciemną plamę. To nie był dobry znak.

Wchodząc, odchrząknęła. Wally odwrócił do niej głowę. Znowu przemknęło jej przez myśl to, co mówił Jonathan. Wally nie był w stanie zabić węża, jakże mógłby chcieć zabić ją albo Goolima? Cóż, wtedy wątpiła w te słowa.

– Zmienię ci bandaż – rzekła.

Nie odezwał się, więc zaczęła zdejmować stary opatrunek. Rana okropnie śmierdziała.

– Szkoda, że nie zgodziłeś się zarzucić lekarstwa Aborygenów na zakażenie – wypomniała mu.

Nadal nic nie mówił. Rozgniewała się.

– Teraz Rita nie chce go przygotować, bo uważa, że próbowałeś ją zabić tym nocnikiem.

Mówiąc to, płukała ranę słoną wodą.

– To bez sensu. A zresztą... teraz już za późno... – słabym głosem powiedział Wally. Przyglądał się ranie. Było jasne, że zakażenie postępuje, więc wiedział, że jego dni są policzone.

– A może i nie...? Gdybyś tylko przeprosił Ritę...?

– Nie mówisz poważnie – syknął.

– Jestem śmiertelnie poważna. Musisz wiedzieć, że od tego zależy twoje życie.

– Zależy ci na tym? Pewnie kiedy umrę, tylko się ucieszysz.

– Po tym wszystkim, czego od ciebie doznałam... miałbyś mi to za złe?

Odwrócił głowę. Nigdy jej nie wybaczy, że go ośmieszyła i upokorzyła w oczach kumpli, choćby nie wiem co dla niego zrobiła!

– Kiedy wyrzuciłem ten nocnik przez okno, wcale nie celowałem w Ritę – burknął. – Bóg jeden wie, że to łatwy cel, bo jest taka ogromna! Na pewno bym w nią trafił.

– Ale ona o tym nie wie. Musisz jej powiedzieć.

– Mogę powiedzieć, ale nie będę jej przeproszał – odparł. – Ma charakter jak wściekły brunatny wąż! I ktoś taki miał mnie pielęgnować w chorobie! O coś ją poprosiłem, to zaraz wylała mi na głowę miskę wody!

– Bo w ogóle skandalicznie traktujesz wszystkich, Wally. Nie mam do Rity ani cienia pretensji, że cię oblała wodą. Zasłużyłaś.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Przebiegła obok Jonathana, który słyszał ich rozmowę. Zamiast pójść za nią, wszedł do pokoju, żeby skończyć bandażowanie rany.

– Umiesz sobie robić wrogów! – zauważył.

– Wszystko mi jedno – pogardliwie odparł Wally. – A w ogóle komu te baby potrzebne?

– Tobie – rzekł Jonathan.

Wally spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Bez pomocy Rity umrzesz... to będzie powolna i bolesna śmierć. Na twoim miejscu schowałbym ambicję do kieszeni i poprosił Ritę o pomoc.

Wally był przekonany, że jego śmierć sprawi przyjemność Arabelli, przemyślał zatem słowa Jonathana, po prostu żeby się na niej odegrać.



Późnym popołudniem w drzwiach kuchennych pojawił się Jimmy, ciągnąc zabitego kangura. Arabella wolałaby go nie oglądać, ale Jimmy nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Jimmy, wiesz, jak się robi lekarstwo przeciwko zakażeniu? – spytała.

– Właściwie nie, panienko, ale Rita wie.

– Tak, wiem o tym, ale odmówiła, a Wally Jackson umrze bez jej pomocy.

Jimmy wzruszył ramionami.

– Rozpalę ogień, żeby to ugotować – rzekł, podnosząc ogon kangura. – Mogę wziąć trochę drewna z tego stosu?

– Tak – odparła Arabella.

Weszła z powrotem do kuchni, zastanawiając się, czy nie odmówić Ricie udzielania lekcji muzyki, chyba że pomoże Wally'emu... Ale nie, tego nie mogła zrobić. Rita ją uratowała, a ona w zamian obiecała się jej odwdziaczyć.

Nadal myślała o Wallym, kiedy w drzwiach pojawiły się Rita, Lily i Missy. Przyniosły dzikie *yamy*[\[12\]](#) do mięsa kangura.

– Mogłybyście dodać trochę dzikich ziół do tego mięsa? – spytała Arabella. – Jonathan mówił, że dzięki nim jest o wiele lepsze.

Lily rozwinęła trzymaną w ręku szmatkę, w której było kilka strąków.

– Właśnie to robi je takie dobre, panienka – wyjaśniła.

– Mam nadzieję, że zjecie z nami kolację? Naturalnie razem z waszymi dziećmi! – zaprosiła Arabella.

– Jasne, panienka – odparła Missy z radosnym uśmiechem.

Bardzo jej pochlebilo to zaproszenie, tyle że biała panienka nie wiedziała, że ich wszystkie posiłki były wspólne. Każdy przynosił coś do ugotowania, a potem wszyscy się tym dzielili.

Nagle Arabella wpadła na pomysł. Spojrzała na Ritę.

– Jeżeli dasz Wally'emu coś na zakażenie, dopilnuję, żeby wieczorem Jonathan miał dla ciebie kilka darmowych drinków!

Nie podobało jej się pijaństwo Rity, ale nie znalazła innego sposobu, żeby pomóc Wally'emu. Oczy Rity zwęziły się na myśl o tej propozycji. Lily i Missy czekały w milczeniu na jej decyzję.

– Wally mi powiedział, że wcale nie rzucał tym nocnikiem w ciebie, Rito, i ja mu wierzę. Celował w ubikację! Na pewno się wstydził, że musi go używać... Zresztą doskonale go rozumiem. Mężczyźni, to takie dumne stworzenia!

– Ile dostanę tych darmowych drinków?

Arabella chwilę się zastanawiała. Nie mogła być zanadto hojna, skoro hotel miał takie problemy... ale była pewna, że Maggie i Tony zrozumieliby, że tu chodzi o życie Wally'ego.

– Trzy – powiedziała.

– Pięć, i kwita! – odparła Rita.

– Trzy... i dodatkowe lekcje gry na fortepianie – zrewanżowała się Arabella.

Ricie lekcja fortepianu ogromnie się spodobała i niecierpliwie czekała na dalsze.

– No dobrze, panienka. Znajdę to, czego Wally potrzebuje.

Arabella uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kiedy ostatni promień słońca zniknął za horyzontem, Arabella poczuła zapach kangurzego mięsa, pieczonego na węglach w pobliżu hotelu. Była w kuchni, kiedy weszła Rita z dziewczętami: niosły naręczce korzeni, liści i strąków z nasionami. Poza tym miały ze sobą coś, co wyglądało jak garść trawy.

– Włóż to do gotującej wody, panienka – zarządziła Rita, podając Arabelli nasiona, korzenie i liście. – Potem zrób z tego picie dla Jacko. To bardzo dobre na ból. A to wsadź mu pod bandaż, na ranę – dodała, wręczając jej garść trawy.

– Co...? Takie suche?

– Tak, panienska. To wyciągnie truciznę. To jest też dobre na ukąszenie węża.

– Mogłabyś to zrobić sama, Rito? Na pewno wiesz, że on porwał mnie i Goolima... i czuję się przy nim tak niezręcznie...

– Wiem, panienska, ale ja nie pomagam wrednym białasom. Missy to robi.

Missy aż wytrzeszczyła oczy i zaczęła coś wykrzykiwać w swoim narzeczu. Jej gwałtowna, gorąca wymiana zdań z Ritą skończyła się tym, że Rita ostatecznie z rozpaczą wyrzuciła w górę ręce, a Missy wybiegła.

– Ona tego nie chce zrobić, panienska – rzekła Rita.

– Nie możesz jej kazać? – Arabella już była w panice.

– Wally mówił Missy brzydkie rzeczy, panienska... O jej maluchach.

Arabella spojrzała z kolei na Lily, która jednak gwałtownie potrząsnęła głową.

W końcu Rita wyszła razem z Lily, a Arabella wróciła do kuchni, mruczając ze zdenerwowania.

– Co pani jest? – spytał Stuart.

– Rita przyniosła coś, co pomoże Wally’emu, ale nie chce mu tego dać sama... Ani ona, ani żadna inna z tych kobiet. Wally obraził Missy, bo mówił coś niedobrego o jej dzieciach. Rozumiem, że mogła być zdenerwowana, ale trzeba mu tylko dać do picia trochę tego naparu, a na ranę przyłożyć trawę...

– To dla Aborygenów kwestia utraty szacunku – oświadczył Stuart.

– Co pan przez to rozumie?

– Jeżeli Wally głęboko obraził Missy, mówiąc coś złego o jej dzieciach, to Missy nie ma dla niego szacunku i w związku z tym nie może mu podać lekarstwa. Takie są ich obyczaje.

– Wobec tego na pewno rozumieją, że ja tego też nie mogę zrobić! Nie mam dla tego człowieka ani krzty szacunku.

– Oczywiście, że panią rozumiem.

Arabella z westchnieniem potrząsnęła głową.

– Jeżeli powie mi pani, co mam zrobić, to ja chętnie... – zaproponował.

Była zdumiona.

– Ależ... nie mogę pana o to prosić! Przecież chciał obrabować pana kopalnię...

– Nic mnie nie obchodzi żadna kopalnia, Arabello. Gdyby było inaczej, pilnowałbym jej.

– Jest pan pewien?

– Tak. Kiedy tam pojechałem, wydarzyło się coś... coś tutaj, w środku. – Położył rękę na sercu. – Już mi nie zależy na złocie.

– Co się wydarzyło?

Jonathan siedział w barze, więc byli teraz w kuchni sami.

– Szukałem tego złota przez wiele lat. Myślałem, że jeżeli je znajdę, da mi satysfakcję i szczęście. Ale ono mnie tylko zmieniło... na gorsze. Nie chcę o tym mówić, ale omal nie zrobiłem czegoś okropnego... tam, na pustyni.

– W końcu jednak nie zrobił pan tego...

– Nie, ale wystarczy, że wiem, co mógłbym... – Stuart aż zadrżał na całym ciele.

Widziała, jaki był roztrzęsiony. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– I co teraz?

– Nie wiem. I właściwie mnie to nie obchodzi. Póki mam dach nad głową, jedzenie i kilka dolarów w kieszeni, mogę być szczęśliwy. Chcę po prostu prostego, spokojnego życia.

– A nie chce pan pewnego dnia założyć rodziny? Mieć żony? Dzieci?

Stuart pomyślał o Catherine.

– Muszę coś wyznać. Zawsze miałem kłopoty z dotrzymywaniem zobowiązań.

– To znaczy, że nie lubi pan zobowiązań?

– Właśnie.

– To znaczy tylko tyle, że nie spotkał pan dotąd właściwej kobiety – stwierdziła.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Może pani ma rację – przyznał. – Być może prawdziwym skarbem, jakiego szukam, wcale nie jest złoto!

Jego oczy prześliznęły się po ustach Arabelli. Była pewna, że zaraz ją pocałuje. Ledwie mogła złapać dech.

Do kuchni wszedł Jonathan. Słyszał ostatnie słowa Stuarta. Na widok mężczyzny pochylającego się nad Arabellą zareagował bardzo szybko.

– Rita przyniosła coś dla Wally’ego? – spytał głośno.

Na to niespodziewane pytanie oboje aż podskoczyli.

– Tak... – wyjąkała Arabella, zdziwiona wyczuciem czasu Jonathana.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy będzie gotowe, a zaniosę wszystko na górę!

Stuart mrugnął do Arabelli i wyszedł przez tylne drzwi.

Jonathan popatrzył za nim, zachmurzony.

Arabella zajęła się przygotowaniem naparu przeciwbólowego dla chorego.

– Stuart ma podać Wally’emu ten napój i zabandażować nogę razem z lekarstwem – rzekła.

– On? – spytał Jonathan, zaskoczony.

– Tak... Wyłumaczyłam mu, jak ma to zrobić. Prosiłam o pomoc Ritę, ale odmówiła, tak samo Missy. Stuart się zaoferował... to naprawdę ładnie z jego strony.

Jonathan zacisnął wargi i patrzył w podłogę.

– Czy coś się stało, Jonathanie? – spytała.

– Nie... właściwie nie.

– Nie jest pan tego pewien.

– Po prostu myślałem, że...

– Że co?

– Że właściwie... pani prawie nie zna Stuarta. Rozumiem, że nie zna pani także i mnie, ale on... jest bardzo oszczędny w mówieniu o sobie. Chciałbym tylko, żeby pani była ostrożna.

– Nie rozumiem, czym się pan niepokoi – stwierdziła lekko i odwróciła się. Chwycił ją za rękę i zmusił do spojrzenia mu w oczy.

– Widziałem, co się święciło, kiedy wchodziłem do kuchni.

– Och, czy myśli pan, że chciał mnie pocałować? – spytała naiwnie.

– A chciał?

– Nie jestem pewna. Ale gdyby nawet, to nie przejęłabym się tym.

Zamrugął z niedowierzaniem.

– Czy to znaczy, że pani... coś do niego czuje?

– Może... Nie wiem.

– A nie uważa pani, że powinna to wiedzieć, zanim do tego dojdzie?

– Cóż... może poczuję coś potem?

Jonathan już od dawna marzył o pocałowaniu Arabelli, więc jej słowa trochę go skonsternowały.

– A co by pani czuła, gdybym to ja panią pocałował? – wyrzucił z siebie.

Z kolei Arabella zamrugnęła, zaskoczona.

– Chciałby pan tego?

Brak doświadczenia sprawiał, że chciała to zrobić bardziej z ciekawości niż jakichkolwiek uczuć.

– Chcę tego już od dłuższego czasu.

Co za ulga, móc w końcu jej to wyznać!

– Więc dlaczego pan tego nie zrobił? – spytała niemal obrażona.

– Nie sądziłem, że pani tego zechce...

Jonathan nie wierzył, że w ogóle tak z nią rozmawia.

– A... pani?

– A ja... co?

– A pani chce, żebym ją pocałował?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – oświadczyła.

Ona też nie wierzyła, że prowadzi z nim taką rozmowę.

Jonathan nie wiedział, co odpowiedzieć. Przełknął ślinę, która nagle stanęła mu kulą w gardle, pochylił się nad Arabellą i jego wargi delikatnie musnęły jej usta.

Wzrok im się zamglął, zamknęli oczy: całował ją bardziej zdecydowanie i dużo dłużej. Kiedy się rozdzielili, patrzył na nią, starając się ocenić jej reakcję.

– Chyba mi się podoba – orzekła.

Nie miała zamiaru mu się przyznać, że to był jej pierwszy prawdziwy pocałunek, po tym bardzo krótkim muśnięciu warg Stuarta wtedy, w stajni...

– Mnie też – uśmiechnął się Jonathan.

Teraz, kiedy powiedziała coś tak niespodziewanego, miał dla niej jeszcze więcej czułości.

Woda w garnku zaczęła się gotować. To rozproszyło uwagę Arabelli. Nadal jednak z trudem oddychała i serce jej dziko waliło.

Wkrótce potem do drzwi Wally'ego zapukał Stuart.

– Co to takiego? – spytał, kiedy Stuart kładł mu na ranie garść ostrej trawy.

Arabella stała w korytarzu, w miejscu, z którego Wally nie mógł jej widzieć.

– To na zakażenie. Rita twierdzi, że to wyciągnie całą truciznę – objaśnił Stuart. – Przyniosłem ci też coś do picia, co zmniejszy ból.

– A dlaczego akurat ty mi zmieniasz bandażę?

– Chyba po prostu akurat na mnie wypadło... – beztriosko odparł Stuart.

Wally już nie robił żadnych uwag. Arabella zajrzała przez drzwi. Widziała, że cierpi tak bardzo, że z radością powitałby kogoś z siekierą, kto uciąłby mu tę nieszczęsną nogę.

Kiedy kangur nareszcie się upiekł, było już zupełnie ciemno. Wszyscy zgromadzili się dookoła ogniska. Arabella czuła się dzisiaj odprężona, bo przeciwbólowe lekarstwo Rity czyniło naprawdę cuda. Po raz pierwszy od czasu zranienia Wally spokojnie zasnął. Wiedziała, że Maggie byłaby z niej dumna.

– Nie wiem, jak ci dziękować za pomoc dla Wally'ego – rzekła do Rity.

– Powinien teraz być zdrowy, panienska, ale zanim cała trucizna wyjdzie, minie kilka dni.

– Jestem zachwycona twoją wiedzą, Rito! Gdzie się nauczyłaś tego wszystkiego o leczniczych roślinach?

– Od starych ludzi z plemienia... ale najwięcej od matki i ojca. Ojciec był *kadaicha man*, a matka leczyła wszystkich w naszym plemieniu. Od nich się najwięcej nauczyłam.

– Wally na pewno ci będzie wdzięczny. Był przekonany, że umrze.

Rita przewróciła oczyma.

– Wally zawsze myśli tylko o sobie, panienska.

Arabella zrozumiała, że Rita uważa Wally'ego za samoluba. Zresztą – sama też tak uważała.

– Dlaczego zmieniłaś zdanie i postanowiłaś mu pomóc? Chyba nie tylko z powodu darmowych

drinków i dodatkowych lekcji fortepianu?

– Nie dla niego, panienka. Dla ciebie.

Arabella była naprawdę zaskoczona.

– Jesteś młoda, panienka, ale starasz się robić dobre rzeczy. – Rita odeszła i usiadła po przeciwnej stronie ogniska, razem z Lily i Missy.

Arabella nagle się zawstydziała, że poprosiła Stuarta o zmianę opatrunku. Ciekawe, czy Maggie byłaby zawiedziona jej postępkami...

– Dziękuję panu za to, co pan zrobił dla Wally'ego – odezwała się grzecznie do stojącego obok Stuarta – ale teraz sama będę zmieniała mu opatrunki.

– Jest pani pewna? – dopytywał się Stuart. – Bo ja mogę to robić, nie ma sprawy!

– Wiem... i jestem panu wdzięczna. Ale dam sobie radę... pod warunkiem, że pan będzie w pobliżu.

Uśmiechnął się do niej.

– To będzie prawdziwa przyjemność – oświadczył.

Arabella spłonęła rumieńcem i usiadła na krześle, które Jonathan dla niej wyniósł z hotelu. Postawił je tak, żeby dym z ogniska nie dmuchał jej w twarz.

Czuła się naprawdę zdziwiona deklaracją Rity: wyglądało na to, że zyskała u niej trochę szacunku, a to znaczyło bardzo wiele. Rita była, mówiąc oględnie, bardzo oszczędna w mówieniu komukolwiek miłych rzeczy.

Arabella spojrzała w nocne, rozgwieżdżone niebo. Widok był nadzwyczajny. Na czarnym aksamicie migotały miliony gwiazd, a powietrze było na tyle chłodne, że można było wytrzymać przy ognisku. Poza tym dym skutecznie odpędzał komary.

Pokrajane mięso kangura posypano ziołami z buszu, owinięto w korę z drzewa herbacianego i upieczono na węglach. Arabelli nie podobał się wygląd tego dania, ale musiała przyznać, że po dłuższym czasie zapach stał się kuszący.

Poza tym kobiety piekły – także w popiele – smakowite *yamy*.

Kiedy wszystko było gotowe, wyciągały je patykami z ogniska i czekały, aż ostygną, po czym otrzepywały je z popiołu. Mięso kangura też zdjęto z ognia, rozwinięto z kory i ostudzone. Jonathan ponadto przygotował podpłomyki, ale upiekł je w piecu w kuchni, bojąc się, że Arabella nie będzie chciała ich jeść, jeśli będą przypalone i pokryte sadzą.

Zresztą nie omieszkała mu dać do zrozumienia, że docenia fakt, że zawsze zważa na jej uczucia.

Kiedy jedzenie ostygło na tyle, że można je było jeść, Jimmy każdemu wręczył jego porcję. Rozszczebiotane dotąd i podniecone dzieciaki Lily i Missy natychmiast, kiedy im tylko podano jedzenie, siadły w kucki na zapyłonej ziemi i zabrały się do jedzenia. Arabella trochę się wahała, czy zdoła zjeść kangurze mięso, ale kiedy go spróbowała, stwierdziła, że smakuje naprawdę świetnie. Stuart podziękował za mięso i *yamy*; ograniczył się do podpłomyka, twierdząc, że jego żołądek nie jest jeszcze zupełnie zdrowy, ale Jonathan i Arabella byli zdania, że się po prostu bał. Nie żeby mu to mieli za złe. W końcu przeszedł naprawdę okropne chwile.

Kiedy już wszystko było zjedzone, Jimmy zagrał na *didgeridoo*. Arabella jeszcze tego instrumentu nie знаła i wpadła w zachwyt. Nie mogła się nadziwić, że taka wielka, wydrążona gałąź jest w stanie wydawać tak niezwykły, jedyny w swoim rodzaju, urzekający dźwięk. Podobał się jej tak bardzo, że klaskała z przejęciem. Jonathan powiedział jej, jak się ten instrument nazywa.

Kiedy Jimmy grał, kilka kobiet mu wtórowało, stukając patyczkami, a potem zaczęły tańczyć. Tańczyły w kręgu, wystukując w piasku rytm bosymi stopami. W pewnej chwili wciągnęły do kręgu Arabellę. Początkowo była zawstydzona, ale już za moment zapomniała o zahamowaniach i zaczęła się świetnie bawić.

Pierwszy raz w życiu czuła się naprawdę częścią kultury australijskiej i potrafiła docenić jej wyjątkowość. Tego doświadczenia nie zapomni do końca życia!

Nie zauważyła, że Jonathan zniknął na chwilę, po czym pojawił się ze swoim aparatem. Dopiero błysk migawki uświadomił jej, że fotografuje ją i tańczące Aborygenki.

Kiedy zmęczona usiadła, zauważyła, że jest naprawdę wzruszony.

– Właśnie mi coś przyszło do głowy... – zaczął.

– Co takiego? – spytała.

– Mógłbym sprzedać swoje fotografie... żeby pomóc Tony'emu i Maggie.

– Dobry pomysł, ale... gdzie je pan będzie sprzedawał? Bóg jeden wie, kiedy pociąg znowu zacznie kursować!

Jonathan się zmartwił.

– Nie mam pojęcia – odparł. Rzeczywiście, nie przemyślał dobrze swojego pomysłu. – Zwykle, kiedy sprzedaję zdjęcia, robię przedtem wystawę, ale chyba nie zdołałbym ściągnąć tutaj dość ludzi, którzy by je kupili i pomogli McMahonom. Marree jest za bardzo oddalone od świata, zwłaszcza teraz, bez pociągu...

– Ale to na pewno nie potrwa długo. A pomysł jest naprawdę dobry, Jonathanie – pocieszyła go. – Musimy o tym pomyśleć.

– Może powinienem zabrać fotografie do dużego miasta? – zastanawiał się.

– Chyba powinnam coś zanieść Wally'emu do jedzenia – wtrąciła Arabella. – Pewnie już nie śpi.

Jej słowa usłyszał Stuart.

– Pójdę z panią – rzekł, wstając.

– Dziękuję! – ucieszyła się

Jonathan znowu coś tknęło.

– Zostań tu i zjedz coś. Ja pójdę z Arabellą.

– Nie, obiecałem, więc dotrzymam słowa. – Stuart się wyprostował. – A poza tym jeszcze nie mogę dużo jeść.

Zanim Jonathan zdążył zaprotestować, Stuart i Arabella ruszyli w stronę hotelu.

Arabella ostrożnie otworzyła drzwi pokoju Wally'ego, niosąc tacę. Kiedy weszła, odwrócił głowę.

– Nie śpisz? – zapytała sztywno. – Jesteś głodny?

– Trochę – przyznał. – Czy to, co słyszałem, to *didgeridoo*?

– Tak. Jimmy nam grał. To było cudowne.

Zauważyła, że z Wallym jest o wiele lepiej. Ale jego bandaż wyglądał, jakby tylko czekał na zmianę. Postawiła tacę na stoliku obok łóżka.

– Jak się czujesz? – spytała ostrożnie. Chciała zachowywać się naturalnie, ale w jego obecności zawsze będzie się czuła nieswojo.

– Rana mnie jakby pali. Jesteś pewna, że ta... – Chciał nazwać Ritę naprawdę brzydkim imieniem, ale się powstrzymał. – Jesteś pewna, że to aborygeńskie lekarstwo nie przyniesie mi więcej szkody niż pożytku?

– Musi ci pomóc!

Miała ochotę mu powiedzieć, że cierpienie zrobi mu tylko dobrze, ale ugryzła się w język.

Wally milczał.

– Zakażenie już się zaczęło, ale Rita mówi, że te trawy wyciągną całą truciznę. Zmienię ci bandaż, a potem zjesz.

Zerknąwszy na drzwi, by się upewnić, że Stuart tam nadal stoi, Arabella wzięła się do pracy. Zmieniła bandaż, potem dała Wally'emu jeszcze trochę naparu, który przygotowała z liści i strąków z

nasionami. Nie pachniał przyjemnie, ale Wally posłusznie wypił: dzięki temu ból mu tak nie dokuczał.

– Uważasz, że musisz mieć obstawę? – spytał Wally, patrząc w stronę drzwi.

Arabella się zaczerwieniła. Nie odważyłaby się przebywać w pobliżu Wally’ego, gdyby tuż obok nie było Stuarta.

– Już dowiodłeś, że nie jest bezpiecznie być blisko ciebie – odparła krótko. – No, już! – powiedziała, kiedy skończyła obwiązywać ranę czystym bandażem. – To ci musi wystarczyć do rana. – Zanim się podniosła, spojrzała na chorego i zobaczyła, że Wally jej się przypatruje.

– Dlaczego powiedziałaś wszystkim, że to, co o mnie mówiłaś, to było kłamstwo? – spytał przyciszonym głosem.

– Chyba wiesz dlaczego...

– Nie przebaczam tak łatwo – rzekł.

– Ani ja – odparła, po czym wybiegła z pokoju.

– Wszystko w porządku? – spytał Stuart. Słyszał, że Wally mówił coś do Arabelli.

– Tak, w porządku.

Serce Arabelli waliło jak młotem, nogi jej się trzęsły, ale starała się zachowywać odważnie.

– Piękny wieczór... a księżyc świeci tak jasno – mówił Stuart, kiedy zeszli po schodach. – Może poszłaby pani ze mną na spacer?

Arabelli nie chciało się wracać do ogniska, więc propozycja przypadła jej do gustu.

– Dobrze – odparła.

Zamiast wyjść przez tylne drzwi, przeszli przez bar do frontowego wyjścia. Szli parę minut, po czym Stuart się odezwał:

– Nigdy się nie spodziewałem, że poznam w Marree kogoś takiego jak pani.

– A ja nigdy się nie spodziewałam, że będę w Marree – odpowiedziała.

Jej wzrok wędrował po pogrążonej w ciemnościach otaczającej ich bezlitosnej pustyni: myślała o wszystkim, co jej się tu przydarzyło. Wiodła tu całkiem inne życie. Miała wrażenie, że nie jest tą Arabellą Fitzherbert, która wsiadała do pociągu „Ghan” w Adelajdzie, ale kimś zupełnie innym.

– Jest pani naprawdę śliczną dziewczyną, Arabello. To dziwne, że dotąd żaden przystojny mężczyzna pani nie dopadł.

Pierwszą myślą Arabelli było, jak ubogie życie towarzyskie prowadziła w Anglii. Zawsze coś jej dolegało. Tutaj było całkiem inaczej, nie miała czasu myśleć o swoim zdrowiu, bo albo pomagała Maggie, albo się o nią martwiła.

– Pan naprawdę myśli, że jestem... śliczna? – bąknęła.

Stuart był starszy i bardziej doświadczony od niej, znał świat i życie, zatem jego zdanie bardzo ją interesowało.

Stuart zatrzymał się i wziął ją za rękę.

– A nie zauważyła pani, jak na nią patrzę? – wyszeptał.

– Tak... – przyznała i opuściła głowę, żeby nie widział, jak bardzo jest zawstydzona.

– Jest pani taką kobietą, która może zmienić sposób myślenia mężczyzny – ciągnął. – Mówiłem pani, że nie umiem się zaangażować, ale...

Arabella się przestraszyła. To wszystko działo się zbyt szybko jak na nią.

– Stuart... – zaczęła, wysuwając dłoń z jego ręki. – Boję się, że chce pan zawrócić mi w głowie.

– I jak mi idzie? – spytał złośliwie, podążając za nią.

– Nieźle – odparła z nerwowym uśmiechem. Nie mogła przestać myśleć o tym, co mówił o nim Jonathan. O tym, że nie wiedzą zbyt wiele o Stuarcie. – Od jak dawna mieszka pan w Australii?

– Od paru lat – odparł bez namysłu. – Czemu pani zmienia temat?

– Staram się czegoś o panu dowiedzieć – wyjaśniła. – Dotychczas niewiele pan mówił o sobie. Gdzie pan mieszkał w Australii?

– Och, w rozmaitych miejscach, tu i tam...

Znowu wziął ją za rękę.

Nie mogła się oprzeć myśli, że mówi wymijająco, ale kiedy jego błękitne oczy błysnęły w świetle księżyca, wszystko to nagle wydało się mało ważne. Kiedy na niego patrzyła, uśmiechał się szeroko, a ona myślała, że jest w nim jakiś łobuzerski czar, któremu trudno się oprzeć. Niemniej coś ją przestrzegało, żeby uważała.

– Chyba powinniśmy już wracać – stwierdziła, czując, że jest pod jego urokiem.

Odeszli już dość daleko od hotelu, co ją denerwowało. Zawróciła.

Ale Stuart obrócił ją tak, że stanęła z nim twarzą w twarz.

– Jest pani pewna? – spytał, przyciągając ją blisko siebie i patrząc głęboko w oczy.

Wiedziała, że ma zamiar ją pocałować, i serce zaczęło jej mocno bić. Część jej pragnęła tego, podczas gdy druga część ostrzegała, kazała jej być ostrożną.

– Tak, myślę, że tak – odpowiedziała, spuszczaając głowę.

Stuart uniósł jej podbródek i musiała spojrzeć w jego błękitne oczy.

– Wcale tak pani nie myśli. – Jego wargi schyliły się do jej ust.

Nagle Arabella podskoczyła. Ktoś ją wołał.

– Arabello!

Rozpoznała głos Jonathana i odsunęła się od Stuarta.

– To Jonathan – powiedziała.

– Tak – warknął Stuart, rozdrażniony. – Coś mi się wydaje, że on nie chce, żebyśmy przebywali ze sobą.

– Cóż... – Arabella się zawahała. Przypomniała sobie pocałunek Jonathana i instynktownie się domyśliła, że nie chciałby jej widzieć w objęciach Stuarta.

Ona też tego nie chciała. Co by o niej pomyślał?

– Jest zazdrosny – stwierdził Stuart. – Chce panią mieć tylko dla siebie. Nie potępiam go zresztą za to.

Znów się zaczerwieniła.

– Z pewnością się pan myli. Jonathan był moim przyjacielem od czasu, kiedy tu się znalazłam. – Nie miała zamiaru mówić Stuartowi, że Jonathan ją pocałował, ani że jej się to podobało; w każdym razie nie teraz. Kiedy już będzie wiedziała, którego z tych mężczyzn naprawdę lubi...

– Ale myślę, że chciałby być kimś więcej dla pani – zauważył Stuart.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Znowu usłyszała wołanie Jonathana, zaczęła zatem iść w kierunku hotelu. Stuart szedł obok niej.

– Nie potępiam Jonathana – powtórzył. – Jest pani rzadkim znaleziskiem, Arabello.

– Mówi pan, jakbym była okazem botanicznym... – bąknęła. Pochlebiał jej, tym bardziej że był atrakcyjny w tak nietypowy sposób... Ale wiedziała, że nie czuje się z nim tak swobodnie jak z Jonathanem.

– Gdyby pani była okazem botanicznym, byłaby pani na pewno rzadkim, przepięknym kwiatem... – ciągnął.

– No, jest pani tutaj, Arabello! – zawołał Jonathan z werandy hotelowej. – Już się niepokoiłem, że coś się stało!

Nie ucieszył się na widok Stuarta. Arabella była naiwna i niedoświadczona.

– A co mogłoby się stać? – nieprzyjaźnie spytał Stuart.



– Poszliście do pokoju Wally’ego, a on jest nieprzewidywalny...

Oczy Stuarta zwięziły się.

– Jesteś pewien, że to nie o mnie chodzi?

– A jeżeli tak? – rzucił ostro Jonathan.

– Arabella jest ze mną całkowicie bezpieczna.

– Wracajmy do ogniska! – pospiesznie zaproponowała Arabella.

Przy ognisku zastali nowych gości; dołączyli policjant Terry i Les. Kiedy nie znaleźli nikogo w barze, usłyszeli dźwięki *didgeridoo* dobiegające z podwórka na tyłach hotelu.

– A jak tam Wally? – dopytywał się Terry. Jonathan wspomniał mu wcześniej, że Arabella zaniósła Wally’emu jedzenie.

– Trochę lepiej. Z jego rany wydostaje się ropa, poza tym Rita dała mu lekarstwo na ból.

Terry się zdziwił.

– I co, zgodził się je wziąć?

– To było okropne – dodał Jonathan. – Gdyby się nie zgodził, wątpię, czy by przeżył jeszcze jeden dzień.

– Wobec tego miał szczęście – stwierdził Terry.

Do Arabelli podeszła Rita.

– Panienska! Spróbujesz tego mięsa?

– Co to takiego? – spytała podejrzliwie dziewczyna. W porównaniu z mięsem kangura było bardzo jasnej barwy.

– To kurczak z buszu – wyjaśniła Rita.

– Kurczak?! Bardzo lubię kurczęta – ucieszyła się Arabella. Skubnęła kawałek mięsa, które okazało się bardzo soczyste i smaczne. – Mmm... – zamruczała – Smakuje trochę inaczej niż kurczęta w Anglii, ale jest wspaniałe!

Kobiety zaczęły się śmiać, tak samo Jonathan. Ale kiedy zobaczył przestraszoną minę Arabelli, starał się zachować powagę.

– Co to jest...? – z obawą spytała Arabella.

– To pyton – wyjaśniła Rita. – Ale bardzo dobry, prawda, panienska?

– Och! – jęknęła Arabella, przerażona na samą myśl o tym, że jadła węża. Spojrzała na mięso. A kiedy kobiety znów się roześmiały, była pewna, że ją oszukują.

– To wcale nie wąż! – stwierdziła i jadła dalej. To było zbyt smaczne.

Po upływie paru dni stan zdrowia Wally’ego zaczął się poprawiać. Z jego rany sączyła się ropa i miał lekką gorączkę, ale po pięciu dniach czuł się o wiele lepiej. Wszyscy żywili się mięsem zwierząt upolowanych przez Aborygenów. Tubylcy dostarczali im emu, kangury, wombaty, warany, węże, ptasie jaja i małe kangurki *wallaby*. Jonathan w dalszym ciągu piekł chleb i rozdzielał go wszystkim.

Arabella codziennie dawała Ricie lekcje fortepianu, ale nie mogła jej przekonać, żeby lżej uderzała w klawisze. Nie miała jednak odwagi jej powiedzieć, że w ten sposób nigdy nie nauczy się grać.

Szóstego dnia nieobecności Maggie i Tony’ego Wally zdołał wstać o własnych siłach. Chwiał się co prawda na nogach i kręciło mu się w głowie, ale zdecydował, że za wszelką cenę zejdzie do ubikacji i do baru. Ostrożnie oparty o ladę wypił pół kufła piwa, po czym Ted pomógł mu wejść z powrotem na piętro, gdzie Wally padł bezwładnie na łóżko.

Siódmego dnia spodziewali się powrotu Tony’ego, czas im się strasznie dłużył. Wszyscy bezmyślnie gapili się na zegar. Kiedy z nastaniem nocy nie wrócił, Jonathan i Arabella zaczęli się naprawdę niepokoić.

Późnym wieczorem pojawił się Terry. Wspólnie zastanawiali się, czemu Tony’ego do tej pory nie ma.

– Mógł zdecydować, że zostanie z Maggie jeszcze tę noc i wypocznie. Nie martwmy się na zapas – radził Terry.

Następnego dnia do miasta wrócił Faiz Mohomet – bez Tony’ego. Arabella była akurat z Jonathanem w stajni, kiedy zobaczyli Faiza idącego w ich kierunku. Zanim mężczyzna zdołał zsiąść z wielbłąda, Jonathan już go wypytywał o Tony’ego.

– Miał wypadek – poinformował ich Faiz.

– Co za wypadek? – Arabellę ogarnął strach.

– W Warratah Station kopnął go baran. Tony ma złamane żebra, więc nie mógł jechać.

– Jak to się stało? – chciał wiedzieć Jonathan.

– Oglądał ze szwagrem owce, a wtedy baran się na niego rzucił. Tony nie zauważył, że ten cap zaszedł go od tyłu.

– Nie powinien był pójść do lekarza? – spytała Arabella.

– Siostra Maggie była przed ślubem pielęgniarką. Zbadała go i stwierdziła, że żebra nie uszkodziły mu płuc. Musi tylko wypocząć.

– Kiedy wobec tego wróci?

– O, to może potrwać kilka tygodni... – stwierdził Faiz. – Obiecałem, że tam wpadnę, kiedy następnym razem będziemy jechali po wodę. Tony co prawda mówił, że wkrótce wsiądzie na wielbłąda i że odwiezie go jakiś hodowca bydła.

– Skoro Tony’ego nie będzie jeszcze przez parę tygodni... – Arabella spojrzała na Jonathana – to kiedy wróci, może być już po wszystkim.

# Rozdział dziewiętnasty

---

– Och, Jonathanie, nie wiem, co robić, żeby uratować ten hotel – rzekła Arabella. – Sprawa wygląda beznadziejnie!

Jonathan wyczuł w jej głosie zwątpienie. Pamiętał, jak wiele przeszła, i uważał, że to nie w porządku, żeby się jeszcze musiała martwić sytuacją Tony’ego i Maggie.

– Nie możesz tu zostać, Arabello. Jeżeli pojedziesz do Alice Springs do rodziny, Maggie i Tony z pewnością to zrozumieją. W każdym razie ja zrozumieję.

Wyjazd Arabelli było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył; nie chciał jednak, by była nieszczęśliwa albo niespokojna. Już rozmawiał z Paddym o odwiezieniu jej do Alice Springs i Afgańczyk się zgodził, choć uważał, że tak długa podróż przez pustynię na wielbłądzie może być dla niej prawdziwym sprawdzianem siły i odwagi. Zdaniem Paddy’ego byłoby lepiej, gdyby zaczekała w Marree na pociąg. Tego właśnie Jonathan chciał, to wyjście uważał za najlepsze, ale przede wszystkim zależało mu na jej szczęściu.

Arabella nie mogła przestać myśleć o rodzicach. Wiedziała, że cierpią, myśląc, że zginęła gdzieś na pustyni, ale nic na to nie mogła poradzić, aż do czasu, kiedy będą wracali pociągiem.

– Nie chcę zostawiać cię samego z tym wszystkim, Jonathanie – rzekła. – Nie jestem zbyt pomocna, ale byłeś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam, więc teraz moja kolej – będę tu tak długo, jak mogę.

Uśmiechnął się.

– Doceniam to, Arabello. Ale nie chcę, żebyś się zamartwiała.

Była wzruszona jego troskliwością. Patrzył na nią z takim przejęciem, tak gorąco, że aż spłonęła rumieńcem.

– Myślę, że możemy w tym wszystkim znaleźć jasną stronę – dodała.

– To znaczy co? – Jonathan nie mógł sobie wyobrazić żadnej jasnej strony.

– Na przykład, że dopóki pociąg nie kursuje, nikt z banku nie może tu się zjawić... – prawda?

– Chyba nie! – przyznał.

– Wobec tego mamy jeszcze trochę czasu. Może moglibyśmy napisać do banku i wytłumaczyć im całą sytuację? Na przykład zawiadomić ich, że Tony jest ranny. List co prawda nie będzie wysłany, zanim pociąg nie będzie jechał na południe, ale moglibyśmy w liście poprosić o więcej czasu.

– Arabello, nawet gdyby Tony był teraz tutaj, niczego by to nie zmieniło. Hotel nie ma wystarczającej liczby klientów, brak mu pieniędzy. Jestem tu już kilka miesięcy i wiem, że bardzo rzadko się zdarza, by ktoś się zatrzymał w Marree na parę dni. Nie ma tu nic do roboty, o czym zresztą sama wiesz, poza tym zawsze jest strasznie gorąco. Główny zarobek Tony’ego i Maggie pochodzi od postrzygaczy owiec, przejeżdżających tędy czasami, i od zatrzymujących się tu na trochę podróżnych na trasie do Birdsville; ale ostatnio i jednych, i drugich nie było zbyt wielu. Oczywiście to, jak sądzę, może się zmienić. Jeżeli na południu i w północnym Queensland spadną deszcze, będzie więcej paszy dla bydła, a wtedy i jedni, i drudzy częściej będą tędy podróżować.

– Hotel jak dotąd jakoś trwał, więc nie byłoby w porządku, gdyby bank nie okazał cierpliwości do czasu, aż sytuacja się poprawi. Och, gdybyśmy tylko mogli znaleźć sposób na przyciągnięcie ludzi do Marree, albo przynajmniej żeby w ogóle tędy przejeżdżali! Musimy się zastanowić, co mogłoby ludzi wyciągnąć z pociągu do Ghan i skłonić do wydania pieniędzy w mieście! To by nam ogromnie pomogło.

– Ale nie wiem, jak moglibyśmy tego dokonać... – rzekł Jonathan, zgnębiony.

– A jakim cudem Mohomet Basheer może żyć ze swojego bazaru?

– Inny Afgańczyk zabiera jego ubrania, jeździ z nimi po stacjach i sprzedaje.

– Szkoda, że my nie możemy tak sprzedawać piwa! Musimy ściągnąć do miasta robotników kolejowych.

– Szkoda, że Afgańczycy nie piją alkoholu... Tych zawsze tu jest pełno – zmartwił się Jonathan.

– Tak, to prawda – zgodziła się Arabella. – Ale w hotelu i tak już prawie nie ma piwa. A czy jedzą dziczyznę? Moglibyśmy im sprzedawać mięso kangurów czy wombatów.

Jonathan się roześmiał.

– Oni jedzą mięso wielbłądzie – wyjaśnił i znów wybuchnął śmiechem na widok przerażenia na twarzy Arabelli. – A mówiąc o pieczeniu mięsa – ciągnął – to w Birdsville co rok odbywają się wyścigi i pikniki. Z pewnością będą tam setki gości. Sprzedaje się tam strasznie dużo piwa i jedzenia. To prawdziwy raj dla kasy miejskiej.

– Mówisz o wyścigach konnych?

– Tak, ale są też wyścigi wielbłądów. Afgańczycy z naszego miasta zabierają tam najlepsze wielbłądy do udziału w wyścigach. Czasem wracają z niezłe wypchaną sakiewką!

– Coś takiego przydałoby się tutaj... – zastanawiała się Arabella z przejęciem.

– W Marree musiałyby to być coś wyjątkowego – odparł Jonathan. – Jak powiedziałaś? Coś, co by przyciągnęło ludzi z innych stacji. Ale w dalszym ciągu nie wiem co...

W ciągu następnych dni panował żar nie do wytrzymania, tak że nawet nie chciało im się myśleć o żadnych gościach hotelowych. W hotelu mieszkał Les Mitchell, bo zranił sobie rękę i nie był w stanie pracować na stacji Lizard Creek, ale nie można go było uważać za prawdziwego gościa, bo zajmował się sam sobą.

Ted mówił, że chociaż tyle lat tu mieszka, nie pamięta podobnych upałów. Gorąco po prostu wysysało z ludzi energię. Arabella z trudem zwlekała się rano z łóżka, a kiedy to w końcu zrobiła, kręciło jej się w głowie. Co gorsza, generator prądu do lodówek się przegrzał i zepsuł, zatem piwo się grzało, co bardzo martwiło miejscowych. Ta odrobina jedzenia, która jeszcze była w spiżarni, zepsuła się, mąkę zaatakowały insekty, a much było chyba dwa razy więcej niż zwykle – o ile coś takiego w ogóle było możliwe. Wraz z upałem pojawił się gorący wiatr, który niszczył wszystko na swojej drodze. Aby go uniknąć, zamykali okna i drzwi hotelu, ale wtedy w środku robiło się okropnie duszno... kiedy zaś otwierali okna, w pokojach natychmiast było pełno kurzu. Arabella straciła zupełnie apetyt, a wszyscy byli w ponurych nastrojach.

Naprawa generatora zabrała Jonathanowi i Tedowi cztery dni; po prostu nie mieli pojęcia o tym, co robią.

– I tak niedługo skończy się paliwo do generatora – skarżył się Jonathan Arabelli.

– Właściwie wszystko nam się zaraz skończy! – jęknęła z rozpaczą. – Będziemy musieli posłać na południe Afgańczyków po zapasy, ale zanim wrócą, minie co najmniej parę tygodni!

– Gdybyśmy tylko mogli się porozumieć z Tonym i dowiedzieć się, co mamy robić... – martwił się Jonathan.

– Ale nie możemy. Sami musimy podjąć decyzję!

Na to odezwał się Ted:

– Afgańczycy mogliby przywieźć wszystko, co wam potrzebne, z Leigh Creek. Także piwo. To niecałe sto czterdzieści kilometrów stąd, więc zajmie im to ledwie parę dni.

– Brzmi cudownie – rzekła Arabella.

– Będziemy musieli im dać te pieniądze od postrzygaczy owiec na zakup zapasów w Leigh Creek – stwierdził Jonathan. – Nie mamy innego wyjścia.

Kiedy decyzja już zapadła, oboje poczuli się lepiej. Ustalili z wielbłądnikami, że wyruszą nazajutrz o świcie.

W nocy Arabellę zbudził jakiś huk na zewnątrz przypominający burzę. Myślała, że to sen, aż do chwili, kiedy przez dziurawy dach zaczęły się przesączać krople wody i kapać jej na twarz. Dopiero zaczęła świtać, niebo było jeszcze ciemne.

Pod hotelem czekało na wymarsz do Leigh Creek pięć wielbłądów i dwaj Afgańczycy.

Arabella usiadła na łóżku i słuchała jak oczarowana, a krople wody kapały jej z sufitu na twarz. Hałas na dachu był ogłuszający; poza tym pojawił się niezwykle zapach, jakiego nie czuła już od dawna. Bojąc się, że się myli, podeszła do otwartych drzwi balkonowych i wyjrzała. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Padał deszcz.

– Jonathanie! – krzyknęła, biegnąc do drzwi swojej sypialni. – Jonathanie! Deszcz pada!

Zaspany Jonathan otworzył drzwi.

– Co takiego? – wymamrotał.

– Słuchaj! Deszcz pada! Chodź, zobacz!

Wally otworzył drzwi do swojego pokoju i z zaspanymi oczyma kuśtykał na korytarz.

– Co się dzieje? – pytał nieprzytomnie.

Równocześnie otworzyły się drzwi do pokoju Stuarta.

– Co to za hałas?

– Pada! Deszcz pada! – wołała Arabella podniecona.

Widziała deszcz pierwszy raz od dobrych kilku miesięcy.

Wszyscy poszli przez jej pokój na balkon. Arabella wyciągnęła ręce przed siebie, chwytając krople deszczu i polewając sobie nimi twarz. Uczucie było tak wspaniałe, że aż piszczała z podniecenia. Wszyscy się uśmiechali – od ucha do ucha. Ten deszcz budził radość i nadzieję!

– Czy to oznacza koniec suszy? – spytała.

– Wątpię! – zawołał do nich Ted z ulicy.

Szedł właśnie do stajni, by wyczyścić końskie boksy, co robił codziennie o świcie. Był przemoczony do nitki, ale zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi. Cudownie było czuć, jak deszcz obmywa pot z jego ciała, jakby po wielu miesiącach nareszcie się wykąpał!

– Tylko, jeżeli pada przez kilka dni, można powiedzieć, że to koniec suszy! – wołał. – Ale jeżeli zaraz przestanie, a na pewno tak będzie, wody wystarczy zaledwie, żeby napełnić zbiorniki!

Deszcz padał przez półtorej godziny, a potem zupełnie jakby ktoś zakręcił kurek, przestało padać i na niebie ukazało się słońce.

Tymczasem ulice w Marree zamieniły się w błotniste strumyki. Dzieci Aborygenów pluskały się w nich, piszcząc z radości. Tymczasem Arabella i Jonathan przekonali się, że dach hotelu jest podziurawiony jak sito. Arabella musiała postawić na łóżku wiadro i łapać do niego wodę, a Jonathan i Wally rozstawili kubeczki na podłodze w swoich pokojach. Arabella sprawdziła stan pokoju Maggie i Tony'ego: okazało się, że i tam dach przecieka. Nie mieli już wiader, musieli więc do zbierania kapiącej wody użyć garnków i patelni.

Kiedy wyszło słońce, powietrze zrobiło się duszne od pary, co było jeszcze trudniejsze do wytrzymania niż suchy upał i kurz. Bielizna na sznurach przedstawiała godny pożałowania widok. Podczas burzy piaskowej pokryła się czerwono-brązowym pyłem, a teraz, po deszczu, ten pył zmienił się w strugi błota.

Arabella akurat zdejmowała ubrania ze sznura, brodząc po kostki w schnącym błocie, kiedy pojawiła się Rita.

– Popatrz tylko na to... – jęknęła Arabella.

– Panienska! Deszcz zrobi tak, że cała pustynia będzie pełna dzikich kwiatów – mówiła Rita. – To naprawdę śliczny widok.

Arabella przerwała pracę i z zachwytem spojrzała na Ritę. Nie spodziewała się usłyszeć od niej czegoś takiego! To było takie kobiece, zupełnie niepasujące do Aborygenki...

– Bardzo chciałabym je zobaczyć – rzekła.

– Panienska, to lepiej się pospieszyć, bo szarańcza zaraz wszystko zje – ostrzegła Rita.

– Szarańcza?

– Tak, szarańcza już tu leci. Mnóstwo! – Rita się rozejrzała. – Mają jeszcze parę dni drogi... chyba.

– Szarańcza... masz na myśli koniki polne? – pytała Arabella. Myśl o znalezieniu się na drodze plagi owadów nie była zbyt pociągająca; a poza tym, skąd Rita mogła się domyślać, że nadciągają, skoro są jeszcze o parę dni drogi stąd?

– Tak, panienska. One zjadają wszystko. Ale szarańcza to jest dobre jedzonko. Będziemy mieli mnóstwo tych drani do pieczenia.

– Do pieczenia? Czy to znaczy, że chcecie jeść szarańczę? – pytała z niedowierzaniem Arabella.

– Tak, panienska. Bardzo dobre.

– Fuij! – Arabella się skrzywiła. – Wolałabym umrzeć z głodu!

– Tak może być, panienska... bo one zjedzą wszystko w waszym ogrodzie warzywnym.

– Ale nie w ogródku Maggie! – zaprotestowała Arabella z oburzeniem. – Ja na to nie pozwolę!

– Nie zatrzymasz ich, panienska.

Dwa dni później na Marree spadła plaga szarańczy.

Arabella akurat była na balkonie i trzepała materace zawilgocone od deszczu kapiącego z dachu. Nagle dostrzegła na horyzoncie dziwną, mglistą chmurę zbliżającą się z południa.

Zawołała Jonathana.

– Spójrz! – rzekła. – Czy to znowu burza piaskowa?

Na podwórku była Rita razem z Lily i Missy.

– Panienska! To plaga szarańczy!

Arabella wpadła w panikę. Chmura szarańczy wyglądała jak poruszająca się fala. Musiała mieć co najmniej półtora kilometra szerokości... czegoś podobnego Arabella nie widziała jeszcze nigdy w życiu.

– Musimy ratować ogród warzywny! – zawołała do Jonathana.

– Nic nie poradzimy, Arabello – odpowiedział. – One zjadają wszystko to, co jest na ziemi, ale to, co pod spodem, powinno być bezpieczne.

Pomyślała, że to niezła wiadomość, kangury też zjadały wszystko, co wystawało z ziemi.

– Skąd wiedziałas, że szarańcza nadchodzi, Rito? – spytała.

– Po prostu to wiem – odpowiedziała Rita.

Aborygenka ruszyła w stronę obozowiska razem z Lily i Missy. Było jasne, że z przejęciem oczekuje szarańczy, żeby ją zjeść, czego Arabella nie była w stanie pojąć.

W ciągu dwóch godzin owady dotarły do miasteczka i rozpanoszyły się na ulicach Marree. Arabella pozamykała drzwi i okna, wyobrażając sobie, że to zatrzyma szarańcze na zewnątrz. Omal nie umarła ze strachu, kiedy zobaczyła owady skaczące po podłodze w kuchni. Złapała miotłę i próbowała je wyrzucić, ale cała masa insektów zdążyła przedostać się pod drzwiami, więc Arabella wzięła ścierkę i wcisnęła ją w szparę.

– Jak je powstrzymać? – krzyczała do Jonathana.

– Nie mam pojęcia! – wołał. – Nic nam nie zrobią, Arabello!

Jednak sam nie mógł opanować obrzydzenia.

– Nie chcę, żeby tu włążyły! – piszczała dziewczyna.

Zniknęła w korytarzu, żeby się przekonać, że skacze tam jeszcze więcej tych stworzeń. Z pewnością przelazły pod frontowymi drzwiami do baru. Z piskiem przebrnęła pomiędzy nimi i zaczęła wchodzić na górę. W połowie drogi odwróciła i okazało się, że szarańcza podąża za nią.

Drżąc z obrzydzenia, pobiegła do swojego pokoju – jej sanktuarium – i zatrzasnęła za sobą drzwi. Zerwała prześcieradła z łóżka i zaczęła nimi zasłaniać drzwi od dołu. Wzięła kilka głębokich, uspokajających oddechów, starając się opanować nerwy. Widziała, że Jonathan, Ted i Stuart są rozbawieni jej reakcją na skaczących napastników. Ale dla niej widok milionów owadów nie był zabawny. Spojrzała w stronę balkonu i nagle zdała sobie sprawę, że drzwi są otwarte. Zerwała się na równe nogi, podbiegła do drzwi i ostrożnie wyjrzała: na szczęście na balkonie nie było żadnego konika polnego. Podeszła do rogu werandy i spojrzała w dół.

Droga na dole wydawała się falować. Widok był okropny, ale jakoś dziwnie fascynujący. Arabella stała w miejscu jak zahipnotyzowana. Nie słyszała, kiedy na górę wszedł Jonathan. Kiedy położył jej rękę na ramieniu, aż podskoczyła ze strachu.

– Przepraszam, Arabello – powiedział spokojnie. – Nie chciałem cię przestraszyć.

– Nie szkodzi – odpowiedziała bez tchu. – Zapatrzyłam się na tę szarańczę i nie słyszałam, jak podchodziłeś. – Obejrzała się na pokój. – To ty położyłeś z powrotem te prześcieradła na łóżku?

– Tak... szarańcza nie wejdzie ci do pokoju.

Spojrzał z balkonu na dół i aż wytrzeszczył oczy.

– Ależ to niezwykle widowisko! Muszę wziąć aparat!

I wybiegł, zanim Arabella zdążyła się odezwać.

Po chwili był z powrotem z aparatem i zaczął fotografować szarańczę. Arabella musiała przyznać, że widok tych stworzeń pochłaniających miasto jest rzeczywiście niezwykły, poza tym czuła zadowolenie, że Jonathan uchwycił je na fotografiach, bo wątpliwe, żeby jeszcze kiedyś w życiu zdołała zobaczyć coś podobnego.

Po zrobieniu szeregu zdjęć Jonathan odłożył aparat i delikatnie, niemal z wahaniem objął ramieniem Arabellę.

– Przepraszam, że przedtem nie okazałem ci należytego zrozumienia – rzekł. – Widziałem na pustyni wiele dziwnych rzeczy i zapomniałem, że ty ich nie znasz.

– Wiem, że byłam trochę nierozsądna – przyznała Arabella, wzruszona jego bliskością. – Stąd, z góry, szarańcza wygląda po prostu zachwycająco! Co prawda wątpię, żeby wieśniacy myśleli tak samo...

– Masz rację – potwierdził Jonathan, wychylając się przez balkon. – Te owady potrafią w ciągu paru godzin pożreć wszystkie plony i zrujnować farmerów. Słyszałem, że próbują im podawać truciznę, żeby wyginęły, ale nie wiem, czy to skuteczne...

Wsparta na Jonathanie Arabella rozkoszowała się bezpiecznym schronieniem w jego ramionach.

– Dzisiaj wieczorem nie chcę jeść kolacji u Aborygenów.

– Dlaczego? Do tej pory większość szarańczy już stąd odleci.

– Ale nie wszystkie. Niektóre będą podane na kolację.

– Och... – Jonathan się wzdrygnął.

Wtedy pierwszy raz zobaczyła, jak się kuli na samą myśl o jedzeniu z buszu.

– Wyobrażam sobie, że mogą być trochę... skrzypiące – skrzywił się.

Nie mogła pohamować śmiechu, mimo że oczyma wyobraźni widziała owady podane na kolację.

– Jak myślisz? Czy je ugotują, czy upieką na grillu? – spytał Jonathan.

– Przestań... – poprosiła i znowu wybuchnęła śmiechem.

– Po prostu sobie wyobraziłem takie małe, czarne, trzeszczące drobiazgi z kruchymi skrzydełkami... –

rozmarzył się Jonathan.

– Brrr! – Wzdrygnęła się i wbiegła z powrotem do pokoju.

Jonathan szedł za nią, coraz barwniej opisując smak i wygląd szarańczy przyrządzonej na kolację.

Wieczorem tego dnia wymiatanie szarańczy z hotelu i sprzed drzwi zajęło im kilka godzin. Nikt nawet nie pomyślał o kolacji u Aborygenów. Zamiast tego zjedli chleb z dżemem.

Paddy przybiegł w panice do hotelu. Opowiadał rozgorączkowany, że plaga szarańczy przeraziła wielbłądy i że wiele z nich wyrwało się z zagrody. Miał nadzieję, że zwierzęta tutaj dotarły. Później Les mówił, że Afgańczycy ruszyli na pustynię, żeby okrążyć przerażone wielbłądy. Ledwie oznajmił im tę nowinę, kiedy pojawił się Stuart Thompson z wiadomością, że Bess wypchnęła furtkę i uciekła, a Uri razem z nią.

– Och, nie! – przestraszyła się Arabella. Nie mogła uwierzyć, że nie przyszło jej do głowy, iż szarańcza mogłaby go wystraszyć. – Musimy ich szukać!

– Zostaniesz tutaj! – zdecydował Jonathan. – Robi się późno. Ted, Les, Stuart i ja pójdziemy szukać Bess i Uriego.

– Idę z wami! – uparła się. Nie chciała zostawać sama w hotelu i denerwować się. – Kiedy Uri usłyszy, że go wołam, może przybiegnie do mnie – przekonywała.

W końcu Jonathan zgodził się ją zabrać.

Cała piątka udała się piechotą w stronę pustyni, starając się nie tracić z oczu oświetlonych okien hotelu, bo zaczęło się ściemniać. Nocna wyprawa przypomniała Arabelli chwile, kiedy się zgubiła. Wróciły koszmarnie wspomnienia; starała się trzymać jak najbliżej Jonathana.

Mężczyźni tymczasem zrobili pochodnie z gałęzi, owinąwszy ich końce szmatami umoczonymi w benzynie. Kiedy minęły dwie godziny, a oni nie wpadli na ślad zwierząt, zdecydowali, że się rozdzielą. Pochodnie Lesa i Teda już pogasły, świeciły się tylko pochodnie Stuarta i Jonathana.

Les, Ted i Stuart poszli w jedną stronę, a Arabella i Jonathan w drugą. Uznali, że w ten sposób sprawdzą większy obszar. Arabella i Jonathan znajdowali się o jakieś trzy kilometry od hotelu, kiedy ich pochodnia zgasła.

– Do diabła! – zaklął Jonathan. Było kompletnie ciemno, bo księżyc zakrywały chmury. Nie mogli też dostrzec światełka pochodni drugiej grupy, przypuszczali więc, że pochodnia Stuarta też musiała zgasnąć, i wobec tego jedni i drudzy powinni skierować się do hotelu.

– W tych ciemnościach nie znajdziemy ani Bess, ani małego Uriego, więc powinniśmy wracać, Arabello...

Musiała się zgodzić, ale nadal martwiła się o swojego ulubieńca.

– Nie martw się, Arabello! Bess na pewno wróci, a Uri razem z nią – pocieszał ją Jonathan.

Trzymała go mocno za ramię, bojąc się, że może się zgubić w ciemnościach. Musieli być w pobliżu wyschniętego strumienia o stromych brzegach, ale kiedy pochodnia zgasła, nie mogli stwierdzić, gdzie dokładnie się znajdują. Z pewnością na brzegu strumienia od strony miasta, bo tam szukali, kiedy jeszcze mieli światło. Bali się, że Bess albo Uri mogli wpaść do wyschniętego strumienia i się pokaleczyć.

Arabella niechcący stąpnęła na kawałek drewna i uderzyła się w palec u nogi. Jej okrzyk bólu spowodował, że Jonathan na chwilę przestał uważać: stracił grunt pod nogami i po prostu wysunął się jej z rąk, zniknął. Usłyszała jakby odgłos spadających kamieni, trzask łamanych gałęzi, wreszcie głuchy łoskot.

– Jonathanie! – zawołała. – Gdzie jesteś?

Usłyszała jęk.

– Zostań... tam, gdzie jesteś, Arabello – jęknął. – Stoisz nad brzegiem wyschniętego strumienia...

Zatkało ją. Ostrożnie wysunęła stopę. O parę cali dalej nie wyczuła pod nią gruntu!



– Nic ci nie jest, Jonathanie?

Modliła się, żeby niczego sobie nie złamał. Wstrzymując oddech, czekała w ciemności na jego odpowiedź.

– Nie... – odpowiedział, podnosząc się ostrożnie. – Podrapałem się trochę, ale... wszystko będzie dobrze.

– Możesz się wdrapać z powrotem?

Była przerażona na myśl o tym, że mogłaby zostać tu sama. Słuchała, jak Jonathan maca wokoło siebie.

– Nie – odparł w końcu. – Brzeg jest za stromy.

– Och, Jonathanie! Co ja teraz zrobię?

– Nie bój się. Widzisz za sobą światła hotelu, prawda?

Obejrzała się.

– Widzę – potwierdziła.

– Wobec tego... tylko bardzo ostrożnie...! idź w stronę tych światel.

Walczyła z ogarniającą ją paniką.

– Ale... co z tobą?

– Postaram się jakoś stąd wydostać i wrócę do hotelu.

– Ależ... nie mogę pójść sama, Jonathanie! – zawołała. – Czy nie mogłabym iść wzdłuż koryta tego strumienia, aż wdrapiesz się na górę i pójdziemy razem?

– Nie, Arabello! To by było zbyt niebezpieczne. Wracaj do hotelu. Przetrwiałaś samotnie dwa dni na pustyni! Idź po prostu w kierunku światel. Bądź silna... dla mnie.

Nie chciała się zachować dziecinnie, ale tak się bała! Oczy miała już pełne łez, które zamazywały widok światel hotelu. Mężnie otarła oczy.

– Dobrze – powiedziała wreszcie. – Naprawdę jesteś pewny, że możesz zostać sam?

W jej głosie usłyszał wahanie. Wiedział, jak jest przerażona na myśl o samotnym powrocie. Teraz zrozumiał swój błąd. Powinien był jej kazać zostać w hotelu...

– Naprawdę – potwierdził. – Nic mi nie jest. Spotkamy się na miejscu, obiecuję. Tamci też już pewnie tam będą.

Arabella bała się poruszyć.

– Dobrze... – powiedziała słabiutkim głosem, nieomal szeptem.

I ze wzrokiem wbitym w światła hotelu ostrożnie ruszyła w tamtą stronę. Było dość daleko, ale musiała tam dojść. Starła się nie myśleć o węzłach ani o tysiącach robali biegających w nocy po pustyni.

Potykała się wiele razy. Było tak ciemno, że nie była w stanie dostrzec tego, co ma przed sobą. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami, stawiając ostrożne kroki.

– Mogę to zrobić! – powtarzała sobie szeptem. – Mogę to zrobić!

Przysięgała sobie, że już nigdy nie wyjdzie z hotelu w nocy. Przysięgała, że o ile tylko uda się jej wrócić, już nigdy nie zrobi nic głupiego.

Nagle usłyszała trzask łamanej gałązki i aż podskoczyła ze strachu.

– Kto tam jest? – spytała. – Proszę się odezwać!

Pierwszą jej myślą było, że to Wally, który chce jej zrobić krzywdę.

Nagle coś dotknęło jej ramienia. Miała zamiar krzyknąć, ale usłyszała tylko zduszone sapanie. Ani słowa odpowiedzi.

– Wally... wiem, że to ty... – zaczęła, dygocząc ze strachu. – Jeżeli do mnie podejdziesz, to cię uderzę!

Nagle coś wysokiego zamajaczyło przed nią, a po chwili jej twarzy dotknęło coś wilgotnego.

Cofnęła się, potknęła i upadła na ziemię.

– Nie rób mi krzywdy! – szeptała. Cała jej odwaga przepadła teraz bez śladu. Ale nadal nie słyszała żadnego dźwięku, tylko jakieś parskanie...

Ciemny kształt zamajaczył jej przed nosem, na policzku poczuła oddech. Była przekonana, że to Wally. Zaraz ją zabije... Ale po chwili usłyszała kolejne parsknięcie i już wiedziała, że to wcale nie Wally!

To była Bess.

Poczuła taką ulgę, że prawie się rozplakała. Podniosła się, wysunęła ręce i zaczęła macać w ciemności. Wtedy znów poczuła dotknięcie na ramieniu.

– Uri, czy to ty? – spytała.

Poczuła, jak wilgotne wargi wielbłąda znów dotykają jej twarzy.

– Uri! – powtórzyła z mieszaniną strachu i ulgi. Łzy płynęły jej po policzkach, ale uśmiechała się ze szczęścia.

– Nic ci nie jest?! – pytała tonem pełnym troski. Znowu usłyszała parskanie Bess. – Chodźmy do domu! – zawołała ją. Ruszyła w stronę hotelu, słuchając odgłosów kopyt konia i nóg wielbłąda, idących za nią. – Ale napędziliście nam stracha, wy dwoje! – dogadywała, jakby zwierzęta mogły ją zrozumieć.

Była szczęśliwa, że nie jest już sama!

W pobliżu miasta usłyszała w ciemności jakieś zamieszanie, ale nadal szła w stronę hotelu. Wprowadziła Bess i Uriego do stajni i zamknęła furtkę, po czym poszła do tylnego wejścia do hotelu. Była kompletnie wyczerpana, ale martwiła się o Jonathana.

Na dźwięk otwieranych tylnych drzwi z baru wyszedł Stuart.

– Arabello! Nic pani nie jest?

– Nie – uspokoiła go.

– Gdzie Jonathan? – zdenerwował się.

– Wpadł do wyschniętego koryta strumienia – odparła.

Stuart niemal krzyknął. Z baru wyszli też Ted i Les.

– Mówi pani, że Jonathan jest ranny? – pytał Ted.

– Nie, nie jest ranny. Posłał mnie z powrotem, a sam powiedział, że próbuje znaleźć jakieś bezpieczne wyjście ze strumienia.

Stuart zwrócił się do mężczyzn.

– Chodźcie, zrobimy kolejną pochodnię i poszukamy go. A kto wie? Może równocześnie znajdziemy Bess i Uriego?

– Ależ ja je znalazłam! – przerwała mu Arabella. Pomyślała, że nie chciałaby zostać tu sama z Wallym. – Albo raczej... to one mnie znalazły. Odprowadziłam je do stajni.

– Wspaniale! – zawołał Stuart z wyraźną ulgą. – Nic im nie jest?

– Są tylko wystraszone, ale poza tym w porządku.

Ted, Stuart i Les wyszli na podwórze przygotować pochodnię. Kiedy tam byli, Arabella usłyszała jakieś głosy i rozpoznała wśród nich Jonathana.

– Właśnie mieliśmy iść ciebie szukać – powiedział Les.

– Na szczęście udało mi się wydostać z tego strumienia. Arabella wróciła?

W głosie Jonathana słyhać było takie zaangażowanie, że dziewczyna aż zaniemówiła.

– Tak. W dodatku przyprowadziła Uriego i Bess – mówił Stuart.

– Naprawdę?!

Tym razem w głosie Jonathana brzmiała duma. Arabelli rosło serce!

Zaczynała się zastanawiać, czy to, co czuje, to czasem nie rodząca się miłość...?

Tego ranka spała do późna. Kiedy w końcu się obudziła, zastała hotel pusty – tylko Wally siedział na progu. Powiedział, że chce odetchnąć świeżym powietrzem; nie mogła mu tego mieć za złe, bo przecież bite trzy tygodnie przesiedział zamknięty w pokoju!

Ale nadal w jego obecności czuła się nieswojo. Nie ufała mu i była pewna, że to się nigdy nie zmieni.

– Gdzie są wszyscy? – spytała.

– W mieście.

– Dlaczego?

– Zdaje się, że dziki samiec wielbłąda znalazł się w zagrodzie razem z wielbłądami, które Afgańczycy zeszłej nocy wyłapali. Stąd ten zamęt.

– A nie mogą go po prostu wypuścić?

– Gdyby spróbowali, samice mogą pójść za nim. Chyba chcą go zastrzelić.

– Zastrzelić...?

Arabella po prostu nie mogła uwierzyć własnym uszom. Pobiegła do zagrody. Już wiedziała, skąd to zamieszanie, które słyszała w nocy, wracając do hotelu z Bess i Urim. Teraz przypomniała sobie, że mały wielbłąd był wystraszony, kiedy prowadziła go do stajni. Z pewnością ten dziki samiec go przeraził...

Jeszcze nie dobiegła na miejsce, kiedy usłyszała hałas. Do jej uszu docierały krzyki i trzaski, a wielbłądy pluły i mruczały. Arabella podeszła do zagród i zobaczyła ludzi tłoczących się wokół płotów.

Dojrzała Jonathana i podeszła do niego.

– Co się dzieje? – spytała.

Wielbłądy biegały w kółko, kopały, pobekiwały ze złością i pluły. Na środku stał ogromny samiec i to on ryczał najgłośniej. Próbował gryźć samice i atakować z wściekłością mniejsze samce. Kiedy Arabella stanęła obok Jonathana, dziki samiec zaatakował parkan tuż przy nich. Jego uderzenie połamało płot na kawałki. Jonathan odciągnął Arabellę. Wielbłąd wywiesił długi ozór i toczył pianę z pyska. Kilku Afgańczyków miało strzelby. Stojący poza zagrodą Paddy wycelował broń w stronę samca, ale ten odrzucił łeb do tyłu i zawrócił, kryjąc się za jedną z samic. Afgańczyk zaklął. Przegapił okazję. Inni mężczyźni usiłowali odseparować zwierzę od swojego stada przy pomocy długiego kija. Scena była chaotyczna i przerażająca.

– Wracaj do hotelu! – zawołał Jonathan do Arabelli, widząc, jaka jest wystraszona i zdenerwowana.

Nim odpowiedziała, dziki samiec zaatakował młodego wielbłąda. Kopnął go i ugryzł. Afgańczycy wszczęli alarm. Paddy przeskoczył przez ogrodzenie i rzucił się pomiędzy swoje cenne wielbłądy. Dzikus zobaczył go i odwrócił się w jego stronę.

Arabella i Jonathan patrzyli przerażeni, pewni, że dziki samiec go zamorduje.

– Uciekaj, Paddy! – krzyknął Jonathan i wskoczył na płot.

Arabella wpadła w panikę, sądząc, że Jonathan idzie Paddy'emu na pomoc. Nie mogła znieść myśli o tym, że coś mogłoby mu się stać. Dosłownie sparaliżował ją strach.

Ale Paddy błyskawicznie uniósł strzelbę, wycelował i strzelił do dzikiego samca. Wycelował idealnie. Kula trafiła dokładnie między oczy i zwierzę padło bez życia.

Rozległy się okrzyki i brawa Afgańczyków.

Jonathan z szerokim uśmiechem odwrócił się do Arabelli. Kiedy zobaczył na jej twarzy niesmak, jego uśmiech zniknął.

– W porządku, Arabello – powiedział. – Ten dziki samiec już nie żyje.

Ale ona mogła myśleć tylko o tym, jak bardzo kocha Jonathana. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

Była pewna, że to, co czuje dla Jonathana Westona, to prawdziwa, wielka miłość.

# Rozdział dwudziesty

---

Edward siedział w Sunset Bar na północnym skraju miasta i pił.

Dla wielu tutejszych wielokolorowych bywalców jego twarz była już znajoma. Nie żeby go dobrze znali, bo rzadko się odzywał, ale codziennie spędzał tu kilka godzin, tkwiąc na wysokim stołku i pijąc piwo.

Obok niego siadywał zwykle Cyril Foreman, jeden z miejscowych.

Cyрил był starszym gościem, alkoholikiem, którego życie rozczarowało. Dużą część swojego siedemdziesięcioletniego żywota spędził na statkach wielorybnych, gdzie też stracił nogę – poniżej kolana. Starając się trzymać jak najdalej od morza, znalazł się w końcu w pustynnym Alice Springs.

Cyрил słyszał od miejscowych, że Aborygeni powiadomili Edwarda, iż znaleźli na pustyni zwłoki jego córki. Nienawidził Aborygenów z całej duszy, ponieważ z racji drewnianej nogi nie był w stanie przed nimi uciec, kiedy go zaczepiali, prosząc o datki, gdy wychodził z baru. Tego popołudnia był po ośmiu kufkach piwa.

– Ty! Nie zwracaj uwagi na to, co ci mówią te czarnuchy – zwrócił się do Edwarda, pochylając się tak, że omal nie zjechał ze stołka.

Edward, zagłębiając się w myślach o własnym nieszczęściu, właściwie go nie słyszał.

– Zanim jakakolwiek wiadomość podawana z ust do ust z jednego końca pustyni na drugi dotrze do ciebie, już jest przekręcona i zmieniona. Czy tak nie jest? Powiedz, Bert? – zwrócił się do barmana.

Edward odwrócił głowę. Już nieraz siedział obok Cyrila i zazwyczaj nie zwracał uwagi na jego mamrotanie. Ale to, co dzisiaj mówił tamten, nie było bez sensu... nawet po pięciu piwach.

– No! To prawda – potwierdził Bert, barman.

– Naprawdę? – spytał Edward, zaskoczony.

– No chyba! – Cyril pryskał Edwardowi drobinkami śliny w twarz, kiedy tak siedział wsparty łokciem o bar, kiwając palcem. – Pamiętasz, jak mówili, że Jock McPherson zaginał w drodze powrotnej na farmę, a to wcale nie była prawda? – zwrócił się do Berta.

– A co mu się wtedy stało? – Edward był coraz bardziej zainteresowany.

Nie chciał wzbudzać w sobie złudnej nadziei, ale tak bardzo pragnął, aby to była prawda!

– Jacyś czarni go znaleźli i zabrali – wyjaśnił Bert. – Zaopiekowali się nim, aż wydobrzeł na tyle, że mógł wrócić do domu.

– Naprawdę to zrobili? – zdziwił się Edward. – Więc Aborygeni potrafią się zająć białym człowiekiem, jeżeli go znajdą?

– P... pewnie! – wybełkotał Cyril. – To znaczy... niektórzy. Ale... jeżeli się zgubisz gdzieś w okolicach rzeki Daly, możesz skończyć jako ich... danie na kolację... – zakończył.

– Zamknij się, Cyril! – mitygował go barman. Wiedział, że ostatnią rzeczą, jaką Edward chciałby usłyszeć, jest wiadomość, że wśród Aborygenów bywają kanibale. – Jest wiele plemion na pustyni, które zajmują się białymi potrzebującymi pomocy – pocieszył Edwarda.

– A białą dziewczynką? Zabraliby ją, zaopiekowaliby się? – dopytywał się Edward. Zaczynał nabierać trochę nadziei.

– Tak... to znaczy nie mówię, że tak akurat się zdarzyło w przypadku pana córki. Na pustyni umiera wielu ludzi... Chcemy tylko po prostu powiedzieć, że nie wszystko, co mówią Aborygeni, to prawda. Wiem, że to dla pana mała pociecha, ale nie wiedzieć to gorzej, niż wiedzieć...

– To nieprawda – odparł Edward. – Myślę, że tak było, ale usłyszeć, że ktoś znalazł zwłoki twojej

córki, to naprawdę niewyobrażalne cierpienie! Wolałbym mieć nadzieję, że ona gdzieś tam jest... żywa.

Barman wzruszył ramionami.

– Rozumiem pana – rzekł. Jako ojciec pięciu córek bez trudu potrafił pojąć uczucia Edwarda. – Zanim nie otrzyma pan dowodów, nie powinien pan wierzyć we wszystko, co panu mówią. A kto powiedział, że te znalezione zwłoki to pana córka? – dodał.

Edward już od dawna tak myślał, ale jeżeli to nie było ciało Arabelli, to w takim razie czyje?

– Czy to możliwe, żeby te zwłoki należały do kogoś innego? – spytał z nadzieją w głosie.

Może nie powinien był dopuszczać myśli, że to ktoś inny stracił kogoś bliskiego, ale trudno... w tym wypadku był samolubny.

– Możliwe – stwierdził filozoficznie Bert.

Po powrocie do hotelu Edward opowiedział tę rozmowę Clarice.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Wiem, że trudno uwierzyć, że nasza córka żyje – rzekł do niej. – Ale wolę sądzić, że jest pod opieką jakiegoś aborygeńskiego plemienia, niż że nie żyje.

Clarice nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Nadzieja to cierpienie, ale nie aż tak straszne jak pewność, że nasza ukochana Bella umarła – powiedziała wreszcie.

Tej nocy żadne z nich nie spało. Cały czas ich myśli krążyły pomiędzy nadzieją a rozpaczą. Była to najgorsza noc w ich życiu... Gorsza nawet od tej, kiedy sądzili, że Arabella nie żyje, bo wtedy przynajmniej wiedzieli, że już nie cierpi... że jej niewyobrażalne cierpienia już się skończyły.

Następnego rana Edward poszedł na spotkanie z sierżantem Mennerem.

– Co tak długo wstrzymuje pociąg i połączenie telegraficzne? – Chciał wiedzieć.

Marzył o wyjeździe z Alice Springs i uzyskaniu wieści o Arabelli, żywej czy umarłej.

– Linia kolejowa jest już prawie naprawiona – odparł sierżant Menner. – A co do telegrafu, to na południu połamało słupy, więc nie uda się nic naprawić, dopóki pociąg nie zacznie jeździć. Tu na północy nie ma wysokich drzew, z których można robić słupy...

– Więc jakim cudem je tu postaviono?

– Słupy przywoziły tutaj karawany wielbłądów. Ale droga z Adelajdy trwała kilka miesięcy.

Edward wytrzeszczył oczy.

Widok Afgańczyków w mieście nie bardzo mu się podobał, ale teraz przyszło mu na myśl, że może mógłby ich wynająć, żeby zawozili go do wszystkich obozów Aborygenów... W ten sposób mógłby wpaść na ślad Arabelli.

– Czy na obrzeżach tego miasta mieszkają jacyś Afgańczycy? – spytał.

– Nie. Najwięcej ich mieszka w Marree, trochę w mieście Farina i w Lyndhurst. Aha, jest ich też dużo w Broken Hill.

– Cholera... – wyrwało się Edwardowi. Aż się zaczerwienił.

– Prosiłem już kilku Aborygenów, którzy wybierali się na południe, żeby szukali... pańskiej córki...

– Sierżant powstrzymał się, żeby nie powiedzieć: zwłok pańskiej córki. – Mam nadzieję, że znajdą coś, co pozwoli ją zidentyfikować. To Aborygeni plemienni, nie pijacy.

Edward się rozjaśnił.

– Może to się panu nie spodobać, sierżancie, ale moja żona i ja nadal mamy nadzieję, że te zwłoki znalezione przez Aborygenów to nie była nasza córka – powiedział.

Sierżant Menner zrozumiał.

– Jeżeli kogoś znajdą... na pewno dadzą znać. Wybierają się teraz na *corroborree* do Flinders Ranges, więc zgodzili się pójść wzdłuż linii kolejowej aż do Marree.

– Arabella... może mieszka w jakimś plemieniu – ciągnął Edward. – Mówili mi miejscowi, że czasem zdarza się, że Aborygeni biorą do siebie białych ludzi.

– Podobno parę razy tak się zdarzyło, ale to raczej... – Menner uważał, że to nieprawdopodobne, ale znów się powstrzymał. – Sądzę, że wszystko jest możliwe – powiedział zamiast tego.

– I mówili mi też, że bym nie wierzył w to, co nam mówiono, bo to może nie być prawda. Że prawdę można przekręcić, kiedy jest przekazywana z jednego plemienia do drugiego, na przestrzeni setek kilometrów. To chyba ma sens... Zwłaszcza kiedy ta prawda ląduje w końcu u takich pijaków jak Billy, Danny czy Charlie...

– Jeżeli o to chodzi, to Aborygeni plemienni istotnie mogli mieć sprzeczne wiadomości, które do nas dotarły – przyznał sierżant.

Początkowo uważał, że będzie lepiej, jeżeli ujawni Edwardowi brutalną prawdę. Było prawie pewne, że Arabella nie mogła przetrwać tak długo...

Miał zwyczaj być w takich wypadkach brutalnie szczery, ale widział cierpienie Edwarda! Wiedział o wszystkich poszukiwaniach, jakie Edward zorganizował, by znaleźć córkę. Ten człowiek stał się tematem wielu dyskusji barowych. Mnóstwo osób mu współczuło. Zresztą on sam też mu współczuł! Gdyby nie był takim zaciekłym realistą, być może uczepliłby się nadziei w sprawie Fitzherbertów. Ale był realistą. I uważał, że Arabella Fitzherbert zginęła gdzieś na pustyni.

Edward z radością pobiegł przekazać krzepiące nowiny Clarice.

– Właśnie wracam z posterunku policji, kochanie – rzekł. – Jacyś Aborygeni mają jechać wzdłuż linii kolejowej aż do Marree i szukać Arabelli – opowiadał.

– Bądź realistą, Edwardzie! – przerwała Clarice. – Co niby oni teraz mają znaleźć?

– Ależ kochanie! Arabellę mogło zabrać do siebie jakieś aborygeńskie plemię. Sierżant się zgodził, że jeżeli Aborygeni czegoś się dowiedzą, powiedzą nam o tym. Zapewnia mnie, że to nie tacy miejscy Aborygeni, nie pijacy, ale prawdziwi członkowie plemion.

W zbolełej duszy Clarice zbudziła się iskierka nadziei.

– Kiedy tam pojechali?

– Dzisiaj... chyba dziś rano. Jadą na uroczystości *corroborree* do Flinders Ranges.

– Co to takiego, to *corroborree*?

– Wydaje mi się, że jakieś duże zgromadzenie. To naprawdę dobra wiadomość, Clarice. Mówiono mi, że Aborygeni ciągle wędrują, nazywają to „chodzeniem tu i tam”. Więc jeżeli przydarzy się coś niezwykłego, na przykład znalezienie na pustyni białej dziewczyny, to taka wiadomość się rozchodzi. Naprawdę wierzę, że już niedługo usłyszymy jakąś dobrą wieść!

– Och, Edwardzie! To by było naprawdę cudowne!

– Przypuszczam, że Afgańczycy będą jedli wielbłąda dzisiaj na kolację – mówiła Arabella do Jonathana, kiedy wracali do hotelu razem z Tedem i Lesem.

Aż się zatrzęsała na samą myśl... Nadal miała przed oczyma obraz rozjuszonego, dzikiego wielbłąda, tuż przed tym, kiedy go zastrzelono. Był to najbardziej przerażający widok w jej życiu.

– Jeżeli nie jest pełen robactwa, to na pewno go zjedzą – zauważył Ted, który usłyszał, co mówiła. Arabella aż zadygotała z obrzydzenia.

– A jeżeli ma robaki, to psy Aborygenów będą dziś miały niezłą wyzerkę! – dodał Ted.

– Jeszcze nigdy nie próbowałem mięsa wielbłąda – rzekł Jonathan, którego ten pomysł zaintrygował.

– A ja nie mam zamiaru tego nawet dotknąć! – z patosem oznajmiła Arabella.

Stuart był w stajni z Bess i Urim. Les i Ted weszli do hotelu, a Jonathan z Arabellą zatrzymali się przy stajniach zobaczyć, jak się ma kłacz i mały wielbłąd.

– Już się uspokoiły, ale dzisiaj rano nadal były podenerwowane – zdawał im raport Stuart.

Uri podszedł do płotu i serdecznie powąchał buzię Arabelli.

– Aleś mnie przestraszył wczoraj w ciemności! – mówiła, ciepło się uśmiechając, wpatrzona w jego słodkie brązowe oczy, okolone długimi rzęsami. Czowała wielką serdeczność dla tego małego wielbłąda i wiedziała, że jeśli wyjedzie z Marree, naprawdę będzie za nim tęskniła.

Z tą myślą spojrzała na Jonathana i nagle zrobiło jej się bardzo smutno. Za nim też będzie tęsknić...

– Coś nie tak, Arabello? – spytał, zauważywszy nagłą zmianę jej nastroju.

Nie mogła mu powiedzieć o swoich uczuciach, bo obok nich stał Stuart.

– Nie, nic – odparła.

Stuarta też bardzo lubiła. Z reguły flirtował z nią i pobudzał do śmiechu. Ale to, co czowała w stosunku do Jonathana, to było coś innego. Ci dwaj mężczyźni z pewnością bardzo się od siebie różnili.

Jonathan doszedł do wniosku, że pewnie myśli o rodzicach.

Później tego popołudnia do drzwi hotelu Great Northern zapukało trzech mężczyzn. Byli to robotnicy z Lizard Creek, którzy sprawdzali płoty graniczne jakiejś posiadłości. Ponieważ zaś jedna z granic znajdowała się zaledwie o kilka kilometrów od miasta, Ruth Maxwell zaproponowała, żeby wstąpili na piwo i przy okazji dostarczyli do hotelu wiadomość dla Maggie.

Przede wszystkim, oczywiście, kilkoma łykami opróżnili wielkie kufle piwa, żeby splukać kurz z gardła.

– Gdzie jest Maggie? – spytał Len Harris Jonathana, który właśnie nalewał wszystkim kolejne piwa.

Arabella niosła do baru czyste szklanki. Trochę ją wystraszył widok hodowców bydła i modliła się, żeby tylko nie chcieli zostać na kolacji, ale pozdrowiła ich.

– Maggie i Tony wyjechali na kilka tygodni do Warratah Station – objaśnił Lena Jonathan.

– Och! – Len był zaskoczony. – To niepodobne do nich! Zostawić hotel? Wyjechać we dwoje w tym samym czasie?

– Maggie źle się czuła, więc Tony zabrał ją do siostry. Podobno, kiedy oglądał trzodę w Warratah Station, ubódł go baran. Złamał mu kilka żeber, więc teraz przez kilka tygodni Tony nie może jeździć na wielbłądzie.

– Och, biedny Tony! – Len potarł żebra, jakby wczuł się w ból Tony'ego. Pamiętał, jak kiedyś na rodeo w Cloncurry przewrócił go byk, wziął na rogi i złamał mu trzy żebra. – Maxwellowie się tu wybierają pojutrze na kolację, razem ze swoim dyrektorem i dwójką gości – dodał. – Pani Maxwell prosiła nas, żebyśmy wpadli i powiedzieli Maggie, że przyjeżdżają.

Arabella się przeraziła.

– Nie mamy mięsa – powiedziała. – Przejeżdżali tędy postrzygacze owiec i zjedli wszystkie zapasy.

– Gdybyśmy o tym wiedzieli, przyprowadzilibyśmy wam parę owiec – rzekł Len.

– Ale tutaj... nikt z nas nie umiałby ich zarznąć – przyznał się Jonathan.

Poganiacz wydawał się zdumiony tym, co usłyszał. Arabella zauważyła, że Jonathan był zawstydzony swoim wyznaniem. Właśnie się przyznał, że żaden mężczyzna w hotelu nie potrafił zarznąć barana.

– A Jacko? – spytał Len. – Jacko już nieraz robił coś takiego.

Jonathan zerknął w stronę Arabelli.

– Wally bardzo się rozchorował – rzekł. Nie miał ochoty wdawać się w długie wyjaśnienia i liczył na to, że poganiacz nie będzie zadawał zbyt wielu pytań.

– Powiem pani Maxwell – powiedział Len. – A skoro wam zabrakło mięsa, to co jecie?

– Zwierzynę z buszu przyrządzaną przez Aborygenów – wyjaśnił mu Jonathan.

Len się roześmiał.

– Jest zupełnie dobra. Nie chcieliśmy jeść tylko pieczonej szarańczy – dodał Jonathan.

Len znowu się zaśmiał, a z nim razem pozostali poganiacze.

– Macie szczęście, że mieliśmy zimne piwo – dodał Ted z za baru. – Kilka dni temu wysiadł generator. Zdążyliśmy go naprawić, a tu kolejne nieszczęście – szarańcza.

– Na Boga! Gdybyśmy po całej tej podróży dowiedzieli się, że nie macie zimnego piwa, mógłby być kłopot! – zawołał Len.

Koledzy poparli go, a Arabella i Jonathan odnieśli wrażenie, że poganiacze wcale nie żartują.

Wtedy po raz pierwszy Arabella mogła naprawdę docenić, jak wiele ten hotel znaczy dla ludzi z innych stacji, zwłaszcza dla poganiaczy będących pracujących wiele godzin dziennie w piekielnym upale. To był też ośrodek życia towarzyskiego, miejsce, w którym farmerzy i ich pracownicy dowiadywali się, co się dzieje u sąsiadów. Z pewnością dla wielu będzie to tragedia, jeśli hotel Great Northern zostanie zamknięty. Arabella była przekonana, że Maggie i Tony też dobrze o tym wiedzieli.

Następnego dnia Len Harris znowu się pojawił w towarzystwie kolegi, Walta Misera. Weszli do salonu i rzucili na bar ciężki worek.

– Pani Maxwell kazała to wam przynieść – wyjaśnił. – W środku jest cały baran. Jest już obdarty ze skóry i pocięty na tusze, więc wystarczy, że go przyrządzicie. Nie chce za to ani grosza, ale Maxwellowie i jeszcze trzy osoby przyjadą tu jutro na kolację.

Arabelli i Jonathanowi na chwilę odebrało mowę.

– To... naprawdę bardzo pięknie ze strony państwa Maxwellów – rzekł w końcu Jonathan.

– Tak, naprawdę – poparła go Arabella. Nadal truchlała ze strachu na myśl o szykowaniu jedzenia dla gości, ale jak mogła odmówić, skoro Maxwellowie dali im dość mięsa dla nich i dla wszystkich innych? Afgańczycy, podróżujący do Leigh Creek po zapasy, mieli wrócić następnego dnia. Modliła się, żeby przybyli na czas.

– Proszę podziękować państwu Maxwellom i powiedzieć, że czekamy na nich jutro wieczorem – rzekła Arabella.

Niestety, następnego dnia aż do późnego popołudnia Afgańczyków z zapasami jeszcze nie było i Arabella zaczęła się mocno denerwować. Zamówiła u nich trochę konserw do podania na kolację, a oprócz tego w spiżarni była tylko mąka na chleb; w dodatku po ataku wołka zbożowego nie zostało jej zbyt wiele.

– Jeżeli chcecie, rozpalę ognisko na grilla na podwórzu za hotelem – zaofiarował się Ted.

– Przydałoby się – zgodził się Jonathan. To by go uratowało od harówki przy piecu w kuchni.

– Ale, tak czy owak, musimy mieć jeszcze coś do podawania z mięsem!

Arabella była skonsternowana tym, że znowu sprawi zawód Maggie, jeżeli nie poda Maxwellom i innym gościom porządných dań na kolację.

Nagle wpadła na pewien pomysł i ruszyła w stronę tylnego wejścia.

W obozowisku Aborygenów zastała Ritę, Lily i Missy.

– Musicie mi pomóc! – poinformowała je. – Będę dziś wieczorem miała gości z Lizard Creek Station na kolacji. Przysłali nam mięso, ale nie mamy dla nich żadnych jarzyn!

– To co mamy zrobić, panienska? – spytała Rita.

– Chciałabym, żebyście mi znalazły trochę *yamów*. Mnie naprawdę smakowały, więc jestem pewna, że i oni je zjedzą z przyjemnością...

Nagle zdała sobie sprawę, że Aborygenki myślą, że będą jeść kolację razem z nimi, a nie była pewna, czy państwo Maxwell się na to zgodzą. To ją stawiało w kłopotliwej sytuacji.

– Ted ma przygotować ognisko na grilla dla naszych gości... a ja dam wam w zamian za te *yamy* trochę mięsa na kolację – dodała szybko. Uznała, że tak będzie uczciwie, ale nie była pewna, czy kobiety się nie obrażą.

Ale Rita i tamte dwie doskonale zrozumiały, o co chodzi. Arabella nie miała powodu do obaw.



– W porządku, panienska. Dziś rano Jimmy złapał wielkiego warana – rzekła Rita.

Arabella z ulgą wróciła do hotelu.

Tymczasem kobiety poszły szukać jarzyn. Przyniosły Arabelli nie tylko *yamy*, ale wiele innych owoców buszu nadających się do gotowania. Poza tym objaśniły, jak je przyrządzić. Arabella nalegała, żeby przyjęły w zamian mięso. Była dla nich pełna podziwu. Jak zdołały znaleźć tyle jedzenia na pustyni, która wyglądała tak, jakby nawet jedna trawka nie mogła tu przetrwać?

– Wiem, że *yamy* są w porządku, ale... czy te inne jarzyny nie przyprawią naszych gości o chorobę? Stuart Thompson przecież tak ciężko chorował po śliwkach z buszu...

– Nie, panienska – zapewniła Rita. – Nie ma tu żadnych śliwek z buszu.

– Bardzo wam dziękuję!

Arabella była im rzeczywiście niezmiernie wdzięczna. Miała nadzieję, że Maxwellom nie sprawi różnicy jedzenie potraw z buszu.

Kiedy o szóstej wieczorem przyjechali państwo Maxwellowie ze swoim dyrektorem hotelu i bratem Boba z żoną, jedzenie było już prawie gotowe.

Arabella przede wszystkim podziękowała za przysłanie mięsa.

– Ależ nie ma za co dziękować. Jeżeli będziesz jeszcze czegoś potrzebowała podczas nieobecności Maggie i Tony’ego, wystarczy, że powiesz – zapewniła Ruth Maxwell. – My tutaj w buszu staramy się sobie pomagać. To jedyny sposób, żeby przetrwać.

Arabella coraz lepiej rozumiała takie podejście do życia. Mimo że sąsiedzi mieszkali tak daleko, bywali bardziej pomocni niż jej sąsiedzi w Anglii. Wydało się jej to wręcz zadziwiające.

Nakryła duży stół w jadalni najlepszym obrusem Maggie i ustawiła srebrne świeczniki.

Ruth wydawała się naprawdę zadowolona, widząc tak pięknie przygotowany posiłek. Okazało się, że była niezwykle uroczą kobietą, w dodatku stąpającą mocno po ziemi. Wyraziła zainteresowanie zdrowiem Maggie i Tony’ego; powiedziała nawet, że wybierze się do Warratah Station zobaczyć, jak się czują.

Kiedy na wielkim półmisku podano upieczone mięso, a do tego dzikie *yamy* i inne jarzyny, w powietrzu rozszedł się smakowity zapach. *Yamy* i owoce upieczono razem z mięsem, co nadało baraninie glazurę i lekko słodkawy smak. Maxwellowie i ich goście nie tracili czasu, tylko nakładali potrawy na talerze i entuzjastycznie chwalili wszystkie dania.

Podczas gdy Jonathan podawał drinki, Arabella, Ted i Wally (który tylko odrobinę kulał), jedli na zewnątrz, pod drzewem.

– To mięso jest naprawdę świetne – zauważyła Arabella. Jagnię było delikatne, ale miało piękny zapach, a *yamy* i owoce smakowały po prostu bosko!

Po zjedzeniu kolacji Arabella weszła do hotelu spytać, czy goście czegoś sobie jeszcze życzą.

– Jedzenie było znakomite – pochwaliła Ruth Maxwell, kiedy Arabella sprzątała talerze. – Jadłam już kiedyś *yamy* – dodała.

– Naprawdę? – Arabella nie potrafiła ukryć zdumienia.

– Tak. Ale tych owoców nie znałam. Muszę się dowiedzieć, co to jest, bo nadają mięsu wspaniały zapach!

– Przyniosły je Aborygenki. Nawet mówiły, jak one się nazywają, ale nazwa była w ich narzeczu. Mówiąc prawdę, pani Maxwell...

– Proszę, moje dziecko, nazywaj mnie Ruth!

– Ruth... Właściwie nie byłam pewna, czy państwo zechcą jeść potrawy z buszu, ale nie miałam nic innego do podania z baraniną...

– Kiedy byłam młoda, mieliśmy bardzo mało bydła, więc często jadałam jedzenie z buszu, bo

pracowało u nas kilku Aborygenów. Naprawdę mi to nie przeszkadza.

Arabelle zaintrygował fakt, że Ruth była kiedyś niezbyt zamożna. Nie wyglądała na kogoś, kto potrafi żyć po spartańsku. Miała dużo klasy i wdzięku. Mogła ją sobie wyobrazić tylko w pięknym wiejskim dworze, w eleganckiej jadalni...

– Dzisiaj naprawdę się popisałaś – dodała Ruth. – Możesz być z siebie dumna, Arabello!

Dziewczyna spłonęła rumieńcem na tę pochwałę, ale wiedziała, że bez pomocy Rity, Lily i Missy wszystko wypadłoby inaczej.

– Arabello! Słyszałem, że pani gra na fortepianie – odezwał się Bob Maxwell.

Zdaniem Arabelli był prawdziwym przedstawicielem tego kraju, znakomicie pasującym do odludnej Australii. Skórę miał zbrązowiałą od słońca, rękawy koszuli podwinięte; nosił spodnie z moleskinu, wyglądające jak skórzane, i buty do konnej jazdy, a kiedy zdejmował podniszczony, przeupocony i poplamiony szerokoskrzydły kapelusz, nigdy nie odkładał go daleko od siebie.

– To prawda – potwierdziła.

– Proszę nam zagrać! – zawołała Ruth. – Już tak dawno nie słyszałam dobrej muzyki!

Brat Boba, Peter, stanowiący jego złagodzoną wersję, i jego żona Jessica przyłączyli się do próśb.

– Dobrze – zgodziła się Arabella. Zaniosła naczynia do kuchni i umyła ręce.

Maxwellowie byli pod wrażeniem jej talentu i najwyraźniej zaskoczeni, że mają między sobą kogoś tak kulturalnego.

– Pięknie grasz... – rzekła Ruth. – Ja trochę brzdąkam, ale ty mi przypominasz moją matkę... też miała wyjątkowy talent muzyczny.

Mężczyźni poszli do baru i zostawili Ruth z Arabellą. Dziewczyna uznała, że może wtajemniczyć kobietę w trudną sytuację hotelu. Może mogłaby jej dać jakąś mądrą radę, jak pomóc McMahanom?

– Staramy się znaleźć sposób, jak zdobyć pieniądze dla Maggie i Tony'ego.

– Zdobyć pieniądze? – zdziwiła się Ruth. – Dlaczego? Czy mają kłopoty?

– Obawiam się, że tak.

– Pierwszy raz słyszę. Maggie nigdy o tym nie wspominała.

– Prawdę mówiąc, Maggie chyba sobie nie zdaje sprawy z ogromu tych kłopotów. Ja zupełnie przypadkiem odkryłam, że hotel ma takie kłopoty finansowe...

Ruth zbladła.

– O Boże...

– ...i jeżeli się czegoś nie zrobi, i to szybko, mogą go zamknąć!

– To byłoby straszne, i to nie tylko dla Maggie i Tony'ego! Wszyscy, którzy tu mieszkają, są związani z tym miejscem. A może zorganizujecie jakąś uroczystość? Gdybyście tak przygotowali grill i jakieś zabawy dla dzieci, taka impreza mogłaby odnieść prawdziwy sukces! No i oczywiście ty musiałabyś dać koncert.

Arabella była przejęta. Dlaczego dotychczas o tym nie pomyślała?

– Naturalnie – rzekła. – Jeżeli do miasta zjedzie się dużo ludzi, moglibyśmy zarobić dość, żeby uratować hotel.

– O, jestem pewna, że ściągniecie dużo osób.

Arabella przypomniała sobie teraz pomysł Jonathana.

– Jonathan od dawna robi fotografie tej okolicy... jego zdjęcia są absolutnie zachwycające! Czasami nieważne wystawy w dużych miastach, ale ostatnio zastanawia się, czy nie wystawić swoich prac na sprzedaż, żeby pomóc Maggie i Tony'emu. Pomysł jest doskonały; tylko że bez pociągu będzie to długo trwało. Ale gdybyśmy mieli tutaj dużo ludzi, mógłby wystawić swoje prace w Marree i tu je sprzedawać.

– Co za cudowny pomysł! – zachwyciła się Ruth.

Arabella była zdumiona jej reakcją.

– Może moglibyśmy poprosić Afgańczyków, żeby wozili dzieci na wielbłądach? Jak myślisz, będą chcieli?

– Tak! To byłoby coś całkiem nowego!

– A Jimmy Wanganeen mógłby zagrać na *didgeridoo*... a Aborygenki mogą zatańczyć... – z przejęciem ciągnęła Arabella. Pomysł podobał się jej coraz bardziej.

– Walt Miser potrafi doskonale strzelać z bata. Mógłby też wystąpić, gdybyście chcieli – mówiła Ruth.

– Każdy pomysł jest wart przemyślenia – mówiła Arabella. – Jakie jeszcze talenty znasz w okolicy?

– O, dużo! Na przykład Len swego czasu brał udział w rodeo... ale uważam, że główną atrakcją powinien być twój koncert. To byłoby coś, czego nigdy przedtem nie słyszeli tutejsi ludzie.

– Właściwie... to, że pociąg nie kursuje, to błogosławieństwo... – bąknęła Arabella.

– Dlaczego tak mówisz?

Ruth doskonale wiedziała, że Arabella niecierpliwie czeka na powrót pociągu i swoich rodziców.

– No bo nikt z banku nie może się teraz tutaj pojawić, a to daje Maggie i Tony'emu troszkę więcej czasu.

Ruth poczuła wzruszenie. Co za brak egoizmu!

– A czy wiesz, któremu bankowi są winni? – spytała.

Coś w jej głosie sprawiło, że Arabella się zdenerwowała.

– Bendigo Bank w Adelajdzie. A dlaczego pytasz?

– O Boże... to nie jest dobra wiadomość! – Ruth robiła wrażenie zmartwionej. – Może będziecie mieli parę dni w zanadru, ale to wszystko. Właściciele tego banku są bezwzględni. Jeżeli ktoś nie spłaci na czas pożyczki, zjawią się tutaj, kiedy to tylko będzie możliwe. Mieliśmy sąsiadów, którzy kupili farmę za pieniądze pożyczone w Bendigo Bank. Wystarczyło, że tylko raz się spóźnili ze spłatą, żeby bank natychmiast przejął ich posiadłość na własność i sprzedał. Nie miało dla nich znaczenia, że akurat ich ludzie byli w drodze na targ bydła, ani że sprzedaż tych zwierząt umożliwiłaby spłacenie pożyczki. Dla nich ważne było tylko to, że dłużnik nie zapłacił w terminie: tylko to ich obchodzi.

– Ale teraz tu nie dojadą, prawda?

– Och... byłabyś zdziwiona, jacy potrafią być pomysłowi, kiedy idzie o pieniądze. Znajdą sposób, żeby tu przyjechać – mówiła Ruth. – Jeżeli dobrze pamiętam, żeby przyjechać na farmę Smithsonów, wynajęli karawanę wielbłądów.

– Więc trzeba jak najprędzej coś przedsięwziąć! W jaki sposób rozgłosić wiadomość o uroczystościach?

– Tylko z ust do ust. Ten sposób przekazywania informacji nazywamy „telegrafem z buszu” i muszę przyznać, że doskonale działa – odpowiedziała Ruth. – Niektóre farmy na tej trasie mają takie małe rozgłośnie radiowe, ale nie wszystkie. Wyznaczcie datę, a ja już dopilnuję, żeby to rozpowszechnić – obiecała Ruth.

– Musiałabym przedtem pogadać z Jonathanem i innymi – zastanowiła się Arabella.

– A kiedy wypada data płatności bankowi?

– Za niecałe trzy tygodnie.

– To znaczy zaraz po Bożym Narodzeniu – stwierdziła Ruth. – Najlepiej wyznaczyć taką uroczystość w Wigilię.

– Cudownie... ale jest jeszcze tyle do zorganizowania! Nie wiem, czy zdołam sobie z tym poradzić – zmartwiła się Arabella.

Była pewna, że się jej to nie uda, ale nie chciała się otwarcie przyznawać do własnej nieudolności.

Gdyby tak była z nią teraz jej matka...! Och, Clarice tak znakomicie organizowała wszelkie imprezy i przyjęcia!

To przypomniało Arabelli, że pewnie nie spędzi Gwiazdki z rodzicami i że to jej łamie serce.

– Wcale nie musisz! Wiesz co? Brat Boba i jego żona, no i nasz dyrektor, mogą wrócić do Lizard Creek, a Bob i ja zostaniemy tutaj na noc i jutro moglibyśmy zwołać w mieście zebranie. W ten sposób porozumiemy się z każdym, kto mógłby pomóc w zdobyciu tych funduszy.

– Dobrze – zgodziła się Arabella. O czymś takim nie pomyślała. Naprawdę była wdzięczna Ruth za pomoc. – A jak daleko jest stąd do waszego domu? – Pomyślała o gościach Maxwellów, którzy musieliby jechać nocą.

– Jeżeli uda się przejechać na przełaj parę wyschniętych strumieni i ogrodzonych pól, to jakieś trzydzieści kilometrów.

– A to nie jest niebezpieczne? Po ciemku? – Przypomniała sobie upadek Jonathana ze stromego brzegu wyschniętego strumienia.

– Nie, robiliśmy to niezliczoną ilość razy, poza tym dzisiaj świeci księżyc. A w nocy zawsze jest chłodniej, to ważne.

Arabella pomyślała, że taki projekt ma sens. Jej myśli powędrowały z powrotem do planowanej imprezy.

– Ale... nie myślę, żeby Maggie i Tony zgodzili się na to, że organizujemy taką uroczystość dla pozyskania funduszy – zawahała się. – Wiem, jaki Tony jest dumny!

– Wcale nie muszą wiedzieć, kto zyska na wpływach z tej imprezy, aż do odpowiedniej chwili – z przekonaniem stwierdziła Ruth.

– Ale jeżeli powiemy ludziom w mieście, to może do nich dotrzeć!

Ruth zmarszczyła brwi.

– Wiem, o co ci chodzi. Mamy do wyboru dwa wyjścia. Możemy w ogóle nie wspominać, jaki cel ma uroczystość, i wówczas ryzykować, że entuzjazmu nie będzie... Albo też zobowiązać ludzi do zachowania tajemnicy. Ja bym była za tym ostatnim.

– Jeżeli uważasz, że to się uda, to i ja też!

– Nie przejmuj się niczym, co wymaga pracy. Będziesz zaskoczona, jak łatwo jest zlecać ludziom rozmaite zadania. A to jedyny sposób, żeby wykonać jakieś duże przedsięwzięcie. A teraz weź pióro i papier. Spiszemy wszystko, co trzeba będzie zrobić i kto mógłby się tego podjąć.

Arabella spełniła życzenie Ruth.

– Po pierwsze: Lizard Creek dostarczy wam wołowinę i baraninę na grill. Możecie przecież sprzedawać steki na kawałkach chleba... za rozsądną cenę. Będziemy potrzebować kilku funtów na to mięso, ale oprócz tego cały zysk będzie wasz i powinniście sobie z tym doskonale poradzić.

– O, tak... – szepnęła Arabella.

Sprawa płacenia za mięso trochę ją zaniepokoiła.

Ruth to zauważyła i uśmiechnęła się.

– Tylko żartowałam. Oczywiście damy wam to mięso w prezencie. Ratowanie hotelu jest tego warte. Nikt, kto lubi wasze piwo, nie będzie z tym polemizował, a już zwłaszcza mój Bob! Tylko trzeba będzie wystawić fortepian na zewnątrz, żeby twoją grę mogło usłyszeć jak najwięcej ludzi. Szopa na siano z tyłu za hotelem jest pusta, prawda?

– Jest tam trochę paszy dla koni, ale niedużo... – Arabella doskonale wiedziała, że i tej paszy już prawie nie ma.

– Możemy je tam postawić. Ta szopa to będzie dla ciebie coś w rodzaju estrady. Jonathan musi porozwieszać swoje fotografie i odpowiednio je wyeksponować... może właśnie na ścianach tej szopy?

– To dużo roboty, prawda? – Arabella była tym wszystkim oszołomiona.

– Nie martw się, kochanie! Kiedy tylko zaczniesz wydawać ludziom polecenia, wszystko się zorganizuje.

Arabella nie była tego taka pewna. Bała się, że to wszystko może się nie udać.

Tej nocy nie zmrużyła oka. Do samego rana myślała o tym, co będzie trzeba zrobić, i martwiła się, że się nie uda.

Kiedy wstała, usłyszała na zewnątrz jakieś krzyki. Wyrzała przez balkon i zobaczyła, że to Afgańczycy: wrócili z zapasami. Zanim się ubrała i zeszła na dół, wielbłądy już klęczały, a Stuart i Ted pomagali Jonathanowi i Afgańczykom w rozładunku.

Usłyszała, jak Faiz mówi do Jonathana:

– Nie udało nam się zdobyć wszystkiego, co chcieliście.

Z tymi słowami wręczył Jonathanowi listę. Jonathan zabrał się do sprawdzania. Nie mogła wywnioskować, czy jest zadowolony, czy nie.

Kiedy produkty zostały wyładowane, okazało się, że to, co przywieźli Afgańczycy, wygląda dosyć niepozornie w porównaniu z ich potrzebami. A nie mieli więcej pieniędzy. Zastanawiała się, czy uda im się kupić coś na kredyt. Mówiono jej, że tak robił Fred Powell w największym sklepie w mieście. Ale i jego zapasy były teraz na wyczerpaniu, bo czekał z zamówieniem na przyjazd pociągu.

Kiedy towar został złożony w spiżarni, Ruth poprosiła Lily, Missy i Faiza o ogłoszenie, że o dziesiątej rano na tyłach hotelu odbędzie się zebranie wszystkich mieszkańców i że każdy powinien być obecny, ponieważ od tego zależy przyszłość miasta.

Dwie godziny później na podwórzu za hotelem zebrał się tłum ludzi.

Pierwszy przemówił Jonathan. Stał na ustawionych skrzynkach, żeby było go widać i słyszać.

– Dziękuję wam wszystkim za przybycie!

– O co tu chodzi? – odezwał się stojący w pierwszym rzędzie właściciel sklepu Fred Powell.

– Dowiedzieliśmy się, że hotel ma problemy finansowe – odparł Jonathan.

– Dlaczego Tony nic nam o tym nie powiedział? – odezwał się zza pleców Freda Barry Bonzarelli.

Jonathan poczuł się w tej chwili jak intruz, obcy człowiek, którym zresztą był.

– Wiemy, że się martwił, ale albo nie miał okazji powiedzieć komuś, jaki to poważny kłopot, albo się krępował... Wiemy, że wszyscy czujecie się związani z tym miejscem, nawet ci z was, co nie piją piwa – tu spojrzął na Afgańczyków stojących razem w jednej grupie. – A jeżeli hotelu nie będzie, nie będzie i miasta. To dotknie każdego z nas.

– Więc? Co zrobimy? – Chciał wiedzieć Barry Bonzarelli.

– Przyszło nam na myśl, że można by urządzić wielką uroczystość w Wigilię. Będzie koncert i wystawa fotografii. Większość z was już chyba słyszała, że panna Fitzherbert gra na fortepianie, i robi to bardzo dobrze.

Po zebranych przeszedł szmer.

Wtedy wystąpiła Ruth.

– Celem tego wszystkiego jest zebranie pieniędzy na hotel. Oczywiście główną atrakcją będzie koncert panny Fitzherbert, ale potrzebujemy... was wszystkich! Oprócz koncertu wystawione będą fotografie Jonathana, na pokaz i na sprzedaż. Bob i ja ofiarujemy mięso na grill. Afgańczycy mogliby wozić dzieciaki na wielbłądach. Jimmy Wanganeen może zagrać na *didgeridoo*, a dziewczęta mogłyby dać pokaz tańców plemiennych... – Ruth wspięła się na palce, usiłując wypatrzeć Jimmy'ego z tyłu grupy. – Co o tym sądzisz, Jimmy?

Arabella spojrzała na starego Aborygena. Był najwyraźniej dumny, że go wybrano, że jego gra ma zabawić gości przybyłych do miasta.

– Zrobię to, pani – rzekł. – A kobiety zatańczą...

– Doskonale – stwierdziła Ruth. – Chodzi o to, żeby zabawić ludzi, którzy przyjadą do Marree ze wszystkich możliwych stron. Im lepiej się będą bawić, tym więcej pieniędzy wydadzą. Sporządziłam już listę tych osób, które coś dla nas zrobią, ale z przyjemnością dodam też inne nazwiska chętnych, którzy się zgłoszą, i zaznaczę obok, co każdy chce zrobić, żeby uratować hotel Great Northern. Mamy na to tylko niecałe trzy tygodnie, więc czekam na propozycje. Jeżeli będziemy działali wspólnie, mieszkańcy i przyjaciele, to wszystko będzie możliwe! Zdecydowaliśmy, że najlepiej, by Maggie i Tony na razie nie wiedzieli, dlaczego zbieramy pieniądze. Są dumni; zresztą tak samo jak każdy z nas. Musimy tylko rozpowszechnić wiadomość o tej imprezie, żeby ściągnąć ludzi do miasta, ale prosimy, mówcie, że robimy to dla siebie samych!

Zebrani pokiwali zgodnie głowami.

Kiedy tłum się rozszedł, Arabella była mocno zaniepokojona. Prawie nikt się nie zgłosił do pomocy. Słyszała nawet, jak Fred Powell mówił, że na pewno nie ściągną do miasta tylu ludzi, ilu się spodziewają. Zaczęła upadać na duchu. Powiedziała Ruth o tym, co usłyszała.

– Nie możemy przewidzieć, ilu gości przybędzie, nic na to nie poradzimy.

– Prawie nikt się nie zgłosił – pożałowała Arabella.

– Widzisz, mieszkańcy zawsze polegali na tym, co polecili im Maggie i Tony. To oni byli tymi, którzy rządzą... i teraz ludzie czują się trochę zagubieni.

– Och, gdyby oni teraz tu byli... – westchnęła Arabella.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak bardzo niekompetentna w zastępowaniu Maggie jak w tej chwili.

Dopiero kiedy Ruth i Bob odjechali do Lizard Creek, Arabellę przeraziła pewna myśl.

– Nie starczy nam przecież piwa dla tych wszystkich gości! – wykrzyknęła.

– Nie! – potwierdził Jonathan. – Ani paliwa do generatora!

– Och, Jonathanie! Cały nasz plan na nic, jeżeli nie będziemy mieli zimnego piwa! Co zrobić?

Tu wtrącił się Ted.

– Paliwo możecie dostać z Lizard Creek. Bob ma zwykle duży zapas. Ale to nie rozwiąże problemu z piwem.

– Musimy po prostu poprosić Dave'a Brewera z hotelu Transcontinental, żeby dostarczył nam trochę piwa – zaproponował Jonathan.

– Tak, musimy to zrobić, i to jak najszybciej! – zawołała Arabella. – Mamy mało czasu!

# Rozdział dwudziesty pierwszy

---

Jonathan poprosił Paddy'ego, żeby jeszcze tego popołudnia pojechał do Fariny. Dał mu list do Dave'a Brewera i kazał Afgańczykowi, żeby zabrał ze sobą pięć wielbłądów w nadziei, że właściciel pubu w hotelu Transcontinental da mu na kredyt trochę piwa. W liście wyjaśnił, że organizują imprezę w celu zdobycia funduszy. Nie napisał, że zebrane pieniądze mają uratować hotel i bar w mieście, na wypadek, gdyby jacyś przejeżdżający przypadkiem postrzygacze owiec albo poganiacze bydła z Warratah nie usłyszeli, co się szykuje, i żeby ta wiadomość nie dotarła do Maggie i Tony'ego.

Paddy wrócił dwa dni później, ale nie miał dobrych wiadomości. Dave Brewer oświadczył, że nie jest w stanie oddać im zapasów piwa.

– O nie! – rozpaczła Arabella, kiedy Jonathan odczytał odpowiedź Dave'a.

– Bardzo przeprasza, ale sam ma niewielkie zapasy, bo pociąg nie kursuje od tygodni. Wysłał wóz do Hawkera we Flinders Ranges po piwo, ale nie jest pewien, kiedy wóz wróci.

– Powinniśmy byli wysłać Afgańczyków do Lyndhurst po piwo – rzekła Arabella, zmartwiona.

– Wpisałem piwo do zamówienia, ale nie mogli go dostać.

Arabella była zawiedziona.

– Co teraz zrobimy?

– Nie wiem – odparł Jonathan.

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia. Zdawał sobie sprawę, że bez piwa ich plan spali na panewce.

– Jeżeli się rozejdzie, że u nas brakuje piwa, nikt tu nie przyjedzie. Dlaczego naprawa tej linii kolejowej trwa tak długo? I dlaczego telegraf nadal nie działa? Gdyby było inaczej, można by chociaż porozumieć się z ludźmi ze świata!

Tu wtrącił się Ted.

– Co to znaczy ze świata? – spytał.

– Moglibyśmy równie dobrze mieszkać na innej planecie! – parsknęła Arabella.

– Czasami to wcale nie jest takie złe – stwierdził Ted.

Bywało, że się cieszył, że ten cały świat, razem ze wszystkimi swoimi problemami, omija ich strony.

– Nie widzę w tym nic dobrego – oburzyła się.

Ted był zdezorientowany. Spojrzał na Jonathana, jakby od niego oczekiwał wyjaśnień.

– Dave z Transcontinentalu nie ma piwa – wytłumaczył Jonathan.

– Ale... dlaczego? Przecież kiedy mu brakuje, sam je robi!

– Naprawdę? – zdziwił się Jonathan.

– Tak! Zawsze ma zapas chmielu, słoju jęczmiennego i drożdży piwnych. Jeżeli piwo się kończy, sam warzy partię. Wcale niezłą. Kilka razy miałem dobrze zaproszoną głowę po tym jego domowym piwie!

– Czyli mógłby zrobić dla nas piwo? – spytał Jonathan.

– Mógłby. Zanim przeniósł się do Fariny, pracował w browarze, więc na pewno umie to robić. Jedyne kłopot to jego lenistwo. Musi już prawie nic nie mieć, żeby się w ogóle wziąć do warzenia piwa.

W oczach Arabelli i Jonathana błysnęła iskierka nadziei.

– Jadę do Fariny – zawołała impulsywnie. – Porozmawiam z nim sama i namówię, żeby uwarzył ogromną beczkę piwa!

Tym razem nie miała zamiaru stracić swojej szansy.

Jonathan był zaskoczony i zdziwiony planami Arabelli.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić sama? – spytał.

– Tak. A kiedy tam będę, porozmawiam z Moirą Quiggley. Jest prezeską Krajowego Stowarzyszenia Kobiet, więc na pewno może nam pomóc w naszych planach. Potrzebujemy pomocy, Jonathanie! Właśnie kogoś takiego jak Moira. Radzimy sobie z szykowaniem potraw dla gości, ale teraz mówimy o czymś naprawdę ważnym. Moira zna wszystkich w promieniu setek kilometrów, poza tym zauważyłam, że ta kobieta czeka na możliwość spełnienia jakiejś misji.

Jonathan nie mógł jej nie przyznać racji. Wiedział, że Arabella musiała przemyśleć swój plan – i miał rację.

Ciągłe myślenie i martwienie się sprawiało, że nie mogła spać. Ruth poddała jej kilka dobrych pomysłów, ale to było za mało. Arabella potrzebowała u swojego boku kogoś takiego jak Moira.

– Aby uwarzyć piwo, trzeba trochę czasu, więc powinniśmy się pospieszyć – zauważył Ted.

– Racja – przyznała. – Muszę tam jechać już dziś.

– Paddy będzie zmęczony. Musimy znaleźć kogoś innego, kto cię tam zawiezie – stwierdził Jonathan. – Może Faiz? Pójdę go spytać, czy się zgodzi.

Arabella nie przepadała za Faizem. Czuła, że jej nie wybaczył tego, jak brzydko wyraziła się o jego wielbłądach. Ale cóż – nie miała wyboru.

– Spakuję się, a ty idź, porozmawiaj z nim – rzekła.

W godzinę później, kiedy się żegnała z Urim, nadjechał Faiz z pięcioma wielbłądami; dwa były osiodłane. Arabella szczebiotała coś do swojego pupila, zdziwiona, że zachowuje się, jakby ją rozumiał, nie usłyszała więc nadchodzącego Faiza.

– Pamiętaj, żebyś był grzeczny, kiedy mnie nie będzie! – mówiła, głaszcząc aksamitny nosek Uriego. – Niedługo wrócę, więc nie bój się, że cię zostawiłam!

Uri wydał zabawny dźwięk, co bardzo rozśmieszyło Arabellę.

W tym momencie jeden z wielbłądów Faiza parsknął. Zrozumiała, że nie jest sama.

– Och... – szepnęła zawstydzona, kiedy się odwróciła i ujrzała wpatzonego w nią Afgańczyka.

Zdenerwowało ją, że się nie zdradził, że już tu jest. Zachmurzyła się.

– Gotowa do drogi? – spytał chłodno.

– Tak, tylko się pożegnaj z Jonathanem.

Poszła w stronę hotelu. Jaka szkoda, że to nie ktoś inny ma ją zawieźć do Fariny! Uważała Faiza za dziwaka i wiedziała, że nie będzie się dobrze czuła w jego towarzystwie.

– Faiz już tu jest, więc jadę – oznajmiła Jonathanowi, wchodząc do kuchni.

– Doskonale... – odparł.

Wyczuła, że jest zaniepokojony.

– Nic mi nie będzie, Jonathanie. Wrócę, zanim zdążysz zatęsknić – zażartowała; co prawda bała się, że sama będzie za nim tęskniła od pierwszej chwili! Łzy zakręciły się jej w oczach, ale dzielnie starała się ukryć te uczucia.

– Proszę cię, Arabello, uważaj na siebie, bądź bardzo ostrożna! – powtarzał Jonathan, biorąc jej rękę w swoje.

Zrobił to pierwszy raz od czasu, kiedy ją pocałował; poczuł się trochę niezręcznie.

– Będę ostrożna, obiecuję – zapewniła, wpatrzona w jego ciemne oczy.

– Wolałbym pojechać z tobą – szepnął z uczuciem.

– Ja też bym wolała, ale... tutaj jest tyle do zrobienia! – odparła. – A gdyby jakimś cudem podczas mojej nieobecności przyjechał tu pociąg, postaraj się, żeby rodzice wysiedli i zaczekali na mnie!

– O, możesz być pewna, że to zrobię – powiedział.

Kiedy tak patrzyła mu w oczy, czuła, ile mają sobie do powiedzenia. Chciała mu wyznać swoje uczucia, ale nie śmiała; nie była pewna, jak Jonathan to przyjmie. Lubił ją chyba, ale od dnia, kiedy się



pocałowali, wyrażał swe uczucia o wiele bardziej powściągliwie – nie miała pojęcia dlaczego?

Nie wiedziała, że stara się zbadać dokładnie stan jej uczuć do Stuarta Thompsona. Często żartowali z Arabellą, a wówczas Jonathan czuł się jakby był wyrzucony poza nawias. Było mu bardzo trudno ukrywać własne uczucia, nie mówiąc o tym, co czuł w sercu...

Kilkakrotnie robił w rozmowie z Arabellą uwagi na temat Stuarta. Często jej wspominał, że przyjaciel jest od nich dużo starszy i że, jak dotąd, opowiedział im bardzo niewiele o swoim życiu osobistym. Poza tym było wiadomo, że przyjazd pociągu jest już kwestią czasu i że Arabella na pewno wróci z rodzicami do Anglii.

Dziewczyna spojrzała na swoje ręce, które Jonathan nieświadomie ścisnął. W odpowiedzi puścił jej dłoń.

– Przepraszam... – wyszeptał.

– Ale nie, nic nie szkodzi! – odparła. Z jednej strony chciałaby, żeby ją tak trzymał... ale się zarumieniła i odwróciła wzrok. – Lepiej już pójdę – zdecydowała.

– Czekał, Arabello – zatrzymał ją.

– Tak? – spytała z nadzieją w głosie.

– Poprosiłem Faiza, żeby przywiózł ci burkę, będziesz mogła się nią okryć. I hidżab na głowę.

– Burkę?

– Tak się nazywa szata, którą noszą afgańskie kobiety.

– A dlaczego muszę je włożyć?

– Nie musisz... ale Faiz to zasugerował, bo one osłonią twoją jasną skórę przed słońcem...

Wszystkie ślady okropnej opalenizny, która ją tak dręczyła, już dawno zniknęły.

– Och... – rzekła. Swoje rzeczy oddała przecież Maggie! – Doskonały pomysł.

Była zaskoczona, ale przede wszystkim podejrzliwa: czyżby Faiz był aż tak troskliwy, że sam zaproponował coś takiego?

Jonathan wyszedł z hotelu, a Arabella za nim.

– Masz dla Arabelli burkę i hidżab? – spytał.

Faiz bez słowa odwrócił się i z torby przy siodle wydobyl coś, co wyglądało jak wielki, poskładany materiał. Wręczył go Arabelli. Rozwinęła go i przyjrzała mu się, nie wiedząc, co ma z tym zrobić: takiego fasonu w ogóle nie знаła. Owinęła się nim, ale się ześliznęła.

Faiz wydał pełen irytacji dźwięk i podszedł. Wyjął materiał z rąk Arabelli. Stała nieruchomo, a on narzucił na nią burkę i owinął jej głowę hidżabem. Były leciutkie i zaskakująco chłodne.

– Dziękuję – powiedziała sztywno, kiedy skończył.

Faiz patrzył na nią, nadal milcząc.

Wielbłąd przeznaczony dla Arabelli ukląkł, zatem wspięła się na niego, a Jonathan przytroczył mu do siodła jej niewielką torbę. Kiedy Faiz wsiadł na wielbłąda, kazał mu wstać. Wielbłąd Arabelli także wstał. Jonathan obserwował to i pilnował, żeby dziewczyna nie spadła.

Kiedy już mieli odjeżdżać, podniósł głowę i spojrzał na Arabellę.

– Wracaj jak najprędzej! – rzekł.

Coś w jego głosie wzruszyło Arabellę; w tej chwili pojęła, że naprawdę mu na niej zależy. Serce waliło jej z radości, ale uczucie szczęścia rychło zastąpił smutek: pomyślała, że kiedy jej rodzice wrócą, ona i Jonathan będą się musieli rozstać...

Jechali około godziny w milczeniu, kiedy nagle Faiz się odezwał:

– Uri już nie ssie. Powinien być w zagrodzie, razem z innymi młodymi samcami.

Słowa te zaskoczyły Arabellę. Czuła, że to rodzaj ataku na nią za to, że tak bardzo pokochała małego wielbłąda.

– Ale on się tak przywiązał do Bess. Będzie tęsknił za nią. Zresztą Paddy mówił, że w normalnych warunkach spędziłby około pięciu lat z matką.

Faiz niecierpliwie potrząsnął głową.

– Ale on nie ma matki. To wielbłąd. Musi się nauczyć pracować – powiedział bezlitośnie. – Takie jest jego przeznaczenie.

– Przeznaczenie – mruknęła do siebie Arabella.

Nie podobało się jej takie bezduszne podejście, ale postanowiła nic nie mówić. Wiedziała, że będzie musiała spędzić z Faizem dużo czasu na pustyni, więc uznała, że lepiej na razie pohamować nerwy. Kto wie, do czego taki Afgańczyk jest zdolny?

Godziny mijały; wielbłądy niestrudzenie stapały po gorącym piachu. Upał był niemiłosierny. Na szczęście dla Arabelli Faiz nalegał, żeby stawali na modlitwę, dzięki czemu mogła od czasu do czasu rozprostowywać nogi i napić się czegoś. Jonathan zapakował jej chleb z dżemem na drogę: w południe poczęstowała nim Faiza. Odmówił szorstko, nie przejmując się tym, że ją obraża.

– Nie jesteś głodny? – spytała.

– Mam jedzenie, ale zjem dopiero, kiedy słońce zajdzie – odparł.

Była zaskoczona, ale nie komentowała. Jej zdaniem Faiz był dziwakiem. Postanowiła zachować na potem to, czym go częstowała, i zjeść wieczorem.

Kiedy zapadł zmrok, zatrzymali się na noc. Faiz rozsiadł wielbłądy i dał im wodę i paszę, które dźwigał jeden z nich. Następnie rozwinął śpiwór dla siebie i zaproponował Arabelli matę do spania. Nie miała poduszki, a on jej nie dał nic takiego, więc podłożyła sobie pod głowę własną torbę. Faiz bez słowa zabrał się do jedzenia czegoś, co wyglądało jak daktyle i suszone mięso. Niczym jej nie częstował, więc w milczeniu zjadła swoją drugą kanapkę. Po tym ułożyła się na macie plecami do Faiza i ognia i próbowała zasnąć. Leżała tak parę minut, kiedy nagle Faiz się odezwał:

– To, co robicie dla Maggie i Tony’ego, to dobra rzecz – stwierdził.

Arabelli oczy omal nie wyskoczyły z orbit ze zdumienia. Czyżby naprawdę powiedział jej coś miłego?

Usiadła i spojrzała na niego. W dymie ogniska nie wyglądał na kogoś godnego zaufania.

– Przez ten krótki czas, kiedy mieszkam w Marree, rozumiiałam, jak bardzo ten hotel i pub są ważne dla wszystkich – rzekła.

Skinął głową.

– Ty nie jesteś tą samą osobą, jaką byłeś, kiedy przyszedłeś do miasta – rzekł. – Widziałem, jak kochasz małego Uriego.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, ale była zaszokowana.

– To prawda... i przykro mi bardzo, że nazwałam twoje wielbłądy śmierdzącymi stworzeniami. Mówiłam tak, bo nie wiedziałam, jakie są naprawdę ważne.

– Tylko pamiętaj, że Uri to nie domowe zwierzątko. Będzie pracować... i będzie dobrym wierzchowcem.

Z tymi słowami Faiz położył się spać i natychmiast zasnął.

Arabella nie mogła spać. Zrozumiała, że pod powłoką dziwaka krył się dobry człowiek. Myślała o tym, co powiedział. Była teraz zupełnie inną osobą niż ta rozkapryszona dziewczyna, która wysiadła z pociągu na pustyni. Tamtą ledwie można było w niej rozpoznać. Kilka krótkich tygodni zmieniło nie tylko jej życie, ale również charakter. Niemniej było niewiarygodne, że aby to nastąpiło, musiała znaleźć się wśród tak różnych ludzi, w oddalonej od świata, pełnej pyłu miejscinie takiej jak Marree. Uważała zresztą, że największy udział w jej przemianie wewnętrznej miał Jonathan. Nie mogła się powstrzymać od zastanawiania się, czy jeśli wróci do dawnego życia, nie stanie się z powrotem tą zepsutą, samolubną

młoda kobietą, jaką niegdyś była...?

Po raz pierwszy zastanowiła się zupełnie poważnie, czy mogłaby kiedykolwiek powrócić do dawnego próżniaczego życia, bez sensu i bez celu...

Rankiem, skoro tylko ujrzała na horyzoncie Farinę, ciekawość przewyciężyła zmęczenie i Arabella zaczęła wypytywać Faiza o to miasto. Podobno dawniej było kwitnące, ale te piękne dni już minęły.

– A teraz? Ilu ludzi mieszka w Farinie?

– Jest niewielka społeczność afgańska. Aborygeni mają swoje obozowiska w mieście i na obrzeżach. Mieszka tu również garstka białych ludzi i trochę w sąsiednich posiadłościach.

Opowiedział jej, że miasto powstało w roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym jako rezerwat pod nazwą Government Gums. W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim, kiedy do Government Gums dotarła wąskotorowa linia kolejowa, optymiści przepowiadali, że miasto stanie się centrum ogromnych składów produktów rolnych; niestety długotrwała susza położyła kres tym planom. Niemniej na samym początku wytyczono tu osiemdziesiąt osiem działek ziemi, od ośmiu do jedenastu akrów każda, oraz czterysta trzydzieści dwie działki po ćwierć akra. Miasto wtedy szybko rosło: mieszkało tam co najmniej czterysta osób. Powstały dwa hotele: Transcontinental i hotel Farina – poza tym kościół, szkoła i kilka sklepów. Miejscowość była za mała, żeby mógł tam powstać szpital, ale Okręgowe Południowo-Australijskie Stowarzyszenie Opieki urządziło w hotelu Transcontinental wiejski hostel. Z powodu braku personelu i oddalenia od innych siedzib funkcjonował tylko okresowo. Po pięćdziesięciu latach liczba mieszkańców drastycznie zmalała, prawie wszystkie sklepy zamknięto, a z hotelu Farina został tylko opuszczony budynek.

Podczas gdy Faiz czekał na zewnątrz, Arabella weszła do hotelu Transcontinental.

Był to parterowy budynek, z pewnością mniej zadbane niż hotel Great Northern w Marree, co Arabelli przypomniało słowa Teda, mianowicie, że Dave Brewer jest leniwy. Wzdłuż frontu ciągnęła się weranda, a nad nią szyld: HOTEL TRANSCONTINENTAL.

Werandy zresztą od dawna nikt nie sprzątał. Poza tym Arabella dostrzegła pod ścianami zdechłe szarańcze, a posadzka była pokryta kurzem i pełna mrówek. Maggie na ten widok z pewnością wstrząsnęłaby się z obrzydzenia.

Kiedy Arabella weszła do środka, w barze nie było nikogo, ale po chwili pojawił się jakiś mężczyzna z tacą. Zatrzymał się na chwilę i patrzył na nią, zaskoczony.

– Pan Brewer? – rzekła, sądząc, że to musi być właściciel.

– Miejscowi nazywają mnie po prostu Dave – odparł. – Skąd się pani tu wzięła?

Odstawił tacę na bar i ze zmarszczonymi brwiami oglądał jej strój.

– Właśnie przyjechałam z Marree – odparła, zdejmując z głowy hidżab. – Nazywam się Arabella Fitzherbert.

– Fitzherbert? – Podrapał się po zmierzwionej czuprynie. Niemal widziała, jak jego mózg ciężko pracuje. – Ty jesteś Fitz! Pianistka! – wykrzyknął w końcu. – Słyszałem o tobie.

Arabella się nastroszyła.

– Zgadza się... ale nie lubię, kiedy tak się mnie nazywa – oznajmiła.

Dave zignorował jej uwagę.

– Co cię sprowadza do naszego miasta?

– Przyjechałam zobaczyć się z panem, ale skoro już tu jestem, chciałabym się też spotkać z Moirą Quigglej.

– A dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć? – spytał.

Był nieogolony, średniego wzrostu, niezbyt porządnie odziany. Kiedy wyszedł zza baru, ze zdumieniem spostrzegła, że nie nosi butów, a spodnie podwinął nierówno, gdzieś w okolicy kolan. Stan

jego stóp – jak zauważyła – był nie do opisania! Ucieszyło ją jedynie, że nie przyjechała tu prosić go o wino... bo sama myśl o takich stopach ugniatających winogrona w beczce przyprawiła ją o mdłości.

– Słyszałam, że pan warzy piwo – powiedziała, starając się nie patrzeć na jego zarośnięte brudem stopy.

– To prawda, mogę...

– A my rozpaczliwie potrzebujemy piwa, więc bardzo pana proszę, błagam, żeby przygotował nam pan trochę.

Oczy Dave zwęziły się; Arabella niemal słyszała, jak wewnętrznie jęknął na myśl o jakiegokolwiek pracy.

– Nie macie pieniędzy, co? – zagadnął.

Wyczuła, że szuka po prostu wymówki, żeby nie robić dla nich piwa.

– Nie, ale oczywiście, kiedy sprzedamy piwo, zapłacimy panu tyle, ile się należy.

Miała nadzieję, że go to zachęci.

– Nie mogę wam pomóc – oświadczył Dave. – Sam posłałem wóz na południe po piwo; musicie zrobić to samo, kiedy będziecie mieli pieniądze.

Arabella zauważyła, że jeśli chce go przekonać, żeby im pomógł, musi się zniżyć do jego poziomu.

– Nie mamy na to czasu. Organizujemy imprezę w Wigilię i musimy mieć piwo dla gości!

– Optymistka z ciebie – bąknął Dave.

– Może i tak... – Rozejrzała się. W hotelu nie było nikogo, ale na wszelki wypadek zniżyła głos. – To dla bardzo ważnej i pięknej sprawy, panie Brewer!

– A dlaczego wy to urządzacie, a nie Maggie?

– Maggie wyjechała, tak samo Tony.

– Wyjechała? Dokąd?

– Tony zawiózł Maggie do Warratah Station, bo musiała wypocząć. Ma poważne kłopoty z sercem. A kiedy Tony tam z nią był, zaatakował go baran. Ma połamane żebra, więc na razie nie może wrócić do Marree.

– Wobec tego proponuję, żebyście zrobili tę imprezę, kiedy już wrócą. Pociąg już pewnie zacznie kursować, a wtedy wszyscy będziemy mieli tyle piwa, ile tylko zechcemy.

Arabella westchnęła.

– Organizujemy tę imprezę po to, żeby zebrać pieniądze dla Maggie i Tony’ego – wyznała.

Dave był zdziwiony.

– Dla nich? A dlaczego?

– Bo hotel ma kłopoty finansowe. Jeżeli nie zbierzemy pięciuset funtów do końca grudnia, hotel przejmie bank. Maggie i Tony o niczym nie wiedzą. Mógłby pan to dla nas zrobić?

Dave westchnął i znowu się podrapał w głowę.

– Kiedy zamkną Great Northern, miasto przestanie istnieć – powiedział powoli.

– To prawda – przyznała.

– Tak samo miejscowi farmerzy. A wtedy i mnie to dotknie.

– Prawda – powtórzyła, czując, że jest bliska wygranej. – Jeżeli pomożemy Maggie i Tony’emu, wszyscy na tym zyskamy.

– Żeby zrobić piwo, potrzeba wody, i to bardzo dużo, jeżeli chcecie mieć dużo piwa. Nie mam jej wystarczająco dużo. Niedawno padało, ale w zbiorniku jest niewiele. Wątpię, żeby dla was jej wystarczyło.

O tym nie pomyślała.

– O nie! – zawołała, zniechęcona. – Może pan sprawdzić, ile ma pan tej wody?

– No, mogę włożyć do cysterny miarkę – zgodził się.

Arabella poszła za nim na zaplecze, gdzie był zbiornik na wodę. Mężczyzna wszedł na krzesło z długim patykiem w rękę i otworzył małą pokrywę. Następnie zanurzył w cysternie miarkę, aż dosięgła dna, po czym ją wyciągnął.

Arabella zauważyła wilgotny znak. Z nadzieją spojrzała na Dave'a.

– Jest dosyć? – spytała.

Dave zmarszczył brwi.

– Nie jestem pewien... Ilu gości się spodziewacie?

– Pojęcia nie mam – odparła zgodnie z prawdą.

– No, ale pięciu, czy pięciuset? – pytał. – Muszę wiedzieć.

– Nie jestem pewna. Ale, jeżeli przyjedzie dużo ludzi, a my nie podamy im wystarczająco dużo piwa, to będzie kompletna klęska!

– Trochę piwa mogę wam zrobić – rzekł Dave – ale nie tyle, żeby napoić pięciuset spragnionych ludzi!

– Będziemy wdzięczni za każdą ilość, Dave – powiedziała w rozpaczy.

– Ale mamy jeszcze jeden problem... – ciągnął.

– Jaki?

– Jeżeli zrobię to piwo dzisiaj, powinno leżakować od dwóch do czterech tygodni. Nawet po dwóch tygodniach, kiedy będziecie je serwować, nie będzie jeszcze najlepsze – mówił.

– Bylebyśmy tylko mieli coś do picia! Bardzo proszę. Myślę, że nikt się nie przejmie tym, że piwo nie jest najlepsze, byle było zimne i mokre!

– No dobrze, ale w takim razie muszę zacząć zaraz. Wigilia jest już za piętnaście dni, więc nie ma czasu do stracenia!

– Och, dziękuję – ucieszyła się. – Ale proszę nie rozgłaszać wiadomości, że Maggie i Tony mają kłopoty finansowe. Tony jest bardzo dumny... Maggie zresztą też.

– Ale będzie mi pani coś winna, Fitzi!

– Proszę mi mówić Arabella. Winna?

– Arabella to takie nadęte imię. Masz bogatych rodziców?

– Nie... – odparła. Czyżby miał zamiar ją szantażować? – Mają dość pieniędzy, żeby żyć, ale to wszystko.

Nie miała najmniejszego zamiaru mu mówić, jak zamożni są jej rodzice.

– Musisz zrobić coś dla mnie, jeżeli chcesz, żebym uwarzył to piwo.

– Co takiego?

Zaczęła się coraz bardziej denerwować.

– Musisz któregoś dnia zagrać tutaj na fortepianie.

Odetchnęła w duchu z ulgą, po czym się rozejrzała.

– Moira mi mówiła, że nie macie fortepianu.

– Na razie nie, ale jeżeli je zdobędziemy, przyjedziesz tu nam zagrać?

– Tak – odparła.

Rozbawił ją jego optymizm.

– Wobec tego interes ubity, Fitzi!

Przytaknęła z westchnieniem, zirytowana.

Dave pod hotelem miał piwnicę, gdzie butelkował swoje piwo, lub fermentował brzecznię piwną, jak to nazywał. Podczas gdy gromadził wszystko, co potrzebne, Arabella zeszła na dół i zauważyła, że piwnica nie jest szczególnie czysta, ale przynajmniej chłodna; Dave wydawał się wiedzieć, co robi.

Kiedy szła za nim do kuchni, bez przerwy opowiadał jej o procesie produkcji. Szybko zabrał się do przygotowań.

Wlał dwa wielkie dzbany wody do garnka, żeby zagotować ją na piecu. W jednym mieściło się około sześciu litrów płynu, w drugim koło dwudziestu. Powiedział, że musi gotować wodę prawie przez cały dzień, żeby mieć jej dosyć do produkcji piwa.

Arabella z ulgą patrzyła, że zabrał się od razu do pracy, bo przedtem bała się, że zachęcenie go do działania będzie naprawdę trudne. Miała rację, opowiadając mu o plajcie hotelu Great Northern. Z pewnością potrzebował takiej zachęty.

– A gdzie mieszka Moira Quiggley? – spytała.

– Posiadłość Quiggleyów jest o parę kilometrów od miasta. Chcesz tam pojechać?

– Tak... chyba, że ona przyjedzie do miasta.

– Moira przyjeżdża tu raz w tygodniu, ale nie dziś. Jeżeli ma kogoś na kolacji, urządza ją u mnie.

– Muszę zobaczyć ją jeszcze dzisiaj – rzekła Arabella.

– Jak tu przyjechałaś?

– Faiz Mohomet przywiózł mnie na wielbłądzie.

– Jeżeli chcesz, możesz pożyczyć konia i pojechać do Red Hill Station.

– Sama? – Arabella wpadła w panikę. – Mogłabym się zgubić!

– Jeżeli pojedziesz drogą prowadzącą z miasta, na pewno nie zabłądzisz, a to niedaleko.

– W Anglii niedaleko to niecały kilometr... ale od kiedy jestem w Australii, nauczyłam się, że to może oznaczać nawet ponad sto kilometrów!

– A nawet więcej – potwierdził Dave. – Ale w tym wypadku to naprawdę blisko. Około trzech i pół kilometra.

– Trzy i pół... I mówisz, że mam jechać drogą...

– Dokładnie.

– A skąd będę wiedziała, że dojechałam? Jest tam jakiś znak?

– Znak? Nie. Ale zaraz po trzech kilometrach zobaczysz po prawej stronie gospodarstwo.

Wyprowadził Arabellę na zewnątrz i pokazał jej trasę. Była to ledwie widoczna w pyłe ścieżka wiodąca na północny wschód.

Parę minut później Arabella wyjeżdżała z miasta na koniu.

Faiz zaprowadził wielbłądy do miejsca, gdzie mieszkali Afgańczycy, na skraj miasta; tam miał je rozsiadłać i dać im wodę, żeby odpoczęły.

Krajobraz, aczkolwiek płaski i niemal monotony, był pokryty delikatną zielenią i upstrzony dzikimi kwiatami, o których wspominała Rita; Arabella była jednak zbyt zdenerwowana samotną jazdą, żeby podziwiać nowe barwy na tej wiecznie szaroczerwonej ziemi. Modliła się, żeby droga się nie urwała. Dziewczyna co chwila rozglądała się za zabudowaniami, zwłaszcza że nie umiała dobrze oceniać odległości. Po niecałych trzech kilometrach zaczęła się niepokoić, że może zabłądziła, aż nareszcie ujrzała w pewnej odległości dom. Modliła się, żeby to był dom Moiry.

Posiadłość Red Hill, poza tym, że nie było tam żadnego wzgórze, nie była ogrodzona, a podjazd był tylko wyjeżdżonym traktem, który wił się w stronę domu usytuowanego o jakieś siedemset metrów od drogi. Kiedy Arabella podjechała bliżej, zobaczyła, że jest zbudowany z kamienia, natomiast dobudówka była pokryta żelazem. Miał z frontu pochyloną, przeżartą rdzą żelazną werandę, którą podpierały słupy podziurawione przez termity. Drzwi frontowe były otwarte, nie mogła jednak zobaczyć, co jest wewnątrz, bo słońce za mocno świeciło. Po przywiązaniu konia do najsolidniej wyglądającego słupka werandy zawołała Moirę. Oczy stopniowo jej się przyzwyczajały do mroku wewnątrz domu: mogła już zobaczyć długi korytarz i otwarte tylne wyjście.

Moira zdejmowała właśnie wysuszoną bieliznę na podwórku za domem; dalej ciągnęły się kilometry pustynnego pejzażu. Arabella była zdumiona, jak można mieszkać na tej ziemi niczyjej.

Wiedząc, że Moira nie usłyszy jej wołania, weszła do środka i powoli ruszyła korytarzem, po drodze zaglądając do poszczególnych pomieszczeń. Z frontu domu był mały gabinet. Stały w nim spłowiełe, podniszczone fotele i niewielki stoliczek. Dalej były trzy sypialnie, dwie po prawej stronie korytarza i jedna po lewej, wreszcie na tyłach znajdowały się duża kuchnia i pokój z cynową wanną oraz balią. Kiedy Arabella była już przy tylnym wyjściu, ponownie zawołała Moirę.

Ta niemal podskoczyła ze strachu na dźwięk obcego głosu. Przysłoniła ręką oczy przed słońcem i spojrzała w kierunku Arabelli.

– Kto tam? – zapytała.

– Arabella Fitzherbert z hotelu Great Northern.

Moira wyglądała na zaskoczoną.

– Nieprawdopodobne! Co ty tu robisz, u diaska?

– Miałam interes w mieście, ale przede wszystkim chciałam się zobaczyć z tobą.

– Ale niespodzianka! Cudownie! – zawołała Moira, podnosząc kosz z bielizną i wchodząc do domu.

Zatrzymała się i znów spojrzała na Arabellę.

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Chodź, siadaj! Zrobimy sobie po filiżance herbaty i coś do zjedzenia.

Arabelli strasznie się chciało pić, więc z radością przystała na herbatę.

– A gdzie twój mąż? I synowie?

W domu było cicho jak w kościele pełnym zakonnic, ale Arabella powstrzymała się od uwag.

– Popędzili bydło na łąki, żeby je nakarmić. Spadł deszcz, więc jest trochę paszy. Trzeba to wykorzystać.

Arabella była ciekawa, czy Moira spędza dużo czasu samotnie.

– A co cię sprowadza do Fariny? Oczywiście cieszę się, że cię widzę, po prostu się tego nie spodziewałam.

– Tak jak powiedziałam, załatwiałam interes... z Dave'em Brewerem.

– Jaki interes?

– Kończy się nam piwo w hotelu Great Northern, więc Dave przygotowuje brzeczkę i robi nam świeże.

– Och... – skrzywiła się Moira. – Nie przepadam za jego trunkiem... ale mężczyznom pewnie wszystko jedno. Maggie przyjechała z tobą?

– Nie, Maggie i Tony pojechali do jej siostry i rodziny w Warratah Station.

– Naprawdę? Nie słyszałam o tym!

Faktycznie było to dziwne, że nie dotarły jeszcze do Moiry takie wieści.

– Wyjechali niedawno, ale nie będzie ich przez jakiś czas.

– Naprawdę? To do nich niepodobne, tak wyjeżdżać z hotelu. Czy coś złego się stało?

Arabella zrozumiała, że Moira nie przestanie zadawać pytań, dopóki nie pozna całej prawdy, a w każdym razie – prawie całej.

– Maggie nie czuła się dobrze, więc Tony zawiózł ją do siostry. Planował, że zaraz wróci, ale zaatakował go baran... i teraz ma połamane żebra.

– O Boże... – westchnęła Moira. Nalała herbatę do filiżanek i pokroiła zimne mięso i chleb, które wcześniej wyjęła ze schowka, gdzie muchy nie miały dostępu. Postawiła też słój z pikłami na stole, odpędzając mrówki. – Więc kto się teraz zajmuje hotelem? Bo z pewnością nie... ty.

– Maggie mnie prosiła, żebym wszystkiego dopilnowała, ale nie sama. Pomaga mi Jonathan Weston; naprawdę nie wiem, co bym bez niego zrobiła. A teraz planujemy urządzać uroczystość w Wigilię... i

jestem tutaj. Moiro! Chcę cię prosić o pomoc.

Moira wyglądała na zdziwioną, ale równocześnie zadowoloną.

– Kochanie, zrobię wszystko, co będę mogła.

– Pomyślałam, że jako prezeska Krajowego Stowarzyszenia Kobiet masz możliwość udzielenia mi jakichś praktycznych rad... i w ogóle możesz pomóc. – Arabella nagle się złękła, czy nie wymaga od Moiry zbyt wiele. – Ale jeżeli masz za dużo pracy na farmie, zrozumieć to, Moiro. Pewnie nikt ci nie pomaga.

– Oj, ja nie potrzebuję pomocy – gniewnie odparła Moira. – Tak naprawdę potrzebuję czegoś, o czym mogłabym myśleć, poza karmieniem swojej gromadki, kiedy już wszyscy zejdą się na kolację.

– Jesteś pewna?

– Tak, jestem pewna! – Moira poklepała Arabellę po ramieniu. – Po co wam ta cała uroczystość? To na pewno doskonały pomysł. Czy na jakiś cel? Bo my tutaj robimy takie rzeczy tylko wtedy, jeżeli trzeba komuś pomóc.

– Tak, chcemy zdobyć pieniądze – przyznała Arabella. Chciała się zwierzyć Moirze, ale obawiała się, że Moira się wygada, a plotka rozejdzie się prędzej niż plaga szarańczy. – Ja... nie chciałabym, żeby to, co ci powiem, doszło do Tony'ego albo Maggie – rzekła. – To bardzo ważne!

– Masz moje słowo. Nie dojdzie! – odparła Moira, tak zaintrygowana, że gotowa była oddać duszę diabłu, byle tylko zyskać zaufanie Arabelli.

– Hotel ma kłopoty finansowe i jeżeli nie zdobędziemy pięciuset funtów do końca grudnia, trzeba go będzie oddać bankowi.

Moira aż usiadła z szeroko otwartymi ustami.

– Nie mów! – zawołała. – Biedna Maggie...

– Myślę, że Maggie nie wie, że hotel jest zagrożony – ostrożnie powiedziała Arabella.

– Wobec tego skąd ty o tym wiesz?

– Dowiedziałam się przypadkiem. Wiatr otworzył drzwi do sypialni Maggie i Tony'ego i zwiął na podłogę dokumenty. Podniosłam je, nie miałam zamiaru się wtrącać... Ale kiedy je wkładałam do szuflady, zobaczyłam wyciąg z konta i list z banku. Oczywiście już przedtem widziałam, jaki Tony był zdenerwowany, w dodatku ta choroba Maggie... pewnie nie chciał jej niepokoić. Chociaż ani Jonathan Weston, ani ja nie jesteśmy stąd, to po krótkim pobycie w Marree zorientowaliśmy się, jak ważny jest dla wszystkich ten hotel i bar. A któregoś dnia przyjechała Ruth Maxwell i zaproponowała, żebyśmy urządzili uroczystość i koncert fortepianowy. Poza tym Jonathan czasem wystawia swoje fotografie i sprzedaje je w dużych miastach... ale gdyby udało się nam ściągnąć dużo ludzi do Marree, mógłby je wystawić na miejscu.

– To dobry początek! Jestem pewna, że ściągniecie ludzi do miasteczka. Ale przecież możecie zrobić jeszcze dużo innych rzeczy: na przykład sprzedaż rozmaitych używanych przedmiotów, stoiska z ciastkami, pokazy szycia, stoiska z książkami czy z domowymi wyrobami...

Arabella była zachwycona.

– Wspaniały pomysł! – zawołała. Wiedziała, że dobrze zrobiła, radząc się Moiry.

Gawędziły jeszcze z godzinę: Moira instruowała Arabellę, kto mógłby się czym zająć, opowiadała też o własnych udanych imprezach w przeszłości. W końcu dziewczyna poczuła się o wiele lepiej; tyle że cały czas się w głębi serca martwiła się, czy piwo dotrze na czas do Marree.

Właśnie myślała o powrocie do Fariny, kiedy do domu wrócił Phil z synami. Rozumie się, że byli zaskoczeni, widząc gościa Moiry. Ku radości Arabelli Moira opowiedziała Philowi i chłopcom o planowanej uroczystości, ale nie wspomniała ani słowem o zarabianiu pieniędzy, żeby pomóc McMahanom.



– Będę pomagać Arabelli, no i oczywiście wszyscy będziemy na koncercie – oznajmiła.

Phil nawet nie mrugnął i Arabella odniosła wrażenie, że już przywykł do tego, że mu się mówi, co ma robić.

– A co ze zwierzętami na farmie? – spytała Arabella. Widziała stajnie za domem i konie, poza tym myślała też o trzodzie...

– Sąsiad się nimi zajmie – odparła Moira. – My robimy to samo, jeżeli on wyjeżdża.

– Och... – szepnęła Arabella. Nie zauważyła w pobliżu żadnego innego domu, ale już pamiętała, że tutaj sąsiad może mieszkać o wiele kilometrów stąd. – Muszę jechać do Fariny. Przenocuję w hotelu, ale rano wracam do Marree. Jest mnóstwo roboty.

– Czy ktoś cię przywiózł? – spytał Phil.

– Tak, przyjechałam na wielbłądzie z Faizem Mohometem.

– Będziemy w Marree dwudziestego drugiego grudnia – rzekła Moira, kiedy Arabella wsiadała na konia. – W ten sposób będę miała cały dzień na urządzenie stoisk.

Było już późne popołudnie, a Arabella nie chciała jechać po ciemku, więc pognęła galopem. Kiedy przybyła do miasta, porozmawiała z Faizem, zanim poszła do hotelu.

W hotelu znalazła Dave'a, który pracował w piwnicy. Poczula dziwny zapach unoszący się z pieca w kuchni.

– Zostanę na noc, a rano wrócę do Marree – powiedziała. – Faiz mnie zabierze, ale zostawimy tutaj trzy wielbłądy. Kiedy piwo już będzie gotowe, któryś z miejscowych Afgańczyków nam je przywiezie. A kiedy już je sprzedamy, wróci do pana z pieniędzmi. Piwo będzie gotowe na czas, prawda? – spytała, chcąc mieć pewność.

– Tak, ale nie będzie najlepsze... nie ma dość czasu na dojrzewanie.

– Nic nie szkodzi. Piwo to piwo – podsumowała.

Dave doskonale wiedział, że tak mógł powiedzieć tylko ktoś, kto nie pije piwa.

– Skoro zostajesz na noc, pomożesz mi zanieść te butelki do kuchni – rozkazał.

Cała ściana piwnicy była zastawiona butelkami, od podłogi aż pod sufit. Arabella jęknęła, ale zakasała rękawy.

# Rozdział dwudziesty drugi

---

Kiedy Arabella z Faizem dotarli z powrotem do Marree, dziewczyna była tak zmordowana, że z najwyższym trudem zsiadła z wielbłąda. Faiz musiał ją podtrzymać, inaczej upadłaby na ziemię.

Nie wyjechali z Fariny tak wcześnie, jak by chciała, bo musiała pomagać przy rozpoczęciu produkcji. A ponieważ Dave musiał zagotować wodę w kilku garnkach, pomagała mu mieszać brzeczkę. Więc kiedy wyruszyli w drogę powrotną, było już późne popołudnie i słońce grzało niemiłosiernie. Kilka razy była bliska omdlenia, ale wiedziała, że gdyby spadła z wielbłąda, mogłaby poważnie się zranić. Faiz robił wszystko, co mógł, przede wszystkim starał się z nią rozmawiać swoją słabą angielszczyzną. Radził jej głęboko oddychać i pić jak najwięcej wody. Kiedy zapadł zmrok, błagała go, żeby jechali dalej, bo nocą było o wiele chłodniej. Faiz początkowo się opierał, chcąc podróżować tylko przy świetle dziennym, ale widząc, jak ciężko Arabella znosi gorąco, zgodził się na jej prośbę. Dzięki temu ich powrotna podróż trwała krócej: przyjechali do Marree wcześniej, niż się ich spodziewano.

– Arabello! – zawołał z radością Jonathan, kiedy weszła do kuchni. Ale jego uśmiech zgasł natychmiast, kiedy zobaczył, jaka jest zmęczona.

Bezsilnie opadła na krzesło.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekła bez tchu. – Mój szacunek dla Afgańczyków i wielbłądów wzrósł niepomiaralnie! Ten żar na pustyni omal mnie nie zabił, ale oni dają sobie z tym radę z taką łatwością! No, są po prostu... zachwycający!

Jonathan był zadowolony, że Arabella w końcu przestała zwracać uwagę na odór i wygląd wielbłądów i ich jeźdźców, i doceniła ich umiejętności.

Miał nadzieję, że podróż otworzy jej oczy i że dziewczyna zobaczy to, co on widział już od dawna: piękno i złożoność pustyni i ludzi, którzy na niej żyją. Czuł, że Arabella zaczyna to odczuwać, i to go ogromnie radowało.

Nalał Arabelli szklankę wody, którą przyjęła z wdzięcznością i wypila duszkiem. Nalał jej następną: tę piła już wolno, małymi łykami.

– Nic mi nie jest – twierdziła uparcie, kiedy zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana. – Ale tak cudownie nie być już na słońcu!

Odwinęła z głowy hidżab, wilgotny od potu. Ubranie spełniło swoje zadanie. Poza niewielką partią skóry dookoła oczu – nie opaliła się wcale.

– Jak poszła rozmowa z Dave’em Brewerem? Zgodził się uwarzyć nam trochę piwa?

Arabella zauważyła, że Jonathan się denerwuje.

– Tak, jak tylko mu powiedziałam, dlaczego potrzebujemy piwa, od razu zabrał się do roboty. Ale wcześniej nie chciał nawet o tym słyszeć... Dopiero kiedy mu wytłumaczyłam, jaka jest sytuacja...

– No, w każdym razie zabrał się do roboty! – Jonathan westchnął z ulgą. Podczas nieobecności Arabelli Ted naopowiadał mu mnóstwo historii o właścicielu hotelu, dlatego Jonathan nie liczył na sukces. Ted twierdził, że Dave jest uparty i leniwy. Powiedział, że kiedy raz coś sobie postanowi, rzadko zmienia zdanie, nawet jeżeli wie, że nie miał racji. Na przykład ożenił się z Angielką, którą poznał, kiedy pociąg wykoleił się w pobliżu Fariny. Na początku była pod jego urokiem, ale ich małżeństwo przetrwało raptem kilka miesięcy. Kiedy tylko pociąg zaczął znowu kursować, zabrała manatki i odjechała, ponieważ mąż z uporem maniaka odmawiał zmiany – na jej prośby – któregośkolwiek ze swoich kawalerskich przyzwyczajień, włącznie z rytuałem mycia się, który Dave odbywał tylko raz w tygodniu.

– Sprawy się skomplikowały, gdy żona otrzymała w prezencie ślubnym od rodziny nowiuteńką

bieliznę pościelową – opowiadał Ted Jonathanowi. – Była nią tak zachwycona (bo miała dosyć spania w starej pościeli Dave’a, wypłowiałej i zżartej przez mole), że natychmiast pościeliła ich małżeńskie łóżko. I co zrobił Dave? Wskoczył na łóżko brudnymi nogami. – Ted parsknął śmiechem na samą myśl. – Mówili, że ta nieszczęsna dziewczyna niemal wpadła w histerię. Wykopała go z sypialni do łazienki, żeby się wykąpał, a przynajmniej umył nogi; obdarzała go przy tym wszelkimi możliwymi wyzwiskami. Wszedł, ale już nigdy do niej nie wrócił. Mówili, że to była naprawdę piękna dziewczyna. Wszyscy ludzie w Farinie twierdzili, że każdy normalny facet umyłby się do czysta od stóp do głów po to, żeby móc się z nią położyć do łóżka. Każdy, ale nie Dave. Wolał stracić żonę, niż zmienić swoje zwyczaje. Taki uparty!

– Ted powiedział, że Dave to jeden z najbardziej twardogłowych głupoli, jakiego zna – opowiadał Arabelli Jonathan.

– Tak, ja też tak myślałam – przyznała – ale zrozumiał, że gdyby zamknięto hotel Great Northern, odbiłoby się to i na jego interesach. Martwi się tylko o jakość piwa.

– Czemu?

– Bo powinno dojrzewać przynajmniej dwa tygodnie, a najlepiej cztery. Powiedziałam, że to nieważne, jak będzie smakowało, byle było zimne.

– Ale będzie nadawało się do picia, prawda?

– O tak, na pewno. Ale Dave jest przecież właścicielem pubu, a dawniej pracował w browarze, więc jest bardzo wybredny, jeżeli chodzi o smak piwa. – Pomyślała, że jednak nie jest wybredny w innych sprawach, włącznie z higieną osobistą. – Poza tym nie jest pewien, ile będzie w stanie tego piwa wyprodukować, bo ma niewiele wody. Muszę się przyznać, że o tym nawet nie pomyślałam.

– Ja też nie.

– I widziałam się z Moirą Quiggley – ciągnęła. – Zgodziła się nam pomagać. Będzie tu dwudziestego drugiego i ma zorganizować stoiska z różnymi rzeczami na sprzedaż. Tymczasem skontaktuje się z jak największą liczbą miejscowych kobiet i powie im, co mają robić.

– Wygląda na to, że twój plan może zadziałać – stwierdził Jonathan.

Tak bardzo mu brakowało Arabelli, tak bardzo chciał jej o tym powiedzieć... ale się powstrzymał.

To mogłoby zniszczyć ich przyjaźń. A poza tym był w tych sprawach bardzo nieśmiały, zwłaszcza kiedy w pobliżu kręcił się Stuart Thompson. Jak mógłby konkurować z kimś tak błyskotliwym, tak światowym? Był w końcu tylko fotografem...

– Nie byłabym tego taka pewna, Jonathanie. Tyle rzeczy może nam nie wyjść... Dave obiecał, że w razie jakichkolwiek kłopotów z produkcją piwa wyśle nam wiadomość. W takim wypadku będziemy musieli zrezygnować z całej imprezy, inaczej możemy mieć straszne kłopoty!

– Zobaczysz, Dave da sobie radę – pocieszył ją Jonathan.

– I ciągle się martwię, czy ktoś w ogóle tu przyjedzie... – Ciągle nie wierzyła, że ustna wiadomość może się tak szybko rozejść bez telegrafu. – Będziemy winni Dave’owi za piwo, a Maggie i Tony i tak mają długów po uszy!

– Arabello, naprawdę nie ma sensu się martwić. Możemy tylko zrobić to, co w naszej mocy, i modlić się. – W gruncie rzeczy nie był niczego pewien, ale przecież nie mógł tego powiedzieć Arabelli. W tej chwili polegała tylko na nim. – Jesteś zmęczona, a ja już skończyłem wszystkie poranne zajęcia. Idź do siebie i prześpij się trochę.

– Dobrze. – Arabella z trudem podniosła się z krzesła.

Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy się rozbierze i umyje. Czuła, że jej ciało lepi się od kilkudniowego potu: była pewna, że cuchnie jak śmierdzący wielbłąd. Aż trudno jej było uwierzyć, że Jonathan wytrzymał z nią w jednym pomieszczeniu! Poza tym marzyła o położeniu się do łóżka. W ciemności nie mogła znaleźć skrawka ziemi bez kamyków, było jej okropnie niewygodnie i obudziła się

cała obolała.

– Ale tylko na godzinę. – Cały czas pamiętała, ile pracy ich czeka przed koncertem.

– Nie pojedę do Lizard Creek, zanim ty nie odpoczniesz – oświadczył Jonathan.

– Co? Wybierasz się tam? – spytała niezadowolona.

– Muszę zdobyć trochę paliwa do generatora. Wiesz, że bardzo go potrzebujemy.

Była wyraźnie rozczarowana.

– A... nie mógłby pojechać któryś z Afgańczyków?

– Paddy jedzie ze mną. – Przez chwilę miał nadzieję, że Arabella zatęskni za nim, a nie tylko za jego pomocą w domowych zajęciach!

– A nie mógłby sam pojechać? Nie dam sobie rady sama! – Wprawdzie mogli jej pomóc Stuart i Ted, ale to nie było to samo.

Jonathan z przykrością zdał sobie sprawę, że nie chodziło jej o jego towarzystwo. Jedyłą pociechą było to, że nie spytała jeszcze o Stuarta.

– Paddy mógłby poprosić o paliwo, ale potrzebuję pewnej części do generatora, bo w tej chwili urządzenie pracuje na słowo honoru... Bob Maxwell ma trochę zapasowych części. Dlatego muszę pojechać osobiście, a że nie jestem mechanikiem i nawet nie wiem, jak ta część się nazywa, muszę pokazać, o co mi chodzi, i spytać, jak mogę tę brakującą część umocować, albo czym ją zastąpić.

Arabella rozumiała, że gdyby generator znów się zepsuł, byłaby to prawdziwa katastrofa, co jednak nie poprawiło jej humoru.

– Jeżeli musisz już jechać, to jedź zaraz! Wtedy wcześniej wrócisz – powiedziała. – Ted może się zająć barem, prawda?

– Tak. Zajmie się też obsługą klientów, kiedy ty będziesz odpoczywała.

Arabella się modliła, żeby nikt nie przyjechał dziś do miasta, ale nie powiedziała tego Jonathanowi. Nie chciała, żeby źle o niej pomyślał. Pragnęła, żeby widział w niej kompetentną kobietę, kogoś, kogo mógłby naprawdę głęboko pokochać. Tak bardzo za nim tęskniła, że miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję, przytulić się mocno i nie puścić już przez całe życie... ale się pohamowała.

Kiedy Jonathan i Paddy wsiedli na wielbłądy, stała w cieniu werandy i patrzyła za nimi.

– Och, zapomniałem ci powiedzieć! – zawołał Jonathan, osłaniając dłonią oczy od słońca. – Dziś rano Terry wyjechał z miasta.

Ta wiadomość zmartwiła Arabellę. Gdyby cokolwiek się zdarzyło, potrzebowałaby go.

– Dlaczego? – spytała.

– Przyjechał po niego jakiś robotnik z Wangaratta Station. Podobno znaleźli martwe zwierzęta z jego trzody i myślą, że zrobili to Aborygeni.

– Ależ to nie ma sensu! Aborygeni mogą znaleźć w buszu tyle jedzenia, ile tylko chcą – powiedziała.

Sami by przecież głodowali, gdyby miejscowi Aborygeni nie znajdowali im jedzenia... a przecież Wangaratta Station nie może być miejscem bardziej wrogim niż Marree!

– Wiem, ale Terry mówił, że czasem chcą upolować młodego wołu. Pewnie to duża pokusa, skoro i tak polują. Farmerzy przymykają oczy, kiedy ukradną im jednego czy dwa woły na rok, ale jeżeli jest tego więcej, chcą, by ktoś położył temu kres. Podczas suszy każde zwierzę jest na wagę złota. Terry wspominał, że chcieli od razu udać się do Aborygenów, ale na szczęście przysłali po niego.

Jonathan zauważył, że Arabella nie jest zadowolona z nieobecności policjanta w mieście. Wiedział też, że to, co jej teraz powie, jeszcze mniej ją ucieszy.

– Arabello. Stuart pojechał razem z Terryem.

Uważnie obserwował jej reakcję.

– Tak? – Była zdziwiona i rozczarowana. – Po co?

– Stuart spędził trochę czasu wśród ludzi z plemienia Kuarna, a właśnie ich się podejrzewa, że kradną woły.

– Nie wiedziałam o tym – rzekła Arabella.

– Ani ja – potwierdził Jonathan. – Ale nie powinniśmy się dziwić: przecież opowiadał nam o sobie bardzo niewiele... – Jonathan zdawał sobie sprawę, że to złośliwe z jego strony, ale miał nadzieję, że dał jej do myślenia. Nie dodał jednak, iż tubylcy z plemienia Kuarna wyrażali się o poszukiwaczu złota z wielkim uznaniem. – Terry uważał, że Stuart może być łącznikiem między Aborygenami a farmerami... Inaczej mogą z tego wyniknąć jeszcze większe kłopoty, ktoś nawet może zginąć...

Arabella wolałaby, żeby Terry zabrał ze sobą Wally'ego, który w dalszym ciągu traktował ją z pogardą.

– Czy Stuart zabrał ze sobą Bess?

– Nie, pojechali na wielbłądach, a z nimi jeszcze jeden afgański poganiacz. Jestem pewny, że przez te kilka dni nic się nie wydarzy; w razie czego Rita ci pomoże.

Miał nadzieję, że to ją pocieszyło.

Skinęła głową i spróbowała się uśmiechnąć. Ale jeżeli Rita się upije, nie będzie żadną pomocą!

Arabella patrzyła za odjeżdżającymi, po czym poszła na górę umyć się i położyć. W hotelu byli tylko Ted i Wally, który w tej chwili siedział w barze i gadał.

Spała o wiele dłużej, niż zamierzała. Zbudził ją hałas: w barze odbywała się awantura. Słońce właśnie zachodziło. Błyskawicznie narzuciła ubranie i zbiegła po schodach zobaczyć, co się dzieje.

Ted stał za barem, a Wally tkwił nadal na tym samym stołku, na którym siedział, kiedy szła się położyć, tyle że teraz był już zupełnie pijany. Z niesmakiem zobaczyła stojącą za nim Ritę. Na barze stała cała bateria pustych szklanek. Było jasne, że Rita też się upiła, a Wally lada chwila spadnie ze stołka.

– O nie! – jęknęła Arabella. Koszmarny sen okazał się rzeczywistością. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyślić, że Rita i Wally odbywają pojedynek pijaństwa i że to raczej Wally jest przegrany; w każdym razie jego stan na to wskazywał. Jako że niedawno był ranny i bardzo schudł, nie był w stanie wytrzymać konkurencji.

W rogu baru siedziały przy stoliku Lily i Missy, i jeszcze dwie nieznanome Aborygenki. Stały przed nimi drinki. Kiedy Arabella weszła, ze wstydem spuściły głowy, a obce dziewczyny wymknęły się chyłkiem.

– Co tu się dzieje? – ostro spytała Arabella.

Les Mitchell namawiał właśnie Wally'ego na jeszcze jedną kolejkę.

– Postawiłem funciaka na ciebie, Jacko! Nie pozwól mi przegrać! – dowodził.

– Ten durny białas myśli, że przebije Ritę – wybełkotała do Arabelli ta ostatnia. Oczy miała wytrzeszczone tak, że widać było białka, przez co robiła wrażenie szalonej. – Mowy nie ma, stary! – zawołała, klepiąc Wally'ego po plecach tak mocno, że niemal zepchnęła go ze stołka.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – zwróciła się Arabella do Teda, którego wygląd zdradzał, że też wypił więcej niż jedno piwo.

Wzruszył ramionami.

– A niby po co? – zapytał, nalewając kolejne drinki Wally'emu i Ricie.

– Dosyć tego! – krzyknęła Arabella. – Nie widzisz, że ci dwoje mają dość? – Wally nie powinien był pić. Czekala go przecież rozprawa w sądzie. To był warunek, który postawił mu Terry.

– Tylko się troszkę zabawiliśmy... nic złego... – bąknął Ted.

Wally podniósł do ust pełną szklankę, to samo zrobiła Rita.

– Skol, skol, skol! – krzyknęli razem Ted, Les i dziewczyny. Wally i Rita opróżnili jednym haustem swoje szklanki. Z warg spływała im piana z piwa i kapała na przemoczone koszule, ale żadne z nich nie

zwracało na to uwagi. Jednocześnie z trzaskiem odstawili szklanki na bar. Rita z okrzykiem triumfu zażądała kolejnego piwa, przy czym głośno się jej odbiło. Wally chciał zrobić to samo, ale nagle bardzo powoli się pochylił i walnął głową w blat baru. Stracił przytomność i zaczął powoli zjeżdżać ze stołka. Arabella z obrzydzeniem, instynktownie starała się go złapać. Jednak ten bezwładny ciężar był dla niej za duży. Wally z hukiem wyładował na podłodze. Popatrzyła z gniewem na Lesa, wściekła, że stoi i nic nie robi, by ratować swojego kumpla. Zanim zdołała coś powiedzieć, Rita wrzasnęła:

– Wygrałam!

Arabella po prostu nie mogła uwierzyć, że dla Rity tylko to się liczyło.

– A mówiłam że jestem lepsza w picciu niż ty! – wołała Rita, pochylając się nad Wallym, który – rzecz jasna – nie mógł jej słyszeć. Triumfalnie machała nad nim palcem, a mężczyzna głośno chrapał.

– Na Boga! – rzekł Les ze złością do leżącego bezwładnie Wally’ego. – Aleś nas zawiodł, koleś!

Z żalem wcisnął Ricie do ręki banknot funtowy; tamta porwała pieniądze i zaczęła skakać, wyjąc z radości. Jej potężna postać trochę się chwiała. Arabella obawiała się, że kobieta też się przewróci, i na wszelki wypadek skuliła się w kąciку, nie wiedząc, w którym miejscu będzie bezpieczna. Na szczęście Ricie udało się ustać na nogach.

Lily i Missy wrzeszczały na cześć Rity, która zupełnie bez skrępowania zaczęła szperać między ogromnymi, zalanymi piwem piersiami, żeby znaleźć bezpieczne schronienie dla swojego banknotu. Potem, zataczając się, podeszła do ich stolika. Dziewczyny gratulowały jej w nadziei, że będzie dla nich hojna.

Arabella była naprawdę rozgniewana. Przez tyle tygodni kurowała ranę Wally’ego i w końcu zaczął dochodzić do zdrowia, była więc oburzona, widząc go w tak żalonym stanie. Wiedziała, że nie ma sensu złościć się na Teda czy Lesa, bo też byli pijani, zwróciła więc całą uwagę na Ritę i podeszła do niej.

– Uważam, że powinnaś stąd wyjść – powiedziała spokojnie – i zabrać ze sobą Lily i Missy.

Ciągle jeszcze była trochę zaspana i nie pomyślała o konsekwencjach, jakie mogło mieć wyproszenie Rity z baru.

– O czym ty mówisz, panienka? – rzekła Rita. – Ja teraz zagram na fortepianie dla moich kumpelek!

Arabella zrozumiała, że mówi o dziewczynach – Aborygenkach – i aż zamrugnęła, zaskoczona. Rita zwykle okropnie się wstydziła swojej gry, co było dziwne, ale prawdziwe. Arabella doszła do wniosku, że stan upojenia alkoholowego dodał Ricie pewności siebie (która zresztą nie miała nic wspólnego z umiejętnościami). Tyle że Arabella nie miała pojęcia, jak ma to zakomunikować Ricie.

– Nie dziś wieczorem, Rito – rzekła wreszcie. Oprócz tego, że nie miała dziś nastroju do dawania lekcji muzyki, a zresztą była zmęczona i głodna, nie chciała też robić z siebie pośmiewiska.

– Ja chcę grać! Teraz! – wrzasnęła Rita, idąc w kierunku salonu.

Arabella poszła za nią, starając się jej wytłumaczyć, że dzisiaj nie może jej udzielić lekcji. Czuła, jak zaczyna ją boleć głowa.

Rita, nie zwracając na nią uwagi, podniosła pokrywę fortepianu i opadła na stołek; omal się z niego nie ześliznęła. Arabella nie zauważyła, że pod ciężarem Rity jedna noga stołka się wygięła; Rita też tego nie widziała. Ze śmiechem zaczęła walić w klawisze mocniej niż kiedykolwiek, robiąc straszny hałas.

– Skończ z tym koszmarnym hałasem, babo! – ryknął Les z baru.

Arabella usłyszała jego głośny jęk, Ted także zrobił jakąś niegrzeczną uwagę, ale Rita świetnie się bawiła, nie zwracając uwagi na otoczenie.

– Nie wal tak mocno w klawisze – błagała Arabella, niestety bezskutecznie. Nadal śpiąca i zmęczona, zasłoniła w końcu uszy rękami, podczas gdy Rita nie przestawała tłuc w klawiaturę.

Zdaniem Arabelli to, co robiła Rita, było maltretowaniem pięknego instrumentu. Nie mogła już tego wytrzymać. Nerwy miała kompletnie zszargane; z rozpaczą pragnęła, żeby Jonathan już wrócił. Jak można

było od niej wymagać radzenia sobie z pijakami?

W końcu straciła panowanie nad sobą.

– Na litość boską! Przestań! – wrzasnęła.

Rita spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Tak się nie gra! – nieomal darła się Arabella. – Żeby zagrać prawidłowo, powinnaś delikatnie poruszać palcami po klawiaturze. Czy, kiedy ja gram, tak to brzmi? Zrozum to, Rito! Nigdy nie nauczysz się grać, więc przestań walić w klawisze, zanim je połamiesz!

Rita wpatrywała się w nią wytrzeszczonymi oczyma: dobrą chwilę trwało, zanim te słowa do niej dotarły. Wreszcie powoli się podniosła. Po raz pierwszy jej potężna postać nie przeraziła Arabelli. Dziewczyna była zanadto zmęczona, zdenerwowana i rozgniewana, żeby zauważyć, jaka tamta jest napastliwa. Złękła się dopiero, kiedy Rita przepchnęła się obok niej w kamiennym milczeniu. Zawołała dziewczyny, żeby szły za nią.

Wreszcie wyszła z hotelu i Arabella dopiero wtedy zrozumiała, co zrobiła.

Przez kilka chwil stała, milcząc i przypominając sobie, co powiedziała. A kiedy to do niej w końcu dotarło, jęknęła.

– O nie! Gdzie ja miałam rozum?

Zdawała sobie sprawę, że obrażenie Rity było gorsze niż kłótnia z Wallym. Aborygenka była nieprzewidywalna nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. A kiedy Arabella zdała sobie sprawę, że nie ma w tej chwili w nikim oparcia, zrobiło jej się słabo. Na Tedzie i Lesie nie można było polegać. I nie tylko to: Rita czasami była przydatna, czego nie można było powiedzieć o Wallym.

Spojrzeła na Wally'ego, Teda i Lesa. Była zła na siebie, ale przez to jeszcze bardziej rozgniewana na nich. Podeszła do baru: z każdym krokiem ogarniała ją większa furia.

– Wy dwaj macie teraz zabrać tę żalostną imitację człowieka z hotelu. Niech się tu już więcej nie pokazuje! – Aż ją skręcało na myśl, ile razy biegała na górę, żeby mu zmienić opatrunek, zanieść jedzenie czy picie! – Skoro czuł się na tyle dobrze, żeby się doprowadzić do takiego stanu, to na pewno da sobie radę w domu Frankiego Millera. A hotel i bar jutro będą zamknięte. Nie mam zamiaru tego powtarzać dwa razy! – Oskarżycielsko wskazała palcem rozciągniętego na podłodze Wally'ego.

– Nie może pani tego zrobić... – zaczął Les z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że mogę. Teraz rządzą tutaj Jonathan i ja, a kiedy jego nie ma, ja decyduję.

– Zamknięcie baru nie będzie dobre dla interesu – wtrącił Ted.

– To i tak nie ma znaczenia – ucięła. – Czy Wally i Rita zapłacili za te wszystkie piwa podczas pojedynku? A Aborygenki? Zapłaciły za swoje drinki? – Obrzuciła spojrzeniem Teda, nadal stojącego za barem: wyglądał na zawstydzonego i pełnego winy. – Uważam, że wy wszyscy możecie tylko zaszkodzić naszym interesom – stwierdziła.

– Właściwie... to zapisywaliśmy na rachunek... Ale zapłacimy... w końcu – wycofywał się Les.

– Więc jutro nie weźmiecie niczego na kredyt! – rzuciła Arabella. – Drzwi będą zamknięte!

Z tymi słowami pomaszerowała do kuchni wziąć coś do zjedzenia. Słyszała, jak Les i Ted z trudem dźwigają Wally'ego i jak go wloką za sobą.

Nic jej to nie obchodziło, byle tylko stąd wyszli.

Po zjedzeniu kawałka chleba z dżemem zamknęła drzwi hotelu i poszła na górę. Planowała nacieszyć się odrobiną samotności. To jej da czas do namysłu. Mężczyźni i Rita będą ją musieli przeprosić, zanim ich znowu wpuści do hotelu. Ciągłe myślała o Maggie i zastanawiała się, jak tamta potrafiłaby opanować podobną sytuację? Była przekonana, że co jak co, ale Maggie nie zrobiłaby nic niemądrego.

Zanim się położyła, wykorzystała tę chwilę spokoju i ciszy na zrobienie kilku notatek na temat koncertu wigilijnego. Spisała stoiska, o których wspomniała Moira, zrobiła też listę utworów

muzycznych, które miała zamiar wykonać podczas koncertu. Nigdy dotychczas nie grała dla tak licznej publiczności. Próbowwała sobie wyobrazić, jak postąpiłaby w takiej sytuacji jej matka. Clarice zawsze się odznaczała spokojem i pewnością siebie, czego Arabella jej zazdrościła. Bardzo pragnęła naśladować jej swobodę i sprawić, by matka była z niej dumna. Ale przede wszystkim myślała, że w ten sposób odpłaci się Maggie i Tony'emu za okazaną jej dobroć. Pamiętała, jak Tony początkowo uważał, że Arabella ich wykorzystuje – i teraz chciała go przekonać, jak bardzo się mylił.

Nie wiadomo kiedy na tych rozważaniach upłynął jej czas; a że zaczęła ziewać, postanowiła się położyć. Pomyślała jednak, że powinna jeszcze przed snem sprawdzić, czy wszystkie okna i drzwi na dole są pozamykane. Kiedy to zrobiła i wchodziła powoli po schodach, usłyszała stłumione odgłosy, które wydawał stary hotel.

A jednak, gdy była sama, te hałasy wydały jej się głośniejsze i budziły większy strach. Przypomniała sobie, jak Maggie mówiła, że metalowy dach wydaje dziwne dźwięki, kiedy się rozgrzewa w słońcu, a potem ochładza nocą... ale czy to było tylko to? Odgłosy dochodziły z obu stron hotelu, od frontu i tyłu... Zaczęła się zastanawiać, czy to czasem nie Wally próbuje ją znowu nastraszyć. Upewniła się, że nie mógłby wejść.

Już na górze pozamykała wszystkie drzwi, z wyjątkiem swoich drzwi na balkon. Przez chwilę stała na nim. Robiło się ciemno; w oddali widziała światło w oknie domku Frankiego Millera. Poza tym miasto robiło wrażenie opustoszałego. Zdecydowała, że idzie do łóżka. Im wcześniej zaśnie, tym prędzej przyjdzie świt.

Niestety, połowa nocy upłynęła jej na dygotaniu pod prześcieradłem, zanim w końcu zasnęła. A o świcie obudziła ją sroka. Usiadła na balkonie i skrzeczała.

– Wynoś się! – opryskliwie zawołała Arabella. Ptak odfrunął na wysokie drzewo.

Arabella wstała i zeszła na dół. Pusty hotel wydał jej się niesamowicie cichy, ale próbowała opanować strach i zabrać się do porannych obowiązków, które musiała codziennie wykonać.

Przede wszystkim nakarmiła kurczęta, następnie poszła dać jeść kłaczy Stuarta i małemu Uriemu. Była ciekawa, czy Stuart i Terry niedługo wrócą. Wielbłąd jadł teraz paszę razem z Bess, więc Paddy nie musiał już przynosić mleka. Nadal jednak maluch był bardzo związany z cierpliwą kłaczą. Arabella pamiętała, co Faiz mówił o potrzebie umieszczenia go razem z innymi młodymi wielbłądami i o tym, że powinien zacząć się uczyć; wiedziała, że będzie za nim strasznie tęsknić i że on będzie tęsknił za Bess.

Kiedy karmiła wielbłąda, konia i kurczęta, cały czas wyglądała, czy mężczyźni, Rita i dziewczęta nie idą w stronę hotelu. Uważała, że powinni tu przyjść, choćby tylko po to, żeby ją przeprosić za swoje zachowanie...

Niestety, nikogo nie było.

– Wrócą tu! – mówiła sobie. – Nie wytrzymają długo bez piwa!

Ale dzień upływał, a w hotelu nikt się nie pokazał. Arabella myślała o jakimś pretekście do wyjścia na zewnątrz, chociaż nie chciała się przyznać, że ma po prostu nadzieję kogoś spotkać.

Miasto wyglądało jak wymarłe – prawdopodobnie nie bardziej niż zwykle, ale samotność sprawiała, że Arabella dotkliwiej to odczuwała. Nie chciała iść do zagród z wielbłądami, bo nie było tam dziś Paddy'ego, a nie miała pieniędzy, żeby wybrać się na bazar i spotkać Mohometa Basheera; spędziła zatem długie godziny sama w hotelu. Wymyła i odkurzyła bar, starając się to robić równie porządnie jak Maggie. Było bardzo gorąco, a przy pracy pot lał się z niej strumieniami, ale zajęcia przynajmniej wypełniały jej czas.

W końcu nadszedł wieczór. Nikt nie przyszedł na drinka. Arabella nie miała ochoty rozpalać w piecu ani grzać rusztu tylko po to, żeby usmażyć dwa jajka, poprzestała więc na chlebie z serem na kolację. Znalazła w komodzie kilka książek, siadła na balkonie na krześle i czytała. Właściwie wiatr nie dawał



uczucia chłodu, ale kiedy była na piętrze, miała wrażenie, że jest trochę chłodniej; poza tym miała stąd doskonały widok na całe miasto. Kiedy słońce zniknęło za horyzontem, nie było już tak jasno, żeby mogła czytać, weszła więc do środka. Już wcześniej wlała resztkę paliwa do generatora. Nie wiedziała, na jak długo jej to starczy, miała tylko nadzieję, że jutro wróci Jonathan – inaczej ta odrobina piwa, jaką jeszcze dysponowali, może się zagrzać. Koło ósmej znowu wyszła na podwórze za hotelem, zajrzała do Bess i Uriego; nagle usłyszała, jak motor generatora parsknął, kaszlnął i zamarł.

Światło nad tylnym wyjściem z hotelu także zgasło.

– O nie – jęknęła.

Wiedziała, że nie ma sensu otwieranie beczki z paliwem, bo było zbyt ciemno, żeby tam zajrzeć. Wróciła powoli do hotelu i sprawdziła, czy wszystko jest zamknięte, po czym wdrapała się na schody i poszła do siebie. Padła na łóżko i zwinęła się w kłębek. Chciało jej się płakać: nagle poczuła żal do siebie. Starła się jednak powstrzymać łzy, wsłuchując się w dziwne dźwięki budynku. Po każdym takim odgłosie próbowała dociec, co też jest jego przyczyną? Drzwi jej pokoju były otwarte, mogła więc widzieć cienie na korytarzu. Serce tłukło się w jej piersi ze strachu, a wyobrażenia wymykała się spod kontroli. Czy te cienie się ruszały? Nagle zdała sobie sprawę, że nigdy dotąd nie była tak zupełnie sama – no, może tylko wtedy, kiedy błąkała się po pustyni. Kiedy rodzice szli na jakieś przyjęcie, zawsze wiedziała, że gdzieś w domu jest gospodyni... Przyszła jej na myśl Rita i inne Aborygenki. A co będzie, jeżeli obraziła Ritę tak bardzo, że tamta zechce się zemścić? A co jeśli wyśle innych Aborygenów, żeby zrobili jej krzywdę?

Arabella usiadła na łóżku i w myślach się zganiła. Nie myśli racjonalnie, dobrze o tym wiedziała. Rita nie będzie szukać odwetu. Była na to za dumna.

Nagle usłyszała hałas na tylnym podwórzu. Nie żadne trzaśnięcie: to było uderzenie, a po nim jakiś szybki odgłos.

Aż ją zatkało z przerażenia. Ktoś usiłował przekreślić gałkę w drzwiach. Pewnie Wally. Wiedział, że jest sama, że nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Wykorzystał tę okazję, żeby się z nią porachować! Serce zaczęło jej bić jak młotem. Cichutko zeszła po schodach, cały czas nasłuchując. Kiedy już była przy drzwiach do kuchni, mogła dostrzec okno i jakiś cień, który tam przemknął. Zakryła dłonią usta, by nie krzyknąć. Po chwili cień zawrócił i próbował otworzyć okno. Arabelli ze strachu wyszło w ustach, z gardła wydobył się zduszony jęk. Nagle bardzo się ucieszyła, że pozamykała wszystkie okna i drzwi. Kiedy nieznajomy cień znowu się ruszył, pewnie po to, żeby spróbować otworzyć inne wejście, przemknęła na czworakach przez kuchnię, krzywiąc się, kiedy deski trzeszczały.

– Co mam teraz zrobić? – szepnęła. – Och, Jonathanie! Gdybyś tu teraz był!

Nagle zapragnęła także, żeby i Stuart spał w hotelu. Pomógłby jej. Sama myśli, że Wally chce ją nastraszyć, kiedy tkwi tu samiotka, tak ją rozgniewała, że sięgnęła po patelnię.

– Nie zachowam się jak tchórz – powiedziała. – Pokażę Wally'emu, gdzie raki zimują!

Obserwowała, jak ciemny kształt znowu porusza się pod oknem, i przekreśliła klucz w tylnych drzwiach. Otworzyła je. Skrzypnęły cicho; była pewna, że intruz musiał to usłyszeć. Czekwała. Stała za drzwiami z patelnią podniesioną nad głowę i wstrzymała oddech. Była przerażona, ale starała się zachowywać tak cicho, jak mogła. Usłyszała jakiś dźwięk na zewnątrz; myślała, że zemdleje ze strachu.

Znowu ktoś poruszył klamką, po czym drzwi zaczęły się pomału otwierać.

Arabella zamarła; wreszcie ciemna postać powoli weszła do środka. Mężczyzna był tak blisko, że czuła zapach jego potu. Kiedy już mogła dostrzec głowę, z całej siły zamachnęła się patelnią. Usłyszała głośny łoskot, jęk, po czym mężczyzna padł na podłogę. Arabelli aż się zakreśliło w głowie, taką poczuła ulgę! Drżąc jak liść herbacianego drzewa, przekroczyła leżące ciało, po czym dosłownie rzuciła się na drugą stronę kuchni.

– Co teraz robić? – pytała samą siebie.

Mogła dać Wally’emu nauczkę, ale co teraz ma z nim zrobić? Nie było Terry’ego, który mógłby go zamknąć do więzienia...

Nagle sobie przypomniała, że przy piecu leży pudełko zapalek. Zaczęła macać w ciemnościach, wreszcie je znalazła. Zapaliła jedną i podniosła wysoko, żeby zobaczyć twarz Wally’ego. Może go zabiła. Zobaczyła ciemną czuprynę i zmarszczyła brwi. To nie były włosy Wally’ego.

Podeszła bliżej. Obeszła leżącego, przyklękła nad nim i przysunęła zapaloną zapalną blisko jego twarzy.

Krzyknęła i upuściła zapalną.

– Jonathan! – zawołała. – O nie! Co ja narobiłam?

# Rozdział dwudziesty trzeci

---

Jonathan jęknął; Arabella zrozumiała, że nic mu się nie stało.

– Co u diaska robisz? Dlaczego tak mnie wystraszyłeś? – parsknęła nieprzyjemnie.

Była zadowolona, że go widzi, ale to uczucie tłumił gniew. Przecież przeraził ją tak, że omal nie umarła!

– No... nie takiego powitania się spodziewałem – powiedział Jonathan, podnosząc się i krzywiąc z bólu.

– Myślałam, że to... jakiś intruz – rzekła Arabella, zbyt zawstydzona, by się przyznać, że się bała wizyty Wally'ego albo Aborygena nasłanego przez Ritę. Poza tym było jej strasznie przykro, że go uderzyła...

Jonathan był oszołomiony i zdezorientowany.

– Intruz! – powtórzył. – Znasz przecież wszystkich w tym mieście. – Nagle sobie przypomniał jej kłopoty z Wallym. Na pewno nadal jej to nie dawało spokoju. – Przepraszam, że cię wystraszyłem, ale dlaczego tutaj nie ma światła? – Nie było tak znowu późno.

– Generator przestał działać jakąś godzinę temu – wyjaśniła. – A dlaczego się tak skradałeś wokoło domu?

– Próbowałem się dostać do środka – powiedział, sądząc, że to chyba oczywiste. – Zazwyczaj o tej porze drzwi jeszcze nie są zamknięte.

– Wiem, ale... a dlaczego nie zapukałeś ani nie zawołałeś? – Arabella sądziła, że to byłoby praktycznym wyjściem z sytuacji.

– Zauważyłem, że światła są pogaszone, więc sądziłem, że wszyscy śpią. Nie chciałem nikogo budzić, więc sprawdzałem, czy jakieś okno albo może drzwi są otwarte.

– Ani przez moment mi nie przyszło do głowy, że to możesz być ty! Jakim cudem wróciłeś tak wcześnie?

– Chciałem być z powrotem jak najprędzej, więc Paddy i ja jechaliśmy nocą. Myślałem, że się ucieszysz, że wróciłem...

– Och, Jonathanie, ciesz się! – zawołała. Cieszyła się, nawet bardzo! – Tylko śmiertelnie mnie wystraszyłeś. Nic ci nie jest?

– No cóż... głowa mnie trochę boli, ale mam nadzieję, że przeżyję. Ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałem, było że dostanę patelnię w łeb. Ale... jeżeli się bałaś, to dlaczego nie zawołałaś Wally'ego?

– Nie ma go tutaj – wyznała niechętnie.

Nie chciała powiedzieć, że ten, którego tak się bała, to właśnie Wally!

– Nie ma? Jak to? Powinien być cały czas w hotelu! Terry nie będzie chyba zachwycony, że Wally wyszedł bez powiadomienia go. Dokąd poszedł?

– Oj, nie mógł przecież zajść daleko, prawda? Jest u siebie, w domu Frankiego Millera.

– Ale... nic nie rozumiem... – Jonathan pocierał guz na głowie. – Przecież kiedy odjeżdżałem, był tutaj i wyglądał całkiem nieźle. Dlaczego nagle wrócił do domu?

– Bo go wyrzuciłam.

Jonathan szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, więc uznała, że należy mu się wyjaśnienie.

– Wczoraj, kiedy poszłam na górę odpocząć, Wally i Rita urządzili sobie w barze konkurs, kto więcej wypije; skończyło się na tym, że Wally upadł na podłogę, kompletnie pijany. Po tym wszystkim, co dla

niego zrobiłam... Wściekłam się. W dodatku Les i Ted jeszcze go zachęcali; zakładali się i stawiali na niego. Kazałam im go stąd zabrać do domu.

– Och... – Jonathan zaczynał powoli wszystko rozumieć. – Myślałem, że podczas mojej nieobecności nic się nie wydarzy, ale najwyraźniej się myliłem! – Był trochę zły na mężczyzn, przecież prosił ich, żeby pomogli Arabelli i się nią zajęli.

– Powiedziałam Tedowi, Wally'emu i Lesowi, że dzisiaj hotel będzie zamknięty, więc nikogo tu nie było. I wzięłam cię za... Wally'ego; myślałam, że chce się włamać do środka.

– Wiesz, nie myślę, żeby Wally mógł zrobić coś takiego.

– Bo ty nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny! – wybuchnęła. Po chwili pożałowała własnych słów.

– Wiem, że kiedy cię porwał, przeraził cię śmiertelnie, ale nie przypuszczam, że mógłby zrobić jeszcze raz coś tak głupiego.

Jak Jonathan mógł być tak naiwny! Ale nie miała ochoty dalej tego roztrząsać.

– Myślałam, że dziś znowu tu przyjdą na piwo... ale nie przyszli.

– Och, na pewno zjawią się już jutro. Nie wytrzymają bez zimnego piwa w tym upale – stwierdził Jonathan, wstając z podłogi. – Lepiej naładuję teraz generator.

– O! Więc Bob Maxwell dał ci trochę paliwa – ucieszyła się Arabella.

– Tak! Dał mi też tę część, której potrzebowałem. Ten generator trochę przecieka i dlatego paliwa nie starcza na długo. Mam nadzieję, że ta część, którą przywiązałem sznurkiem, nie pękła całkiem, bo po ciemku nie dam rady jej naprawić.

– To przecież może poczekać do rana. Na razie znajdę jakieś świece. Powinieneś odpocząć. Musisz być strasznie zmęczony!

– Najpierw sprawdzę, czy generator będzie działać, jeżeli naleję trochę paliwa.

– Mam ci przynieść zapałki, żebyś widział, co robisz?

– Na Boga, nie, Arabello! To niebezpieczne, palić zapałki blisko paliwa, zwłaszcza że generator przecieka!

Arabella nie pomyślała o takim niebezpieczeństwie; nagle poczuła, jak wdzięczna jest losowi, że Jonathan wrócił. Zawsze był taki zrównoważony i rozsądny.

Po dziesięciu minutach w hotelu zabłyśły światła, a Jonathan się rozkoszował kuflem piwa i kanapką z serem. Wlał do generatora tyle paliwa, żeby starczyło na parę godzin, i planował już o świcie naprawienie przecieku.

– Tak jakoś dziwnie... że jesteśmy tu zupełnie sami – powiedział, kiedy Arabella usiadła w barze obok niego.

Dziwnie, ale bardzo przyjemnie, pomyślał.

– Wiem. Naprawdę myślałam, że Ted i reszta tu dzisiaj przyjdą, że mnie poproszą, żebym zmieniła zdanie i otworzyła hotel. Nawet – głupia! – miałam nadzieję, że mnie przeproszą. Muszą się na mnie bardzo gniewać...

Smutnie spuściła głowę.

– Nie martw się, Arabello! – pocieszył ją Jonathan. – Jutro zapomną o wszystkim.

– Nie byłabym taka pewna, Jonathanie...

Pomyślała o Ricie.

Jonathan nagle zaczął podejrzewać, że Arabellę martwi jeszcze coś więcej.

– Zdarzyło się coś jeszcze?

– Tak – westchnęła. – Rita, zupełnie pijana, chciała grać na fortepianie.

– O Boże...

Słyszał już przedtem próbki jej gry. Nie było to nic pięknego.

– Zaczęła robić straszny raban, tłukła w klawisze, więc jej kazałam przestać. Pewnie powinnam była okazać więcej cierpliwości, ale naprawdę, myślałam, że rozwali fortepian! Dzisiaj odkryłam, że wygięła jedną z nóg stołka.

I tak cud, że się całkiem nie połamał pod jej ciężarem!

Jonathan współczuł Arabelli.

– Nie wiem, jak mogłaś być tak długo cierpliwa, Arabello! Rita musi zrozumieć, że nigdy nie będzie grała na fortepianie!

– Tak jej też powiedziałam, w dodatku niezbyt grzecznie... ale pewnie tego nie pamięta – z nadzieją w głosie rzekła Arabella. – Była naprawdę pijana.

– Widziałaś ją dzisiaj?

– Nie. Jak ci już mówiłam, nie widziałam dziś żywego ducha. Już zaczynałam myśleć, że jestem jedyną osobą w tym mieście, kiedy ty się pojawiłeś.

– Potrzebna nam będzie pomoc ludzi z Marree, jeżeli ta impreza ma się udać – przypomniał jej.

– Wiem... – Zasmuciła się na myśl, że Jonathan się na niej zawiodł. – Powinnam przeprosić Ritę. Cały dzień o tym myślałam. Byłam dla niej naprawdę za ostra.

Jonathan zastanowił się nad sytuacją Arabelli.

– Chyba nie powinnaś jej przeproszać – stwierdził w końcu.

Szeroko otworzyła oczy.

– Dlaczego?

– Rita jest bardzo dumna. Myślę, że będzie najlepiej, jeżeli w ogóle nie wspomnisz, że coś się wydarzyło. Na szczęście bardzo możliwe, że niewiele pamięta, skoro była taka pijana, więc chyba byłoby dobrze nie poruszać tego tematu i nie robić jej wstydu.

– Musi pamiętać... inaczej przyszłaby dziś tutaj.

– Niekoniecznie. Mogła się dzisiaj źle czuć.

O tym Arabella nie pomyślała.

– Może masz rację, Jonathanie! Mogła się rozchorować po takiej ilości piwa! Maggie jej zawsze mówi, że powinna przestać.

– A widzisz. Prawdopodobnie nic nie pamięta.

– Ale co będzie, jeżeli jednak pamięta? Sam mówisz, że potrzebna nam pomoc ich wszystkich. Wally, Les i Ted są na pewno źli na mnie, inaczej by tu dzisiaj byli.

– Przecież im powiedziałaś, że hotel i bar będą zamknięte, więc pewnie ci uwierzyli i dlatego się nie pokazali. Bogiem a prawdą zasłużyli na to, ale jestem przekonany, że się zmartwili wobec perspektywy braku zimnego piwa przy takim upale.

– Tak, pewnie tak... – przyznała Arabella.

Zaczynała wątpić w słuszność swoich działań.

– No nic! Zobaczymy, co będzie jutro, kiedy już się pozbędą kaca i poczują, że oddaliby życie za odrobinę piwa.

Arabella nigdy w życiu nie była równie uradowana. Jonathan już był z powrotem!

– Och, Jonathan... ty zawsze wiesz, jak mnie pocieszyć – rzekła. – Nawet wtedy, kiedy na to nie zasługuję. Nie wiem, co zrobiłabym bez ciebie!

– Ależ... ja dla ciebie zrobiłbym wszystko, Arabello – powiedział serdecznie. – Chyba o tym wiesz?

Zarumieniła się. Chciała mu powiedzieć, że boi się opuścić Marree, bo za bardzo by za nim tęskniła... ale słowa jakoś nie przychodziły.

Opuściła tylko głowę i ziewnęła.

– Jesteś zmęczona – powiedział cicho.

– Nie!

Strasznie się zawstydziła swojego niegrzecznego zachowania.

– Ależ tak, jesteś! Zresztą ja także. Lepiej chodźmy spać.

Kiwnęła głową i oboje ruszyli na górę po schodach.

Kiedy każde z nich już stało przy swoich drzwiach, oboje się na chwilę zatrzymali, niepewni.

– Ruth Maxwell pytała o ciebie – powiedział wreszcie Jonathan. – Mówiłem jej, że pojechałaś do Fariny i że Moira Quiggley ma ci pomagać w wigilijnej imprezie.

– Och... no, i co ona na to?

Jonathan przez chwilę szukał właściwych słów.

– Powiedziała, że Moira zna dosłownie wszystkich w promieniu setek kilometrów, tak że może być dla ciebie wielką pomocą. – Właściwie Ruth powiedziała, że Moira to najbardziej ciekawska i wścibska osoba, jaką zna, która po to, żeby wetknąć nos w cudze sprawy, gotowa jest się w nich zakopać po uszy!

– I powiedziała, że Moira będzie idealna do urządzenia stoisk. – Ruth użyła co prawda określenia „apodyktyczna”, ale Jonathan uznał, że lepiej będzie, jeżeli na razie to zachowa dla siebie. Arabella miała i tak dosyć kłopotów i naprawdę była zadowolona, że może liczyć na pomoc Moiry.

– Nawet z pomocą Moiry mam wrażenie, że grunt mi się usuwa spod nóg. Nigdy przedtem nie urządzałam nic podobnego.

Dopiero teraz zrozumiała, że dawne życie pod kloszem było jej własnym wyborem! Przecież oboje rodzice ją zachęcali i namawiali do wyjścia w świat, ale zawsze odmawiała. Wolała zostawać w domu, gdzie wszyscy się o nią troszczyli.

– Wystarczy, że pozwolisz Moirze robić to, co umie najlepiej, to znaczy urządzać stoiska. Ja zrobię wystawę swoich fotografii, a potem się zajmę barem i grillem... Ted mi pomoże. Cała reszta jakoś pójdzie. A ty musisz tylko zagrać na fortepianie... na pewno wszyscy słuchacze cię pokochają.

– Naprawdę tak myślisz?

– Ależ tak! Zrobimy wszystko, co się da, żeby pomóc Tony’emu i Maggie. Tylko to możemy zrobić.

– To się musi udać! Inaczej miasto Marree równie dobrze może być zdmuchnięte z powierzchni ziemi! Jonathan się uśmiechnął.

– Kiedyś, dawno temu, a może i nie tak dawno... uważałybyś, że to bardzo dobrze!

Też się uśmiechnęła, trochę zażenowana.

– Wiem – przyznała. – Dobranoc, Jonathanie! Jak to dobrze, że już wróciłeś!

Jonathan, wiedzony nagłym impulsem, zrobił krok do przodu i delikatnie ucałował jej usta.

– Dobranoc, Arabello – wyszeptał.

Następnego dnia Jonathan już od świtu był na nogach. Majstrował przy generatorze, umieszczonym za szopą na siano, w pewnej odległości od domu. Bob Maxwell mu pokazał, jak zdejmować i umieszczać na nowo tę część, którą trzeba było wymienić, więc nie zajęło mu to dużo czasu.

Właśnie wszedł do kuchni, żeby umyć ręce, kiedy Arabella zeszła na dół.

– Dzień dobry! – zawołał do niej radośnie. – Generator naprawiony.

Widziała, jaki był z siebie zadowolony.

– Cudownie! – powiedziała. Ciągle myślała o jego wczorajszym pocałunku. – Chcesz herbaty i grzanek?

Już samo to, że Jonathan jest w pokoju naprzeciwko, sprawiło, że poczuła się bezpieczna, więc tej nocy spała najlepiej od długiego czasu.

Uśmiechnął się ciepło.

– Chętnie.

Była szczęśliwa, że są tu tylko we dwoje, bez nikogo. To było coś, do czego już mogłaby przywyknąć, ale wiedziała, że ich samotność we dwoje wkrótce się skończy. Zresztą ciągle miała nadzieję, że klienci wrócą do hotelu – choćby ze względu na Maggie i Tony’ego.

Po śniadaniu zabrali się do zwykłych porannych zajęć. Kiedy wybiła dziesiąta, Jonathan już stał za barem. Zazwyczaj o tej porze już ktoś tu przychodził... ale minęło południe, a nadal nie było nikogo.

– Och, Jonathanie! – Arabella ze smutkiem spojrzała na zegar. – A co jeżeli nikt nie przyjdzie?

– Nie wierzę, żeby i dzisiaj się nie pokazali – odparł.

– A jednak... na to wygląda.

Siedli we dwójkę do lunchu i zjedli jajka na grzance.

Arabella czuła się gorzej niż kiedykolwiek. Wiedziała, że Tony byłby na nią wściekły: w końcu zraziła do siebie całe miasto! No, teraz już na pewno hotel Great Northern jest stracony.

– Podczas mojej nieobecności liczba jajek wydatnie wzrosła – zauważył Jonathan.

Rzeczywiście, na ladzie kuchennej stały ich dwie pełne miski.

– To dlatego, że nie ma nikogo, kto by je zjadł – odpowiedziała przygnębiona.

– Ale będziemy je musieli jakoś zużyć.

– Pamiętam, jak nasza kucharka robiła dla mojego ojca omlety. To całkiem łatwe. No i mamy ser i cebulę, więc mogłabym je przyrządzić, gdybyśmy mieli jakichkolwiek klientów...

To naprawdę byłby doskonały sposób na zużycie niezbyt świeżego sera, tyle że Arabella nie była w stanie sobie wyobrazić, że do hotelu przyjdzie jakakolwiek klientela!

– Wiesz, co by ich na pewno tu ściągnęło? – rzucił nagle Jonathan. – *Happy Hour!*

– A co to takiego?

– W dużych miastach bary organizują taką godzinę, kiedy wszystkie drinki są za pół ceny – odpowiedział. – I wtedy jest pełno gości. Sprzedają dwa razy więcej niż zwykle, więc nic nie tracą.

– I my moglibyśmy tak zrobić, prawda?

– Tak mi się wydaje... Wtedy coś zarobimy, co prawda niewiele.

– Ale... nie możemy sprzedać całego piwa, prawda?

– Możemy za te pół ceny podawać tylko mocne alkohole, a to piwo, jakie nam zostało, zachować na koncert.

– Dobry pomysł. Ale Ted mówił, że prawie wszyscy biorą na kredyt, więc tak naprawdę nie zbierzemy wiele pieniędzy – zastanowiła się Arabella.

– To prawda, ale w końcu nam zapłacą. Ci, co pracują na farmach, dostają wypłatę raz na miesiąc i wtedy oddają. Ted dostaje pieniądze od państwa co dwa tygodnie i wtedy większość jego zarobku idzie do Tony’ego. Fred Powell dostaje od swoich klientów pieniądze raz w miesiącu, wtedy przychodzi i płaci długi. Tak to działa.

Dla Arabelli to było coś całkiem nowego.

– A po *Happy Hour* klienci zostają dłużej? I piją dalej?

– Tak. To właśnie na tym polega. Piją bardzo dużo w czasie tej godziny, kiedy płacą tylko pół ceny, bo myślą, że to świetny interes; potem są już trochę zamroczeni i piją dalej. Na szczęście w mieście jest tylko garstka pijących, inaczej musielibyśmy wydzielać napoje albo zaryzykować, że wyczerpiemy wszystkie zapasy. – Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. – Widziałas może w hotelu tablicę?

– Widziałam – potwierdziła. – Leży w komodzie pod schodami, tam gdzie są szczotki i miotły. A co masz na myśli?

– Ile mógłby kosztować taki jeden omlet?

Zastanowiła się chwilę.

– Nie wiem, ile kosztuje karma dla kur – rzekła wreszcie.

– Niewiele – zapewnił Jonathan.

– Wobec tego sześć pensów, to byłaby dobra cena – odparła.

Jonathan wyszedł i po chwili wrócił z tablicą. Napisał na niej wielkimi literami:

*HAPPY HOUR – napoje za pół ceny (tylko mocne alkohole) od 5 do 6 po południu. Omlety po sześć pensów.*

– Co o tym sądzisz? – spytał Arabelli, patrząc z podziwem na swoje dzieło. – W ten sposób na pewno zdobędziemy chętnych na półdarmowe drinki, a zaoszczędzimy piwo. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

– Myślisz, że się uda, Jonathanie? – Arabella była przejęta. – Że klienci tu przyjdą?

– To jedyny sposób, żeby się dowiedzieć – odparł, wychodząc na zewnątrz z tablicą.

Ustawił ją w jednym rogu werandy, frontem do sklepu i poczty. Ponieważ ostatnio na poczcie było bardzo niewiele roboty, Fred zajmował się i pocztą, i sklepem.

Kiedy Jonathan wszedł z powrotem do hotelu, powiedział Arabelli:

– Wystarczy, że Fred Powell to zobaczy, a wiadomość rozejdzie się po całym mieście.

Po południu do sklepu wszedł Ted, chciał kupić zapałki i puszkę fasoli. Fred Powell zauważył, że Ted nie ma dobrego humoru.

– Co się stało? – spytał. – Wyglądasz, jakbyś właśnie upuścił i stłukł ostatnią butelkę piwa.

Fred był przed chwilą na poczcie sprawdzić, czy telegraf już działa – ale niestety.

– Nic! – wymamrotał Ted. – Cholernie gorąco, nie?

– Pewnie, że tak, ale to nic nowego – rzekł Fred. – Wybierasz się do hotelu na *Happy Hour*?

Ted się spieszył.

– O czym ty mówisz?

– Nie widziałeś wystawionego napisu?

– Jakiego napisu?

– Ojej, napisu na werandzie hotelu. Urządzają *Happy Hour* od piątej do szóstej, dziś wieczorem.

– Nie widziałem żadnego napisu. A w ogóle, co to jest *Happy Hour*?

– Na Boga, Ted! Chyba za długo siedzisz w buszu, chłopie! To znaczy, że dziś wieczorem, pomiędzy piątą a szóstą w barze hotelowym będą sprzedawali drinki za pół ceny i omlety po sześć pensów. Ja w każdym razie się wybieram!

– Ojejku! To niezły interes – zawołał Ted z entuzjazmem. – Wchodzę w to.

Przed piątą do baru hotelowego weszli Ted, Wally, Les i Fred. Całe pięć minut stali przed tablicą: chcieli się upewnić, czy nie ma w tym jakiegoś oszustwa. Arabella już dawno ukreśliła ciasto na omlety, więc, kiedy tylko zobaczyła, że klienci wchodzą do baru, pobiegła do kuchni je smażyć. Jonathan stał za barem.

– Naprawdę podajecie drinki za pół ceny? – spytał Ted, nadal nie dowierzając napisowi. Tony nigdy nie robił czegoś takiego!

– Ale tylko alkohole. Ile chcecie?

– Na razie cztery whisky... a potem zobaczymy – odparł Ted zachwycony.

Kiedy już wypili pierwszego drinka, Jonathan natychmiast nalał im następnego, po czym zaczął opowiadać o koncercie i o wystawie. Wyjaśnił im, jak bardzo potrzebuje ich pomocy, żeby przenieść fortepian do szopy, kiedy już ją oczyści i przygotuje.

– Pod warunkiem, że znów urządzisz *Happy Hour* – rzekł Ted.

Jonathan oczywiście przyrzekł. Powiedział tylko, że następnym razem, o ile pociąg znowu będzie kursował, podadzą piwo za pół ceny. Mężczyźni byli po prostu wniebowzięci!

– Arabella namówiła Dave’a Brewera, żeby przygotował trochę piwa. Ted mówi, że jest całkiem



niezłe – opowiadał beztróska Jonathan.

– To prawda – potwierdził Ted oparty o ladę baru.

Opowiadał już przedtem Wally’emu i Lesowi, że Arabella jeździła do Fariny, żeby prosić Dave’a Brewera o piwo. Ale żaden z nich nie wierzył, że się jej uda. Les wspomniał o braku wody. Ted co prawda sądził, że może trochę uzbierali jej po niedawnym deszczu, ale Les był przekonany, że Dave nie będzie chciał się jej wyzbywać – i żaden z nich nie mógł do niego mieć o to pretensji.

– Piłem piwo od Dave’a Brewera – mówił Wally do Jonathana. – Po prostu zrzuca ci z nóg skarpety!

– No, teraz, to byś nie wytrzymał nawet pięciu minut – stwierdził Ted.

Wally zrobił zawstydzoną minę na przypomnienie, że już nie jest w stanie tyle wypić co dawniej, ale nie powiedział ani słowa.

– Słyszałem, że się wczoraj upiłeś – odezwał się Jonathan, czując się opiekunem Arabelli.

Wally nie był tego taki pewny.

Kiedy Arabella weszła, pytając, czy ktoś sobie życzy omlet, zachowywała się tak, jakby wszystko było w porządku. Nie przyszło jej to łatwo, ale Jonathan bardzo nalegał.

– Omlety są z serem i cebulą – powiedziała. – Kto sobie życzy?

– Ja proszę – odezwał się Ted.

– I ja – dodał Les.

– Ja też – wtrącił Fred Powell. Omlet był tu nowością, bo Maggie nigdy ich nie podawała.

Arabella zwróciła się do Wally’ego.

– A ty, Wally? – spytała, starając się mówić spokojnym głosem.

– Ja też zjem – odparł, unikając jej spojrzenia.

Arabella zauważyła, że Wally nie patrzy jej w oczy. Była ciekawa, czy czuje się niezręcznie z powodu tego, co się stało... ale to było raczej wątpliwe.

Jedno było pewne: nigdy jej nie przeprosi.

Po kolacji zbierała talerze zadowolona, bo omlety wszystkim smakowały.

Kiedy przypadkiem zerknęła w okno, zobaczyła na podwórku Lily i Missy. Przez chwilę jej serce zaczęło gwałtownie bić. Usiłowała się zorientować, czy Rita jest z nimi. Ale nie dostrzegła Aborygenki, więc wyszła na podwórze.

– Witajcie! – zawołała do kobiet, rozglądając się wokół.

– Panienska, trzeba myć dziś naczynia? – spytała Missy.

– Przepraszam, ale nie trzeba – odparła.

Chciała się dowiedzieć, gdzie jest Rita, ale bała się odpowiedzi.

Obie kobiety odeszły.

Późnym wieczorem Arabella wyszła przed hotel, żeby zdjąć tablicę, i ze zdumieniem zobaczyła Ritę siedzącą na werandzie plecami do niej. W pobliżu kręciły się Lily i Missy, wyraźnie zaniepokojone.

Pierwszym odruchem Arabelli była ucieczka, ale Rita z pewnością usłyszała jej kroki...

Wzięła więc głęboki oddech i podeszła do niej.

– Witaj, Rito – powiedziała. – Jak się masz?

Głos trochę jej drżał, ale Aborygenka chyba tego nie zauważyła. Wtedy Arabella zobaczyła, że kobieta siedzi zgięta w pół i trzyma się za brzuch.

– Naprawdę jestem kiepska, panienska – powiedziała wreszcie. – Już nie mogę pić...

– Czy to żołądek? – spytała Arabella.

Rita bardzo cierpiała.

– Tak, panienska. To pali.

– A nie brałaś na to lekarstwa?

– Próbowaliśmy różne, ale nie działa – rzekła. – Kiedyś, dużo lat temu, Aborygeni nie pili grogu, więc nie potrzebowali takich leków.

To brzmiało sensownie.

– Mam pewien pomysł – rzekła Arabella. – Zaczekaj tutaj!

Pobiegła z powrotem do hotelu. Zabrała z kuchni czysty dzbanek, wybiegła tylnym wyjściem i poszła w stronę osiedla poganiaczy wielbłądów. Poszukała Paddy’ego. Znalazła go w zagrodzie.

– Paddy! – zawołała.

– Witaj, Arabello! – odpowiedział. – Co tu robisz? Coś złego z Urim?

– Nie, nic mu nie jest, ale potrzebuję mleka... Masz może trochę?

– Wielbłądziego mleka?

– Tak, mogę sobie trochę wziąć?

Był zakłopotany, ale się zgodził.

– To dla Uriego? Już nie potrzebuje!

– Nie, ale... ludzie też mogą je pić, prawda?

– Tak, ale nie wszyscy to lubią.

Arabella wręczyła mu dzbanek. Pamiętała, jak jej kiedyś mówił, że wielbłądzie mleko jest bardziej odżywcze niż krowie.

– Wystarczy połowa – rzekła.

Paddy był zdziwiony, ale zaczął doić jedną z wielbłądzic. Arabella patrzyła na to, zafascynowana; wreszcie oddał jej dzbanek napełniony do połowy ciepłym, pianistym mlekiem.

Popatrzyła na nie. Nie miałyby ochoty go pić, ale po tych wszystkich specjałach z buszu: wombatach, emu i innych dziwnych rzeczach, których wcześniej nie wzięłyby do ust, mleko wielbłąda też powinno jej smakować.

– Dziękuję! – powiedziała. – Później ci powiem, po co mi to.

Wróciła do hotelu. Po drodze wspominała dziewczynę, która kręciła nosem na kanapki z jajkiem... Była pewna, że rodzice nigdy by nie uwierzyli, jakie jadła potrawy! Sama z trudem w to wierzyła.

Wzięła szklankę z kuchni i ruszyła na werandę z dzbankiem mleka. Usiadła obok Rity, która wyglądała okropnie. Arabella nalała jej szklankę wielbłądziego mleka.

– Wypij to – zażądała.

Rita spojrzała na napój.

– Ale to nie jest ta mikstura z mąki kukurydzianej, jaką mi Maggie dawała na biegunkę?

– Nie, to mleko; pomoże ci.

– Mleko? – spytała Rita, z zainteresowaniem zaglądając do dzbanka. – Jakie mleko?

– Wypij to, Rito – powtórzyła Arabella. – Na pewno złagodzi palenie w żołądku.

Rita wzięła szklankę i zaczęła pić. Początkowo się krzywiła, ale wysączyła całą szklankę. Przez chwilę siedziała nieruchomo, jakby czekając na to, co się stanie.

Arabella spojrzała na Lily i Missy. Ich zaniepokojenie zdenerwowało ją, ale za wszelką cenę starała się zachować pogodny wyraz twarzy. Miała nadzieję, że Aborygenka zapomniała o incydencie z fortepianem.

– Wiesz? Trochę lepiej się czuję – rzekła Rita, gładząc swój potężny brzuch.

– Mleko łagodzi takie palenie w żołądku – potwierdziła Arabella.

Rita wyglądała na zadowoloną.

– Skąd to wiesz, panienska?

– Moja niania miewała coś, co nazywała „paleniem serca”. Ale to palił ją żołądek i także gardło, kiedy się kładła. Miała te problemy po jedzeniu... Tak mówiła, ale wiem, że lubiła też łyknąć sobie

wieczorem sherry.

Rita popatrzyła na nią tak, że Arabella aż się skuliła w duchu.

– I jak? Pomogło? – spytała grzecznie Arabella.

Rita skinęła głową, twarz jej złagodniała.

– Tak, masz rację, panienska – rzekła. – Nie odesłałaś mnie. Pani Maggie zawsze tak... Myślałam, że zaraz to powiesz.

– Nie – Arabella spłonęła rumieńcem i odwróciła głowę. Zauważyła złośliwe uśmieшки Lily i Missy: wiedziała, że pamiętają, co przedwczoraj powiedziała Ricie. Modliła się, żeby jej tego nie przypomnieli! – Ale nadal uważam, Rito, że nie powinnaś pić. Mleko nie rozwiąże problemu.

Rita przytaknęła i wstała.

– Powiedziałam, że przestanę, tak? Skąd wzięłaś to mleko? – spytała, wskazując dzbanek.

– To... wielbłądzie mleko – niepewnie odparła Arabella i zobaczyła, że Rita jest zaszokowana. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy sobie przypomniła, jak śmieszna musiała się wydawać Aborygence, kiedy ta podała jej kawałek węża, mówiąc, że to kurczak z buszu.

Rita patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, po czym zrobiła coś, czego Arabella nigdy u niej nie widziała. Zachichotała.

– Aleś mnie nabrała! – rzekła i odeszła.

Arabella pomyślała, jak bardzo by chciała, żeby tu teraz była Maggie i żeby zobaczyła, jak Rita się śmieje. Pewnie myślała, że mleko przyniósł im jakiś poganiacz bydła... Kiedy jednak Lily i Missy pożegnały Arabellę uśmiechem, wiedziała już, że one rozumiały, iż mówiła prawdę.

# Rozdział dwudziesty czwarty

---

Następnego ranka, podczas codziennej porannej krzątania Arabella zauważyła, że w stajni nie ma Uriego; zwykle stał tam razem z Bess. Furka była zamknięta, zatem wielbłąd nie wywędrował ze stajni sam. Bess patrzyła tęsknym wzrokiem w stronę osiedla Afgańczyków: uszy miała nastawione, jakby nasłuchiwała głosu młodego wielbłąda, i Arabella się domyśliła, że to Paddy go zabrał dzisiaj wcześniej rano.

– Nie martw się, Bess. Przeprowadzę go z powrotem – pocieszyła klacz, po czym ruszyła do poganiacza wielbłądów.

– Gdzie Uri? – zapytała ostro, kiedy tylko ujrzała Paddy’ego przy zagrodach.

Stał w grupie mężczyzn, którzy prowadzili jakąś – najwyraźniej bardzo poważną – rozmowę. Kiedy się zbliżyła, rozeszli się natychmiast, obrzucając Arabellę ponurymi, pełnymi pogardy spojrzeniami. Pomyślała, że pewnie uważają, że kobieta powinna znać swoje miejsce i nie wtrącać się do ich spraw; była jednak za bardzo zdenerwowana, żeby się tym przejmować.

– Zabrałem go do zagrody razem z innymi młodymi wielbłądami – odparł Paddy, trochę urażony, że go zawstydziła wobec innych mężczyzn. – Musi się przyzwyczaić, że będzie pracować. To część treningu.

– Ale będzie tęsknił za Bess! Ona już za nim tęskni!

– Ta klacz nie jest jego matką, a Uri musi przebywać wśród innych wielbłądów.

– Paddy, proszę! Musisz go odprowadzić z powrotem!

– Nie mogę; wtedy cała jego nauka będzie opóźniona. Właśnie rozmawiałem z kolegami o sprzedaży kilku młodych wielbłądów.

– Sprzedaży?! Chyba nie masz zamiaru sprzedawać Uriego, prawda?

– Nie planowałem tego, co nie znaczy, że to wykluczone! Mamy dosyć dużo młodych wielbłądów, więc niektóre zostaną zwierzętami pociągowymi, a inne pójdą na mięso. Gdyby Uri miał zostać sprzedany, pewnie dostałbym za niego niezłą cenę w przyszłym roku, na targach w Broken Hills.

Arabella miała łzy w oczach.

– Nie możesz sprzedać Uriego... a już na pewno nie na mięso! – Nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem.

– Nie powiedziałem, że to zrobię... Jeżeli okaże się obiecujący podczas nauki, można go będzie sprzedać jako zwierzę pociągowe. Myślę, że właśnie takie będzie jego przeznaczenie.

Przeznaczenie! Faiz Mohomet mówił to samo, a to nie podobało się Arabelli.

– Wydaje mi się, że jego przeznaczenie wcale nie jest takie pewne... – szlochała.

Na dźwięk jej głosu Uri przepchnął się między młodymi wielbłądami w zagrodzie i podszedł pod płot, po czym zaczął żałośnie beczeć.

Arabella go usłyszała. Uri próbował się wydostać. Spojrzenie jego ogromnych brązowych oczu po prostu łamało serce dziewczynie. Podeszła do niego; Paddy podążył za nią.

– Ja też za tobą tęsknię! – mówiła z płaczem, głaszcząc aksamitny pysk. Nie była w stanie znieść myśli o tym, że Uri mógłby zostać sprzedany na mięso!

– No, nie mogę zaprzeczyć... on się rzeczywiście bardzo do ciebie przywiązał... – mówił Paddy. Nie dodał, że i jemu było naprawdę trudno, kiedy zabierał Uriego z boksu klaczy i odprowadzał do zagrody. Przez całą drogę musiał go ciągnąć i grozić kijem.

– Och, Paddy, proszę! Nie sprzedawaj go!

Chociaż próbował być twardy, wyraz jego oczu złagodniał.

– Kiedy twoi rodzice tu przyjadą, wrócisz z nimi do domu?

Arabella się skrzywiła.

– Tak... przypuszczam, że tak.

– No, to wtedy i tak zostawisz Uriego – stwierdził trzeźwo.

Skinęła głową. Wiedziała, że to, co mówił, ma sens, ale łzy znowu popłynęły jej po policzkach.

Odwróciła się i biegiem wróciła do hotelu.

Będzie musiała zostawić tutaj wszystko... i wszystkich!

Po jakimś czasie Jonathan zastał ją przy stajni. Ocierała z oczu łzy i głaskała Bess po chrapach.

Jonathan wszędzie szukał Arabelli i nawet zaczął się niepokoić.

– Co się stało, Arabello? – spytał. – Gdzie Uri?

– Paddy go zabrał... będzie go trenował... bo przeznaczeniem wielbłąda jest praca... – Pociągnęła nosem. – Ale to nie jest najgorsze! Paddy powiedział, że mają bardzo dużo młodych samców i że tylko część nada się na zwierzęta pociągowe i sprzedaż... – Padła Jonathanowi na piersi z płaczem.

Przez chwilę w milczeniu głaskał ją po włosach.

– Wiesz, on nie może być całe życie towarzyszem Bess. Zresztą wątpię, czy i ona tu długo pobędzie. Stuart na pewno stąd odjedzie i zabierze kłacz ze sobą. Pewnie odjedzie najbliższym pociągiem, a Bess wstawi do wagonu dla zwierząt.

Ruszyli w kierunku hotelu.

– Ja wiem... – smutno stwierdziła Arabella. – Tylko... tak się przywiązałam do Uriego, i do Bess też. Uri ją uważa za swoją mamę... i chyba obudził w niej instynkt macierzyński.

– Tak, ale źrebięta i kłacze też się z reguły rozstają, Arabello, nie ma znaczenia, że wtedy cierpią! To po prostu akt dorastania...

– Wiem... – Padła na krzesło w kuchni.

– Tęsknisz za swoją mamą, prawda? – rzekł Jonathan, klękając przed nią.

Kiwnęła głową.

– Przedtem, zanim się zgubiłam na pustyni, nigdy się z nią nie rozstawałam na więcej niż parę godzin... – rzekła.

– I na pewno twoi rodzice też tęsknią za tobą, ale niedługo znowu będziecie razem...

„A my dwoje nie będziemy mieć wspólnej przyszłości”, pomyślał.

Spojrzała w jego ciemne oczy i dostrzegła w nich głęboki smutek.

Czy będzie za nią tęsknił, kiedy Arabella stąd wyjedzie?

Późnym rankiem wrócili Terry i Stuart. Arabella akurat wyrabiała ciasto w kuchni, a Jonathan był w barze, kiedy weszli.

Arabella słyszała, jak Terry opowiada, że wyjazd był naprawdę udany; słyszała też, jak chwali Stuarda za umiejętne negocjacje w sprawie pokojowego rozwiązania konfliktu pomiędzy farmerami i ludźmi z plemienia Kuarna.

– Powiedziałem mu nawet, że powinien zaproponować swoje usługi rządowi, i to w pełnym wymiarze godzin! – opowiadał Terry, stawiając Stuartowi piwo. – Władzom brakuje takich negocjatorów!

– Właściwie nie wiem, co będę robił – rzekł Stuart. – Może się gdzieś osiedlę...

Arabellę zaskoczyło to, co mówił.

– Czy Aborygeni rzeczywiście zabierali farmerom trzodę? – spytał Jonathan.

Wątpił, czy Stuart rzeczywiście się gdzieś osiedli, ale nie wyraził swego zdania.

– Tak – odparł Stuart. – Skarżyli się, że farmerzy i ich bydło wypłoszyli z okolicy zwierzęta, które Aborygeni zazwyczaj jedzą, więc byli głodni. W końcu farmerzy zgodzili się nie przeprowadzać swoich

stad przez pewne tereny, a Aborygeni – nie zabijać ich krów i owiec.

– Kiedy mieszkałeś z Aborygenami? – spytał Stuarta Jonathan. Był przekonany, że tamten uchyli się od odpowiedzi.

– To było jakiś rok temu. Poprosiłem Afgańczyków, żeby zawieźli mnie na pustynię Tirari, jakieś sto czterdzieści kilometrów na północny zachód od Mungerannie. Rozejrzałem się trochę i doszedłem do wniosku, że być może znajdę tam złoto. Zgodzili się, ale tylko pod warunkiem, że po drodze będą handlowali: dokładnie w Cowarie i w Kalamurina. Spotkaliśmy ludzi z plemienia Kuarna w obozie na południe od Cowarie i tak się dobrze z nimi dogadaliśmy, że postanowiliśmy tam zostać dłużej. Zanim się obejrzelśmy, z dni zrobiły się tygodnie...

Stuart widział zachwyty w oczach Jonathana, który się zasłuchał. Pierwszy raz mężczyzna mówił tak szczerze. Jonathan zastanawiał się nawet, czy nie osądził fałszywie poszukiwacza złota; a może to jest po prostu bardzo skryty człowiek...?

– Trudno to wytłumaczyć, ale czas staje się czymś surrealistycznym, kiedy przebywa się w buszu z Aborygenami... – mówił dalej Stuart.

Jonathan pomyślał, że doskonale go rozumie.

– W czasie, kiedy przebywałem z ludźmi z plemienia Kuarna, poznałem ich i nauczyłem się trochę mówić ich językiem, na tyle, żeby się porozumieć. Dowiedziałem się, jakie mają pory roku – jest ich sześć – opowiedzieli mi mnóstwo fascynujących rzeczy o swojej kulturze i mitologii...

– Czy bardzo się różnią od Aborygenów, którzy mieszkają w miastach? – chciał wiedzieć Jonathan.

– Naprawdę nie ma porównania. Aborygeni w miastach bardzo się zmienili na zachodnią modłę... Zwłaszcza ci, co zaczęli dużo pić. Życie w buszu, w plemienu, to coś zupełnie innego – tłumaczył Stuart. – Mają własne prawa i sposoby postępowania, poza tym są o wiele bardziej wyczuleni na otoczenie. Ja jeszcze nie potrafiłbym samodzielnie przeżyć na pustyni. Więc szanuję ich za to.

Jonathan pomyślał, że chciałby tam być i fotografować Stuarta pośród tubylców. Mógłby uchwycić na kliszy sprzeczność tych dwóch zupełnie odmiennych sposobów życia, które się nagle ze sobą schodzą! Był pewien, że rezultat byłby fascynujący.

– Gdybyś kiedykolwiek miał zamiar to powtórzyć, chciałbym z tobą pojechać i sfotografować to wszystko!

– Jak już mówiłem, nie jestem pewien, co mam zrobić ze swoim życiem... ale gdybym kiedyś znowu się wybrał do ich obozu, zapraszam! – odpowiedział Stuart.

– Gdzie Wally? – spytał nagle Terry, rozglądając się.

Arabella usłyszała pytanie, więc szybko otrzepała mąkę z rąk i pobiegła do baru. Uważała, że nie powinna rzucać na Jonathana trudu wyjaśniania całej sytuacji. Właśnie wchodziła do baru, kiedy usłyszała, jak przyjaciel mówił Terry'emu, że Wally jest w domu Frankiego Millera.

– Co on tam robi?

– To moja wina – wtrąciła się Arabella, stając pomiędzy nimi. – To ja go zmusiłam, żeby tam wrócił...

W tym momencie zjawili się Wally, Ted i Les. Arabella nie miała szansy wytłumaczyć Terry'emu, co się wydarzyło.

Terry spojrzał na Wally'ego.

– Powiniennem cię wtrącić do celi za pijaństwo i rozrabianie. – Spojrzał na Arabellę. Dziewczyna nie przypuszczała, że aż tak gwałtownie zareaguje. – Był pijany, prawda? Za to go pani wyrzuciła?

Wally wytrzeszczył oczy, po czym je zmrużył.

Wiedziała, że gdyby go zamknięto, czułaby się bezpieczniej, a właśnie nasuwała się świetna okazja... Pomyślała jednak znowu o Maggie. Przyjaciółka byłaby naprawdę rozczarowana jej zachowaniem, bo

uważała, że Wally po prostu jest niemądry.

– Chyba zareagowałam przesadnie... – zaczęła.

Wally się zmieszał. Był przekonany, że dziewczyna wykorzysta okazję, żeby się odegrać.

Terry zwrócił się do niego.

– Mówiłem, jak się masz zachowywać – rzekł, nie chcąc dać za wygraną. Spojrzał na Arabellę. –

Miał się zachowywać przyzwoicie.

– Już powiedziałam, że moja reakcja była za ostra... – rzekła. – Akurat wróciłam z Fariny i byłam

strasznie zmęczona. Jonathan też wyjechał, to mnie bardzo zmartwiło. A Wally nie sprawiał kłopotu. Od czasu, kiedy zaczął sam wstawać, właściwie nie wiedziałam, że tu jest.

– Nie powinien był się upijać! – parsknął Terry.

– Właściwie nie był pijany – nieco minęła się z prawdą Arabella. Wolała nie zrażać do siebie ludzi z miasta. – Ześliznął się z wysokiego stołka w barze, ale to był wypadek! A ja myślałam, że jest pijany.

Pomyliłam się. A w ciągu następnych kilku dni bardzo mi pomagał.

– Mianowicie? – podejrzliwie spytał Terry.

– Przede wszystkim obiecał Jonathanowi przenieść fortepian... prawda, Wally?

Wally nie mógł uwierzyć, że Arabella go broni; widział jednak, że Terry jest zły na niego i nadal istnieje ryzyko, że wsadzi go do więzienia.

– Prawda! – potwierdził czym prędzej.

– No, będę miał na ciebie oko – rzekł w końcu Terry. – Pamiętaj!

– Będę pamiętał – potulnie zgodził się Wally. – Właściwie – tu spojrzął na Jonathana – przyszliśmy

zobaczyć, czy chciałbyś, żebyśmy oczyścili tę szopę...

Ted i Les obrzucili go zdumionymi spojrzeniami. Pierwszy raz o tym usłyszeli.

– Tak – potwierdził z zadowoleniem Jonathan. – Trzeba to zrobić.

– No, to się zabieramy! – zawołał Wally.

– A kiedy będzie następna *Happy Hour*? – spytał Ted.

Jonathan nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Zeknął na Terry'ego.

– Co za *Happy Hour*? – spytał ten ostatni.

– Wczoraj wieczorem przez godzinę alkohole były za pół ceny! – radośnie objaśnił Les.

Terry spojrzął zmrużonymi oczyma na mężczyznę. Wszystko to zaczynało nabierać sensu.

– I te omlety... były bardzo dobre – dodał Wally z nadzieją, że zwróci podejrzenia Terry'ego w inną

stronę. I, zanim Terry zdołał coś jeszcze powiedzieć, dodał: – Chodźcie, chłopaki! Mamy robotę!

I wyprowadził ich z baru.

Terry usłyszał, jak Les jeszcze pytał, dlaczego mają z własnej woli sprzątać szopę, skoro przyszli tu na piwo... Spojrzał na Arabellę, zastanawiając się, czemu stanęła w obronie Wally'ego, który z pewnością rozrabiał po pijanemu i sprawiał jej kłopot, aż musiała go wyrzucić z hotelu.

– Mam robotę w kuchni – powiedziała niepewnie i wyszła.

– A gdyby Wally się z czymś wychylił... to chcę o tym wiedzieć! – mówił Terry Jonathanowi. – I nie życzę sobie, żeby ktokolwiek go krył!

Jonathan pokiwał głową.

– Jasne – odparł.

Nieco później Wally wszedł do kuchni, gdzie Arabella zamiatała podłogę.

– Dlaczego skłamałaś? – spytał ją.

– Nie wiem – przyznała. – Oboje wiemy, że na to nie zasługujesz.

– Nie boję się, że mnie zamkną, więc nie musisz robić mi łaski.

– Wobec tego idź i powiedz Terry'emu, że byłeś pijany.

Podniósł na nią wzrok.

– Zrobiłam dla ciebie wszystko, co mogłam – dodała z gniewem. – Namówiłam Ritę, żeby zrobiła lekarstwo na twoją nogę. Myłam i bandażowałam twoją ranę. Karmiłam cię. A wszystko po tym, jak próbowałeś mnie straszyć, skradając się pod domem. No, dosyć tego, Wally. Nie wiem, dlaczego skłamałam. Pewnie jestem głupia. Ale to się już nie powtórzy!

Wyszła z kuchni i wbiegła na piętro. Chciała być sama.

Wally nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Zastanawiał się, czy Arabella pójdzie do Terry'ego Higginsa i powie mu prawdę. Nie wytrzymałby w więzieniu w tym upale. Raczej by umarł.

Po półgodzinie, kiedy Arabella się już uspokoiła, usłyszała, że ktoś puka do jej drzwi.

Sądziła, że to Jonathan i kiedy otworzyła, była zaskoczona.

– Stuart... o co chodzi?

– Wybieram się na spacer i chciałem spytać, czy może pani ze mną pójść.

– Teraz?

– Tak. Wiem, że jest gorąco, ale wieje lekki wietrzyk... Możemy iść w cieniu.

Tembr głosu mężczyzny dał Arabelli do zrozumienia, że chce jej powiedzieć coś ważnego; nie była w stanie odmówić. Poza tym lubiła towarzystwo Stuarta, a jego poczucie humoru sprawiało, że właśnie tego potrzebowała. Chciała zapomnieć o tym, jak Wally ją rozzłościł.

– Dobrze – zgodziła się.

Wyszli przez tylne drzwi i ruszyli w stronę osady Afgańczyków.

– Co teraz pan zrobi, skoro zrezygnował pan z poszukiwania złota? – spytała po kilku minutach milczenia.

Stuart był dzisiaj bardziej zamyślony niż zwykle.

– Nie jestem pewien – odparł.

I zachowywał się nerwowo, czego przedtem nigdy u niego nie widziała. Ręce miał niespokojne. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie ma patrzeć.

– Pani z pewnością pojedzie do Anglii, kiedy rodzice wrócą? – powiedział, patrząc na nią uporczywie.

– Tak... – potwierdziła z lekkim smutkiem.

– Nie robi pani wrażenia zachwyconej... – zauważył Stuart. Miał nadzieję, że to z jego powodu.

– Strasznie jestem przejęta, że znowu zobaczę rodziców, ale...

Dotarli już do zagród wielbłądów, skręcili zatem w stronę obozowiska Aborygenów.

– Ale... co? – spytał.

– Właściwie to będę tęskniła za tym miejscem... a raczej za ludźmi... – mówiła. Myślała przede wszystkim o Jonathanie, ale także o Tonym, Maggie... i o Stuarcie.

– Mam nadzieję, że myśli pani także o mnie.

– Naturalnie, że tak! – Uśmiechnęła się.

– A co by pani powiedziała, gdybym wrócił do Anglii? – spytał nagle.

Była kompletnie zaskoczona.

– A dlaczego chce pan wracać?

– Myślałem, że to oczywiste... – odparł Stuart.

– Nie! – zawołała. – Myślałam, że się panu podoba w Australii.

– Tak, ale pani tu nie będzie... – szepnął namiętnie.

– Mnie?

Była zdumiona. Już dawno uznała Stuarta za flirciarza, który nigdy nie mówi poważnie. Tymczasem nagle zrobił się bardzo zdecydowany.



Widział, że ją trochę wystraszył swoją nagłą otwartością.

– Mam rodzinę w Brighton i w Walii, ale myślałem, że być może będę potrzebował całkowitej... zmiany – dodał.

– I co pan zrobi wobec tego?

– Właściwie nie wiem, ale mogę się zająć czymkolwiek, więc jestem pewien, że znajdę jakąś pracę.

– To brzmi bardzo poważnie... – stwierdziła Arabella, jakby mu udzielała nagany.

– Wiem – zgodził się. – Ale proszę mi wierzyć, dużo o tym myślałem podczas ostatnich kilku dni...

Przede wszystkim myślał wtedy o niej. Miał nadzieję, że gdyby byli razem, inne elementy jego życia trafiłyby na właściwe miejsce.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało niegrzecznie... ale chyba nie planuje pan niczego w związku z moją osobą...?

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– A czy to byłoby bardzo źle?

Arabella mogła teraz myśleć tylko o Jonathanie.

– Jestem zaszczyczona... – powiedziała z przejęciem – Ale...

Jak mu to wytłumaczyć?

– Chcę coś zrobić, żeby pomóc pani! I Tony'emu! – dobiegł ich kobiecy głos.

To była Rita, która zbliżyła się do nich niepostrzeżenie.

Arabella szybko odzyskała równowagę.

– Hmm... my wszyscy też, Rito. A co masz dokładnie na myśli?

– Panią, słyszałam, że mają tu przyjechać namioty z bokserami... – oznajmiła.

– Namioty z bokserami? Jakże? – Nie miała pojęcia, o czym mówi Aborygenka.

– Rita pewnie mówi o namiotach, w których są zawody bokserskie – wyjaśnił Stuart. – Właściciel jeździ z namiotem po różnych miastach z grupką zawodowych pięściarzy, którzy namawiają miejscowych do walki o nagrodę. Czasami wygrywa się nawet dużo pieniędzy.

– Ale tutaj nikt nie przyjeżdża – zdziwiła się Arabella.

– Mogę wyzwać każdego na pojedynek! – zawołała Rita. – Wszystkich pobiję i zarobię dużo pieniędzy dla pani i Tony'ego – dodała z przejęciem.

– Nie mówisz poważnie – zganiała ją Arabella. – Co za okropny pomysł!

Nie mogła uwierzyć, że Aborygenka mówi poważnie. Sama myśl o walce Rity z mężczyznami była absurdalna.

Przez chwilę Rita stała, wbijając wzrok w Arabellę, po czym uciekła, wymachując rękami i mrużąc coś w miejscowym narzeczu.

– Co jej się stało? – spytała Arabella Stuarta. – Dlaczego się tak rozgniewała?

– Obraziła ją pani – stwierdził Stuart.

– Czemu? Dlatego że powiedziałam, że nie chcę, żeby walczyła z mężczyznami?

– Niedługo mieszkam w Marree, więc nie znam dobrze Rity, ale wiem, jak to traktują Aborygeni.

– Więc proszę, niech mnie pan oświeci! – zażądała. Rita zawsze potrafiła ją zaskoczyć.

– Ona chce pomóc. A to jedyny sposób, jaki zna.

– Walka? Nie mogę jej na to pozwolić! To niestosowne i barbarzyńskie. To po prostu... nie w porządku.

– Rozumiem panią – tłumaczył Stuart. – Martwi się pani o nią, ale ona tego nie wie, myśli, że pani jej nie ceni.

– Przecież to nieprawda. Widziałam, jak walczy! – Aż westchnęła, zmartwiona. – Źle to załatwiłam, co?

– Nie mogła pani wiedzieć, że Rita się obrazi. Najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem podczas przebywania z ludźmi z Kuarna, to fakt, że Aborygeni są bardzo dumni i mają własny system postępowania.

– Tak czy siak, nie chcę, żeby walczyła, by zdobyć pieniądze... Zresztą nie wierzę, żeby i Maggie się na to zgodziła.

– Słusznie – potwierdził.

– Może pójdę i wszystko jej wytłumaczę? – spytała. – Mam nadzieję, że już nie powiem nic głupiego. Pozwoli pan?

– Oczywiście. Może później porozmawiamy?

Wydawał się zawiedziony, że musi się z nią rozstać.

– Tak... – odparła.

Była rada z przełożenia tej rozmowy. Bardzo lubiła Stuarta, ale prawdziwie głębokim uczuciem darzyła kogoś innego. Gdyby tak Jonathan zaproponował wspólny powrót do Anglii... z nią i z rodzicami!

Stuart wrócił do hotelu, gdzie czekał na niego Jonathan.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – powiedział tamten. Reszta mężczyzn siedziała w barze, byli zatem sami.

– Pewnie... a o czym? – spytał Stuart.

– O Arabelli – odparł poważnie Jonathan.

– O Arabelli?

Domyślił się, co Jonathan chce mu powiedzieć. Fotograf zawsze przyglądał się z dezaprobatą, kiedy Stuart żartował z Arabellą.

– Widzę, że jesteś nią zainteresowany – kontynuował fotograf.

– Aha! Jestem – odparł Stuart od niechcienia.

– To niewinna dziewczyna – ciągnął Jonathan. – Nie chcę, żeby ktoś ją skrzywdził.

– Od kiedy to tak się nią opiekujesz? – zdziwił się Stuart uszczypliwie.

– Zależy mi na niej...

– Mnie też!

– Wobec tego proponuję, żebyś jej opowiedział o swojej przeszłości. – Jonathan wpatrywał się przenikliwie w rozmówcę.

– Mówisz, jakbym skrywał jakiś mroczny sekret! – roześmiał się Stuart.

– Myślę, że tak jest – rzucił Jonathan.

– Nie mam pojęcia, co ci nasunęło taki pomysł, ale moje życie to nie twój interes.

– Ja o nic nie pytam – tłumaczył Jonathan – tylko martwię się o Arabellę.

– A dlaczego? Może chcesz ją mieć dla siebie?

– Bardzo mi na niej zależy. Właściwie... jestem w niej zakochany. Ale ona wróci do Anglii z rodzicami, a moje życie jest tutaj.

– Więc nie planujesz przyszłości z nią! – energicznie zawołał Stuart.

Widział, jak jego słowa zraniły Jonathana, ale był zadowolony, że jego rywal nie ma nadziei na wspólne życie z Arabellą.

– Nie... ale to mi nie przeszkadza jej kochać i chcieć dla niej wszystkiego, co najlepsze.

Stuart odwrócił się i wyszedł bez słowa. Podziwiał w duchu miłość Jonathana. Musiał przyznać, że nigdy nie czuł niczego podobnego w stosunku do kobiety.

Czyżby Arabella Fitzherbert miała być tą, która go zmieni?

Arabella zastała Ritę zbierającą drewno na ognisko; widziała, że tamta nadal jest zła, bo mruzczała

coś do siebie, a ruchy miała gwałtowne.

– Rito... – powiedziała miękko Arabella. – Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

Aborygenka odwróciła się i spojrzała na nią.

– Nie mam nic do powiedzenia, panienska – odparła.

– Wiem, gniewasz się na mnie, ale proszę, pozwól mi wytłumaczyć, dlaczego nie chcę, żebyś walczyła.

Rita nie odpowiedziała. Nadal zbierała drewno, pozwalając Arabelli chodzić za sobą.

– Ja wiem, że mogłabyś pobić każdego mężczyznę, który by się odważył z tobą walczyć – mówiła Arabella.

Rita się obróciła.

– Pewnie! Jasne, że ich mogę pobić! – rzekła tak gwałtownie, że nozdrza się jej rozděły, a oczy omal nie wyszły z orbit.

Arabella zadrżała.

– Musisz zrozumieć, że nie przywykłam do tego, żeby damy walczyły... – rzekła nerwowo.

– Damy...? – powtórzyła Rita, jakby coś takiego nigdy nie przyszło jej do głowy.

– Tak, dokładnie tak, Rito. Jesteś damą, a dama, która walczy z mężczyznami, to coś, czego nigdy przedtem nie widziałam.

Rita zmarszczyła brwi.

– Nigdy przedtem nikt nie nazywał mnie damą, panienska.

Arabella stłumiła uśmiech.

– Musisz przyznać, że niewiele kobiet potrafi pobić mężczyznę. A ty właśnie taka jesteś.

Rita entuzjastycznie kiwnęła głową.

– Po prostu nie chcę, żeby ci się coś stało. Maggie liczy na ciebie, a ja nie mogę się bez ciebie obejść. Wszyscy mężczyźni w mieście boją się ciebie. A gdyby obcy okazali się lepsi od ciebie, to...

Rita wytrzeszczyła oczy z niedowierzaniem, tak że Arabella czym prędzej się poprawiła.

– Nie, żebym myślała, że coś takiego może się zdarzyć, ale gdyby jednak, to mężczyźni z naszego miasta mogliby stracić do ciebie szacunek. Rozumiesz mnie?

– Nikt mnie nie pobije! – zawołała Rita. – To się nie zdarzy, panienska!

Arabella zrozumiała, że musi przyjąć inną taktykę.

– Tak czy owak, żeby walczyć, musisz coś postawić, a ktoś może zażądać nawet dużo pieniędzy... – zaczęła.

– Postawić? Co to znaczy, panienska?

– To może być dwadzieścia albo nawet trzydzieści funtów. Nikt nie zacznie z tobą walczyć, zanim nie zobaczy pieniędzy, jakie może wygrać, a chyba mam rację, że ty ich nie masz, prawda?

– Nie mam pieniędzy, panienska – przyznała Rita. – Chcę po prostu zrobić coś dla Maggie i Tony'ego.

– Wiem, ale my też nie mamy pieniędzy, więc nie możemy ci pomóc. Może pomyślimy, w jaki inny sposób mogłabyś się przysłużyć – rzekła Arabella. – Ale proszę, lepiej zapomnij o boksie, Rito. Dobrze?

– Dobrze, panienska – zgodziła się Rita, najwyraźniej niezadowolona.

Tegoż popołudnia Arabella zdejmowała akurat bieliznę ze sznura, kiedy pojawił się stary Jimmy.

– Dzisiaj piekę emu, panienska – powiedział.

Na suchym wietrze bielizna wysychała, zanim Arabella zdążyła ją powiesić i przypiąć klamerkami. Pranie dosłownie schło jej w rękach. Kiedy tak stała, starając się poskładać pościel, najwyraźniej czuła zapach czegoś przygotowywanego w „podziemnym piecu”, więc się nie dziwiła.

– Pięknie pachnie! – pochwaliła. Kiedy już w powietrzu rozwiął się pierwszy zapach palonych piór, pieczone mięso miało aromat kury.

– Ty, panienska, i biali panowie przyjdą później do ogniska – zaprosił Jimmy, oddalając się.

– Przyjdziemy, Jimmy. Dziękuję.

Popatrzyła za nim z uśmiechem, myśląc o tym niezdarnym zaproszeniu. Wyglądało na to, że Jimmy znalazł nareszcie cel w życiu. Brak produktów w hotelu dał mu możliwość przysłużenia się; znalazł powód do dumy, polując i przyrządzając dla nich aborygeńskie potrawy. Poza tym Arabella się cieszyła, bo rzadko już teraz bywał pijany.

Tego wieczoru przyłączył się do nich Terry: razem z Aborygenami siedzieli wokół ogniska. Arabella zauważyła, że Rita, kiedy nie piła, była bardziej zamknięta w sobie. A może była zła, bo Arabella nie pochwaliła jej pomysłu walki z mężczyznami? Siedziała w odległym końcu ogniska z Missy i Lily i starała się na nikogo nie patrzeć. Kobiety przyniosły *yamy*, które Arabella szczególnie lubiła. Dzieciaki bawiły się w pobliżu piachu. Arabella zauważyła, że kobiety nie pilnowały dzieci, mimo tylu pajaków i węży dookoła. Początkowo myślała, że to niedbalstwo, i omawiała swoje niepokoje z Jonathanem, ale przekonał ją, że te maluchy wychowywane są w zupełnie innej kulturze. Węże, skorpiony, pająki i wszelkie inne pełzające paskudztwa – to był po prostu element ich codziennego życia.

Czasami przez miasto przechodzili młodzi Aborygeni. W ciągu tych tygodni, kiedy Arabella siadywała z tubylcami przy ognisku, niektórzy zatrzymywali się, żeby razem poświętować. Zawsze dokładali się do jedzenia: węża, iguanę, małe jaszczurki. To było uważane za przejaw dobrych manier. Jonathan z reguły dostarczał chleb, ale ponieważ nie mieli już mąki, gotował jajka i też je przynosił w prezencie. Arabella nie wiedziała dokładnie, jakie stosunki łączą tych młodych mężczyzn z kobietami w mieście, bo tamci zwykle bardzo prędko znikali; zauważyła jednak, że czasami jedna z młodszych Aborygenek odchodziła razem z nimi. Ale Jimmy, jego żona Ruby, Rita, Missy i Lily byli chyba stałymi mieszkańcami; co prawda Jonathan wytłumaczył jej, że Rita i młode kobiety mogą w każdej chwili się stąd wynieść.

Upieczone emu podzielono i rozdawano. Jak zwykle, mięso było soczyste i bardzo smaczne. Jimmy był okropnie zawstydzony pochwałami, ale Arabella wiedziała, że go to cieszy i jest z siebie zadowolony. Stale myślała o rodzicach, zwłaszcza podczas takich kolacji. Oddałaby wszystko, żeby zobaczyć ich reakcję na widok córki jedzącej palcami potrawy z buszu! Sama myśl o tym, jacy byliby zaskoczeni i przerażeni, wywołała uśmiech na jej twarzy.

Po jedzeniu Jimmy pograł trochę na *didgeridoo*. Arabella uwielbiała dźwięk tego instrumentu. W cichym nocnym powietrzu zapadał w pamięć i znakomicie pasował do prymitywnego otoczenia. Kobiety akompaniowały mu, uderzając rytmicznie patyczkami i śpiewając.

– A dlaczego nie spróbujesz grać na *didgeridoo*? – spytała Arabella Rity, kiedy Jimmy skończył.

Tamta spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Spróbuj – zachęcała ją Arabella. – Czuję, że robiłabyś to naprawdę dobrze!

Na razie nie było mowy o nauce gry na fortepianie i Arabella modliła się w duchu, żeby już tak zostało.

– *Lubras* nie grają na *didgeridoo*, panienska – powiedziała wreszcie Rita.

Ani nie walczą z mężczyznami, chciała powiedzieć Arabella, ale się pohamowała.

Spojrzała na Jimmy'ego z uśmiechem. Ten odwrócił się do Rity i podał jej instrument. Była trochę zaskoczona, ale przyjęła go z ukłonem: widać było, że uważa to za wielki zaszczyt. Nabrała powietrza w płuca i dmuchnęła w otwór *didgeridoo*. Nocną ciszę wypełnił głęboki, donośny dźwięk. Rita była zachwycona, tak samo Jimmy. Najwyraźniej był mile zaskoczony. Dał jej kilka porad i spróbowała jeszcze raz.

Ted pochylił się do Arabelli.

– Mówiłem, że może być w tym dobra – powiedział, przypominając jej, jak kiedyś zasugerował, że

Rita nadaje się do gry na tym instrumencie.

Arabella walczyła z sobą, starając się zachować powagę.

Płomienie trzaskały, nad głową migotały gwiazdy. Uwielbiała siedzieć nocą przy ognisku po całodziennym upale. Gdy myślała o przyszłości, o tym, kiedy będzie znowu w Anglii, starała się zapamiętać to, co teraz przeżywała: cudowny zapach dymu w gorącym powietrzu... czarne jak aksamit niebo nad głową, usiane milionami migoczących gwiazd... świerszcze na piasku... Nie chciała tego zapomnieć – ani łuny z ogniska odbijającej się na przystojnej twarzy Jonathana i dodającej mu cienia tajemnicy i romantyzmu...

Po jakimś czasie aborygeńskie dzieciaki poszły spać do szałasów matek, a kobiety podążyły za nimi.

– Jak tam nauka Uriego? – spytał w końcu Stuart.

Już zauważył, jak bardzo jego klacz tęskni za małym wielbłądem, ale nic nie mówił, nie chcąc martwić Arabelli.

– Niezbyt dobrze – odpowiedział Jonathan, zanim Arabella zdążyła odpowiedzieć.

– Dlaczego? – spytała z niepokojem.

– Rozmawiałem dzisiaj z Paddym. Przyznał, że Uri nie umie się zachować. Za każdym razem, kiedy zaczyna go trenować, mały próbuje uciekać. Paddy mówił, że wielbłąd chce wrócić tutaj, do Bess i do ciebie. Dzisiaj był na niego bardzo rozgniewany i nawet jeden z Afgańczyków mu poradził, że powinien zastrzelić Uriego.

Arabelli aż zaparło dech w piersiach z przerażenia.

– Ależ... on nie może!

– Nie, naturalnie, że nie, ale ten wielbłąd naprawdę nadużywa cierpliwości Paddy'ego.

Arabella postanowiła, że pójdzie tam jutro rano i spotka się z Paddym. Może będzie mogła mu jakoś pomóc? Mimo że nie chciała, żeby Uri został sprzedany, wiedziała, że trzeba go wyszkolić, żeby nie skończył jako befszytk na talerzu. Ale nie mogła się pogodzić z myślą, że go zastrzela.

– Przecież nie wyglądasz jak Quasimodo, Stuarcie! Dlaczego żadna kobieta nie zakuła cię w małżeńskie okowy? – spytał nagle Ted.

Stuart wyglądał na zaskoczzonego, potem zrobił się nieswój. Zerknął na Jonathana, potem na Arabelle.

– Byłem kiedyś żonaty – powiedział cicho. – Ale nic z tego nie wyszło.

Znów spojrzał na Arabelle i dostrzegł jej zdziwienie; wydało mu się, że widzi na jej twarzy cień zawodu, że jej nie zaufał.

Ted pokiwał głową, ale już nie nalegał na więcej szczegółów. Wyobraził sobie, że gdyby poszukiwacz złota chciał opowiedzieć coś więcej, zrobiłby to.

– Moja odeszła ode mnie dziesięć lat temu – powiedział. – Nie wiem, gdzie jest, ani nawet czy jeszcze żyje... Nie mogła wytrzymać życia w zapomnianych przez Boga miejscach. Na pewno nie znosiłaby tego miejsca.

To było coś, co Arabella potrafiła zrozumieć; była tylko ciekawa, dlaczego Ted nie kochał na tyle swojej żony, żeby znaleźć sobie pracę w dużym mieście. Ale w takim razie i ona nie mogłaby nigdy prosić Jonathana, żeby zamieszkał w wielkim mieście... więc może żona Teda czuła to samo?

– A tobie się tu podoba? – spytała.

Nadal myślała o tym, co powiedział Stuart, i zastanawiała się, co odpowie jej Ted.

– Marree do ciebie przyrasta, jak szczecina na brodzie. – Poskrobał się po szorstkim podbródku i zaśmiał się. – Myślisz tak samo, Jonathanie?

– Tak. Kocham busz. Jeżdżę do wielkiego miasta, żeby sprzedać swoje prace, ale zawsze nie mogę się doczekać powrotu.

Spojrzał na Arabelle.

Widziała smutek na jego twarzy.

– Jeżeli się ożenisz, zrób to z kobietą, która się tu urodziła i wychowała! – poradził mu Wally. – Nie spodziewaj się, że dziewczyna z miasta zamieszka w takim miejscu.

– Właśnie mam taki zamiar – wtrącił się Terry, mając na myśli Sarah Oldfield. Urodziła się tu i wychowała i nie ciągnęło jej do dużego miasta. Byłaby dla niego doskonałą żoną i kiedy tylko następnym razem odwiedzi Lyndhurst, będzie już miał pierścionek w kieszeni.

– Ale Maggie i Tony są z dużego miasta – rzekł Les. – I Maggie przyzwyczała się do Marree.

– Och, Maggie! To wyjątek – stwierdził Wally. – Wszyscy wiemy, że jest jedyna w swoim rodzaju.

– Prawdę powiedziawszy, Maggie wspominała mi, że bywało różnie i czasami chciała wskoczyć do pociągu i wyrwać się z Marree, tylko miłość do Tony’ego ją tu trzyma – rzekła Arabella.

Mężczyźni wyglądali na zaskoczonych tą wiadomością.

– A co się stało z pańską żoną, Stuarcie? – spytała.

Próbowała sobie wyobrazić, jak to się stało. Może opuścił jakąś kobietę w mieście, gdzie była kopalnia. Być może w ogóle go nie znała, skoro mógł zrobić coś tak okropnego!

Stuart się podniósł.

– Przepraszam... – powiedział i odszedł.

Arabella patrzyła za nim, a Jonathan – na nią. Był przekonany od dawna, że Stuart coś ukrywa. Nie wyobrażał sobie jednak, że to mogłoby być coś tak okropnego.

Po krótkiej chwili Arabella uznała, że musi to wszystko przemyśleć w samotności.

– Przepraszam – powiedziała. – Idę się przejść.

– Mogę ci potowarzyszyć? – spytał Jonathan. Czuł, że to wyznanie Stuarta tak ją przygnębiło.

– Nie, dziękuję. Po prostu chcę być sama... muszę pomyśleć.

Skinął głową ze zrozumieniem.

Jak odrętwiała szła w kierunku obozowiska Aborygenów, gdzie się natknęła na Ritę.

– Co ty tu robisz, panienska? – spytała ta ostatnia. Znowu zbierała drewno.

– Po prostu myślę. – Widok Rity przypomniał jej, jak Aborygenka grała przy ognisku. – Wiesz? Mogłabyś grać na *didgeridoo* dla gości, którzy przyjadą do miasta. Masz naprawdę wielki talent – dodała. Miło było pomyśleć o czymś innym, oderwać się od tego, co powiedział Stuart...

– Tak myślisz, panienska?

– Oczywiście! I muszę powiedzieć, że Jimmy też był pod wielkim wrażeniem.

– A co z fortepianem? – spytała Rita.

Arabella dostrzegła minę malującą się na twarzy Rity. Dziewczyna zbladła. Bezmyślnie patrzyła na Aborygenkę. Miała nadzieję, że Rita zapomniała o fortepianie.

– No... ja...

Pierwszy raz w życiu zobaczyła, jak Rita pokazuje wszystkie zęby w uśmiechu. Nagle zrozumiała, że Aborygenka z niej żartuje.

– Ja już tam zostanę przy *didgeridoo*, panienska – powiedziała wreszcie.

Mimo złego nastroju Arabella parsknęła śmiechem. Nagle wpadła na świetny pomysł.

– Właśnie przyszedł mi do głowy cudowny pomysł! A może zagramy razem? To będzie brzmiało naprawdę przepięknie!

Już sobie wyobrażała melodie fortepianowe unoszące się w powietrzu, a w tle niezwykle dźwięk *didgeridoo*...

– Ej, panienska? Nie kpisz z Rity?

Myślała, że Arabella z niej żartuje!

– Ależ mówię poważnie. Musimy razem poćwiczyć. Och, już się nie mogę doczekać! Zaraz o tym

powiem Jonathanowi. Przyniesiesz jutro rano *didgeridoo* do hotelu?

– Tak, panienka – zgodziła się Rita, ciągle nie dowierzając entuzjazmowi Arabelli. – Znaczy, ja będę grała z panienka... na koncercie?

– Tak! Jimmy może grać tancerkom, ale ty będziesz akompaniowała mi do kilku specjalnych utworów. To będzie cudowne! Do zobaczenia jutro rano! – I odbiegła.

Rita drapała się po głowie ze zdumieniem, patrząc za odchodzącą. Nie mogła wprost uwierzyć, że będzie akompaniować Arabelli na koncercie. Z trudem też mogła zrozumieć, że dziewczyna nazwała ją damą. Nigdy jej tak nikt nie nazywał. Tylko do białych kobiet tak się zwracano.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się kimś niezwykłym – i to nie z powodu walki!

# Rozdział dwudziesty piąty

---

– Właśnie przyszedł mi do głowy cudowny pomysł! – rzekła Arabella po powrocie do hotelu. Wydawała się naprawdę przejęta.

W barze byli Jonathan i Wally, a razem z nimi siedzieli Ted i Les. Jonathan bardzo się o nią martwił, z trudem uwierzył w zmianę jej nastroju. Akurat w tym momencie zszedł na dół Stuart. Ułyszał jej słowa. Był zaskoczony, ale i zadowolony, że po tym, kiedy się tak przed nią obnażył, była jednak w znakomitym humorze.

– Co to za pomysł? – spytał Jonathan.

– Chcę, żeby Rita mi akompaniowała na *didgeridoo*, kiedy będę grała na fortepianie na koncercie.

Wszyscy wydawali się tym zaskoczeni – nawet Stuart.

– Nie wyobrażam sobie, jak to będzie brzmiało... – zaczął Jonathan.

– Ani ja. – Ted zmarszczył brwi.

– Przecież te dwa instrumenty brzmią zupełnie inaczej! – dodał Jonathan.

– Zgadza się – przyznała. – Wiem, że to dość niezwykle, ale uważam, że będą się uzupełniały, zwłaszcza kiedy fortepian zostanie wyniesiony na świeże powietrze! Och, jestem przekonana, że to będzie cudowne! Myślałam, że wszyscy przyznacie mi rację...

– Ja się zgadzam – uśmiechnął się do niej Stuart. – Chyba dotychczas nikt tego nie zrobił, ale właśnie dlatego może to być bardzo interesujące.

– Och! Dziękuję – zawołała.

– A czy Ricie ten pomysł się spodobał? – spytał Stuart.

– Naturalnie była zdziwiona, kiedy jej to zaproponowałam, ale myślę, że się ucieszyła!

– To dobrze, że udało się pani z nią porozmawiać – rzekł Stuart. – Chciałem już przedtem zapytać... – Nagle jakby się trochę zawstydził. – I na pewno ją pani przekonała do porzucenia pomysłu udziału w walkach bokserskich.

– W jakich walkach bokserskich? – zażądał odpowiedzi Jonathan.

– Rita miała zamiar wyzwać mężczyzn na walki bokserskie; chciała w ten sposób zarobić pieniądze, żeby pomóc Maggie i Tony'emu. Byłam tym naprawdę zbulwersowana, ale kiedy się zastanowić... to naprawdę bardzo pięknie z jej strony, że jest gotowa na takie poświęcenie! No, ale nigdy bym jej na to nie pozwoliła.

– Wątpię, żeby ktokolwiek ją powstrzymał, jeżeli naprawdę serio o tym myślała – rzucił Ted.

– Wygląda na to, że Arabelli się udało – z pewną dozą dumy odparł Stuart.

Uśmiechnęła się, ale uznała, że musi być ostrożna.

Poszła spać, cały czas zastanawiając się nad swoim pomysłem. Była przekonana, że będzie to coś wyjątkowego i nie mogła się doczekać następnego dnia, kiedy Rita przyjdzie do hotelu na próbę.

Usłyszała pukanie do drzwi.

To był Stuart.

– Wiem, że muszę pani coś wyjaśnić... a poza tym chciałbym skończyć naszą rozmowę – rzekł.

– Nie teraz! – powiedziała wymijająco. Nadal nie wiedziała, jak ma zareagować na jego propozycję wspólnego powrotu do Anglii. – Jestem bardzo zmęczona.

– Zatem jutro?

– Może... Dobranoc!

Czym prędzej zamknęła drzwi.



Ale kiedy już leżała w łóżku, sen nie nadchodził. Cały czas wspominała słowa Stuarta; próbowała sobie wyobrazić jego nieszczęsną żonę porzuconą w jakimś górniczym miasteczku. Takie postępowanie niewątpliwie dowodziło jego bezduszości. Bardzo polubiła tego mężczyznę, ale była niemal pewna, że jej rodzice nie zaakceptowałyby go, zwłaszcza gdyby wiedzieli, że już miał żonę, którą porzucił. A poza tym to nie w nim była zakochana, tylko w Jonathanie! Tyle że dotychczas nie wiedziała, czy i on ją kocha... A nawet jeżeli, to wyraził się całkiem jasno, że nigdy stąd nie wyjedzie. Nie mieli zatem wspólnej przyszłości...

A więc...? Może powinna rozważyć propozycję Stuarta? Z pewnością był bardzo przystojny. Matce może się nie spodobać, że jest starszy... Chociaż nigdy jej nie wyjawiał swojego wieku, sądziła, że może mieć trzydzieści kilka lat; ojciec zaś na pewno będzie chciał znać jego pochodzenie. Była prawie pewna, że poszukiwanie złota i włóczenie się Stuarta nie zadowoli ojca. Był doskonałym przyjacielem, który potrafił ją rozśmieszyć, ale jako partner życiowy budził zbyt wiele wątpliwości. A teraz nawet nie była pewna, czy od początku myślał o małżeństwie i założeniu rodziny. Skoro porzucił jedną żonę, czego chciał od Arabellii?

Następnego rana, zaraz po śniadaniu, Arabella czekała na Ritę w salonie hotelowym. Aborygenka nadeszła z *didgeridoo* Jimmy'ego. Kiedy zobaczyła, że dziewczyna nie zmieniła zdania, poczuła ulgę, ale w dalszym ciągu była bardzo zdenerwowana, bo dotychczas nie ćwiczyła.

– Nie umiem grać na *didgeridoo* – wyznała.

– Ależ masz do tego odpowiednie płuca, Rito! – przekonywała ją Arabella. – Szybko się nauczysz. A zresztą nie musisz grać tego samego, co ja na fortepianie. Podawaj tylko dźwięk w tle, kiedy uznasz, że tak trzeba. Ja będę grała melodię, a wtedy ty mi podasz ton na *didgeridoo*. Spróbujmy!

Usiadła przy fortepianie. Zaczęła grać, po czym dała znak Ricie, która zaczęła nerwowo dąć w *didgeridoo*. Po chwili Rita przerwała.

– Nie! To nie brzmi dobrze – powiedziała, sądząc, że jej niezdarne próby gry niszczą piękną muzykę Arabelli.

– Nie spiesz się! – uspokajała ją Arabella. – Spróbujmy jeszcze, aż znajdziemy właściwą harmonię.

Pracowały półtorej godziny, wreszcie znalazły kilka utworów, w których, ich zdaniem, oba instrumenty brzmiały dobrze. Arabella była przejęta.

– Chodź, spróbujemy to zagrać przed publicznością! – zaproponowała. – Zaproś Lily i Missy, Jimmy'ego i Ruby. Ja ściągnę mężczyzn.

Mężczyźni obiecali już przedtem, że będą pracowali na podwórzu, żeby Arabella i Rita mogły mieć trochę spokoju.

Widząc zadowolenie Arabelli, Rita nabrała na tyle pewności siebie, żeby spróbować sił przed publicznością, więc wyszła, żeby sprowadzić kobiety i Jimmy'ego.

Arabella ściągnęła pracujących do salonu. Tam czekali na resztę, Rita jednak nie wracała. Arabella była zmieszana, nie wiedziała, czy Aborygenka przypadkiem nie zmieniła zdania.

– Jesteś pewna, że przyjdzie? – dopytywał się Jonathan.

– Tak... Bardzo jej się podobało, kiedy grałyśmy razem. To naprawdę brzmiało zachwycająco!

Czekali jeszcze przez kilka minut, ale Rita nie nadchodziła.

– Pójdę i zobaczę, co się stało – zaproponował Jonathan.

Kiedy wrócił, miał bardzo niewyraźną minę.

– Co się stało? – spytała Arabella. – Rita nie chce grać?

– Nie. Mam złe wiadomości... – rzekł Jonathan.

– Co takiego się stało? – Pomyślała, że może któreś z dzieci jest chore.

– Chodzi o Jimmy'ego. Niestety, odszedł od nas... na zawsze.

Arabella powstrzymała okrzyk.

– O nie... – jęknęła.

Jonathan wziął ją w ramiona i pocieszał.

– Pójdę po Terry'ego – zaproponował Les.

– W jakim celu? – chciał wiedzieć Jonathan.

– Jest taki przepis, że kiedy w mieście ktoś umiera, trzeba o tym zameldować – wyjaśnił Les.

Kiedy pojawił się Terry, wszyscy uzgodnili, że pójdą do Ruby i złożą jej kondolencje. Ale gdy dotarli do siedliska Aborygenów, zastali je opustoszałe. Żaden osobisty przedmiot nie wskazywał na to, że kiedykolwiek ktoś tu mieszkał. Nawet ogniska pogaszono, a popiół rozsypano, nie pozostawiając ani śladu.

– Gdzie są wszyscy? – spytała zaskoczona Arabella.

– Dopiero co tu byli! – zawołał Jonathan z niedowierzaniem. – Kobiety zawodziły i płakały, zwłaszcza Ruby, żona Jimmy'ego.

– Co do mnie, byłem pewien, że ich tu nie będzie – odezwał się Stuart.

– Dlaczego? – spytała Arabella.

– Poszli do obozu żałoby. Wrócą dopiero za jakiś czas.

– Obóz żałoby? – powtórzyła. Nigdy nie słyszała o czymś takim.

– To ich sposób okazywania żałoby – wyjaśnił Terry. – Kiedy w ich społeczności ktoś umrze, idą do buszu. – Tu zwrócił się do Jonathana. – Czy Jimmy umarł naturalną śmiercią? – spytał.

– Myślę, że tak – odparł Jonathan. – Widziałem jego ciało; nie było na nim żadnych widocznych ran.

Wtedy nie przyszło mu do głowy, że mogło to być morderstwo.

– Muszę to dokładnie sprawdzić! – stwierdził Terry. – Trzeba ich koniecznie odszukać.

Nie chcąc tracić czasu, ruszył w stronę posterunku policji po konia.

– A gdzie pochowają Jimmy'ego? – Arabella spytała Stuarta.

– Tego nam nie powiedzą – odparł. – W jakimś tajnym miejscu, jakie zna tylko jego klan... gdzieś na pustyni.

– Och... – Dziewczyna była zawiedziona.

A więc nie będzie się mogła z nim pożegnać. Bardzo się przywiązała do tego starego Aborygena: tyle dobrego zrobił dla nich wszystkich!

Jonathan ją zrozumiał.

– A może sami urządzilibyśmy małą ceremonię pożegnalną tutaj, w mieście? – zaproponował.

– Ależ to cudowny pomysł, Jonathanie!

Nieśmiało dotknęła jego ręki. Cóż to za nadzwyczajny człowiek! Nie, doprawdy, w Jonathanie było coś takiego, co chwytало za serce.

– Zrobimy to dzisiaj wieczorem, tuż przed zachodem słońca – powiedział.

– Może wtedy już Terry wróci i będzie wiedział coś więcej – dodał Stuart.

Aborygeni nie mogli daleko odejść pieszo, zatem Terry na pewno ich dogoni. Stuart z przykrością patrzył, jak Arabella trzyma Jonathana za rękę, ale dzięki temu zrozumiał, że łączy ich szczególna więź.

O siódmej wieczór wszyscy się zebrali na ceremonii uczczenia pamięci Jimmy'ego. Nawet Wally był obecny. Uroczystość zaczęła się w hotelu, gdzie Arabella zagrała na fortepianie znany jej żałobny hymn *Nie odejdziesz sam*. Nieśmiało odśpiewała pieśń.

Potem wyszli na dwór obok szopy na siano. Jakoś bardziej pasowało, żeby właśnie tam powiedzieć kilka słów na temat człowieka, który całe swoje życie spędził pod gołym niebem.

Terry wrócił wczesnym popołudniem i powiedział, że Jimmy umarł naturalną śmiercią i że Aborygeni zostali na pustyni, żeby w samotności przeżyć swój żal. Ale kiedy wrócą – nie wiedział.

Jonathan mówił o szacunku, jaki wszyscy żywili dla Jimmy'ego; o tym, jak zachował się po bohatersku, ratując ich na pustyni przed atakiem plemiennych Aborygenów. Potem, już bardziej prywatnie, powiedział, jak bardzo podziwiał jego zdolności tropiciela i wytrzymałość.

– To ogromna szkoda, że świat traci takich ludzi jak Jimmy, który miał nam tyle do zaoferowania! – mówił. – Dotychczas fotografowałem przede wszystkim pejzaże, ale prawdziwa Australia, którą świat powinien poznać, to ludzie. Aborygeni. Tacy ludzie jak Jimmy.

Wtedy Jonathan pokazał wszystkim zrobiony przez siebie portret Jimmy'ego. Patrzyli, jak wieszka fotografię na ścianie stodoły.

– Och, Jonathanie... – Po twarzy Arabelli płynęły łzy. – To cudowne... kiedy ją zrobiłeś?

Na fotografii Jimmy siedział jak zwykle przygarbiony. Miał na głowie swój zniszczony kapelusz, a z pobliskiego ogniska unosił się dym.

– Zrobiłem to zdjęcie kilka dni temu, kiedy siedzieliśmy przy ognisku – wyjaśnił fotograf. – Dzisiaj je powiększyłem. Wydaje mi się, że uchwyciłem to, co w Jimmym było najbardziej istotne: mądrość na jego twarzy i spokojną dobroć oczu.

– Wiesz co? Udało ci się w tej fotografii oddać jego duszę – rzekł Ted, głęboko wzruszony. Wszyscy zresztą byli wzruszeni, patrząc na dobrą twarz Jimmy'ego Wanganeena.

– Jimmy w którymś momencie trochę się pogubił, ale kiedy zaczął polować, żeby nas nakarmić, chyba znalazł wreszcie prawdziwy cel w życiu – dodała Arabella. – Był bardzo skromny, ale wiem, że doceniał nasze pochwały, kiedy podziwialiśmy jego zdolności myśliwskie i kucharskie.

– Zapamiętamy go na zawsze... – smutno powiedział Jonathan. – A ci, co wierzą w Boga, niech wiedzą, że On już przyjął Jimmy'ego do swojej owczarni i troszczy się o niego!

Kiedy Arabella się położyła, usłyszała pukanie. Zanim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i do środka wszedł Stuart.

Podszedł do niej, sięgnął po krzesło i postawił je przy jej łóżku.

– Czy teraz mogę z panią pomówić? – spytał. Zabrzmiało to równocześnie nieśmiało i dobitnie.

Wiedziała, że już dłużej nie może odkładać tej rozmowy.

– Tak – odrzekła po prostu.

– Wiem, że była pani wstrząśnięta, kiedy usłyszała, że byłem żonaty... – zaczął.

– Jak mógł ją pan porzucić? – powiedziała szczerze.

– To nie było tak... – przerwał.

– A więc jak? – spytała oskarżycielskim tonem.

Stuart milczał przez chwilę, starając się sformułować swoje zdanie na temat żony.

– Catherine była jedną z tych niewielu kobiet, które urządziły sobie życie w tej miejscinie... przy pomocy mężczyzn – wyznał. Spojrzał na Arabellę, niepewny, czy go zrozumiała.

Wpatrywała się w niego zmieszana.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – spytała.

– Ona... sprzedawała swoje względy... – powiedział, starając się jak najbardziej złagodzić przykrą prawdę.

– Sprzedawała? Względy? Była prostytutką? – rzuciła Arabella bez ogródek.

W pamięci mignął jej obrazek z dzieciństwa, kiedy to wyszła na spacer z nianią, a po ulicy obok nich spacerowały prostytutki. Niania coś tam mruczała pod nosem, a potem jej wytłumaczyła, co to za kobiety. Arabella miała wtedy chyba czternaście lat i była absolutnie zaskoczona, że takie rzeczy dzieją się na świecie.

Teraz wyznanie Stuarta, że jego żona była prostytutką, wprawilo ją w zakłopotanie.

– Było mi jej żal, bo mężczyźni w mieście ją wykorzystywali, nawet się nad nią znęcali – opowiadał

Stuart, jakby się bronił. – Ale mimo że tak ją traktowano, nadal zachowała złote serce.

– Ożenił się pan z nią z litości?

– No, niezupełnie. Któregoś dnia bardzo się upiłem... – mówił dalej Stuart, czerwieniąc się, kiedy się zorientował, jak to zabrzmiało. – Byłem w euforii po jakiejś małej wygranej i Catherine... hmm... pomogła mi w świętowaniu. Im więcej piliśmy, tym szczerzej opowiadała mi o swoim życiu, które było jedną wielką tragedią... Dałem się ponieść emocjom. Z pewnością to było głupie, ale pobraliśmy się.

Arabella nie wiedziała, co powiedzieć.

– Już następnego dnia wiedzieliśmy, że to był błąd, ale żadne z nas nie miało odwagi, by powiedzieć to głośno.

– I dlatego pan ją opuścił? Bez słowa?

– Nie, tego bym nie zrobił... – Stuart był zbulwersowany, że Arabella uważa go za kogoś takiego. – Było mi jej strasznie żal, ale wiedziałem, że nie mogę spędzić z nią całego życia tylko z litości! Nie kochałem jej. Ale Catherine była naprawdę dobrym człowiekiem.

– Była prostytutką! – Arabella czuła rosnące przerażenie.

– Tak, ale zmusiła ją do tego konieczność.

Arabelli zabrakło tchu.

– Wolałabym sprzątać klozety!

– Nie mogę liczyć na to, że mnie pani zrozumie, Arabello. Jest pani jeszcze bardzo młoda i nie ma pojęcia, co może spotkać kobietę bez rodziny, która trafi na ciężkie czasy. Mimo tak okropnego życia, w jakim wyrastała Catherine, mimo że górnicy ją bili i dręczyli, nadal oddałaby ostatni grosz potrzebującemu. Niestety, popełniłem błąd, ponieważ jej nie kochałem. Nie byłem w stanie udawać, że nie żałuję swojego małżeństwa.

– I co pan wobec tego zrobił?

– Przetrwaliśmy jakiś czas, skrzepowani, ale wiedziałem, że muszę odejść. Zostawiłem Catherine wszystkie pieniądze, wystarczająco dużo, by rozpoczęła nowe życie, i wyjechałem z miasta.

– A ona? Wyjechała?

– Nie wiem, ale mam nadzieję, że tak. Wiem, że też mnie nie kochała. Ale niech pani nie myśli, że nie czułem się fatalnie, kiedy ją opuściłem. Trzeba jej oddać, że do końca zachowała się dzielnie, a ja dałem jej możliwość zmiany całego życia. Czy to zrobiła, to już tylko jej sprawa.

– Dziękuję za wyjaśnienie, ale to wcale nie było potrzebne – rzekła Arabella, wstając z łóżka.

– Chwileczkę – zatrzymał ją Stuart. – To było potrzebne, bo naprawdę poważnie mówiłem o tym, że chcę wrócić do Anglii z panią i jej rodzicami.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Wykręca się pani, bo usłyszała o moim małżeństwie...

– Nie... to znaczy, niezupełnie. Po prostu nie chcę, żeby podejmował pan tak ważną decyzję, opierając się na tym, co pan – we własnym mniemaniu – czuje do mnie. To za duże poświęcenie.

– Ależ ja wiem, że to, co do pani czuję, jest prawdziwe, a swojej decyzji nie podjąłem ot tak, lekko!

– Ożenił się pan pod wpływem kaprysu. Nie pozwolę, żeby zrobił pan to jeszcze raz.

– To nie żaden kaprys. Naprawdę darzę panią głębokim uczuciem. Od chwili, kiedy panią poznałem, zmieniłem się. Nigdy nie przypuszczałem, że potrafię się tak zaangażować, a jednak to prawda.

– Proszę mi wybaczyć. Nie wiem, co o tym myśleć. Muszę się zastanowić, czego właściwie chcę.

– Rozumiem. Może pani się zastanawiać, jak długo pani potrzebuje.

Przez pierwsze kilka dni po tym, kiedy sierzant Menner powiedział im, że kilku Aborygenów wybrało się wzdłuż linii kolejowej do Marree, Edward i Clarice czuli podniecenie. Clarice o wiele częściej wychodziła z pokoju w hotelu, a nawet szła z Edwardem na kolację. Mąż uznał to za bardzo dobry znak.

On też od tej pory unikał barów. Rozmawiali z żoną o tym, jak mogliby dotrzeć do Arabelli, jeżeli żyje gdzieś na pustyni w jakimś aborygeńskim obozie. Zastanawiali się też, jak ich córka daje sobie radę.

Ale czas mijał, a z każdą upływającą chwilą nadzieje Clarice coraz bardziej blakły. Wiedziała, że zanim czegokolwiek się dowiedzą, może minąć wiele tygodni... ciągle jednak, każdego dnia, liczyli na jakąś wiadomość. Clarice obliczyła, że wieść o tym, gdzie może się teraz znajdować Arabella, powinna do nich wrócić w ciągu dwunastu dni. Skąd wzięła to przekonanie, nie wiadomo. Było zupełnie pozbawione logiki, zwłaszcza że Clarice nie miała pojęcia, ile plemion Aborygenów żyje na pustyni, ani jak daleko od siebie – dla niej jednak ta liczba była wiarygodna. Kiedy minął dwunasty dzień, znowu zaczęła odczuwać bóle serca. A trzynastego dnia – zniknęła.

Edward wprost wychodził z siebie, kiedy nie znalazł żony ani w hotelu, ani w żadnym ze sklepów w mieście. Poszedł nawet na posterunek policji. Wiadomość o jej zniknięciu bardzo zaniepokoiła sierżanta Mennera: bał się, że depresja mogła skłonić Clarice do targnięcia się na życie. Nie powiedział tego jednak. Nie wiedział, że i Edward myślał to samo...

– Możliwe, że panikuję bez powodu – wyznał Edward. – Po prostu...

– Wiem – przerwał mu sierżant. – Gdyby pan nie znalazł żony w ciągu godziny, proszę tu wrócić.

Modlił się w duchu, żeby Clarice nie powędrowała na pustynię.

Edward nie miał pojęcia, gdzie jeszcze mógłby jej szukać. Wydawało mu się, że zajrzał dosłownie wszędzie, kiedy nagle coś mu przyszło do głowy.

Udał się na stację kolejową, która składała się raptem z jednego peronu przysłoniętego daszkiem.

Z westchnieniem ulgi dojrzał Clarice siedzącą na peronie, wpatrzoną w daleką przestrzeń pustyni. Zbliżył się i usiadł obok niej, w ciszy, którą mąciło tylko brzęczenie much. Przez kilka minut żadne z nich nie przemówiło ani słowa. Wziął żonę za rękę i mocno uściśnął.

Clarice nadal patrzyła w przestrzeń. Ziemia pustyni była czerwonobrazowa, usiana szarymi krzewami akacji. Linie horyzontu mąciła tylko od czasu do czasu kępa kilku drzew. Na nieskończonym błękitnie nieba jaśniała oślepiająca kula słońca, która paliła i piekła wszystko na ziemi.

Clarice myślała o swojej kochanej córeczce.

Siedziała w tym samym miejscu już od wielu godzin, wspominając wspólne lata z Arabellą, poczynając od czasów jej niemowlęctwa. W końcu doszła do bolesnej chwili, kiedy widziała ją ostatni raz. Gdyby tylko córka zgodziła się wtedy wieczorem pójść z nimi. Gdyby byli razem z nią odrobinę dłużej!

Clarice patrzyła na drżące od upału powietrze. Przyszła jej na myśl cera dziewczyny, delikatna jak płatki lilii, jej bóle głowy czy częste kłopoty żołądkowe. Próbowwała ją sobie wyobrazić jedzącą to co Aborygeni: pędraki, węże... albo pijącą wodę znalezionej w ziemi! Przecież Arabella nie byłaby w stanie czegoś takiego znieść! Łzy zakręciły się w oczach matki. Spojrzała na męża.

– My się po prostu oszukujemy, Edwardzie – powiedziała. – Przecież Arabella nie mogłaby tam wytrzymać nawet pięciu minut! – Odwróciła się i znowu wpatrzyła w surowy krajobraz.

Edward chciał zaprotestować – być może tylko po to, żeby oszczędzić swojej żonie cierpienia – ale go powstrzymała.

– Nie, Edwardzie, nie rób mi już więcej obietnic. Nie mogę już dłużej żyć wyłącznie nadzieją. Muszę się pogodzić z tym, że moja najdroższa córeczka odeszła... ty też musisz. W przeciwnym razie stracimy resztki zdrowego rozsądku.

– Ale jak to zrobimy, Clarice? Nie mając ciała... czegokolwiek, co moglibyśmy pochować? Jak możemy jej pozwolić tak po prostu zniknąć z naszego życia?

Clarice przysłoniła oczy dłonią i wpatrzyła się w niezmierzony błękit nieba.

– Jeżeli uwierzmy, że ona teraz jest gdzieś tam – popatrzyła w niebo – a nie tutaj – wskazała na

pustynię – wówczas uwierzmy, że znalazła spokój...

Po policzku Clarice popłynęła łza.

Edward podał jej chusteczkę, ale i on miał oczy pełne łez.

To nie było w porządku, że nie mieli jej ciała, które mogliby zawieźć do domu, ani że nigdy nie będzie nawet jej grobu, na którym mogliby się pomodlić...

– Najgorsze jest to, że nie wiemy, co się właściwie stało – mówił do żony. – Gdybyśmy to wiedzieli, albo gdybyśmy ją znaleźli, moglibyśmy się jakoś z tym pogodzić... Moglibyśmy dalej żyć, z trudem co prawda, ale zawsze...

Clarice zrozumiała, że jej depresja jest dla męża dodatkowym ciężarem i że cierpi dokładnie tak samo jak ona. Zrozumiała, że była samolubna, pozostawiając go bez pocieszenia. Stracił córkę – tak samo, jak i ona. Teraz dostrzegła, jak bardzo schudł, że przez te kilka tygodni postarzał się co najmniej o dziesięć lat. Włosy mu posiwiały, twarz pokryły głębokie zmarszczki, których przedtem nie widziała; ale najbardziej przytłaczający był głęboki smutek w jego oczach.

– Tak mi przykro, że cię nie wspierałam – szepnęła zduszonym głosem, a po twarzy znów jej popłynęły łzy. – Byłam taka samolubna!

– Nie, kochanie, to nieprawda. Uratowałam mnie przed obłędem.

Była zaskoczona. W jaki sposób mogła to zrobić?

– Bo, gdybyś była silna, pozwoliłabyś mi załamać się psychicznie i wpadłbym w jakąś czarną dziurę, z której już nie ma powrotu.

Dolna warga Clarice zadrżała.

– Znam tę czarną dziurę – rzekła. – Chyba ją widziałam...

Edward ujął jej rękę.

– Powiedziałaś, że już nie chcesz więcej obietnic, ale pozwól mi jeszcze na jedną... dla nas obojga – poprosił.

Clarice skinęła głową.

– Bądźmy silni... dla siebie nawzajem i dla Arabelli. Jestem pewien, że była dzielna...

Clarice przez chwilę trwała z zamkniętymi oczyma. Oboje wiedzieli, że to pewnie nie jest prawda. Arabella była zbyt uzależniona od nich.

– Ale mamy cudowne wspomnienia, prawda, Edwardzie? – spytała Clarice.

– Tak, oczywiście – odparł, biorąc ją w ramiona. – I mamy siebie nawzajem.

Następne kilka dni zdawały się ciągnąć w nieskończoność: wszyscy czekali, aż Aborygeni wrócą ze swego obozu żałoby.

Pewnego popołudnia w hotelu zjawił się hodowca bydła. Twierdził, że wraca z Fariny, i powiedział Jonathanowi, że chciałby się zobaczyć z panną Fitzherbert, bo ma dla niej wiadomość.

Szybko wypił jedno piwo, po czym Jonathan posłał go na tyły hotelu, do szopy. Ustawiono tam fortepian, który Arabella przykryła plandeką. Ale mimo to i tak musiała go codziennie odkurzać i sprawdzać, czy nie jest rozstrojony. Wyniesienie instrumentu z hotelu było potężnym przedsięwzięciem, a Arabella musiała stale pilnować, żeby nikt go nie uszkodził. W drzwiach się nie mieścił, co wszystkim bardzo zdziwiło, bo przecież jakimś sposobem wniesiono go do hotelu. Wreszcie Jonathan wpadł na pomysł, że jedyne, co można zrobić, to wymontować wielkie okno w salonie. Zrobili to i bardzo ostrożnie wydostali fortepian na zewnątrz.

– Dzień dobry, panno Fitzherbert – powitał Arabellę mężczyzna. – Nazywam się Mike Cole. Jestem hodowcą bydła w Red Hill Station.

– Red Hill Station? To tam, gdzie mieszkają Quiggleyowie?

– Właśnie, panienko. Pani Quiggley przysyła pani wiadomość.

– Och... – rzekła Arabella, biorąc podany jej list. – Zatrzyma się pan na noc?

– Tak, panienko... Nie ma pani nic przeciwko temu?

– Ależ skąd! Jestem pewna, że napije się pan piwa – powiedziała. Wiedziała aż za dobrze, jaka to męcząca podróż, a dzień był bardzo upalny.

– Przed chwilą wypilem, ale ledwie zwilżyło mi gardło. Żeby splukać cały kurz, potrzebuję co najmniej kilku.

– Proszę iść – zaprosiła gościa Arabella. – I dziękuję! – Pomachała kopertą.

Kiedy hodowca zniknął w barze, Arabella spojrzała na kopertę od Moiry. Zastanawiała się, czy czasem nie zawiera złych wiadomości o stoiskach albo o piwie. Szybko przejrzała list i pobiegła do Jonathana.

– Właśnie dostałam list od Moiry – zawołała zdyszana.

– Co pisze? – spytał zaniepokojony.

– Moira mówi, że wszystko idzie dobrze! Już zorganizowała sześć stoisk; obiecano jej mnóstwo świeżego chleba, sosów i konserw na grilla. Wszystko to za darmo. Czy to nie cudowne?

Arabella i Jonathan bardzo się martwili, że będą musieli upiec mnóstwo chleba. Nie mieli przecież mąki, a nawet gdyby była, musieliby piec bochenki całymi dniami; w dodatku przy tym upale na pewno by szcerstwiały.

– To wspaniała wiadomość – przyznał zadowolony.

– Poza tym napisała coś na temat piwa od Dave’a. Powiedział jej, że produkcja idzie dobrze. Nie może zrobić go dużo, bo nie ma dość wody, ale ta partia wyszła mu dobrze.

Jonathan był uszczęśliwiony.

– Jest cudowna! – pochwalił Moirę. Co prawda Ruth Maxwell nie wyrażała się o niej zbyt pochlebnie, ale w tej chwili był pewien, że kobieta potrafi działać.

– Moira twierdzi, że wieść o uroczystości rozeszła się błyskawicznie, nawet do niektórych odległych miejsc na północy. Czy to nie cudowne, Jonathanie?

– Rzeczywiście. Mówiłem ci, że to właśnie tak działa!

Arabella spojrzała na niego. Serce rozpierała jej miłość. Gdyby w tej chwili nie siedział tu Mike Cole, pewnie wyrzuciłaby z siebie, co czuje. Jonathan był taki bezinteresowny! Zawsze pragnął dla niej wszystkiego, co najlepsze – i było jasne, że jej szczęście znaczyło dla niego więcej niż własne. Jak mogłaby nie kochać takiego człowieka?

Tego wieczoru zaprosiła go na przechadzkę. Poszli razem do stodoły, gdzie zagrała na fortepianie. Muzyka wypełniająca ciche nocne powietrze wzmocniła jej uczucia. Czuła, że to, co gra, wzruszyło Jonathana. Teraz, kiedy nad ich głowami migotały gwiazdy, a w oddali słychać było świerszcze, stwierdziła, że powinna mu wyznać prawdę. Ryzykowała koniec ich przyjaźni, ale nie potrafiła już dłużej się powstrzymać.

– Jonathanie... – zaczęła. – Kiedy tutaj trafiłam, marzyłam tylko o tym, żeby stąd odejść.

– Wiem – odparł. – Często mi mówiłaś, jak bardzo nienawidzisz tego miejsca.

Omal się nie uśmiechnęła.

– To się zmieniło – wyznała. – Ja się zmieniłam.

– Tak, to prawda – zgodził się. – Ale wiedziałem, że pewna cudowna kobieta kryje się za tym... – próbował znaleźć właściwe określenie.

– ...za tym zepsutym bachorem, którym byłam – dokończyła Arabella.

Jonathan się zaczerwienił.

– Nie tak bym to ujął...

– Wiem, że nie, bo jesteś na to za grzeczny! Ale właśnie tak było! A zmianę charakteru zawdzięczam

przede wszystkim tobie.

– Mnie? – zdumiał się.

– Tak! Jesteś cudowny... i otworzyłeś mi oczy na tak wiele spraw! Jesteś bezinteresowny, patrzysz na świat tak, jak lubię! – Poczują, że się rumieni. – Ogromnie cię polubiłam! – dodała.

Serce Jonathana zaczęło bić szybciej.

– I ja cię bardzo polubiłem, Arabello. Będę tęsknił, kiedy odjedziesz... Bardziej, niż przypuszczasz. Postanowiła spróbować szczęścia.

– A może... pojechałbyś ze mną i moimi rodzicami do Anglii? – spytała nieśmiało.

Twarz Jonathana posmutniała. Arabella już wiedziała, że popełniła błąd.

– Nie, Arabello! Nie, mimo że cię kocham. Nie mogę. Moje życie jest tutaj... a twoje tam.

To wyznanie dużo go kosztowało, zwłaszcza że miał w pamięci Stuarta Thompsona...

Arabella spuściła głowę, by nie zobaczył, że płacze.

– Może, gdybyśmy się spotkali w innym miejscu i czasie...

– Ale los chciał, żeby to było tu i teraz! – przerwała. – I to z pewnością coś znaczy. Jestem pewna, że to, co przeżyłam, miało mnie zmienić. Przedtem nigdy nie byłam zakochana, ale teraz wiem, że to, co do ciebie czuję, to miłość, prawdziwa miłość! Miałam nadzieję, że ty czujesz to samo... ale teraz widzę, że zrobiłam z siebie idiotkę!

Czuła, jak twarz jej płonie.

– Nie, Arabello. Ja naprawdę cię kocham, już od jakiegoś czasu. Kiedy odejdziesz, serce mi pęknie... Ale gdybym mieszkał w dużym mieście, byłbym tam z pewnością bardzo nieszczęśliwy. A gdybym był nieszczęśliwy, czy mógłbym uszczęśliwić ciebie? Moją żonę?

Marzył o tym, żeby pokochała życie tutaj; tak świetnie sobie radziła! Ale prosić, żeby tu została na zawsze...? Nie, to by znaczyło żądać od niej zbyt wiele!

– Ale...

– Rozumiem, co czujesz, Arabello. Miałem nadzieję, że zostaniemy na zawsze razem, bo moja miłość do ciebie rosła z każdym dniem. Ale teraz widzę, że to niemożliwe. Wtedy musiałybyś zacząć żyć tak, jak ja żyję, a to coś, o co nie mógłbym cię prosić. To otoczenie na dłuższą metę jest dla ciebie zbyt surowe.

Arabella była tak przejęta myślą, że Jonathan ją kocha, że w pierwszym odruchu chciała zaprzeczyć; po chwili jednak się pohamowała. Była w stanie znosić życie w Marree, ale wiedziała, że na stałe – nie potrafiłaby. Musi zapomnieć o Jonathanie, mimo że to złamie jej serce.

– Chciałabym, żeby było inaczej – szepnęła wreszcie.

Pomyślała o Stuarcie. Ten chciał poświęcić swoje życie w Australii po to, żeby być z nią.

Zrozumiała, że musi ją bardzo kochać... może powinna zwrócić swoje uczucia ku niemu?

– I ja, wierz mi. Ale celem mojego życia jest fotografowanie buszu. Po śmierci Jimmy’ego, wiem, że mam ważną misję do spełnienia: powinienem poprzez swoje fotografie pokazać całemu światu, kim są Aborygeni. Gdybym miał siedzieć w studiu w wielkim mieście i robić portrety, to by mnie zabiło.

– Wiem, Jonathanie. I nigdy cię nie poproszę, żebyś przestał robić to, co kochasz.

Oczy mu zasły mgłą ze wzruszenia.

– Właśnie dlatego cię kocham! – powiedział i przyciągnął ją do siebie.

– Ale będziemy mogli nadal się kontaktować, prawda? – szepnęła mu do ucha.

– Tak... bardzo bym chciał... – wyszeptał.

Następnego ranka Jonathan z niezadowoleniem odkrył, że Wally, Les i Ted zrzucili siano ze stodoły tuż obok generatora.

– To raczej nie jest najlepsze miejsce – beszał Wally’ego, kiedy tak stali przed stertą siana.

Nie zostało już wiele jedzenia, ale Jonathana niepokoiło paliwo, które ciągle wyciekało z generatora.



Miał nadzieję, że siano nie leży tam, gdzie jest przeciek, inaczej może zostać zanieczyszczone.

– Wszystko będzie w porządku, Jonno – pocieszał go Wally. – Nie poleży tu długo. Koncert jest już za parę dni. A potem wrzucimy je do stodoły, jak przedtem.

– Uważaj tylko, żeby tu w pobliżu nikt nie palił – ostrzegł Jonathan.

– Jasne! – odparł Wally.

Jonathan spojrzał na niebo.

– Przy naszym szczęściu za parę dni zacznie padać – rzekł.

Niebo było zachmurzone i szare; ten widok był raczej niezwykły. Daleko nad horyzontem wisiały ciemne chmury.

– Nie założyłbym się – powiedział Wally. – Może i będzie burza z piorunami, ale na razie jest daleko od nas; poza tym wiesz, że z takich burz prawie nie ma deszczu. Jedno jest pewne: w ciągu pięciu lat w Marree nie może padać aż dwa razy!

Clarice siedziała w ogródku piwnym na tyłach hotelu Central przy Todd Street. Był późny ranek dwudziestego pierwszego grudnia, na szczęście nie tak gorąco, jak bywało tu późnym popołudniem. Poza tym ogródek był częściowo zacieniony, osłaniała go bowiem pergola z rosnącą na niej winoroślą. Znajdował się tam mały trawnik otoczony innymi roślinami, których nigdy przedtem nie widziała, a które teraz zwróciły jej uwagę.

W ciągu dnia ogródek bywał zwykle pusty. Ponieważ oboje z Edwardem musieli tu tkwić aż do uruchomienia pociągu, tylko w tym miejscu udawało im się zażyć samotności. W tym swoistym sanktuarium Clarice mogła być zupełnie sama ze swoimi myślami i cierpieniem. A co ważniejsze, mogła tu płakać, nie będąc przez nikogo widziana. Apetyt jej się trochę poprawił i zaczęła odzyskiwać nieco ciała, ale nic jej nie smakowało tak jak dawniej.

Była trochę niezadowolona, kiedy jej samotność zakłóciło wejście dwóch kobiet z trójką małych dzieci. Zamówiły lemoniadę, a dzieciaki zaczęły się bawić na trawniku zabawkami, które matki widocznie im kupiły w sklepie Czerwonego Krzyża – jednym z wielu otwartych w dobie Wielkiego Kryzysu. Zabawki były już dobrze zużyte, ale dzieciakom to nie przeszkadzało.

Clarice starała się nie zwracać uwagi na nowych gości; panie jednak usiadły tak blisko niej, że mogła słyszeć ich rozmowę. Przez chwilę rozważała wyjście z ogródka, ale uznała, że dzieciom szybko się znudzi zabawa, a wtedy kobiety zostawią ją w spokoju. Zresztą nie bardzo miała dokąd pójść, chyba że wróciłaby do pokoju, w którym już i tak spędzała stanowczo za wiele przykrych godzin.

Z rozmowy pojęła, że nieznanym często się spotykały w mieście. Jedna wspomniała, że pochodzi z miejsca, które nazywała Eastern Ridge i że jej miejscowość od dawna boryka się z suszą. Kobiety mówiły o trudach, jakie muszą znosić, mieszkając na takim odludziu – i o tym, jak wspaniałe jest życie w mieście.

Clarice nie mogła zrozumieć, jak ktokolwiek mógł być zachwycony Alice Springs. Miasto otaczały jałowe tereny i pustynia, no i jeszcze rzeka Todd, która w tej chwili była po prostu marnym ściekiem. Stale panował tu koszmarny upał, a sklepy? No, raczej trudno je byłoby porównywać ze sklepami w Londynie! Nie rozumiała, jak ktoś może uważać Alice Springs za piękne miasto.

Nie potrafiła również wyobrazić sobie życia w całkowitej izolacji, na pustyni. Kobiety mówiły, że sklepy spożywcze otaczają roje owadów, a pojemniki na wodę już dawno wyschły, zaś woda, którą można pić, pochodzi z odwiertów w ziemi i smakuje okropnie. Ich życie było prawdziwym koszmarem; Clarice zastanawiała się, kim musi być mężczyzna, który zmusza żonę do takiej męki – i jaka kobieta potrafi z nim iść przez życie.

W końcu obrzuciła sąsiadki ciekawym spojrzeniem.

Wyglądały zupełnie tak samo jak inne. Były dobrze ubrane, w jasne letnie suknie, nie nowe, ale

czyste; kiedy weszły do cieniściego ogródka, zdjęły z głów wielkie szerokoskrzydłe kapelusze. Ich dzieci – mniej więcej dwuletni chłopczyk i dwie dziewczynki, najwyżej pięcioletnie – też były dobrze ubrane; kiedy jednak Clarice przyjrzała im się bliżej, dostrzegła, że ich skóra jest opalona na zdrowy, brązowy kolor. Zrozumiała, że mężowie pań poszli pewnie do hotelowego baru.

Po chwili wróciła do swoich marzeń na jawie, przywołując w pamięci szczęśliwe dni w Anglii, kiedy Arabella była taką dziewczynką jak te tutaj. To były naprawdę beztrudne dni... ale takie życie już nigdy nie wróci.

I, jak to się ostatnio często zdarzało, kiedy myślała o tamtych szczęśliwych czasach w rodzinie, oczy jej napełniły się łzami. Mogła sobie pozwolić na słabość, bo w pobliżu nie było Edwarda i nie musiała udawać.

W pewnym momencie jedna z pań wspomniała coś o pociągu; to ponownie zwróciło uwagę Clarice na ich rozmowę. A kiedy nieznajoma w zielonej sukni powiedziała, że pociąg powinien ruszyć już za dwa dni, Clarice westchnęła w duchu. Ileż razy Edward mówił jej to samo! I zawsze kończyło się to jakimś opóźnieniem.

– W Wigilię wybieramy się na uroczystość do Marree – rzekła ta sama pani. – Usłyszałam o niej w miejscowej radiostacji. Podobno ma być koncert!

Ach, te miejscowe radiostacje, pomyślała Clarice z goryczą. Były jedyną nadzieją Fitzherbertów: a nuż usłyszą coś o Arabelli? Lokalne radiostacje były dość powszechne na Wyżynie Zachodnioaustralijskiej... Niestety, wkrótce już wiedzieli, że na taką radiostację stać tylko szpitale albo bardzo zamożne miasteczka. A niestety ani Marree, ani żadna pobliska miejscowość takiej nie miała.

– Naprawdę? – ucieszyła się druga pani. Była ubrana w żółtą suknię i miała ciemnobrązowe włosy. – Mówisz, że będzie koncert? Może i my się wybierzemy? Pojedziecie pociągiem?

– Tak, już zarezerwowaliśmy bilety. Ma grać jakaś pianistka, słyszałam, że jest cudowna!

Clarice natychmiast poczuła ukłucie bólu w sercu: jej myśl pobiegła do tych dawnych dni, kiedy słuchała, jak Arabella gra na fortepianie. Była bardzo uzdolniona, tyle że Clarice wiedziała, że jej córce brakuje pewności siebie. To była zresztą jedna z przyczyn, dla której ona i Edward zabrali Arabellę ze sobą w podróż. Byli przekonani, że pozna nowych ludzi i zobaczy inny kraj, i dzięki temu uwierzy w siebie.

– Co to za pianistka? – spytała ciemnowłosa.

– Nie wiem, jak się nazywa, ale jest na pewno młoda i bardzo utalentowana. Wszyscy o niej mówią. Słyszałam, że grała już dla postrzygaczy byłą i innych gości hotelu Great Northern i że wszyscy byli zachwyceni!

Clarice słuchała tego z zapartym tchem.

– Skąd się tam wzięła?

– Nie wiem... w każdym razie jest w Marree od niedawna i zdaje się, że nikt nie wie, co ona tam robi – odpowiedziała pani w zielonej sukni.

Clarice była w szoku. Przez myśl przebiegły jej miliony pytań. Na pewno... one nie... nie, one nie mogły mówić o Arabelli! Serce tłukło się jej w piersi, ale próbowała sobie wmówić, że nie powinna czepiać się złudnych nadziei.

Naturalnie, ta pianistka, to nie mogła być Arabella! To po prostu niemożliwe. Nawet, gdyby jakimś cudem przeżyła, z pewnością nie grałaby na fortepianie w jakiejś odludnej miejscinie. Robiłaby wszystko, żeby się dostać do Alice Springs i dać im znać, że żyje... Ale... ta kobieta powiedziała, że pianistka jest młoda i utalentowana... Przecież i Arabella była młoda i bardzo utalentowana!

– Może spytam Milтона, czy i my nie moglibyśmy pojechać na ten koncert... – rzekła ciemnowłosa. – Popilnujesz przez chwilę małego Eddie'ego?

– Naturalnie, idź!

Ciemnowłosa kobieta wstała i weszła do hotelu.

Clarice zwróciła się do tej drugiej.

– Proszę mi wybaczyć... – zagadnęła. – Właśnie usłyszałam, że panie mówią o jakimś koncercie w Marree.

– O, tak! – odparła sąsiadka w zielonej sukni. – To naprawdę niezwykle! Rzadko mamy w naszych stronach prawdziwą kulturalną rozrywkę!

Clarice z trudem wydobywała słowa.

– Czy... czy ta pianistka przyjechała tam z jakiegoś dużego miasta?

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Usłyszeliśmy o niej przez radio... czasami są straszne zakłócenia.

– Nie wie pani... czy ta dziewczyna ma dziewiętnaście lat?

– Nikt o tym nie wspomiał, ale to możliwe.

– Czy nazywa się... Arabella Fitzherbert?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

Clarice była załamana. Czy ta kobieta w ogóle coś wie?

– Wszystko, co wiem, to że w wigilię Bożego Narodzenia w Marree ma się odbyć koncert – rzekła dama. – Pociąg nas tam zawiezie.

W tym momencie kobietę w zielonej sukni odciągnęły dzieci, które zaczęły się gwałtownie sprzeczać o zabawkę.

Clarice wstała i pobiegła do hotelu. Musiała znaleźć Edwarda! Weszła do ich pokoju i zawiedziona stwierdziła, że go tam nie ma. Nie wiedziała, gdzie go szukać, więc usiadła i zaczęła myśleć o tym, co przed chwilą usłyszała. Czy to możliwe, że młodą pianistką jest Arabella?

Clarice czuła chaos w głowie: jej nastrój zmieniał się co chwila – od radosnego podniecenia do głębokiej rozpacz. Po prostu niemal wychodziła z siebie.

W tym momencie drzwi się otworzyły i wszedł Edward.

– Wracam ze stacji. Pociąg jest właściwie gotów do drogi, kochanie...

Oczekiwał niechętej odpowiedzi i nie potrafił potępić za to żony. Mówił jej przecież to samo tyle razy w ciągu ostatnich tygodni!

– Wiem... – odrzekła Clarice niemal szeptem.

Oślupiał. Taka reakcja była ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał. Mógłby się założyć, że żona zrobi sarkastyczną uwagę.

– Skąd... skąd wiesz?

– Przed chwilą rozmawiałam w ogródku z pewną kobietą; ona mi o tym powiedziała. Już zarezerwowała bilety dla siebie i swojej rodziny.

Zauważył, że żona jest bardzo roztrzęsiona.

– Wiesz, że pociąg ruszy już za dwa dni?!

– To nieważne, Edwardzie. Usłyszałam coś naprawdę niesamowitego – oznajmiła. – Tylko co my z tym zrobimy?

Był zbity z tropu.

– Co takiego, kochanie?

– Podobno w tej miejscowości, w Marree, ma być koncert w Wigilię.

Im więcej o tym myślała, tym bardziej jej nadzieje rosły.

– Koncert? – powtórzył Edward. Nie rozumiał, czemu jego żona tak się tym przejęła.

– Tak, i jakaś młoda kobieta, pianistka, ma wystąpić na tej imprezie.

– Taaak... – Nadal nie pojmował, czemu Clarice tak bardzo poruszyła ta wiadomość. W oczach małżonki dostrzegł iskierkę, której nie widział od czasu zniknięcia Arabelli.

– Edwardzie, kiedy przejeżdżaliśmy tamtędy przed paroma tygodniami, nikt nie wspominał o żadnej pianistce!

Nagle Edward pojął, co żona ma na myśli.

– Nie sądzisz chyba...? – zaczął i natychmiast przerwał.

– Nie wiem, co mam myśleć! Czy to możliwe, żeby ta dziewczyna była naszą Bellą?

Łzy trysnęły jej z oczu, ale tym razem było jej wszystko jedno, że Edward je widzi. Zresztą i jego własne oczy się zamgliły.

– Arabella była znakomitą pianistką – powiedział Edward, blednąc. Był niemal przerażony myślą, że dziewczyna z Marree mogła być ich córką. Nie zniósłby jeszcze jednego zawodu – ani on, ani Clarice.

Usiadł na łóżku.

– Clarice, to nie może być Arabella. Nasza córka wypadła z pociągu, więc nie może teraz grać na fortepianie w jakiejś miejscowości o setki kilometrów stąd!

– Też tak myślałam, Edwardzie, ale kobieta, od której to usłyszałam, mówiła, że nikt nie wie, skąd się wzięła, ani co robi w Marree!

– Gdzie jest ta kobieta? Musimy sprawdzić, czy zna nazwisko tamtej dziewczyny!

– Nie zna jej nazwiska. Mieszka na kompletnym odludziu. O koncercie usłyszała przez radio. Powiedziała, że w przekazie były straszne zakłócenia, więc nie słyszała szczegółów. Edwardzie! My musimy odjechać stąd tym pociągiem! Musimy wysiąść w Marree i sprawdzić osobiście, kim jest ta dziewczyna.

Upewnili się, że w dalszym ciągu mają zarezerwowane miejsca w pociągu, który ma odjechać za dwa dni i przybyć do Marree w wigilijny poranek.

# Rozdział dwudziesty szósty

---

Arabelle zbudziły krople wody na twarzy i głośne, grzmiące łomotanie po blaszanym dachu. Spała dziś bardzo mocno i głęboko. Śniła o Jonathanie. Myślała, że to dalszy ciąg tego snu.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi i głos Jonathana. Zaspana usiadła na łóżku i zorientowała się, że za oknem panuje głęboka ciemność. Ale kiedy na jej twarz spadła kolejna kropla wody, zrozumiała, że nie śni.

Znowu padał deszcz.

– Tak?! – zawołała w odpowiedzi na dalsze pukanie do drzwi.

– Arabello, to ja, Jonathan!

– Wejdz! – Okryła się po szyję i odsunęła od wody ciekącej z sufitu. Nie uważała, że powinna zamykać drzwi na klucz, od czasu, kiedy Wally przeprowadził się do domu Frankiego Millera.

– Przyniosłem ci wiadro – powiedział Jonathan, wsuwając głowę przez drzwi. – Na dworze leje jak z cebra. – Otworzył szerzej drzwi i wsunął wiadro. Światło z korytarza wpadło do pokoju.

– Dziękuję! Właśnie obudziły mnie krople spadające na twarz, a potem usłyszałam, jak deszcz bije w dach. Myślałam, że to sen. – Zmrużyła oczy, przyzwyczajając je do światła.

– To raczej senny koszmar – rzekł Jonathan. – Deszcz obudził Lesa, Teda i Wally’ego, a kiedy zobaczyli światło, przyszli tutaj. Nie wierzą, że znowu pada. Pora nie mogłaby być gorsza, ale miejmy nadzieję, że to tylko chwilowa ulewa.

– Lepiej wstanę i poustawiam jakieś naczynia i talerze w pokoju Maggie i Tony’ego. Tam naprawdę solidnie ciekło!

– Już to zrobiłem – odparł Jonathan. – Niestety chyba w dachu jest więcej dziur niż poprzednio, a nie ma dosyć wiader, garnków i patelni, żeby je wszędzie porozstawiać. Powinienem był naprawić ten dach po ostatnim deszczu.

Arabella usłyszała przygnębienie w jego głosie. Nagle otworzyła szeroko oczy.

– Twoje fotografie! Jonathanie...

– Są bezpieczne.

Jonathan spędził wiele godzin na powiększaniu zdjęć, które chciał wystawić; Arabella pomagała mu je wybierać. Poukładał je pracowicie nastole u siebie w pokoju, a także na podłodze. Kiedy jednak deszcz go obudził, zebrał je czym prędzej i schował do skrzynki pod łóżkiem.

Arabella odetchnęła z ulgą. Fotografie Jonathana w powiększeniu były jeszcze piękniejsze. Był z nich naprawdę dumny.

– Nie miej do siebie pretensji z powodu dziur w dachu, Jonathanie! Po tym, kiedy wszyscy mówili, że tutaj pada tylko raz na pięć lat, naprawa dachu byłaby chyba przesadą! Wstanę, pomogę ci.

– Jeszcze nie ma piątej, a poza tym niewiele będziesz mogła zrobić – zapewnił ją Jonathan.

– Nie będę teraz mogła zasnąć! – zaprotestowała Arabella. Woda głośno pluskała, spadając do wiaderka postawionego na łóżku. Ten sam dźwięk dobiegał z pokoju Jonathana po drugiej stronie korytarza. – Muszę wysuszyć pościel.

– Aha, prawie zapomniałem: Ted powiedział, że w nocy wrócili do miasta Aborygeni.

– Naprawdę? – Arabella była bardzo zadowolona. Martwiła się o nich. – Nic im nie jest?

– Ted mówił, że nic.

– Chciałabym zobaczyć się z Ritą. Mam nadzieję, że jednak zagra ze mną na koncercie!

– Na pewno zagra!

„Jeżeli nie przestanie padać, nie będzie żadnego koncertu...” pomyślał, ale nic nie powiedział.

Jonathan zszedł na dół, podczas gdy Arabella się ubierała. Kiedy pojawiła się na dole, usłyszała czyjeś głosy. Ted, Les i Wally mówili w kuchni o sianie zrzuconym za szopą w pobliżu generatora.

– Teraz siano jest mokre, więc nie ma sensu go przynosić – tłumaczył Ted.

– Nie będziemy mieli czym nakarmić Bess – zaprotestował Jonathan. – Ani żadnego innego konia. Przecież trzeba je będzie karmić, kiedy przyjadą!

Arabella pomyślała o fortepianie.

– Fortepian nie zmoknie, prawda? – upewniła się, bo już się zaczynała denerwować.

– Nie bój się. Stoi przy tylnej ścianie stodoły, a tam nie kapie – zapewnił ją Jonathan. – Być może nogi trochę zmokną, jeżeli woda się tam dostanie, ale to wszystko.

– Ciekawa jestem, czy w Farinie też pada? – rzekła z myślą o Quiggleyach. – Dziś rano Moira z rodziną mieli wyjeżdżać, a piwo też już powinno być w drodze!

– Prawdopodobnie – potwierdził Ted. – Wielbłądy z piwem powinny tu dotrzeć, ale nie jestem pewien, czy konny wóz dojedzie. Jeżeli zaraz przestanie padać, może się uda.

– Ale równie dobrze mogą ugrzęznąć po drodze – wtrącił się Wally. – Pamiętam, kiedyś padało jak dziś, prowadziłem trzodę naszą „drogą”. Dosłownie ugrzęźliśmy w jednym miejscu prawie na tydzień... W niektórych miejscach błoto było aż po kostki. A było tak grzęzło, że musieliśmy je wyciągać. Niektóre sztuki osłabły i trzeba było je zastrzelić.

Arabelli gwałtownie popsuło to nastrój.

– Mam nadzieję, że Moira i jej rodzina dotrą do nas bez przygód – powiedziała.

Nagle aż podskoczyła: straszliwy huk rozległ się dosłownie nad ich głowami. Przez zasłonięte okna wpadło jaskrawe światło błyskawicy.

– Och, nie wiem, co zrobię, jeżeli Moira się nie pojawi – rzekła.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła, jak ludzie się schodzą, a tu nie ma ani stoisk, ani jedzenia, i tylko trochę piwa. Poczula się jak kompletna idiotka, i co gorsza, jak ktoś, kto przyczynił się do klęski Maggie i Tony’ego!

– Powinniśmy być szczęśliwi, że pada deszcz, ale że akurat teraz...

W porze lunchu uliczki Marree zmieniły się w strumienie czerwonego błota, a deszcz nie miał zamiaru przestać padać. Z każdą mijającą godziną Arabella była coraz bardziej przygnębiona. Ciągle myślała o biednej Moirze i jej rodzinie, jak próbują jechać wozem w rześistym deszczu i błocie. Taka podróż nawet podczas upału była trudna, ale w każdym razie możliwa! Widziała oczyma wyobraźni, że ugrzęźli i nie są w stanie ruszyć dalej, ani wrócić...

– Niewielka nadzieja, że damy koncert, co? – smętnie rzekł Jonathan, patrząc przez kuchenne okno na lejący deszcz.

Arabella spojrzała na niego, zdumiona. Pierwszy raz usłyszała zniechęcenie w głosie przyjaciela! Zawsze mogła polegać na tym, że Jonathan poprawi jej humor, ale tym razem to chyba nie było możliwe.

– Arabello, zrobiliśmy, co można – dodał. – Ale nie mamy wpływu na pogodę, prawda?

Arabella potrząsnęła głową i wróciła do okna. Nigdy dotąd nie widziała równie rześistego deszczu. Z dachu spływały dosłownie kaskady wody.

Błyskawice nadal przecinały niebo, w dalszym ciągu było słyhać potężne grzmoty. Arabella nie znała podobnych zjawisk i była całkowicie wytrącona z równowagi. Starając się znaleźć sobie jakieś zajęcie, spędziła cały dzień na górze: chodziła od pokoju do pokoju, opróżniała wiadra, garnki i patelnie. Wodę wylewała przez poręcz werandy. Takie marnowanie cennego płynu wydawało jej się wręcz przestępstwem, biorąc pod uwagę, jak ostrożnie trzeba się było zwykle obchodzić z każdą kroplą! Co jednak mogła zrobić? Pojemniki na deszczówkę były pełne, bo padało tak gęsto, że beczki w mig się

napełniły.

Arabella kilkakrotnie biegła w stronę szopy sprawdzić, czy fortepianowi nic nie zagraża. Grunt w szopie, otwartej z dwóch stron, był błotnisty, wszędzie pojawiły się kałuże, ale zamokło tylko kilka centymetrów nóg instrumentu. Była wdzięczna losowi, że dach tu nie przecieka.

Za każdym razem, kiedy tam wchodziła, rozglądała się za dziećmi Aborygenów, ale żadnego nie było w pobliżu. Kiedy padało ostatnim razem, bawiły się w błocie, ale teraz, kiedy bez przerwy na niebie migotały błyskawice, cieszyła się, że dzieci nie ma na dworze. Podczas jednej z takich wypraw do szopy ze zdumieniem zobaczyła małego Uriego: biegł przez deszcz w jej stronę.

– Uri! Skąd przyszedłeś? – zapytała.

Wielbłąd był przemoczony i wyglądał na wystraszonego. Starła się go uspokoić, głaszcząc po głowie.

– Wcale się nie dziwię, że cię ta pogoda przerażyła – powiedziała. – Szukasz mamy, prawda?

Młody wielbłąd przytulił się do jej boku.

– Pewnie chciałbyś być razem z Bess! – stwierdziła.

Po sprawdzeniu, że Paddy go nie szuka, zaprowadziła malca do stajni. Kiedy wpuściła go na podwórze, błyskawicznie wbiegł do środka i przytulił się do swojej opiekunki, kłaczy.

Arabella postanowiła nic o tym nie wspominać Jonathanowi. Pomyślała, że mógłby o tym powiedzieć Paddy'emu, który na pewno przyjdzie i zabierze małego. Zamknęła drzwi stajni.

– Jak myślisz? Gdzie teraz mogą być Rita, Lily i Missy? I ich dzieci? – spytała Jonathana, który nadal wyglądał przez okno.

– Nie mam pojęcia; ale boję się, że ich szałas nie daje schronienia.

– Myślę tak samo. Naprawdę się o nich martwię i dlatego chcę pójść i zobaczyć, czy nic im nie jest – oznajmiła.

– Nie możesz teraz wyjść! – zaprotestował.

– Nie mogę siedzieć w domu, w którym jest sucho i przyjemnie, i nie przejmować się nimi!

– Spytam Teda; może on wie, gdzie mogą teraz być – zaproponował.

Kiedy poszedł do baru, Arabella zajrzała do korytarza, gdzie na wieszaku zwykle wisi płaszcz deszczowy Maggie. Znalazła go i włożyła. Wiedziała, że Jonathan nie pozwoliłby jej pójść.

Wyszła zatem bez pytania.

Ale już po paru krokach pożałowała, że w ogóle to zrobiła. Brodziła po kostki w błocie i wodzie, a zygzaki błyskawic bez przerwy przecinały niebo, co ją niezmiernie przerażało. Poza tym deszcz padał tak mocno, że widziała tylko na metr przed sobą.

Wydawało się, że droga do obozu Aborygenów zajmuje jej wieki. Grzmiało złowieszczo, a serce Arabelli tłukło się w piersi jak oszalałe. Kiedy wreszcie dotarła do szałasów, gdzie zwykle obozowały kobiety, zobaczyła, że miejsce jest opustoszałe. Wołała po imieniu Ritę, Lily, Missy – niestety bez skutku. Szałas Jimmy'ego i Ruby niemal zawalił się pod ciężarem wody. Ruby zresztą także nie było. A ponieważ nie wiedziała, gdzie jeszcze mogłaby ich szukać, zawróciła do hotelu.

Nagle tuż przy Arabelli uderzył piorun.

Wrzasnęła. Próbowwała się schronić pod drzewem, ale potknęła się o leżącą na ziemi, skrytą pod wodą gałąź. Upadła twarzą w błoto. Zanim zdołała się podnieść, usłyszała ogłuszający huk.

Szarość dnia zmieniła się nagle w elektryczną różowość. Drzewo stojące o dwadzieścia metrów od niej pękło na dwoje. Miała wrażenie, że każdy włos na jej ciele stoi dęba. Próbowwała wołać Jonathana, ale miała tak ściśnięte gardło, że nie potrafiła wydobyć głosu.

Nagle powietrze wokół niej wypełnił ogłuszający trzask. Zasłoniła uszy, kiedy drzewo stanęło w płomieniach. Kawałki gałęzi fruwały w powietrzu. Ziemia wokół drzewa też przez chwilę świeciła.

– Arabello! – krzyczał ktoś.

– Tu jestem! – odkrzyknęła słabo.

Nie wiedziała, co się stało z jej głosem; poza tym niedobrze słyszała. Czubki palców rąk i nóg mrowiły.

– Arabello! Nic ci nie jest? – Jonathan pojawił się przed nią; miał na sobie gumowy płaszcz Tony’ego. Podniósł Arabelle z ziemi. – Jesteś ranna? – spytał z przerażeniem.

– Nie... tylko upadłam.

– Bogu dzięki!

Chwycił ją w ramiona.

– To przez to... drzewo. – Spojrzała na jego tłący się pień, bo deszcz zdążył przytłumić płomienie.

Gdyby pod nim stała, już by nie żyła.

Zwisła Jonathanowi w ramionach, więc wziął ją ostrożnie na ręce i zaniósł do hotelu.

W kuchni posadził Arabelle na krzesło i ściągnął z niej mokry płaszcz. Podał jej też ręcznik do osuszenia włosów i zrobił filiżankę herbaty.

– Dlaczego wyszłaś beze mnie, Arabello? – spytał z wyrzutem. – Mogłaś zginąć!

– Powinna być zczekać na ciebie, ale się bałam, że mi nie pozwolisz tam pójść – odparła. – Przepraszam!

– Najważniejsze, że już jesteś bezpieczna.

Nie potrafił wyrazić, jak wielką ulgę teraz odczuwał.

– Nie znalazłam Aborygenek. Nie wiem, gdzie są.

Na te słowa do kuchni wszedł Ted.

– Ja wiem – oznajmił.

Arabella spojrzała na niego z podziwem.

– Gdzie są?

– Znalazły schronienie w domu starego Farnswortha.

– Gdzie to jest? – spytała. Dotąd nie słyszała o nikim takim.

– To opuszczone stare domostwo, mniej więcej kilometr za domem Frankiego Millera. – objaśnił Ted. – Kiedyś mieszkał tam Bill Farnsworth z żoną Aborygenką, ale parę lat temu wyjechali stąd. Kiedy tylko robi się zimno albo mokro, Aborygeni znajdują tam schronienie.

Arabella odetchnęła z ulgą.

– W każdym razie są tam bezpieczni i nie mokną – podsumowała.

– No... dach w tym starym domu cieknie chyba jeszcze bardziej niż tutaj – powiedział z powątpiewaniem Ted.

– Może powinniśmy zaprosić ich do nas? – spytała.

– Skoro są w jakimś domu, to w porządku – stwierdził Jonathan. – Nie ma mowy, żebyś wychodziła na taką pogodę!

Nie chciał, by to zabrzmiało władczo, ale po prostu nie mógł jej pozwolić, żeby znowu ryzykowała życiem!

Zresztą prawie uderzył w nią piorun, więc Arabella nie protestowała.

Wszedł Stuart i zdziwiony spojrzał na dziewczynę.

– Gdzie pani była?

– Wyszłam zobaczyć, gdzie są Aborygni – odpowiedziała.

– W taką burzę? Mogła pani zginąć!

– O mały włos, a by tak było – potwierdził Jonathan, ciągle jeszcze nie dowierzając, jak niewiele dzieliło ją od rażenia piorunem.



Stuart omal nie krzyknął.

– Mogłem panią stracić na zawsze! – wykrzyknął z uczuciem.

Arabella nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Zerknęła na Jonathana. Z jego twarzy uciekła cała krew. Po chwili wyszedł z kuchni.

Kiedy zapadła noc, deszcz nadal padał. Arabella i Jonathan siedzieli w barze i pili drinki w towarzystwie Lesa, Teda, Stuarta i Wally'ego. Stracili już wszelką nadzieję na to, że uroczystość się odbędzie. Z pewnością nikt nie byłby w stanie dotrzeć do Marree w taki deszcz i błoto.

Arabella chyba nigdy nie czuła się tak beznadziejnie. Bez przerwy myślała o Tonym i Maggie i o tym, jak się zmartwią, kiedy zjawi się tu ktoś z banku, żeby przejąć hotel. Zwłaszcza żal jej było Maggie: bała się, że jej chore serce może nie wytrzymać takiego szoku.

– Dlaczego właśnie teraz musiało zacząć padać? I to aż tak? – pytała z rozpaczą. – Jestem w Marree już tyle tygodni i oprócz jednego przelotnego deszczu nigdy się nawet nie zanosilo na burzę!

Nikt jej nie odpowiedział. Wszystkim było przykro. Wiedzieli, że jeśli zabraknie hotelu, ich życie ulegnie całkowitej zmianie.

Arabella zauważyła, że Jonathan jest wyjątkowo milczący. Na pewno z powodu tego, co powiedział jej Stuart! Nie miała jednak okazji porozmawiać z Jonathanem sam na sam.

Nagle poderwał ich jakiś hałas w kuchni.

– Ktoś przyszedł – rzekła Arabella. Pomyślała, że to może Rita, Lily czy Missy.

– Zobaczę, kto to – powiedział Ted siedzący najbliżej wyjścia.

Poszedł do kuchni. Usłyszeli czyjeś głosy.

– Maggie! – krzyknął Ted. – Tony! Co wy tu robicie?

– Mieszkamy tutaj – z irytacją odparła Maggie. – A co ty tu robisz?

Jonathan, Arabella, Les, Stuart i Wally pobiegli do kuchni, gdzie zastali Maggie i Tony'ego. Oboje wyglądali jak zmokłe kury. Ale mimo to cudownie było zobaczyć ich twarze! Wszyscy uradowali się z ich powrotu.

– Ta podróż była najgorsza ze wszystkich, jakie musiałam znieść – mówiła Maggie, stojąc w kałuży wody na podłodze, kompletnie wyczerpana. – Już myślałam, że nie dojedziemy.

Tony stał trochę przygarbiony: najwyraźniej złamane żebra jeszcze ciągle go bolały.

– Och, moja kochana Maggie! – zawołała Arabella. Była tak szczęśliwa, widząc ją, że miała ochotę ją uściskać; Maggie jednak ociekała wodą. – Nic ci nie jest? Ale... czy ty możesz już podróżować?

– Tak, czuję się dużo lepiej – krótko odpowiedziała Maggie. – W każdym razie będę się lepiej czuła, kiedy się przebiorę, wypiję filiżankę gorącej herbaty i prześpię się trochę.

– Dam ci ręczniki – rzekła Arabella, patrząc na kałuże na podłodze. – A ty, Tony? Musisz bardzo cierpieć po tylu godzinach jazdy z połamanymi żebrami?

– Nie, nic mi nie jest. Czy ktoś się może zająć naszymi końmi? – zapytał.

– Ja je rozsiodłam i powycieram – powiedział Jonathan. – Ale nie mam dla nich paszy.

– Skończyła się? – zdziwił się Tony.

– Niezupełnie – odparł Jonathan. – Zaraz to wytłumaczę.

Pół godziny później Maggie i Tony przebrali się w suche rzeczy, a Arabella wytarła podłogę w kuchni. Jonathan i Les zajrzeli do koni i zaprowadzili je do suchej stajni. Rozebrali belę siana, żeby spod spodu wydobyć trochę suchej paszy.

– Jechaliście sami? – spytał Jonathan Maggie i Tony'ego, podając im parujące kubki z gorącą herbatą.

– Tak; nie chcieliśmy nikogo kłopotać przed Bożym Narodzeniem, więc pożyczaliśmy dwa konie. – Maggie ciągle jeszcze miała w uszach ostre słowa siostry zabraniającej jej powrotu do Marree.

– Ale... dlaczego wróciliście? – pytała Arabella. – Co nie znaczy, że wasz widok nas naprawdę nie

cieszy! – dodała szybko. Zastanawiała się, czy Tony przypuszcza, że niedługo zjawi się ktoś z banku. – Po tym, jak Tony złamał sobie żebra, myśleliśmy, że zostaniecie tam jeszcze przez jakiś czas.

– Chciałam być na Boże Narodzenie w domu – wyjaśniła Maggie, patrząc na męża. – Cudownie było spędzić jakiś czas z siostrą i jej rodziną, ale... – Tu przerwała, patrząc na zebranych. – Ja o was też myślę jak o rodzinie i po prostu chciałam być we własnym domu... na Gwiazdkę.

Jej słowa wszystkich jakoś zasmuciły, a Arabella zauważyła, że Tony spuścił głowę.

– No proszę! Co za ponure twarze! I to ma być dom i rodzina? – spytała Maggie, patrząc po kolei na każdego. – Nie przejmujcie się tym ciekącym dachem. Nasz stary hotel przechodził już gorsze chwile, ale wytrzyma jeszcze ze sto lat!

Arabella popatrzyła na Tony'ego. Z jego wyrazu twarzy zorientowała się, że nie powiedział Maggie ani słowa o zajęciu hotelu przez bank.

– Słyszeliśmy, że w naszym mieście ma być w Wigilię jakaś uroczystość? – zapytała Maggie. – Czy to prawda, Arabello? Czy masz wystąpić z koncertem?

– Tak – odparła Arabella. Teraz już nie było powodu ukrywać prawdy. – Ale przy takiej pogodzie nikt tu nie przyjedzie.

– Aha, to dlatego wyglądacie tak nieszczęśliwie. Ale nie martwcie się: możecie dać ogłoszenie, że uroczystość odbędzie się kiedy indziej... na przykład w Sylwestra. Przez tydzień ziemia wyschnie.

Ale wtedy już będzie za późno, pomyślała gorzko Arabella.

– Widzieliśmy, że fortepian stoi w szopie – rzekł Tony. – Jakim cudem wynieśliście go z hotelu?

– Nie chciał przejść przez żadne drzwi, więc wymontowaliśmy okno – wyjaśnił Jonathan.

– Zawsze się zastanawiałem, jakim cudem wnieśli go do salonu – powiedział Tony. Znowu zmarszczył brwi z roztargnieniem. – Byłem zdziwiony, że tak szybko zużyliście całą paszę. Myślałem, że wystarczy jej na kilka tygodni.

– Nie zużyliśmy jej – z miną winowajcy odparł Jonathan. – Po prostu przenieśliśmy, żeby zrobić miejsce na fortepian; słoma nie była przykryta i zamokła. Powinniśmy byli ją czymś przykryć, ale nie przypuszczaliśmy, że spadnie deszcz... tutaj przecież to się bardzo rzadko zdarza.

– Nieważne, znajdziemy dla koni coś do jedzenia. – Tony znowu robił wrażenie, jakby jego myśli zaprzętało coś innego.

– I nie mamy jedzenia – powiedziała Arabella. – W mące załęgły się wołki, a zaraz po waszym odjeździe przyszli tu postrzygacze owiec i musieliśmy ich nakarmić. Pieniądze, które zarobiliśmy, daliśmy Afgańczykom, żeby zrobili dla nas zakupy w Lyndhurst, ale nie dostaliśmy wszystkiego, co trzeba, bo i tam nie było dość. Niewiele tego. A teraz nie ma już pieniędzy na kupienie produktów i za chwilę zabraknie piwa. Pojechałam do Fariny i poprosiłam Dave'a Brewera, żeby naważył trochę piwa na naszą uroczystość. Powinno już być w drodze, ale bez klientów, którzy powinni je kupować, nie wiem, jak zdołamy zapłacić Dave'owi...

Arabella prawie płakała. Robiła wszystko, by pomóc Maggie i Tony'emu, tymczasem sytuacja była jeszcze gorsza.

– Sprzedamy piwo i oddamy pieniądze – pocieszyła ją Maggie.

Zerkała przy tym na Tony'ego.

On jednak patrzył na Arabellę. Maggie za dobrze go znała, żeby się nie domyślić, że coś przed nią ukrywają.

– Wiesz... prawda? – spytał Arabelli.

Kiwnęła głową ze łzami w oczach. Popatrzyła na Maggie z miną winowajczyny, wreszcie opuściła głowę.

– Co ona takiego wie? – spytała Maggie. Spojrzała na męża. – Tony McMahonie! Ty coś ukrywasz

przede mną!

Westchnął, wpatrując się w kubek z herbatą.

– Tak, Maggie – powiedział ponuro.

– No, to wyduś to z siebie! – zawołała.

Już od jakiegoś czasu podejrzewała coś niedobrego, ale ufała, że w pewnym momencie Tony sam o wszystkim jej powie.

– Mamy problem z bankiem – rzekł.

Maggie spojrzała na Arabellę i Jonathana.

– A wy wiedzieliście? – spytała z niedowierzaniem. Na twarzy miała wypisane, że ją oszukano.

– Niedługo po twoim wyjeździe wiatr zwiął jakieś papiery z biurka w waszym pokoju na górze.

Przysięgam, że nie z ciekawości... po prostu zobaczyłam pismo z banku – rzekła Arabella. – Chcieliśmy zarobić trochę pieniędzy, żeby pomóc... – Spuściła głowę.

Maggie rozejrzała się dookoła.

– No cóż, Bóg z wami! – rzekła. Zerknęła na męża. – Kiedy ma przyjść ten ktoś z banku, żeby przejąć hotel? – spytała.

Arabella nie mogła uwierzyć, że Maggie przyjmuje to tak spokojnie. Ale ona już taka widocznie była. W trudnych chwilach nigdy nie okazywała zdenerwowania.

– Pewnie wtedy, kiedy pociąg zacznie kursować – odpowiedział Tony. – Tak mi przykro, kochanie...

Powinienem cię jakoś uprzedzić, no ale przede wszystkim nie chciałem cię martwić.

– Jestem twoją żoną. Chyba powinieneś się już nauczyć, że nie możesz ukrywać przede mną swoich zmartwień. Nie pytałam o nic, bo ufałam, że kiedy już się zdecydujesz, powiesz mi o wszystkim. Jestem tylko zawiedziona twoim brakiem zaufania: zawsze powinieneś dzielić się ze mną naszymi problemami.

Maggie rozumiała, że mąż chciał ją po prostu chronić, ale fakt, że coś przed nią ukrył, był bolesny.

– Miałem jeszcze nadzieję, że interes się rozkręci, ale niestety... – zmartwionym głosem powiedział Tony.

Maggie przytaknęła z zaciśniętymi wargami.

– No cóż, i tak nic na to nie poradzimy – stwierdziła.

I, chwyciwszy po drodze ścierkę do kurzu, wyszła do jadalni.

Arabella nie mogła uwierzyć, że Maggie idzie ścierać kurze, ruszyła zatem za nią.

– Maggie, przecież jesteś zmęczona i głodna. Pozwól, że zrobię ci jajko na grzance, a potem się położysz.

– Nie jestem głodna, ale bardzo ci dziękuję, Arabello. Chciałabym po prostu zostać na chwilę sama, jeżeli pozwolisz...

Arabelli było strasznie żal Maggie, ale rozumiała ją doskonale.

– Naturalnie, ale naprawdę powinnaś odpocząć.

Po tych słowach wróciła do kuchni.

– Maggie chce być sama – oznajmiła Tony'emu.

– Zawsze kiedy jej bardzo źle, chce być sama – potwierdził Tony. – Nie powinienem był tego przed nią ukrywać, ale ciągle miałem nadzieję, że interes się trochę poprawi, i wtedy nie musiałyby nawet wiedzieć, jak bliska była utrata naszego hotelu.

– Ale co teraz zrobicie? Dokąd pójdziecie? – zapytała.

– Naprawdę nie wiem... – rzekł Tony i ukrył głowę w dłoniach.

Arabella pomyślała, że Tony postarzał się o dziesięć lat od dnia, kiedy go ostatni raz widziała. Nie wiadomo, czy tak było z powodu połamanych żeber, czy dlatego że ciągle myślał o przejęciu hotelu przez bank i złamaniu tym serca żonie; w każdym razie teraz był kompletnie załamany.

Stuart wstał i wyszedł do jadalni.

Maggie siedziała przy jednym ze stolików, plecami do drzwi. Na stole leżała niedbale rzucona ściereczka do kurzu.

Stuart pomyślał, że Maggie płacze.

– Maggie... – powiedział cicho.

Wyprostowała plecy.

– Chciałabym być teraz sama – szepnęła zduszonym głosem.

Stuart wiedział, o co jej chodzi.

– Rozumiem; chciałem ci tylko powiedzieć, że gdybyś kiedykolwiek chciała z kimś pogadać, a nawet po prostu wyładować złość, jestem tutaj. Wszystkich nas bardzo boli, że nie mieliśmy szansy, by zarobić pieniędzy i pomóc wam.

Jego słowa zaskoczyły Maggie. Nigdy nie podejrzewała tego mężczyzny o tak ciepłe, pełne zrozumienia słowa. Odwróciła się do niego: Stuart zauważył, jak jej dolna warga drży ze wzruszenia.

– Stracimy nie tylko hotel: stracimy przede wszystkim prawdziwych przyjaciół, takich jak ty, którzy nam w dodatku chcieli pomóc. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

– Ja tu jestem krótko... – zaczął Stuart, starając się zbagatelizować swoją rolę.

– Wiem, ale doskonale tu pasujesz. – Opuściła głowę. – Niewielu jest takich ludzi, którzy zrozumieliby, że hotel Great Northern jest dla nas czymś więcej niż mieszkaniem i źródłem zarabiania pieniędzy! Kiedy tu przyjechałam z Tonym, brakowało mi celu w życiu. Byliśmy dwa lata po ślubie, kiedy... – nagle jakby się zawstydziła – kiedy się dowiedziałam, że nie będę mogła mieć dzieci. Tony stwierdził, że to nie ma znaczenia, ale nigdy nie zrozumiał w pełni, jaka się wtedy czułam... pusta. I to miejsce – rozejrzała się – stało się moim celem w życiu. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale to życie, jakie tu stworzyliśmy, wypełniło puste miejsce w moim sercu. – Starła się ze wszystkich sił opanować wzruszenie. – Ludzie polegają na nas, a ja tak bardzo chcę być komuś potrzebna! Rozumiesz mnie?

– Doskonale, Maggie.

– Nie wiem, dokąd pójdziemy, ani co będziemy robić. Nie spłaciliśmy kredytu, a to znaczy, że nikt nam już nie zaufa, więc nie zdołamy otworzyć innego hotelu. Naprawdę nie wiem, czy to przeżyjemy!

Po twarzy Maggie popłynęły łzy. Chwyciła się ręką za serce.

Stuart podbiegł do niej.

– Nic ci nie jest, Maggie?

Potrząsnęła głową.

– Nie, w porządku. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś. – Poklepała go po ramieniu. – Nie powinnam tak narzekać. Na pewno są ludzie, którym jest jeszcze gorzej niż nam, zwłaszcza teraz, kiedy wszędzie jest kryzys. Można by pomyśleć, że w takich czasach banki powinny mieć więcej współczucia dla ludzi, ale to krwiopijcy... – Aż się wystraszyła własnego bluźnierstwa. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie przejmie po nas tego domu, więc pewnie wszystko popadnie w ruinę. Kiedy pomyślę o tych latach, kiedy ja i Tony urabialiśmy ręce po łokcie, byle tylko wszystko szło jak należy, serce mi pęka... – Otarła łzy. – Ale muszę być dzielna... choćby ze względu na Tony'ego. Nie może zobaczyć, że wpadam w rozpacz, bo miałby o to pretensję do samego siebie, a to przecież nie jego wina! – Wyprostowała się i głęboko odetchnęła. – Chyba pójdę na górę się położyć. Rankiem życie wyda się jaśniejsze...

Ale te słowa brzmiały smutno. Stuart wiedział, że Maggie sama w nie nie wierzy.

– Napij się łyczek brandy – zaproponował. – To ci pomoże zasnąć.

– Dziękuję, ale przy tych ciągłych grzmotach i błyskawicach chyba i tak nie zasnę.

Po wyjściu Maggie Stuart opadł na krzesło. Oddałby wszystko, by pomóc Tony'emu i Maggie. To byli naprawdę dobrzy ludzie. I z pewnością nie zasługiwali na surowy los, jaki ich dotknął.



# Rozdział dwudziesty siódmy

---

Następnego ranka deszcz przestał padać, ale w oddali ciągle jeszcze widać było błyskawice i słychać było grzmoty. Kiedy Arabella zeszła na dół, zastała Maggie krzątającą się po kuchni. Zanim zdążyła powiedzieć słowo, rozległo się głośnie stukanie do tylnych drzwi.

Maggie poszła otworzyć, Arabella podążyła za nią. To była Rita, razem z nią Lily i Missy. Ta ostatnia omal nie histeryzowała.

– Co się stało? – spytała Maggie Ritę.

– Chłopiec Missy zaginął, pani. Nie możemy go znaleźć.

Missy zanosila się od płaczu, Lily starała się, jak mogła, pocieszyć ją, a dwoje najmłodszych z czworga dzieci czepiało się jej nóg.

– Od kiedy go nie ma? – spytała Arabella.

– Nie wiemy, panienka – odparła Rita. – Ostatnią noc spałyśmy w domu Farnswortha. A kiedy rano się obudziliśmy, Dayindy już nie było.

– Ile Dayinda ma lat? – spytała Arabella Maggie, kiedy Rita próbowała uspokoić Missy. Sama nie była nawet pewna, które dziecko jest czyje, bo kobiety opiekowały się nimi na zmianę.

– Myślę, że mały Davey ma prawie trzy latka – odparła Maggie.

– Davey?

– Dayinda to jego aborygeńskie imię, ale dzieciak wygląda tak po europejsku, że Tony zaczął go nazywać Davey – i teraz wszyscy biali tak go nazywają. Naprawdę słodki dzieciak. – Tu zwróciła się do Rity. – Zbiorę mężczyzn. Pomogą szukać chłopca.

– Dziękujemy, pani. – Aborygenki zabrały Missy i odeszły.

– Mam nadzieję, że Davey nie wyszedł w nocy sam w taki deszcz. – Maggie zmarszczyła brwi. – Mógłby się na śmierć zaziębić!

Z tymi słowami zniknęła w pokoju, w którym mężczyźni czekali na śniadanie. Arabella poszła za nią.

– Mały Davey, synek Missy, się zgubił – rzekła Maggie do męża. Jonathan, Les i Stuart siedzieli w barze z Tonym. – Musicie ściągnąć Teda, Wally’ego i pomóc szukać dzieciaka.

– Miejmy nadzieję, że nie wpadł w ciemnościach do strumienia. Po tym deszczu jego nurt może być bardzo gwałtowny – rzekł Tony.

Strumień ostatnio był ciągle wyschnięty i dzieci lubiły się w nim bawić, ale kiedy napełnił się wodą, mógł się stać naprawdę niebezpieczny.

– Pójdę po Teda – zaofiarował się Stuart.

– A ja po Wally’ego – dodał Les.

– Tylko żeby przyszedł tu z tobą! – upomniał go Tony. Wiedział, że Wally źle traktował Aborygenów i poszukiwanie jednego z ich dzieci może go nie interesować. Ale był teraz potrzebny. – A ja powiem Terry’emu o zniknięciu chłopca.

Aborygeni nigdy nie zwracali się bezpośrednio do Terry’ego; z reguły najpierw szli ze swoją sprawą do McMahonów. Tony wiedział, że robią tak po części dlatego, że Terry jest policjantem, a ponieważ sporo mieszanych dzieci było odbieranych rodzinom i przekazywanych na wychowanie do rządowych sierocińców, Aborygeni nie ufali przedstawicielom władzy. Z kolei McMahonowie zawsze byli dla nich dobrzy i pomocni, co rzadko się zdarzało.

Les zastukał do frontowych drzwi domu Frankiego Millera. Te nigdy nie były zamknięte, więc kiedy nie otrzymał odpowiedzi, wszedł od razu do środka. Nie znalazł Wally’ego w żadnym z pokoi, ale

drzwi na podwórze były otwarte. Wyrzwał na podwórze i zobaczył przyjaciela wracającego z ubikacji oddalonej od domu o jakieś dziesięć metrów.

– Wally! – zawołał Les.

Wally aż podskoczył.

– Rany boskie, Les! O mało nie zesrałem się ze strachu...

– Nie pękaj, chłopie! Mamy szukać chłopaka Missy. Gdzieś wywędrował i Aborygeni nie mogą go znaleźć.

Wally się skrzywił.

– Nie odszedł daleko! – rzucił na odczepnego.

– Maggie chce, żebyśmy go poszukali, więc lepiej chodź ze mną! – zażądał Les.

Wiedział, że Wally rano bywa zwykle opryskliwy, więc udawał, że nie dostrzega zachowania kolegi.

– Kto by się tam martwił o jakiegoś bękarta – parsknął Wally. – Nie mam ochoty go szukać.

Les po trosze spodziewał się, że przyjaciel odmówi, ale jego wroga reakcja na chwilę odebrała mu mowę. Zawsze uważał go za kumpla, co prawda trochę samolubnego, ale teraz naprawdę poczuł niesmak do tego typu.

– To niewinny dzieciak, w dodatku to być może twój dzieciak! – rzekł ze złością.

Nigdy o tym nie mówili; ten temat był tabu, ale krążyły plotki, iż Missy twierdziła, że mały jest synem jednego z nich. No, obaj wiedzieli, że to możliwe.

– Nie jest mój – odburknął Wally.

– Ale mógłby być i dobrze o tym wiesz.

Wally'ego zastanowił fakt, że Les nigdy nie mówił do niego takim ostrym tonem.

– Może jest twój – rzucił w odwecie.

– Może i jest – przyznał Les. – Tak czy owak, idziemy go szukać, więc wkładaj buty.

Wally miał na sobie tylko kalesony, podkoszulek i skarpetki, czyli strój, w którym sypiał. To, że nigdy nie zdejmował skarpetek, było tylko jednym z jego wielu dziwactw, więc nikt na to nie zwracał uwagi.

– No, dobrze – burknął. – Będę w hotelu za parę minut.

– Nie, zaczekam tu na ciebie! – Les z determinacją skrzyżował ręce na piersiach.

To, że Les mu nie ufa, bardzo obraziło Wally'ego. Klnąc pod nosem, ciężkim krokiem poszedł do sypialni się ubrać.

Kiedy przyszedł do hotelu, Terry rozmawiał z pozostałymi mężczyznami.

– Podzielimy się – zarządził Terry, kiedy przybyli dołączyli do reszty. – Ty, Les, pójdiesz wzdłuż strumienia, na zachód, a Wally na wschód. Stuart będzie przepatrywał wszystkie opustoszałe domostwa w mieście, a także sklepy; Tony i ja pójdziemy na zachód, na pustynię; tam się rozdzielimy i okrążymy miasto. W ten sposób sprawdzimy możliwie najwięcej terenu.

Tony zauważył, że Wally nie jest zachwycony, ale nic nie powiedział.

– Miejmy nadzieję, że deszcz nie zacznie znowu padać – dodał Terry. – Spotkamy się koło południa. Jeżeli nie znajdziemy chłopca, będzie trzeba poprosić o pomoc Afgańczyków.

Wszystkim brakowało Jimmy'ego; gdyby żył, mogliby skorzystać z jego nadzwyczajnego talentu tropiciela.

Zrezygnowany Wally włókł się wzdłuż koryta strumienia pełnego wody. Był pewien, że matka znalazła chłopca, a oni tylko tracą czas.

– Nie wiem, o co ten cały hałas... – mruzczał pod nosem. – Te cholerne czarnuchy zawsze się wszędzie włóczą...

Bolała go noga i marzył o filiżance herbaty – Les nie dał mu okazji napić się przed wyjściem. Wally ciągle myślał o tym, co powiedział przyjaciel: że jeden z nich może być ojcem tego chłopca. Dotąd nigdy

nie brał poważnie zapewnień Missy. Próbowwała wiele razy go przekonać, że dzieciak jest jego, ale jej nie wierzył. Dotychczas nie miał okazji mu się przyjrzeć. Powtarzał sobie, że nie dlatego, iż boi się zobaczyć w chłopcu jakieś podobieństwo, ale że po prostu nie mógł być ojcem mieszańca. Kiedy mały się urodził, Missy próbowała go namówić, żeby wziął dziecko na ręce, ale Wally odmówił.

– Zabierz ode mnie zaraz tego bękarta! – fukał na nią za każdym razem. Wtedy zwykle wpadała w histerię, tak że zawsze musiał się chronić w hotelu, zanim do dyskusji włączyła się Rita.

Idąc wzdłuż brzegu, Wally właściwie nie patrzył na wodę. Płynęła dosyć szybko i miała czerwony kolor. Niosła gałęzie i liście drzew. Stanął na chwilę, żeby zapalić, i postanowił, że nie pójdzie już ani o krok dalej.

Kiedy zwił w palcach tytoń, wydało mu się, że słyszy nad płynącą wodą jakieś skomlenie. Rozejrzał się. Brzegi strumienia były miejscami dosyć strome, rosło tam mnóstwo uschniętych roślin; niektóre spłynęły z deszczem po stoku do wody. Już sądził, że się przesłyszał, kiedy kwilenie się powtórzyło. Podszedł do brzegu i zajrzał w głąb splątanej gąszczu roślin. Wydało mu się, że w wodzie coś się porusza.

To jakieś zwierzę, pomyślał, ale kiedy znowu usłyszał kwilenie, był już pewien, że to głos dziecka.

– Do diabła! – mruknął i odrzucił skręta. – Davey, jesteś tam na dole?! – zawołał ze złością. – Chwilę nasłuchiwał, po czym znowu dobiegło go kwilenie. – Cholera! – zirytował się. Nie miał najmniejszej ochoty schodzić po tym urwisku. Obejrzał się za siebie, ale Les już jakiś czas temu poszedł w drugą stronę i był za daleko, żeby usłyszeć wołanie.

Burcząc pod nosem, Wally stwierdził, że nie ma wyjścia.

Po stertach uschniętych gałęzi zaczął powoli zsuwać się do strumienia, zaczepiając spodniami o patyki, które drapały mu nogi. Jakaś gałąź uderzyła go w udo, gdzie miał założone szwy; aż zawył z bólu i głośno zaklął.

Już z daleka zobaczył małego chłopca. Dzieciak na pewno spadł ze stromego brzegu i wleciał do strumienia, bo całe ubranie miał porwane. Do pasa był w wodzie. Ocaliła go gałąź, o którą zaczepiła się jego koszula na plecach. Wally aż zaniemówił z wrażenia. Gałąź mogła przecież przebić małego. Gdyby tak się stało, z pewnością by go zabiła. Wprawdzie utknął tutaj, ale uniknął utonięcia.

Wally co prawda niespecjalnie wierzył w Boga, ale musiał przyznać, że nad Daveyem czuwał Anioł Stróż. Nie było innego wytłumaczenia, bo mały żył i nie został poważnie zraniony.

Wally zszedł do dziecka, które wyglądało na przerażone. Na buzi, oszpeconej teraz podrapaniami i brudem, miało plamy od łez; poza tym nie rozumiało, dlaczego mężczyzna idzie w jego stronę. Zawsze się go bało. Wally nigdy się nie uśmiechał, ani nie miał dobrego słowa dla niego i dla jego mamy.

Kiedy Wally próbował uwolnić malca, ten zaczął z rozpaczą wzywać matkę.

Wally szarpał się z koszulką Daveya, by oswobodzić nieboraka. Kiedy mu się to udało, spróbował go podnieść. Niestety, jedna stopa dziecka ugrzęzła w czymś na dnie; chłopiec krzyknął.

– Do diabła! – znowu mruknął Wally.

Musiał wejść do wody i zamoczyć długie buty, by uwolnić chłopca. Trzymając dziecko jedną ręką za koszulkę, włożył rękę do wody, macając dookoła, by sprawdzić, co się stało.

W końcu ostrożnie uwolnił małą stópkę spomiędzy dwóch kamieni. Kiedy oglądał nogę chłopca, sprawdzając, czy nie jest złamana, jego uwagę zwróciły palce nóg dziecka. Zamarł.

Przez parę chwil stał, jak wmurowany. Nie mógł złapać oddechu, wpatrzony w stopy chłopca.

Trzeci i czwarty palec u obu nóg były zrosnięte, połączone czymś w rodzaju błony. Po prostu nie wierzył, że tego dotychczas nie zauważył! No, ale właściwie nigdy nie oglądał uważnie tego chłopca!

Davey płakał i wzywał matkę, ale Wally był zbyt osłupiały, żeby się poruszyć. Pierwszy raz w życiu przyjrzał się buzi dziecka; przypatrywał mu się uważnie. Chłopiec miał ciemne włosy i oczy matki, ale



skórę raczej jasną. Nosek i usta miały kształt europejski, w dodatku podobne były do jego własnych.

– O Boże... – szepnął ze wzruszeniem.

W oczach stanęły mu łzy. Chłopiec patrzył na niego tak uroczymi swoimi wielkimi, niewinnymi oczyma! Wally poczuł, że się wstydi wszystkich przekleństw i ordynarnych wyzwisk, jakimi niegdyś obrzucał dziecko. Maluch kręcił się dosłownie pod jego nosem, a on najwyżej od czasu do czasu burknął coś niegrzecznie! Ręce Wally'ego zaczęły się trząść.

Davey w dalszym ciągu płakał za mamą.

– Zaraz cię zabiorę z powrotem... do mamy... – szepnął Wally dobrotliwie. Wziął chłopca na ręce i mocno przytulił, zamykając na chwilę oczy.

Wielkie oczęta Daveya zrobiły się jeszcze większe ze strachu.

– Już dobrze... – uspokajał go Wally. – Już... jesteś bezpieczny.

Po policzkach płynęły mu łzy. Otarł je i wdrapał się z Daveyem w ramionach na brzeg strumienia. Spojrzał znowu w dół; trudno było wprost uwierzyć, ile szczęścia miał ten chłopiec.

Ale też z trudem do niego docierało, że gdyby się to nie wydarzyło, nigdy by nie poznał, kim jest dla niego mały Davey.

Kiedy się pojawił z chłopcem, Missy zaczęła krzyczeć z radości. Jej krzyk zaalarmował Maggie i Arabelle, które wybiegły na podwórko za hotelem. Tymczasem Wally już był przy Missy. Rita i Lily też tam były.

– Znalazłeś go! – z radością wołała Missy. – Nic mu się nie stało?

Wally był tak przejęty, że potrafił tylko kiwać głową. Przez całą powrotną drogę do hotelu nie spuszczał oczu z dziecka i stale go zapewniał, że zaraz wróci do mamy.

Missy złapała synka, który też wyciągnął do niej rączki i objął ją mocno za szyję. Płakała z radości.

Maggie dostrzegła, jak bardzo Wally jest oszołomiony.

– Jak się czujesz? Wyglądasz na trochę wstrząśniętego...

Wally kiwnął głową. Oczy miał utkwione w chłopcu.

– To jest... mój syn – niemal wyszeptał.

– Co takiego? – spytała Maggie, niepewna, czy dobrze usłyszała.

– Davey, to mój chłopak – powtórzył Wally.

Maggie aż zamrugła ze zdumienia i spojrzała na Arabelle.

– Skąd wiesz? – spytała Wally'ego.

Missy też wyglądała na zszokowaną. Nie była przecież pewna, kto jest ojcem Dayindy, ale zawsze uważała, że Wally był najbardziej prawdopodobnym kandydatem. Niemniej fakt, że otwarcie uznał jej syna za swego, był dla niej prawdziwym szokiem.

Wally ujął dziecko za stópkę.

– Ma zrosnięte palce u nóg – powiedział, walcząc z ogarniającym go wzruszeniem. – To się zdarza... w mojej rodzinie.

Maggie nagle się zorientowała, dlaczego Wally nigdy nie zdejmował skarpetek, nawet kiedy zszywała mu ranę na udzie; zaproponowała mu wtedy, że je upierze, ale odmówił.

Wally usiadł na ziemi i ściągnął długie buty – które były mokre – i jedną skarpetkę. Pokazał kobietom swoje palce u nóg, dokładnie takie, jakie miał Davey.

Chłopczyk z zainteresowaniem brał udział w nowej zabawie.

– Mój dziadek miał zrosnięte palce, tak samo mój ojciec i bracia. To się powtarza u wszystkich mężczyzn w naszej rodzinie. Nie zdejmowałem skarpetek, bo kiedy byłem dzieciakiem, wyśmiewali się ze mnie. Zawsze mnie przezywali „kaczorkiem”. Dlatego tak mnie drażni, kiedy ktoś się ze mnie wyśmiewa...

Tu rzucił okiem na Arabellę; wyglądał na zawstydzonego.

– Cóż, ja... – zaczęła Maggie.

– Ale nie chcę, żeby mężczyźni się o tym dowiedzieli! – zdecydowanie rzekł Wally. Znowu spojrzał na Arabellę.

– Ja nikomu nie powiem – obiecała.

– A więc masz syna! I to wspaniałego chłopca! – stwierdziła Maggie.

Wally przytaknął i spojrzał na Missy. Podniósł się z ziemi.

– Zabezpieczę go – powiedział, wskazując głową chłopca. – Postaram się zrobić dla niego wszystko.

Z powrotem włożył skarpetkę i ruszył w kierunku hotelu z mokrymi butami w rękę.

– Czy myślisz, że mógłbym dostać piwo? – rzucił przez ramię.

– Może jeszcze trochę za wcześnie... ale uważam, że zasłużyłeś! – odkrzyknęła Maggie.

Z uśmiechem popatrzyła na Missy. Aborygenka nie tylko się cieszyła z odzyskania synka, ale też była szczęśliwa, że w końcu jego ojciec uznał chłopca.

– Myślę, że Wally chciałby to uczcić – powiedziała Maggie spokojnie.

Arabella też się uśmiechała.

Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że istnieje szansa, iż Wally się zmieni.

– Zrobię omlety na lunch – zaproponowała, kiedy obie z Maggie były w kuchni. – Mężczyźni wrócą i na pewno będą głodni.

Maggie mrugnęła zaskoczona.

– Podawałaś je już przedtem?

– Tak, i bardzo im zasmakowały – z dumą odparła Arabella.

– To doprawdy dzień nowych odkryć! – rzekła Maggie, wyjmując z pieca trzy bochny chleba, po czym poszła do baru poczęstować Wally’ego piwem.

Kiedy mężczyźni wrócili, Arabella podała im omlety. Maggie była pod wielkim wrażeniem.

– Musisz mi pokazać, jak to się robi – stwierdziła, dodając po kawałku chleba do każdego talerza.

Arabella jaśniała z dumy. Jeszcze parę tygodni temu nie uwierzyłyby, że mogłaby nauczyć czegoś Maggie!

Terry, Tony, Les i Stuart już byli w barze i wypytywali Wally’ego o szczegóły uratowania Daveya. Przedtem na ulicy spotkali Ritę, Lily i Missy, więc już wiedzieli, że Davey został odnaleziony.

Maggie i Arabella wniosły omlety do jadalni, a mężczyźni czym prędzej przeszli z baru i usiedli przy stole. Gratulowali Wally’emu. Maggie przypuszczała, że musiał im powiedzieć, że Davey jest jego synem.

– Czy to nie nadzwyczajne, że mały Davey okazał się synem Wally’ego? – powiedziała do męża, siadając przy jednym ze stolików.

– Co takiego? – spytał Tony z wyraźnym zdziwieniem.

Maggie aż zabrakło tchu.

– Och, myślałam, że dlatego mu gratulujecie! – Zerknęła na Wally’ego. – Bardzo przepraszam – dodała.

Nie wiedziała, czy nie zrobiła czegoś niestosownego; Wally przecież podkreślał, że nie chce, żeby ktoś o tym wiedział.

Mężczyźni patrzyli na niego, oczekując potwierdzenia.

– To prawda... – powiedział trochę wstydliwie, ale z odcieniem dumy. – Davey jest moim synem.

– Skąd o tym wiesz? – spytał podejrzliwie Les.

– Bo on... jest podobny do mnie – szybko wyjaśnił Wally. – Nie mogę uwierzyć, że dotychczas tego nie zauważyłem.

Myślał już przedtem o tym, co powie kolegom, ale teraz czuł, że robi mu się gorąco.

– Ja tam zawsze uważałem, że jest trochę podobny do mnie – nieśmiało zauważył Les.

– Nie! – zaprotestowała Maggie. – Kiedy Wally niósł chłopca, dostrzegłam podobieństwo. Ten chłopiec jest kropka w kropkę taki jak Wally.

Wiedziała, że Wally umarłby ze wstydu, gdyby musiał się przyznać do zrośniętych palców u nóg. Nie chciała, żeby był do tego zmuszony.

– No, teraz pewnie będziesz musiał być bardziej odpowiedzialny – zauważył Terry.

– Będę! – zapewnił Wally. – I w ogóle... teraz mam po co żyć.

– Ale nadal jesteś oskarżony i pewnie wylądujesz w więzieniu – przypomniał mu Terry.

Radość natychmiast wyparowała z Wally'ego. Dosłownie klapnął na krzesło. Arabella popatrzyła na Maggie, której najwyraźniej było żal mężczyzny.

– A jeżeli wycofam skargę – zwróciła się Arabella do policjanta – to czy Wally dalej będzie musiał odpowiadać przed sądem?

– Tylko wtedy, jeżeli Goolim też to zrobi – odparł Terry. – Ale na pani miejscu nie spieszyłbym się tak...

– Zaraz porozmawiam z Goolimem! – zawołała Arabella. – Teraz, kiedy Wally odnalazł syna, nie powinni się rozstawać.

Terry zapatrywał się trochę sceptycznie na ojcostwo Wally'ego, ale powstrzymał się od komentarza.

Arabella wybiegła z hotelu, nie spojrzawszy na Wally'ego, nie zobaczyła zatem zdumienia na jego twarzy.

Szła w stronę osady Afgańczyków, kiedy dogonił ją Wally.

– Fitzi! – zawołał.

Arabella odwróciła się z niechęcią.

– To znaczy... Arabello – poprawił się.

– O co chodzi? – spytała.

– Nie zasługuję na to, co dla mnie robisz, ale naprawdę cię podziwiam.

– Jeżeli Goolim wycofa skargę, możesz coś dla mnie zrobić? – Spojrzała na niego.

– Co?

– Możesz być miłszy dla Aborygenek, zwłaszcza dla Missy?

Spuścił głowę.

– Muszę dużo zmienić, wiem. Ja...

Na chwilę zabrakło mu słów.

– Co takiego, Wally?

– Ja... nigdy nie myślałem, że będę czuł coś takiego, ale kiedy patrzyłem w oczy temu chłopcu, wiedząc, że jest mój, to... coś mnie tak poruszyło; ja nigdy nie przypuszczałem, że to możliwe. Zawsze był ze mnie taki samolubny bęk... – Nie dokończył i poprawił: – Zawsze byłem taki.

– Nie masz rodziny?

– Mam, ale od kiedy skończyłem czternaście lat, byłem samodzielny. Mój stary był postrzygaczem owiec. Pracował ciężko, ale pił dwa razy więcej. Matka umarła, kiedy miałem dwanaście lat. Mam trzech starszych braci, ale już wtedy odeszli z domu, zostałem tylko ja i tata. Zabierał mnie ze sobą na strzyżenie... ale nigdy nie był odpowiedzialny. To mama nas wszystkich wychowywała. Kiedy miałem czternaście lat, ojciec nie miał ochoty martwić się o mnie. Kazał mi spadać.

Arabella nie była w stanie uwierzyć, że taki ojciec może istnieć.

– A teraz chcę tu być... dla mojego chłopca – dodał Wally.

– Ale nie odbierzesz go Missy, prawda? – spytała, nagle przestraszona o los Aborygenki. Maggie

mówiła, że takie rzeczy się zdarzają.

– Nie, Davey ją kocha; dotychczas miał tylko ją. Ale nie chcę, żeby dalej chodziła z mężczyznami i w ten sposób zdobywała pieniądze. Nie chcę, żeby matka mojego syna robiła coś takiego!

Zrozumiała, że taka perspektywa budzi w nim obrzydzenie.

– Wobec tego powinienes się nią zająć i utrzymywać ich oboje.

– Tak, i będę to robił. Jeszcze tego nie przemyślałem... Dalej jestem trochę oszołomiony, ale wiem, że muszę coś zmienić w swoim życiu. Davey się mnie boi, a ja nie mogę mieć mu tego za złe, bo dotąd traktowałem jego i jego matkę okropnie... ale teraz chcę to zmienić.

– Cóż... miejmy nadzieję, że Goolim się zlituje.

Wally kiwnął głową, ale nie robił wrażenia przekonanego. Pograżony w myślach zawrócił do hotelu.

Goolim w końcu się zgodził, co prawda po długich namowach Arabelli. Złagodniał dopiero wtedy, kiedy go zapewniła, że Wally już mu nigdy nie dokuczy.

Kiedy wróciła do hotelu, Wally siedział z Maggie w saloniku, czekając na wiadomości.

Kiedy mu powiedziała, że Goolim zgodził się wycofać skargę przeciwko niemu, myślała, że będzie szalał z radości... tymczasem wyglądał okropnie poważnie.

– Tobie to zawdzięczam, Fitz – powiedział cicho.

Arabella się skrzywiła.

– To znaczy... tobie, Arabello – poprawił się.

– Zrób to, co należy, dla Missy i małego Daveya – rzekła. – Zrobisz to, prawda? Nie chciałabym żałować, że cię tak łagodnie potraktowałam... za to, co zrobiłeś.

Skinął głową.

– O, jestem pewna, że to zrobi – rzekła Maggie i po chwili posmutniała, kiedy zdała sobie sprawę, że już tego nie zobaczy. Ze łzami w oczach wstała i wyszła, zanim Wally i Arabella zdążyli zauważyć, jak jej przykro.

– Chciałbym jakoś pomóc Maggie – powiedział Wally.

– Jeżeli jakimś cudem piwo i podarowane mięso dotrze tu na jutro, a do tego zjedzie tłum ludzi, moglibyśmy jeszcze uratować hotel... Ale to się chyba nie uda... – westchnęła dziewczyna ze smutkiem.

– Dzisiaj widziałem cud – powiedział. – Davey miał szczęście, że nie zginął. Więc i ja nie tracę nadziei.

Później tego samego dnia Arabella zaczęła rozmowę z Maggie. Chciała zapytać ją o coś. Zastała przyjaciółkę czyszczącą ruszt w piecu.

– Maggie – zaczęła. – Co czułaś, kiedy się po raz pierwszy zorientowałaś, że kochasz Tony'ego?

Zaskoczona pytaniem Maggie podniosła głowę i otarła pot z czoła. Przez chwilę się zastanawiała, jak to było. Na jej ustach zagrał lekki uśmiech.

– Kiedy był blisko mnie, czułam coś takiego, jakby motyle tańczyły mi w brzuchu – wyznała. – I nigdy nie potrafiłam powiedzieć nic mądrego.

To uczucie Arabella знаła.

– Może coś jeszcze? – spytała.

– Nie mogłam myśleć o nikim innym, tylko o nim, dniem i nocą – uśmiechnęła się Maggie. – Ale było jeszcze coś więcej. Przede wszystkim, jeżeli naprawdę kogoś kochasz, zrobiłabyś wszystko, żeby go uszczęśliwić... Ba, nawet z niego zrezygnować.

– Dziękuję – rzekła Arabella i wyszła z kuchni.

Maggie zastanawiała się, czy Arabella zakochała się w Stuarcie. Uważała go za dobrego człowieka i wiedziała, że bardzo zależy mu na Arabelli, ale wiedziała też, że Jonathan darzy dziewczynę miłością. Nie powiedział co prawda Maggie, że kocha Arabellę, ale widziała to w jego twarzy, ilekroć na nią

patrzył. Poza tym wyczuwała napięcie pomiędzy Jonathanem i Stuartem, którego przedtem nie było.  
Z pewnością byli teraz rywalami o serce Arabelli!

# Rozdział dwudziesty ósmy

---

Przez resztę dnia Arabella chodziła zamyślona, a Jonathan najwyraźniej jej unikał.

Późnym popołudniem poszła sprawdzić, czy Uri nadal stoi w stajni razem z Bess. Na szczęście był tam. Pogłaskała malucha po nosie i wtedy pojawił się Paddy, żeby zabrać go do stada.

– Tak myślałem, że tutaj go znajdę! – rzekł lakonicznie. Jedna z samic w stadzie Paddy’ego miała ciężki poród i musiał jej pomagać; inaczej zabrałby Uriego dużo wcześniej.

– Zjawił się tu, bo przestraszył się burzy, więc zaprowadziłam go do boksu Bess, żeby oboje mieli towarzystwo.

Paddy nie skomentował jej słów. Milcząc, zakładał linkę na szyję wielbłąda, ale Arabella zrozumiała, że mężczyzna jest rozgniewany.

– Słyszałam, że nauka nie idzie mu najlepiej – powiedziała spokojnie.

– Tak, sprawia kłopoty – przyznał Paddy.

– Ale... nie zastrzelisz go, prawda?

– Nie zastrzelę, ale jeżeli w ciągu paru miesięcy nie przyzwyczai się do pracy, sprzedam go na mięso. Przyszłość zależy tylko od niego.

Arabelli przebiegło przez myśl, że mogłaby obiecać Paddy’emu, że jej ojciec kupi Uriego, i wtedy wielbłąd mógłby zostać z Bess; nie była jednak pewna, jakie plany ma Stuart. Jeżeli wróci do Anglii, nie wiadomo, co zrobi z kłaczą. Nie mogła też zostawić zwierzęcia u Maggie i Tony’ego, bo oni wkrótce też opuszczą hotel Great Northern i Marree... Wyglądało na to, że przyszłość ich wszystkich stoi pod wielkim znakiem zapytania, włącznie z przyszłością Uriego i kłaczy.

– Czy mogłabym ci jakoś pomóc? – spytała.

Nie mogła znieść myśli, że Uri zostanie sprzedany na mięso...

– Tak, gdyby Uri znowu tu przybiegł, nie zwracaj na niego uwagi i trzymaj z dala od kłaczy. To wielbłąd i powinien zachowywać się jak wielbłąd!

Paddy wyprowadził Uriego z podwórka i ruszył w stronę osady. Mały ciągle oglądał się za siebie, ale Paddy ze złością szarpał sznur i burczał na wielbłąda.

Na ten widok łzy stanęły w oczach Arabelli. Jakie to niesprawiedliwe, że musi się odwrócić plecami od biednego, osieroconego wielbłąda... dla jego dobra! Serce jej krwawiło, to wiedziała, jak bardzo będzie tęsknić. Bess też wyszła ze swego boksu i patrzyła w stronę, w którą prowadzono Uriego. Spokojna zazwyczaj kłacz strzygła uszami i parskiała, jakby zdziwiona, czemu odebrano jej towarzysza. Arabella musiała odwrócić głowę, bo z oczu lały się jej łzy.

Wieczorem poszła na górę wcześniej, żeby odpocząć. W korytarzu spotkała Maggie, która od kolacji – wyjątkowo spokojnej i ponurej – zamknęła się u siebie w pokoju.

– Chyba znowu będzie burza – powiedziała Maggie.

W oddali słychać już było grzmoty.

– O Boże! Co będzie z biedną Moirą i jej rodziną?! – zawołała Arabella. – Obiecała, że przyjadą, więc muszą być teraz gdzieś pomiędzy Marree a Fariną.

– Cóż, możemy się tylko modlić za nich – stwierdziła Maggie.

– Spodziewałam się, że piwo dzisiaj przyjedzie. Ted mówił, że wielbłądy, które je niosą, będą w stanie tu dotrzeć mimo błota i deszczu.

– Wielbłądom błoto nie szkodzi, ale wątpię, czy Afgańczycy zdecydują się na jazdę w czasie burzy. To zbyt niebezpieczne, w dodatku wielbłądy niechętnie wtedy idą. – Maggie zauważyła niepokój

Arabelli. – Nie masz pojęcia, jak podziwiam wszystko, co próbujesz zrobić, Arabello. To nie twoja wina, że coś się nie udaje, zapewniam cię!

– Gdyby tylko ten deszcz nie spadł... – rzekła Arabella. Była znużona niepewnością, więc mogła sobie wyobrazić, jak się czuje Maggie!

– Zawsze tu walczyliśmy z pogodą – potwierdziła Maggie. – Zazwyczaj z suszą, więc to jakaś ironia losu, że, skoro zawsze pragniemy deszczu, teraz cierpimy z powodu burzy!

– Tak mi przykro, że wszystko wyszło inaczej, Maggie.

– Mnie też, ale to nie twoja wina. Dobranoc.

Arabella dostrzegła, że Maggie ugina się pod ciężarem zmartwień. Udawała dzielną, ale widać było, jaka jest przygnębiona. Wiedziała, że ukrywa swoje prawdziwe uczucia przed Tonym, który zresztą robił dokładnie to samo. Ta para kochała się naprawdę pozbawioną egoizmu miłością!

Po godzinie na niebie znowu rozbłysła błyskawica, oświetlając okna, a grzmoty słychać było znacznie bliżej. Arabella leżała jakiś czas, nie śpiąc i modląc się za Moirę i jej rodzinę. W końcu zmęczenie zwyciężyło i głęboko zasnęła.

O północy obudził ją głośny huk.

Był najgłośniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek słyszała. Usiadła na łóżku z bijącym sercem. Pierwszą jej myślą było, że dach się zawalił. Zerwała się i otworzyła drzwi na korytarz. W pokoju panowała głęboka ciemność, ale kiedy otworzyła drzwi, błysnęła kolejna błyskawica.

Arabella podskoczyła ze strachu, ale w ciągu tej sekundy, kiedy w pokoju było jasno, zobaczyła, że sufit jest w porządku – z wyjątkiem kilku wilgotnych plam. Próbowała zapalić lampę, ale prądu nie było. Wtedy usłyszała głosy Maggie i Tony'ego. Tony mówił żonie, że pewnie generator się zepsuł. Byli na korytarzu, kiedy otworzyły się drzwi pokoju Jonathana.

– Co to był za hałas? – zapytała Arabella przerażona.

Musiała użyć całej siły woli, żeby nie rzucić się w ramiona Jonathana.

– Właśnie idziemy to sprawdzić – odparł Tony i razem z Maggie zaczęli schodzić na dół.

Jonathan podszedł do Arabelli i ruszyli za McMahonami w stronę schodów. Les był już na dole. Usłyszeli, jak zdenerwowany woła Tony'ego. Nikt nie zauważył nieobecności Stuarta.

Kiedy dotarli do kuchni, zobaczyli łunę. Przerazili się. Z tyłu za szopą unosiły się płomienie.

Maggie krzyknęła przeraźliwie, a Les otworzył tylne drzwi. Tony rzucił się w ślad za nim zobaczyć, skąd się wziął ogień. Wszyscy podążyli za nimi. Nie padało, ale na to w ogóle nie zwrócili uwagi.

– To siano! – zawołał Jonathan.

Wiedział od początku, że nie powinni byli zostawiać siana na zewnątrz!

– Ten huk, który słyszeliśmy, to musiał być piorun. Uderzył tu i zapalił bele siana – stwierdził Tony, próbując spokojnie ocenić, co teraz powinni zrobić.

Maggie zareagowała zupełnie inaczej.

– O Boże! – krzyczała.

W ciągu paru sekund płomienie zaczęły przeskakiwać z bel siana na gałęzie drzew wokół domu. Ponieważ siano było złożone przy generatorze niedaleko szopy, Arabelli natychmiast przyszedł na myśl fortepian.

– Czy szopa też się spali? – spytała.

Wszyscy mieli na sobie nocne koszule.

– Mam nadzieję, że nie – odparła Maggie. Wiedziała, że Arabelli chodzi o fortepian, ale ona... ona myślała o hotelu.

Iskry mogły spaść na hotel, a wtedy nic by nie poradzili: dom by spłonął.

Tony złapał wiadro i pobiegł do koryta koni, by nabrać wody. Czuł przenikliwy ból w żebrach, ale

nie zwracał na to uwagi. Wylewał wodę na płonące bele siana; Maggie złapała dwa wiadra z pralni, jedno podała Arabelli. Zjawił się Ted i Maggie kazała mu pompować wodę ze studni, podczas gdy ona i Arabella na zmianę polewały płomienie. Mimo że siano na wierzchu zwilgotniało od deszczu, to w środku było suche jak pieprz, więc szybko zajęło się ogniem. Brnąc w kałużach i błocie, starali się ugasić płonące siano.

Nagle z ciemności wyszedł Wally, a za nim Fred Powell.

Ted mieszkał niedaleko, więc obudziło go zamieszanie. Wyrzał przez okno i zobaczył, że siano się pali. Fred i Wally byli, jak wszyscy, przerażeni widokiem ognia. Tony zawołał ich i poprosił, żeby mężczyźni wzięli widły i łopaty; ci posłuchali i natychmiast zabrali się do rozrzucania płonącego siana. Kiedy Fred zobaczył, że się pali, przezornie przybiegł z kocem, którym próbował zdusić pożar. Tony nadal polewał bele.

Niestety, liście na drzewach zajęły się już ogniem. Zdarzało się, że drzewa herbaciane pękają pod wpływem gorąca, więc Tony obawiał się, że to może nastąpić.

Nie było silnego wiatru, ale Jonathan ciągle myślał o generatorze, bo iskry padały coraz bliżej niego. Tony nie wiedział, że generator przecieka; na myśl o tym, co się może stać, Jonathan wpadł w panikę.

– Boję się o generator! – zawołał. – Parę dni temu paliwo przeciekało!

– Co takiego?

Tony wytrzeszczył oczy z przerażenia.

– Naprawiłem ten przeciek, ale paliwo było wszędzie naokoło! Wiem, że bardzo padało, ale wszystko jedno...

– Pewnie, że tak!

Tony zerknął na urządzenie. W blasku ognia widział, jak w kałużach migoczą plamy paliwa, a iskry padają niebezpiecznie blisko...

Nagle stało się!

– Uciekać! – wrzasnął Tony.

Porzuciwszy wiadra, widły i łopaty, wszyscy popędzili na ulicę. Jonathan ciągnął Arabellę za rękę. Niemal przewrócili w ciemnościach Mohometa Basheera, który akurat wyszedł z mieszkania na tyłach sklepu. Kiedy byli dostatecznie daleko, stanęli i czekali... czekali przez długą, bolesną minutę.

I wtedy nastąpił wybuch.

Drzewo stanęło w płomieniach, które uniosły się aż do nieba.

Patrzyli z przerażeniem, jak wiatr przenosi płomienie od palącego się drzewa na budynek... na ich hotel.

– O nie! – krzyknęła Maggie.

Stało się to, co najgorsze.

– Czy aby wszyscy wyszli z hotelu? – spytał Tony, znowu przerażony. Szybko się rozejrzał.

– A gdzie Stuart?! – zawołał, szukając go w ciemnościach. – Czy ktoś go widział?

Próbował sobie przypomnieć, czy widział Stuarta od chwili, kiedy wyszli na zewnątrz; nie, na pewno nie.

– Mój sprzęt do fotografii! – zawołał Jonathan, widząc, że jedna ze ścian hotelu zaczyna się palić. Rzucił się w kierunku domu.

– Jonathanie! Nie! – krzyknęła Arabella. Zaledwie po paru sekundach ściana zjęła się ogniem. – Wracaj!

Pobiegła za nim, ale Maggie ją powstrzymała.

– Musimy znaleźć Stuarta! – wołała Maggie z przerażeniem. – Musi gdzieś tu być!

– Nie ma go – odparł Les.



– Ja też go nie widziałem – poparł go Ted.

Nagle usłyszeli ze stajni głośnie rżenie Bess. W powietrzu było pełno dymu.

– Wyprowadzę ją! – zawołał Ted.

– Uważaj! – ostrzegła go Maggie.

Gorący podmuch wiatru co chwila przynosił ze sobą iskry, więc się bała, że i stajnia może się zapalić.

Ponieważ sklep Mohometa i poczta były najbliżej hotelu, Mohomet znowu przybiegł, by sprawdzić, czy iskry czasem nie padły na dach któregoś z tych budynków. Niósł drabinę, po której chciał wejść na dach i ewentualnie ugasić iskry.

Po chwili wrócił Tony, ogromnie zaniepokojony.

– Nie mogę nigdzie znaleźć Stuarta Thompsona! – wołał zdyszany. – Wszędzie szukałem. Nic nie mówił? Nigdzie się nie wybierał?

– Nie, nie planował... przynajmniej nic o tym nie wiem – rzekła Maggie.

Tony z przerażeniem spojrzął na płonący hotel.

– Na pewno nie został w środku. – Był przekonany, że wszyscy wyszli z budynku.

Tymczasem z okien na piętrze zaczęły się wydobywać płomienie i dym.

– Jonathan wrócił po swój sprzęt fotograficzny! – krzyknęła Maggie.

– Co takiego? Ten wariat zginie! – zawołał Tony.

Arabella usłyszała to i wpadła w jeszcze większą panikę.

– Jonathanie!!! – krzyczała.

Znowu próbowała pobiec w tamtą stronę, ale Maggie ją odciągnęła.

– Muszę poszukać Stuarta! – zdecydował Tony. – I każę Jonathanowi uciekać stamtąd do wszystkich diabłów!

– Nie wolno ci, Tony! – w panice wołała Maggie. – To strasznie niebezpieczne!

Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że go straci.

– Nie mogę zostawić tam Stuarta – upierał się Tony.

Ruszył do hotelu.

Maggie płakała, zakrywając oczy rękami.

– Idę z nim! – bohatercko zawołał Wally i pognał za Tonym.

Arabella objęła plecy Maggie. Płacząc, tuliły się do siebie.

Mijały minuty.

Nagle usłyszeli trzask i łomot: z budynku leciały belki.

Wtedy pojawił się Jonathan, taszcząc część swojego sprzętu. O parę metrów od hotelu upadł na ziemię, dławiąc się dymem.

Les, Ted, Arabella i Maggie rzucili się do niego i pomogli mu wstać. Mężczyźni pozbierali jego sprzęt.

– Gdzie Tony? – zaniepokoiła się Maggie.

– Nie wiem! – wybełkotal Jonathan, ciągle się krztusząc. – Tam w środku nic nie widać... dym jest za gęsty.

Nagle nad ich głowami jakby oberwała się chmura – i lunął deszcz.

– Dzięki Bogu! – z ulgą zawołała Maggie.

Jeszcze większa była jej ulga, kiedy zobaczyła męża i Wally'ego, biegnących od strony hotelu. Obaj się krztusili. Jeden podtrzymywał drugiego.

– Gdzie Stuart? – pytała Maggie, usiłując zobaczyć, czy mąż nie jest ranny. Na czole umazanym sadzami miał wielki guz. Obaj z Wallym ciężko oddychali, starając się nabrać świeżego powietrza do

płuc, ale poza tym najwyraźniej nic im się nie stało.

– Nie mogliśmy... go znaleźć – wychrypiał Tony. – Ale całe piętro już stało w płomieniach. Żar i dym był taki, że musieliśmy się cofnąć. Jonathan miał szczęście, że udało mu się wyjść! Ja też nie dałbym rady, gdyby nie Wally.

Kiedy był już w korytarzu, belka spadła mu na głowę. Gdyby nie Wally, który go spod niej wyciągnął, zostałaby w środku...

– Dziękuję. – Rozpłakała się Maggie.

Wzruszył tylko ramionami, jakby to nie było żadne bohaterstwo.

– Stuart nie mógłby przespać pożaru – stwierdziła Arabella.

Nie mogła uwierzyć, że eksplozja go nie obudziła.

– Chyba nie – przyznała Maggie. – Ale mógł stracić przytomność w tym dymie...

Głos jej się załamał, z gardła wydobył się szloch.

W tym momencie pojawił się Terry. Miał niezasnurowane buty i rozpiętą koszulę. Było jasne, że ubierał się w pośpiechu i po ciemku.

– Boże, co się tu stało? – pytał. – Czy ktoś jest ranny?

– Piorun strzelił w bele siana, a potem wybuchł generator prądu – relacjonował Tony.

Terry miał wyjątkowo mocny sen, tak że zbudziła go dopiero eksplozja. Myślał, że to piorun uderzył w drzewo herbaciane, ale kiedy wyjrzał przez okno sypialni, zobaczył, że hotel się pali.

– Nie możemy znaleźć Stuarta Thompsona – z przejęciem mówiła Maggie. – Chyba jest w hotelu...

Terry spojrzał na płonący budynek. Ogień gwałtownie pożerał stare ściany. Nikt w środku nie mógł przeżyć takiego piekła.

– Na pewno jest w środku? Górne pokoje wychodzą na balkon, mógł się wydostać tamtędy!

– Byliśmy tam, ale nie mogliśmy go znaleźć... – Tony znów się zaniósł kaszlem.

– No, więc może jednak wyszedł! – W głosie Terry'ego zabrzmiała nadzieja.

– Nigdzie go nie widzieliśmy! – zawołała Maggie. – Terry szukał dookoła hotelu. Więc gdzie jest? Musiał się obudzić! Ogień, eksplozja... Wszyscy się przecież pobudziliśmy!

Terry nadal patrzył na płonący hotel.

– Wszystko jest możliwe. Mógł się zbudzić w panice, wyskoczył z łóżka, potknął się w ciemności i uderzył w głowę...

– Może dlatego nie odpowiadał, kiedy go wołałem, tuż przy jego drzwiach! – zawołał Jonathan. Niedobrze mu się robiło na myśl, że może Stuart leżał tam na podłodze, raptem o metr od niego, a on go nie widział!

– Musimy go wydostać! – wyrwało się Arabelli. – Musimy coś zrobić!

– Teraz nikt tam nie wejdzie – ponuro odparł Terry.

Rozumiał ich uczucia, ale jego obowiązkiem było dopilnować, by nikt inny nie narażał życia.

Gałąź palącego się drzewa herbacianego spadła na dach szopy, ale gwałtowna ulewa szybko stłumiła płomienie. Bele siana nadal się tliły, ale blaszany dach hotelu nie pozwolił, by deszcz dostał się do środka, zatem hotel płonął w dalszym ciągu.

Po jakimś czasie zjawili się z pomocą Afgańczycy i Aborygeni. Niestety, nie mogli już nic poradzić, tyle że przez parę zwariowanych minut wszyscy kręcili się w kółko, starając się znaleźć jakiś sposób. W końcu zrozumieli, że na ratowanie hotelu jest już za późno.

– Wszyscy wyszli z hotelu, prawda? – zapytał niecierpliwie Paddy.

– Nie możemy znaleźć Stuarta Thompsona – mętnie i bez wyrazu odparł Jonathan. – Tony i Wally pobiegli go szukać, ale nie mogli znaleźć.

Pewnie schody zdążyły się już zająć: ogień rozprzestrzenił się tak szybko! Jonathan stracił część

sprzętu. Udało mu się wynieść pudło z fotografiami, więc na szczęście nie stracił wszystkich pięknych prac, ale nie zdołał uratować urządzeń do wywoływania: były na dole i nie mógł ich udźwignąć. Właściwie czuł się winny, bo jego strat nie można było porównywać z czymś utraconym życiem.

Przez parę minut wszyscy stali, ponuro patrząc na płomienie, już niemal sięgające nieba.

Maggie podeszła do męża. Położył jej rękę na ramieniu. Patrzyli oboje, jak praca wielu lat ich życia ginie pożerana płomieniami.

– No, bank będzie miał teraz z tego niewiele... – szepnęła.

To nie było ważne. W końcu Stuart stracił życie – ale Maggie musiała i o tym pomyśleć.

– Niewiele – przytaknął Tony.

Był zrozpaczony, że nie uratował Stuarta Thompsona.

Stali i patrzyli, jak dach hotelu się zapada z potężnym trzaskiem. Chmury iskier znowu oświetliły niebo.

Byli przemoczeni do nitki, bo deszcz padał coraz mocniej. Większość Afgańczyków wróciła do siebie, gdyż kilka wielbłądów, wystraszonych błyskawicami, wyrwało się z zagrody i musieli je odnaleźć, zanim nie odejdą za daleko.

Aborygenki i ich dzieci zostały z McMahonami. Żałobę okazywały cichym zawodzeniem i jękiem. Maggie grzecznie je poprosiła, żeby odeszły, bo ich żal sprawiał, że czuła się jeszcze gorzej.

Po godzinie, podczas której nikt nic nie powiedział, gęsty deszcz powoli ugasił płomienie; paliły się tylko niektóre miejsca.

Niestety, niewiele pozostało... Poczerniałe mury i kilka wewnętrznych ścian na parterze. Niemal cała reszta zniknęła, włącznie z drewnianym balkonem.

Maggie patrzyła na to, a po jej twarzy płynęły łzy. Była jak sparaliżowana. Już groźba, że stracą hotel z powodu długów, była przerażająca, ale teraz wszystkie wspomnienia poszły z dymem! Gdyby nawet stał się cud i z nieba spadły im pieniądze, które byli winni bankowi, i tak nic by im nie pozostało.

Tony nie był w stanie uwierzyć w taką serię nieszczęść. Myślał tylko o tym, co złego zrobili, by zasłużyć na to wszystko, co się wydarzyło...

– Przygotowałem łóżka dla pani, panno Fitzherbert, i dla państwa McMahonów – powiedział Paddy, podchodząc do Jonathana. Dobrze wiedział, że nikt z nich nie spał. – Może będzie trochę ciasno, ale u mnie jest sucho i znajdzie się miejsce do spania.

– To bardzo pięknie z twojej strony – podziękował Jonathan.

Wally już przedtem wrócił do domu Frankiego Millera i zabrał ze sobą Lesa. Ted także poszedł do siebie. Prosił nawet Maggie i Tony'ego, żeby u niego spali, ale odmówili.

– Nie jestem pewien, czy Maggie i Tony przyjmą twoją ofertę, a myślę, że powinienem zostać z nimi – mówił Paddy'emu Jonathan.

Paddy spytał Arabellę, co zamierza. Była tak spłakana, że z trudem mogła mówić.

– Na razie zostanę z Maggie i Tonym – wykrztusiła wreszcie.

– Gdyby pani zmieniła zdanie, proszę po prostu przyjść do mojego domu – powiedział Paddy.

– Bardzo ci dziękujemy – odparł Jonathan.

– Nie mam co tu robić aż do rana – zwrócił się do Tony'ego Terry. – Wtedy poszukam zwłok pana Thompsona, więc bardzo proszę nie wchodzić do budynku, zanim ja tego nie zrobię.

Tony przytaknął i mocniej ścisnął ramię Maggie. Czuł, że biedaczka cała drży.

Wkrótce po odejściu Terry'ego deszcz zelżał; Maggie i Tony poszli sprawdzić spiżarnię i pralnię, których pożar jakimś cudem nawet nie tknął. Nadal panowały ciemności, ale udało im się sprawdzić też inne budynki: zauważyli, że dach pralni się zajął, ale deszcz go ugasił.

Ubikacja też się uratowała.

Kilku Afgańczyków przyniosło łóżka polowe dla Jonathana i Arabelli i ustawili je w szopie. Przynieśli też latarnie i kilka koców. Jonathan bardzo im dziękował.

– Nie mogę uwierzyć, że Stuarda już nie ma z nami – z głębokim smutkiem stwierdziła Arabella.

Jonathan zrozumiał, że Arabella cierpi, bo go kochała i planowała przyszłość właśnie z nim.

Nagle ich uwagę zwrócił podniesiony głos Maggie:

– Co to znaczy? Jak to? Ubezpieczenie nie było zapłacone? Specjalnie odłożyłam na to pieniądze!

Maggie i Tony wracali właśnie z szopy; Arabella i Jonathan w świetle latarni widzieli rozgniewaną twarz Maggie.

– Czuję się teraz okropnie, Maggie, ale pociąg się spóźniał, a my potrzebowaliśmy więcej rzeczy z Lyndhurst...

– I na to wydałeś pieniądze na ubezpieczenie?

Maggie nie mogła w to po prostu uwierzyć.

– Dałem je Afgańczykom, kiedy jechali po prowiant. Wiem, nie powinienem był tego robić, ale mieliśmy akurat parę bardzo słabych miesięcy...

– Słabszych niż zwykle! – zaskrzeczała Maggie. – No, Tony McMahonie! Teraz bank będzie na nas polował przez resztę życia! Czy może być gorzej?

Wybuchnęła płaczem i wybiegła.

– Maggie, chodź do mnie... – słabym głosem odezwał się Tony.

Opadł na jedno z polowych łóżek i oparł głowę na rękach.

– Porozmawiam z nią – odezwała się Arabella.

Poszła za Maggie do obozowiska Aborygenów. Dogoniła ją, kiedy Maggie się potknęła i wpadła na drzewo. Kobieta krzyknęła z bólu, potem jęknęła rozpaczliwie i upadła w błoto. Płakała.

– Nic ci się nie stało? – zapytała Arabella, klękając w błocie obok niej.

– Nic – stęknęła Maggie.

– Wiem, że się gniewasz, ale Tony nie mógł przewidzieć, co się stanie!

– Przecież właśnie po to jest ubezpieczenie: na wypadek, gdyby coś takiego się stało. Zawsze je opłacałam, choć czasami było ciężko!

– On jest tak samo zdruzgotany jak ty, Maggie.

– Wiem... ale mimo to jestem na niego wściekła!

– Po prostu szukasz kogoś, kogo można obwinić za to wszystko... – rzekła Arabella. – To zresztą rozumiałe! – dodała szybko.

– Nie wiem, co się teraz z nami stanie – mówiła Maggie. – Właśnie ta niewiadoma jest najbardziej przerażająca.

Arabella objęła Maggie za ramiona.

– Nie mamy dokąd pójść, nie mamy absolutnie nic, ani pensa; nie mamy nawet co na siebie włożyć.

– Wiem, jak to jest – stwierdziła Arabella.

W tym momencie po raz pierwszy Maggie zrozumiała, jak się musiała czuć Arabella, kiedy trafiła do Marree. A jednak to nie było to samo. Arabella miała dom, do którego mogła wrócić.

– Jestem tym wszystkim taka zmęczona, Arabello... Nawet nie możemy zacząć wszystkiego od nowa, bo nie mamy ubezpieczenia. Więc to się nigdy nie skończy!

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

---

Tej nocy nikt nie spał, ale że byli wykończeni i wyczerpani psychicznie, polowe łóżka dostarczone przez Afgańczyków bardzo się przydały. Po paru godzinach już widzieli pierwsze promienie światła na niebie – i nad pustynią zaczęło świtać. Burza się skończyła, deszcz także, zatem poranek wstał bardzo piękny, bez cienia koszmarnej nocy, jaką przeżyli. Niebo było cudowne, pełne różowości i pomarańczowego blasku: dzięki temu surowy, bezlitosny krajobraz robił o wiele miłsze wrażenie.

Ten widok sprawił, że grupka pogorzalców była w stanie zapomnieć o okropnych wydarzeniach minionej nocy – niestety, tylko na krótko. Wystarczyło spojrzeć na paskudne szczątki spalonego hotelu, żeby paralizujący ból znowu powrócił.

Nagle usłyszeli krzyk; z oddali biegło kilka wielbłądów.

Już po chwili zorientowali się, że to wielbłądy z Fariny.

Mohomet Khan kazał zwierzętom uklęknąć, po czym zsiadł.

– Co tu się stało? Z daleka widziałem ogień!

Tony wystąpił naprzód.

– Piorun spowodował pożar – powiedział.

Arabella też podeszła do przybyłego.

– Czy widział pan po drodze Moirę Quiggley i jej rodzinę? – spytała. Nie mogła przestać o nich myśleć.

– Wyjechałem z Fariny wcześniej niż oni – wyjaśnił Mohomet. – Mam dla was dwieście trzydzieści butelek piwa.

– Nie przypuszczaliśmy, że tu dotrzecie – mówiła Arabella. – Właściwie nie spodziewaliśmy się dzisiaj już nikogo.

– Byłem o jakieś dwadzieścia kilometrów od Fariny, kiedy zaczęła się burza. Fakt, że podróż była trudna, ale pomyślałem, że nie ma sensu wracać. Na szczęście piwo wiozły samice. – Tu wskazał na wielbłądy. – To naprawdę spokojne zwierzęta i zniosły tę burzę całkiem nieźle.

– W każdym razie mamy piwo na stypę po Stuarcie – mruknął Tony.

Trochę okrutnie to zabrzmiało, ale nikt tego nie skomentował.

Stuart odszedł – i nic na to nie można było poradzić.

W tym momencie pojawił się Terry. Miał na sobie wysokie buty i gumowe rękawice i był gotów do przykrego zadania przeszukania zgliszcz i znalezienia zwłok Stuarta Thompsona.

– Dzień dobry – przywitał ich, idąc w kierunku spalonego szkieletu hotelu Great Northern. – Nikt nie wchodził do środka?

– Nie – odparł Tony.

– Gdzie mam postawić piwo? – spytał Mohomet, odwiązując sznury przytroczone do wielbłądów. Był w podeszłym wieku, ale niezwykle sprawny, bo, mimo iż owinięty w długie szaty, zeskoczył z wielbłąda jak mężczyzna dwa razy młodszy. Tony i Jonathan chcieli mu pomóc.

– Chyba złożymy je w szopie – rzekł Tony.

Miał zamiar w ciągu kilku dni odesłać prawie wszystkie butelki, bo nie miał nawet miejsca, żeby je trzymać w chłodzie, ani baru, przy którym można by je podawać klientom... Zresztą klientów też nie było.

Podczas gdy Terry szperał w ruinach hotelu, Tony i Jonathan razem z Mohometem zajęli się zdejmowaniem ładunku z wielbłądów. Kiedy skończyli, Afgańczyk odprowadził zwierzęta do osady. Musiał je nakarmić i zostawić w zagrodzie, żeby odpoczęły.

Nagle pojawił się Paddy, bardzo przygnębiony.

– Widzieliście może Uriego? – spytał, z trudem chwyając oddech.

– Nie. Nie ma go?

– Musiał się wydostać z zagrody razem z innymi wielbłędami, bo wczoraj podczas burzy wyłamały płot.

– Ted, zanim poszedł do siebie, odprowadził Bess z powrotem do stajni, ale Uriego tam nie było...

Ted by coś powiedział – zastanawiała się Arabella.

– Już sprawdzałem w stajni. Nie ma go tam. Wyłapaliśmy już większość wielbłędów, ale Uriego nie znaleźliśmy – mówił Paddy.

– Poszłabym go szukać, ale nie mam ubrania ani butów – zmartwiła się Arabella. W normalnych warunkach czułaby się skrępowana w nocnej koszuli, ale okoliczności były wyjątkowe.

– Może Mohomet Basheer coś nam da, może jakieś pantofle... – zasugerowała Maggie.

– Wtedy poszukam Uriego – zwróciła się do Paddy'ego Arabella.

– Mógł uciec z jakimiś samcami – zastanawiał się Paddy. – Może zdziczeć, zanim go znajdziemy.

– Chyba farmerzy go nie zastrzelą?

– Cóż... to bardzo możliwe – stwierdził Paddy. – No nic... pójdę go szukać. – Oddalił się szybko.

Arabella opadła na łóżko polowe.

– Biedny Uri! To chyba najniešťeśliwszy wielbłęd na świecie!

– Arabello... on wróci – pocieszał ją Jonathan. – Wiesz, jaki jest przywiązany do ciebie i do Bess. Chodź, zobaczymy, czy Mohomet Basheer da ci coś do ubrania, a potem osiodłamy Bess i pojedziemy na poszukiwania Uriego.

Arabella się trochę rozchmurzyła.

– Naprawdę?

– Ależ tak! Idź z Maggie do sklepu.

Wczoraj, kiedy Jonathan wracał z hotelu, dokąd pobiegł po swój sprzęt fotograficzny, zdążył złapać spodnie, koszulę i buty. Właściwie zawinął w spodnie kamerę, starając się ją chronić przed ogniem.

Mohomet pozwolił Maggie i Arabelli wziąć sobie z jego sklepu wszystko, czego potrzebowały. Bardzo to doceniły. Poza tym zaprosił je do mieszkania, żeby mogły się tam umyć i oczyścić.

– Proszę pamiętać, że pewnego dnia panu zapłacimy – powiedziała Maggie. Nie wiedziała kiedy, ani w jaki sposób, ale bardzo jej zależało na spłaceniu tego długu.

Mohomet zrozumiał, że mimo nieszczęścia zachowała poczucie godności.

– Jestem pewien, że tak będzie – odparł z przekonaniem.

– Bardzo, bardzo dziękujemy! – z żarem w głosie zawołała Arabella.

Mohomet się uśmiechnął. Jak bardzo ta kobieta różniła się od owej przemądrzałej dziewczyny, która wybrała u niego strój zasłaniający ją od stóp do głów... To mu się ogromnie spodobało.

Kiedy Arabella wróciła do stajni, zastała tam Jonathana i osiodłaną Bess.

– Oby tylko klacz zrozumiała, że jedziemy szukać Uriego – mówiła Arabella. – Może go znajdzie, zanim malec odejdzie za daleko.

Jonathan wskoczył na siodło i podniósł Arabellę, która usiadła za nim. Objęła go rękami w pasie i ruszyli.

Terry znalazł coś w ruinach spalonego hotelu i wycierał to z kurzu.

– Co to? – spytał Tony.

– Zegarek – odparł Terry. Wyszedł z budynku i pokazał znalezisko Tony'emu. – Twój? – zapytał.

– Nie.

– Może Jonathana? Albo Lesa Mitchella?

– Nie... nie widziałem, żeby mieli podobny zegarek.

– Wobec tego musi należeć do Stuarta Thompsona.

– Proszę mi pokazać! – poprosiła Maggie. – Kiedyś Stuart zostawił swój zegarek w kuchni, więc wiem, jak wygląda.

Tony podał jej zegarek. Obejrzała go i jej dolna warga zaczęła drżeć. Mimo że szkło pękło i szerniało, rozpoznała przedmiot.

– Tak, to Stuarta – szepnęła chrapliwie.

– Tak mi przykro z powodu Maggie i Tony’ego – mówiła Arabella, z przyjemnością tuląc się do pleców Jonathana.

Jechali na zachód, obok szybko płynącego strumienia. Na ziemi widać było wiele śladów nóg wielbłądów, więc mieli nadzieję, że znajdą Uriego, zapewne pośród innych wielbłądów. Co prawda te ślady mogły pochodzić od wielbłądów, na których jechali Afgańczycy w poszukiwaniu tych sztuk, które nie wróciły...

– Mnie także – przyznał Jonathan. – Taka tragedia przedstawia wszystko w innej perspektywie; widzi się rzeczy o wiele wyraźniej, prawda?

– Tak... Dzięki temu rozumiałam, jakie bezsensowne życie prowadziłam tam... w Anglii. Nie miałam żadnego celu, żadnych dążeń. Zazdroszczę ci, Jonathanie. Ty przynajmniej wiesz, co chcesz zrobić ze swoim życiem.

Jonathan zatrzymał klacz i odwrócił się, by spojrzeć na Arabelle.

– Tak myślałam...

– Co masz na myśli?

– Teraz wiem na pewno tylko jedno, Arabello. Wiem, że chcę spędzić swoje życie z tobą. Niekoniecznie na pustyni. Nieważne gdzie. To, co się wydarzyło zeszłej nocy, sprawiło, że zrozumiałem, że bez ciebie moje życie będzie puste i bez sensu.

– Och, Jonathanie... Ja przecież czuję dokładnie tak samo! Ale nie mogłabym od ciebie żądać, żebyś wszystko porzucił. Twoje plany są naprawdę ważne i cenne.

– Mogę znaleźć równie ważne i cenne zajęcie w Anglii.

Arabella była głęboko wzruszona myślą, że Jonathan jest gotów porzucić dla niej swoje marzenia. Wiedziała, jakie to poświęcenie z jego strony.

– Nie, Jonathanie... nie wolno ci opuścić Australii ani buszu. Bez tego będziesz nieszczęśliwy!

– Bez ciebie, Arabello, nie warto mi żyć, więc postanowiłem się poświęcić. – Nagle twarz mu się zmieniła; był jakby wzburzony.

– Co ci jest, Jonathanie?

Złękła się, że zmienił zdanie.

– Muszę wiedzieć, czy planowałaś życie ze Stuartem...

Musiał się tego dowiedzieć... Może był tylko drugim w kolejności?

– Ależ nie! Mówił, że chciałby wrócić ze mną do Anglii, ale podejrzewam, że podjął decyzję pod wpływem emocji... taką samą jak wtedy, kiedy się ożenił. Ale to nieważne, bo nigdy nie kochałam Stuarta. Myślałam, że być może spędzę z nim życie, bo mnie kocha, a ja... lubiłam go i podobał mi się. Ale kiedy pobiegłam z powrotem do tego płonącego hotelu, byłam tak przerażona... Wtedy zrozumiałam, jak bardzo cię kocham... I że nie chcę przeżyć życia z żadnym innym mężczyzną, tylko z tobą. Ale to niemożliwe, żebyś zrezygnował ze swoich marzeń!

– Chcesz przez to powiedzieć, że mnie kochasz, ale że nie możemy być razem?

– Ależ nie! Wolę żyć z tobą tutaj, w chatce na pustyni, niż bez ciebie w wielkim mieście. Nie ma znaczenia, gdzie zamieszkamy, byle tylko być razem!

Oczy Jonathana zamglily się.

– Naprawdę tak uważasz? – spytał z uśmiechem.

– Tak, całym sercem tak!

– Obiecuję ci, że będziesz mieszkać w czymś lepszym niż chatka. Nie mogę pozwolić, żeby moja żona mieszkała w chatce!

– Twoja... żona? – powtórzyła radośnie.

– Wyjdiesz za mnie, Arabello?

– Oczywiście, że wyjdę!

Zarzuciła ręce na szyję Jonathana i ucałowała go namiętnie.

– Zaczekaj – powiedział, usuwając się. – To trzeba zrobić jak należy. Muszę przecież poprosić o twoją rękę ojca!

– Jeżeli nalegasz... – zgodziła się Arabella z uśmiechem. – Ale mam zamiar wyjść za ciebie niezależnie od tego, co tata powie.

Jonathan spróbował zmarszczyć brwi.

– No, nie jestem pewien, czy sobie poradzę z taką wojowniczą żoną... – zaczął.

– Poradzisz sobie! – Arabella spojrzała w jego ciemne oczy. – Będziesz musiał!

Jeździli jeszcze godzinę, szukając Uriego, niestety bez skutku.

Arabella była ogromnie rozczarowana, ale mimo wszystko radosna: jej życie z Jonathanem miało się ziścić, po tylu tygodniach zwątpienia i niepewności.

– Może lepiej nie mówmy o naszym małżeństwie, kiedy wrócimy – zaproponował Jonathan. – To nie będzie właściwe dzielić się takimi nowinami po tym, co się stało ze Stuartem...

Zdążyli dotrzeć do stajni, kiedy do miasta wjechała Moira z rodziną. Ich wóz ciągnął wielbłąd, na którym jechał Afgańczyk; konie były uwiązane z tyłu. Kiedy Tony obejrzał pojazd, zobaczył, że wóz jest po osie unurzany w błocie.

– Co tu się stało?! – krzyknęła Moira, wysiadając z wozu razem z synami i mężem Philem, i patrząc na szerniałe resztki hotelu Great Northern.

– Piorun – krótko wyjaśnił Tony, zbyt przygnębiony, żeby wdawać się w szczegóły.

– Te burze są straszne – stwierdziła Moira. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, ile mieli szczęścia, że piorun w nich nie trafił. – Przejechaliśmy najwyżej osiem kilometrów, kiedy zaczął lać deszcz. Staraliśmy się jechać jak najszybciej, ale niebawem wóz ugrzązł po osie w błocie.

– To niesamowite, Moiro, że mimo wszystko przyjechałaś! – rzekła Maggie. – Arabella bardzo się o ciebie martwiła już od paru dni.

W tym momencie pojawili się młodzi.

– Moiro! A jednak! – zawołała Arabella, najwidoczniej uszczęśliwiona.

– Tak, co prawda o dzień później, ale jesteśmy!

– Jak się wydobyliście z tego błota? – chciała wiedzieć Maggie.

– Namówiłam Phila, żeby wrócił do Fariny i ściągnął jednego z Afgańczyków. Wielbłąd nas wyciągnął. Strasznie silne zwierzęta! A to, że mają nogi dłuższe od końskich, bardzo im pomaga w chodzeniu po błocie.

Maggie była pełna podziwu dla zaradności Moiry.

– A w ogniu nikt nie ucierpiał? – spytał Tony'ego Phil.

– Gorzej – ponuro odparł Tony. – Zginął jeden z naszych gości. Stuart Thompson.

– O Boże – jęknęła Moira. – To okropne.

– Tak, to prawda – przytaknęła Maggie. – Ale... przejechaliście taką ciężką drogę, a my nie mamy dla was nawet kąta... – Walczyła ze łzami.



– Nie przejmuj się tym! – przekonywała ją Moira. – Możemy się przespać w wozie! – Nagle przypomniała sobie, po co tu są i dlaczego mieli zorganizować uroczystość. – Planujecie odbudować hotel, prawda? – spytała.

Maggie przełknęła ślinę.

– Nie możemy. Nie mamy ubezpieczenia.

Tu spojrziała na męża.

– Nie zapłaciłem na czas... – przyznał się Tony z zażenowaniem.

– Och... – powiedziała Moira ze współczuciem. Nie mogła po prostu uwierzyć w taki brak szczęścia.

– Tak czy owak, nikt tu nie przyjdzie się bawić... – dodała smętnie Arabella.

– Przecież przyjechałam, prawda? – oburzyła się Moira.

– No tak... ale to cud.

– Kiedy coś obiecuję, zawsze dotrzymuję słowa. I bynajmniej się nie zdziwię, kiedy i inni zrobią to samo.

– Wiem, dlaczego wdałaś się w te wszystkie kłopoty, Moira, i naprawdę jestem ci wdzięczna, ale jak widzisz, już nie ma hotelu, który trzeba uratować – westchnęła Maggie.

Moira nie znalazła odpowiedzi.

– Powinniśmy urządzać pogrzeb – stwierdził Tony.

– I powiadomić rodzinę Stuarta... tyle że nie wiemy, gdzie ona może być – zafrasowała się Maggie.

– Mówił mi, że jego krewni mieszkają w Anglii i Walii – rzekła Arabella.

– Będzie trzeba skontaktować się z Czerwonym Krzyżem; oni ich na pewno znajdą.

Moira wyciągnęła przywiezione produkty: kilka bochenków chleba i trochę konserw. Rozdzielili to pomiędzy siebie. Maggie i Tony nie byli właściwie głodni, ale Moira i jej rodzina jedli; tak samo Jonathan i Arabella, którzy siedzieli bardzo blisko siebie na polówce w szopie. Kiedy tylko nadarzała się okazja, dotykali się leciutko i patrzyli sobie w oczy, myśląc o wspólnej przyszłości.

Maggie zauważyła tę bliskość. Jej zdaniem pasowali do siebie doskonale.

– Nie widziałam jeszcze Jimmy’ego Wanganeena – zauważyła nagle Maggie. Kiedy spotkała Aborygenki, była z nimi Ruby. To niezwykle, bo Ruby i Jimmy rzadko się rozdzielali.

Arabella z niepokojem zerknęła na Jonathana.

– Kiedy byłaś u siostry, Jimmy zmarł – wyjaśnił Jonathan.

– Och, nie! – jęknęła Maggie, zasłaniając usta ręką.

– Urządziliśmy małą ceremonię żałobną, kiedy Aborygeni byli w obozie żałoby – dodała Arabella.

– To bardzo pięknie z waszej strony. – Maggie pomyślała, że chętnie uczestniczyłaby w takiej uroczystości. – Czy to wódka go zabiła?

– O nie! Przestał pić, kiedy zabrakło nam mięsa – opowiadała Arabella.

Maggie była zaskoczona.

– Codziennie polował dla nas, a potem przyrządzał kolację – ciągnął Jonathan.

Maggie zaniemówiła, Tony również.

– Uwielbiał to – mówiła dalej Arabella. – Wydaje mi się, że to nadawało cel jego życiu każdego dnia.

– Ależ to cudowne! – zawołała Maggie. Była naprawdę zachwycona Jimmym. Zanim zmarł, zdołał odzyskać własną godność.

– Arabella grała na fortepianie i śpiewała hymn na cześć Jimmy’ego – ciągnął Jonathan.

– Jonathan wygłosił mowę, i to, co powiedział, było naprawdę czarujące. Widzieliście zdjęcie, które zrobił Jimmy’emu? Wisi tu na ścianie za wami!

Maggie przyjrzała się uważnie fotografii.

– Nadzwyczajna – rzekła ze wzruszeniem. – To naprawdę jest... prawdziwy Jimmy.

– Ted powiedział, że Jonathanowi udało się uchwycić na tym zdjęciu duszę Jimmy’ego, i to prawda!

– z dumą mówiła Arabella.

– Ileż się wydarzyło podczas naszej nieobecności! – podsumowała Maggie.

– Co teraz zrobicie? – spytała Moira.

– Nie wiem... – W oczach Maggie znowu ukazały się łzy. – Nie stać nas teraz nawet na bilet kolejowy, kiedy pociąg znów zacznie kursować. – Spojrzała na męża. – Pewnie pojedziemy z powrotem do mojej siostry, zanim nie ułożymy nowego planu na przyszłość.

– Teraz jesteś w szoku, Maggie – wtrącił Phil. – Daj sobie trochę czasu na przemyślenia.

– To i tak niczego nie zmieni.

– Mamy trochę piwa, Phil – przerwał im Tony. – Chodź, otworzymy parę butelek i zobaczymy, jak smakuje ten produkt Dave’a.

– Wypijmy za Stuarta Thompsona... – dodał Jonathan. Arabellę wzruszyła jego dobroć.

– To smutna okazja – zauważyła Maggie. – Ale i tak nie spotkało nas nic radosnego, za co moglibyśmy wypić – dodała.

Arabella spojrzała na Jonathana.

– Możemy im powiedzieć? – wyszeptwała.

Maggie usłyszała.

– O czym tak szepczecie?

Arabella nie była pewna, czy może coś powiedzieć.

– Arabella i ja chcemy się pobrać – z dumą oznajmił Jonathan.

Maggie aż krzyknęła. Tony się uśmiechnął.

– Cudowna wiadomość! – rzekła Maggie. – Będziecie doskonałą parą!

– A tobie dostanie się wspaniała dziewczyna – dodał Tony.

Te słowa sprawiły, że w oczach Arabelli zabłyśły łzy.

– Dziękuję... – szepnęła.

– Wiem, byłem dla ciebie ostry, kiedy tu przyszedłaś, ale teraz wyrosłaś na cudowną młodą kobietę – dodał Tony.

– Tak, bardzo się zmieniłam – przyznała – i to dzięki wam.

Tony zerknął na żonę.

– W ciągu tych wszystkich lat poznaliśmy wielu ludzi, ale ty jesteś wyjątkowa, Arabello Fitzherbert – powiedział. – Maggie na pewno się ze mną zgodzi, że początkowo byłaś krnąbrna, ale ona dostrzegła w tobie dobroć. W dodatku trafiłaś do nas w trudnym momencie, a to wiele znaczy.

– Przyjęliście mnie, kiedy potrzebowałam pomocy. I nie wyrzuciliście, chociaż na to zasługiwałam!

Tony się roześmiał, ale po chwili znowu spoważniał.

– Chciałaś ratować nasz interes... – Walcząc ze wzruszeniem, popatrzył na zgliszcza hotelu, po czym podniósł szklanę. – Za Stuarta!

– Za Stuarta... – powtórzyli wszyscy.

– A teraz za szczęście Jonathana i Arabelli! – dodała Maggie. – Niech żyją razem wiele lat w szczęściu!

# Rozdział trzydziesty

---

Jonathan i Arabella w poszukiwaniu samotności wymknęli się na spacer.

– Jestem pewien, że pociąg wkrótce przyjedzie – mówił Jonathan.

– Powtarzam to sobie tygodniami... – ze znużeniem rzekła Arabella. – Zaczynam jednak wątpić, czy w ogóle kiedykolwiek przyjedzie.

– Przyjedzie! I jestem przekonany, że się ogromnie uradujesz widokiem rodziców.

Czuł radość, ale było w nim tyle szczęścia, co goryczy. Cieszył się, że Arabella połączy się z rodzicami, a martwił, bo bał się trochę, że państwo Fitzherbert zechcą ją zabrać ze sobą do Anglii.

– Tak, na pewno się ucieszę! – Rozjaśniła się na samą myśl. Ale po chwili spoważniała. – To, że nie wiedzieli, co się ze mną stało, sprawiło im na pewno mnóstwo cierpień; po prostu chciałabym, żeby już to mieli za sobą. Dla mnie najcięższa do zniesienia była właśnie świadomość, że cierpią. – Nie pamiętała momentu, w którym przestała myśleć tylko o sobie, a zaczęła się martwić o nich. – Wyobrażasz sobie, jacy będą zaskoczeni, kiedy im powiem, że planujemy się pobrać? – Znowu się uśmiechała.

– Pod warunkiem, że twój ojciec uzna mnie za odpowiedniego kandydata – przerwał jej.

– Uzna, na pewno! – zawołała z przekonaniem. Nie była w stanie pojąć, że rodzice mogliby nie pokochać Jonathana tak bardzo jak ona sama.

Ale on nadal miał wątpliwości.

– Właściwie nie mam żadnych stałych zarobków – tłumaczył. – A twój ojciec może uznać, że widoki na przyszłość też mam nie najlepsze...

– Poczekaj, aż obejrzy twoje wspaniałe prace! – zawołała.

Uścisnął mocno jej rękę, a potem objął Arabellę i ucałował.

– Kocham cię... – wyznał.

– I ja ciebie kocham, Jonathanie Westonie! – odparła z uśmiechem. – Pani Arabella Weston... To ładnie brzmi, prawda?

– Istotnie... – Jonathan był znowu poważny. – Czy będziesz chciała wrócić do Anglii z rodzicami i zostać tam aż do naszego ślubu?

Była zaskoczona.

– A gdybyś pojechał ze mną?

– Ja...

Widziała, jaki się czuje rozdarty. Kochał busz.

– Nie rozumiem, czemu nie mielibyśmy wziąć ślubu tutaj – rzuciła szybko.

– Ależ jestem pewien, że rodzice będą chcieli cię zabrać do domu. Po tym wszystkim, co przeszli! Oczywiście będą w siódmym niebie, kiedy cię zobaczą, ale muszą mieć w końcu jakąś nagrodę za tę gehennę.

– Masz rację. – Uniosła kącik warg. – Zawsze masz rację. – Z przyjemnością wsparła się na jego ramieniu. – Musimy poczekać; zobaczymy, co powiedzą, kiedy się już spotkamy.

Wiedziała, że mogłaby odmówić powrotu do Anglii z rodzicami, ale nie chciała ich ranić po tym wszystkim, przez co przeszli. Niemniej nie przeżyłaby rozstania z Jonathanem, nawet na krótko.

Kiedy wrócili do szopy, Maggie zalewała się łzami, a Moira starała się ją pocieszyć. Siedziały na polowym łóżku. Tony patrzył na żonę, bojąc się, że te przeżycia mogą źle wpłynąć na jej serce.

– Co się stało? – spytała przerażona Arabella.

Jej pierwszą myślą było, że znaleziono ciało Stuarta.

– Myślę, że po prostu to wszystko teraz do niej dotarło – wyjaśniła Moira. Miała na myśli trudne położenie tych dwojga; utratę hotelu w pożarze i koniec życia, jakie tu wiedli i które pokochali. – Myślę, że do nas wszystkich to dopiero powoli dociera. Great Northern był dla tutejszych ludzi czymś więcej niż tylko miejscem spotkań. Dave uważa, że jeżeli Great Northern zniknie z powierzchni ziemi, hotel Transcontinental wkrótce pójdzie w jego ślady...

Doskonale zdawała sobie sprawę, że to znaczy, iż przyszłość jej rodziny będzie bardziej niepewna, niż była kiedykolwiek.

Reszta dnia upłynęła w ponurym nastroju. Moira podała chleb i dżem na kolację, a Mohomet Basheer przygotował dla wszystkich herbatę.

– Ciekawa jestem, ile osób wybrało się do Marree i ugrzęzło w błocie – mruzczała Maggie przy jedzeniu.

Nie miała apetytu i bez przerwy się martwiła o ludzi, którzy od lat byli ich przyjaciółmi. Z jednej strony chciała, żeby bezpiecznie dotarli do Marree, ale z drugiej – martwiła się, bo nie miała im co zaproponować.

– Maxwellowie mieli przywieźć trochę mięsa – rzekła Arabella. – Mam nadzieję, że im się nic nie stało i że nigdzie nie utknęli!

– Żeby tu dotrzeć, muszą przejechać przez kilka strumieni. – Maggie zmarszczyła brwi. – Z reguły nie ma w nich wody, ale teraz, po tym deszczu, na pewno są pełne, więc podróż może być bardzo ryzykowna.

Arabella na te słowa jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

Zapadł wieczór, ale do Marree nikt nie przyjechał.

W końcu Arabella zaczęła grać na fortepianie.

To był pomysł Jonathana: myślał, że w ten sposób rozchmurzy ich wszystkich. Niestety, to tylko przypomniało im o uroczystości, która miała uratować hotel przed bankructwem. Poza tym nie mogli przestać myśleć o Stuarcie.

Po kilku akordach Arabella zamknęła pokrywę i wszyscy poszli spać. Moira i jej rodzina ułożyli się w wozie, który przyciągnęli bliżej szopy na siano.

Arabella położyła się obok Maggie.

Maggie nie mogła zasnąć. W końcu zrezygnowała ze snu i leżała, patrząc w gwiazdy widoczne przez dziurawy dach stodoły. Myślała o tym, że Arabella spędzi Boże Narodzenie z dala od rodziców. Czuli się, jakby to była jej wina, choć to kompletnie nie miało sensu. Kiedy prowadziła ten hotel, mogła ludziom coś ofiarować – troskę, gościnność; mogła też urządzić Gwiazdkę – co prawda tylko w australijskim stylu. Jednak tym razem nie mogła tego zrobić... A kiedy pomyślała, że niedługo przyjedzie tu pociąg z rodzicami Arabelli, poczuła się jeszcze gorzej. Martwiła się, że będą ją oskarżać, że nie zaopiekowała się ich córką. Co za smutna Wigilia nas czeka – westchnęła Maggie.

– Jak w Marree obchodzi się Wigilię? – szepnęła Arabella. Myślała o świętach w domu i zaciekawilo ją, jak ludzie tutaj obchodzą ten dzień.

– To zawsze były bardzo uroczyste chwile – odpowiedziała Maggie. – Prawda, Tony? – zwróciła się do męża leżącego na sąsiednim wyrku.

Odwrócił się na bok i oparł na łokciu.

– Tak, w Wigilię zawsze przyjeżdżało do miasta mnóstwo ludzi – powiedział. – Maggie już na wiele dni naprzód piekła chleby i rozpalaliśmy grill... – Uśmiechnął się na samo wspomnienie.

– I zawsze dużo śpiewaliśmy – dodała Maggie, którą ogarnęła tęsknota.

– I było mnóstwo picia – uzupełnił Tony.

– A czasami mężczyźni się przebierali i urządzali zabawę – przypomniała sobie Maggie. Spojrzała w kierunku domu Frankiego Millera. – Pamiętasz, jak kiedyś mieliśmy bal kostiumowy i przebrałam

Wally'ego za kobietę? To był chyba najśmieszniejszy widok w moim życiu!

– To prawda! Miał być Śpiącą Królewną, ale wyglądał raczej jak jedna ze złych sióstr z bajki o Kopciuszku. – Tony nie mógł opanować chichotu.

– Szkoda, że mnie tu wtedy nie było! Z aparatem fotograficznym! – wtrącił Jonathan.

– Też żałuję! – rzekł Tony.

– Nie wyobrażam sobie Wally'ego na takim przyjęciu! – Arabella była zachwycona.

– Był pijany jak bela – wyjaśniła Maggie. – Właściwie nie wiedział, w co go ubieram.

– Potem zresztą nikt nie odważył się mu o tym powiedzieć – zakończył Tony.

Arabella się zaśmiała.

– No, w to z pewnością mogę uwierzyć.

– Taka Wigilia na pewno się już nie powtórzy... – Maggie się zamyśliła.

Przez chwilę trwała cisza.

– A ty? Jak obchodziłaś Wigilię? – spytała Arabellę.

– Och, cudownie! – Myśli Arabelli pobiegły w przeszłość. – Zawsze była uroczysta kolacja z zaproszonymi przyjaciółmi. A po kolacji moja mama grała na fortepianie i śpiewaliśmy kolędy. W salonie na kominku huczał ogień, a na dworze często padał śnieg... Kiedy dorośli rozmawiali, uwielbiałam siedzieć przy oknie, w cieple i zaciszu, i patrzeć na płatki śniegu... W świetle lampy lśniły jak kryształki!

Wszyscy mogli sobie wyobrazić, jak to wyglądało.

– A w salonie stała ogromna choinka, cała obwieszona pięknymi ozdobami – ciągnęła Arabella. – Moja mama i nasza gospodyni co rok robiły nowe ozdoby, a ja im pomagałam. Uwielbiałam Wigilię w domu. Wydawało mi się wtedy, że wypełnia go szczególne ciepło i radość. Pozwalali mi się napić ajerkoniaku... nawet, kiedy był w nim prawdziwy koniak! Zawsze mi się od tego robiło gorąco w środku, jakbym płonęła! Wolno mi było otworzyć jeden z prezentów...

Przypomniała sobie stertę paczek pod choinką, owiniętych w kolorowy papier i ozdobionych kokardami.

– Kiedy byłam jeszcze malutka, zawsze trzęsłam się z przejęcia – wspominała. – A kiedy już się kładłam spać, czułam zapach pieczonego indyka i wieprzowiny, bo nasza kucharka zawsze zaczynała wtedy szykować świąteczny obiad. Piekla je całą noc, więc dom był pełen smakowitego zapachu.

Te wspomnienia pozwoliły słuchaczom przenieść się do świata Arabelli. Nieomal czuli zapach indyka i pieczeni.

– A następnego ranka jechaliśmy do kościoła saniami zaprzężonymi w konia, potem wracaliśmy do domu na świąteczny obiad i otwieranie prezentów! Gwiazdka to było dla mnie zawsze najpiękniejsze święto w roku!

Przypomniała sobie srebrzysty dźwięk dzwonek i świst powietrza, kiedy pędzili saniami po śniegu. Jechała między rodzicami, ciepło opatulona, w futrzanym kapeluszu i rękawiczkach, z ciepłym kocem na kolanach. Zimny wiatr sprawiał, że z oczu i nosa zaczynało jej ciec, ale zaśmiewała się z dobrodusznego utyskiwania matki.

– No, niedługo znowu będziesz miała prawdziwe Boże Narodzenie... – rzekła Maggie, myśląc o następnym roku.

– Planowaliśmy spędzić święta inaczej, w Australii, ale nikt nie przypuszczał, jak bardzo inaczej...

Spojrzała na Jonathana i nagle zdała sobie sprawę, że jeśli się pobiorą i tu zostaną, być może już nigdy nie przeżyje takiej Gwiazdki jak dawniej w Anglii.

Chyba czytał w jej myślach.

– Pojedziemy na Boże Narodzenie do Anglii... – szepnęła jej do ucha.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że rodzice byliby tym zachwyceni. Już sobie wyobrażała, jak zabiera do rodzinnego domu swoje dzieci, jak im opowiada o dzieciństwie... Chciała powiedzieć Maggie, że być może los się odmieni i przyjaciółka, bo chyba mogła ją teraz tak nazywać, przeżyje jeszcze wspaniałe święta, ale nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Chciałaby móc jej powiedzieć, że ojciec pomoże im w odbudowie hotelu, ale wiedziała, że to niemożliwe. Zbyt wiele by to kosztowało.

Następnego ranka, kiedy tylko wstali, zjawili się Ruth i Bob Maxwellowie z dwoma pasterzami bydła, z których jeden był Aborygenem. Małżonkowie jechali wyładowanym wozem. Kiedy zobaczyli szczątki hotelu, zaniemówili.

– Co tu się stało?! – krzyknęła Ruth, schodząc z wozu.

– To piorun – wyjaśnił Tony.

– O Boże! – zawołała. – Strasznie mi przykro!

Oczy Maggie znów się napełniły łzami.

– Jak tu dojechaliście? – chciał wiedzieć Tony.

– Jack nas przeprowadził przez te wszystkie strumienie i trzęsawiska, inaczej nie dalibyśmy sobie rady – wyjaśnił Bob.

Jack to był ich pasterz, Aborygen, znający busz jak własną kieszeń.

Ruth objęła Maggie i obie się rozplakały. Scena była tak wzruszająca, że Arabelli łzy napłynęły do oczu.

– Nikt nie został ranny w tym pożarze? – spytał Tony’ego Bob.

– Nasz gość, Stuart Thompson, zginął w płomieniach – odparł tamten.

– Och, nie! – Ruth znowu wybuchnęła płaczem.

– To naprawdę cud, że państwo tu dojechali, pani Maxwell – mówiła Arabella, chcąc pocieszyć zmarzwione panie. – I to do tego podczas burzy! To było coś strasznego!

– Nie chcieliśmy was zawieść – mówiła Ruth. – Nie byłam pewna, kiedy inni dotrą do miasta... Skąd wzięlibyście mięso na grill? Więc pomyśleliśmy, że lepiej będzie, jeżeli przyjedziemy nawet o dzień później, niż gdybyśmy mieli w ogóle nie przyjechać! Jestem pewna, że dziś zjedzie się do Marree dużo rodzin i będziemy mogli urządzać uroczystość, tyle że dzień później.

– W każdym razie tej katastrofy nie mogliśmy przewidzieć. – Arabella spojrzała na zgliszcza hotelu. – Naprawdę jestem wam bardzo wdzięczna, że przyjechaliście, ale wolałabym, żebyście nie ryzykowali życiem!

– To nie było aż tak dramatyczne – z australijską niefrasobliwością stwierdziła Ruth. – Bywały gorsze podróże.

Nagle usłyszeli dobiegający z daleka dźwięk.

– Co to takiego? – spytała Arabella z przejęciem.

Dźwięk zabrzmiał jakoś znajomo, ale...

– To pociąg! – zawołał nagle Tony.

Arabelli zabrakło tchu, oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Jesteś pewny?

– To odgłos pociągu – potwierdził.

Po chwili usłyszeli daleki świst.

– Tak! To pociąg! – krzyknął Ted.

Arabelli z przejęcia zrobiło się niedobrze, ale Ted już biegł w kierunku stacji, na peron. Jonathan trzymał Arabellę za rękę, która drżała. Ruszyli za Tedem.

Na małym peronie zjawili się także pozostali mieszkańcy Marree. Wszyscy wpatrywali się z nadzieją w tory. Nie mogli jednak nic wypatrzeć.

Maggie chwyciła dłoń Arabelli i mocno uściśnęła. Mimo własnych nieszczęść wiedziała, jak bardzo Arabella czekała i tęskniła do tej chwili, i czuła się szczęśliwa jej szczęściem.

Sekundy zdawały się zmieniać w godziny...

– Jak to możliwe, że słyszymy pociąg, a nie możemy go zobaczyć? – niecierpliwie pytała Arabella. Bała się, że to nieprawda... że usłyszeli coś innego.

– Na pustyni głos się niesie kilometrami – z przekonaniem wyjaśnił Ted. – Już niedługo zobaczysz pociąg!

Ledwie to powiedział, w oddali ukazała się lokomotywa, a za nią wagony.

Arabella miała łzy w oczach, cała dygotała w środku z emocji. Tak długo czekała na tę chwilę!

Edward i Clarice siedzieli obok siebie w pociągu, trzymając się za ręce. Oboje byli tak zdenerwowani i niespokojni, że w ustach im zaschło, a dłonie lepiły się od potu. Ich cierpliwość została wystawiona na straszną próbę, bo pociąg dojeżdżał do Marree o cały dzień później. Rzęsisty deszcz spowodował, że ziemia tak rozmiękła, iż tory były o wiele mniej stabilne niż zwykle. W związku z tym pociąg musiał jechać bardzo wolno i podróż trwała dwa razy dłużej.

– No, dojeżdżamy – rzekł Edward, wyglądając przez okno.

Zobaczył w oddali palmy daktyłowe i wieżyczkę meczetu. Wybrali dzienny wagon, nie sypialny. Edward twierdził, że to praktyczniejsze, ale Clarice wiedziała, że nie chciał, by wróciły bolesne wspomnienia związane ze zniknięciem Arabelli.

– Boję się spojrzeć... – szepnęła, ściskając rękę Edwarda i odwracając wzrok od okna.

Już dawno się modliła o to, by zobaczyć córkę stojącą na peronie, ale teraz, kiedy ten moment się zbliżał, ogromnie się bała rozczarowania. Spojrzała na Edwarda. Najwyraźniej czuł to samo, ale starał się być odważny... dla niej.

Kiedy pociąg zaczął zwalniać, Edward usłyszał okrzyki innych ludzi w ich wagonie: cisnęli się w oknach, gapiąc się na miasteczko.

– Co to takiego? – spytała Clarice, wyciągając szyję, by coś zobaczyć. – Co się stało?

– Był pożar! – krzyknął ktoś. – Hotel się spalił. Hotel Great Northern to teraz ruina!

Clarice szeroko otworzyła oczy. Myślała, że zemdleje.

– Dobry Boże! – zawołała.

Przez głowę przemykały jej najgorsze myśli. A co jeżeli Arabella była w tym hotelu, kiedy wybuchł pożar?

Rozpłakała się. Edward przytulił ją mocno do siebie. Oboje mieli nadzieję, że ich dziewczynka jest żywa i zdrowa, i że mieszka w tym hotelu... Nie mogli patrzeć na zgłiszcza... to było dla nich za wiele.

Kiedy pociąg się pojawił, Arabella myślami wróciła do chwili, gdy zobaczyła, jak powoli się oddala i zostawia ją samą... Przez kilka chwil przeżywała na nowo swoją rozpacz, kiedy została sama na pustyni.

Ale w tej chwili wracał! To był najbardziej radosny dzień w jej życiu. Ileż tygodni minęło!

Arabella nagle się przeraziła.

– A co będzie, jeżeli rodziców nie ma w pociągu, Jonathanie? – spytała szeptem.

– Będą tam! – zapewnił ją. Nie mógł dopuścić nawet myśli, jak bardzo byłaby rozczarowana.

Kiedy pociąg nareszcie zahamował w kłębach pary, Arabella rzuciła się do ostatnich wagonów. Musiała przy tym zejść z peronu, który nie sięgał aż tak daleko, a była przekonana, że rodzice muszą jechać w jednym z dwóch wagonów sypialnych na końcu składu.

Jonathan poszedł z nią.

Po chwili zaczęli się pojawiać pasażerowie. Clarice i Edward nadal siedzieli na miejscach. Edward patrzył na ludzi na peronie, Clarice schowała mu twarz na ramieniu. Sekundy zmieniały się w minuty, a

Edward nadal nie widział Arabelli. Po jego milczeniu Clarice poznała, że córki tam nie ma. Edward słyszał, jak pasażerowie wypytyują ludzi na peronie, co się stało z hotelem. Usłyszał, jak ktoś powiedział, że pożar wybuchł od pioruna. Słyszał, jak ludzie pytali, czy nikt nie zginął. Zobaczył, jak jakiś mężczyzna kiwa potakująco głową i mówi, że stracili jednego z gości. Poczł mdłości i odwrócił głowę...

Arabella biegła wzdłuż pociągu i usiłowała zajrzeć w okna wagonów sypialnych.

– Nie ma ich tu! Moich rodziców nie ma w pociągu!

Jonathan nie wiedział, co odpowiedzieć.

Maggie patrzyła za Arabellą; widziała, jaka jest zdenerwowana. Większość pasażerów już wysiadła z pociągu, tylko jakaś para siedziała nadal w jednym z wagonów. Mężczyzna obejmował żonę, oboje robili wrażenie strasznie wzburzonych.

Instykt podpowiedział Maggie, że to muszą być rodzice Arabelli. Tygodnie udręki, jaką przeżyli, były wypisane na ich twarzach. Wiedziała, że pewnie uważają, że ich córka nie żyje.

Wsunęła głowę do przedziału.

– Państwo Fitzherbert? – zapytała.

Edward spojrział na nią. Nic nie powiedział, bojąc się przerażającej wiadomości, ale Maggie już się rozglądała za Arabellą; zobaczyła jej rozpacz i zawołała:

– Arabello! Są tutaj!

Walczyła z dławiącym ją wzruszeniem. Arabella podbiegła wraz z Jonathanem starającym się dotrzymać jej kroku.

Tony wciągnął Maggie z powrotem na peron i popchnął Arabellę delikatnie w stronę drzwi przedziału.

Arabella zajrzała i zobaczyła rodziców.

Edward dostrzegł ją pierwszy i delikatnie potrząsnął ramieniem żony. Wstali oboje, nie wierząc własnym oczom.

Czyżby ta dziewczyna, która stała teraz przed nimi, była ich Bellą? Czyżby ich modły zostały wysłuchane? Po prostu nie mogli złapać tchu.

Ale oto znalazła się w ich ramionach i wszyscy troje płakali z radości. W drzwiach stali Maggie z Tonym; Maggie ocierała łzy. Nawet Tony miał wilgotne oczy.

– Co ci się wydarzyło, Bello? – pytał Edward, kiedy w końcu opanowali wzruszenie. – Myśleliśmy, że straciliśmy cię na zawsze!

– Wysiadłam z pociągu, kiedy się zatrzymał na pustyni – odparła. – Potem wam wszystko wytłumaczę! Teraz chcę, żebyście poznali naprawdę niezwykłych ludzi!

Państwo Fitzherbert, a zwłaszcza Clarice, byli zachwyceni wyglądem córki. Trochę ją przeraził jej strój: spodnie do konnej jazdy i koszula, która wyglądała jak męska, i długie buty. Włosy Arabelli zwisały luźno na ramiona – fryzura, na którą Clarice się godziła tylko w łóżku.

Ale to stan zdrowia Arabelli był najbardziej zadziwiający! Przybrała na wadze, policzki miała wypełnione, nie była już tak chorobliwie blada jak wtedy, gdy ją widzieli ostatni raz. W gruncie rzeczy jej cera miała teraz zdrowy, złocisty kolor. W ogóle była okazem zdrowia!

Arabella wyprowadziła rodziców z wagonu na peron, gdzie wszyscy już czekali, żeby ich przywitać. Reszta pasażerów poszła oglądać zgliszczka hotelu.

– Mamo! Tato! To są Tony i Maggie McMahonowie! Są właścicielami świetnego hotelu, Great Northern. Kiedy tu trafiłam, przygarnęli mnie i zaopiekowali się mną.

– No, ten hotel już nie jest taki świetny – rzekł Tony, wyciągając rękę, by przywitać Edwarda. – Ale miło nam państwa poznać. – Niespokojnie spojrział na Arabellę, pamiętając, ile razy wyrażał wątpliwość, że jej rodzice kiedykolwiek tu wrócą.



– Nie wiem, jak wam dziękować za opiekę nad Bellą – mówił Edward. Rzeczywiście, słowami nie sposób było to wyrazić.

Clarice objęła ramionami zdenerwowaną Maggie.

– Dziękuję, z głębi serca dziękuję! – mówiła z przejęciem. – Bella wygląda... cudownie.

– Witajcie – odparła Maggie. – Arabella była dla nas wielką pomocą.

Clarice poczuła zadowolenie, ale ostatnie słowa kompletnie ją zaskoczyły. Zaczęła mrugać oczyma, zdumiona – i zmieszana, co jednak Maggie doskonale rozumiała.

Arabella przedstawiła Teda, Wally'ego, Lesa, państwa Maxwell i państwa Quiggley; potem podeszła do Jonathana, który stał grzecznie z tyłu.

– Mamo, tatusiu, to jest Jonathan Weston – przedstawiła go Arabella i wypchnęła do przodu. – Jest moim przyjacielem – dodała. Pamiętała, że Jonathan chciał wszystko załatwić tak, jak należy.

– Miło nam pana poznać – ostrożnie rzekł Edward. Popatrzyli po sobie z Clarice. Natychmiast oboje się domyślili, że mężczyzna jest dla ich córki kimś więcej, niż tylko przyjacielem.

– Chodźmy do miasta! – przejęła pałeczkę Maggie. Objęła Clarice ramieniem i sprowadziła z peronu. – Na pewno napijecie się herbaty.

– Na pewno – potwierdziła Clarice.

– Ale to może być tylko herbata z puszki.

Clarice nie miała pojęcia, co to znaczy, ale nie chcąc okazać niewiedzy, odparła:

– Nie... każda będzie dobra.

– A co byście powiedzieli na śniadanie z grilla? – zaproponował Tony. – Mamy mnóstwo kotletów baranich!

– Z grilla? – zdziwił się Edward. – Właściwie nie jadamy na śniadanie kotletów...

– Teraz jesteście w buszu! – Tony klepnął Edwarda po plecach. – Tu wszystko pasuje.

– Ja ci pomogę – rzekł Jonathan do Tony'ego.

Chciał porozmawiać na osobności z ojcem Arabelli, ale też pragnął wybrać jak najlepszy moment.

Kiedy rozkoszowali się świeżą herbatą, Arabella opowiadała rodzicom ze szczegółami wszystko, co się jej przydarzyło. Uznali, że to było nieprawdopodobne.

– Myśleliśmy, że wypadłaś z pociągu, kiedy jechał! – mówiła Clarice. Ten obraz dręczył ją w dzień i w nocy. – Nie mogę uwierzyć, że po prostu wysiadłaś z wagonu w nocnej koszuli... żeby zerwać kwiatek!

– To było naprawdę głupie. Nie przypuszczałam, że pociąg akurat wtedy ruszy, a gonić go nie mogłam z powodu tej kostki...

– No, ale teraz już po wszystkim! – zakończył Edward. – Cieszymy się po prostu, że żyjesz!

– Naprawdę nie wiem, jak się wam odpłacimy za opiekę nad naszą córką – zwróciła się Clarice do Maggie.

– Jak już powiedziałam, była dla nas wielką pomocą – odparła Maggie.

– No, na początku na pewno nie... – przyznała Arabella.

Widziała, że jej matka nie może pojąć, w jaki sposób Arabella pomagała McMahanom.

Clarice nie mogła oderwać oczu od córki. Zmieniła się nie tylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie. Stała się pewniejsza siebie, wierzyła we własne siły.

– W jaki sposób Arabella pani pomagała? – spytała wreszcie, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

– O, na rozmaite sposoby – odparła Maggie. – Karmiła drób, pomagała mi w kuchni, podawała do stołu, kiedy mieliśmy gości; grała też na fortepianie dla naszych klientów.

Clarice i Edward dosłownie zaniemówili ze zdumienia. Ich córka, ta, którą ostatnio widzieli, nigdy nie kiwnęłaby nawet palcem, by komukolwiek pomóc. Cofnęli się myślą do czasu, kiedy byli pewni, że

dziewczyna nie wytrzyma nawet pięciu minut na pustyni; a teraz widzą, jak rozkwitła w Marree.

Dziewczyna zauważyła ich reakcję i nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Początkowo tak nie myślałam, ale okazało się, że wyjście z pociągu to najlepsze, co mnie spotkało – rzekła.

Wiedziała, że się zmieniła na lepsze, ale przede wszystkim wiedziała, że gdyby nie znalazła się wtedy na pustyni, nigdy nie spotkałaby Jonathana...

– Jak możesz mówić coś takiego, Bello? – oburzyła się Clarice.

– Wiem, że bardzo cierpieliście. Jest mi z tego powodu bardzo przykro... ale tutaj dorosłam, i to przede wszystkim dzięki Maggie i Tony'emu, i... – tu zerknęła na tego, który skradł jej serce – ... Jonathanowi.

Rodzice podejrzliwie popatrzyli na mężczyznę. Cóż on takiego zrobił dla ich córki?

– Jonathan mnie nauczył, żeby patrzeć na świat oczyma innych ludzi – tłumaczyła Arabella z silnym postanowieniem przekonania rodziców, jaki jest cudowny. – Kiedy tu trafiłam, byłam okropną egoistką. Myślałam tylko o sobie. Na pewno się nie zdziwicie, kiedy powiem, że na początku uważałam, że Maggie ma mi usługiwać przy stole! Teraz się tego wstydzę!

Na myśl o tym, jak to było, Maggie się uśmiechnęła.

– Ale Jonathan zawsze myśli o innych – ciągnęła Arabella. – Jest dobry, hojny... i... to naprawdę cudowny człowiek! To mężczyzna, z którym chcę spędzić resztę życia! – wypaliła.

Clarice wstrzymała okrzyk; Edward pobladł.

– Bello, czy chcesz przez to powiedzieć, że masz zamiar wyjść... za tego człowieka? – spytała Clarice. Nie pojmowała, jak to możliwe; znali się przecież tak krótko!

Jonathan wystąpił naprzód.

– Czy mogę z panem zamienić słówko na osobności, panie Fitzherbert? – spytał zdenerwowany.

– To chyba niezły pomysł – surowo rzucił Edward.

Kiedy się oddalili, Jonathan zaczął:

– Rozumiem, że to dla pana szok, panie Fitzherbert...

– Rzeczywiście. Nie widzieliśmy naszej Arabelli parę tygodni, a wszystko w jej życiu się zmieniło.

– Tak... wyrosła na wspaniałą kobietę! – z dumą rzucił Jonathan. – I kocham ją gorąco.

– My też, młody człowieku.

– Wiem o tym.

– Z czego pan żyje? – spytał Edward.

Jonathan wiedział, że to pytanie za chwilę padnie.

– Jestem fotografem.

– Fotografem... – powtórzył Edward, myśląc, że to chyba nie jest jego stałe zajęcie. – Gdzie ma pan studio?

Rozejrzał się dookoła, spodziewając się zobaczyć jakąś walącą się chałupę z napisem na ścianie „Studio Fotograficzne”.

– Nie mam studia, wychodzę na pustynię, żeby fotografować pejzaż albo inne obiekty.

– A cóż tu jest do fotografowania?

– O, bardzo dużo! – Jonathan starał się zachować cierpliwość.

Edward był zbulwersowany i wyraźnie to okazywał.

– Zawsze pilnowałem, żeby Bella żyła w luksusie i na poziomie! Nie może się pan spodziewać, że będzie żyła tu po spartańsku!

– Myślałem tak samo, panie Fitzherbert. Zakochałem się w niej, ale powiedziałem jej, że nasz związek nie ma przyszłości, bo nie wierzyłem, żeby takie życie, jakie wiodę, było odpowiednie dla niej.

Początkowo tak sądziłem... ale Arabella bardzo się zmieniła. Dojrzała pod wieloma względami.

– Może ona nawet sądzi, że jej się to uda, ale po paru miesiącach... no, może po roku, zmieni zdanie.

– Jeszcze parę tygodni temu zgodziłbym się z panem. Dlatego zaproponowałem, że pojedę z nią do Anglii i zacznę tam pracować... w studio portretów. Ale nie chciała o tym nawet słyszeć.

Edward był naprawdę zdziwiony.

– Nie mogę w to uwierzyć. Arabella kocha Anglię. Tam jest jej dom.

– To prawda... ale skoro pan mi nie wierzy, proszę ją spytać.

– Oczywiście, że tak zrobię.

– Ale zanim pan to zrobi, proszę pamiętać, że jeżeli otrzymamy pańską zgodę na małżeństwo, postaram się stworzyć jej jak najlepsze warunki. Moje fotografie osiągają wysokie ceny w stolicy, gdzie robię wystawy; tak że będę w stanie zapewnić pana córce porządny dom i wszystkie wygody, na jakie zasługuje.

Edward nadal miał wątpliwości. Ostatecznie Arabella była jego jedyną córką i chciał dla niej wszystkiego, co najlepsze.

Kiedy wrócili do szopy, Arabella właśnie z dumą pokazywała matce fotografie Jonathana i opowiadała o jego pracy. Ta duma w jej głosie była naprawdę wzruszająca! Edward i Clarice uważnie oglądali zdjęcia i musieli przyznać, że są doskonałe. Jonathan i Arabella opowiedzieli im o jeziorze Eyre i o Mungerannie Springs, a także o innych ciekawych miejscach na pustyni; potem o planach Jonathana, który zamierzał fotografować Aborygenów, by pokazać ludziom z wielkich miast życie i kulturę tubylców.

Rodzice słuchali tego z zainteresowaniem i widzieli, jak bardzo Arabella podziela pasję Jonathana. Niemniej ciągle trudno im się było przyzwyczaić do tej nowej sytuacji; młoda para dostrzegła te wątpliwości.

Widziała je także Maggie. Patrzyła na to wszystko i bardzo pragnęła im pomóc.

– Arabella i Jonathan zorganizowali uroczystość gwiazdkową; planowali ją na wczoraj. No cóż, wczoraj nie mogliśmy jej urządzić z powodu złej pogody i dlatego, że właściwie jeszcze nikogo nie było w mieście – zwróciła się do państwa Fitzherbert.

– Słyszeliśmy o tym w Alice Springs! – powiedziała Clarice. – Ale nikt nie znał nazwiska pianistki; modliliśmy się, żeby to była Bella.

Czule pogłaskała córkę po twarzy.

– Oni chcieli w ten sposób nam pomóc – ciągnęła Maggie. – W czasie tej suszy, która trwała od lat, walczyliśmy z całych sił, ale bank chciał odebrać nam hotel. Arabella i Jonathan postanowili go uratować, ze względu na mieszkańców Marree i ludzi z innych stacji... Oboje są naprawdę wspaniali! Takich ludzi nam potrzeba! Jestem z nich dumna. Widziałam, jak się rodzi i jak dojrzewa ich miłość. Co do mnie, jestem zdania, że są dla siebie stworzeni. Nie wątpię, że ich życie tutaj będzie szczęśliwe i udane!

Arabella patrzyła na rodziców i modliła się w duchu, by zrozumieli jej uczucie dla Jonathana.

– Nigdy nie byłem z ciebie równie dumny, Arabello! – stwierdził Edward ze łzami w oczach.

– Ani ja – dodała Clarice.

Ich słowa znaczyły dla Arabelli tak wiele. Miała nadzieję, że będą z niej dumni!

– Czy to prawda, że chcesz wyjść za Jonathana i osiedlić się tutaj? – spytał ojciec.

Musiał to usłyszeć od niej!

– Tak, to prawda. Kocham Jonathana.

– Bello, możesz być zakochana, ale osiedlać się tu... po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić – stwierdziła Clarice zmartwiona.

– Ani ja – dodał Edward.

Nie wątpił, że Arabella kocha Jonathana Westona, ale był przekonany, że ich miłość zblednie, kiedy do córki dotrze rzeczywistość życia na tym odludziu.

– Jeszcze parę tygodni temu, może nawet jeszcze tydzień temu, przyznałabym wam rację – odparła Arabella. – Ale teraz już wiem, że mogę mieszkać gdziekolwiek i przetrwać, byle tylko być razem z Jonathanem. Bo prawdziwa miłość nie jest egoistyczna. Tego mnie nauczyli tutejsi ludzie. Maggie zamieszkała z Tonym i urządziła sobie wspaniałe życie. Musiała zwalczyć wiele trudności, ale sama może wam powiedzieć, że było warto!

– Rzeczywiście – potwierdziła Maggie, patrząc z uczuciem na męża. – Możecie wierzyć albo nie, ale to miejsce można pokochać. Nie mogę wyrazić, jakie puste będzie moje życie bez Marree i bez jego mieszkańców.

Tony objął ją ramieniem.

– Tatusiu! Ja nie potrzebuję rozpieszczania – rzekła Arabella. – Wiem, że chcieliście dobrze, otaczając mnie luksusem, ale właśnie dlatego byłam taką niedojrzałą, płytką dziewczyną wymyślającą sobie choroby! Potrzebuję celu w życiu. A pomoc Jonathanowi i innym ludziom stąd jest warta zachodu, i chcę to robić. Potrzebuję tego – podkreśliła.

Edward spojrział na Clarice – i w tym momencie oboje zrozumieli, że muszą pozwolić Arabelli odejść. Była już dorosła i przy tym szczęśliwa. Czy nie tego dla niej chcieli?

– Wobec tego masz nasze błogosławieństwo – oświadczył ojciec.

– Och, dziękuję, tatusiu!

Rzuciła mu się na szyję.

– Witaj w rodzinie, Jonathanie – dodała Clarice, obejmując przyszłego zięcia.

Maggie, Tony i wszyscy obecni zaczęli wznosić okrzyki radości.

# Rozdział trzydziesty pierwszy

---

Po herbacie Edward poprosił Tony'ego na stronę.

– Mam taką osobistą sprawę, panie McMahon...

– Proszę mi mówić Tony. Albo, jeżeli pan woli, wszyscy nazywają mnie tu Macca...

Edward nie był gotowy na takie spoufalanie się.

– Tony! Może nie powinienem o to pytać, ale – ile pieniędzy Arabella miała nadzieję zarobić, żeby uratować hotel?

Z trudem ukrywał dumę z córki.

– Mam pięćset funtów zaległości w spłacie kredytu – przyznał się Tony. Był zły, że ciągle prześladują go pieniądze.

– Mógłbym pomóc. To najmniejsze, co mogę zrobić po tym, co wy zrobiliście dla Arabelli.

Tony oniemiał.

– Mieliście ubezpieczenie, prawda? – spytał Edward.

Tony widział jasno, że rozmawia z bystrym człowiekiem interesu.

– Tak, zawsze byliśmy ubezpieczeni, ale ostatniej składki nie zapłaciłem – odparł ze wstydem. – Już od jakiegoś czasu mieliśmy kłopoty finansowe i, jak głupi, nie mówiłem o tym żonie. Myślałem, że wreszcie skończy się susza, wtedy interesy się poprawią i zdołam spłacić kredyt. Nigdy nie przypuszczałem, że dom może się spalić... Zrozumiałe, że Maggie ma teraz o to do mnie pretensję. Będziemy musieli wyjechać z Marree. Nie wiem, dokąd pójdziemy, ani co będziemy robić...

Starał się trzymać, ale właściwie był załamany.

– Na pewno coś będzie można zrobić.

– Nie, nic, nic... – Tony był naprawdę zrozpaczony.

– Co zrobiliście hotelem?! – Nagle ktoś krzyknął.

Wszyscy się odwrócili. Mieli wrażenie, że widzą ducha.

O parę metrów od nich stał Stuart Thompson. Trzymał w rękach lejce jednego z wielbłądów Paddy'ego.

– Boże przenajświętszy! – jęknęła Maggie, bliska utraty przytomności. – Skąd... się tu wzięłeś?

– Z pustyni – wyjaśnił Stuart. – Ale co się tu, u ciężkiego diabła, stało?

– Och, nieważne! – Szok Maggie przeszedł w gniew. – Wszyscy myśleliśmy, że nie żyjesz. Już cię nawet oplakaliśmy!

– Oplakaliście? Mnie? A niby dlaczego? Ja tylko pojechałem z powrotem do mojej kopalni – cicho wyjaśniał zdumiony Stuart.

– Dlaczego nikomu nie powiedziałaś, że wyjeżdżasz? – rzucił ze złością Tony. – Byliśmy przekonani, że zginąłeś, żywcem upieczony w płomieniach.

– Och... – Stuart nareszcie zrozumiał, że jednak mają do niego pretensję. – Chciałem wam zrobić niespodziankę... – powiedział zmieszany.

– No, rzeczywiście zrobiłeś! – parsknęła Maggie. – Dobrze, że żyjesz, ale gdybyś powiedział, że wyjeżdżasz, nie myślelibyśmy, że spotkała cię taka okropna śmierć! Do licha, chętnie bym cię wsadziła do ogniska, żebyś miał nauczkę!

– Przepraszam, Maggie... – Stuart opuścił głowę. – Po rozmowie z tobą na temat groźby utraty hotelu wpadłem na pewien pomysł. Myślałem, że uda mi się wrócić wcześniej... Spóźniłem się przez te burze.

– Myślałam, że postanowiłeś dać sobie spokój z kopalnią – wtrąciła Arabella.

Cieszyła się bardzo, że Stuart żyje, ale uważała, że to, co zrobił, było bez sensu.

– Tak rzeczywiście było, ale wtedy pomyślałem, że to złoto, które znalazłem, mogłoby się przydać do uratowania hotelu. Wykopałem je... A potem okazało się, że jest go tam o wiele więcej, niż przypuszczałem. Należy do was!

Wręczył Maggie torbę, tak ciężką, że omal jej nie upuściła.

Maggie zajrzała do środka. Torba zawierała kilka solidnych rozmiarów brył złota.

– Boże! Tony, popatrz!

Tony zajrzał do torby.

– To fortuna!

– Ale wygląda na to, że jej będziecie potrzebowali – zdecydował Stuart, patrząc na zgliszcza hotelu Great Northern. Po chwili zerknął na Wally’ego. – Jacko! Tylko nic sobie nie wyobrażaj! Narzędzia zakopałem, a wejścia do kopalni z pewnością nikt nie znajdzie!

– Och, nawet się tam nie zbliżę – z dumą odparł Wally. – Mam teraz inne obowiązki!

Trzymał na rękach syna, a uszczęśliwiona Missy stała obok nich. Wally stale teraz widywał małego Dayindę, więc chłopiec nie bał się go tak bardzo jak wcześniej.

– Czy za te pieniądze zdołamy odbudować hotel albo spłacić dług w banku? – spytała Maggie Tony’ego. Nie była w stanie w to wszystko uwierzyć.

– Nie znam się na tym – odparł Tony – ale myślę, że jedno i drugie.

– To znaczy, że hotel przejdzie na naszą własność?

Tony przytaknął. Maggie upuściła torbę i zarzuciła Stuartowi ręce na szyję. Zасыpywała go pocałunkami tak, że się o mało nie przewrócił.

– Zaczekaj, Maggie! – wołał Stuart, oszołomiony. – Muszę odprowadzić Leilę do Paddy’ego! Na pewno się za nią stęsknił!

– Na pewno! – potwierdził Jonathan. – Był zrozpaczony, bo myślał, że mu uciekła podczas burzy. To jego nagrodzona rozplodowa samica!

– Jak ci mamy za to dziękować?

Łzy płynęły strumieniami po twarzy Maggie. Nie była w stanie uwierzyć, że teraz będą mogli zostać w Marree, że będą mieć hotel na własność i już nie będą się musieli martwić spłacaniem pożyczek w banku.

– Nie chciałem tego złota, Maggie, ale ten hotel naprawdę wiele znaczy dla ludzi! Zostawić złoto w kopalni byłoby marnotrawstwem, skoro ono może pomóc tobie i Tony’emu.

– Nie mam słów... – szepnęła Maggie.

– To naprawdę bardzo, ale to bardzo hojne z twojej strony – zwrócił się do niego Tony. – Możemy tylko zaproponować ci współwłasność hotelu.

Stuart wyglądał na zaskoczonego.

– Współwłasność?

– Znakomity pomysł, Tony! – zawołała Maggie. – Co ty na to, Stuarcie?

– Mam zostać współwłaścicielem?

– Tak, przyjmujesz naszą propozycję?

– Nie! – odpowiedział Stuart bez wahania. – Nie jestem człowiekiem, który lubi zobowiązania. – Tu spojrzął z zażenowaniem na Arabelle. – Ale z przyjemnością się zgodzę na darmowy pokój, gdybym kiedyś tędy przejeżdżał.

– Jesteś tego pewien? – Tony zmarszczył brwi. Chciał być w porządku wobec Stuarta.

– Tak, jestem pewien... No, i może przyjmę też kilka pysznych potraw zrobionych przez Maggie.

– Masz to zagwarantowane do końca życia! – Twarz Maggie jaśniała. – Mamy tyle powodów do

świętowania, Arabella odnalazła rodziców i zaręczyła się z Jonathanem!

Nagle przerwała i zerknęła na Stuarta. Zauważyła, jak bardzo zaskoczyła go wiadomość o przyszłym małżeństwie tych dwojga. Wiedziała, jak mogło go to zranić, i była na siebie wściekła, że tak z tym wyskoczyła, zwłaszcza po tym, co dla nich zrobił!

– Gratuluję... – zwrócił się Stuart do Arabelli.

W jego głosie brzmiała nutka smutku; wiedział jednak, że Arabella kocha Jonathana i że na pewno jemu, Stuartowi, odmówiłaby; chociaż nigdy nie usłyszał od niej tych okrutnych słów.

Wyglądała na trochę zmieszana.

– Dziękuję.

Stuart spojrział na Jonathana.

– Dostała ci się naprawdę wspaniała dziewczyna – powiedział. – Mam nadzieję, że docenisz swoje szczęście!

– Och, tak! – potwierdził Jonathan, obejmując Arabellę.

– Naprawdę się cieszę waszym szczęściem – dodał Stuart i było jasne, że naprawdę tak myśli.

– A co będzie z koncertem, który nam obiecano?! – zawołała nagle jedna z pasażerek pociągu.

Clarice rozpoznała w niej tę kobietę, którą spotkała w ogródku hotelowym w Alice Springs.

Maggie spojrzała na Arabellę.

– No cóż, fortepian się uratował... – rzekła.

– Z radością zagram – odparła dziewczyna.

– A więc możemy dać koncert! – zawołała Maggie do pasażerki. – Co prawda nie mamy dla was noclegu, ale może być jedzenie i muzyka!

Pasażerowie się uradowali.

– To wszystko, czego potrzebujemy! – odkrzyknęła kobieta. – Prześpimy się w pociągu!

– Możecie zostać tu na noc? – spytał Tony motorniczego.

– Już mamy tak ogromne spóźnienie, że jeszcze jedna noc nie sprawi nam wielkiej różnicy! – roześmiał się tamten.

Kiedy publiczność się zgromadziła, Arabella dała koncert. Matka z zachwytem obserwowała córkę. Bała się, że zaraz pęknie z dumy!

Jonathan zaczął rozwieszać na ścianach stodoły uratowane z pożaru fotografie, a pasażerowie wykupywali je tak błyskawicznie, że nie nadązał dodawać nowych. Trzy razy wybuchła nawet mała wojna, kiedy dwóch pasażerów chciało kupić to samo zdjęcie.

Edward rzekł do Jonathana:

– Chciałbym zabrać jakieś twoje fotografie do Anglii, oczywiście jeżeli coś ci zostanie! Mam przyjaciela, właściciela galerii w Londynie, i jestem pewien, że zainteresują go twoje prace.

– Byłoby wspaniale! – zawołał Jonathan. – Ale zanim zacznę ponownie robić zdjęcia, będę musiał kupić nowy sprzęt. Aparat zdołałem uratować przed ogniem, ale straciłem wszystkie urządzenia do wywoływania.

– Powiedz tylko, czego ci potrzeba: kupię to w Adelajdzie i prześlę tutaj.

– To miłe z pana strony... – Jonathan zauważył, że Edward nabrał szacunku do jego pracy i bardzo go to ucieszyło.

Kiedy Arabella się zmęczyła, przedstawiła widowni swoją matkę.

– Kiedy byłem dzieckiem, matka była moim wzorem... i wspaniałą pianistką, którą zawsze podziwiałam.

Łzy napłynęły do oczu Clarice. Nie miała o tym pojęcia...

– Czy mogłabyś nam zagrać, mamó? – spytała córka.

Zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć, Clarice usiadła przy fortepianie i zaczęła grać przy wtórze oklasków.

Arabella skorzystała ze sposobności, żeby podejść do Jonathana i do ojca.

– Tatusiu – powiedziała. – Chcę zostać tutaj, kiedy ty i mama wyjedziecie do Anglii. Mam nadzieję, że was to nie zmartwi.

Edward podejrzewał, że córka powie coś w tym rodzaju, ale mimo to był zaskoczony. Wiedział, że ta chwila kiedyś nadejdzie, niemal bał się stracić córkę z oczu choćby na chwilę.

– Więc chcesz wyjść za męż... tutaj?

– Tak! Nie wyobrażam sobie naszego ślubu gdzie indziej.

– Chcielibyśmy być na twoim ślubie, Bello – rzekł Edward. Inaczej Clarice miałyby złamane serce.

– Ale... może zostanieie tu jeszcze trochę? – spytała Arabella.

– Tu przecież nie ma kościoła ani miejsca, żeby urządzić wesele! Będziesz musiała czekać, aż hotel się odbuduje.

– Niepotrzebny nam kościół! Możemy się pobrać nawet pod gołym niebem, a co do wesela... wystarczy mi zabawa urządzona przez Aborygenów przy ognisku!

Edward osłupiał.

– Ale... tu nie ma nawet pastora. Pastor musi być! – Miał nadzieję, że to przemówi Arabelli do przekonania.

Podszedł do nich jeden z pasażerów, który dotąd słuchał gry Clarice.

– Ja jestem pastorem – przedstawił się.

Arabella wytrzeszczyła oczy.

– I może nam pan dać ślub?

– Oczywiście... kiedy?

– Dziś wieczorem – odparła Arabella ku wielkiemu zdumieniu Jonathana.

– W porządku – zgodził się pastor.

Arabella jaśniała z radości. Zarzuciła rękę na szyję Jonathana. Edward, nadal oszołomiony, stał obok.

I oto pod rozgwieżdżonym niebem, między trzema ogniskami i przed publicznością, do której należeli również pasażerowie pociągu, stanęli oboje przed pastorem: Jonathan i Arabella.

Clarice grała marsza weselnego, kiedy córka szła do prowizorycznego ołtarza, prowadzona pod ramię przez ojca.

Mohomet Basheer znalazł w swoim sklepie suknię, która nie była tak do końca ślubna, ale najładniejsza, jaką dysponował; w każdym razie panna młoda wyglądała w niej naprawdę pięknie. Sklepikarz bardzo się postarał: zrobił nawet welon z najlepszej koronki, jaką miał na składzie, i znalazł delikatne białe pantofelki, a nawet nalegał, żeby włożyła jedwabne pończochy. Clarice pożyczyła Jonathanowi swoją ślubną obrączkę, którą Arabella miała nosić, zanim jej nie kupi.

Świadkami byli Maggie i Tony (Tony też w stroju od Mohometa).

Jonathan i Arabella wymienili przysięgę małżeńską pod gwiazdami, przy dźwiękach jedynej w swoim rodzaju – przy odgłosach buszu. Publiczność owacyjnie przyjęła pocałunek młodej pary. Było też wiele łez: przede wszystkim płakała Maggie (wystrojona w jedną z pięknych sukien Clarice). Clarice mówiła, że jest zbyt szczęśliwa, żeby płakać, ale się nie przyznała, ile wylała łez podczas tych tygodni, kiedy sądziła, że straciła córkę.

Arabella zwierzyła się Jonathanowi, że ma wrażenie, jakby miała dwie pary rodziców... i że jest najszczęśliwszą osobą na świecie!

– Na pewno nie tak szczęśliwą, jak ja – stwierdził Jonathan i ucałował z czułością swoją żonę.

Już od paru godzin Aborygeni przygotowywali uroczystość. Clarice i Edward nie mogli wprost



uwierzyć, widząc córkę jedzącą kangura czy podpłomyk pieczony wprost na ziemi.

Kiedy Arabella podała matce *yam*, Clarice się zawahała.

– Co to takiego? – zmarszczyła nos.

– Och, mam! Zupełnie jak ja, kiedy byłam taką grymaśnicą! – ze śmiechem zawołała Arabella. – *Yam* to korzeń rośliny. Pyszny.

Clarice nadal się wahała.

– A może wolałabyś spróbować węża?

Clarice omal nie zemdląca.

– Z pewnością nie! Nawet mi nie mów; jadłaś węża, Bello?

Była przerażona.

– Ależ tak! Jest naprawdę znakomity. – Arabella uśmiechnęła się do Rity, ta zaś odwzajemniła uśmiech z przeciwnej strony ogniska. Teraz uśmiech często gościł na jej twarzy.

Nagle Arabella usłyszała jakiś dźwięk. Rozpoznała go i zerwała się na równe nogi.

– Uri! – zawołała z radością.

Zza drzew wyszedł Paddy, prowadząc młodego wielbłąda.

Arabella podbiegła do małego i objęła go za szyję.

– Gdzie był? – spytała Paddy’ego.

– Znalazłem go kilka kilometrów stąd. Chyba wracał do miasta i szukał ciebie... ale był trochę zagubiony.

– Wracałeś do mnie? – czule pytała Arabella młodego wielbłąda.

W odpowiedzi wydał żalosne beczenie, wpatrzony wielkimi brązowymi oczyma w swoją panią.

Clarice i Edward patrzyli na tę scenę, nie dowierzając. Czyżby ich córka się tuliła... do wielbłąda?

– Ale go nie sprzedasz, Paddy? – Chciała wiedzieć Arabella.

– Nie – odparł, usiłując ukryć uśmiech. – Ale nie jest mi potrzebny.

Arabella mało nie krzyknęła.

– Ale nie masz zamiaru go... – nie skończyła.

– To prezent ślubny dla ciebie – powiedział wreszcie Paddy. – Zawsze był twój, pokochał cię, więc może do ciebie należeć.

– Och, Paddy, dziękuję! – Arabella zarzuciła mu ręce na szyję.

Hodowca wielbłądów wyglądał na zmieszanego.

– Będziecie musieli go szkolić, bo mnie nie chce słuchać – dodał. – Może będziecie mieli więcej szczęścia...

Arabella zwróciła się do Tony’ego.

– Mogę go trzymać w stajni? – spytała.

Tony usiłował przybrać surowy wyraz twarzy, ale nie dał rady.

– Tak – odparł – ale będziesz musiała czyścić jego boks.

Edward spojrział na Tony’ego z wyrzutem. Ale Arabella wybuchnęła śmiechem.

– Tatusiu! Dawniej zawsze to robiłam!

Edward potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nie był w stanie przełknąć tylu niespodzianek. Tony podał mu butelkę piwa od Dave’a Brewera; Edward upił łyk i wybełkotał:

– Co to jest?

Skrzywił się. Smakowało zupełnie inaczej niż piwo w Alice Springs.

– To domowe piwo; trochę niedojrzałe. Przyzwyczaisz się, Fitzi!

Edward oniemiał.

– Nazwał mnie pan Fitzi?

– Chyba tak, kochanie... – zagruchała Clarice rozbawiona.

Tony parsknął śmiechem. Arabella śmiała się tak, że aż ją boki rozbolały!

Po uroczystości podeszła do Rity.

– Możemy zacząć nasz duet?

Rita wytrzeszczyła oczy.

– Jesteś pewna, panienka?

Nie spodziewała się nigdy, że zagra przed tak liczną widownią.

– Oczywiście. Zaczynamy.

– Ale, panienka... ja nie jestem bardzo dobra...

– Rito! Pomoże ci duch Jimmy'ego!

Rita przytaknęła z uśmiechem. Wiedziała, że to prawda – i to jej dodało pewności siebie.

Kiedy Arabella zaczęła grać, Rita się włączyła. W pierwszej chwili czuli się dziwnie: nikt nie wyobrażał sobie, że połączenia dwóch tak odmiennych instrumentów jak fortepian i *didgeridoo* może się im spodobać. Po chwili jednak wszyscy byli zachwyceni.

Namiętne tony *didgeridoo* w cudowny sposób łączyły się z dźwiękami fortepianu w cichym, gorącym powietrzu, właśnie tak, jak przypuszczała Arabella! Uzyskany dźwięk był absolutnie wyjątkowy. Równie wyjątkowy jak Marree; równie wyjątkowy jak ci ludzie, którzy tu mieszkali.

Widownia milczała, urzeczona. Słuchacze wiedzieli, że są świadkami czegoś wyjątkowego, co się już nigdy nie powtórzy.

Palce Arabelli biegały po klawiszach. Rozejrzała się wokoło: Uri przytulił głowę do jej ramienia. Miała przy sobie wszystkich, których kochała. Rodzinę, przyjaciół, męża. Pomyślała, że gdyby jej ktoś kiedyś powiedział, że znajdzie szczęście w takiej pustynnej miejscinie, nigdy by nie uwierzyła. To jednak była prawda. A przyszłość wydawała się cudowna.

Koniec

[1] **Czas snu** (ang. *Dreamtime*, w językach aborygeńskich *Malchera*, *Alcheringa*, *Mura-Mura*, *Tjukurrpa* i inne) to mitologia australijskich Aborygenów. Legendy opisujące czas snu stanowią najstarsze istniejące przekazy ustne. Szacuje się, że mają ponad 50000 lat [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] **Wachlarzówka** (*Rhipidura*) – gatunek ptaka. Rodzina wachlarzówek (*Rhipiduridae*) jest bardzo popularna w Australii, Nowej Gwinei, na Wyspach Salomona, Archipelagu Bismarcka i we wschodniej Indonezji.

[3] **Dungga** – w języku Aborygenów wagina, kobiecy narząd płciowy.

[4] **Piccaninny** (ang. gwar.) – czarnuszek, bambusek, czyli dziecko murzyńskie.

[5] **Ogrodzenie przed psami dingo** (ang. *Dingo Fence* lub *Dog Fence*) – ogrodzenie zbudowane w latach 1880–1885, mające na celu ochronę owiec przed psami dingo i roznoszonymi przez nie chorobami; ogrodzenie to ma długość 5614 km i jest najdłuższe na świecie.

[6] **Greensleeves** (pol. *Zielone rękawy*) – angielska piosenka z XV wieku, której autorstwo przypisuje się królowi Henrykowi VIII.

[7] **Artysta estradowy** (ang. *The Entertainer*) – ragtime Scotta Joplina z 1902 r. Melodia wykorzystana jako główny motyw w filmie *Źródło* z 1972 r.

[8] **Pustynia Strzeleckiego** (ang. *Strzelecki Desert*) – pustynia w zachodniej części stanu Australia Południowa nazwana imieniem polskiego podróżnika i odkrywcy, Pawła Edmunda Strzeleckiego (1797–1873).

[9] **Corroboree** – święto australijskich Aborygenów, połączone z muzyką i tańcem.

[10] **Kadaitcha** (lub *kurdaitcha*) – organizator i wykonawca rytualnych tańców podczas *corroboree*.

[11] **Didgeridoo** – dęty instrument Aborygenów, aerofon. Jeden z najstarszych instrumentów dętych na świecie.

[12] **Yam** – roślina podobna do ziemniaka, której bulwa może ważyć aż 50 kilogramów.